



2500000
17

OBRAZKI SYBERYI.

OBRAZKI SYBERYI

Komputer



LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

ILLUSTROWAŁ

E. M. ANDRIOLLI.



WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA JUNGRA

Nowolipki Nr. 2406 (3 nowy).

1875.



65044

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0029198

Дозволено Цензурою
10 Апрель 1874 года.

I.

STUDIA ETNOGRAFICZNE.

K-114/76/65044

PIÉRWOTNE PLEMIONA SYBERYI.

Stan Syberji przed przyłączeniem téj ziemi do mocarstwa rossyjskiego. Rozwój kultury i rolnictwa w miejscowościach, zamieszkiwanych przez napływową ludność. Przyczyny stagnacji u piérwotnych plemion. — *Tunguzy*: ich obyczaje, język, zajęcia i koczowiska. Szamanizm tunguzki. Leczenie chorób. Chowanie umarłych. Pieśni. Stosunki małżeńskie. Przywiązanie rodziców do swoich dzieci. Przykłady tego przywiązania. — *Gilliaki*. Ich położenie geograficzne. Przyłączenie Amuru do Rossyi. Skryty, tajemniczy i nieodgadniony charakter mieszkańców téj ziemi. Obecny stan nadamurskich prowincyj. — Pokolenia *Samagrów*. — *Buryaty*: krwiożercze ich chucie i dzikość. Przykład niedostępności cywilizujących wpływów na tych stepowców. *Buryaty-buddaiści*. Opis obrządków buddyjskiego wyznania. — *Sajańcy*: pochodzenie tych ludów. Historia Mongolii. Obyczaje i charakter Mongolów, sajańskie góry zamieszkujących. — *Jakuty*: odosobnione ich położenie, dobroć i łagodność. Przykłady niezwykłe, cierpliwość *Jakutów*. Ich baśnie i opowiadania. Resztki wygaszającego plemienia *Czukezów*: — *Kamczadale*. — *Ostyaki*: ogólne zarysy ich obyczajów. Krańcowa północ. Klimat koła biegunowego. *Turuchańsk*. Klasztor wśród wiecznych lodów. — *Tatarzy* azyatyccy. Prawdopodobieństwo stosunków ich z *Dżingishanem*. Sądy stepowe. Wnętrza jurt. Stosunek kobiet do mężczyzn. Szamanizm tatarski. Wypędzanie nieczystych duchów przy umierających. Obchody małżeństw u *Tatarów*. *Kumys*. Starożytna legenda. Domniemywania historyczne.

Nie tak dawno jeszcze, Syberya nie posiadała ani miast ani wiosek, ani nawet domów mieszkalnych. Stepy jój nie były poprzecinane żadnymi drogami do komunikacyj służącymi, ani urozmaicone widokiem łąnów uprawnych, okazujących trudy rolnika; ślad myślącej istoty nie istniał tam

wcale. Wszędzie, gdzie tylko oko spocząć mogło, rozciągała się niezmierna pustynia, kryjąca w wnętrzu tajg swoich i stepowych obszarów życie odosobnionego od reszty świata mieszkańca tych krajów podbiegunowych. Na zachodzie żyli Tatarzy, na północy Ostyaki, na południu Sajańcy, Buryaci, w środkowych ziemiach Tunguzy, Jakuci: wszyscy oni trudnili się polowaniem, rybołówstwem, chowem zwierząt, przenosząc z miejsca na miejsce swoje koczowiska, rządząc się prawami dzikimi, przez siebie utworzonymi, w których siła stanowiła władzę, przewaga fizyczna sprawiedliwość, a rozkielznane namiętności codzienny tryb życia. Przed srogością klimatu chronili się w norach ziemi lub też budowali szałaszy z kory drzew, odziewali się w skóry zabitych przez siebie zwierząt, poświęcali bóstwom krwawe ofiary; czcili w zwierzętach siłę, w słońcu światło i ciepło, w księżycu ponury blask i wpływ na ruchy wód morskich. Dzieje ich, wzajemne stosunki, walki, jakie pomiędzy sobą staczali, zupełnie są nieznanne; u tych bowiem samorodnych dzieci pustyni, żywe słowo tradycyi, niosące z pokolenia w pokolenie czyny przodków, nie miało nigdy miejsca — z kończącym się życiem starca kończyła się i jego przeszłość, a nowo wzrastający potomkowie, wegetowali dalej jednostajnym trybem, nie starając się ani o ulepszenie swego losu, ani też troszcząc o to, co było przed nimi.

W końcu zeszłego stulecia, za panowania Katarzyny II, nieznanne te i oddzielone od reszty świata kraje podbite zostały pod panowanie Rosyi. Za postępującymi szeregami wojsk postępowała zarazem i cywilizacya europejska. A najprzód jawiły się tłumy ludzi pragnących szukać szczęścia w kolonizowaniu prawiczej ziemi, i mnóstwo zesłanych za karę przestępców, którym naznaczano te podbiegunowe strony na nową ojczyznę. Ludzie ci, obznajmieni z dobrodziejstwami kultury, zastosowywali natychmiast do nowego swego położenia wszelkie postępowe ulepszenia, jakie z dawniejszego swego życia zapamiętali. Wzięli się do uprawy roli, zaczęli budować domy mieszkalne na sposób europejski. Piérwotne te osady, najczęściej nad brzegami rzek i w miejscowościach dogodniejszych dla osiedlenia powstałe,

zamieniały się stopniowo w wioski, miasta i grody — w miarę powiększania się napływowej ludności zakwitł przemysł i rękodzieła, powstał handel, potworzyły się drogi i trakty komunikacyjne, a plemiona piérwotne, zdumione i zatrwożone temi niepojętymi dla nich objawami, cofnęły się w niedostępne tajgi, w stepy dotąd ludzką stopą nie tknięte. Tak się miały rzeczy przed stu laty; z upływem jednak czasu, pokolenia te zaczęły stopniowo zbliżać się do opasującej je zewsząd cywilizacyi — wielu z nich przyjęło wiarę chrześcijańską, wielu zawiązało stosunki wymiany handlowej z przybyszami, niektórzy nawet, ciśnięci zewsząd nowym żywiołem, przyjęli obyczaje europejskie. Ale to były wyjątki, większa bowiem ich część pozostała dotąd tém, czém była przed laty, a wszelkie środki przedsięwzięte przez rząd — ażeby skłonić stepowców do ulepszenia ich bytu, okazały się bezskutecznymi. Przywykli do życia koczującego, nie chcą nigdy budować drewnianych domów, i osiedlać się stale w naznaczonych dla nich miejscowościach; zamiłowani w myślistwie i rybołówstwie, uważają uprawę roli jako niepotrzebną, zbyt wiele pociągającą za sobą trudów i znojów; przywiązani do szamanizmu, jego guseł, dzikich praktyk, przyjmują nie chętnie wiarę chrześcijańską, a przyjmawszy takową pozornie, pozostają w gruncie serca wierni dawnym uprzedzeniom. Władze miejscowe, nie chcąc od razu zrazić zbytnią surowością tych dzieci natury, tolerują wiele z ich zwyczajów i przesądów, przesładując tylko niektóre nazbyt dzikie i rażące obrządki, jak np. krwawe ofiary z ludzi, nakazywane przez ich patryarchów, samobójstwa, samowolne kary śmierci i bolesne tatuowanie ciała. Dotąd np. inorodcy, oprócz uznanj władzy mają swoich własnych naczelników z pomiędzy siebie wybieranych, którzy sądzą ich sprawy, wymierzają kary cielesne, i zajmują się wewnętrzną administracyą koczowisk i auł — podatki z nich przez rząd pobierane przyjmują się, jako od nieznanających piénieźnego kursu, skórami dzikich zwierząt, a na szamanizm zwiérzchność patrzy jeżeli nie nader chętnie to przynajmniej pobłażliwie, wiedząc, że aby wyplenić do gruntu te zabytki barbarzyństwa, potrzeba nie tyle siły i przy-

musu, jak raczej czasu i stopniowego wpływu łagodzącej wszystkie niedostatki cywilizacji.

Pomiędzy licznymi plemionami ziem syberyjską zamieszkującymi, Tunguzy nie tylko liczbą ale wrodzonymi zdolnościami pierwsze miejsce zajmują. Koczowiska ich rozciągają się na całej środkowej przestrzeni jenijskiej gubernii pomiędzy turuchańskim okręgiem a krańcowym południem, także i na północno-zachodnim brzegu Bajkału w irkuckiej gubernii. W stosunkach moich z różnymi szczepami inorodców syberyjskich, najbliżej i najlepiej poznałem Tunguzów: przez długi czas mieszkałem w ich czumach (1) podzielałem ich zajęcia i myśliwskie wyprawy, a rozumiejąc cokolwiek język tunguzki, miałem przez to samo sposobność do wtajemniczenia się w domowe życie tych pokoleń.

Ludność auł, położonych bliżej kopalń, przyjęła wiarę prawosławną, ale z powodu rzadkich stosunków z cerkwią, do której udaje się zaledwie raz na rok przy wycieczkach swoich w sułgany, dogmata religijne zupełnie są jej nieznanne. Tunguzy żegnają się mechanicznie, nie wiedząc nawet co oznacza znak krzyża świętego, wierzą w dobrego i złego boga, powróciwszy do swych koczowisk wykonywają przepisy i obrządki szamanizmu; jedyną tylko cechą, jaka wyróżnia tych neofitów od braci ich nie przyjętych na łono kościoła, są imiona patronów świętych jakie na chrzcie otrzymali, a które starannie w dalszym swym życiu zachowują. Natomiast mieszkańcy auł dalej od sułganów i złotych kopalń znajdujących się, nie posiadając nawet tych powierzchownych oznak religii Chrystusa, wyznają wyłącznie szamanizm. Po narodzeniu się dziecka, nadają mu imię pierwszego lepszego przedmiotu jaki ojciec niemowlęcia wyszedłszy z czumy spostrzeże, np. drzewa, rzeki, zwierzęcia, góry i t. d. Wprawdzie wszystkie pierwotne narody używają tego sposobu nadawania przydomków swoim dzie-

(1) Czumy są to budowle przenośne Tunguzów.

ciom, lecz ludy odznaczające się pewnym ukształceniem wybierały zawsze nazwy duchowe, gdy przeciwnie mieszkańcy dzikich pustyń i niedostępnych stepów zadawali się jedynie przedmiotami pod zmysły podpadającymi. U pierwotnych izraelitów były nazwy Izrael (przemagający Boga), Benjamin (syn boleści); u Tunguzów szamanistów widzimy tylko Zug-li (psa), Zug-ana (kota), War-to-a (górze) i t. d. Słowem ani jednego określenia, któreby dało poczucie jakiegokolwiek polotu myśli, jaknajbardziej ograniczonego zastanawiania się nad moralnymi czynnikami życia.

Ze wszystkich narzeczy pierwotnych plemion Syberii, język tunguzki najwięcej jest zbliżony do chińskiego; tak samo tu jak i w mowie chińskiej znaleźć można mnóstwo jednosylabowych wyrazów, łączących się wzajemnie pomiędzy sobą, i tworzących przeróżne kombinacje; tak samo rzeczowniki nie mają przypadkowania i rodzajów, a słowa czasowania; tak samo na oznaczenie cnót, występków i w ogólności wszystkich określeń pod zmysły nie podpadających, należy częstokroć szukać źródła w zmysłowych przedmiotach (1); samo zaś brzmienie tunguzkiego narzecza tak jest podobnym do brzmienia języka mieszkańców państwa niebieskiego, że nieznaną tych dwóch zupełnie odmiennych od siebie mów, nie zdoła nigdy jednej od drugiej odróżnić. Nietylko podobieństwo języka ale i rysy twarzy Tunguzów, każą mniemać, że szczep ten, równie jak plemię Gilliaków w nadamurskiej prowincji zamieszkałych, jest pochodzenia mandżurskiego; kiedy inne plemiona pierwotne Syberii zachowują nie tylko w mowie ale i w całej swjej powierzchowności typ mongolski. Tunguzy w ogólności są wzrostu średniego, twarzy okrągłej z wystającymi policzkami; czoło u nich szerokie, oczy wąskie i skośne, nos płaski, wargi grube. Włosów swoich nie czeszą i nie strzygą, brody sta-

(1) Np. *szam*, kolor czarny, oznacza jednocześnie zbrodnię, występki, podłość; *si*, biały kolor—cnotę, szlachetność, dobroć. Inne przymioty lub wady mianują się po prostu nazwiskiem zwierzęcia też wady lub przymioty posiadającego np. *zug-ten* (lis): chytrłość, przebiegłość; *zug-li* (pies): wierność, przywiązanie i t. d.

rannie od młodych lat wrywają, kobiety zaś tunguzkie przewiązują swe włosy z tyłu głowy rzemieniem. Tatuowanie (1) u nich prawie zupełnie zarzucone obecnie z powodu przepisów rządowych, które zabraniają używać téj barbarzyńskiej i bolesnej operacji; a jeżeli zdarzy się czasami spotkać tatuowane twarze, to zawsze u ludzi bardzo starych, którzy jeszcze w dawnych, mniej podlegających kontroli władz czasach, poddawali się owemu dzikiemu, prawdziwie azyatyckiemu upiększeniu swojego ciała.

Ubiór letni Tunguzów składa się z dziwnego kształtu zwierzchniej odzieży (2), wykrojony z jeleniej skóry i ozdobiony różnokolorowymi paciorkami, metalowymi kwadracikami i trójkątami i obszyty do koła włosiem dzikiej kozy;—ubiór ich zaś zimowy stanowi rodzaj krótkiego kaftana; spodni i luntów (obuwia), także ze skóry jelenia. Odzież zimowa Tunguzek w niczem nie różni się od męskiej. Wśród auł znajdujących się bliżej złotych kopalń i miejsc przez ludność pochodzenia europejskiego zamieszkałych, strój ten samorodny coraz więcej zaczyna utracać pierwotne swoje cechy: tu i owdzie widzieć można ludzi tego pokolenia odzianych w surduty, włóściańskie chałaty i azjaty (krótkie kaftany z wielbłądziej sierci), które oni nabywają od robotników, w złotych kopalniach pracujących.

Tunguzi koczują rodzinami w miejscowościach porośniętych leśnym mchem, stanowiącym pożywienie dla ich renów. Gdy zaczyna brakować mchu na koczowisku, Tunguz udaje się w tajgi, ażeby wyszukał nowe miejsce. Znalazł-

(1) Tatuowanie u dzikich plemion Azji północnej, zupełnie jest różne od tatuowania pierwotnych mieszkańców Ameryki. Karaiby, Szawanesy i inne szczepy indyjskiego pochodzenia, narzynali swą skórę ostrymi narzędziami, i w powstałe tym sposobem rany wpuszczali różnokolorowe płyny;—Tunguzi zaś wszywają w swoją skórę cienkie żyły wypróte z zabitych jeleni, tworząc tym sposobem na ciele różne desenie i arabeski.

(2) Chcąc mieć wyobrażenie o kroju zwierzchniego ubrania Tunguzów, wyobraźmy np. sobie dwa rejtroki z uciętymi rękawami, zszyte w równym kierunku, których zaokrąglone poły równie przód jak i tył ciała zakrywają.

szy takowe, wraca napowrót, spędzą reny z czumy, a ubzdrowszy się gwintówką, siekierą i palmą (1), otoczony wiernymi swojemi psami, udaje się na wyszukane poprzednio przez siebie obozowisko. Tunguzka, pozostawszy na dawnój siedzibie, zajmuje się przy pomocy dzieci, jeżeli te są w stanie jój pomagać, rozebraniem czum i objuczeniem renów częściami ich, jakoteż całym domowym dobytkiem, po dopełnieniu czego udaje się w ślad za swoim mężem. Ten, idąc naprzód, oznacza swój pochod sakmami czyli znakami wyrąbywanymi na drzewach, ażeby rodzina jego nie zabłądziła wśród pustyni leśnej; a w gęstwach toruje siekierą drogę dla swobodnego przejścia, prowadzonych za nim przez zonę stad jelenich. Jeżeli przesiedlenie z jednego koczowiska na drugie ma miejsce wśród zimy, torujący drogę Tunguz rozpala od czasu do czasu ogniska, które zostawia za sobą gorejące w dogodnych dla wypoczynku punktach, zapewniając tym sposobem idącej w ślad za nim rodzinie, możność ogrzania się przy wytchnieniu.

Wszelkie obowiązki domowego gospodarstwa leżą wyłącznie na kobietach, mężczyźni trudnią się tylko polowaniem i rybołówstwem, a czasami i jakimś do potrzeb codziennych zastosowaniem rzemiosłem jak np. kowalstwem. Czumy, czyli przenośne mieszkania Tunguzów, składają się z kilkunastu cienkich drążków, wbijanych pochyło w ziemię i powiązanych u góry łykiem lub rzemieniem, tak, że końce ich wiérzchnie, nie stykając się u góry pomiędzy sobą, tworzą otwór dla wypuszczania dymu od ogniska, które bezustannie goreje w środku téj stepowej siedziby. Drążki, stanowiące szkielet czumy, pokryte są korą brzożową lub skórą renów, całość zaś téj budowy ma kształt ostrosłupa.

Jak już wyżej powiedziałem, nawet i ci z nich, którzy przyjęli chrzest święty, nie porzucili zupełnie pogańskich

(1) Palma jestto rodzaj noża, osadzonego na długim drzewcu. Broń ta w ręku umiejącego nią władać człowieka staje się nader niebezpieczną.

swych wyobrażeń, i w każdym pomysłnym zdarzeniu życia widzą wpływ dobrego, a w przeciwnościach, chorobach i śmierci, działanie czarnego czyli złego boga. Pojęcia te podtrzymywane są ciągle przez szamanów, mających dotychczas u nich wielkie wzięcie, względy i уваżanie. Żaden z ochrzczonych Tunguzów nie przedsięwzięmie nic ważnego, bez poprzedniego udania się do tych kapłanów pogaństwa, którzy w celu wywołania pomysłnego skutku odbywają różne czarodziejskie praktyki, za stosownym, ma się rozumieć, wynagrodzeniem.

Szamanami mogą być równie mężczyźni jak i kobiety. Sztuki tej uczą się od najmłodszych lat przeznaczone na to dzieci. Oprócz obznajmienia ich z powierzchownymi formami, obrządkami i kabalistycznymi znakami, stanowiącymi niby podstawę duchowną czarnoksiężstwa, poznają one leczebne przymioty różnych ziół, sposoby odgadywania zmian w atmosferze, i przechodów dzikich zwierząt po tajgach. Wiadomości te powzięte początkowo na otwartym stepie, w obec twórczej natury, przy wrodzonym darze obserwacji, sprawiają, że szamanizm, przechodząc ze starców na dzieci, utrzymuje pod swoim wpływem całe pokolenia pierwotnych plemion Syberyi, a dobroczynny wpływ religii Chrystusa, przebiwszy się z trudnością przez te cienie, nie jest w stanie ogrzać swym zbawiennym ciepłem umysły zarażone ciemnotą pogaństwa.

Ubiór szamanów w czasie wykonywania praktyk do ich władzy przywiązanych składa się z szamanika (rodzaj krótkiego kaftana, ozdobionego różnymi brząkadłami) i wysokiej spiczastej czapki, obszytej dzwoneczkami. Podłużny bęben z wyrzniętymi na powierzchni jego hieroglifami jest koniecznym sprzętem przy szamanieniu. Obrządek zaczyna się od rozpalenia ogniska, nad którym szaman, trzymając w jednej ręce kawałek surowego mięsa, a w drugiej długą pałkę, szepcze różne kabalistyczne wyrazy, i inwokacje od złych i dobrych bogów, uderzając z lekka pałką w wiszący opodal od niego bęben. Po jakimś czasie uderzenia stają się silniejsze, cichy szepc przechodzi w zrozumiałe wymawiane słowa. Wyraz twarzy szamana zmienia się co

chwila; z pokorą chyli on swe czoło ku ziemi lub w błagalnej postawie, wznosząc ręce ku niebu, wzywa dobrego boga o współdziałanie w powziętych zamiarach; z gniewem, wytrząsając groźnie pięścią, złego boga przeklina, szydzi z jego potęgi, i żarecza, że zamiary tej nieprzychylniej człowiekowi istoty ubezwładnione zostaną. Gra fizyonomii i gesta pogańskiego kapłana tak są w czasie trwania wspomnianych inwokacyj i przekleństw wyraziste, tak dobitnie malują miotające nim wewnętrzne uczucia gniewu lub pokory, złości lub zachwytu, że nawet nieznający tunguzkiego narzeczka będąc obecnym przy szamanieniu, pozna od razu czy wymawiane wyrazy do białego czyli też do czarnego boga się odnoszą (1)

Daliej, uderzenia pałką w bęben wiszący na gałęzi i drzewa są jeszcze mocniejsze, i następują coraz szybciej jeden za drugim; gniewny lub błagalny głos szamana grzmi coraz głośniej, i przechodzi stopniowo w przeraźliwe krzyki; on sam, z twarzą rozczzerwioną, z potem spływającym po skroniach, skacze kilkakrotnie przez ogień, usta jego pokrywają się pianą, całe ciało drga nerwowymi ruchy — na koniec pałka wypada mu z dłoni twarz blednieje, a czarnoksiężnik pada bezsilny na ziemię, i nieczuły na wszystko zasypia snem twardym. Sen ten, wywołany rozdrażnieniem nerwowym (2), stanowi podług wyobrażeń inorodców naj-

(1) O ile tylko nader ubogie narzeczko tunguzkie na to pozwala, szamani, przemawiając do dobrego boga, używają wszelkich przydomków i nazw zwierząt, oznaczających różne cnoty, ażeby temuż bóstwu pochlebić. Nazywają go psem (wiernym), renem (wytrzymałym na wszystko), słońcem (światłością), skórą kozią (delikatnym) i t. d. Natomiast, przeklinając złego boga, wymyślają mu najobelżyszemi wyrazami, które nawet złagodzone w tłumaczeniu nie dadzą się dla swojej nieprzystoitości wymienić, tak że w wioskach sąsiadujących z koczowiskami Tunguzów często słysząc można pomiędzy włościanami przysłowie: „Nawymyślał mu jak szaman czarnemu bogowi“.

(2) Będąc bardzo często świadkiem tych obrządków, śledziłem zawsze z szczególną uwagą, wszystkie ruchy pogańskiego kapłana i nabrałem w końcu przekonania, że sen ten dziwny nie jest kuglarskim udawaniem, ale wypływa po prostu z rozdrażnienia do najwyższego

ważniejszą część ich religijnych obrządków, jedyną tajemnicę ich wiary; w czasie bowiem trwania snu tego, szaman widzi białego boga, obcuje z nim, przyjmuje jego polecenia i rozkazy, a obudziwszy się udziela ludowi rad, przestróg i napomnień, słuchanych zawsze z pokorą i namaszczeniem.

Opisane wyżej inwokacje (szamanienie) nie stanowią jedynego zabytku przeszłości tych ludów. Wszyscy bez wyjątku Tunguzy, nawet i ci, którzy przyjęli chrzest święty, zachowują starannie dawne pogańskie obrządki, i ściśle się do nich w każdym zdarzeniu życia swego stosują. I tak np. każda kobieta od początku rodzenia uważaną bywa za istotę nieczystą, z którą najdalszy stosunek, rozmowa, podanie pomocy, a nawet sam widok jęj, jest nietylko grzechem, ale czynem mogącym wywołać najsmutniejsze następstwa, dla tego, który nie zwraca na to baczną uwagę. Powyższe względy sprawiają, że każda Tunguzka w czasie pierwszych bólów rodzenia, przeniesioną zostaje do osobnej, wypróżnionej na ten cel czumy, i tam bywa pozostawiona sama jedna aż do chwili rozwiązania. Do tego zakłętego miejsca nikt się nie zbliża, nikt chorój w niczem nie pomaga, a jeżeli słabość przeciągnie się dni kilka, biędna, opuszczona przez wszystkich niewiasta, nie otrzymuje nawet łyżki strawy dla zaspokojenia głodu, lub łyżki jeleniego mleka dla zwilżenia spieczonych pragnieniem wnętrzości. Zdarza się częstokroć, iż nieszczęśliwa ofiara przesądu, pozostawiona sama sobie, umiera w bólach nie ujrawszy nawet oblicza blizkich ukochanych przez siebie osób, a całe przywiązanie rodziców, męża lub krewnych objawia się dopiero po jęj śmierci w łzach, lamentach i przeraźliwych krzykach. Współczucie podobne okazywane po niewczasie, wydawało mi się zawsze najśroźszym szyderstwem dla zmarłej; i nigdy z zimną krwią nie byłem w stanie patrzeć

stopnia nerwów, i wycieńczenia sił poddającego się gwałtownym ruchom, krzykom i skokom inwokatora. Dodać należy że szamani przed wykonywaniem inwokacji, nie przyjmują przez cały dzień żadnego pożywienia; osłabienie więc ciała przyczynia się także niemalo do wywołania tego nienormalnego stanu.

(Przyp. aut.)

na żale pogrzebowe tych, którzy przez swoją własną głupotę stali się przyczyną śmierci ukochanej istoty. Oburzenia jednak mojego Tunguzy nie pojmowali, a na czynione im w tym względzie uwagi, odpowiadali nieodmiennie:

— „Człowiek czysty nigdy nie może mieć stosunków z człowiekiem nieczystym. Białego z czarnym mieszać nie można. Kiedy nastaje noc, słońce ucieka, my więc powinniśmy naśladować słońce.

O ile w tém zdarzeniu przesąd główną odgrywa rolę, o tyle znowu w chorobach, zwłaszcza epidemicznych podobnie barbarzyńskie postępowanie, powtarzając się, czerpie swe źródło w obawie, jaką wszelkie nieznanne słabości wywierają na tych dzieciach pustyni. Ile razy w czumach zaczęnie grasować jaka epidemia jak np. tyfus, jazwa syberyjska, powracająca gorączka, ospa i t. d., wszystkich ogarnia niesłychana trwoga. Plaga, którą dotknięci zostali, niepojęta przez nich i niezrozumiała, przedstawia się im jako coś nienormalnego i nadprzyrodzonego; widzą w niej zemstę czarnego boga, działanie złowrogich sił, i przerażeni objawami słabości, której ani leki, ani inwokacje szamanów usunąć nie są w stanie, pozostawiają chorych i umierających na stepie, a sami przenoszą się w dalsze strony, uciekając przed złem, jakiemu zaradzić nie umieją. Pozostawieni przez nich biędacy bez żadnej pomocy, umierają z choroby, częściej z głodu, a oni owładnięci przestrachem szukają schronienia w niedostępnych tajgach, coraz dalej i dalej, aż do czasu zupełnego ustania grasującej epidemii. Żadne względy rodzinne, żadne stosunki serca, żadna litość i współczucie, nie są w stanie powstrzymać ich od spełnienia tego barbarzyńskiego zwyczaju: przywiązanie do życia i obawa śmierci wyzsze tu są od wszelkich szlachetnych uczuć, gdyż te uczucia wyrodzić tylko może nauka Chrystusa i poznanie swych obowiązków, a oni ani jednej ani drugich nie znają! Opiekuńczy rząd stara się wszelkimi środkami wykorzenić dziki obyczaj, ścigając i karząc tych, którzy porzucili swoich chorych na pastwę głodu, lub na pożarcie przez dzikie zwierzęta; ale władze miejscowe, silne przewagą praw w częściach kraju zamieszkałych przez sta-

łą ludność, tracą swą potęgę na bezludnych stepach, w tajgach, w obszarach nietkniętych zazwyczaj stopą człowieka. Trudno wymagać, ażeby ustawy cywilizowanych narodów przebiły się do wnętrza czarnych i niedostępnych otchłani, kiedy nawet ożywczy promień słońca przedrzeć się tam częstokroć nie zdoła!

Oprócz epidemicznych chorób, którym szamani zaradzić nie umieją, i ogólnych syfilistycznych, na jakie znowu z powodu ostrości klimatu niema w tych stronach żadnego zbawionego środka, wszystkie inne słabości leczone są skutecznie przez tychże szamanów za pomocą różnych traw i ziół. Własności leczebne roślin, zastosowane bywają z pożytkiem nie tylko do zwykłych chorób jak np. początkowych gorączek, zimnic, ale i do prymaryj syfilistycznych, wysypek naskórnych, szkorbutów i nader powszechnych w tych stronach zapaleń oczów. W rozlicznych wewnętrznych zapaleniach, posługujący się temiz ziołami lekarze pustyni działają nader trafnie; umieją przytęm krew puszczać, nastawiać złamane kości, pobudzać poty, a nawet uskutecznić w danych razach różne pomniejsze operacje. W ogóle używają oni środków wyłącznie roślinnych, w jakie bogata syberyjska flora tyle obfituje, jednakże i własności mineralnych źródeł nie są im zupełnie obce. Na zolzy czyli skrofuły, użyte z polecenia ich kąpiele w wodach zawierających odpowiednie części składowe, zawsze pożądanym skutkiem uwieńczone zostają. Dodać jednak należy, że przy wykonywaniu zajęć lékarskich szamani nie zapominają nigdy łączyć praktycznej strony działania z szarlataneryą, będącą główną cechą ich charakteru. Dziwić się temu nie można: bez obleczenia w fantastyczną barwę nader prozaicznych częstokroć czynności, niezasługiwaliby oni na miano czarnoksiężników, i nieposiadaliby tego nieograniczonego zaufania u swoich pobratymców, jakiego w każdym zdarzeniu życia używają. Owe zresztą zaszeptywania, inwokacje, tajemnicze rozmowy z białym bogiem, działając na wyobraźnię stepowców, podbudzają ich wiarę w skuteczność użytych środków, a wiadomo powszechnie, że wiara chorego w swojego lekarza, przyczynia się niemało do jego uzdrowienia.

Bywały przykłady, że znakomici w swym fachu doktorzy w przejeździe przez stepy i koczowiska tunguzkie, wzięwszy się do leczenia chorego inorodca, nie byli w stanie pokonać znanój powszechnie i łatwej do usunięcia słabości, gdy tymczasem miejscowi szamani, przy swoich ograniczonych wiadomościach i braku elementarnych nawet zasad nauki, usuwali złe odrazu. Wiara bowiem chorego w cudowność przedsięwziętych środków, stawała się głównym czynnikiem, na przemianę jego stanu oddziaływającym.

Umarłych swoich Tunguzy-chrześcianie grzebią w uroczystym myśliwskim ubraniu, składającym się z kurtki łosiowej, spodni i łutów jelenich, z przewieszzonego przez plecy kołczanu ze strzałami; a położywszy obok zmarłego łuk, maczugę i palmę, których za życia najwięcej przy wycieczkach swoich na dzikiego zwierza używał, zaszywają ciało w niewyprawioną skórę z rena, i spuszcza ją bez wszelkich obrządków do wykopanego poprzecznie dołu. Na zasypanym piaskiem grobie ustawiają kamień, i odchodzą do swoich czum bez powierzchownych demonstracji żalu lub rozpacz, obojętni na pozór, lecz przejęci wewnętrznym malującym się w ich rysach smutkiem (1). Na miejsca do chowania zmarłych, wybierają zwykle piaszczyste lub kamieniste grunta, pozbawione roślinności; w przekonaniu ich bowiem, wszelkie trawy i zioła rosnące na mogiłach, są częstkami istoty pogrzebionego, których nie należy wywoływać z ziemi, ażeby nie dać powodu rozlicznym zwierzętom pasącym się po stepach do karmienia się nimi, a tém samem profanowania oddanych ziemi szczątków.

Jeżeli jednak Tunguzy-chrześcianie przejęli od napływowej ludności obyczaj grzebania ciał zmarłych, za to ci z nich, którzy powierzchownie nawet nie mają nic wspólnego z kościołem, zupełnie inaczej postępują. Po nastąpiącej śmierci którego z członków rodziny, kładą oni trupa w wyżłobione drzewo, a umieściwszy ów rodzaj trumny na czterech w ko-

(1) Głośne objawy żałości mają tylko miejsce wtedy, gdy chory umarł nagłą śmiercią.
(Przyp. aut.)

panych w ziemię słupach dla zabezpieczenia nieboszczyka od pożarcia przez dzikie zwierzęta, pozostawiają go na wolnym powietrzu. Barbarzyński ten obyczaj jest powodem do rozwijania się pomiędzy nimi rozlicznych chorób. W lecie szczególnie, w czasie trwania kanikularnych upałów, rozkład ciał nieprzykrytych ziemią zaraża niemłą wonią całą okolicę tych rozsianych po stepach i tajgach grobów. Czasami, zwłaszcza przy kierunku z tej strony wiatru, czuć się daje o wiorstę od gnijących ciał odrażający zapach. Wszelkie przedsięwzięte przez rząd środki dla ukrócenia złego, okazały się dotąd bezskutecznymi. Kilkakrotnie, ufny we względy, jakie miałem u tych dzieci pustyni, przedstawiałem im niewłaściwość podobnego postępowania, starając się najdobitniejszymi dowodami przekonać ich, że sami swojemu zdrowiu szkodzą przez to ślepe naśladowanie dawnego a tyle niedorzecznego obyczaju. Słuchali mnie z uwagą, przyznawali nawet słuszność, ale zarazem twierdzili, że człowiek nie dla siebie tylko żyć powinien, że obowiązkiem jego jest poświęcać się także dla drugich, szczególnie dla ukochanych swoich zmarłych, których tengri (duch wewnętrzny), przytłoczony ziemią, nie mógłby się swobodnie przy rozkładzie wydobyć z ciała, i połączyć z białym bogiem, oczekującym na niego.

Pożywienie Tunguzów składa się wyłącznie z jeleniego mleka, ryby i zwierzyny. Mięsa wołowego nie używają wcale; za to wszystkie prawie dzikie zwierzęta, niewykluczając lisa, wilka i wiewiórki, służą im za pokarm. Z ubitego niedźwiedzia wyjęte serce, jest przez nich uważane nie tylko za wykwintny przysmak, ale za rodzaj talizmanu, mającego własność udzielania siły, odwagi i śmiałości temu, który je skonsumował. Chleb także nader rzadko w tunguzkich czumach widzieć się daje, z powodu że rolnictwo jest u tego ludu zupełnie nieznanne; mąkę zaś dostają w małych ilościach z magazynów skarbowych w sąsiadujących ze stepami wsiach znajdujących się, gdzie bywają raz na rok dla zbycia skór upolowanej przez siebie zwierzyny. Z płynącej od zachodu cywilizacji, którą tak uporcezywie od siebie odpychają, przyjęli tylko jeden obyczaj: zamiłowanie do picia

herbaty. Zamiłowanie to przeszło u nich obecnie w prawdziwą namiętność; za cegiełkę prasowanej herbaty gotowy w każdej chwili oddać to co mają najdroższego: wypróbowany łuk, najlepszego sobola, a nawet odzież swoją świętą. Drugą ich namiętnością, lecz już od niepamiętnych wieków zakorzenioną, jest niepomierne palenie tytoniu. Nałogowi temu oddają się bez wyjątku wszyscy mężczyźni i kobiety tunguzkie, wiele niedorostków i małych dziewcząt; niekiedy nawet widzieć można drobne, zaledwie zaczynające chodzić dzieci, z zastosowaną rozmiarami do ich wzrostu fajeczką w ustach. Czukli (żelazna fajka), przewieszona na cienkim rzemieniu przez plecy, ze skórzanym kapciuszkiem, naszywanym różnokolorowemi paciorkami, jest nieodłączną częścią ubioru każdego Tunguza lub Tunguzki; gdy im braknie tytoniu, co się nader często trafia w koczowiskach oddalonych od wszelkich zamieszkałych przez ludność europejską okolic, palą w miejsce jego tłuczoną korę niektórych drzew.

Kiedy Tunguz nie poluje i nie łowi ryb, wszystkie wolne od tych prac chwile przepędza w swój czumie, zajęty naprawianiem narzędzi myśliwskich lub wiązaniem sieci. Robotę swoją skutecznie zawsze w głębokim milczeniu, okrążony gestami kłębam dymu, które wypuszczają bezprześcannie z trzymanej w zębach czukli. W święta i uroczystości, rozrywkę jego stanowią tańce i śpiewy, a czasem strzelanie do celu. Tańce te są nader jednostajne, i zależą na wzięciu się za ręce kilkunastu mężczyzn i utworzeniu koła, które obraca się powoli w jedną lub drugą stronę przy peryodycznym powtarzaniu nosowym głosem wyrazu: „E-hor-e! E-hor-e! (1)”. Pieśni u Tunguzów, jak zresztą u wszystkich innych inorodców, niema zupełnie we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Śpiewając, spoglądają oni na otaczające ich przedmioty, i wymieniają kolejno to, co im

(1) „E-hor-e“, nie zupełnie nie oznacza, ale jest rodzajem przyśpiewki (ritornelle) jak np. francuzkie miroton, larifla i t. d.

(Przyp. aut)



pod zmysły podpada. W tych samorodnych improwizacjach, wyobraźnia najmniejszej nie odgrywa roli: nie podobna tam znaleźć żadnych poetycznych zwrotów, żadnych porównań, żadnego nawet rymu. Jeżeli np. ujrzą płynącą przed sobą rzekę, śpiewają:

„Rzeko! jakaś ty szeroka, jaka wspaniała, a ile to w wodach twoich ryb się kryje! Należy zapuścić sieci, znurtować głab téj rzeki — a złowioną rybą obdzielić wszystkie czumy naszej auly. Wtedy, wysuszywszy naszą zdobycz na słońcu, lub téż zgnoiwszy należycie w dołach, będziemy ją zajadali ze smakiem“ i t. d. Niektórzy z nich w improwizowanych śpiewach swoich, posługują się rymem, i tacy uchodzą powszechnie za nader dowcipnych; ale końcówka natrafiana przez nich bezmyślnie, przypadkowo, sprawia że wyrazy pieśni, połączone na chybił trafił, nie mają pomiędzy sobą żadnego związku i najmniejszego sensu. Rymowana podobnie pieśń, przypominająca znane powszechnie bajki Rozbickiego, jest np. taka:

War-ten, war-to-a
Li Zug-tu e goa;
Ku-man, es-se-ren
Zor-ma us-be-ren.

Co przetłumaczone na polski język, brzmi tym sposobem:

Tajga i góra,
Dobra wilcza skóra;
Chodzi sobie taki (1)
Ryby to nie ptaki.

Bywają czasami lecz nader rzadko, śpiewane pieśni, w których zamiast monotonnego wymienienia tajg, gór i rzek, czołgających się w trawie płazów, latających po powietrzu ptaków i wszystkich przedmiotów otaczających

(1) Wyraz es-se-ren (taki) oznacza właściwie w tunguzkim narzęciu istotę ludzką nieokreśloną: ni to mężczyzna, ni kobieta, ni dziecko. Przetłumaczyć tego wyrazu dosłownie nie podobna.

(Przyp. aut.)

w chwili śpiewu azyatyckiego barda, opiewane są wojenne i myśliwskie czyny jakiego starożytnego bohatera, człowieka olbrzymiego wzrostu, strasznej siły i przerażającego spojrzenia. Czy ta postać przechowała się przypadkiem w tradycji z dawnych, okrytych tajemniczym pomrokiem czasów, czyli jest po prostu jak wszystkie inne pieśni wykonaniem improwizacyi, odgadnąć trudno.

Śpiewy podobne mają miejsce, jak wyżej powiedziałem, w dniach uroczystych świąt szamańskich; w inne dni wszyscy bez wyjątku mężczyźni, zostawiwszy domowe gospodarstwo pod opieką kobiet, zajmują się polowaniem lub rybołówstwem. Do polowania używają łuków, samolówek a po części broni palnej; do rybołówstwa sieci, węgierzy, oszczepów i wędek. Upolowana przez nich zwierzyna w środkowych tajgach gubernii jenijskiej, składa się obecnie prawie wyłącznie z złotych lisów, wilków i bielek (wiewiórek syberyjskich), rzadziej z soboli, niedźwiedzi — gdyż te ostatnie, w skutku zaprowadzenia w tych miejscowościach licznych kopalń złota, wyniosły się po większej części w strony więcej na północ posunięte. Niektóre ze zwierząt, jak np. czarne lisy, wystraszone widokiem człowieka, znikły zupełnie z prowincyj, jakie przed kilkunastu jeszcze laty stanowiły ulubioną ich ojczyznę. Co się tyczy rybołówstwa, to olbrzymi Jenisiej z mnóstwem mniejszych i większych rzek wpadających w jego koryto, daje Tunguzom koczującym w pośrodku stepów i tajg środkowych, niezmierną i niewyczerpaną prawie zdobycz. Ilość łowionej przez nich w każdej porze roku ryby, jest prawdziwie zdumiewającą. Wszystkie zakłady kopalniane, a tych jest niemało, zaopatrują się u hord tunguzkich w jesiotry, nalimy, tajmienie, okunie, liny, karasie i szczupaki; przejeżdżający ze stron południowych przekupnie zabiierają w zimie setki i tysiące pudów tego towaru w stanie zamrożonym, dając w zamian niewielką ilość herbaty cegielkowej, tytoniu prostego i żelaztwa. Rozporządziwszy się tym sposobem swoją zdobyczą, składają Tunguzy pozostałą resztę w głębokie doły, lub suszą ją na słońcu, w celu użycia następnie jako ulubiony pokarm. Świeżo złowionych ryb nie jedzą nigdy.

Plemię to, jak wiele pierwotnych i w stanie natury żyjących szczepów, odznacza się do wysokiego stopnia posuniętą gościnnością. Wybitnymi cechami ich charakteru są: nieufność do każdego człowieka innego od nich pochodzenia i skłonność do oszukaństwa. Pod względem władz umysłowych wyżej oni stoją od innych pokoleń inorodców syberyjskich, łatwiejszy do nich ma przystęp kultura zachodu, częściej zbliżają się do napływowej ludności; i mniemać można, że po upływie lat, gdy dobrodziejstwa cywilizacji zaczną przyciągać do siebie te dzikie hordy, rozpierzchłe po niedostępnych częstokroć obszarach, Tunguzy prędkiej od innych pobratymczych im plemion, ulegną wpływowi niweczącego zastarzałe przesady postępu. Kobiety tunguzkie nader są pracowite i przywiązane do swoich mężów, pomimo tego, że ci uważają je więcej za niewolnice niż za towarzyszkę życia. Żaden Tunguz nigdy nie prowadzi ze swoją małżonką potocznej rozmowy: mówi do niej tylko to, co koniecznie powiedzieć wypada w sprawach domowego gospodarstwa. Wszelkie zbyteczne słowo, przyjacielska uwaga, poufne wywnętrzenie się przed żoną, uważanem jest przez nich za ujmę mężowskiej godności, która stanowi najwyższy szczebel rodzinnej władzy. Patriarchalność jednak zobopólnych stosunków, oprócz uznania wysokości i niczém niezachwianej powagi głowy domu, nigdy nie bywa naruszana przez srogie lub niesprawiedliwe obchodzenie się mężów ze swemi żonami. Kobieta szanuje i poważa swojego władcę i pana, ulega we wszystkiem jego woli, ale go się nie obawia; on zaś, nawzajem, utrzymując ją zawsze w karbach posłuszeństwa, w pewnej moralnej odległości od siebie, nie nadużywa swego względem niej położenia. W czasie długiego mojego przebywania pośród tunguzkich koczowisk, nie zdarzyło mi się nigdy słyszeć łajañ, wymyślań, a tém mniej być świadkiem czynnych obelg dokonanych przez mężów na swoich towarzyszkach. W rzadkich wypadkach nieuległości, oporu lub niewiary małżeńskiej, sąd złożony ze starszyny auly rozbięra sprawę, sądzi i karze. Wyroki tego areopagu są przez obie strony uszanowane, w razie jednak cofnięcia skargi, przyjęte poprzednio postanowienia lik-hu (rodzinnego sądu)

uważane są za niebyle, wszystko wraca do pierwotnego porządku, a mąż, który raz przebaczył swęj żonie, najmniejszém słowem w dalszym ciągu życia nie przypomina jęj doznanej obozry, nie wytyka zapomnianego już na wieki błędu.

Takie są w ogóle zobopólne stosunki ich małżeńskie; co się zaś tyczy dzieci w tych związkach zrodzonych, to kochają je oni tak ślepo, tak zapamiętale, że najgorętsze nawet przywiązanie europejskich rodziców do swoich potomków, wyobrażenia dać nie może o podobném uczuciu. Jestto szal namiętny, posunięty do najwyższych granic, niekierowany głosem rozsądku, niepodlegający żadnym zewnętrznym wpływom, niedający się oziębic najczarniejszą niewdzięcznością. Ażeby czytelnicy moi mogli zrozumieć, jakiego rodzaju jest miłość rodzicielska tych dzikich mieszkańców pustyni, przytoczę następujące zdarzenie.

W czasie przebywania mojego w jednej z wiosek, graniczących ze stepami i tajgami, śród których rozsiane były liczne zmieniające się co chwila koczowiska tych plemion, zauważyłem pewnego Tunguzą, który mieszkał w chacie biędnego włościanina, udzielającego mu z litości kawałek nędznego chleba i kupę barłogu na posłanie. Tunguz ten był bardzo stary, siedmdziesiąt lat przeszło wieku mający, głuchy, osłabiony i prawie zdziecinniały. Niczém się nie zajmował, tylko siedząc w kącie izby liczył i przeliczał swój majątek z kilkudziesięciu skórek bielek składający się. Licha ta zdobycz, w porze jesiennęj przez staruszką upolowana, stanowiła całą jego rozkosz. Często się w swoim obrachunku mylił, a zmyliwszy się znowu od początku liczyć zaczynał, jak gdyby pragnąc tym sposobem przymnożyć sobie majątku. Powtarzany przez niego co chwila wyraz tunguzki: kull! kull! (mało! mało!) kazał się domyślać tej dążności. Od czasu do czasu, zastanawiał się głęboko, myślał, kombinował, a w końcu mówił półgłosem do siebie:

— Mało! gdyby jeszcze choć ze trzy dziesiątki, toby ona może przyjęła podarunek i nie wyrzuciła mnie za drzwi!

Wiedząc, ile Tunguzy przywiązani są do koczującego życia pustyni, do swoich czum, do swoich jeleni, do wszystkiego, co się wiąże z pierwotnymi ich obyczajami, zdziwiłem

się nie mało, ujrawszy tego starca, oddalonego od swoich współbraci, mieszkającego w syberyjskiej wiosce, pośród obcej, niemogącej nawet zrozumieć jego mowy ludności, w chacie, której właściciel, dając mu z litości nędzną strawę, traktował go z pogardą, gorzej nierównie niż psy domowe.

Ażaliż nie miał on już nikogo na świecie, któryby się chciał nim opiekować? Ażaliż starszyna auly, poczytująca sobie za obowiązek dawanie przytułku osieroconym patryarchom pokolenia, odstąpiła tym razem od swoich zasad?

To wszystko zdawało mi się niewytłumaczonym.

Zażądałem wyjaśnienia od włościanina, u którego ów Tunguz przebywał, a ten opowiedział mi historią następującąj osnowy.

Stary niedołęga, który obecnie służy jedynie za igraszkę dla jego dzieci, miał kiedyś niemałe znaczenie pomiędzy swoimi. Obrany przez Tunguzów naczelnikiem koczowiska, sądził ich sprawy, karał występnych, nagradzał cnotliwych i cieszył się u nich ogólnym szacunkiem i poważaniem. Wdowiec, nie miał innej rodziny, prócz córki, którą kochał ślepo, szalenie, zapamiętale, tak jak tylko ci ludzie kochać umieją. Na zmniejszenie nieograniczonego, bezwarunkowego jego przywiązania do córki nie wpłynęła nawet ta okoliczność, że dziewczyna, swojemi jasnymi włosami i niebieskimi oczami, zdradzała zmieszane z rasą europejską pochodzenie. W miarę upływających lat, cechy te stawały się coraz wybitniejszymi, a krew, która nigdy nie zawodzi, przyciągała ją coraz częściej do sąsiadujących z koczowiskami, wiosek syberyjskich. Młoda Tunguzka przekładała rażnego byczka, nad monotonne kręcenie się swoich współbraci, dźwięk bałajki nad głuchy odgłos bębna—wesołość ludu rossyjskiego nad apatyczną powagę inorodców, gwar wioski nad przymusowe milczenie panujące po czumach. Ojciec widział to wszystko, stękał i wzdychał w milczeniu, ale nie śmiał w niczem sprzeciwić się upodobaniom i zachciankom ubóstwianej córki. Ona tymczasem nieznacznie i powoli przejmowała wszelkie obyczaje rossyjskie: nauczyła się mowy przyswoiła ubiór, przesiąkła wyobrażeniami napływowych europejskich plemion, a gdy w końcu, upodobawszy sobie

odpowiedniego do swego gustu i usposobienia parobka, wyszła za niego, przyjąwszy poprzednio w miejscowej cerkwi chrzest święty i wiarę prawosławną; stary Tunguz, który był zakorzeniałym zwolennikiem szamanizmu, gorzko zapłakał, lecz ani jednym wyrazem nie zdradził swego niezadowolenia, pocieszając się w myśli, że ta jego nieograniczona uległość wywoła może w nieczulém dotąd na wszystkie zabiegi sercu córki, choć odrobinę wdzięczności i społecznia.

Neófitka osiedliła się po ślubie w obszernym domu, do rodziców jój męża należącym, i zespoliwszy się z członkami przybranej rodziny, weszła odrazu w tryb życia przyjęty przez bogatych syberyjskich włościan: kumostwo, ploteczki sąsiedzkie, niedzielne wieczorynki—wszystko to u niój szło tak gładko, tak naturalnie, jak gdyby nie znała ani szumu drzew tajnej pustyni, ani uroczystej ciszy panującej na stepach. W pierwszych chwilach po wyjściu zamaż, przyjmowała jeszcze ojca, gdy ten przyszedł ją odwiedzić, lecz z upływającym czasem stawała się dla niego coraz obojętniejszą. Nowy sposób życia, nowe wyobrażenia, owa półcywilizacya, którą ona, porównyując z życiem koczowisk, uważała za szczyt doskonałości, sprawiły, że się wstydziła swego pochodzenia—a ojca, przypominającego jój w każdej chwili czém była poprzednio, zbrzydziła sobie i zniechęciła. W końcu, gdy stary Tunguz, więcej myślący o wycieczkach do wioski niżeli o sprawach auly, został z piastowanej przez siebie władzy usunięty, zamknęła przed nim drzwi swojego domu.

Biédak, pozostawiwszy zajmowaną przez siebie czumę na los szczęścia, porzucił współbraci, wziął rozbrat z przeszłością i powędrował do wioski gdzie żyła ukochana córka. Mając sobie wzbroniony przystęp do jój domu, najął się za parobka u jednego z włościan, aby tylko mógł ją widzieć choć czasami z daleka. Przywykłemu do nieograniczonych przestrzeni stepu, do swobody tajg i pustyni, ciężką i trudną zdała się mechaniczna praca około roli, nieznośnemi drobniagowe kłopoty codziennych zajęć syberyjskiego wieśniaka—témbardziej, że nie znając dokładnie rossyjskiego języka,

narażany był co chwila na gniew swojego gospodarza, na przekąsy i drwiny otaczającej go gawiedzi. Ale on wszystko znosił z pokorą i uległością, bo wszystkie cierpienia jego były niczem w porównaniu z radością, jakiej doznawał, ujrawszy tę, dla której zaparł się własnej istoty. Czasami wieczorem gdy skończył nałożoną na siebie pracę, podkra- dał się cicho, tajemnie, pod okna domu, ukrywającego w swych ścianach skarb jego, i niedostrzeżony przez nikogo napawał się widokiem swjej córki; innym znów razem w nie- dziele, obznajmiony z drogą, którą przebywać miała, udając się do cerkwi, czołgał się w trawie poza płotami niby złodziej, chcąc ujrzyć na chwilę przechodzącą. I te krótkie chwile starczyły mu za wszystko, wynagradzały cierpienia, niedostatek, brak stepowej wolności; sprawiały, że żyjąc tylko miłością dla dziecka, zapominał zupełnie o sobie.

Tak przechodził rok za rokiem, a z upływającymi latami, słabość coraz więcej dawała się we znaki osieroconemu ojcu. Niezdolny do ciężkiej pracy, wyganiany kolejno przez wszyst- kich włościan wioski, ujrzał się wreszcie sam jeden pomię- dzy obcymi mu ludźmi, bez przytułku, zajęcia i utrzymania. Do córki udać się nie śmiał: wiedział co go tam czeka; do auly powrócić nie mógł: silniejsza nad wszystko rodzicielska miłość zrobiła go niewolnikiem tych miejsc.

Cóż czynić? jak sobie postąpić?

Instykt ślepego przywiązania podał mu myśl, jakiej nie wynalazłaby może najbardziej wyrafinowana przebiegłość.

Nie mogąc rachować na serce, oparł się na jedynym czynni- ku zdolnym poruszyć żądze ukochanej a niegodnej istoty.

Tym czynnikiem była chciwość.

Przypomniał sobie dawne swoje stepowe życie, podziwia- ną przed laty zreczność w łowieniu dzikiego zwierza. Ręka jego, niesposobna do dźwigania siekiery, zdołała przecieć napięć cięciwę łuku; przytępiony umysł, nieumiejący często- kroć pojąć rozporządzeń gospodarstwa rolnego, wyszukał jeszcze w młodzieńczych wspomnieniach choć odrobinę owęj wrodzonej Tunguzom przenikliwości, tyle potrzebnej przy myśliwskich wycieczkach.

A zresztą to wszystko dla córki! Ażeby ją widzieć, sły- sząc jej głos, być przyjętym w jej domu: czegóżby on nie zdołał uczynić!

I przejęty tą myślą biędny ojciec wywłókł z kąta stary swój łuk, wyszukał zapomnianego oddawna kołczana ze strza- lami, a wyzebrawszy u włościan trochę spleśniałych sucha- rów, zapuścił się w pustynię.

Nadzieje nie omyliły go, zaufanie jakie miał w swojej zreczności, nie zawiodło: powrócił obciążony łupem.

Tym razem zakochał się śmiało do wrót niegościnnego domu.

Córka, ujrawszy bogaty podarek, wpuściła starszka do swego mieszkania, posadziła za stołem, ugościła herbatą, i to czego dotąd nie zdołały uczynić łzy, prośby i rozpacz opuszczonego ojca, uczyniło kilka skórek sobolich i lisich!

Uradowany podobnym obrotem okoliczności, Tunguz wszy- stkie chwile swojego życia poświęcał polowaniu, siląc się wszelkimi sposobami, ażeby jak najwięcej zdobyć drogocen- nych futer; im bogatszymi bowiem były jego łowy, tém miłsze i uprzejmiejsze czekało go przyjęcie u tej, dla której istnieć tylko pragnął.

Ona zaś z czasem tak przywykła do owych stałych po- darunków, że je uważała za należną sobie daninę, a gdy słota, zawierucha, lub inne jakiegokolwiek przyczyny zrzędziły, że polowanie mniej świetne przyniosło korzyści przyjmowała ojca z gniewem i łajaniem, i zapowiadała żeby nie ważył się pokazywać jej na oczy z lichęj wartości zdobyczą.

Nieszczęśliwy, zaślepiony w swoich uczuciach, szedł zno- wu w tajgi, i z podwójną energią, dobywając reszty sił z wycieńczonego starością ciała, starał się dogodzić wyma- ganiom niewdzięcznicy. Ale mu coraz było trudniej wydołać ciężkiemu zadaniu. Lata płynęły, a z ubiegającymi latami, i ręka przedtém mocna, częstokroć zadrżała, i wzrok da- wniej pewny osłabł, i rozwijająca się głuchota nie dozwalała usłyszeć szmeru wybiegającego ze swych legowisk zwierza. On, walcząc dotąd szczęśliwie ze wszelkiego rodzaju prze- szkodami, nie był w stanie podolać tej, jaką mu stawiał czas nieubłagany, prowadzący za sobą zgrzybiałość i nie- dołęstwo.

Nareszcie nadeszła dlań straszna chwila. Po miesiąc przeszło trwającej wycieczce myśliwskiej, powrócił z trzydziestu zaledwie popielicami, nie zdolawszy upolować ani jednego sobola, ani nawet pospolitego lisa.

Nieśmiało zastukał do drzwi domu; nieśmieliej jeszcze podał lichą swoją zdobycz, oczekującej za podarunkiem córce.

— „Tylko tyle!“ zawołała czerwieniąca się z gniewu jedza; „tylko tyle,“ powtórzyła, a wzrok jej błysnął wyrazem zawiedzionej chęci. „I śmieś mi się przedstawiać z podobną ofiarą! Precz ztąd, stary niedołęgo, niezdolny do niczego pogańskie, a jeżeli odważysz się jeszcze pokazać mi na oczy, wyszczuję cię psami!

Mówiąc to, rzuciła mu w twarz przyniesione skórki, i zaszła drzwiami domu. Staruszek otarł rękawem łzę ciekącą po licu, i oddalił się powoli mówiąc sam do siebie:

— „Kul! kul! (mało! mało!) gdyby jeszcze choć parę dziesiątków, możeby i przyjęła. Ale nie mogłem... nie mogłem!

Nie wiedząc gdzie się udać, co z sobą począć, kołatał kolejno do drzwi chat włościańskich, prosząc o przytułek, ale go nigdzie przyjąć nie chciano. Nareszcie jeden z muzyków, ten właśnie u którego w czasie bytności mojej we wspomnianej wsi przebywał, dozwolił mu pozostać w swym domu. Nie był on ani lepszym, ani czulszym na nędzę bliźniego od drugich; uczynił to nie tyle z litości, jak raczej w chęci upokorzenia pozorami miłosierdzia swoich sąsiadów, z którymi żył w ciągłych zatargach.

Stary Tunguz, wszedłszy w progi jego chaty, został od razu celem pośmiewiska dorosłych, igraszką dzieci domowych, rozrywką pijaków. Od czasu do czasu rzucono mu różne ochłapy, którymi się żywił; gdy zaś o nim zapomniano, przyczołgał się do koryta, w które wyléwano pomyje i zaspokajał swój głód. Nieszczęścia i upokorzenia swojego nie czuł; zgrzybiała starość, a może więcej jeszcze jedyna idea, którą się całe życie powodował, wyrodziły niedołęztwo, nieczułość na wszystko i pewien rodzaj monomanii.

Po całych dniach, siedząc na kupie barłogu, liczył i przeleżał ostatnią swoją myśliwską zdobycz: parę dziesiątków

lichych i żadnej prawie wartości nie mających popielicowych skórek, powtarzając przytém co chwila:

— Mało!... gdyby było więcej, to możeby ona nie wyrzuciła mnie za drzwi!

Tak dogorywała powoli ofiara rodzicielskiej miłości.

Na powyższym obrazku malującym zbyt może jaskrawymi farby czém jest miłość rodzicielska u Tunguzów, zakończę zarys obyczajów i charakteru tego plemienia, i przejdę z kolei do opisu innych pobratymczych Tunguzom szczepów.

Przedewszystkiém wspomnieć należy o Gilliakach, chociaż bowiem lud ten najodleglejsze krańce Syberyi zamieszkuje i różnym jest zupełnie obyczajami od Tunguzów, przecież przez wspólność mandżurskiego swego pochodzenia, najwięcej jest do nich etnograficznie zbliżony.

Ze wszystkich pierwotnych plemion Syberyi, Gilliaki najmniej są zdolni do ulegania jakiegokolwiek stałej władzy, najkrnąbrniejsi w wykonywaniu przepisów prawa, najtwardsi w przyjęciu zasad społecznego porządku. Wyjątkowe ich położenie jest tego jedynym powodem. Gdy inne Azyi północnej pokolenia już od wieku blisko przeszły pod panowanie mocarstwa rosyjskiego, oni, zamieszkując nadamurską krainę, ziemię neutralną, nie należącą do nikogo, przywykli do nieograniczonej swobody, a raczej samowolności. Niedawno, bo kilkanaście lat temu, ten punkt kuli ziemskiej, nie był dla nikogo dostępnym. Nie tylko żadna granica tam nie istniała, ale ludy obojga państw nie wiedziały dokładnie jaka ich przestrzeń rozdziela, i co we wnętrzu swoim ukrywa. Od strony Syberyi, równie jak od strony państwa niebieskiego, ciągnęły się niezamieszkałe pustynie ze swojemi niezmiernemi stepami, lasami olbrzymich cedrów łąkami zdającymi się nie mieć końca, po za którymi, niby w fortecy ręką natury utworzonej, żyło plemię nieuznające żadnego zwierzchnictwa, zamknięte w sobie, niepodległe postronnym wpływom. Czasami kilkunastu z nich przedarło się do Hetun-tsian, chińskiej prowincyi, dla zmienienia zdobytych przez siebie futer na różne towary, i na tém kończyły się wszelkie ich stosunki z południem. Północy nie znali wcale. Jeżeli jaki rosyjski przemysłowiec, powodowany chęcią

zysku, zapuścił się w owe niegościinne strony, to już nigdy ztamtąd nie powracał, a los jego stawał się nierozwiązana zagadką dla pozostałej rodziny, straszną dla tych, którzyby go naśladować pragnęli. W XVII wieku kiedy jeszcze Syberya nie stanowiła części imperyum, koloniści rossyjscy zamieszkali nad brzegami morza Ochockiego, mając chęć rozszerzenia wymiany towaru na surowe produkta, wtargnęli w tę prowincję, ale nader drogo im przyszło opłacić swoją swoją śmiałość. Napadnięci przez liczne hordy rozwścieczonej dziczy, wyginęli prawie wszyscy w najsroźszych katuszach, a mała liczba tych którzy zdołali ratować się ucieczką, tak została przerażona tą katastrofą, że do dnia dzisiejszego w tradycyi potomków przechowała się pamięć owego nieszczęśliwego wypadku.

Odtąd pozostawiono Gilliaków w spokoju; żyli oni sobie jak przedtém w swych niedostępnych pustyniach, nieznani nikomu, nie związani żadnym prawem ani stosunkiem zewnętrznym, aż do roku 1856, w którym to czasie przeszli pod zwierzchnictwo Rosyi. Wspomniony rok stanowi erę w dziejach kolonizacyi północnych stron Azji. Najpiękniejsza krajina, dotąd nieużyteczna i zaniedbana, wcieloną została w skład tego mocarstwa, bez dania żadnego wystrzału, bez gwałtu, ucisku, użycia srogich środków: wszystko co się tam stało, było naturalnym skutkiem siły, jaką wywiera moralna wyższość nad polityczną niedołężnością. Chińczycy wprawdzie chcieli się sprzeciwić, zgromadzili liczne wojska, ale zamiary ich natrafiły na opokę dyplomatyczną: miasto bagnetów, ujrzeni pióro, miasto pola bitwy, pargamin; chytróść ich została uprzedzoną, przebiegłość odgadniętą, a widok regularnych wojsk stojących w milczeniu i czekających skutku negocyacyi, rozwiązał stanowczo kwestyę. Gilliaki, o których rzecz chodziła, grali tu rolę komparsów; ukryci w swoich niedostępnych pustyniach, nie widzieli szali na jakiej ważyły się ich losy, i dopiero wtedy zrozumieli swoje położenie, gdy ujrzeni nad sobą władzę, łagodną wprawdzie i wyrozumiałą, ale podciągającą ich pod ogólne a nieznane im dotąd prawidła społecznego życia. Wszystko byłoby dobrze, bogata ta ziemia przy użyciu stosownych środków stałaby się od-

razu perłą wschodniej Syberyi, gdyby nie błędy początkowej administracyi, które cofnęły rozwój jęj handlowy i przemysłowy na lat kilkanaście. Wysyłani tam sztrafowani kozacy, demoralizując piérwotną ludność, stali się najgłówniejszą przeskodą do rozwinięcia rolnictwa, handlu i przemysłu. Obecnie ten stan rzeczy uległ radykalnej odmianie: energiczne a jednocześnie pełne roztropności postanowienia naczelnej zwierzchności tych prowincyi, zaczynają już wydawać błogie owoce. Rolnictwo przez sprowadzenie pracowitej ludności, wchodzi tu i owdzie w liczbę określonych zwyczajem trudów, przemysł przy powstaniu kopalń złota podnosi się z wiekowego uspienia, handel, czując nad sobą opiekę władz, budzi się do rzeczywistego życia. Miejscowość ta może stać się z czasem nader ważnym targowym punktem północnej Azji: z jednej strony ludne Chiny, z drugiej niedaleki port Ochocka, z trzeciej bliskość Japonii, przedstawiają najprzyjaźniejsze ku temu warunki. Dzisiaj już na wyspie Sachalinie, wśród doliny Tyna, odbywające się każdego roku jarmarki, mają bez porównania daleko więcej ożywiony niż dawniej charakter. Oprócz stałej ludności Gilliaków, zjeżdżają się tam Mongoły, Chińczycy, przybywają z Japonii na swoich statkach obciążonych towarem bogaci kupcy; docierają z Ochocka, Kiachty a nawet z Irkucka rossyjscy przemysłowcy, a wymiana towarów dostawionych przez rozliczne narodowości, na daleko większą niż przedtém praktykuje się skalę.

Ale te kiełkujące objawy, wywołane roztropnemi administracyjnymi środkami i dające wiarę w przyszłość nadamurskich krajów, rozwijają się tępo i opieszale. Tytanicznej potrzeba pracy i długiego czasu, ażeby w tych zamkniętych na wszelkie zewnętrzne wpływy duszach, rozbudzić potrzebę społecznego życia, bez którego, jak wiadomo, wszystkie usiłowania dla ustalenia szczęścia narodów przedsięwzięte, staną się tylko martwą literą. U Gilliaków byt towarzyski zupełnie nie istnieje. W jurtach Tatarów i Jakutów, w przenośnych czumach Tunguzów, oprócz rodzinnych stosunków, widzieć się daje nić wiążąca te jurty i te czumy w jedną całość aulę—u Tatarów, oprócz tego, kilka lub kilkanaście aul podlega jeszcze władzy wybieralnych kniaziów; Gilliaki

zaś nic podobnego nie znają. Żyjąc w oddzielnych rodzinach, nie mają pomiędzy sobą żadnych prawie stosunków. Każda ich chata, na sposób chiński budowana, otoczona zewsząd ostrokołem, oddzieloną jest od drugiej znaczną przestrzenią. W siedzibach tych głowa domu czyli patriarchy, stanowi jedyną i najwyższą zarazem władzę. Wszystko co się tam dzieje, od niego zależy i jemu podlega: ma on nawet prawo karnia śmiercią członków swój rodziny bez żadnej zewnętrznej kontroli. Wprawdzie oprócz patriarchów są jeszcze dżanginy, czyli naczelnicy familij zasłużonych i powszechnie poważanych, ale godność ta, jakkolwiek wyższa hierarchicznie od godności zwykłych patriarchów, jest w gruncie rzeczy tylko honorowym tytułem, nie dającym prawie żadnej władzy. Do dżangina udają się Gilliaki w rzadkich wypadkach sporów przy urządzaniu uroczystości religijnych, lub prosząc o radę w zawikłanych kwestjach nieporozumień domowych; nie jednak nie obowiązują do usłuchania tej rady. Podobny brak społecznego życia czyni ich jeszcze bardziej zamkniętymi w sobie. Z poza ostrokołu otaczającego te chaty nie się na zewnątrz nie wydobędzie: ani krzyk cierpienia, ani jęk umierającego, ani rozpaczliwe wzywanie o ratunek; tajemnica pokrywająca familijne życie, niedostępną jest nietylko dla cudzoziemca ale nawet dla własnych współbraci, jeżeli ci nie są blizkiem pokrewieństwem z nimi związani. Oprócz tego charakter Gilliaków stanowi niemalą przeszkodę do złączenia tych oddzielnych cząstek w jedno społeczne ciało, do utworzenia z owych samoistnych kółek stale uorganizowanej politycznej maszyny. Pochodzenia mandżurskiego, powinowaci z plemionami starokamczackim i kurylskim, przejęli od tych narodów wszystkie ich wady: Chińczycy dali im chytrość, Kamczadale swą zimną, lodowatą nieczulość na wszystkie zewnętrzne wpływy, i z tych pierwiastków utworzył się typ odrębny, dziwny, niepodobny w niczem do innych typów pierwiastkowych ludów Syberyi. Ktokolwiek chciałby ich zbadać, próżne tylko trudy poniesie i nic nie wskóra; przy obecnym zarządzie dotrzeć można w samo jędro ich ojezyny, przebież bez przeszkody wzdłuż i wszerz nadamurskie kraje, ale ta wycieczka nie pociągnie za sobą znajomości

charakteru mieszkańców. Przystąpiwszy nawet owe ostrokołowe zasięki, oddzielające każdą gilliacką rodzinę od reszty świata, niczego dowiedzieć się nie można. Wszystkie dramata domowego życia kryją się starannie przed okiem przybysza, a na tych chudych, kościstych twarzach, nikt nie wyczyta ni smutku, ni radości, ni żadnego powodującego ich czynnościami uczucia.

Przeszłego roku jeden z wyższych urzędników policyi miejscowej, jeżdżąc po kraju dla śledzenia za ogólnym porządkiem i ukrócenia wypływających z ciemnoty nadużyć, znalazł się przypadkiem w chacie gilliackiej w chwili gdy ojciec, stosownie do barbarzyńskiego prawa owych dzikich plemion, osądził i ukarał śmiercią własnego syna. Patriarchy, słysząc kołatanie do drzwi, zarzucił na drgające jeszcze członki zamordowanego swoją dachę (zwiérzchnie okrycie ze skór jeleni zsyte), i kazał otworzyć wrota. Wchodzący urzędnik ujrzał go zajętego spokojnie stolarką, żonę krzątającą się około przyrządzenia codzienniej strawy, a dzieci igrające wesoło pomiędzy sobą. Od starca aż do małoletniego dziecka wszystko tu grało komedią, przedstawiając po mistrzowsku spokój domowego pożycia: żaden muskuł ich twarzy nie zdradzał bezwiednym drgnięciem przerażenia, smutku lub niespokojności; pięcioletni nawet chłopczyk, siedząc na ławie obok zabitego przed chwilą brata, uśmiechał się tak wdzięcznie, tak po dziecinnemu, jak tylko te niewinne istotki uśmiechać się umieją.

Nowoprzybyły spojrział po wszystkich twarzach i nic w nich nie wyczytał; bystry jednak wzrok jego, przywykły do zbadania każdej postronnej okoliczności, dostrzegł na podłodze ślady krwi.

— Co znaczy ta krew? zapytał.

Żona Gilliaka podjęła z ziemi świeżo zabite szczęnię, które przebiegły jej mąż, w chwili gdy otwierała wrota, zgładził jednem uderzeniem dłuta.

— To na pieczyste, rzekła.

Urzędnik odwrócił oczy ze wstrętem od podobnego gastronomicznego przysmaku, ale wiedział bardzo dobrze, iż ulubionym pokarmem Gilliaków są psy, szczególnież zaś małe szczęnięta.

Nie znalazłszy nic podejrzanego, już miał opuścić izbę, gdy ujrzał pod przykryciem dachy drgające ostatnimi konwulsyjnymi ruchy ciała zamordowanego.

— Darujcie grzészemu człowiekowi, rzekł ojciec rodziny, odgadłszy z kierunku wzroku assessora policyi, niewymówione jeszcze zapytanie. Mój syn lubi zanadto używać opium: stan jego jest straszny, osądźcie sami (1).

I postąpił, chcąc niby podjąć przykrywającą członki syna dachę, lecz urzędnik, brzydzący się widokiem okrytych pianą, ze zwierzęcemi rysami twarzy zwolenników narkotyku, wstrzymał go skinieniem ręki.

— Nie potrzeba—dosyć tego!... i opuścił chatę, nie przezuwając, że kilka zaledwie minut przed jego przybyciem, w tej cichej na pozór zagrodzie, w obec tej matki spokojnie zajętej przyrządzaniem codzienną strawy, w obec tych dzieci igrających wesoło, odegrał się straszny, przerażający dramat: morderstwo dokonane na synu przez własnego ojca!

W kilka zaledwie miesięcy potem i to skutkiem innych zupełnie okoliczności, odkrytemi zostały przez władze wszystkie szczegóły dotyczące wspomnianej zbrodni.

Postacie Gilliaków odpowiadają zupełnie tajemniczości ich charakterów. Wysocy, chudzi, mają w wejrzeniu swych skośnych, otoczonych gestemi brwiami oczu coś szatańskiego; na wąskich ich ustach nie zakwita nigdy uśmiech wesołości, w rysach twarzy przebiega się ciągle szyderstwo. Gdy chodzą, zda się widzieć sunące cienie; gdy mówią, przytłumiony głos ich brzmi ponuro, grobowo. W najzwyczajniejszych stosunkach z nimi, nikt nie wie co począć, jak sobie postąpić: najbardziej przenikliwy człowiek, widząc te figury zimne, sztywne, kościste, prawie nieludzkie—z wzrokiem Mefistofelesa, z cerą trupią, gubi się w domysłach, i nie jest w stanie rozwiązać owę żywą sfinksa zagadki.

Budowę mieszkań swoich przyjęli oni od Chińczyków; i gdy Tunguzy, Jakuty, Tatarzy, Ostyaki i t. d. żyją w ezumach,

(1) Gilliaki, z powodu stosunków swoich z sąsiedniemi Chinami, przywykli do upajania się tym narkotykiem. (Przyp. aut.).

jurtach, lub też wśród jam wykopanych w ziemi, Gilliaki od dawnych czasów stawiają chaty z obrobionego starannie drzewa. Dom taki, znacznych bardzo rozmiarów i dosyć wysoki, z zakrzywionym na sposób chiński dachem, składa się z jednej obszerniej, od 30 do 50 stóp kwadratowych mającej, izby. Do koła ścian stoją szerokie ławy, w samym zaś środku jest buda, służąca za schronienie psom, których oni mnóstwo w siedzibach swoich chowają. Na poprzecznych belkach, podtrzymujących wiązanie dachu, wiszą sićce, więcierze, jako też rozliczne myśliwskie narzędzia. W izbie takiej mieszka jedna tylko rodzina, z 40 najmniej różnego wieku i płci członków składająca się, a podległa, jak już wyżej powiedziałem, ojcu familii czyli patryarsze. Oprócz polowania i rybołówstwa, zajęć właściwych wszelkim pierwotnym plemionom, zatrudnia ich także stolarstwo, który to kunszt od sąsiadów swoich Chińczyków przyjęli. W rzemiośle tém nader są zręczni: wszystkie sprzęty domowe wykonywane bywają przez nich nie tylko trwale i mocno, ale z pewnym estetycznym smakiem. Niektórzy zajmują się rzeźbą, wyrabiając z drzewa a nawet kamienia różne posągi bożków i postacie zwierząt, tak do uroczystości religijnych jak i do ozdobienia ich domów służące.

Religia ich jest szamańska, ale do tego wyznania, którego główne obowiązki i cechy powyżej opisałem, przyłączają oni różne dodatki, nie istniejące u innych inorodców. I tak np., oprócz boga białego i czarnego, czczą jeszcze rozliczne zwierzęta, a szczególnie niedźwiedzia, widząc w nim przymioty potęgi, siły i nieustraszoneści. Najdziwniejszym jednak i jedynym w swoim rodzaju szczegółem wspomnianej wiary jest ta okoliczność, że święty niedźwiedź, umieszczony w osobnym przybytku, przed którym w ciągu całego roku biją korne pokłony, znosząc mu najwykwintniejsze przysmaki, najświeższe plastry miodu, bywa przez nich w porze jesienną zabitym a następnie zjedzonym. Dzień zabicia tego niedźwiedzia-boga stanowi największą i najważniejszą uroczystość u Gilliaków i nazywa się: „niedźwiedzią ucztą“. W dniu tym oddzielone od siebie i żyjące w odosobnieniu rodziny ze swymi patryarchami na czele, występują z izb i udają się w piel-

grzymkę do miejsca, w którym tyle znaczący akt ma być spełnionym. Dżanginy, z powodu hierarchicznej swój wyższości, przodowe miejsce zajmują; szamani spełniają ofiarę, a liczne tłumy przybyłych rodzin, stojąc opodal w milczeniu, są niemymi świadkami obchodu. Nawet i wtedy linia demarkacyjna, oddzielająca te zamknięte w sobie kółka rodzinne, nie bywa przerwana. Jedni na drugich spoglądają z nieufnością, darząc się wzajemnie owym zimnym, szydzącym spojrzeniem, które jest stereotypową cechą wyrazu ich twarzy. Po dopełnieniu obrządków religijnych, po zjedzeniu podanej im przez szamanów części świętego niedźwiedzia, rozchodzą się w różne strony, do swoich izb, rozsianych wśród niezmierniej przestrzeni, i powracają na rok cały w zakłęty zwyczajem zakres domowego życia, pod nieograniczoną władzę rodzinnych patryarchów.

Kraj nadamurski, główne siedlisko Gilliaków, jest najpiękniejszą i najbogatszą prowincją Syberii. Ziemia ta żyzna, prawicza, niezająca dotąd pługą i sochy, wydaje wszelkiego rodzaju owoce i ukrywa w łonie swoim najcenniejsze kruszce, najrozliczniejsze minerały; klimat ciepły, roślinność bujna, powietrze zawsze czyste i zdrowe, oddziałują zabiwnie na osiedlających się tam rossyjskich kolonistów; krajobrazy cudne, malownicze, zachwycające, nie mają tej posępnej dzikości jak widoki gór sajańskich nad granicami Mongolii, lub Ałtaju w zabajkalskich okolicach. Szeroki Amur przerzyna zielone łąki, i zagłębia się w olbrzymie cedrowe lasy, to rozbijając swe fale o skały wystające z jego nurtów, to płynąc spokojnie, cicho, po lśniących pokładach złotodajnego piasku. Oprócz prowincji amurskiej i wyspy Sachalin, Gilliaki zamieszkują jeszcze w nader ograniczonej liczbie zabajkalskie ziemie a nadto całą część północną Japonii.

Jeżeli posuniemy się w dół Amuru ku jego źródłom, znajdziemy jeszcze przy ujściu rzeki Anguna odrośl gilliackiego plemienia, Samagrów. Szczep ten nieliczny, nader mało etnograficznie znany, płaci oddawna przymusową daninę Chińczykom i jest przez nich od wieków uciemiężany. Długa niewola, poniżenia wszelkiego rodzaju, srogie obchodzenie się z nimi mandarynów państwa niebieskiego przy wybieraniu

corocznego haraczu, uczyniło tych ludzi pokornymi, bojaźliwymi i nieczułymi na wszystko. Chęć wydobycia się z nieznośnego położenia, popycha ich mimowolnie i nieznacznie w objęcia Rosyi. Kilka lat temu w czasie zarządu kontradmirała Niewelskiego, kiedy zajmowano się utworzeniem punktu komunikacyjnego pomiędzy Nikolajewskiem, Amurem i Jakuckiem, pan Berezin, agent kompanii amerykańsko-rossyjskiej, zawiązawszy stosunki z Samagrami Anguny, przekonał się piérwszy o tój ich dążności. Przyjęty z otwartymi rękami przez całą ludność, mającą na czele swego patryarchę Elgin-ha, ujrział wszędzie szczere objawy przychylności dla swojego rządu, i otwarcie wyrażającą się niechęć przeciw Mandżurom. Mniemać można, że przy obecnej, tyle pożytku dla kraju przynoszącej administracji wschodniej Syberii, dążność ta zostanie zużytkowaną, a szczep ów samoistny, niezasłużonym obciążony haraczem, złączy się dobrowolnie z mocarstwem, zapewniającem mu pomyślność, dobrobyt i opiekę praw.

Opisawszy Gilliaków i wspomniawszy o pokrewniej z nimi odrośli Samagrów, przeniesiemy się z nad Amuru w zachodnim kierunku po za Bajkał i weźmiemy pod obserwacyjny skalpel plemiona zaludniające ziemię zabajkalską, zwaną dawniej zamorską krainą.

Buryaty, zamieszkali tamże, pochodzenia uralско-ałtajskiego, stanowią znów odrębny typ w różnorodnym kalejdoskopie dzikich pokoleń, rozsianych wśród obszarów Syberii. O ile Tunguzy są gościnni i przyjacielscy, Gilliaki skryci, tajemniczy i zamknięci w sobie, o tyle Buryaty przedstawiają się nienawistnymi dla wszelkich obcych im żywiołów i odkrytymi w swoich dążnościach, wadach i charakterze. Natura ich dzika, rozpasana na wszystkie złe namiętności, niezająca żadnego hamulca, czyni tych ludzi otwartymi lecz zapalczywymi zarazem rojbójnikami. Lubią oni zabijać dla zysku, lecz kiedy widzą, że morderstwo żadnej korzyści nie przyniesie, zabijają ażeby nasycić barbaryńską chęć krwi, patrzeć na męczarnie swoich ofiar, napawać się obrazem ostatnich cierpień człowieka. Nic dla nich niema świętego: ani łagodne obejście się, ani oddana przysługa, ani doznane

dobrodziejstwo. Wdzięczności nie pojmują, gościnność jest dla nich obcą, w każdym bez wyjątku przybyszu widzą wroga, nikomu śmiało w oczy spojrzeć nie umieją; a jeżeli przypadkiem wzrok ich dziki, niepewny, złowieszczym migocącym blaskiem, spotka się ze spojrzeniem cudzoziemca, to natychmiast zaślni tak strasznym wyrazem, jak gdyby wyszukiwał na piersi miejsca, w które ugodzić można.

Na nieszczęście dla nich, prawa krajowe, nie pozwalające owych krwawych wybryków, ścigają i karzą schwytych na uczynku złoczyńców. Przed laty, więzienia irkuckie napelnione były zawsze buryackimi zabójcami, którzy stawieni przed sądem, nie pojmowali, dlaczego policya i urzędnicy, nie będąc w powinowactwie z ofiarami, przesładowali ich i więzili.

— Tyś nie brat, ani nie swat zabitego, mówił pewnego razu Buryata, stojący przed kratami sądu do inkwidenta: czemu się tobie w tę sprawę mieszać? Ja ciebie nie znam, ty mnie nie znasz, daj mi więc święty pokój.

Obecnie zrozumieli oni tę instytucją społecznego porządku, która sprawia że naznaczeni na to ludzie, choć nie krewni ani znajomi pokrzywdzonych, mają moc, jako stróże publicznego bezpieczeństwa, ujmować się za ofiarami. Instytucya ta wydaje im się zawsze dziką i niesprawiedliwą, ale istnieje; ażeby więc uniknąć kary więzienia lub przymusowych robót w kopalniach, a zarazem nasycić niepomowaną swą żądzą krwi, nie zabijają pierwszego lepszego człowieka, ale polują na bradiagi.

Uciekający przestępcy z kopalni, których prawo nakazuje chwycić, a nawet w razie oporu pozwala zabijać, stali się dzisiaj gotowemi ofiarami tych dzikich myśliwych. Gdzież bowiem wśród leśnej pustyni znajdzie się świadek, któryby dowiódł, że śmierć bradiagi nastąpiła skutkiem rozmyślnego zabójstwa, a nie dla obrony własnego życia? Włóczęgi stepowe, przemykający się wszędzie swobodnie, w następstwie obawy i przestachu, jaki dokoła siebie obudzają, mogą przebyć z trudnością zabajkalskie kraje, gdyż na każdym kroku spotykają liczne zastępy Buryatów, ukrytych poza drzewami, zaczajonych w trawie, w celu pozbawienia ich życia. Polowa-

nie na człowieka ma dla nich niewypowiedziany urok, chociaż nie przyznają się nigdy do téj namiętności, kładąc na karb handlowej spekulacyi swoje wycieczki.

— Skórka bielki, mawiają oni, kosztuje tylko 5 kopiejek, gdy tymczasem najędzniejsze nawet łachmany zabitego człowieka warte są najmniej dwa razy tyle.

Ten powód jednakże, który w ich przekonaniu wszystko tłumaczy, i nakazuje w mordercy widzieć tylko obrotnego i wyrachowanego na godziwy zysk przemysłowca, jest pozorem, pod jakim starają się ukryć nieprzewycięzoną żądzą rozlewu krwi ludzkiej: na wiadomość bowiem o ukazaniu się bradiag, porzucają rozpoczęte łowy soboli, lisów, łosiów i jeleni, których futra i skóry znaczneby im korzyści przynieść mogły, i roznamiętnieni dziką chucią, wściekli szałem, z oczami krwią zaszłemi, biegną ukryć się za drzewami, gdzie dnia, doby całe o chłodzie i głodzie, niepomni na wszystko, wyczekują chwili zjawienia się wędrownych biedaków, i nasycenia widokiem ich śmiertelnych katuszy.

Czasem jednak srogo bywają karani za swoje krwawe czyny. Irkucka kronika spraw kryminalnych mieści w sobie niejednego tego rodzaju przykład. Przed kilku laty żył za Bajkałem buryata nazwiskiem Sacz; mieszkał on w oddalonym od wszelkich osad szałasie, nie miał z nikim żadnych stosunków, a uchodził powszechnie za zawołanego w swoim fachu myśliwego. Myśliwstwo przecież było tylko dla niego dodatkowem zajęciem, gdyż rzeczywiście wszystkie chwile swojego życia poświęcał polowaniu na człowieka. Siedmdziesięcioletni blisko, lecz silnej budowy i bystrego jeszcze wzroku starzec, z wypróbowaną gwintówką i wprawnym do tych łówów psem, czatował na uciekających z kopalni przestępców, i nie zdarzyło się nigdy, ażeby który z tych nędzarzy mógł uratować życie ucieczką. Czego nie wypełniła dalekonośna broń, dokończyła zwykle olbrzymich rozmiarów, dzikie i żarte, a posłuszne na każde skinienie swego pana, zwierzę.

Przeszłego roku, buryata zaczajony w krzakach, i oczekujący nowych ofiar, ujrzał z daleka dwóch włóczęgów zbliżających się ku niemu. Przypuściwszy ich na odległość strzału, zmierzyl w milczeniu gwintówkę, padł strzał, a jeden

z nieszczęśliwych rażony kulą w piersi, runął na ziemię. Towarzysz zabitego widząc że i jego podobny los spotka skoczył w gęstwinę, i z całą szybkością jaką nadać może, przetrzech, puścił się w przeciwną stronę.

Na ten widok, okropny starzec pewny swego tryumfu, zaśmiał się szatańskim śmiechem, a odwiązawszy psa ze smyczy, wskazał w milczeniu posłusznemu zwierzęciu kierunek, w jakim udać mu się wypadało. Pies zwąchawszy trop, zaszczekał radośnie i pobiegł za śladem. Kilka chwil przeszło w niemém oczekiwaniu: Sacz z natężoną uwagą słuchał coraz bardziej oddalającego się głosu pomocnika swoich wypraw; nareszcie szczekanie ustało zupełnie, i cisza zaległa leśną pustynię. Godziny mijały, a pies nie powracał, ażeby poprowadzić jak zwykle swego pana na miejsce, gdzie leżał trup rozszarpanego przez niego człowieka. Baryata niespokojny zrazu, pomyślał, że może szybkość uciekającego opóźniła chwilę jego zgonu, i ufny w powodzenie, czekał cierpliwie na miejscu, zjawienia się straszego zwierzęcia.

Gdy się to działo, biedak słysząc za sobą szczekanie, domyślając się pogoni, biegł z nadludzką prawie chyżością, i dobywał ostatnich sił ażeby ocalić swe życie. Ale mu to nie na wiele pomogło; z każdą chwilą przestrzeń dzieląca go od zjadłego wroga, stawała się krótszą—nareszcie wycieńczony, bezsilny, poczuł w nodze dotkliwy ból, sprawiony ukąszeniem ostrych zębów rozwściezonego zwierza. Cierpienie i rozpacz dodały mu nową energii: stanął nagle i obróciwszy się szybko na miejscu, schwycił za gardło skaczącą do szyi poczwargę. Walka ta o śmierć lub życie była straszną lecz krótką. I człowiek i pies powalili się spać na ziemię: pies kąsał bradiagę po rękach, bradiaga dusił psa spojeniami jak kleszcze dłońmi. Nareszcie zwierzę rozwarło szeroko swą paszczę, wysunęło spieniony język, i zadrzawszy śmiertelnymi ruchy, rozciągnęło się bez życia na piasku.

Każdy inny będąc w podobnym położeniu, nie myślałby o niczym innym, jak tylko o dalszym zachowaniu cudownym sposobem ocalonego życia: bradiaga jednak miał inny cel. Dopóki trwało niebezpieczeństwo, wrodzonym instynktem prowadzony bronił się zacięciem, zaledwie jednak minęła stra-

szna chwila, wszystkie jego żądze i pragnienia zwróciły się do uczucia najmilszego sercom wydziedziczonych synów natury: do zemsty dzikiéj, okropnéj, nie znającéj granic ni miary. Tą namiętnością powodowany, wyprężył zbolełe członki, otarł krew płynącą z ran, i zebrawszy resztę sił wycieńczonych walką—poszedł, a raczéj dowlókl się do miejsca, w którém zabójstwo popełnionem zostało. Sacz, oczekujący zawsze na swojego psa, siedział jeszcze pod drzewem, a przyłożywszy dłoń do ucha, słuchał z natężoną uwagą azaliż nie rozróżni wśród szumu drzew leśnych, dalekiego szczekania ulubionego pomocnika swych krwawych wypraw. Na widok dzikiego starca bradiaga wstrząsnął się cały, oczy zaiskrzyły mu złowrogim blaskiem; ukryty wśród bujnej trawy, milczący, pelzał ciągle wstrzymując oddech, aż do boku mordercy. Przyczołgawszy się ostróżnie do niego, chwycił za broń opartą o drzewo, odrzucił ją daleko po za siebie, a ujawszy za ręce nieprzygotowanego do tak nagłej napaści buryatę, powalił go i związał niedoznawszy żadnego prawie oporu.

Co zaszło pomiędzy ohydnyim myśliwym ludzi, a włóczęgą który, z ofiary przemienił się w kata, trudno opisać. Są rzeczy na wspomnienie których wzdryga się umysł, drętwieje serce i krew ścina się w żyłach. To tylko można zaręczyć, że ocalony bradiaga nie przybył tam ażeby jednym uderzeniem pałki zgładzić ze świata zabójcę tylu towarzyszy niedoli. On pragnął „pobawić się z nim,” a wiadomo powszechnie jak bradiagi umieją urozmaicać podobne rozrywki. Rozkosz, jakiej doznał na widok katuszy wroga swoich braci, była tak wielką, tak nieograniczoną, że po niej całe życie, owo życie kolejnych przejść więzienia, trwogi i ucieczek, wydało mu się bezbarwném i niewartém żadnego zachodu. Dokonawszy zemsty, stawił się dobrowolnie przed władzą, w Czycie, stolicy tych krajów, i rzekł:

— „Uciekłem z katorgi, w przechodzie moim przez Zabajkalskie tajgi, zabiłem buryatę: osądźcie mnie i rozstrzelajcie. Niczego nie pragnę, żadnej łaski się nie spodziewam; jestem tak szczęśliwy, jak nim żaden człowiek na świecie być nie może!

Podług jego wskazania władze przybyły na miejsce gdzie odegrał się opisany powyżej dramat, i znalazły tam ciało zamordowanego z wyrniętym językiem, wbitemi gwoździami za paznogie, wylupionymi oczami, zdartą do połowy skórą z pleców, skancerowane po części od wolnego ognia na jakim się poprzednio piekło. Męczarnie, przez które przechodził przed wyzianiem ducha stary buryata, musiały być długimi i okropnymi! W ciągu dalszych poszukiwań odkryto szałas, służący za mieszkanie zabitemu. W szałasie znajdowała się niezwykła bo 186 sztuk wynosząca kolekcya fajek cynowych, używanych zwykle przez bradiagów.

Zbiór ten pokazywał jasno że ohydny starzec zamordował takąż liczbę ofiar palących tytuń; ile zaś zginęło z jego ręki, nie oddających się temu nałogowi, odgadnąć trudno. Tajemnica okrywająca grób myśliwego ludzi sprawia, że wszelkie przypuszczenia pod tym względem mogą być możliwymi.

Dodać jeszcze należy, iż włóczęga, który tak strasznym sposobem odemścił śmierć tylu swoich braci, nie zginął śmiercią jakiej pragnął się zdawał. Odesłano go napowrót do przymusowych robót, gdzie pracując ciężko, bezprzerwanie, pod knutem dozorca, pociesza się zapewne wpływem, jaki wywiera jego czyn krwawy, na innych skazanych do katorgi winowajców (1).

Powierzchność buryatów odpowiada zupełnie zezwiezręconej ich naturze. Wysokiego wzrostu, barczyści, muskularni, obrośli gestym czarnym włosiem, z twarzami płaskimi, wśród których nos i oczy, giną prawie zupełnie, przedstawiają oni ów typ odgadnięty przez Darwina, a każący domyślać się jakiejś pośredniej istoty, która przestawszy być zwierzęciem, nie została jeszcze człowiekiem. Obyczaje ich, sposób życia, charakter, stawiają ich bezporównania niżej od wszystkich innych pierwotnych plemion zaludniających Syberyę, nie mają w sobie żadnej cechy człowieczeństwa,

(1) Szczegóły powyższego zdarzenia wyjęte są z aktów kryminalnych Irkuckiego sądu.

(Przyp. aut.).

żadnej oznaki, któraby pozwalała domyślać się choć najslabszych popędów duchowych. W najwyższym stopniu gnuśni i leniwi, nie troszczą się o swoje wygody i potrzeby, nie myślą o jutrze, nie zajmują obecną chwilą; szukają pożywienia gdy im głód dokuczy, zmieniają odzież gdy ich robactwo pożera, chronią się w swoje szałas, gdy ich woda zaleje, lub śnieg zasypie. Ta opieszałość, niechlujstwo, zbydłecenie widzieć się daje we wszystkich szczegółach ich życia. Siedziby ich niepodobne w niczem do czum tanguzkich, jurt tatarskich, a tém mniej do obszernych izb gilliackich, składają się z kilkunastu cienkich tyczek lub gałęzi wetkniętych niedbale w ziemię, posplatanych między sobą, i przykrytych rodzajem drewnianego dachu: pozostawiony kwadratowy otwór służy zarazem i za okno i za przeciąg do wypuszczenia nagromadzonego dymu. W pośród tych jam obrzydliwych, pełnych zaduchu, śwędu, wszelkiego rodzaju nieczystości, żyją razem z domowymi zwierzętami, dzieląc z niemi poślanie i strawę. Jedynem zajęciem, łączącym ich obyczaje z obyczajami innych ludzi, jest hodowanie owiec.

Niezmierne a bujne łąki, rozciągające się po za Bajkałem, i łatwość z jaką bez trudu, pracy i wszelkiego kłopotu można tam wychować liczne stada, uczyniła Buryatów pasterzami. Leżąc po całych dniach beczynnie, niewychodząc prawie ze swoich szałasów, powierzają straż i ochronę dobytku wiernym psom, które wypełniają włożone na nich obowiązki nierównie lepiej i troskliwiej, niżby to oni sami przy wrodzonej swój gnuśności i do ostatnich granic posunięciem lenistwie uczynić byli w stanie. Odzież Buryatów składa się z trzech kaftanów skórzanych, które kładą jeden na drugi, pokrywając to wszystko długą, uszytą także ze skór, opończą; kobiety buryackie noszą na głowie małe, płaskie z wojłoków wyrobione czapeczki, stanowiące oprócz zaplatania warkoczy, jedyną powierzchną różnicę w ich ubiorze, z używanym przez mężczyzn strojem.

Badając te plemiona dzikie, brudne, więcej zwierzęcych instynktów niż przymiotów ludzkich posiadające, nasuwa się mimowolnie pytanie, czy ów stan zbydłecenia istoty na obraz i podobieństwo Boga stworzonej wynika z saméjże jój na-

tury, i anormalnego zasklepienia wszelkich władz umysłowych, czyli téż jest wpływem ciągłego karłowacenia moralnych pierwiastków człowieka, żyjącego w dusznej, przesiąkniętej zbrodnią i wszelkiego rodzaju plugawstwa atmosferze. Zdania pod tym względem są podzielone: wielu twierdzi, że natura człowieka z jakiegokolwiekby on rasy pochodził jest jedna i ta sama, a tylko otoczenie, sposób życia, pierwsze zasady i wrażenia w młodocianym wieku odbierane, czynią z niego bohatera lub zbrodniarza, dzikiego szaleńca, lub ozdobę społeczeństwa. Mniemania tego odrzucić bezwarunkowo nie można, wiemy dobrze czém się stają w dalszém życiu zarody pierwotnego wychowania, początkowych pojęć, dziecinnych wspomnień, ale znowu z drugiej strony widzimy częstokroć natury tak krnąbrne w przyjęciu dobrego, lub tyle silne w odparciu złego, jakie je za młodych lat otacza, ż, uznając wpływy postronne na charakter ludzki działające, trudno nam nie przypuszczać skłonności czerpiących źródło jedynie w rodowej krwi przodków. Zasadę powyższą można stosować nie tylko do pojedynczych indywidualności, ale i do ciał zbiorowych czyli całych pokoleń: jak człowiek-jednostka otrzymuje pierwszy swój kierunek przez wychowanie, tak i człowiek-naród dostaje go przez rozwój politycznego bytu, ale zarazem tak jeden jak i drugi posiada w swojej istocie, w swojej krwi, w swojej rasie coś zupełnie odrębnego, samoistotnego, coś, co się nie da ani zmienić, ani téż wygładzić żadnymi środkami.

Jako dowód na poparcie powyższego twierdzenia, przytoczę następujące zdarzenie:

Przed dwudziestu kilkoma laty, jeden z wyższych administracyjnych urzędników wschodniej Syberii udał się w zabajkalskie ziemie, w celu zwiędzenia powierzonej jego pieczy krainy. Opisane przezemnie szczegóły uderzyły go wszędzie, obudzając przykre i bolesne zarazem wrażenie. Ta gnuśność ospała, niechlujstwo obrzydliwe, a nadewszystko owe drażniących zwierząt instynkta, sprawiły że on, człowiek serca, chrześcijańskich uczuć i filantropijnych zasad, nie mógł bez oburzenia patrzeć na tak straszny i bezwarunkowy upadek. Probował tu i owdzie dobrocią lub łagodną perswazją wpły-

nać na znikczemione natury dzikich buryatów, ale próżnemi były wszelkie usiłowania; wszędzie przyjęto go jako wroga, i gdyby nie zasłona licznej straży, przypłaciłby życiem może szlachetne swoje dążności. Zniechęcony niepowodzeniem, rozdrażniony oporem, wracał do Irkucka, myśląc o środkach, jakich chwycić się należało, ażeby wykorzystać złe, tak głęboko nurtujące piękną i bogatą prowincją, gdy przejeżdżając koło jednego osamotnionego szałas, ujrzał siedmioletniego buryackiego chłopca, rzewnemi płaczącego łzami. Zatrzymać się, wyskoczyć z powozu i zapytać za pomocą nieodstępного tłumacza o powód zmartwienia dziecka, było dziełem jednej chwili.

— Jakże nie mam płakać, odpowiedział malec, kiedy zostałem sam jeden na świecie.

Mówiąc to, wskazał na leżące bez duszy ciało mężczyzny.

— To mój ojciec, zawołał łkając; on umarł, dawniej jeszcze umarła moja matka: ja nie wiem teraz co począć.

Wzruszony tak wielkiem nieszczęściem pan ***, przytulił zanoszące się od płaczu dziecko i zapytał:

— Bardzo więc kochałeś swojego ojca?

— Ja go nie kochałem, on mnie bił: ja zresztą nikogo nie kocham. Płacę bo nie wiem co z sobą robić.

Wyrazy te ostudziły cokolwiek filantropijne zapęły urzędnika, ale rozważa nadała inny kierunek jego myślom.

— Kto wie, rzekł sam do siebie, jaki skutek wyrzucić mogą dobre przykłady i staranne wychowanie na tym zdziaczałym szczepie pustyni. Spróbujmy.

— A poszedłbyś ty do mnie?

— Nawet do czarta, jeżeliby karmił, odpowiedział malec.

Taki był początek kariery młodego buryaty, znanego przed kilkoma laty wykwintnisią, eleganta i ulubieńca najpierwszych irkuckich salonów; jaki był koniec jego, zobaczymy później.

Pan *** szczerze zajął się losem sieroty. Wdowiec, bezdzietny, przysposobił go za syna, a gdy tenże ukończył gimnazyjalne kursa w Irkucku, wysłał go do szkoły centralnej w Paryżu. Młodzieniec, obdarzony z natury niezwy-

kłemi zdolnościami uczył się pilnie, a opiekun jego, widząc te postępy, zacierał ręce z radości i mawiał do swoich poufnych.

— Zobaczycie co z niego zrobię. Wszystkie bezsensowne brednie ludzi twierdzących o solidarności krwi, o różnorodności moralnej i umysłowej odmiennych rass, odrazu zbite zostaną. Ten żywy przykład, który stawię wszystkim przed oczy, może stać się z czasem węgielnym kamieniem przyszłego odrodzenia zabajkalskich krajów. Cywilizujemy tylko dzikich, a zrobimy z nich pożytecznych członków społeczeństwa...

I nasz filantrop rozpuściwszy skrzydła wyobraźni na podobieństwo mlęczarki Lafontaine'a, widział już w niedalekiej przyszłości dzikie stępy Zabajkału przemienione w kwitnącą umysłowym życiem krainę, srogich, krwiożerczych zabójców, zajętych przemysłem i sztukami, chwiejące się pod podmuchem wiatru szałasosy rosnące w domy, wsie i grody. Mało brakowało, żeby idąc ciągle za popędem rozgorączkowanej chwilowym powodzeniem imaginacji, nie obdarzył w myśli swojej, niegościnną zimną szkołami i wyższymi zakładami naukowymi, a rozbójniczych jej mieszkańców nie zrobił doktorami filozofii i magistrami prawa. W każdym razie jako stały prenumeratorem i zwolennikiem „Syna Ocieczestwa“, wychodzącej w Moskwie gazety, wypracował już projekt przyszłego rozwoju szkółek ludowych w zabajkalskiej prowincji.

Gdy się tak bawił swojemi marzeniami, przybrany syn jego, ukończywszy chlubnie szkołę centralną w Paryżu, obdarzony nagrodami, obciążony wieńcami, powrócił z Irkucka w objęcia swojego opiekuna i dobroczyńcy. Poprzedzony sławą tryumfów, oczekiwany przez wszystkich z sympatyczną ciekawością, przyjęty od razu został w grono arystokratycznego tamtejszego towarzystwa, jak gdyby i z rodu i z pochodzenia częstkę jego stanowił. Wyższe wykształcenie i protekcja chlebobdawcy dały mu urząd i poważanie powszechne, wrażliwa zaś natura popchnęła go jednocześnie do naśladowania życia, jakie jest udziałem syberyjskich bogaczy. W zakładzie naukowym paryżkim otoczony pracowitą mło-

dzieżą, pragnącą własnymi trudami zdobyć sobie przyszłość, przejął się ich duchem i dążeniami. W Irkucku, gdzie wszyscy, których stać na to, hulają do upadłego, przyswoił sobie na wstępie wszelkie cechy północnych ulubieńców losu. Zajmowane przez niego miejsce w kancelarii gubernatorskiej było tylko formą dającą stanowisko, w gruncie zaś rzeczy, wszelką robotę do tych obowiązków przywiązaną odrabiali mniżej pod względem majątkowym uposażeni towarzysze, za szczodrą, ma się rozumieć wynagrodzeniem. Opiekun bowiem niczego mu nie żałował, a on nawzajem pełnymi garściami, bez żadnego skrupułu, czerpał w otwartej zawsze dla niego szkatule przybranego ojca.

Miesiąc jeszcze nie przeszedł, a piérwszy uczeń szkoły centralnej paryżkiej, zmienił się w piérwszego eleganta strefy podbiegunowych. Pił kilka, grał w stukulkę, utrzymywał nieporównane rysaki, a płaska buryacka twarz i skośne mongolskie oczy, nie przeszkadzały mu bynajmniej do zbierania zwarzonych mrozem wawrzynów po buduarach północnych piękności. Owszem, brzydota ta stała się jednym z głównych powodów jego powodzenia; nie bowiem nie nęci tyle córek Ewy jak rozmaitość, czego dowodem jest przykład dany licznym następczyniami przez piérwotną matkę rodzaju ludzkiego. Wszelkie wady złotój młodzieży irkuckiej, spotęgowały się w tém ucywilizowanym dziecku pustyni do najwyższych granic: jeżeli grał to zapamiętał, jeżeli hulął to do szaleństwa. W towarzystwie mężczyźmi lubił burdy, w damskim tłuste koncepta, w oficjalnym przybraną powagę; z równymi był zawsze zarozumiałym, z wyższymi pokornym, z niższymi grubijaninem; jednem słowem stał się typem, na którym odwzorowywały się wszystkie bez wyjątku nowo powstające gwiazdy, wśród horyzontu mody, dobrego tonu i znajomości świata owego zakątka północy.

Pan ***, twórca tego arcydzieła nie posiadał się z radości. Był on jak ów autor przyjętej z zapalem przez publiczność sztuki, który siedząc za kulisami teatru, śledzi nieskończone objawy zadowolenia, słucha grzmotu oklasków, widzi sypiące się bukiety, i mówi z zachwyceniem do siebie: wszystko to moja praca, moje trudy!

— A co? powtarzał znajomym i przyjaciółom, winszującym mu powodzeń przybranego syna; i nauka jest, i wyższy polot towarzyski od razu przyłgnął do niego!

Rok minął: młody feniks step zabajkalskich dosięgnął szczytu swojej apoteozy. Uwielbiany przez damy, noszony na rękach przez młodzież, tolerowany przez władzę, postrach policji i nocnych stróżów, pieśszoch buduarów, ozdoba salonów, szedł wygodną drogą życia, zasłaną zdobytymi przez siebie laurami. I byłby tak dotarł do kresu swojej doczesnej wędrówki, zakończonój prawdopodobnie śmiercią z przepicia, lub silniejszego cokolwiek uderzenia kulakiem, w czasie licznych poufnych nieporozumień w gronie przyjacielskiem mających miejsce, gdyby nie jedna nieznaczną na pozór okoliczność, która przeważnie wpłynęła na dalsze jego losy.

Do Irkucka przybył stary buryata, w celu wymiany skór zwierząt na towary europejskie.

Wprawdzie buryaci często tam przychodzą, ale podróże ich odbywają się zawsze pod strażą, a celem tych przymuszonych wycieczek, jest nieodmiennie miejscowe więzienie. Jakim sposobem wspomniony zabajkalczyk odważył się porzucić dobrowolnie swój szałas, swoje brudy, swoje stepowe obyczaje, i przezwyciężył wrodzone lenistwo dla zbycia futer sobolich, lisich i niedźwiedziach, odpowiedzieć tylko może owo tajemnicze fatum przeznaczenia, wyradzające tysiące drobnych przyczyn, z których powstają następnie ważne a nieprzewidziane skutki.

To samo fatum rządzące losami sprawiło, że młody buryata, jadąc eleganckimi saneczkami, ujrzał swojego protoplastę rozkładającego w milczeniu skóry na placu targowym.

Powierzchnowość owego patriarchy rodu nie miała w sobie nic tak bardzo zajmującego. Brudny, osmolony, cuchnący tranem rybim i rozlicznego rodzaju wyziewami, przedstawiał w całej swój postaci opisany powyżej typ upadku moralnego i dzikiego zezwierzęcenia, jaki jest udziałem tych plemion.

A jednak wspomniony człowiek zajął w najwyższym stopniu młodego ulubieńca salonów irkuckich. Zdało mu się w jego rysach spłaszczonych, bez wyrazu i życia, widzieć

drugiego siebie, a przynajmniej jakąś pokrewną, nader blisko go obchodzącą istotę.

Kazał stanąć i wyskoczywszy z sanek zagadał do buryaty. Ten, nieumiejący po rosyjsku, spojrzał na niego z podełba swoim płowym, zapadłym głęboko wśród policzków wzrokiem, i pokazawszy dwa rzędy długich, białych, ostro zakończonych zębów, zamruczał kilka słów w ojcystém swoim narzeczu.

Na dźwięk tego głosu, obudzającego w nim dawne, pomrokiem czasu zakryte wspomnienia, elegant wstrząsnął się cały, niezwykła bladość pokryła twarz jego i... któż zdoła pojąć naturę ludzką, iza, iza prawdziwa, pierwsza jaką w swém życiu uronił, spłynęła powoli po twarzy, nie wyrażając odtąd żadnego z uczuć, jakie cechują wewnętrzną walkę ducha, lub tajemne popędy serca.

Rozgniewany sam na siebie, zawstydzony swoją słabością, odwrócił się od inorodca, wsiadł napowrót do sanek i kazał się zawieźć do domu.

Ale od téj chwili, jakaś nieokręslona niespokojność owładnęła nim. W hulaszczych towarzystwach, których dawniej był duszą, stał się ponurym, milczącym i zamysłonym, w buduarach przekwitłych piękności ziewał, w salonach reju nie wodził, szampan przestał mu smakować, karty go nudziły, a co najważniejsza, przez cały miesiąc po niefortunnym spotkaniu owego buryaty, ani jednę burdy nie zrobił, ani jednego policyanta na ulicy nie obił.

Natomiast zdawało mu się słyszeć jakieś dawno zapomniane dźwięki rodzinnej mowy, widzieć barczyste i kudłate postacie swoich braci z krwi i ducha, czuć w powietrzu zapach skór i powiew stepowego wiatru, świszczącego wśród szczelin szałasów... Wszystko to nurtowało samorodną naturę buryaty, którą cywilizacja, pokrywszy powierzchnową powłoką, nie zdołała zmienić i przekształcić do gruntu.

Opiekun jego i dobroczyńca piérwszy zauważył tę zmianę. Przywiązany ślepo do swojego wychowawcy, podwoił usiłowania, ażeby mu uprzyjemnić życie: sprowadził dla niego nowe konie, nowe ekwipaże, wymyślał rozrywki, obsypywał go złotem, ale wszystko to było napróżno. Młody człowiek,

skryty i tajemniczy, niemający do nikogo zaufania, nie kochający nikogo na świecie, utaił w głębi swjej duszy moralną chorobę, wpijającą się powoli w całą jego istotę. Chorobę tę irkucy lekarze nazwali hipokondryą, spleenem, a ona przecież nie była niczém inném jéno tęsknotą za rodzinnym krajem, za ziemią, która wykołysała piérwsze pojęcia i wrażenia tego dziecka pustyni.

Podobny stan przeciągnął się jeszcze kilka miesięcy; narazie, jednego pięknego poranku, potomek zabajkalskich plemion zniknął nagle i przepadł bez śladu. Ani starania przybranego ojca, ani usiłowania policyi, ani wszelkiego rodzaju poszukiwania, do żadnego nie doprowadziły rezultatu. Mniemano powszechnie, iż młodzieniec, dotknięty umysłową słabością, nieprzytomny, rzucił się w czasie napadu melancholii, w nurty rzeki, płynącej pod murami Irkucka, a mniemanie to istniałoby niezawodnie do dnia dzisiejszego, gdyby w kilka lat później, nie odkryto przypadkiem w pośród dzikich pokoleń buryackich, zbiegłego ulubieńca salonów wschodniej Syberyi. Kilka słów wyrzeczonych przez niego mimowolnie po francuzku spowodowało odkrycie; inaczéj bowiem nikt nie byłby w stanie w niechlujnym szałasie, pod powłoką cuchnących skór, poznać byłego ucznia szkoły centralnej paryżkiej. Wynalezienie jednak zbiega nie wpłynęło na wydobycie go z kału, w którym się dobrowolnie pograżył. Wszystkie przedsięwzięte w tym celu środki nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Sam nawet opiekun jego zjeżdżał umyślnie w stepy, starając się przemówić do jego serca, do jego uczuć: napróżno! Zdziczały Don-Juan arystokratycznych buduarów, twierdził stanowczo w rodzinném swoim narzeczu, że niepojmuję czego od niego żądają, że nigdy tych stepów nie opuszczał, innego życia nie zna i znać nie chce, a otaczający go buryaci zuchwale i z właściwém tym ludziom grubijaństwem potwierdzali jego słowa: jeden z nich nawet mianował się rodzonym jego ojcem.

Nie było na to żadnej rady. Prawo nie dozwala samowolnie odebrać ojcu syna, a dokumenta pisane, metryki urodzenia, nie istnieją na pustyni. Pomimo więc moralnego przekonania, nie zdołano dowieść tożsamości stroniącemu od

cywilizacji buryacie, témbardziej, że wyrzeczone przez niego po francuzku wyrazy, których się następnie zacięcie zapierał, były jedyną chwilą zapomnienia, jaką miał w dalszym ciągu swego koczowniczego po stepach życia. Wszelkie przedsięwzięte próby znalazły go niewzruszonym; na każde zapytanie w innym języku uczynione odpowiadał nieodmiennie po buryacku: Horn! (nie rozumiem!).

Zostawiono go więc w ulubionym przez niego żywiole. Stroskany opiekun powrócił do Irkucka ze zmienionemi cokolwiek wyobrażeniami o wpływie cywilizacji, o przekształceniu moralném i duchowém ras, o odrodzeniu piérwotnych plemion, a młody laureat paryżki, pogromca czułych serc, zwolennik kart, szampana i pasztetów z truflami, wędzi się w dymie buryackiego szałasu maże tłustością, poluje na niedźwiedzie i od czasu do czasu czyha, ukryty za krzakiem, na przechodzącego bradiagę, ażeby widokiem krwi jego nasycić wrodzone instynkta pastwienia się nad ofiarami, instynkta, o których dawniej walki na kułaki i pobicie nocnych stróżów, słabe zaledwie dawały mu wyobrażenie (1).

Oprócz buryatów-szamanistów, których krwiożercze chucie, zwierzęcą dzikość i uporną w przyjmowaniu dobrodziejstw cywilizacji naturę staraliśmy się wyżej opisać, zamieszkują jeszcze północne stepy zabajkalskiego kraju i część południową irkuckiej gubernii buryaci-buddaiści. Tego samego szczepu, jednakowego pochodzenia, równi solidarnością krwi i rodu, odróżniają się przecieź od swoich braci, wiarę szamańską wyznających, nietylko charakterem, ale i wszystkimi zewnętrznyimi cechami. Zbawienny wpływ nauki księcia Siderta, pustelnika z Sakyi, który, zostawszy Buddą (mędrce), ogłosił tajemnicę Nirwany, na przestarzałej metempsychozie indyj-

(1) Powyższa historia we wszystkich swych szczegółach jest najzupełniej prawdziwą. Opowiadał mi ją pan R***, akcyzny urzędnik, człowiek godny wiary i zaufania, który znał w Irkucku osobiście ucywilizowanego stepowca, a następnie, jeżdżąc w interesie swego urzędowania po zabajkalskim kraju, był świadkiem niczém nie dającego się pokonać oporu, jaki tenże stawił w przyznaniu swojego ojca i zaparcie się swojej przeszłości.

(Przyp. aut.).

skiego braminizmu, stanowi jedyną przyczynę tego odrębnego ich stanowiska. Zasady buddyjskiej religii, mającej na celu oddalić od każdego stworzenia ból i cierpienie, potępiającej bezwarunkowo wszystko co tchnie okrucieństwem i niesprawiedliwością, nakazującej uszanować życie nawet w wijącym się wśród kału ziemi robaku, były przyczyną, że dzika natura tych plemion wyłagodniała stopniowo pod prądem wyobrażeń więcej duchowych, nierównie moralniejszych, niż zabobonne praktyki szamanizmu. Buryaci, wyznający wiarę buddyjską, brzydzą się swoimi braćmi szamanistami, jako ludźni pogrążonymi w materyalizmie, boleją nad Chrześcianami zmuszonymi w wiecznym życiu szukać nieskończonego cierpienia, wtedy gdy oni, uważając istnienie za nieszczęście a śmierć za błogi spokój, widzą w Nirwanie (nicości) szczyt wszelkiego dobrego i apoteozę wszelkiej pomyślności.

Dodać winienem, że wspomniawszy o wyobrazeniach moralnych buddaistów, południowe strony irkuckiej gubernii zamieszkujących i o poglądzie tych szczepów na inne religie, stosuję to jedynie do ich lamów (kapłanów), którzy mają niejakie pojęcie o zasadach nauki, głoszonej przed dwunastu wiekami przez syna króla indyjskiego Suddodamy; prosty bowiem lud, idąc ślepo po wytkniętej od niepamiętnych czasów drodze, wypełnia wszelkie nakazane buddyjską religią obowiązki, nie wiedząc ich znaczenia, ani zgłębiając zasad, pod powierzchniowymi formami ukrytych. Allegoryczne figury obrządków pojmuje on zmysłowo, materyalnie, a zapytany o wyjaśnienie tych znaków, nie umie żadnej dać odpowiedzi.

W każdym znaczniejszym ałausie (osadzie) buryatów-buddaistów, znajduje się pagoda. Budynek ten, stawiany z drzewa, ma zewnętrzny pozór świątyni chrześcijańskiej na szczycie tylko wyniosłej wieży, miasto znamienia Zbawiciela lub półksiężyca mahometańskiego, widzieć można długą, śpiczastą, ostro zakończoną igłę. Symbol ów znamionuje myśl ludzką i modlitwę zgromadzonych w przybytku wiernych, strzelającą w prostym ku niebu kierunku. W głębi pagody stoi stół ofiarny czyli ołtarz, przed którym lama odbywa religijną służbę. Ofiara, umieszczana codziennie na ołtarzu, składa się z ziarna, soli i kawałka gotowanej baraniny,

napełniających trzy małe szklane lub miedziane naczynia. Dań owa bezkrwawa podobną jest do ofiary zwanéj: „Juge sacrificium,” będącej w użyciu u starożytnych Izraelitów (1). Niedaleko od ołtarza, cokolwiek na prawej stronie, spostrzeżać się daje koło modlitw, maszyna podobna do olbrzymiego młynka czyszczącego zboże w śpichlerzach europejskich, której korbę kręcą kolejno mający się modlić buddaiści (2). Po obu stronach ścian pagody, równie jak i we wgłębieniu około stołu ofiarnego, wiszą obrazy malowane na blasze, lub stoją posągi z drzewa i kamienia: wszystko to są wyobrażenia bóstwa opiekuńczego lub głosiciela praw jego Buddy. Postacie te rażą potwornością swoich kształtów tych, którzy przywykli w swoich wyobrazeniach widzieć estetyczność powierzchniowych form, a nawet idealizowanie ziemskich konturów; dlatego też każdy niemal podróżny, zwiędzający buddyjskie pagody, nie zgłębiwszy natury rzeczy, powstaje bezwarunkowo przeciwko ohydnej szkaradzie owych posągów i malowideł. Monstrualna brzydota rzeczonych postaci nie jest jednakże niczém inném, jak tylko allegoryczną formą, starającą się przedstawić widomie, zmysłowo, moralne przymioty bóstwa. Wszecmocność np. oznaczoną tu jest przez człowieka o mnóstwie rąk, możność widzenia wszystkiego przez podobną figurę, pokrytą, niby starożytny Argus, tysiącem patrzących na wszystkie strony oczów. W posągach Buddy guzy na czole znamionują mądrość, garb na plecach ciężar poświęceń, który niósł na sobie, a pazury u rąk, rogi na głowie i kły wychodzące z ust, liczne przemiany, jakim prawodawca ulegał, nim zdołał potęgą wytrwałości i ofiarą pokuty, zgładzić swoją istność i pogrążyć się na wieki w ciemnościach nirwany.

Podczas trwania obrządków religijnych w pagodach, lamy siedzą zawsze na ziemi, bezwiedni, nieruchomi, z oczami

(1) Numeri c. 28 v. 3. — Exodus c. 29 v. 38.

(2) Maszyna ta napełniona jest wewnątrz mnóstwem małych karteczek, oznaczających westchnienie do Boga. Wznoszenie się i opadanie tych karteczek przy pokręcaniu korbą, stanowi właściwą modlitwę. Rysunek takiéjże maszyny używanej w Chinach był podany w I seryi *Wędrowca*.

wlepionemi w wyobrazenie mędrca, a muzyka, zrazu cicha i zaledwie dosłyszana, przechodzi stopniowo w ogłuszający hałas. Muzyka ta, złożona z kotłów, bębnów, janczarskich talérzy, nadzwyczaj długich trąb i wielkich muszli morskich, opatrzonych świstawkami, jest dzika, wrzaskliwa i nie posiada najmniejszej harmonii. Wszystkie instrumenta do tej przeraźliwej orkiestry sprowadzają buryaci-buddaiści z Pekinu; żadna ważniejsza uroczystość, żaden znaczniejszy obchód nie może mieć miejsca bez użycia owego piekielnego koncertu; często nawet w dniu powszednie bogaci czciciele indyjskiego prawodawcy wzywają do siebie hałaśliwych artystów pagody i kręcąc koło modlitw zdają się lubować w tym chaosie zmieszanych dźwięków. Posty ich, odbywane kilka razy do roku, zależą na zupełnym wstrzymaniu się od wszelkiego rodzaju pokarmów od wschodu do zachodu słońca; w czasie trwania tych postów zachowywanem także bywa bezwarunkowe milczenie. Zaledwie jednak słońce zniknie z widnokręgu, przygotowane naprzód misy z jadłem wypróżniają się nader szybko, a żarłoczność pozbawionych całodziennego pokarmu buriatów nie ma granic i miary; co wszystko, przy nadmiernem użyciu gorących trunków i hulance, będącej zawsze hasłem zakończenia każdego postu, wyradza liczne choroby z przejedzenia i przepicia wynikłe.

Buddyjski lama powinien być wzorem łagodności, cierpliwości i pokory, powinien odznaczać się wstrzemięźliwością, i dawać zawsze z siebie przykład jak zwycięzca należy wszelkie złe nałogi, oddalające myśl człowieka od spokojnego obrazu nirwany. Témbardziej zaś w krajach podległych Rosyji, gdzie religia buddyjska jest zaledwie tolerowaną, gdzie niema owych olbrzymich pagod, służących za mieszkanie niezliczonym tłumom bonzów, którzy przypominają w każdej chwili swojemi łachmanami, plugastwem, nędzną postawą, znikomością rzeczy ludzkich; zadanie powyższe winno być głównym czynnikiem życia duchowieństwa buriackiego. Ale, jak to zwykle bywa na tym świecie, kapłani Buddy, trzymając się powierzchownie przepisów prawodawcy, umieją w danym razie odbiedz od tych prawideł i popuścić wodze swoim zachciankom i namiętnościami. Przedstawiciele wszel-

kich cnót zachowują w czasie obchodów religijnych ową posagową nieruchomość, mającą przypominać wiernym dogmat martwego ubezwładnienia jestestwa, i sądzą, że uczyniwszy się na chwilę automatami, dopełnili swoich obowiązków. Przepisy buddyjskie dla powstrzymania sług ołtarza od zamięłowania materyalizmu i ziemskich rozkoszy, zabraniają lamom uświęcać życie rodzinne przez zawieranie związków małżeńskich; oni więc, stosując się literalnie do powyższego prawidła, nie biorą ślubów w pagodach, ale żenią się prywatnie, a mając po kilka, a czasem kilkanaście żon nieprawych, są przekonani, iż nie naruszyli w niczém dogmatycznej ustawy. Uszanowanie życia w każdym stworzeniu jest jak wiadomo jedną z najgłówniejszych zasad buddaizmu, otóż więc lamy, ulegający drobiazgowo temu przepisowi, noszą zawsze przy sobie naczynie do filtrowania wody służące, które podług ich wyobrażenia chroni od zagłady myriady wymoczków; znajdujących się w każdym płynie; a jednak obok wypełniania niby tak akuratnego woli mędrca, nie pogardzają w czasie uczt i religijnych obchodów pieczonym szaszłykiem z baraniny, ani też surgą, potrawą z młodego kozłęcia przyrządzoną. Zresztą, o ile czują się w świątyni obowiązani do nadania rysom swoim pozorowi niczém niewzruszonej powagi, i zimnej, nieledwie martwej powierzchowności, o tyle po za obrębem pagody, wyrazem twarzy, swobodą ruchu, i wesołości rozmowy, nie odstępują nigdy od przyzwyczajeni i nałogów zwykłych śmiertelników, owszem, starają się ich przewyższyć, i pokazać szczególniej codzoziemcom, towarzyskie swoje przymioty. Nie są oni w niczém podobni do szamanów innych azyatyckich plemion, posiadają pewne wykształcenie, i mogą jeżeli nie wyjaśnić zupełnie, to przynajmniej dać niejakié pojęcie o znaczeniu symbolów księgi Vedas. Lubiąc teologiczne rozprawy, nigdy od nich nie stronią; owszem, z pewnym zamięłowaniem tłumaczą tajemnice nirwany. Przed rokiem, gdy zakończył życie jeden z bogatszych kupców w Irkucku wyznający buddaizm, przybyli do tego miasta na pogrzeb nieboszczyka lamowie, przyjmowali gościnność u rosyjskich mieszkańców i przestępowali progi na sposób europejski urządzonych salónów, a znalezienie się tych ka-

planów pustyni w europejskim gronie, nie raziło tak dalece odrębnością form i zwyczajów tutejszego towarzystwa. Niektórzy z syberyjskich lamów mówią wcale niezłe po rosyjsku; natomiast język mongolski, który z obowiązku wiary swojej znać powinni dokładnie, jest dla nich nader często zupełnie obcym. Buryaci z pochodzenia używają ze swoimi współwyznawcami rodzinnego narzecza, wszystkie zaś ceremonie w pagodach, wykonywane bywają w języku sanskryckim, niezrozumiałym i dla samychże duchownych, czytających mechanicznie przepisy i prawidła w staro-indyjskiej niepojętej dla ogółu mowie.

Powszechnie przyjęty środek zanoszenia prośb do najwyższej istoty, zależy, jak już wyżej powiedziałem, na mechanicznym kręceniu koła modlitw, w którym małe karteczki z literą: „Om“ (westchnienie do Boga) poruszane chwytaczami umieszczonemi w środku pudła, wznoszą się i opadają kolejno. Otóż więc takie maszyny widzieć można bardzo często stojące przy traktach, lub drogach do komunikacji służących, dla użytku i wygody przejeżdżających tamtędy wiernych. Żaden z buryatów-buddaistów nie ominie podobnego młynka bez zatrzymania się przed nim. Ujrawszy narzędzie do zanoszenia modlitw przeznaczone, zsiada z konia, i pokrepiwszy kilka razy korbą, odjeżdża w swoją stronę, przekonany, że tym sposobem dopełni wszystkich religijnych powinności. Niektórzy z nich, szczególnież zaś ci, którzy pragną odznaczyć się bogobojnością, posiadają w swoich izbach podobną maszynę, lecz w daleko mniejszych rozmiarach. Sprzęt ten, zbliżony kształtem do pozytywki, stoi zwykle pod ręką właściciela, który od czasu do czasu, stosownie do usposobienia lub chwilowej fantazyi, porusza korbą religijnego instrumentu. Nie czyni on tego z namaszczeniem, jakie zdawałoby się być koniecznym przymiotem przy odbywaniu najważniejszych obowiązków wiary, ale zupełnie mechanicznie, myśląc o czém inném, paląc fajkę, przyjmując dzienny posiłek, lub nawet rozmawiając z otaczającemi go osobami o najprozaiczniejszych przedmiotach.

Izby buryatów-buddaistów, budowane z drzewa na sposób europejski, odznaczają się czystością i ochędóstwem.

Oprócz koła modlitw i posągu Buddy, widzieć tam można znaczną ilość kufków stojących przy ścianie i mnóstwo domowych sprzętów, jakoto misek i talerzy miedzianych, herbatniczek, rądelków i t. p., poustawianych symetrycznie na półkach. Kufry te, których olbrzymie rozmiary uderzają na wstępie wzrok przybysza, są wewnątrz puste i nie zupełnie, pomimo podwójnych częstokroć kluczów i zamków, w sobie nie zawierają; fenomen ów wypływa z charakteru irkuckich buryatów, którego słabą stroną stanowi chęć udawania się za bogatszych niż są w istocie, i przybierania wszelkich pozorów zamożności, jaka częstokroć nie jest wcale ich udziałem. Z najmniejszą posiadaną drobnostką lubią się oni przed gościem pochwalić, radzi jeżeli zdołali obudzić zawiść w sercu sąsiada; sztukę nawet prostej materij kupioną w Irkucku dla żony, lub chustkę podarowaną córce, nie pozwalają chować w owych wiecznie zamkniętych kufkach, lecz każą rozłożyć na pokaznym miejscu, ażeby każdy z wchodzących powziął na wstępie przychylnie wyobrażenie o ich finansowych środkach. Rzeczywiście jednak zasoby materialne tych ludzi nie są nigdy zbyt wielkimi: naród ten nieobrotny, do handlu niesposobny, nie zdołał w żadnym razie przy najlepszych nawet chęciach, zająć stanowiska jakie daje bogactwo i zamożność. Obok jednak zupełnego braku przebiegłości, są oni w stanie przejmować łatwo wszelkie postronne wrażenia, i nadzwyczajnie bywają chętni do zbadania każdego nowego, nieznanego im poprzednio przedmiotu. Wrodzona ciekawość, troskliwe wypytywanie się o wszystko, tłumiony przywiązaniem do starych zwyczajów popęd wyjścia ze sfery, w której żyją, dałyby nadzieję prędkiego ucywilizowania téj odrośli buryackich szczepów, gdyby ślepe przywiązanie do zasad buddaizmu nie stawiało niepokonanej niczem przeszkody. Jedyną trudnością w zbliżeniu się moralném z dzikimi szamanistami jest niezmierna rozległość stepów, wśród których rozsiane bywają ich koczowiska: jeżeliby ta geograficzna przyczyna usunięta została, wszystkie plemiona wyznające szamanizm przechodząc nieznacznie i stopniowo na łono kościoła Chrystusa, zlałyby się w końcu z napływową ludnością

Syberyi. Inna jest rzecz z wyznawcami zasad Buddy: tam podstawy czysto duchowe, wybrażenie owego cichego, niewzruszonego spokoju, tyle pożądanego dla nieruchliwej natury irkuckich buryatów, a nadewszystko zaś ciągły wpływ ich kapłanów, górujących pomimo swoich wad i usterek nad szarlataneryją i kuglarstwem szamanów, stanowią opokę, o którą rozbijać się zawsze będą wszelkie przedsięwzięte w tym celu usiłowania.

Przedstawwszy zarysy charakterów dzikich buryatów zabajkalskich i opis obyczajów jakoteż religijnych zajęć buryatów-buddaistów południowe strony gubernii Irkuckiej zamieszkujących, obrócimy się na zachód, powędrujemy wzdłuż granicy chińskiej, na południowe krańce Jenisejskiej gubernii. Tam żyją Sajańcy i Mongoły, skarłowaciałe potomki potężnego niegdys i wojowniczego narodu.

Przed kilkoma wiekami, wtedy, gdy haństwa kirgizkie i tatarskie szerzyły postrach w sąsiednich narodach azjatyckich, jedna Mongolia nie tylko opierała się zaborczym ich zachciankom, ale potęgą swoją równoważyła nawet znaczenie silnego jak ona orężem, lecz wyższego daleko cywilizacyą mocarstwa chińskiego. Z upływem czasu stało się to, co się zwykle dzieje, gdy na szalę materyjalnej równowagi dorzuconym zostanie wpływ jaki wywiera wykształcenie, nauka, polityczny rozwój, którego państwa, nad dzikimi, ufającymi jedynie w potęgę miecza sąsiadami. Mongolia podbita przez Mandżurów, zamienioną została w prowincyę Chin. Zakres niniejszego artykułu nie pozwala nam wchodzić w szczegóły dotyczące historii tych krajów: jeżeli wspominaliśmy powyższe fakta, to tylko dlatego, że w czasie przyłączenia Mongolii do obszarów państwa niebieskiego, jakaś cząstka koczujących plemion wysunięta na północ, pośród olbrzymich i niedostępnych gór Sajańskich została zapomnianą przez mandarynów, reorganizujących nowo wcieloną prowincyę, i żyjąc przez długie lata oddzielnie, podpadła w końcu zeszłego stulecia pod władzę imperyum rossyjskiego. Cząstka ta mongolskich pokoleń jest nieliczną, a z powodu nieokreślonej w tych stronach faktycznie granicy, i przenoszenia się cią-

głego z miejsca na miejsce jurtsajańskich, żadna z rodzin składających je nie wie dokładnie do którego kraju należy, i jakiej zwierzchności podlega.

Sajańcy i Mongoły zaludniający południowe krańce okręgu minusińskiego, mając wszystkie powierzchowne cechy swojego rodu, z dołączeniem oznak, jakie im nadało pomieszanie się z Mandżurami, nie są dziś tém czém byli ich przodkowie przed laty. Charakter wyłącznie wojenny tego potężnego ludu zmieknął pod wpływem wiekowej stagnacji i odosobnienia od reszty świata, zaborcze ich popędy ustały, wytrwałości i energii śladu niema, a co najdziwniejsza, osobista odwaga, ów przymiot odznaczający zawsze ludzi w stanie natury żyjących, przestał oddawna być ich udziałem. Wszystkie bez wyjątku pierwotne plemiona Syberyi, przy swych wadach i zboczeniach, wyróżniają się nieustraszoném mężstwem, i niezważającą na żadne niebezpieczeństwo śmiałością; Sajańcy przeciwnie, potomkowie jednego z najdzielniejszych narodów, są obecnie trwożliwi i wyleknieni, gotowi w każdej chwili szukać ocalenia w haniebnej ucieczce. Chytrósć i czysto azjatycka przebiegłość czyni tych inorodców niebezpiecznymi przeciwnikami w sprawach obrotu targowego, spekulacyach i zamianach handlowych; zaledwie jednak odwaga ich wystawioną zostanie na próbę, stają się odrazu pokornymi i gotowymi uczynić wszystko, czego się od nich zażąda. Dobrocią i łagodnością nikt z nimi niczego nie wskóra, natomiast widok rewolwera lub dobrze wyostrzonego noża, a nawet głos podniesiony, ton rozkazujący, oddziaływa zba- wiennie na ich przekonania.

Przed kilkoma laty jeżdżąc wzdłuż chińskiej granicy w interesach handlowych, i przebywając często w koczowiskach sajańskich górali, miałem sposobność poznać charakter tych ludzi. Przy zupełnym braku gościnności, przy spaczonych wyobrażeniach o poszanowaniu cudzego dobra, przy zarodach nawet prowadzących do zbrodni, tchórzostwo ich tak jest wielkiem, że dwóch europejskich wędrowców dobrze uzbrojonych i czuwających kolejno nad sobą, może bezpiecznie przebywać te dzikie okolice, nie będąc narażonymi na utratę życia.

Okolice, w których żyją, odznaczają się niezrównaną pięknnością przyrody, ale ta piękność nie ma nigdzie owych zachwycających krajobrazów nadamurskiej ziemi; jest ona dziką, budzącą podziw i trwogę. Ani śnieżyste wierzchołki Alp szwajcarskich, ani strome szczyty Pireneów, nie mogą dać wyobrażenia o tych gwałtownych załamkach granitu, o tych fantastycznych konturach kamiennych cyplów, o tej ponurą całości, zdającej się nie mieć ni granic ni końca. Jest to ogrom straszny, posepny, przed którym drobnieją myśli i stygnie wyobraźnia, jest to chaos wystrzelających w górę skał, poplątanych konarów drzew, szumiących z hukiem potoków, niezgłębionych przepaści, w obec którego człowiek, ów król przyrody maleje i znika. Jurty Sajańców pokryte białą korą brzozy lub skórą zwierząt, raz pogrążone w głębi dolin, drugi raz znowu jako gniazda dzikiego ptastwa przyklepione do skał, bieleją tu i owdzie, niby zaledwie dojrzone okiem punkciki w pośród olbrzymich kształtów gór. Mieszkańcy tych siedzib tak przywykli do ponurą wspaniałości natury, że wyszedłszy na otwarte pola, nie mogą zrazu pojąć co się z nimi dzieje: zdziwieni, niespokojni, zdają się do koła siebie szukać owych ścian granitowych, oddzielających od reszty świata kolebkę ich życia. A życie to zajęte naprzemian polowaniem, rybołówstwem i pasieniem owiec, byłoby cichem, i zupełnie odosobnionem od reszty świata, gdyby nie ich namiętność do handlu, a raczej niczemu niepohamowana chęć oszukania pierwszego lepszego popadłego w ich sidła człowieka; zamiany bowiem prostą towaru z przyzwoitym zyskiem, nie pojmują oni wcale, i wtedy tylko czują się szczęśliwymi, gdy sądzą, że zdołali złowić cudzoziemca na swoje samorodne, nader często widoczne sztuki. Jeżeli chytrość i przebiegłość nic nie pomoże, uciekają się do kradzieży, a gdy takową pomyślnym uwieńczoną zostanie skutkiem, lubią wychwalać swoją zręczność w przyswojeniu cudzej własności.

Ubiór Sajańców i Mongołów nadgranicznych nader jest zbliżonym do stroju prostych klas mieszkańców państwa niebieskiego. Długa opończa ze stanem niżej bioder, obowiązuje z zakrzywionymi w górę końcami lub grubymi podeszwami,

i kapelusz skórzany z podniesionymi na sposób chiński skrzydłami, stanowią jego całość. Głowy wszyscy mężczyźni bez wyjątku gołą, niektórzy tylko, lecz to są rzadkie wyjątki, zapuszczają w środku czaszki warkocz spadający im na plecy. Ci, którzy to czynią, należą do wyznawców buddaizmu. Oprócz tych nielicznych osobistości, Sajanicy w ogóle podlegają Szamanom. Buddyjski lama z Uliasutaja, obronnego miasta w Mongolii, nigdy nie przyjeżdża w te strony, sądząc zapewne, że dla kilkudziesięciu czcicieli Buddy nie warto zadować sobie trudów i pracy; natomiast oni raz w rok udają się do Uliasutajskiej pagody, w celu odbycia obowiązków do swojej wiary przywiązanych. W jurtach ich znajduje się niezgrabnie z drzewa wyciosany posążek mędrca pokolenia Sakija, któremu składają kilka razy w miesiąc ofiary, i palą wonne kadzidła. Obrządki sajańskich szamanistów w niczem prawie nie wyróżniają się od podobnych praktyk wykonywanych przez Tunguzów; jedyną cokolwiek odmienną ich cechą stanowi Gonia, rodzaj baby znachorki, dodawanej częstokroć szamanowi do pomocy przy leczeniu i zaszeptywaniu chorób, i Zig, etatowy trefniś aury, mający obowiązek rozweselania i zabawiania całych pokoleń w czasie igrzysk, wyprawianych na uczczenie białego boga, lub obchodów weselnych. Gonia, jest to po prostu staruszka chuda, wyżółkła, najczęściej garbata, przypominająca rysami swojej fizjonomii schakespearowskie czarownice w Makbecie, bez porównania mniej znająca leczebne własności roślin od szamanów, lecz ciągnąca natomiast nie małe zyski z trwogi, jaką obudza przez przypisywaną sobie własność rzucania uroków. Zig zaś przedstawia się zawsze jako oryginalna figura, pokryta dzwoneczkami, namazana węglem, prawiąca rozmaite koncepta, i tem nie zrozumiała, że stanowiąc niejako religijny dodatek do niektórych obrzędów, jest zarazem postacią obudzającą pogardę. Z wspomnianym pajacem step, żywionym i utrzymanym kosztem aury, nikt nie ma żadnych stosunków przyjaźni, życzliwości; nikt do niego nie zagada, nikt mu ręki nie poda, wiedząc że każde zbliżenie się do pociesznego człowieka, uważanem jest za hańbę i ujmę osobistej godności.

Takimi są charakter, obyczaje i sposób życia Sajańców zaludniających południowe krańce minusińskiego okręgu, i nieoznaczone granicą przestrzenie, które przestawszy być Chinami, nie mogą być przecież uważanymi za część składową Syberyi. Nieliczne to plemię, stanowiące samo w sobie pewną odrębną całość, wiąże się jednakże nieprzerwanym łańcuchem z różnymi odrosłami mongolów, aż w końcu po za Ugri zléwa się stopniowo i nieznacznie z rasą mandżurską. Począwszy od Uranchajców rozpościerających swoje koczowiska po za Dżyndzylikiem i około Uliasutaja, aż do Uranchutów podległych Ugryjskim haństwom, ileż to w środkowej Mongolii pokrewnych szczepów, podobnych między sobą, a różnych dopiero w miarę stopniowego oddalenia od siebie; Sajańskie plemię jako wysunięta naprzód wedeta, rysuje pierwszą ostrymi kontury ów typ nękający następnie w licznych odcieniach i rozpluwający się w końcu w obszarach Chin. Wspólność przeznaczeń dwóch odmiennych pokoleń złączonych ze sobą losami wojny, równoważy się ciągle: Chiny potęgą cywilizacji wynaradawiają Mongolią, Mongolia znowu potęgą swojej przeszłości wywiera wpływ na rządy całego kraju, mając u szczytu władzy jednego ze swych potomków (1). Wojna domowa, która obecnie rozdziela ludy państwa niebieskiego na dwa przeciwne sobie obozy rozstrzygnie stanowczo tę kwestyą, nim jednak rezultat nastąpi, upłynie wiele czasu, a działania wyższości naukowej Mandżurów na dzikie mongolskie obyczaje jest tak wielkim, parcie moralne tak ciągłym i bezprześcannym, że pierwiastki te coraz więcej zlewają się w swoich krańcach, i dziś już trudnoby było oznaczyć etnograficzną granicę pomiędzy obszarami właściwych Chin, a przyłączonej do nich prowincyi.

Opisując Sajańców, plemię nieliczne, żadnego niemające znaczenia w historii ludów wschodnich, lecz ważne o tyle, że stanowi niejako ogniwo długiego łańcucha, utworzonego z dwóch pod jednym berłem żyjących narodowości, odbie-

gliśmy cokolwiek od naszego zadania. Czas więc nam powrócić do przyjętego programu, i przedstawić w następnym ciągu szereg piérwotnych pokoleń syberyjskie ziemie zaludniających.

Otóż więc w dalszym toku naszego opowiadania, zajrzymy do środkowych obszarów Syberyi, gdzie mieszkają nader liczne i odrębne znowu swojemi cechami, charakterem, a nawet powierzchnowością szczepy Jakutów. Prowincya jakucka, główna i jedyna ich ojczyzna, należy także do ziem najmniej znanych w Europie. Rzadki podróżnik, który w celach naukowych postanowił zwiedzić Syberyą, dociera zwykle do Irkucka, i po za ten punkt kulminacyjny, stanowiący niejako krańcowy objaw cywilizacji europejskiej nad semitami Azji, nie śmie posuwać swoich wycieczek. Poczty bowiem trakt przerywający północne części gubernii irkuckiej, ciągnie się jeszcze do miasteczka a raczej lichój osady Kiryńska. Dalej poza Kiryńskiem dwie lub trzy stacye, można w ostatecznym razie przebyć-kilkadziesiąt wiorst na kołach, i tu już wszystko, przypominające choć cokolwiek starą Europę, kończy się nagle. Naturalną przeszkodą sposobu podróżowania, do którego wędrowiec od młodych lat przywykł, stanowi olbrzymie ramię rzeki Leny przecinające, wszelkie komunikacje i zdające się mówić: „nie pójdiesz dalej!“ Ale to pierwsze wrażenie, jakie sprawia zwykle widok stromych i spadzistych brzegów jednej z najwspanialszych rzek w Syberyi, niknie pod naciskiem konieczności; w tym punkcie bowiem, w którym się kończy wszelka wytknięta na lądzie droga, biorą początek odrębne zupełnie środki komunikacyjne, łączące przebyte dotąd kraje z jakuckimi obszarami. Latem, ci których los, zajęcia handlowe, lub téż obowiązki urzędowania, zmuszają do dalszej podróży, wsiadają na zbite z belek tratwy, lub na obszerne łodzie i puszczają się korytem Leny w wschodnim kierunku. Zimą, toż samo koryto, lecz pokryte grubą powłoką lodów, staje się linią, po której wężykowatych skrętach suną maleńkie saneczki przez psów ciągnięte, niosąc podróżnych w środek niezmiernych, zdających się nie mieć końca przestrzeni. I letnia, i zimowa podróż bywa straszną, męczącą, prawie niepodobną dla człowieka

(1) Obecnie panujący cesarz chiński Ki-tsiang, jest pochodzenia mongolskiego.

nieprzyzwyczajonego do tak wielkich trudów. W czasie kanikularnych upałów lata, palące promienie słońca, zjadliwe roje wszelkiego rodzaju owadów, pragnienie, brak sił, dokuczają niemiłosiernie; w zimie mróz podbiegunowy, zawieje śnieżne, lub szalone uragany hulające po stepie, nie dają chwili upamiętania się, odpoczynku, swobody. Tak w jednej jak i w drugiej porze, brak najwyczejniejszych potrzeb życia, jest katuszą, mogącą być pojętą przez tych tylko, których przeznaczenie rzuciło w te dzikie ostępy. Po obu brzegach Leny widzieć się dają od czasu do czasu jurty Jakutów, stanowiące w tej pustyni niby żywotną arterią, która słabem tętnem oznacza istnienie człowieka. Ta linia korytem rzeki nakręslona, jest jedynym miejscem przez ludzi zamieszkałym; za nią nie ma zupełnie nic, oprócz niezmiernych przestrzeni, sięgających kończynami swemi oceanu Lodowatego. Jakuty, trzymając się okolic olbrzymiej Leny, robią liczne wycieczki w głąb tajemniczych obszarów, lecz nie śmia nigdy zapuszczać się zbyt daleko, wiedzą bowiem bardzo dobrze, że chwila, w której zabraknie im wziętych ze sobą zapasów żywności, stanie się początkiem powolnego skonu, przedwstępem niewypowiedzianych męczarni, zakończonych straszną śmiercią głodową.

Żyjąc od wieków w tej pustyni, nie mając z napływowemi plemionami innych stosunków oprócz tych, jakie wynikają przez dostarczanie ryby i zwierzyny podróżującym po Lenie wędrowcom, Jakuty zachowali bez żadnej skazy pierwotny typ swojego charakteru; żaden obcy pierwiastek nie przymieszał się do ich obyczajów, sposobu życia i nawyków, żadne odrębne na pół ucywilizowane postacie, nie wynurzają się z ich łona. Prości, spokojni, cisi i nadzwyczajnie cierpliwi, nie rządzą się nigdy namiętnością, nie podlegają gwałtownym uczuciom zemsty lub zawiści, nie znają czém jest chytróść, fałsz i obłuda. Na słowie wyrzeczonem przez nich można zawsze polegać, na daną obietnicę rachować, na każdym zapewnieniu swą wiarę gruntować. Prawość tych ludzi jest tak niewzruszoną, że w dziejach ich cichego żywota nigdy nie miał miejsca żaden podstęp, oszukaństwo, a tém mniej występki lub zbrodnia. Jeżeli owa szlachetność uczuć jest darem natury, za to z niczem niemożącą iść w poró-

wanie cierpliwość wypływa po większej części z przyczyn klimatycznych i atmosferycznych. Zdanie powyższe opieramy na ogólnych etnograficznych studyach. Wszystkie narody osiadłe wysoko na północy odznaczają się tym przymiotem. Charaktery Lapończyków, mieszkańców Islandyi, skalistych krańców Norwegii, noszą po większej części cechy owęj biernej, uległej, jagnięcej, że się tak wyrażę cierpliwości. Czynnikiem działającym na zniwelowanie wszelkich wewnętrznych objawów jest mróz podbiegunowy, krystalizujący każde gwałtowniejsze poruszenie krwi, każde silniejsze cokolwiek uczucie: pod wpływem tego parcia oziębionej atmosfery, chłodnieją wrodzone ludziom popędy żywości, stygną namiętne porwy, a rzucony losem przeznaczenia w podbiegunowe strefy człowiek staje się automatem, równie nieczułym na zimno jak na doznaną obrazę, przyjmującym równie obojętnie śnieżystą zawieję jak niezasłużony policzek. Cierpliwość, która u nas uważaną jest za cnotę, bo wyradza się z siły moralnej, umiejaczej zapanować nad wzburzoną krwią, stanowi u tych synów północy ujemną stronę ich charakteru. Trudno nie litować się, widząc tych biédaków przyjmujących z pokorą najdotkliwsze nieraz, a zawsze niezasłużone obelgi i prześladowania od przejeżdżających po Lenie kupieckich przykaczyków, lub wysłanych w skarbowym interesie biuralistów. Pogardzać jednak nimi niepodobna: oni tego nie czynią dla braku osobistej godności, ale przez apatyą graniczącą z umysłową bezwładnością. Zawsze cisi, łagodni, uśmiechnięci, przyjmują zarówno złe i dobre z jednakową wiarą w sprawiedliwość wszystkiego co ich spotka.

Trafia się częstokroć, że jednostajność podróży na tratwie, brak wszelkiego zajęcia, a najbardziej przekonanie o zupełnej bezkarności, doprowadza gburowatych i pozbawionych wszelkiego uczucia ludzkości subiektów handlowych do czynów, przechodzących granice nieprzyzwoitych żartów, czynów, które możnaby nazwać okrucieństwem, a jednak i wtedy niezrównana cierpliwość Jakutów zostaje niezachwiana.

Opowiadano mi następujące zdarzenie.

Przeszłego roku kilku przykaczyków irkuckich, wysłanych zostało przez swoich pryncypałów w celach targowego obrotu

do Jakucka. Przebywszy lądową drogę, wsiedli, jak się to zwykle letnią porą dzieje, po za Kiryńskiem na obszerną tratwę, i wraz ze swoimi przewoźnikami, towarem, wozzakiem (retmanem) puścili się korytem Leny. Podróż ta wydawała się hulakom irkuckim, przywykłym do rozrywek wielkiego miasta, nudną i jednostajną, a pomimo wysączonój już do połowy beczki z wódką, zużytych kilkunastu talij kart, i niesłychanej ilości szturchańców, jakie w przyjacielskiem swém gronie pomiędzy sobą wymienili, nie wiedzieli jakim sposobem zabić dalej dłuży się ciągle czas. Na szczęście rozsiane nad brzegami rzeki jurty Jakutów, dostarczały im zwykle używanych w podobnych razach rozrywek. Wysiadając co kilka godzin na ląd, pod pozorem zakupu ryby lub zwierzyny, używali tych chwil na dokuczanie wszelkimi sposobami, siedzącym spokojnie przed swojemi siedzibami inorodcom; ale wszystkie ich zarty, nader częstokroć dotkliwie rozbijały się o stoicką cierpliwość i niewzruszoną łagodność zahartowanych na podobne próby stepowców. Zawsze uśmiechnięci, nisko kłaniający się Jakuci, żegnali ich tak mile, tak przyjacielsko, jak gdyby miasto przykrości doświadczali od przybyszów najżyczliwszego obejścia. Ten bierny charakter, ten brak wszelkiego oporu, ta pozorna nieczułość, nie mogły zadowolić pijanych najczęściej i szukających burd przykaczyków. Znudziło ich prześladowanie istot, zdających się nie czuć owego prześladowania, i zniecierpliwieni swemi zwycięztwami bez walki, zostawili w spokoju cichych mieszkańców pustyni. Ale dni, tygodnie, wlokły się z przerażającą powolnością; drugi miesiąc nastąpił od chwili jak wsiedli na tratwę, a podróż po Lenie zdawała się nie mieć końca. Rozbolały ich głowy od ciągłego picia, sztos i stukółka przestały zajmować, przyjacielskie nieporozumienia nie miały już dawnego uroku; cóż więc czynić, czém się zając, jakim sposobem zabić nużącą jednostajność?

— A gdyby jeszcze popróbować z Jakutami? rzekł jeden z nich.

— Napróżno. Wszak widzieliście: to kamienie, nie ich nie poruszy.

— Rozzłościć?

— Niepodobna, oni się gniewać nie umieją.

— Boście nie użyli wszystkich sposobów. Gdybym tylko chciał...

— Co? możebyś dał nam uciechę zobaczyć doprowadzonego do fury Jakutę? Rzeczywiście byłby to ciekawy widok: na nieszczęście nikt z nas nie jest w stanie tego wykonać.

— Wyjąwszy mnie.

— Trzymasz zakład? krzyknęli inni.

— Trzymam o co chcecie.

I stanęła umowa. Bohatorem gotujących się turniejów był pomocnik handlowy barczystego wzrostu, z czerwonym nosem, o ochrypłym od opilstwa głosie, słynny w całym Irkucku szermierz przyjacielskich balików, znany powszechnie zwolennik burd, awantur i wszelkich pięściowych zapasów. Szrankami do rozpoczęcia tyle niewinnej zabawy miała być pierwsza lepsza auala, rozciągająca się nad brzegami Leny.

Wkrótce po téj rozmowie ujrano bielejące w oddaleniu jurty inorodców; zaspane i znudzone oblicza przykaczyków zabłysły nowém życiem, nadzieja spodziewanej rozrywki wyrwała ich odrazu z odrętwienia, w jakie stopniowo przez bezczynność, nadużycie gorących trunków i długość podróży popadli. Wszyscy porwali się z miejsc swoich, oczekując niecierpliwie chwili wyładowania.

Nareszcie wozzak podniósł wiosło do góry, ogromna tratwa przybiła powoli do brzegu, a znajdujący się na niej podróżni, wraz ze swymi pomocnikami wyskoczyli na ziemię.

Wśród niewielkiej doliny, otoczonej skałami, sterczało kilkanaście jurt, tworzących półkole. Przed każdym z tych improwizowanych mieszkań pustyni, można było widzieć rodziny jakuckie, wylegające się spokojnie na słońcu. Niektórzy z nich ujrawszy nowo przybyłych, powstali z miejsc zajmowanych przez siebie i postąpiwszy naprzód, ofiarowali pokornie swoje usługi. Buńczuczny przykaczyk spojrział po wszystkich otaczających go postaciach, szukając najodpowiedniejszej dla swoich doświadczeń ofiary. Jako człowiek nie lubiący półśrodków i drobiazgowych tryumfów, pragnął wygrać zawarty zakład z chwałą. Wspaniałomyślny ze swoimi przeciwnikami, wybrał indywiduum zdające się mieć w aule

pewne znaczenie. Był to mężczyzna lat średnich, o długich czarnych włosach, spokojnym i poważnym wzroku, któremu inni inorodcy okazywali niejakię względy.

— Héj, ty kudłaty, krzyknął: „przystąp tu bliżej!“ (1)

Wywołany, porzucił natychmiast sieci których naprawą był zajęty, i kłaniając się nisko przystąpił do niego:

— Miły bracie, dlaczego u ciebie nos taki mały? Dawaj, wyciągnę a może wyrośnie.

I mówiąc to, herkulesową pięścią chwycił za nos Jakutę.

On uśmiechnął się tylko, niby dzielając niewinną a wesołą pustotę, i ani jeden muskuł jego twarzy nie zdradził wewnętrznego niezadowolenia. Widząc że zwykłe sposoby żartowania nie pomagają, przykaczyk wymyślał z kolei coraz więcej dokuczliwsze facecye: chlusnął biedakowi w twarz zimną wodą, nalał na głowę smoły, nasypał w usta tabaki; słowem próbował wszelkich w podobnych razach używanych dowcipów, dających miarę wykształcenia i moralnego rozwoju klasy ludzi, do której należał.

Ale ofiara tych igraszek uśmiechała się tylko dobroduszenie, a otaczający powyższą scenę inorodcy, dzielali ogólną wesołość.

Doprowadzony do niecierpliwości zawadyka, podburzony obawą przegrania zakładu, zamienił początkowe swe żarty w nader bolesne operacye.

Uśmiech znikł z twarzy Jakuty, wyraz cierpienia wypiętnował się w jego rysach: otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale widocznie nie wiedział jak określić myśl swoją.

— Przestań, szepnął do ucha zajętego fizycznemi doświadczeniami przykaczyka, najbliżej stojący przyjaciel. On chce mówić: doprowadzony nareszcie do ostateczności stepowiec zwymyśla cię niezawodnie, i wygrałeś zakład.

Uderzony słusnością téj uwagi operator, puścił nieszczęśliwego i spojrzawszy na niego wyzywającym wzrokiem, zapytał groźnie:

(1) Przykaczyki wysyłani do Jakucka, obznajmieni są prawie wszyscy z narzeczem Jakutów.

(Przyp. aut.).

— Czy ci się przypadkiem nie podobają moje żarty?

Biédak obrócił ku niemu pełne łagodności oczy i rzekł nieśmiało:

— Owszem, bardzo mi się podobają, ale...

— Ale co?... przerwał tenże, ciesząc się już nadzieją wygranej.

— Ale ja mam do ciebie prośbę... Pozwól mi krzyknąć przy dalszém zabawie...

Wyrazy powyższe uderzyły jak gromem przygotowanego do zwycięstwa przykaczyka.

— Przegrałem zakład! zawołał rozgniewany. Jedźmy dalej: niema tu co robić.

I wesołe grono wsiadło na swoją tratwę wraz z zawadyką, narzekającym głośno na niedołęztwo inorodców, skutkiem którego, pomimo wszelkich usiłowań, zmuszony był zapłacić trzymającym zakład towarzyszom dosyć znaczną sumę pieniędzy.

Obrazek powyższy tak odbiega jaskrawością swoich barw od wszelkich wyobrażeń jakie my Europejczycy utworzyli sobie zdolamy o charakterze ludzkim, że dla każdego nieznanego dzikich plemion koczujących wśród prawiczych ziem północnych, wyda się nienaturalnym, przesadzonym i do uwierzenia niepodobnym. Tam niema ogólnej normy, jaką powszechna budowa społecznego bytu nadaje narodom; tam każde plemię podległe warunkom innego klimatu, innych zewnętrznych wpływów, różnych nieokreślonych okoliczności, formuje się samo w sobie, i przyjmuje oddzielne zupełne cechy, a cechy te, doprowadzone zawsze do ostateczności, rzązą ostrością swoich zarysów. Czyż może być, naprzykład coś bardziej różnorodnego, jak dziki szał zabajkalskich Buryatów i apatyczna cierpliwość Jakutów—szatańska chytrość Gilliaków i dobrodusza życzliwość Tunguzów lub Tatarów. Podobne krańcowości mają miejsce nie tylko w Syberyi, lecz wszędzie, gdziekolwiek rozwój społeczny nie rozlał na ogół praw niwelujących indywidualne dążności. Historia odkrycia Ameryki i następne wycieczki do nowego świata, dają nam liczne tego przykłady; zawijające kolejno do nieznanych ziem wyprawy Kolumba, kapitana Cook'a i innych podróżników,

znajdowały w każdym punkcie swego wylądowania zupełnie odmienne charakterem i dążnościami szczepy: raz spotykały ludożerczych Karaibów, drugi raz łagodnych i przyjacielskich Irokezów; — tam Mandany zamieszkali nad brzegami rzeki Missuri, przyjmowali białych przybyszów jako nadprzyrodzonych wybawicieli, tu znowu krwiochciwi Szawanesy i Kannibale zgładzali nieprzygotowanych do napaści majtków, uderzeniami swych tomahawków: słowem, gdzie tylko Europejczycy wysiedli na ląd, wszędzie spotykali pomiędzy dzikimi plemionami Ameryki pokolenia, różnych charakterów, dążności i usposobień. A jednak te rozliczne szczepy należały do jednej wielkiej rodziny czerwono-skórych Indian, gdy tymczasem ludy północną Azyą zamieszkujące, aczkolwiek pokrewne, pochodzą z ras niemających początkowo nic wspólnego pomiędzy sobą. Plemiona uralsko-ałtajskie, kurylskie, staro-kamczackie, fińskie, mongolskie i mandzurskie, stanowiły przed wiekami oddzielne narody, i jeżeli w obecnym czasie nie społecznego bytu i cywilizująca dążność rządu, wiąże pomiędzy sobą te samorodne pierwiastki, to ze względu na pierwotne ich pochodzenie, dziwić się nie możemy, widząc w potomkach odwiecznych szczepów, odmienne zupełnie obyczaje i narowy.

Jakuty są w ogólności wzrostu niskiego, krepki, w poruszeniach swych niezgrabni. Będąc z natury towarzyskimi, żyją pomiędzy sobą nader zgodnie: zajęcia ich, jak wszystkich w ogóle azjatyckich plemion, stanowią: polowanie i rybołówstwo; lecz zajmując się połowem ryb dla materialnych korzyści, a myślistwem częstokroć także i dla zabezpieczenia własnego życia przed dzikimi zwierzętami, nie znajdują przy wycieczkach swoich w głąb pustyni lub zarzucaniu sieci na ustępach Leny, takiej przyjemności jak inne pobratymcze im szczepy. Czynią to więcej z potrzeby niż z zamiłowania, najmiłszą bowiem ich rozrywką, szczególnie w czasie długich nocy zimowych, jest zgromadzanie się po jurtach, i słuchanie opowiadań samorodnych baśni przez biegleszych w tym fachu gawędziarzy dokonywanych. Jeżeli cudzoziemiec znający narzeczę jakuckie lub mający przy sobie biegłego tłumacza, zawita do jurty w czasie podobnej wieczno-

rynki, i sądzi iż natrafił nareszcie na tyle pożądane źródło do tradycyi i legend ludowych tych dzieci północy, to zaraz na wstępie zawiedzionym zostanie w swoich oczekiwaniach. Opowiadania Jakutów, nie będące ani historią ani podaniem, ani nawet utworem wyobraźni, są zbiorem mnóstwa powtarzających się co chwila frazesów, nielogicznie zestawionych a niemających przytém żadnego związku, celu, początku, końca. Zwykłym tematem tych gawęd bywa rozmowa człowieka ze zwierzętami, rozmowa bezsensowna, w której niepodobna dopatrzeć jakiegobądź przewodniczącej myśli. I tak np. człowiek idzie, idzie, idzie, idzie, (wyraz ten, dla oznaczenia długości wędrówki powtarza się kilkadziesiąt razy), i spotyka biegnącego po nad drogą wilka: „Wilku, gdzie ty się udajesz?“ „Szukać żeru, bom głodny, i wilecyca moja głodna, i wileczątka moje głodne.“ Usłyszawszy tę odpowiedź człowiek znowu idzie, idzie... (następuje powtarzanie wyrazu „idzie“ do nieskończoności) i dostrzega lecącego orła „Orle, gdzie ty lecisz?“ „Szukać żeru, bom głodny, i orlica moja głodna i orlątka moje głodne.“ I tak ów człowiek idący ciągle, spotyka kolejno wszystkie znane w tej sferze zwierzęta, każdemu z nich zadaje to samo zapytanie, i od każdego odbiera jednakową odpowiedź. Zwierząt po tajgach jest mnóstwo, opowiadający czuje się w obowiązku żadnego z nich niepominać, poczynając od olbrzymiego łosia, aż do drobnej, zaledwie gołem okiem dojrzanój muszki; dlatego téż gadanina jego trwa najmniej kilka godzin, a przecież słuchacze nie bywają nigdy znużeni tém bezprześcanném powtarzaniem się jednych i tych samych frazesów, i zdają się z niewypowiedzianą rozkoszą chwycić każdy wyraz wychodzący z ust uprzywilejowanego w aule narratora. Obecny przy podobnym opowiadaniu cudzoziemiec ma zawsze przekonanie, że koniec jakuckiej powieści ozdobiony zostanie jakim konsekwentnym wywodem, jakim zwrotem zawierającym w sobie choć ciekawą moralną naukę; cieszy się on nadzieją, że ów człowiek, co wędruje ciągle i odbiera od wszystkich spotkanych zwierząt jednakową odpowiedź, pomyśli nareszcie, że i jemu należy tak samo postąpić i naśladować swoich skrzydlatych lub czworonożnych sąsiadów w szukaniu potrzebnego do utrzy-

mania życia pokarmu. Ale gdzie tam! zakończenie historii jest równie nielogicznym jak cała jej treść, albo raczej, właściwie powiedziawszy, nie ma zakończenia. Człowiek idący tak długo, stanął... i koniec.

Jeden z kupców irkuckich, od którego powziąłem powyższe szczegóły, znajdując się pewnego razu w jurcie w czasie przytoczonego bajania, i widząc że gawędziarz uciał nagle wątek swojej historii, zapytał:

— No, człowiek ów szedł, szedł i stanął. A potem co?

— Potem? wyjątknie nieśmiało zakłopotany trubadur puystyni; potem nic. Stoi sobie, ot i wszystko.

Tematów podobnych opowiadań do zajęcia długich podbiegunowych nocy, a raczej do zapełnienia dźwiękiem słów, milczenia panującego po jurtach, mają Jakuty kilkanaście, lecz wszystkie one odbywają się na jeden sposób, a różnica jaka istnieje pomiędzy nimi, zależy tylko na różnorodności powtarzających się bezprzestannie frazesów.

Towarzystwo Jakutów, wynik łagodnego i dobrodusznego ich charakteru, sprawia, że naród ten mógłby z łatwością przyjąć dobrodziejstwa cywilizacji, gdyby nie stała ku temu na zawadzie niezwykła ich nieśmiałość, a szczególnie granicząca z uniżonością pokora. Uważając innego pochodzenia ludzi, a mianowicie Europejczyków, za istoty wyższe pod każdym względem od siebie, nie uważają się w myśli nawet równać z nimi, i sądzą, że sama chęć wstępowania w ich ślady byłaby trudnym do przebaczenia zuchwalstwem. Jeżeli słuchają z namaszczeniem niedorzecznych nieraz wywodów pierwszego lepszego wędrownego kramarza, jeżeli przyjmują z uległością dotkliwie i bolesne żarty pijanych przykaczków, nie czynią tego z bojaźni lub tchórzostwa, ale z niczym niezachwianego przekonania o swojej niższości. Odbarzeni od natury osobistą odwagą, są nieustraszeni w obec grożącego niebezpieczeństwa. Trzeba widzieć tych małych, krępych, karłowatego wzrostu ludzi, z jaką energią i śmiałością stają do walki, gdy stada nader dzikich i zawsze prawie w tych stronach głodnych wilków napadają na aułę. Z oszczepami lub siékiem w ręku bronią zacięcie swoich żon, swoich dzieci, swojego dobytku; łagodny zwykle wyraz

ich twarzy zmienia się do niepoznania, w oczach pełnych pokory błyska gniew i szlachetny zapal, rysy napiętnowane dobrodusznym uśmiechem przybierają oznaki zimnej energii, i niczym niewzruszonej stałości, a biédacy owi, do wszelkiego rodzaju poniżeń przywykli, nędzarze, którymi lada niedołęga pomiata, wyrastają odrazu w bohaterów.

Jeżeli Jakuty, zaludniający część swojej niezmierniej ojczyzny (1) i przywykli widzieć od czasu do czasu ludzi pochodzenia europejskiego płynących na tratwach po Lenie, są tyle w obec każdego obcego im pochodzenia przybysza nieśmieli, cóż dopiero powiedzieć o tych, którzy zamieszkują wschodnie strony obszarów ciągnących się po za miastem Jakuckiem, w kierunku ziem ochockich i Kamczatki! Tam zjawienie się przypadkowe cudzoziemca stanowi epokę, przybycie jakiegokolwiek podróżnego niezwykłą w dziejach puystyni, osobliwość. Wędrowiec zagnany zbiegiem okoliczności w te odległe od miejsc zamieszkałych przez ludność europejską stepy, uważany bywa nieledwie za istotę nadprzyrodzoną, przed której zachcieniem wszystko ustępować powinno. Znałem osobiście takich, których wypadki losu rzuciły w owe ostateczne krańce Syberyi, wszyscy oni nie mogą dosyć nachwalić się postępowania z nimi Jakutów: najlepsze ryby, najwygodniejsze jurty, najsmaczniejsza zwierzyna, dostawały im się zawsze w udziale; ale pomimo owiej bezinteresownej gościnności, owiej uległości, gotowej nieledwie na każde ich skinienie, czuli się oni więcej nieszczęśliwymi, niż ci którzy mieszkali pomiędzy mniej uwielbianymi Europejczyków plemionami. Mając wszystko czego tylko dostarczyć może dobra chęć i nieograniczone poświęcenie, nie mieli tego, czego potrzebuje serce i dusza; brakowało im spójni towarzyskiej, łączącej człowieka z człowiekiem. Życzliwość jaką im okazywano, połączona zawsze z oznakami czci i uwielbienia, nie mogła zadowolić ludzi, przywykłych widzieć w podobnej sobie istocie bliźniego

(1) Prowincja Jakucka ma 74,153 mil kw. przestrzeni, jest zatem bez mała ośm razy obszerniejszą od Francyi, a blisko 32 razy większą od ziem b. kongresową Polskę śladających. (Przyp. aut.)

i brata, a wyniesionych pomimowoli na piedestał niedościgłej wyższości. Zbliżano się do nich z obawą, mówiono z pokorą, wykonywano wszystkie życzenia z uległością, i tym sposobem każdy z przybyszów, czując się jednostką pośród tłumu unizonych i kłaniających się do koła postaci, był jak ów starożytny feniks w bajce, nieszczęśliwy, bo niemogący znaleźć drugiego równego sobie stworzenia.

Wyjątek od ogólnej reguły stanowi niewielka liczba inorodców, zamieszkujących stołeczne miasto prowincyi, Jakuck. Osiedliwszy się tam, pobudowawszy domy na sposób europejski, przejęli oni wszelkie obyczaje miejscowe, oprócz jednego tylko języka; wynarodowieni bowiem pod innym względem, zachowali nader starannie swoje narzecze, tak że i dziś nawet trudno w Jakucku, bez powierchownej znajomości pierwotnej mowy, być pojętym i zrozumianym od większej części mieszkańców.

Miasto Jakuck, zbudowane w środku nieograniczonych pustyń, punkt do którego nie można dostać się inaczej jak po uciążliwej, kilka miesięcy trwającej podróży, osada odłączona od reszty świata kilkoma tysiącami wiorst niezmiernych obszarów bez wsi, dróg i lądowych komunikacyi, jest nader ciekawą z powodu wyjątkowego swego położenia miejscowością. Tam, na owym odległym zamieszkałego świata krańcu, żyje garstka Europejczyków, złożona z kupców i urzędników. Życie to ma zupełnie odrębne społeczne warunki: jest ono ciche, spokojne, niepodległe żadnym zewnętrznym wpływom. Przyjście poczty, która zaledwie kilka razy do roku w te oddalone strony dochodzi, staje się niezwykłą dla mieszkańców uroczystością, przypłynięcie tratwy wiozącej niezbędne do codziennych potrzeb artykuły, epoką, stanowiącą зниżenie cen towaru o dziesiątą lub dwudziestą część (1); jednem słowem dzieje owęj ukrytej

Bywają chwile, szczególnie w czasie pływnięcia kry na rzece Lenie, że brak niektórych przedmiotów podnosi ich ceny do cyfr bajecznych, trudnych prawie do uwierzenia. Przeszłego roku w jesieni pud mąki płacono w Jakucku 8 rub. sr., funt ryżu 10 rs. a dwie talie kart do grania 30 rs. Natomiast, z powodu dowozu znacznej ilości skór, najpiękniejszego sobola sprzedawano po 3 ruble niedźwiedzia po 60 kop. a lisa 20 kop. za sztukę.

(przyj. aut.)

w pośród północnych tajg kolonii, mogłyby dostarczyć obszernego materiału do niniejszego opowiadania. gdyby mnie nie wstrzymywała obawa odstąpienia od przyjętego zakresu, jakim jest wyłączne studyowanie pierwotnych plemion Syberyi.

Kiedy już z toku mojej gawędy zaprowadziłem czytelnika do punktów kuli ziemskiej tak mało znanych, i posunąłem się w obszary tyle przedstawiające trudności do przebycia, niechże mi wolno będzie zajrzeć i do tajników, których istnienie mało komu jest wiadomem, zapuścić się w niezmierne głębie, odgadnięte zaledwie przez naukę. Dotąd w wędrowce naszej na północ, obok spotykania coraz dzikszych plemion, znajdowaliśmy zarazem coraz trudniejsze środki komunikacyjne. Po za ostatniem miasteczkiem irkuckiej gubernii, Kirińskiem, znikły ślady wszelkiej lądowej drogi, i tylko kilka zbitych belek tratwy, lub sunące się sanie po zamarznętej powierzchni Leny, niosły podróżnych dalej w północno-wschodnim kierunku. Rozsiane po nad brzegami olbrzymiej rzeki jurty Jakutów, przedstawiały się jako wężki pas obrębu życia człowieka w tej strasznej, zdającej się nie mieć końca przestrzeni. Przebywszy od krańcowego punktu, gdzie jeszcze widoczne ślady cywilizacyi, kilka tysięcy wiorst, znajdujemy mały odbłask życia w środku pustyni, miasto Jakuck, które oddalone od organicznego tętna, niby odległy od słońca planeta, rysuje się w niedościgłej pomroce zaledwie dojrzanemi kształty. Dalej za Jakuckiem żyją jeszcze pokolenia Jakutów, ale tak mało mające stosunków z resztą świata, iż zdają się wątpić nieledwie o swoim człowieczeństwie, o godności istoty na obraz i podobieństwo Boga stworzonej. Nareszcie nikną te ostatnie ślady ludzkości, jurty inorodców stają się coraz rzadsze, i zaczyna się otchłań tajg, lasów i stepów, nieznana, niezbadana, przerażająca myśl człowieka swoim ogromem, obudzająca trwogę swoją tajemniczością.

Zdawaćby się mogło, że dotarłszy do owęj granicy zamieszkałego przez plemię ludzkie świata, wypadnie nam zwrócić się napowrót, gdyż głębi tych nie przebyła żadna myśląca istota, i nikt nie jest w stanie powiedzieć co się w ich

wnętrzu ukrywa, a przecież po za temi obszarami tli jeszcze iskierka ludzkości! Iskierka to, słaba, zaledwie odgadnięta, prawie nieokreślona, a jednak dająca oznaki życia. Pierwszy Bering w wycieczkach swoich po oceanie lodowatym, przy odkryciu drogi łączącej świat stary z Ameryką, odkrył jednocześnie ludzi żyjących w okolicach cieśniny, noszącej obecnie nazwisko znakomitego podróżnika; następnie idący jego śladem żeglarze potwierdzili istnienie człowieka w miejscowościach tyle przeciwnych wszelkim warunkom organicznego bytu. Plemię to nazwane Czukezami, a oddzielone od reszty podbiegunowych krajów niezaludnioną przestrzenią, nie ma z resztą ludzi żadnych stosunków, nie zna żadnej władzy, nie ulega żadnej zwierzchności. Odsobnienie Czukezów wypływa z niedostępności tego punktu; chociaż bowiem miejscowość wspomniona należy geograficznie do składu imperium rosyjskiego, rząd, dla braku wszelkiej lądowej komunikacji, nie może podciągnąć ich pod ogólne administracyjne prawa, a wycieczki okrętów wśród oceanu lodowatego są zbyt rzadkie i zbyt wiele przedstawiają trudności, ażeby były w stanie zapewnić stały związek wspomnianych plemion z resztą Syberii. Dodać także należy, że tak wysoko w kole bieguna północnego posunięta ziemia, nie dając środków do gromadzenia zasobów, wyraża niepodobieństwo opodatkowania mieszkańców. Syberyjska fauna, główne źródło dochodów pierwotnych narodów, z których oni płacą skarbowi coroczną dań w wyborowych futrach, prawie tam nie istnieje; roślinności żadnej niema; wieczne śniegi i nigdy nie topniejące góry lodowe, zastępują miejsce odradzającej się ciągle przyrody. Jak ludzie ci żyją, jakimi sposobami zdołają przechowywać od tyłu wieków nędzne swe istnienie, wiadomo tylko temu, którego opieka rozciąga się nietylko nad ulubieńcami losu, ale i nad najniebezpieczniejszym, ukrytym po za krańcami żywotnego świata stworzeniem.

Obyczaje, sposób życia i charakter Czukezów bardzo mało są znane, o ile jednak sądzić można z wiadomości zebranych przez żeglarzy cieśninę Beringa przepływających, należą oni do najdzikszych i nieledwie zezwierzęconych po-

tomków rasy fińskiej. Białe podbiegunowe niedźwiedź, jedyna istota z królestwa zwierząt czworonożnych, która ich czasami nawiedza, dostarcza tym biedakom futer na okrycie ciała; foka morska wychodząca z pośród lodów oceanu podbiegunowego na ląd stały, daje im pożywienie; lód i śnieg zmarznięty stanowią jedyne materiały do budowania jam zabezpieczających od zamieci. Głód, chłód, klimat straszny, do przeniesienia trudny, sprawiają, że skarłowaciała owa odrośl pierwotnych szczepów północy, niknie i usuwa się stopniowo z kuli ziemskiej pod parciem nieprzyjaznych do istnienia warunków. Przy odkryciu tego pokolenia, ludność Czukezów do kilku tysięcy głów wynosiła, obecnie podobno zaledwie ich kilkuset zostało, w niedalekiej przyszłości i tego nie będzie; a miasto garstki ludzi, najwyższe sfery bieguna zamieszkujących: pozostanie tylko jedno etnograficzne wspomnienie. Ci z żeglarzy, którzy mieli sposobność widzenia te znikczemnione istoty, twierdzą, że oni, oprócz kształtu, nie mają w sobie nic przypominającego człowieka. Mowa, za pomocą której porozumiewają się pomiędzy sobą, podobną jest raczej do ryku dzikich zwierząt niż do dźwięku słów, wyrażających myśli i wrażenia duszy. Przy spotkaniu z żeglarzami nawiedzającymi lodowate obszary, wszyscy oni w podrygach i podskokach do ruchów zwierząt podobnych, uciekali w różne strony, i chronili się w jamy wśród śniegów wykopane. Wyciągnięci ztamtąd drżeli z bojaźni, sądząc zapewne, że podróżni jako mocniejsi pozbawią ich życia. Pewnego razu wystrzał armatni stojącego na kotwicy wojennego okrętu, nabawił ich takiego strachu, że wysiedli na ląd majtkowie znaleźli kilkunastu nieszczęśliwych leżących bez czucia na śniegu. Przybyły wkrótce okrętowy lekarz uznał, że to było proste zemdleńie, wywołane zapewne przerażeniem, doznanym w skutku nigdy przez nich niesłyszanego działowego huku.

Kamczadale osiedli na półwyspie tego nazwiska, nie o wiele są szczęśliwsi od ludów koło biegunowe zamieszkujących. Kamczatka wprawdzie bez porównania niżej znajduje się od ziem sąsiadujących z oceanem lodowatym, ale położenie jej geograficzne, z trzech stron odkryte, sprawia,

że klimat tamtejszy zupełnie różnym jest od klimatu jakuckich prowincyj. Oprócz mrezów, które tam bywają tak prawie wielkie i długo trwające jak w sferach zmartwiałej roślinności, plagą najbardziej dającą się we znaki są śniegi. Na żadnym punkcie kuli ziemskiej śnieg nie spada w podobnie olbrzymiej ilości, jak na Kamczatce. Wichry wiejące z trzech stron od morza pchają gromady chmur po nad ów szeroki cypel lądów, zapuszczający się w obszary wód morskich, a równoważąc swe siły, zatrzymują czarną oponę na horyzoncie. Warstwa pokrywająca białym całunem tę wydziedziczoną od natury krainę, grubieje w mgnieniu oka w niesłychane rozmiary; budowanie stałych mieszkań jest tu rzeczą niepodobną. Kamczadał, ciągle prawie w ruchu będący, przenosi się z miejsca na miejsce wraz ze swoją rodziną na saniach przez psy ciągnionych; sanie te wązkie i nadzwyczajnie długie, podobne są kształtem do łódki na łyżwach umieszczonej. Psy służące do zaprzęgu, biegną parami z jednym przewodnikiem na czele. Par takich bywa najmniej dwie, najwięcej pięć: wszystkie one kierowane są za pomocą długiego kija, którym powoźący uderza zlekka przodujące zwierzę po lewym lub prawym boku, stosownie do tego, w którą stronę pragnie zawrócić. Podróż podobna jest nader szybką: od 150 do 200 wiorst na dobę wynosząca; psy idą ciągle równym biegiem, przymuszone do chyżości głodem, który dopiero na ostatniej stacyi bywa zaspokojonym. Nic na świecie nie zdoła ich w czasie jazdy zastanowić; a gdy powoźący wypadnie przypadkiem z koni, one dla rychlejszego otrzymania spodziewanego pokarmu dążąc ciągle naprzód, zostawiają go na drodze. Zresztą zwierzęta te są niesforne, dzikie, i nieodznaczające się bynajmniej wiernością i przywiązaniem do swych panów; zawsze łaknące pokarmu, który dla pobudzenia ich do biegu, skąpo bywa im wydzielany, są częstokroć zażarte i niejednokrotnie miały miejsca zdarzenia, iż doprowadzone do ostateczności, rozszarpały swoich karmicieli. Gdy Kamczadał mają zamiar zatrzymać się na odpoczynek, kopią sobie jamę w śniegu i tam czuwając kolejno, oczekują chwili, w której psy ich będą nanowo gotowe do jazdy; jeżeli zaś odbywający podróż nie ma z sobą towarzyszy lub

rodziny, to pomimo największego znużenia nie śmie nigdy zasnąć, ale wstając co chwila otrząsa z siebie sypiący się śnieg, inaczéj bowiem gęste płaty spadające w takiej ilości z zaciemnionego wiecznemi chmurami widnokregu, pokryłyby go w czasie spoczynku tak gęstą i grubą warstwą, iż wydobyć się z niej na świat boży byłoby dlań rzeczą zupełnie niepodobną. Takie przypadki często mają miejsce: znużony niewyczasem człowiek mimowolnie zasypia, i ginie wraz z całym swym dobytkiem pod kilkunastosiżniową powłoką, która w czasie spoczynku pokryła jego ciało. Jedne psy tylko, wrodzonym instynktem powodowane, nie podlegają nigdy podobnej katastrofie: zwierzęta te, przeczuwając grożące im niebezpieczeństwo, umieją spać stojąc i rozgrzebując mechanicznie nogami gromadzące się koło nich zaspy.

Kamczadał żywią się wyłącznie suszoną lub zmarzniętą rybą; pragnienie zaspokajają śniegiem; żadnych pojęć życia społecznego i potrzeb jakie wyradza kultura nie znają. O charakterze tego ludu nie wiele także powiedzieć można: są oni dzicy, nie ufni, bojaźliwi; chociaż umieją szanować władzę, i płacą dość regularnie podatki skórami upolowanych przez siebie zwierząt. Słaba spójnia, jaka ich łączy z resztą składowych części imperyum sprawia, że pomimo swego upośledzenia moralnego, nie można równać tego pokolenia z odkrytymi przez Behringa Czukczami. Język jakiego pomiędzy sobą używają, podobny jest do mowy ludzkiej; widok cudzoziemca pomimo wrodzonej bojaźliwości nie wywiera na nich tak bezwzględne uczucia przestachu, jak na ludach brzegi oceanu lodowatego zamieszkujących. Postacie także ich nie chyłą się ku ziemi, ale są wyniosłe, muskularne i napiętnowane cechami człowieczeństwa; a chociaż Darwin, z powodu ich obyczajów wspólnych częstokroć z innymi stworzeniami królestwa zwierzęcego, miałby i tu obszerne pole do rozwinięcia swych więcéj na zoologii niż na poczuciu religijném opartych teoryj, w Kamczadałach należących do nierozwiniętych i skarłowaciałych moralnie ras społeczeństwa ludzkiego, wyszukać jednak można ową iskierkę ducha, tlejącą w głębi istoty na

obraz i podobieństwo Wszechmocnego stworzonój; iskierkę, która pomimo wszelkich oznak zewnętrznych pokrywając ją materią, będzie zawsze dowodem nieśmiertelności duchowej części człowieka.

Mówiąc o ludach krańcową północ zasiedlających nie od rzeczy będzie przenieść się w zachodnio-podbiegunowe strony i zwiędzić z czytelnikami najwyższe części gubernii jenijskiej i tobolskiej. Warunki klimatowe i atmosferyczne prawie tu są te same, jakkolwiek może z powodu nie tak znacznego napływu gór lodowych, trochę mniej uciążliwe niżeli w punktach zbliżonych do b. rosyjsko-amerykańskich kolonij lub Kameczatki (1). Stała choć rzadka komunikacya z południem sprawia, że promień cywilizacji i postępu oziębiony wprawdzie mrozem Syberyi, przebija się jeszcze przez te skryształizowane stopy, przez te wały śniegowe, i rozsięwa dobroczynny swój wpływ pomiędzy pierwotnymi plemionami północne części wspomnianych wyżej gubernij zamieszkującymi. Po Jeniseju nawet raz na rok letnią porą kursuje mały parowiec, docierając aż do Turuchańska (2) z zapasami mąki, herbaty, cukru, towarów łokciowych, żelazta i t. d. a przywożąc ztamtąd ładunek ryby. Berezów otrzymuje podobną drogą, tylko już za pomocą zwykłych łodzi i tratw, podtrzymanie z Tiumenta i Tobolska; takim więc sposobem pierwotne plemiona tych stron, Ostiaki, mając ciągle bezpośredni stosunek z napływową ludnością, nie są ani tyle dzicy, ani do tego stopnia upośledzeni moralnie, jak np. odrośle fińskiego szczepu, wśród lodów cieśniny Beringa żyjące.

Pani Ewa Felińska w podróży swoich po podbiegunowych częściach gubernii tobolskiej, tak malowniczo i cha-

(1) Godnym uwagi jest fakt, że klimat północny ziem pod jednym stopniem szerokości geograficznej położonych, jest bez porównania ostrzejszym w miarę oddalenia ich od Rosji europejskiej w kierunku wschodnim. Ta różnica klimatu myślnie tłumaczona być może tylko większym nierównie skupieniem się w tych stronach olbrzymich brył lodowych oceanu północnego.

(2) Turuchańsk znajduje się na 65° 55' szerokości 105° 15' długości geograficznej.

(przyp. aut.)

rakterystycznie opisała Ostiaków, że mnie zwykłemu narratorowi, kreślącemu tylko poprostu zaobserwowane przez siebie szczegóły i fakta, prawie nic a przynajmniej bardzo mało zostaje o nich do powiedzenia. Berezów i jego okolice, przedstawione przez znakomitą autorkę w podróżach jej po Syberyi, nie stanowią jak już wyżej powiedziałem, jedynej ojczyzny ostiakich koczowisk; cała północna część jenijskiej gubernii, poczynając od granic turuchańskiego okręgu, jest przez nich zaludnioną. Ostiaki, jak w ogóle wszystkie podbiegunowe szczepy, żyją po większej części w jamach ze śniegu i lodu budowanych, a latem w szałasach naprędce z gałęzi potworzonych. Głównym ich pożywieniem jest ryba, którą najlepiej jeść lubią w stanie na wół przegniłym, tak że doły służące za składy owego przysmaku, bywają w porze kilkotygodniowych upałów prawdziwą plagą dla płynących po Jeniseju podróżnych. Odrażająca woń podległej rozkładowi ryby napełnia do tego stopnia powietrze, że częstokroć o kilka wiorst od wspomnianych miejsc, szczególnie przy kierunku wiatru z tej strony wiejącego, trudno przejechać nieprzywykłym do podobnej atmosfery turystom, bez doznania napadu mdłości, a przynajmniej uczucia nieprzewycięzonego wstrętu i obrzydzenia. Wszystkie gatunki ryb, jakie olbrzymi Jenisej i morze północne dostarczają, są przez nich poławiane w niezwykłych rozmiarach. Ilość ta, z której wybierają tylko więcej cenne egzemplarze, rzucając drobniejsze lub mniej wyborowe gatunki napowrót do wody, byłaby w stanie wyżywić ludność nie jednego ze znaczniejszych europejskich krajów, dać utrzymanie całemu zastępom głodnego proletariatu, szukającego niejednokrotnie w emigracyjnych wycieczkach do Ameryki deski ocalenia. Na nieszczęście bogate zasoby tego artykułu żywności są przyczyną nieposzanowania skarbów, tak szczodrze ręką natury udzielonych; zaledwie mała część poławianój corocznie ryby zużyta zostaje, reszta marnieje bezpożytecznie, i przegnojona w dołach służy za pokarm stadom wron i kruków zlatujących się z początkiem lata w te strony. Rybacy europejscy, którzy płyną zwykle w ostatnich dniach maja za Turuchańsk, celem skutecznie-

nia połowów, są pod tym względem nierównie oględniejszymi; szczególnie omale (rodzaj śledzi), stają się jedną z głównych podstaw ich handlu. Solone na miejscu i układane w beczki, rozsyłane bywają na wszystkie strony Syberii, a nawet Rossyi europejskiej, i poszukiwane tak dla swjej taniości jakoteż nader wyborowego smaku.

Części jenisejskiej gubernii, zamieszkałe przez Ostiaków są to pustynie pokryte grubą na kilkanaście łokci warstwą śniegu, leżącą około dziesięciu miesięcy w ciągu roku, a niknącą pod ciepłkiem letniego słońca zaledwie na kilka tygodni. Lato, owa pora rozbudzonej życia przyrody, staje się pod tym stopniem szerokości geograficznej jedną męczarnią więcej, dającą dotkliwiej jeszcze uczuć srogość następujących po niej podbiegunowych mrozów. Pałace promienie słońca nie są w stanie wyciągnąć ze zmartwiałej skorupy ziemi dostatecznego do wyżywienia zwierząt i człowieka pokarmu (1). Roślinność w miarę oddalania się od krańca jenisejskiego okręgu, daje coraz słabsze oznaki życia: około Turuchańska widzieć jeszcze można karłowate sosienki, raczej krzaki niż drzewa, które przypominają, że ta ziemia rodzicielka nie jest macochą ale matką naszą, że w jej łonie mieszczą się siły rodzajne, podtrzymujące istnienie stworzeń: tu i owdzie mały polny kwiatek podnosi nieśmiało swą główkę z pośrodku rzadkich traw i ziół, leniwie powstających wśród nieprzywykłych do podobnego widoku gruntów. Dalej po za Turuchańskiem i te słabe oznaki twórczej przyrody nikną stopniowo, a ich miejsce zajmują pęki mchów północnych, służących za pożywienie licznym stadom renów, które bez owego ostatniego daru natury nie byłyby w stanie przedłużyć swojego, tyle użytecznego dla podbiegunowego mieszkańca bytu.

Osady ludzkie są w tych stronach nader rzadkimi; za zwyczaj przebyć trzeba najmniej kilkaset wiorst pustych

(1) Ziemia w tych stronach tak jest zamrożona, że nawet w czasie trwania upałów lata, zaledwie nieznaczna kilka cali wynosząca jej powłoka wilgotnieje. Po za tą cienką warstwą znajduje się grunt wiecznie zamrznięty, tamujący rozwój ziół, i niedozwalający drzewom zapuszczać głębiej swoich korzeni.

wygonów, zanim spotka się z siedzibą człowieka. Warstwa śniegu, jaka pokrywa skryształizowane mrozem obszary, do kilkunasztu sążni dochodzi, tak że nieznanący tajemnic podbiegunowych podróży, mógłby bardzo łatwo minąć podobną osadę, nie domyślając się nawet, że po nad nią przejechał. W Turuchańsku np. znajduje się kilkadziesiąt pobudowanych z drzewa domów, w których mieszka garstka napływowej ludności; otóż więc kiedy w czasie zimy spadną znaczne śniegi, ten ostatni punkt lodowatych przestrzeni, mieszczący w swym obrębie władze administracyjne kraju, niknie z powierzchni ziemi, jak zniknęły przed wiekami Herkulanum i Pompeja, z tą różnicą, że zniknąwszy nie ginie niepowrotnie, ale ukryty żyje sobie swobodnie pod śnieżystemi górami, aż do nastania czasu roztopów. Dym wychodzący z kominów, ciepłik domowych ognisk, i rydel mieszkańców sprawiają, że domy owe nie bywają nigdy zasypane, ale tylko otoczone wałami warstw śniegowych; do koła ich bowiem pozostają zawsze wązkie przesmyki, dla przechodu ludzi służące. Pomimo licznych niedogodności, jakie tyle niemoralny stan wyradza, mieszkańcy tutejsi bynajmniej na niego nie narzekają, gdyż im dobrze wiadomo, że zima bogata w zasy śniegowie nie jest nigdy tak ostrą, jak zima pozbawiona téj naturalnej własności, stanowiącej niejako jeden z koniecznych jej warunków. Jeżeli w końcu sierpnia śniegi nie zaczną obficie padać, staje się to niechybną oznaką, iż w grudniu i styczniu nastaną mrozy, o których trudno mieszkańcowi stref umiarkowanych przybliżone nawet powziąć wyobrażenie. Jestto pora straszna dla każdego organicznego stworzenia. Biédacy, których los lub obowiązki służby przymusiły żyć w tych stronach, gromadzą wtedy skrzętnie zapasy żywności i paliwa na czas długi, gdyż z nastaniem podbiegunowych mrozów ustaje wszelka zewnętrzna komunikacya. Chcąc przejść z jednego do drugiego domu, należy nietylko całe ciało, ale i twarz nawet, nie zostawiając otworów na oczy, zakryć szczelnie, każdy bowiem członek wystawiony na działanie zimna, odmarznie natychmiast, najsztubtelniejszy zaś zmysł człowieka wzrok, zagasać może na wieki. Pomiedzy mieszkańcami

ludzkimi przeciągnięty jest sznur, ażeby ci, których konieczność zmusi do odbywania podobnej wycieczki poomacku, mogli kierować swemi krokami za pomocą tego przewodnika.

Jakkolwiek opisywanie klimatu koła biegunowego nie wchodzi w zakres przyjętego przezemnie programu, zatrzymałem się cokolwiek dłużej nad warunkami bytu ludności europejskiej, zamieszkującej te zmartwiałe stepy, ażeby tém dobitniej wykazać wytrzymałość na zmiany atmosferyczne pierwotnych plemion, naturalnych obywateli owych krańcowych żyjącego świata przestrzeni. Niezbadałymi rzeczywiście są tajemnice natury człowieka! Tam gdzie ludzie rasy jafetyckiej, chociaż wdorożeni od niemowlęcych lat do srogości klimatu, zmuszeni, bywają sztucznymi środkami bronić się przed mrozem tamującym oddech, wygryzającym oczy, ścinającym krew w żyłach, tam szczepy rasy semickiej i chamickiej, ludzie tak samo zbudowani, z równym organizmem, jednakowym składem ciała, żartują sobie z najdotkliwszych wybryków aury i zdają się nie czuć męczarni zimna, od którego kruszą się kamienie i opoki pękają! Ostiaki, choć pokryci wprawdzie od stóp do głowy skórami dzikich zwierząt, suwają się na swych łyżwach po białym całunie, wtedy gdy najśmielszy Europejczyk nie odważy się na chwilę nawet wyjrzieć po za próg szczelnie zamkniętej izdebki. Wysocy, smagli, muskularni, szydzą z obniżonej temperatury, i jako bajeczna salamandra w ogniu, pędzą swe życie w ściśnioném chłodem powietrzu, mogącem dać wyobrazenie o atmosferze Saturna, Uranusa, lub innego jakiego na końcu systematu słonecznego znajdującego się planety. W czasie długich, kilka miesięcy trwających nocy, oświetlonych tylko wspaniałym blaskiem zorzy północnej, odbywają polowania na białego niedźwiedzia, robiąc dalekie wycieczki po jednostajnej śnieżystej powłoce. Żony, wierne towarzyski ich życia, dzielą z nimi wszelkie trudy podróży, niosąc na plecach w małych wyłobionych z drzewa korytkach, niedawno zrodzone niemowlęta. Zadziwiająca jest zręczność, z jaką wśród ciemnej nocy umieją ci ludzie omijać grożące im na każdym kroku niebezpieczeństwo. Łyżwy a raczej łódeczki, długie

na trzy łokcie, które w czasie pochodu do swych nóg przytwierdzają, bronią ich od zapadnięcia się pod śnieg zawsze zmarznięty, lecz w niektórych miejscach zwilgotniały przez parowanie wewnętrznego ciepła ziemi. Otóż stąpięcie na takie miejsce staje się hasłem niechybnej śmierci: człowiek idący po białym wygonie znika nagle w przepaściach śniegowych i nigdy już ztamtąd nie powraca; latem dopiero, po znizeniu się sztucznej powierzchni o jakie stóp kilkanaście znajdują gnijące jego ciało na ziemi. Oni jednak, czy to wrodzonym instynktem, czyli téż dokładną znajomością praw natury miejscowej obdarzeni, przezuwają odrazu te zdradliwe punkta i zgadują najprzód ich sąsiedztwo.

Latem Ostyak, wraz z całą swą rodziną, żyje prawie wyłącznie na rzekach: tysiące drobnych, małych, zaledwie nad powierzchnię wód wystających łódek, krąży ciągle w różnych kierunkach po olbrzymim Jeniseju, otacza płynący parochód; właściciele ich inorodcy częstują podróżnych europejskich rybą, zwierzyną, skórami renów i niedźwiedzi, żądając w zamian wódki, herbaty, lub małej wartości świecidełek.

Charakter tych plemion jest mieszaniną południowej chytrości z północną dobroduszością. Dostyc przebiegli w handlu, mitygują ten przymiot czyli téż wadę prostotą swego obejścia się w innych stosunkach z napływową ludnością. Bezдушna zpatya, owa ogólna cecha podbiegunowe strefy zamieszkujących narodów, nie jest ich udziałem. Rozmowni, ciekawi, zaintrygowani wszystkiém co nowe i nieznanem starają się żywością ruchów i gestów wynagrodzić brak znajomości rosyjskiego języka, a mimika ich tak częstokroć dobitnie maluje wewnętrzne wrażenia, że nawet bez tłumacza można pojąć i zrozumieć czego żądają. Zawsze biędni, żyjący z dnia na dzień, szukający pożywienia tylko wtenczas kiedy im takowego zabraknie, nie czują swojej nędzy i niedostatku, i nie pragną nigdy wyjść z ograniczonego koła codziennych potrzeb. Kilkotygodniowe lato, ów melancholiczny uśmiech północnego słońca, jest dla nich porą, w której zdają się odżywać pod wpływem tak skąpo w tych stronach udzielanego światła i ciepła. Niezwykła

ich czynność, szybko na wszystkie strony odbywane wędrówki, rojące się po Jeniseju łodzie, są najlepszym dowodem, że oni oddychając pełną piersią, oswobodzonem od mrozów powietrzem, pragnęliby skorzystać z każdego dnia, z każdej niemal chwili tego krótkotrwałego pozoru życia. Wierzyć nie chcą, że tam daleko poza lasami, poza górami, są kraje, w których lato dłuższe jest od zimy, a jeszcze dalej na południe, ziemie nieznające tej pory śniegów, mrozów, i zmartwiałości przyrody. Gdy im mówią o ludziach żyjących w atmosferze wiecznie cieplej, pomiędzy zielonemi gajami, pod cieniem drzew wyniosłych, wśród łąk kwiatami pokrytych, uśmiech rozkoszy osiada na ich ustach, i słuchają tych opowiadań jak mahometanie wywodów o siódmym niebie, zachwyceni pękniętą obrazu, ale niepojmujący ażeby podobne szczęście mogło być udziałem człowieka w czasie ziemskiej jego pielgrzymki.

Minąwszy Turuchańsk, bardzo już rzadko spotkać się można z człowiekiem. Jedynie w czasie trwania jarmarków w Otwocku, osadzie o jakie pięćset wiorst wyżej jeszcze na północ położonej, do której zjeżdżają czasami kupcy rossyjscy, suwają po śnieżnych stepach sanie zaprzężone renami, dążące do tego ostatniego punktu wymiany handlowej. Rybacy jednak turuchańscy a nawet jenisejscy docierają aż do brzegów oceanu lodowatego, znajdując chwilowy wypoczynek w osadzie zwanój: Tołstoj nos, krańcowej stacyi bieguna północnego. Poza Tołstym nosem jest jeszcze klasztor, w którym żyją zakonnicy, niemający żadnych prawie stosunków z resztą świata. Dzieje tego przybytku pokory i zaparcia się wszystkiego co doczesne, pokryte są mrokiem oddalenia, mgłą mrozów i niezmiernemi przestrzeniami śniegu. Muśsi tam zamieszkali nie wychodzą nigdy z po za obręb grobu jaki sobie dobrowolnie wykopali; skromne ich potrzeby zaspakajane bywają przez Ostyaków, jedynych ludzi, mogących bez narażenia na szwank swojego życia wędrować po tych obszarach, pozbawionych bezwzględnie wszelkich warunków organicznego istnienia.

Skalisty cypel okrążony zewsząd olbrzymiemi kryształami lodu, przedstawiającemi się w formie gór niebotycznych,

na którym zakonnicy zbudowali swoje drewniane, obłożone do koła grubą warstwą mechów mieszkanie, jest ostatniem miejscem na kuli ziemskiej, zamieszkałem stale przez Europejczyków. Ostyaki nawet, owi szermierze mrozu, walczący ciągle z tyle zgubnym dla człowieka klimatem, niechętnie zapuszczają się tak wysoko na północ, i tylko nieograniczone uwielbienie jakie czują dla tych pozbawionych wszelkiej pomocy samotników, sprawia iż podwożą od czasu do czasu złowioną rybę i zebrane paliwo na potrzeby klasztoru.

Dałej niema nic, ani ludzi, ani zwierząt, ani żadnego organicznem życiem obdarzonego stworzenia: jest tylko lód bieguna, niewzruszony, bezmierny, wiecznie trwający; straszny obraz śmierci nieznający granic i końca. Dwa razy już w etnograficznej mojej gawędzie z czytelnikiem zaprowadziłem go na te niedostępne dla istot z ciała i krwi kresy, i zawsze, niby widmo złowrogie, zatrzymały mnie w pochodzie punkta, w których obrót wirowy kuli ziemskiej słabnie, każąc domyślać się odgadniętego nauką, a niezbadanego żadnem żyjącem stworzeniem miejsca bezwarunkowej stagnacyi: osi bieguna północnego. Czas więc nam i teraz zawrócić się napowrót, témbardziej, że opisując z kolei wszystkie pokolenia syberyjskich inorodców, nie wspomniałem jeszcze o Tatarach, pomiędzy którymi od lat kilku stale zamieszkuje. Postąpiwszy sobie jak ów podróżnik, zajęty badaniem dalekich krajów, a nie mówiący ani słowa o tém co się dokoła niego dzieje, czuje się w obowiązku wynagrodzić chwilowe zapomnienie.

Południowe części gubernii zaludnione są Tatarami azyatyckimi. Tatarzy ci, oprócz nazwania, nie mają nic wspólnego z pierwotnemi plemionami kazańskiej gubernii. Potomkowie ludów, dawne księstwo kazańskie składających, wyznają wiarę Mahometa, przykrywają golone swe głowy na sposób turecki, a rysami swych twarzy zbliżeni są więcej do pobratymców swoich z Bakczyseraju i innych miejscowości Krymu, gdy tymczasem narody, o których mówić będą, są pochodzenia mongolskiego, wyznają szamanizm, a obyczajami, sposobem życia i charakterem, nie odbiegają

zbyt daleko od ogólnych cech rodu Chamitów. Potężna niegdyś ojczyzna pierwszych była kolébką owych strasznych i dzikich wojowników, którzy zapuszczając daleko na zachód swe zagony, niszczyli ogniem i mieczem księstwo moskiewskie, Litwę, Żmudź, i Polskę, a zabrawszy bogate łupy i tysiące jeńców do niewoli, wracali napowrót w niedostępne obszary, stanowiące ich ojczyznę. Jakkolwiek przeszłość plemion azyatyckich jest ciemna i niedocieczona, różne drobne okoliczności każą mniemać, że i oni także podlegali w średnich wiekach władzy Dżingishana, i dostawiali swój kontyngens do tych mass niezliczonych, które jako niszcząca wszystko fala zaléwały od czasu do czasu zachód, niosąc wszędzie śmierć i pożogę. Bohater ich pieśni, owa postać tajemnicza, straszna, olbrzymia, o jakiejś nucz wszysej niemal bardowie pustyni, jest zapewne tym wodzem, prowadzącym przed kilku wiekami ich przodków w ziemie słowiańskie dla rozboju i łupieztwa (1). Wiele części ubioru syberyjskich Tatarów przypomina swym krojem narodowe stroje ruskich bojarów i polskich magnatów, jakie zapewne ci protoplaści słowiańscy przejęli mimowolnie od dzikich najeźdźców. W języku tatarskim znaleźć można mnóstwo wyrazów jakoby wziętych żywcem z naszej mowy (2) i przez to samo każących się domyślać niejakię styczności tych plemion z naszymi pradziadami. Oprócz jednakże wymienionych wskazówek, żaden pewny stale oznaczony fakt, nie potwierdza powyższego przypuszczenia. Etnograficzny badacz starający się zgłębić przeszłość w stanie natury żyjących pokoleń, ażeby wysnuć z niej nić wywodów, wstrzymanym zawsze zostanie w przedsięwziętej pracy zupełnym

(1) Wojownik ów niezwalczony żyje w pieśniach wszystkich prawie azyatyckich szczepów. Mówiąc w początkach niniejszego artykułu o śpiewach Tunguzów wspomniałem już o téj okoliczności.

(2) Naprzykład wyrazy tatarskie: arak (wódka), kaftan, (zwierzchnie ubranie) muzika, (muzyka), czy-buk (cybuch), salata (zielenina), kara (masę czarna), oprócz małej różnicy brzmienia odpowiadają zupełnie przyswojonym do naszego języka wyrażeniom. (przyp. aut.)

brakiem historycznych podań i tradycyjnych legend, i może co najwięcej opierać swoje domniemywania na nader drobnych szczegółach, które jako błędne ogniki oświetlają czasami niedostępne bagna, lecz częściej niestety sprowadzają dążącego do wytkniętego celu człowieka, na bezdroża i manowce.

Niezmierne stepy, rozciągające się po za lewym brzegiem Jeniseju, a zajmujące całą zachodnią część minusińskiego okręgu, są główną ojczyzną Tatarów. Zamieszkują oni także niektóre części gubernii tomskiej i tobolskiej. Zbliżeni obyczajami do Tunguzów, różnią się od nich większą towarzyskością społecznego życia; czumy bowiem tunguzkie rzadko wiążą się w auly, gdy tymczasem u Tatarów prawie nigdy spotkać nie można pojedynczych jurt, lecz osady z kilkudziesięciu, a nawet kilkuset mieszkań złożone. Zwierzchność ich, tak zresztą jak i u wszystkich innych inorodców, jest dwójaka: ogólna krajowa i swoja własna, Piérwsza nie mięsza się nigdy w domowe sprawy tatarskie, lecz wtedy tylko występuje na widownię, gdy popełniony występki kryminalny nakazuje z kodeksem karnym w ręku ściagać winowajcę; zwykłe kwestye jak np. zaspokojenie krzywd, drobne kradzieże, poszukiwanie długów, podlegają jurydyceki miejscowej jurt. Reprezentantami téj stepowej władzy są tak zwani starostowie rodowi, czyli kniazyki, wybierani z grona ludności tatarskiej na lat trzy, jakotéż dumy czyli zgromadzenia z kilku członków złożone, które stanowią niejako wyższą instancją wewnątrznych rządów pustyni. Chociaż jednak podług litery prawa kniazyk tatarski i дума mają bardzo ograniczone znaczenie, a istnieją jedynie dla zasłonięcia inorodców od zbyt szczegółowego mieszania się w ich domowe sprawy właściwej zwierzchności, nie mogącój znać wszystkich obyczajów religijnych i społecznych tego ludu, rzeczywiście władza owych samorodnych urzędników jest prawie nieograniczoną. Sądzą oni i karzą wszelkie przewinienia na miejscu, stosownie do pojęć i wyobrażeń osobistych, tak że częstokroć jeden i tenże sam czyn zdrożny, uniewinniony przez jakiego starostę, nader srogo ukaranym zostaje przez drugiego, a sądowe po-

szukiwanie zbrodni wtedy tylko ma miejsce, gdy występek stał się zbyt głośnym, ażeby mógł nie wyjść po za obręb tatarskiej administracji. Przy takiem położeniu rzeczy, Tatarzy azyatyccy, choć złączeni ogólnymi ustawami kraju zresztą jego ludów, stanowią niejako część w całości, wyróżniając się od napływowych plemion nie tylko religią, ale wszystkiemi co stanowi oddzielną cechę różnorodnego pochodzenia. W jurtach bliżej kolonii europejskich położonych, przejmują oni mimowolnie powierzchnowe oznaki cywilizowanych narodów, w miarę jednak oddalania od tych punktów, wspomniane oznaki giną stopniowo, nie pozostawiając najmniejszego śladu solidarności z ogółem mieszkańców.

Wnętrze jurty, jak zwykle u wszystkich w stanie natury żyjących narodów, przedstawia w wysokim stopniu obraz zaniedbania, nietroszczenia się o wygody życia, i mały wpływ ogólnych czynników rozwoju. Niechlujstwo, zaduch, swąd od dymu napełniającego w każdej porze te ciasne siedziby, uderza na wstępie każdego; gdy zaś po chwili wzrok przybysza przyzwyczai się stopniowo do rozróżniania w panujących tam zawsze półcieniach otaczających go przedmiotów, to ujrzy obraz, jaki niezawodnie byłby odrażającym, gdyby zmysłami wywołane wrażenie nie zostało natychmiast złagodzonem prostotą i gościnnością mieszkańców jurty. Gospodarz przyjmuje nowo przybyłego, choć częstokroć zupełnie mu nieznanego gościa, jak najbliższego sercu przyjaciela, sadza go na najpiérwszém miejscu, częstuje czém może, każe rodzinie i domowym być gotowemi na każde jego skinienie: słowem, stara się wszelkimi sposobami w szczupłym i ograniczonym zakresie swój działalność, praktykować tę wielką cnotę wschodnich narodów, pojmovaną w Europie tylko przez jednych Słowian, która nakazuje uważać nawiędzającego strzeżę domową podróznego za zesłanego przez Opatrzność brata, osłaniać go swoją opieką, bronić w razie niebezpieczeństwa, dawać mu wszelką możliwą pomoc i dzielić z nim ostatni kęs chleba.

W jurcie, oprócz rozesłanych do koła wojłoków, na których śpią pokotem wszyscy członkowie rodziny, niema

żadnych innych sprzętów; miedziany kociołek do gotowania cegiełkowej herbaty, kilka misek drewnianych, parę kubków do picia arianu, i cynowa herbatniczka, stanowią całe domowe gospodarstwo. Posążki niezgrabnie z drzewa wy-ciosane, zawsze ukryte w najciemniejszym kącie, przedmiot czci religijnej wyznawców szamanizmu, jakoteż obraz jakiego świętego w najpokaźniejszym miejscu umieszczony, mają przywilej rozdzielania naprzemian duchownych obowiązków zamieszkałej w jurcie rodziny. Tatar, odpowiednio do swego usposobienia, albo szepce inwokacye i zaklęcia, skierowane do pogańskich bożków, albo téż żegna się przed wyobrażeniem chrześcijańskiego męczennika, a podwójny ów kierunek jego religijnych wyobrażeń nie jest dlań bynajmniej przeciwnym, owszem, daje mu otuchę niezawodniejszego spełnienia wygłoszonych życzeń. Im więcéj dobrodziejów, mawia on, tém pewniejszym może być człowiek swojego losu. Co nie robi rodzinny bożek Tengri, to uczyni cudzoziemski święty: nie zapominając o obudwóch, nie obawia się żadnego z nich, a ztąd dwojaka wynika korzyść.

Sąsiad nawiędzający sąsiada w jego jurcie, nie zaczyna nigdy od powitania się z nim, lecz wchodzi mileząc, zasiada bez wyrzeczenia jednego wyrazu, i zapala fajkę. Po niejakiéj chwili dopiéro następuje wzajemne pozdrowienie, wykonane przez przyłożenie prawej ręki do czoła. Jeżeli kto pragnie okazać krewnemu lub sąsiadowi swoją przyjaźń, przybywa do niego z zabitym łabędziem, mającym na szyi przewiazaną czerwoną chustkę. Znak ten jest bezwarunkową oznaką czci, uwielbienia i serdecznych uczuć pojawiającego się gościa dla gospodarza domu, przyjęty zawsze zostaje przez tego ostatniego z wdzięcznością i hojnym datkiem wynagrodzony. Dodać jednak należy, że osobistości podległe zarzutom i nieużywające ogólnego szacunku w aule, nigdy podobnych objawów poważania nie doznają, a gdyby ktokolwiek w celu otrzymania podarunku, zjawił się w jurcie człowieka niecieszącego się dobrą opinią z owym emblematem w ręku, zostałby powszechnie wy-

śutianym, a co więcej mógłby nawet podległ karze duchownej przez szamana miejscowego wymierzonej.

Nader dziwnym jest stosunek kobiety do mężczyzny pomiędzy Tatarami. Podług ich wyobrażeń religijnych i społecznych, płeć żeńska zawsze niższy szczebel w hierarchii rodzinnej zajmuje, a przecież wśród familijnego kółka, żony, prawem zwyczaju, władają częstokroć wszystkim co ich otacza, nie wyłączając męża, głowy domu, który, pomimo patryarchalnej powagi, bywa nieraz ślepy tylko wykonawcą zachceń swojej połowicy. Niewola kobiet stała się powierzchnową formą, uszanowaną w zewnętrznych oznakach, a wynagradzaną stokrotnie rzeczywistym wpływem, jaki te słabe na pozór istoty wywierają na wszystkie sprawy domowego pożycia. Wypływa to nietylko z większej subtelności charakteru niewieściego, ale i z obyczaju żenienia młodych chłopców, w dzieciennym pozostających jeszcze wieku z dziewczynami nierównie od nich starszemi.

Bardzo często Tatar, mający syna kończącego rok 13 lub nawet 12, wyszukuje dla niego małżonkę dwudziestokilko-letnią. Po dopełnieniu ślubu podług obrządków szamańskich, młodziutki mąż, zaledwie z lat niemowlecych wyszły, przenosi się do nowej jurty wraz z towarzyszką swego życia. Ani jego wiek, ani fizyczne siły, ani usposobienie, nie pozwalają mu wykonywać wszystkich obowiązków do stanu małżeńskiego przywiązanych: jest on więcej wychowawcą niż obrońcą i opiekunem swjej żony, a o użyciu władzy głowy domu przez słabego jeszcze i potulnego dzieciaka i mowy być nie może. Tym więc sposobem mężczyźni od najpięćdziesiąt młodości przywykają do przewagi kobiet, a gdy z upływającym czasem podrosną w lata i siły, przyzwyczajenie staje się w nich drugą naturą. W starszej nierównie od siebie żonie, którą przywykli w dzieciennych latach uważać za mentorkę i obawiać się jej żyłastej dłoni, widzą zawsze istotę przeznaczoną do kierowania ich czynnościami, a pomimo form tradycyjnych, nakazujących kobietom okazywać cześć i uszanowanie dla dożgonnych towarzyszy, są one w gruncie rzeczy jedynemi władczyniami i bezwarunkowemi wyroczniami wśród spraw domowego

ogniska. Forma zależnego położenia płci żeńskiej, ażeby nie znikła zupełnie nawet z powierzchniowych obyczajów tego ludu, zachowaną jest mianowicie w stosunkach teścia ze swoją synową. Tatarka, wchodząc do jurty w której znajduje się ojciec jej męża, winna nakryć głowę chustką, wdziać na wierzch swego ubrania długą koszulę i nałożyć na nogi obuwie; wychodząc obowiązana jest w tył się cofać, nie odwróciwszy ani na chwilę oblicza od dostojnika jurty. Nie wolno jej mówić do swego teścia inaczej jak za pośrednictwem trzeciej osoby, np. świekry, męża lub dzieci: to jest wyrazy wyrzeczone przez nią muszą być zwrócone do któregośkolwiek z członków rodziny, a ten następnie powtarza je patryarsze domu. Tę samą drogę przechodzi i odpowiedź. Wprawdzie ów obyczaj naruszany bywa niejednokrotnie, mianowicie wtedy, gdy żaden obcy a natrętny przybysz, mogący uwiadomić szamana o nieposzanowaniu przepisów, nie jest świadkiem rozmowy; ale zwykle, szczególnie w obec nie należących do składu rodziny gości, wszyscy pilnie baczą na zachowanie w całej ścisłości owego zwyczajem uświęconej formy.

Strój świąteczny Tatarów składa się ze zwyczajnych pantalionów, rodzaju bogatego z jedwabiu uszytego kontusika bez rękawów, i ogromnej sobolami lub lisami obszytej czapki. Czapka ta, którą nawet w dniu powszednie przy codziennym ubiorze noszą, uderza na wstępie oczy Słowianina każdego, podobieństwem swoim do nakryć głowy przodków naszych, i każe mimowolnie robić różne przypuszczenia co do mniejszego lub większego udziału protoplastów tych dzikich ludów w napadach na lackie i ruskie ziemie. Formą, kształtem i bańczuczną fantazyą zwieszoną na bok kwadratowego denka, zdaje się przywołać na myśl jakies zarzysy z dzieciennych lat spamiętane, które się widziało na starożytnych obrazach lub familijnych portretach. Kobiety tatarskie noszą szerokie na sposób wschodni skrojone szarawary, na które nadzieją zwiérzchnie okrycie bez stanu; a właściwiej powiedziawszy, ze stanem nadzwyczajnie niskim, tak, że pętlca wiążąca poły znajduje się zwykle niżżej kolan. Niekształtność tego ubioru wynagrodzoną jest zu-

pełnie oryginalnym przystrojeniem głowy: czarne jak heban włosy dziewic splecione w mnóstwo drobnych warkoczyków, pokryte bywają jaskrawych kolorów chustką, ułożoną w nader fantastyczne fałdy, niby zawój turecki. Tatarki ozdabiają przytém swe uszy olbrzymimi kolczykami, a raczej z mosiężnego drutu kołami od 5 do 7 cali obwodu mającymi, na szyi zaś mają zwyczaj zawieszać mnóstwo brzęka-deł, srebrnych a czasem i złotych monet; przedewszystkiém jednak zamięłwane są w koralach (mażanach), stanowiących najcenniejszą i najbardziej poszukiwaną część narodowego ich ubrania. Każdy ojciec lub mąż cokolwiek zamożniejszy, stara się nabyć dla swój żony albo téż córki choć kilka wielkich koralów, które używane przy ważniejszych uroczystościach, pozostają wśród jurty jako rodzinna pamiątka, i przechodzą następnie w spuściznie dla dalszych pokoleń.

Szamanizm tego narodu, obok obrządków i zasad wspólnych z szamanizmem innych piérwiastkowych plemion Syberyi, posiada także odrębne i właściwe sobie cechy. Ile razy zdarzyło nam się w toku niniejszego opowiadania dotknąć szczegółów wyznania obejmującego północne strony Azji, część Mongolii, Tybetu, Japonii, gnieźdzącego się w Chinach, Persyi, nad brzegami Gangesu, a niemającego nigdzie stałego centrum, punktu oparcia, któryby pozwolił rozrzuconym po różnych krainach szamanistom utworzyć jedną religijną całość, zawsze widzieliśmy nietylko w powierzchnowych oznakach ale nawet i w pojęciach téj dzikiéj wiary, pewne odcienia, wyróżniające je wzajemnie pomiędzy sobą. Pochodzi to właśnie z owego braku spójności pomiędzy licznymi azyatyckimi plemionami. Jeden szczep nie wie częstokroć nawet o istnieniu drugiego. Niezmiernie przestrzenie, brak lądowych i wodnych komunikacyj, różność klimatu północnych, środkowych i południowych prowincyj Syberyi, sprawiają, że każde z pokoleń inorodców, wyrabia na ogólnych podstawach szamanizmu, zachowanych tradycją wieków, swoje własne pojęcia i wrażenia, i odbiega tym sposobem od jednolitéj, powszechnéj normy. Cóż dopiéro mówić o tych z wyznawców czarnej wia-

ry (1), którzy zamieszkują skaliste brzegi Sachalinu, północne części Japonii, lub wybrzeża Gangesu: tam odległość jeszcze większa, a środki komunikacyjne prawie żadne, są przyczyną bez porównania znaczniejszej różnicy pomiędzy obrządkami jednéj, a przecież tak odrębnie u każdego z azyatyckich ludów przedstawiającej się religii.

Szamanizm tatarski najbardziej zbliżony jest do tunguzkiego. Nie mówię ja tu o zasadach istnienia czarnego i białego boga, bo te wszędzie są jednakowe, ale wspominać o powierzchniowych formach ceremonii, przywiązanych do téj wiary. Szamanienie przy ogniu na odkrytém polu, czyli inwokacye do złych i dobrych bogów, uskuteczniane w czasie świąt tymże bogom poświęconych, odbywa się zupełnie takim sposobem jak u tunguzkich plemion. Różnica jaka w rzeczonym obrzędzie zachodzi, zależy głównie na ubiorze szamana. Tatarski duchowny w chwili wzywania potężnych sił szamy i si przywdziewa na siebie kozuch włosem do góry obrócony, z mnóstwem gałganów poprząszanych na wierzchu, co wszystko przy ogromnym kołpaku na głowie i zakrytéj twarzy, czyni całą jego postać podobną do straszydła, jakie nasi kmiotkowie zastawiają czasami pośród dojrzewających łanów zboża, dla oddalenia zlatującego się zewsząd ptastwa. Na ogień rzuca on pełnemi garściami rumianek dziko na stepach rosnący, które to ziółko uważaném jest powszechnie jako posiadające własności tajemne, związane ze wszystkimi prawie praktykami czarnoksięstwa. Dnie poświęcone inwokacyom stale są oznaczone; oprócz tych dni bywają jeszcze uroczystości, mające na celu zachowanie inwentarzy od upadku, i trzy razy do roku odbywane pielgrzymki do mogił. W piérwszych po zabiciu barana, pokropieniu krwią jego ziemi, rzuceniu kilku kawałków na ogień i zjedzeniu reszty, następuje zwykła ceremonia wzywania czarnego i białego boga; w drugich, stepowa ludność jurt udaje się na miejsce wiecznego spoczynku, już to dla oddania należnéj czci nieboszczykom, już

(1) Wyraz *szama-ni* (szamanizm), dosłownie przetłumaczony, oznacza „czarną wiarę.“

wreszcie na ubłaganie swoich tengri (duchów zmarłych przodków) o ciągłą i stałą opiekę nad pozostającymi przy życiu potomkami.

Najciekawszym jednak obrzędkiem wyznania tego ludu jest szamanienie po jurtach, najczęściej w razie ciężkiej i niebezpiecznej słabości jednego z Tatarów, na żądanie otaczających go lub rodziny przedsięwzięte. Według wyobrażeń miejscowych choroba nie jest niczem innym tylko nagromadzeniem się nieczystych duchów w jurcie, które prześladowają podległego ich sile człowieka, i są w stanie pozbawić go życia. Otóż więc należy te duchy odegnać. Do skutecznienia owęj czynności przyzywają szamana, a ten przy odgłosie bębna, wzywa niewidzialne jestestwa, ażeby odstąpiły ofiary i opuściły mieszkanie. Duchy w ogólności nie lubią wszelkiego hałasu, bęben więc główną tu odgrywa rolę; ale że one odznaczają się przytém niezwykłym uporem, potrzeba długiego czasu dla przymuszenia ich do ucieczki. Niejednokrotnie szaman wraz ze swoim pomocnikiem bębni dnie i doby całe, aż do chwili, w której albo natura zwycięży chorobę, albo téż cierpiący zaśnie snem wiecznym. W pierwszym razie przedstawiciel religijny tryumfuje; w drugim objawia zgromadzonemu, iż duchy należały do rzędu nieposłusznych i było ich zbyt wiele, ażeby użyte przeciw nim środki mogły stać się skutecznymi.

Ceremonia powyższa odbywa się następującym sposobem. Przybyły do jurty szaman, sam lub wraz ze swoim pomocnikiem, przynosi zwykle z sobą wspomniony bęben i laskę obszytą w skórę, będącą godłem duchownej jego władzy. Postawiwszy te przedmioty w kącie, zaczyna obrządek od obkadzania chorego rumiankiem, poczem wzięwszy bęben do ręki uderza w niego z razu powolnie i cicho, a następnie coraz mocniej i głośniej. Wypędzanie duchów trwa jak już powiedziałem bardzo długo, i bywają przykłady, iż przeciąga się dwie lub trzy doby; w tym czasie nie wolno nikomu w jurcie niczem się zająć, żadnej rozmowy prowadzić, ani téż żadnego posiłku przyjmować. Jeżeli znużenie skleci komu z obecnych powieki, szaman nie

przerywając swęj czynności wylęwa na głowę śpiącego kubel zimnej wody; jeżeli zaś ktokolwiek nie uszanuje przepisów bezwarunkowego milczenia, wtedy ów kapłan pogański, nie rzekłszy jednego słowa, chwytą stojący w kącie kij i bije nim niemiłosiernie zapominającego o swych obowiązkach członka rodziny.

Szamani nadzwyczajnie nie lubią, gdy kto obcy jest obecnym przy ich kuglarstwach, nie dają jednak nigdy uczuć gniewu swojego nieproszonemu gościowi, lecz obracają go na tych, którzy dozwolili nieznajomemu przybyszowi mieszać się w domowe sprawy ich obyczajów.

Pewnego razu, nie wiedząc o owęj niechęci tatarskich czarnoksiężników do przypuszczania cudzoziemców w swoje tajemnice, a pragnąc być świadkiem obrzędku wypędzenia złych duchów prześladowających chorego, uprosiłem znajomych Tatarów, ażeby dozwolili mi wejść do jurty, gdy ta ceremonia odbywać się będzie. Przybywszy wcześniej, schroniłem się w najciemniejszy kąt jurty, i zakryłem nagromadzonemi tam wołokami. Szaman, który się wkrótce zjawił, nie dostrzegł zrazu mojej obecności i obkadziwszy posłanie umierającego, zaczął przy odgłosie bębna swoje inwokacye i przeraźliwe krzyki. Starałem się zachować nader spokojnie, i siedząc skulony na ziemi, śledziłem misternie urządzoną szparą wszystkie ruchy przedstawiciela duchownej władzy sąsiadujących z Minusińskiem plemion. Po upływie jednak godziny bystry wzrok stepowego kapłana dojrzał mnie po za sztuczną zasłoną wołoków i skór końskich. Zaledwie przekonał się o mojej obecności, oddał bęben swojemu pomocnikowi, sam zaś ujawszy kij w rękę, wyciągał na próg jurty po kolei wszystkich członków rodziny, zaczawszy od najstarszych a kończąc na małych dzieciach, i bił ich bez litości. Szczerze żał mi się zrobiło tych biędnych ludzi, którzy z mojego powodu wycierpieli tak srogą karę, i gdy w parę godzin potem, ceremonia, jak zwykle w podobnych razach, zakończyła się śmiercią chorego, a szaman opuścił mieszkanie, wyraziłem swoje ubolewanie Tatarom, tłumacząc, że gdybym był wiedział o następstwach mojej ciekawości, nigdybym nie żądał od nich podobnego poświęcenia.

— Nic to nieznaczy, odpowiedział staruszek, ojciec zmarłego, który najwięcej może doświadczył razów żyłastej dłoni czarnoksiężnika: myśmy wiedzieli, że on was w końcu odkryje, nie sądziliśmy jednak, że będzie bił tak mocno. Nasz szaman lepiej zna swą sztukę od innych duchownych, tylko ma cokolwiek za ciężką rękę. A zresztą to wszystko pójdzie w pożytek tengri (duszy) mojego biédnego syna.

Gdy szaman po dopełnieniu inwokacyj nad chorym oddała się z jurty, jeden z Tatarów niesie lub wiezie konno przed nim laskę, owo godło jego godności. Laska ta jest dość gruba, długa na parę łokci, obszyta, jak już wspomniałem, w skórę i opatrzona na końcu małemi dzwoneczkami. Z pogańskim kapłanem może każdy rozmawiać, wyjąwszy tego, który rzezoną laskę trzyma w ręku. Zresztą szamani tylko w czasie pełnienia obowiązków do swojej wiary przywiązanych są nieprzystępni, despocytni i nieetykalni; zaledwie obrządek się skończył, już każdy z nich traci swoją potęgę, i nie rzadko widzieć można przy biesiadach, kiedy kubki napelnione aryaszem krążą do koła, jak ów przedstawiciel duchownej władzy, pijąc na równi z innymi, oberwie porządnie po skórze, zupełnie tak jak gdyby należał do rzędu najpospolitszych śmiertelników.

Godność szamańska nie jest udziałem wyłącznej kasty, i może być piastowaną przez każdego ktokolwiek w dziecinnych latach obznajmił się z tą sztuką. Zwykle rodzice oddają w powyższym celu swoje dzieci na naukę. Najpojętniejsze i najbystrzejsze z nich dostępują, podrosłszy, tego zaszczytu, mniéj pojętne stają się pomocnikami stepowych kapłanów (1); tępe i głupowate, jako niezdatne, bywają oddalane. Szamanem może zostać mężczyzna jak i kobiéta.

(1) Pomocnik szamana nazywa się po tatarsku: niedokładnym szamanem. Jego rola w uroczystościach i obchodach jest zawsze podrzędna, a co więcéj nigdy on nie może już zostać prawdziwym szamanem. To jednak nie przeszkadza, iż w razie nieobecności pierwszego, wykonywa czasami jego obowiązki, ale takie działanie jest nadużyciem trafiającém się nader rzadko.

(Przyp. aut.).

W rzędzie tych dostojników widziałem starców, ludzi lat średnich, młodych chłopców, podżyłe niewiasty i piętnastoletnie dziewczęta. Gdy niedorośli chłopak lub młodzietka dziewczyna, dostąpiwszy téj godności, wykonywają inwokacye, mają prawo karać chłostą niestosujących się do przepisów starców, czasami nawet własnych rodziców, a ci z pokorą i bez szemrania przyjmują razy. Rodzice tylko, jeżeli operacya była zbyt bolesną, odwdzięczają się niekiedy na grzbiecie dziecka po skończeniu obrzędu, za zbyt fanatyczny jego pogląd na owe atrybucye. Zdarza się znowu, że gdy matka lub ojciec zabiéra się do ukarania nieposłusznego syna szamana, ten ufny w swe prerogatywy, grozi odwetem:

— Radzę, nie bij, albowiem przy piérszém wywoływaniu duchów, oddam to wszystko z procentem.

Zdawałoby się mogło, że przy podobnych wyobrazeniach religijnych, życie rodzinne Tatarów podlega zupełnemu rozstrojeniu, że anarchia zastępuje miejsce wewnętrznego porządku, a samowola wywołana siłą lub przewrotem idei społecznych, wyradza w stosunkach codziennych niezwykły chaos. Jednakże tak nie jest. Patryarchalna powaga głowy domu, powaga uświęcona tradycją, odwiecznemi zwyczajami i zasadą obowiązujących ustaw, jest tak wielką, że i te małe zboczenia wynikłe z niekonsekwentności praw szamanizmu, nie są w stanie jéj naruszyć. Ojciec ukarany cielesnie przez rodzzonego syna, matka zbita przez własną córkę w czasie religijnych ceremonij, nie tracą nic ze swojej godności ani znaczenia, gdyż wymierzający karę syn lub córka, nie są w téj chwili ich dziećmi ale kapłanami, przed których władzą każdy ulegać powinien. Po ukończeniu inwokacyi wszystko wraca do normalnego stanu, a jeżeli następują czasami jakie wymówki lub nawet odwety, to należy je kłaść na karb słabości natury ludzkiej, ułomnej na całym świecie, témbardziej zaś u ludów rządzących się podobnie dzikiemi prawami.

Tatarzy zamieszkali w okolicach okręgowego miasta Minusińska mówią wszyscy wcale nieźle po rosyjsku, w miarę jednak oddalenia osad od centralnego punktu południa, a przez to samo zmniejszenia stosunków z napływową ludnością, znajomość ich rosyjskiego języka staje się coraz

niedokładniejszą, tak, że jadącemu w odległe jurty niepodobna odbywać wycieczek bez tłumacza. Do miasta Minusińska, na odbywające się co sobota targi, przybywają oni zawsze w znacznej liczbie, najczęściej konno, i przywdziewają wtedy na siebie najparadniejsze narodowe stroje; szczególnie kobiety tatarskie lubią pokazywać minusińskiej publiczności swoje olbrzymie kolczyki, wspaniałe korale i niezwykłych rozmiarów sygnety. Na targ przywożą rozmaite produkty stepowego gospodarstwa, najwięcej jednak dostarczają topionego masła. Produktu tego nierównie taniej od nich nabyć można jak od syberyjskich włościan, ale zato masło tatarskie odznacza się nieprzyjemną wonią i goryczą w smaku, nabytą w skutku obwijania go w surowe skóry i używania do fabrykacji przestalej śmietany. Tatarów przybyłych do miasta z odległych osad od razu poznać można: rozglądają się oni ciekawie na wszystkie strony, dziwią się murowanemu soborowi, nadewszystko zaś zastanawia ich drewniana, żółto pomalowana wieża, służąca miejscowej straży ogniowej do dawania pożarnych sygnałów. Gdy spotkają na ulicy kogo porządnie ubranego, zdejmują najpokorniej czapki; w ich bowiem przekonaniu, każde indywidualium nienoszące włościańskiego odzienia musi być nader ważną i wysokie stanowisko zajmującą osobistością.

Charakter tych plemion jest dobroduszny, flegmatyczny: praktykują u siebie cnotę gościnności w całym znaczeniu tego wyrazu, umieją zarazem być wdzięcznymi za doznane dobro, a krzywd jakie im wyrządzono nigdy nie pamiętają. Dominującymi ich wadami są: niechlujstwo, ospałość i zamiłowanie gorących trunków. Oszukiwani częstokroć przez przebieglejszych od nich włościan, stali się w handlu podejrzliwymi. Dokonywane przed laty z wielką łatwością zbywanie fałszywych pieniędzy w osadach tatarskich, uczyniło ich w przyjmowaniu bankowych biletów nader lekkimi. Ująwszy w rękę papiera reprezentujący jakąkolwiek wartość pieniężną, obracają go na wszystkie strony, stawiają pod słońce, medytują, radzą się wzajemnie, i w końcu nie będąc w stanie nabrać przekonania o jego dobroci, oddają najczęściej napowrót. Dlatego też chcąc u nich co nabyć, najlepiej zaopatrzyć się w stosowną ilość drobnej monety srebrnej

lub nawet miedzianej. Skłonność do oszustwa lub nawet przywłaszczenia sobie cudzej rzeczy nader rzadko widzieć się daje pomiędzy tym ludem; natomiast mongolskie ich pochodzenie sprawia, że przestępcy tatarscy, osadzeni w miejscowych więzieniach, pokutują zwykle za grzechy przeciwko naturze popełnione. Podług ich wyobrażeń złe wtedy tylko jest złem, gdy komukolwiek szkodę lub ubytek przynosi; a kazirodztwo, pomimo odrażających dla każdego subtelnych uczucia przypadłości, nie należy do rodzaju tych zbrodni, których zgubne następstwa przedstawiają się natychmiast, pociągając za sobą widoczne krzywdy ludzkiej skutki. Jeżeli jednak wrodzona apatya, brak wytrwałości, a więcej może wstręt do wszystkiego co może przynieść stratę dla drugiego, wstrzymuje ich w ogóle od kradzieży, podstępów, nierzetelności, za to w rzadkich wypadkach pogwałcenia praw cudzego dobra, dają dowody niezwykłych nawet u syberyjskich włościan przebiegów.

Kupcy i kramarze syberyjscy mają zwyczaj przedawać herbatę w odważonych już poprzednio, i owiniętych w czerwona bibułę funtowych paczkach. W dniu targowe, pewna ilość owych paczek leży przygotowana do zbycia, a każdy z przychodzących do sklepu ogląda je, kupuje lub też kładzie napowrót, stosownie do tego, jak cena i dobroć produktu podobała mu się lub nie. Niedawno do jednego z kupców minusińskich, Mikołaja Szaronowa przybył Tatar, a obejrawszy kolejno wszystkie paczki herbatą napełnione, położył takowe na miejscu i odszedł, mówiąc, że zapomniał wziąć ze sobą pieniądze. Po niejakić chwili zjawił się znowu obejrzał je raz jeszcze, lecz się nie mógł zgodzić na cenę nareszcie po raz trzeci powrócił, dając to co żądano, lecz kiedy wydobywał pieniądze, wpada do sklepu Tatarka, zapewne żona jego, i nie dozwala mu tyle płacić za towar. Posłuszny małżonek kładzie napowrót trzymany w ręku funt herbaty, i odchodzi wraz ze swoją połowicą. Kupiec przywykły do podobnych targów nic nie mówi, a widząc tę samą ilość paczek, nie domyśla się podstępów. Co się później okazało? Miasto herbaty, w trzech zwojach czerwonego papieru były trociny! Stepowiec za każdym przybyciem swoim do

sklepu, przemieniał z ręcznie przedmiot handlowy na ukrytą w zanadru, a odpowiednią kształtem, kolorem i formą paczkę uzbieranych przy tarcu drzewa odpadków.

Wypadki jednakże tego rodzaju należą do nader rzadkich wyjątków: nie tylko dobroduszość tatarska nie nagina się do nierzetelnych czynów i niesumiennych podstępów, ale w ogóle wspomniane plemię nie ma w charakterze swoim owęj chytrkości, żądzy na cudze dobro, chęci łatwego wzbogacenia się, jakie cechują mniej więcej syberyjskiego włościanina. Bywały przykłady, że Tatar, przyjmawszy gościa w swęj jurcie, podarował mu jeszcze na odjeźdźnym najlepszego swego konia, nic w zamian nie żądając.

Podobne usposobienie sprawia, że ludzie ci są zazwyczaj biędni, chociaż poprzestając na małym i nie wychodząc z ograniczonej sfery życia, nie czują swęj biędy, ani tęż pragną polepszenia losu. Najgłówniejszým źródłem ich dochodów, jest sprzedaż futer upolowanych zwierząt i hodowla koni; tu i owdzie jednak, szczególnie w osadach blisko Minusińska położonych, biorą się do uprawy roli, do sadzenia arbuzów, lecz te objawy są jeszcze nader słabe, zamiłowania bowiem rzeczywistego do rolnictwa nie posiadają, a jeżeli który z nich ujmie w rękę sochę lub sierp, to zawsze tylko mimochodem, w rodzaju mało znacznej próby. Za to ze szczególną ochotą zajmują się leczeniem kumysem, który to wyrób podług ich przekonania oddziaływa zbawiennie na wszelkie słabości, i przyczynia się nawet po części do wypędzenia złych duchów zagnieżdżonych w ciele ludzkim. Nięma prawie osady, w którejby jaka stara Tatarka nie trudniła się fabrykacją tego napoju, a ponieważ jak wiadomo kumys bywa pomocny w niektórych chorobach, doktorzy Krasnojarska, Aczyńska i Minusińska, posyłają często swoich pacjentów w te stępy dla uskutecznienia rzeczonęj kuracyi. Miejscowością, podobną w pobliżu Minusińska położoną, jest „Uprawa abakańska,” gdzie znajduje się zarazem zarząd stepowy tatarski. Ni to wieś, ni aul, ni osada, ale amalgama wszystkich pierwiastków z przemagającym żywiołem inorodców. Pomiedzy licznymi jurtami, znaleźć tam można i parę domów drewnianych na sposób europejski budowa-

nych. W czasie pory letnięj, kilka a czasem i kilkanaście osób różnych stanów i płci zjeżdża do „Uprawy,” dla odbycia przepisanej kuracyi. Ktokolwiek widział zakłady lecznicze europejskich krajów, nie może mieć pojęcia o wszystkich przejściach, niewygodach i kłopotach osób, skazanych na przebywanie w tēj dzikięj stronie. Oprócz suszonęj na słońcu baraniny, niczego tam dostać nie można; a mieszczanie się w jurtach tatarskich, wśród swędu, dymu i zaduchu, społem z całymi rodzinami niechlujnych do najwyższego stopnia dzieci pustyni, jest przykrością, o jakięj ten tylko może mieć wyobrażenie, kto jęj kiedykolwiek w życiu doświadczył. Dodać jeszcze należy, że miejscowość ta, chociaż nader blisko, bo tylko o wiorst 15 od Minusińska znajdująca się, odciętą jest od tego miasta trzema odnogami Jeniseju, przez które na promach przeprawiać się wypada, tak że pomimo małej odległości, podróż do tego punktu z okręgowego miasteczka, kilka godzin czasu wynosi.

Tatarki trudniące się leczeniem kumysowém, przystępują do tego aktu z całą powagą, jaką dać może wysokie ich wyobrażenie o bezwarunkowęj cudowności wzmiankowanego środka. Przed przyrządzeniem napoju, przed odbyciem nieuniknionych praktyk i guseł, wybadują oni pacyenta lub pacjentkę o wszystkie szczegóły, mające jakikolwiek związek z ich usposobieniem, charakterem i przyzwyczajeniami. W osadach więcęj od kulminacyjnego punktu cywilizacyi odległych, w czasie fabrykacyi tego lekarskiego środka jest zwykle obecnym szaman lub jego pomocnik, a zaszęptywanie, inwokacye, czarnoksięzkie praktyki, bez których żadna ważniejsza czynność stepowców obejść się nie może, idą swoim trybem — zupełnie tak samo, jak przy wszelkich innych religijnych obchodach i sprawach kapłanów pogańskich. Przedewszystkiem klacze, z których ma być brane mlęko, bywają obkadzane rumiankiem, nabiał przed fermentacją podlega ceremonii zaklęcia, a gotowy już kumys w butelkach dopóty nie może wyjść z rąk jego tworzycielki, dopóki ta nie otrzyma pozwolenia od upoważnionego w tym celu Tatara. Znający te wszystkie przeszkody Europejczycy, wybierają zwykle dla uskutecznienia swojęj kuracyi miejscowości bliżęj miast i lu-

dnych wsi położone; tam bowiem obawa władz, nie lubiących w ogóle szamańskiej kabalistyki, sprawia, że Tatarzy inni są pohopni do używania przy leczeniu niepotrzebnych kuglarstw, a nie chcąc odstąpić zupełnie od dawnych zwyczajów i przywyknień, zadawalniają się kilkoma niepostrzeżonymi prawie szeptami.

Wspomniałem wyżej o zwyczaju zawierania małżeństw pomiędzy Tatarami w bardzo młodym, dzieciennym prawie wieku. Otóż rzeczony zwyczaj ma miejsce bardzo często, ale niezawsze; bywają nawet przykłady łączenia się par podżyłych w lata—w ogóle jednak te ostatnie związki należą do wyjątków.

Wydawanie zamąż małych, niepełnoletnich dziewcząt, ma, jak się zdaje na celu, zatamowanie demoralizacji w samych początkach rozwinięcia się jój; środek ten jednakże nie odpowiada swojemu założeniu. Tam gdzie nie istnieją zasady cnotliwe, gdzie religia jest tylko czezą formą, gdzie poczucie wstydu nigdy nie było udziałem najpiękniejszej połowy rodzaju ludzkiego, tam złe rozwija się własną siłą, niby chwast na jałowej ziemi, a wszelkie materyalne przeszkody, stawiane mu na przekór, podbudzają, miasto ubezwładnić, ujemną stroną natury ludzkiej. Dlatego nigdzie może demoralizacja kobiet nie jest tak wielką jak u tych plemion, w materyalizmie życia pogrążonych.

Demoralizacja ta nie czerpie źródła w chciwości, ale jest pro prostu wynikiem obyczajów, naśladownictwa, a najbardziej zatracenia od najmłodszych lat w dziewicach owęj skromności, stanowiącej u kobiet obronną tarczę przeciwko złym popędom. Szamani karzący surowo każde uchybienie w zewnętrznej formie religijnych obrządków, nie zadają sobie trudu naganiać to, co rzeczywiście powinnyby podlegać ich duchownej kontroli. Opinia publiczna sroży się tylko na skutki, przebacząc każdemu występki, który żadnych następstw po sobie nie zostawił, a patryarchowie rodzin, idąc, jak zwykle, ślepo za opinią, zamykają oczy na wszelkie zdrożności, wyjąwszy tych, którym zaprzeczyć nie można. Podobny stan rzeczy wyradza różne chroniczne choroby, i sprzeciwia się szybkiemu rozwojowi ludności morodców; dziewice

bowiem tatarskie, obawiając się nadewszystko ujawnienia błędu, mają zwyczaj zasięgać rad bab lekarek, które różnemi rozczynami z ziół i traw przygotowanymi, a szkodliwymi jak wiadomo zdrowiu, starają się przeszkodzić działaniu natury.

Z drugiej strony przyznać należy, iż jeżeli w postępowaniu niezamężnych Tatarek widzieć można w wysokim stopniu rozkiełznane obyczaje, to mężatki, choć nie bez grzechu, daleko rzadziej i wyjątkowo tylko podlegają złemu. Wypływa to powiększej części z wyobrażeń tego ludu, mocą których kobieta uważa się za zupełnie wolną, swobodną i niezależną, aż do chwili zamążpójścia. Tym więc sposobem owo wczesne zawieranie ślubów małżeńskich, chociaż nie jest stanowczą zaporą do ukrócenia zarodków demoralizacji, może być pojęte jako środek służący ku stosunkowemu jój zmniejszeniu.

Związki zawierane w późniejszym wieku odbywają się wszystkie przez porywanie. Młody Tatar, upodobawszy sobie którą z dziewic, nie pyta nigdy o zezwolenie jój ojca, ale zebrawszy drużynę przyjaciół, krewnych i bliższych znajomych, napada nocną porą na jurte, w której mieszka jego ulubiona, i uwozi ją ze sobą. Rodzina wykradzonej tym sposobem panny, puszcza się za niemi w pogoń, a dognawszy odbija lub też najczęściej, zwyciężona, opuszcza plac boju. W piérwszym przypadku, napastnik ustępuje ze wstydem albo czeka innę sposobności do powtórzenia swęj wyprawy; w drugim obie rodziny godzą się i wyprawiają następnie właściwą uroczystość wesela, połączoną ze wszystkimi tradycyjnymi obrządkami, a dokonywaną przy współudziale szamana. Najczęściej przed porwaniem następuje pomiędzy młodemi ludźmi porozumienie się wzajemne, czasami nawet porozumienie to bywa ogólnem; a rodzina uwiezionęj Tatarki, wiedząc naprzód o co rzecz idzie, odbywa pogoń i udaną walkę, jako formę zwyczajami uświęconą. Bywają jednak wypadki, że nie tylko rodzice i krewni, ale nawet sama dziewica nie wie o zamiarach przedsięwziętego konkurenta: walka, jaka naówczas przy odbijaniu wykradzonej ma miejsce, staje się krwawą i zapalczywą, i niejednokrotne szermierze obu stron wychodzą z nięj ranieni, a nawet ciężko uszko-

dzeni na ciele. W tém ostatniém zdarzeniu siła rozstrzyga kwestyą: chociażby nietylko patryarcha jurty, rodzony ojciec, ale sama nawet zwierchność auły była przeciwną zawarciu związków, nic nie zdoła tymże związkom przeszkodzić, gdy ubiegający się pretendent dokonaniem zwycięstwem zdobył sobie żonę. Wtedy rodzice jój, krewni, przyjaciele, radzi nie radzi, zbici częstokroć i pokrzywdzeni, przystępują do obchodu weselnego; a panna młoda, zanosząc się od płaczu, zostaje dozgonną towarzyszką tego, który użyciem przemocy został jój panem. Zwyczaj jednakże nakazuje, ażeby zwycięzca opłacił ojcu swojej żony pewien okup w skórach, bydłe, koniach lub téż innych domowych sprzętach, odpowiedniej wartości. Wysokość okupu zastosowaną bywa zwykle nie tylko do urody i wieku panny młodéj, ale także i do okoliczności towarzyszących walce: im więcej ucierpeli obrońcy porwanej dziewczycy, im dotkliwszemi były razy, które im się w czasie bójkki dostały w udziale, tém znaczniejszemi są *sokoły* (danna przynależna teściowi od zięcia). W razie symulowanego porwania, rozmiary sokołów czyli okupu, ustanowione zostają poprzednio pomiędzy obiema rodzinami; jeżeli zaś uwieszenie dziewczycy nastąpiło wbrew woli jój opiekunów, to takowe naznaczane są przez starszyznę auły, i każda ze stron winna bez szemrania i oporu zastosować się do postanowień zwierchnictwa (1).

(1) U wszystkich bez wyjątku ludów starożytnych, pan młody płacił rodzicom swéj żony okup za pannę; w późniejszych dopiero czasach, gdy małżeństwo wyrosło w instytucyą, gdy mężczyzna przestał być władcą i panem, a stał się towarzyszem dzielącym trudy życia ze swoją żoną, okup ten zamieniony został w posag dawany przez rodziców swéj córce. *Sokoły* u Tatarów, *Zarizeban* u Mongołów, *Kalim* u Turków, obecnie w użyciu będące, nie są niczem innem jéno owym okupem kwiatu dziewiczego. U naszych przodków okup ten pod nazwiskiem *Cunagium* (wiano) zniesiony został w r. 1232 przez Henryka Brodatego. Do dzisiejszego dnia jednak posag dawany przez rodziców przy wydawaniu córki za mąż, nazywają niektórzy po staremu *wianem*. Źródłowem wyrazu tego jest niezawodnie *wieniec*, czyli opłata jaką za zerwanie dziewiczego wianka, w dawnych czasach pobierano.

(Przyp. aut.).

Barbarzyński ów obyczaj porywania dziewic, połączony zawsze z fizyczném pogwałceniem, wspólny u wielu piérwotnych* plemion Syberyi, a nazwany u Tatarów karamczeniem, wspomniany już przezemnie w artykule p. t. „Wycieczka po stepach,“ dalekiej sięga starożytności. U wszystkich ludów w stanie natury żyjących, miało ono miejsce, jako obyczaj wzrosły z ich pojęciami religijnymi, i wynikły ze sposobu ich życia. Uschold i inni badacze przeszłości uważają je za jedyną i powszechną formę małżeństwa; według innych miało ono kosmogoniczne znaczenie, mianowicie było symbolem księżycy i dlatego *jeros gamos* (święte małżeństwo) weszło w obyczaj w postaci religijnej formy. Vico zaś znowu uważa je za naturalny wynik dzikich wyobrażeń piérwotnych ludzi, naśladowujących zwierzęta pustyni leśnej, w których siła stanowi prawo, a przewaga materyalna bezwzględna sprawiedliwość, i które unoszą zdobycz swoją do legowisk lub jaskiń w głębi skał ukrytych. Naszém zdaniem to ostatnie twierdzenie najwięcej zasługuje na uwagę. W narowach i charakterze barbarzyńskich narodów, prawa własności nie były szanowane: walki jakie pomiędzy sobą staczali, miały zawsze na celu zdobycie bogatych łupów, lub wzięcie do niewoli licznych branek. Od najdawniejszych czasów, czerpiąc przykłady z mitologii i widząc jak bogowie, zachwyceni wdziękami ziemianek, porywali je i uwozili ze sobą, ludy piérwotne trzymały się téj wygodnej zasady przywłaszczenia. Czasami wyprawy podobne miały na celu zdobycie całej ludności żeńskiej którego kraju np. porwanie Sabineek przez Rzymian; czasami były tylko następstwem pojedynczych dążności. Jakież był powód wojny trojańskiej, jeżeli nie porwanie Heleny przez Parysa? A protoplaści tych plemion, o których obecnie mówimy, w wyprawach swoich na Ruś, Litwę, Żmujdz i Polskę, jakiemiż innemi czynnikami rządził się, jeżeli nie chęcią zdobycia bogatych łupów, a szczególniej uwiedzenia w stepy pięknych laskich i ruskich dziewczic? Pod prądem więc podobnych wyobrażeń z pokolenia na pokolenie przechodzących, wrosłych w obyczaje, wzmocnionych tradycyą, starożytne ludy wyrobiły w sobie te barbarzyńskie instynkta. Z upływem wieków, z przekształceniem się zewnętrznych

warunków życia, a mianowicie z przeszkodami stawianemi przez urzędnia i wpływ cywilizacyi, rzeczone instynkta musiały ustąpić miejsca prawu słuszności i sprawiedliwości; a to co było zrazu powszechném prawidłem, zamieniło się stopniowo w małoznaczną, zaledwie dojrzaną formę, istniejącą dziś jedynie przy obchodach weselnych pierwotnych plemion Syberyi.

Takimi są obyczaje Tatarów azyatyckich. Co się zaś tycze ich pieśni, obrzędów narodowych i podań, to o tych bardzo mało pozostaje nam do powiedzenia. Pieśń, owa poezya ludów, właściwie pomiędzy nimi nie istnieje: jest ona monotonném wymienianiem nawijających się przed oczy przedmiotów, podobnie jak u Tunguzów. Tak samo jak u pierwszych, widzimy w niej szereg różnych zmysłami improwizatora objętych szczegółów, idących kolejno jeden za drugim; tak samo gdy rym zwiąże przypadkowo nieprzystające do siebie części wyobrażeń, niema tam ani ładu ani składu, ani nawet najmniejszego sensu. Podania, tradycye, starożytnie legendy, także u tych ludów zasklepionych w materializmie życia istnieć nie mogą: jedynym zasobem ich przeszłości jest jakaś postać olbrzymia, tajemnicza, której ani nazwać ani określić dokładnie nie umieją. Wspomniałem już kilkakrotnie o tym na w pół bajecznym bohaterze, przechowującym się w pamięci wszystkich niemal dzikich pokoleń Syberyi, a będącym zapewne Dżingishanem, owym zuchwałym i niepokonanym wodzem, pod dowództwem którego nieprzeliczone zastępy hord barbarzyńskich zalewały zachód, niosąc za sobą śmierć i zniszczenie. Otóż w czasie wycieczek moich w stepy tatarskie, pragnąc koniecznie uchwycić jakikolwiek wątek wiążący teraźniejszość tych plemion z ich przeszłością, natrafiłem w jednej z osad w bliskości granicy chińskiej położonych na rodzaj podania, które pomimo braku szczegółów, bliższych określeń czasu i miejsca, nazwisk działających osób, nosi w sobie wszelkie cechy narodowej legendy, na faktach ubiegłego czasu osnutęj. W podaniu tém jak zwykle we wszystkich tradycjach pierwsiastkowych ludów Syberyi, tytaniczna postać wodza-bohatera główną odgrywa rolę. Tym razem jednak nie Dżingishan, ale raczój inny

jakiś azyatycki władca, zdaje się być głównie działającą osobą.

Rzecz się ma jak następuje:

Kiedys, bardzo dawno temu, wtedy gdy jeszcze Mongolija nie uznawała nad sobą władzy mandżurskiej, a książęta tatarscy byli potężniejszymi od wszystkich innych książąt na ziemi, (1) jeden z nich najsilniejszy i najmędrszy pomiędzy nimi, upokorzył naczelników licznych pokoleń, i przymusił ich do składania sobie daniny, jakoteż do udzielania czynnej pomocy, w razie wojen z innymi ludami. Nietylko Jenisejskie stepy, nie tylko prowincyje nad Irtyszem i Obą znajdujące się, ale nawet i kraje Urachajców i Uranhutów (dziśiejsza Mongolija), przyjęły zwierzchnią władzę tego potentata, spełniając z pokorą każdy jego rozkaz. A bohater to był jakich mało: i silny, i groźny, i sprawiedliwy zarazem. Ogromnego wzrostu, posiadający moc niezrównaną, wyrwał z korzeniami tajążne cedry i używał ich jako broni odpornęj; gdy zmarszczył gęste brwi, pod któremi błyszczały ogniste oczy, wszystko co żyło drżało z przestachu, gdy wydawał wyroki, niezliczone narody dziwiły się jego roztropności.

Potężny ten władca miał żonę przedziwnęj urody: dobra ona była, potulna i łagodna, ale uśmiech wesołości nigdy nie zawitał na jej ustach. Cudna jej twarz przedstawiała się jakoby noc księżycowa, uroczą lecz smętną zarazem. Każdy kto ją ujrzał, zachwycony wdziękami tej gwiazdy północy, nie mógł bez boleści patrzeć na ponurą melancholię, która niby czarna chmura zawisała na czole władczyni. Wielki wódz, kochający nadewszystko swoją małżonkę, trapił się jej smutkiem, témbardziej że ta posepność nie miała żadnej innej przyczyny jak tylko naturalne, a niczém niezwalczone usposobienie. Księżna ze swojej strony, dając mu w każdej chwili tysiące dowodów przywiązania, postanowiła być wesołą, ale to przechodziło jej siły. Żądać ażeby ów smutek osiadły na wieki w jej rysach ustąpił miejsca promieniejącemu uśmiewchowi, było to samo co chcieć blasku słońca uroczej, lecz owładniętej półcieniami nocy letniej.

(1) Ma się rozumieć podług brzmienia legendy. (Przyp. aut.).

Ile ku zwalzeniu tego usposobienia było użytych środków, wypowiedzieć trudno. Na rozkaz przywiązanego małżonka wyszukiwano najpociesniejszych trefniśiów, sprowadzano z Mongolii najznakomitszych w swym fachu zigów, ale wszystkie ich sztuki, facecye, kuglarstwa, nie odnosiły pożądanego skutku. Smutna pani (tak ją bowiem wszędzie nazywano), patrzyła na hece przed jój oczami wyprawiane, słuchała dowcipów wygłaszanych przez etatowych komików pustyni, a posągowe jój, jakby z jednej płyty marmuru wykute oblicze, nie ożywiało się objawem zadowolenia. Zrozpaczony tém niepowodzeniem ksiązę, kazał ogłosić po wszystkich krajach władzy jego podległych, że ktokolwiek z hołdowników zdoła rozweselić ubóstwianą żonę, dostąpi najwyższych godności i znaczenia. Zjeżdżali ze wszystkich stron hanowie i wielkorządcy, wymyślali przeróżne koncepta, ale usiłowania ich rozbijały się o nieprzewyciężony niczém smutek władczyni.

Doprowadzony do ostateczności małżonek, nie wiedział co dalej począć. Za jeden uśmiech, rozpromieniający te cudne lecz martwe rysy, oddałby połowę swych krajów, a uśmiechu tego niczém wywołać nie umiał! Bijąc się tak ze swojemi myślami, powziął w końcu zamiar nadzwyczajny, dziwny, niepojęty prawie, zamiar mogący się tylko wyrodzić w wyobraźni tatarskiego księcia podbiegunowych stepów.

Od niepamiętnych lat zwyczajem było w państwach azyatyckich, że w razie wybuchnięcia niespodzianej wojny, najścia nieprzyjanych plemion, rozniecano ogniska na wszystkich górach, w celu zgromadzenia zbrojnych hufców hołdowniczych kniazioów: i tym sposobem wieść o wojnie, obiegając po całym kraju, najodleglejszych jego krańców dosięgała. Otoż potężny władca kazał jednego razu sporządzić takie ogniste sygnały, co gdy wykonano, niebawem ze wszystkich stron nadciągać zaczęły liczne hordy jezdnych i pieszych wojowników ze swojemi hanami i wielkorządcami prowincyi na czele: byli tam i Mongoły, i Sajańcy, i północni Tatarzy, i Kirgizy stepowe; wszystko to szło, płynęło z różnych punktów, niby fale rzek zbiegających się do morza. Zadziwienie tych hufców dążących na wojnę, a znajdujących niespodzianą

mistyfikacyę, musiało tchnąć niezrównanym komizmem, kiedy smutna pani na ów widok wybuchła nieznanym jój dotąd śmiechem — śmiechem, który do jój piękności dodał tysiąc nowych uroków.

Uradowany powodzeniem swojego wymysłu ksiązę, używał go potem niejednokrotnie dla rozśmieszenia swój żony, narażając przytém wierne swe wojska na niepotrzebne trudy i znoje. Przyszły nareszcie dla niego nader ciężkie czasy, gdy w kraje północne wtargnęły liczne zastępy Mandżurów, niosących śmierć i zniszczenie, grabiących dobytek domowy, uwodzących bogate stada koni, owiec i bydła. Widząc zagrożające zewsząd nieszczęście, otoczony niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju, władca tatarski uciekł się w tój ostateczności do zwykłych sygnałów wojny: na rozkaz jego wszystkie góry i wzgórza płonące ogniem w mgnieniu okarozniosły wieść trwogi po całym kraju, ale tylekroć już bałamuceni ksiązęta i wasale, nie stanęli tym razem do obrony swojego pana, a on zginął marnie, oplacając swém życiem płochy żart, jakiego, dla wywołania uśmiechu na licu ubóstwianej małżonki, był sobie pozwolił.

Oprócz tój opowieści, którą zresztą także i u Mongołów napotkać można, Tatarzy żadnych innych podań nie mają. Kilkakrotnie zasiadłszy przy ognisku w jurcie, trzymając szklanke aryaszu w rękę, lub przyjmując od patryarchy fajkę, owo godło gościnności i wzajemnego pobratania się, chciałem skorzystać z tój chwili przyjaznego ich usposobienia, i wybadywałem na różne sposoby otaczających mnie inorodców, ale wszelkie przedsięwzięte w tym celu usiłowania rozbijały się o grubą niewiadość tych ludów co do szczegółów historyi stepów północnych. Zdają się oni nawet dziwić, że ktokolwiek może zajmować się przeszłością: w ich przekonaniu to tylko ma wagę i znaczenie, co jest — ubiegłe zaś czasy, które nigdy nie powrócą, nie zasługują nawet na wspomnienie.

Pomiędzy Tatarami osiadłymi na stepach graniczących z Minusińskiem, mieszka jeden, odznaczający się wyższém od swoich współbraci wykształceniem. Karki (przezwany z rosyjska Karkinem), jest niezawodnie najzamożniejszym

obywatelem pustyni: bogactwa jego w koniach, wołach, futrach, sróbrach, a nawet gotówce, są uważane za bajeczne prawie; przyczém zapewne fantazyja ludowa, jak to zwykle w podobnych razach bywa, podwyższa rzeczywiste zasoby tego podbiegunowego Krezusa. Z wspomnianym Tatarem łączą mnie blizkie stosunki życzliwości; kilkakrotnie odwiedzałem go na stepach w jego bogatęj ze wschodnim zbytkiem urządzonej jurcie, a on ze swęj strony nie omieszka nigdy pominać skromnéj mcjéj izdebki. Otóz pojęcia europejskie tego inorodca, wpływ jaki wywiera na swoich współbraci, a szczególnięj powierzychowne, lecz wybiegające po za sferę powszechnego ignorantyzmu wykształcenie, dawało mi nieraz nadzieję, że on będzie dla mnie główną pomocą do osiągnięcia poszukiwanego od lat tylu celu: zbadania przeszłości i obznajmienia się z historią dzikich plemion północy. Próżne iluzye! Karki, sądzący zkadinađ zdrowo o rzeczach, uważający szamanizm jako zabytek barbarzyński, pojmujący potrzeby społeczne, nie tylko nie może ale nie chce wnikać w ubiegłe dzieje swego narodu. Wszelkie na tém polu przedsięwzięte usiłowania, uważa on jako dziecinną do żadnego rezultatu doprowadzić nie mogącą igraszkę. Pozytywność jest dla niego wszystkiém: szperanie w zastyglém życiu równa z rozgrzebywaniem zagasłych popiołów. To co się już raz stało, odstać się nigdy nie może; a idea postępu, za którą przemawiać lubi, chociaż jęj w gruncie rzeczy nie praktykuje, sprawia, że w jego przekonaniu zagłębianie się w przeszłość, ciemnoty, isamowoli, i różnego rodzaju bezprawi, nie jest przykładem dla następnych pokoleń, ale tamą wstrzymującą wszelkie usiłowania dla cywilizowania ludów przedsięwzięte.

Jeżeli wspominać o tym fakcie, to głównie dlatego, ażeby wytłumaczyć się przed czytelnikiem, i wyjaśnić przyczynę, dla której studia moje tak mało dotyczą historii ubiegłych czasów. Etnografia wprawdzie czerpie swoje zasoby w terażniejszości, ale przeszłość powinna być dla nięj podstawą, na której opierają się motywa przedstawionych charakterów; źródłem, z którego płyną wszelkie początki opisanych obyczajów, narowów, zajęć. Najdrobniejsze szczegóły: ubiór, sposób budowania pierwotnych mieszkań, małe-

znaczne na pozór obrządki, wszystko co tylko wiąże się z etnografią narodów, ma swoje powody, a powodów tych szukać należy w odległęj, pomrokiem wieków zakrytéj historii. Gdy tego gruntu nie stanie pod nogą, nader trudném są zadaniem dla badacza, wszelkie studia na tém polu przedsięwzięte: przymuszony on jest częstokroć wyprowadzać swoje wnioski z przyczyn nieznanych, niepostrzeżonych prawie, wyszukiwać źródeł oddawna zaschniętych, odgadywać instynktem nieledwie powody przedstawiających się zmysłom jego faktów.

Przedstawiwszy szereg tak mało znanych na kuli ziemskiej plemion — plemion, którym w historii ludów krótkie zaledwie poświęcono wspomnienie, wypada koniecznie wynaleźć wątek, łączący wzajemnie pomiędzy sobą te różnorodne szczepy. Protopląści opisanych przez nas ludów: Mandzury, Mongóły, Kirylecy, staro-Kameczadale, Finnowie, należeli do zupełnie odrębnych ras, a przecięż w obyczajach, obrządkach, i ubiorze wszystkich pokoleń azyatyckich, zachodzi pewne powinowactwo. Sąsiadowanie tych plemion pomiędzy sobą na krańcówę północy Azyi, nie mogło mieć wpływu na ich wzajemne zbliżenie się, albowiem puste obszary Syberyi są tak niezmiernie, że częstokroć te rozrzucone po śnieżnych przestrzeniach ludy nie wiedziały nawet o istnieniu innych pokoleń; handel i przemysł, owe łączniki odległych narodów, były im zupełnie nieznanne, komunikacye z powodu braku dróg i przeszkód jakie stawiały olbrzymie rzeki, i nieprzebyte pustynie leśne, stawały się niemożliwemi, wojny które pomiędzy sobą prowadzili, musiały ograniczać się w danych miejscowościach: jedném słowem, wszelkie niemal warunki zobopólnego zetknięcia się, miejsca mieć nie mogły. Jakież więc przyczyny były powodem niektórych wspólnych cech, zauważanych przez nas we wszystkich niemal odroślach dzikich szczepów północy? (1)

(1) Cechy wspomniane ograniczają się do niektórych obyczajów, obrządków, a czasem i ubioru. Charaktery albowiem różnorodnych plemion Syberyi zamieszkujących, zupełnie różnią się pomiędzy sobą. (Przyp. aut.).

Ażeby na to pytanie odpowiedzieć, należy sięgnąć w odległą przeszłość, i wspomnieć choć pobieżnie o początkach szamanizmu.

Szamanizm jest bezwątpienia jedną z najstarszych religii na ziemi. W czasach przedhistorycznych, w kolébce świata, czarna wiara krzewiła się na wschodzie i na południowych krańcach Azji, a mianowicie w Indyach; głównym jej siedliskiem był kraj za Attokiem i Peszawarem położony, czyli doliny od zachodnich stoków Indu-ku, w kierunku mórz aralskiego i kaspijskiego, także Iran (dzisiejsza Persya) i Turan (dzisiejsze kraje kirgizkie). W Egipcie nawet, który, względnie do innych ówczesnych narodów służył z oświaty, rękodzieł i przemysłu, magia nie zdaje się być niczym innym, jak tylko upiękuszonym zewnętrznymi formami, i podniesionym niektórymi wynalazkami do stopnia nauki, szamanizmem. W Chinach starożytna religia Tao-see istniejąca przed Konfucyuszem, posiadała wszystkie cechy czarnej wiary. Jednym słowem wyznanie to, mając swe siedlisko u alofickich plemion, panowało w całej południowej i środkowej Azji, aż do krańców Mongolii i prowincyi Stetun-tsin.

Podnóża gór Bohur, wychodzących z Indyi, są centrum wszystkich plemion azyatyckich; pragnąc w ciemnościach zakrywających dziś swą pomroką przeszłość historyczną tych ludów, dopatrzeć jakiegokolwiek światelka, należy szukać źródła w tym punkcie. Miejscowość ta, samém geograficznym swoim położeniem, odpowiada powyższym warunkom. Cztery olbrzymie rzeki biorące tam swój początek, i płynące na cztery strony świata, dzielą Azję na tyleż części. Na północ płynie Irtysz wpadający do morza Lodowatego, na południe Kabul łączący się z Sindem, wpadający do morza indyjskiego, na wschód Żółta rzeka państwa chińskiego, mieszająca swe nurty z oceanem Wschodnim, na zachód Osz (dzisiejsza Amu-Darya) łącząca się z morzem aralskim. Tym więc sposobem starożytna Azja, podzielona geograficznie na cztery części z czterema pierwotnymi plemionami: mandzurskim, indyjskim, czuckim, mongolskim, mającemi swą historję, posiada i ową kolébkę dziejów, do której zwracać się muszą wszelkie badania nad ubiegłymi wiekami. Chcąc domniemy-

wać się choć w przybliżeniu o początkach innych szczepów i odrośli azyatyckich narodów rozsianych na północy, a niezachowujących żadnych śladów przeszłości ani w księgach ani też w tradycjach, nie podobna pominąć tego źródła. Rękopisy sanskryckie, odwieczne druki chińskie, podania dzisiejszych Persów i Kirgizów, były zawsze jedyną podstawą dla poszukiwaczy historycznych w tym ciemnym, że się tak wyrażę, kopalnym okresie chamiczego plemienia. Co do Syberyi, to słaby wątek jej dziejów, łączący się z dziejami innych części składowych Azji, odnieść jedynie można do stopniowego parcia szamanizmu z południa na północ, wtedy gdy nowo powstające wyznania, rozszerzając koło wyobrażeń miejscowych, niepozwalają zadawalniać się grubym materyalizmem i formułkową kabalistyką czarnej wiary.

W owych wiekach pierwotnych, których żadną datą oznaczyć niepodobna, toczyły się straszne, krwawe, i długo trwające wojny na południu Azji pomiędzy Irańczykami i Turanami. Turanie pod ogólnym mianem Scytów (1) napadali na Persyę, Chaldee, wrywali się nawet do Egiptu; historia chińska nie ubogą jest także w fakta świadczące o bezprawia, dokonywanych przez te złowrogie i niesyte podbojów hordy. Irańczykowie w jałowych pustyniach Turanu widzieli kraj ciemnoty, siedlisko wszelkiego złego, państwo Arimana (złego ducha); główną polityką Persów, a następnie Persogreków było wypędzenie tych protoplastów kirgizkich z rzekę Syrr czyli Jaksart, i oddzielenie ich od reszty ludów, południowe strony Azji zamieszkujących, nieprzebytą zaporą. Co gdy po licznych bojach dokonali, jedynym ich zadaniem stało się przekształcenie moralne, i oswobodzenie od szamanizmu; której to wierze, zważywszy, że podjęte walki i napady w imieniu czarnego boga były dokonywane, wszystko

(1) Sławne państwo scytyjskie, o którym mówi historyk Justyn, że „non minus praecleara initia quam imperium habuit,“ znajdowało się wprawdzie nad morzem Czarnym, lecz wszystkie ludy zamieszkujące południowo-zachodnie części Azji, zwane były powszechnie Scytami.

złe przypisywali (1). Wtedy to zapewne w Turanie i nad brzegami Gangesu wyrodziła się starożytna religia Bramy. Szamanizm, party przez braministów, ustępować musiał przed przewagą, jaką daje moralna wyższość wyobrażeń (2). Parcie to następowało zwolna, stopniowo. Wyznawcy czarnej wiary, nie mogąc znaleźć społecznia u krzewicieli zasad trasfiguracji dusz, posuwali się nieznacznie ku północy. Stacye odwiecznej drogi handlowej łączącej Indye z wschodnią Syberyą: Chizar, Chiwa, Bucharą, Kokand, Taszkent, zamieszkałe przez ludność pochodzenia perskiego, zachowują w podaniach swoich ślady tej peregrynacji. Swastiki (talizmany sanskryckie), rodzaj hieroglifów na płaskich kamieniach wrytych (3), napotykanie obecnie wzdłuż wspomnianej linii, stanowią materialny dowód postępu południowców, jak również ślady obon (ementarzy pogańskich), oznaczają ustępowanie szamanistów przed napierającym ich żywiołem.

(1) Boje Irańczyków z Turanami w księgach indyjskich Vedas noszą nazwę walk bogów: czarnego (Arimana) i białego (Ormuzda). Sanskryckie te nazwania odpowiadają imionom Szamy i Si, przez inorodców syberyjskich nadanych dwom przeciwnym potęgom.

(2) Religia Bramy, jakkolwiek ciemna i stosunkowo do nierównie później (504 lat przed Nar. Chr.) powstać mającego wyznania Buddy, barbarzyńska—góruje przecież nad szamanizmem ogólnymi swymi pojęciami. Niema już tam tej siły czarnej, w imieniu której wszystkie zbrodnie mogły być bezkarnie popełniane. Niektóre wyobrażenia duchowe, choć pokryte powłoką materializmu, zaczynają kielkować. W każdym ciele znajduje się materya subtelna, rodzaj pary, opuszczająca je przy rozkładzie i wchodząca następnie w inną organiczną istotę. Palenie ciał zmarłych, ma na celu ułatwienie tego procesu chemicznego. To coś, które wprawdzie ludzie obdarzeni subtelnymi zmysłami widzieć i słyszeć niekiedy mogą, daje pierwsze ciemne i niezrozumiałe pojęcie o duszy, pojęcie, o jakim w szamanizmie przybliżonego nawet zarodu znaleźć nie można.

(3) Swasti, znaczy po sanskrycku błogosławieństwo, ztąd wyrazem Swastika oznacza się poświęcenie mistyczne jakiego przedmiotu. Niektóre z tych hieroglifów mają formę odcisniętej stópki dziecięcej, wielu zatem z wyznawców indyjskiej wiary uważa je za widome oznaki wędrówki cudownych dzieci, natchnionych duchem mędrca i głoszących po świecie prawdy religijne.

Przyp. aut.

Gdy z upływem wieków na ruinach braminizmu pojawiła się nowa religia Buddy, gdy książę indyjski Siderta (Sakya-Muni) zaczął głosić tajemnice nirwany, szamanizm cierpiany jeszcze tu i owdzie, stanowczej doznał klęski. Szybko rozszerzające się nowe pojęcia przekroczyły Himalaje, krzewiły się nie tylko na wyspach aleuckich, ale i w całym państwie Niebieskiem. Wiara, której celem spokój, środkami cierpliwość, a zasadami łagodność, nie mogła pogodzić się z wyznaniem czarodziejstwa, nacechowanem krwawymi ofiarami Chamitów. Nie mając gdzie się podziać, szamaniści zalegli lodowe krańce północnej Azji i Europy (1): niektórzy z nich dotarli aż do skalistych brzegów Skandynawii, rozpostarli się wzdłuż morza Białego, a plemiona fińskie (Lapończycy, Samojezy i t. d.), uległy wpływowi ich religijnych wyobrażeń; inni osiedlili się w Syberji, oddziałując na koczujące tamże dzikie hordy inorodców.

Co się działo w owych przedhistorycznych czasach na Syberji, jakie plemiona zaludniały jej śnieżne przestrzenie, nikomu nie jest wiadomo. Przypuścić jednak należy, że podbiegunowcy ci żyli w stanie niemal zwierzęcym, nie posiadając żadnych pojęć jakiegokolwiek bądź wyznania. Przypuszczenie to opieramy na łatwości rozkrzewienia się szamanizmu w tych krańcowych stronach. Czarna wiara, pożytywana za dziką, złowrogą i niedolęzną przez wszystkie południowe i środkowe ludy Azji, przyjętą tu została bezwarunkowo. To co nad brzegami Gangesu i Pei-ho, na wyspach aleuckich, w Turanie i Samarkandzie, uważanem już było za zabytek barbarzyństwa, powitano jednogłośnie na północy jako postęp, ulepszenie i zaród nowego życia. Do mniemywać się także można, że w starożytnej epoce żyły tylko na Syberji plemiona pochodzenia czuckiego, fińskiego, kurylskiego i staro-kameczackiego, a dwa najliczniej dziś re-

(1) Pozostali do dzisiejszego dnia prozelici czarnej wiary na południu Azji, są tylko nielicznymi szczątkami przeszłości;—Syberja bowiem stała się ostatecznym krańcem, na którym znaleźć jeszcze można w znacznej liczbie plemiona zachowujące obrządki do tego wyznania przywiązane.

Przyp. aut.

prezentowane pokolenia: mongolskie, z którego powstały szczepy Tatarów, Jakutów, jakoteż mandżurskie, wydające z siebie Giliaków, Sajańców i Tunguzów, napłynęły z zachodu i południa, w czasie wyżej wzmiankowanych przeobrażeń religijnych, i pomieszawszy się z odwiecznymi rasami północy dały początek tymże odroślom. Nie mogąc się opierać ani na historyi, gdyż ta zupełnie nie istnieje, ani uchwycić najmniejszego wątku tradycyi ludowej, wszystkie przypuszczenia wyprowadzamy z zewnętrznych typów badanych przez nas narodów, równie jak ze szczegółów dziejowych południowej Azji, i kilku zabytków mongolskich, jak np. księdze o Bogdohanie (1), której wszystkie imiona własne są pochodzenia sanskryckiego i zdradzają tym sposobem wspomniane wędrówki ludów. Mandżurya i Mongolia stanowiły przed kilkunastu wiekami dwa potężne mocarstwa; stosunki ich z krańcową północą musiały być nader ograniczone, albo pewnie jeszcze nie istniały wcale: duma rodowa pierwszych i potęga wojenna drugich, nie dozwalały im łączyć się z dzikimi hordami rozpięrzchłemi wśród śnieżnych step bieguna; jeżeli więc znajdujemy obecnie w pierwiastkowych syberyjskich plemionach, wiele ras mandżurskiego i mongolskiego pochodzenia, to początek ich powstania odnieść należy do owego parcia z południa na północ przesładowanego szamanizmu, przez wyznawców Bramy dokonywanego.

Szamanizm więc, zaaklimatyzowawszy się w Syberyi, przetrwał tam wieki, nie zmieniając w niczem pierwiastkowej swojej formy, ani barbarzyńskich wyobrażeń. Po strupieszalności rozsypujących się w proch kości Obon, widzieć można, że początki jego na północy nadwyzwyczajnie odległych sięgają czasów, i odpowiadają epoce powstania i rozszerzenia się buddaizmu w południowej i środkowej Azji (2). Wszystkie najdziksze obrzędy tego strasznego wyznania, jak np. krwawe ofiary z ludzi, nakazywanie samobójstw, bolesne i obrzydli-

(1) Księga mongolska o Bogo-Gesser-hanie znana powszechnie przez nznanych orientalistów niemieckich (*Nomadische Streiereien* 4-er Band), wydana została w Petersburgu w r. 1836 przez profesora Szmidta.

(2) *Revue des deux mondes*, LVII, str. 615.

we tatuowanie ciał, przechowały się tam bez żadnej zmiany aż do końca zeszłego stulecia, i ustąpiły dopiero w części wpływowi cywilizacji rosyjskiej. Ślady tych ofiar znajdujemy dziś jeszcze w mogiłach obon tatarskich, w obyczajach gilliackich; zabytki zaś tatuowania ujrzeć można obecnie nawet na twarzach starców tunguzkich.

Na każdym niemal kroku, wskazówki okropnej przeszłości, niby widma złowrogie, stają nam przed oczy jako dowody wiekowego zezwierzęcenia podbiegunowych ludów. Od brzegów morza Białego aż do pasm gór sajańskich i altajskich, od podnóża Uralu aż do Kameczatki, szamanizm wypisał niezatartemi głoskami swoje istnienie; dziwić się zatem nie można, że ohydna ta wiara, najstarsza może ze wszystkich wyznań na kuli ziemskiej, utrzymując tak długo pod swoim wpływem rozliczne plemiona Syberyi, nadała im, pomimo różności pochodzeń, charakterów i sposobu życia, pewne ogólne cechy. Wspólność niektórych religijnych obrzędów, a szczególnie bezwarunkowa uległość dla kapłanów pogańskich, są przyczyną utworzenia owego łącznika, spajającego nader subtelnymi i zaledwie dojrzanymi ogniwami rozrzucone po stepach syberyjskich ludy. Wszędzie dwa przeciwne działania złego i dobrego Boga, rządzą losami świata; wszędzie pierwszy z nich obudza więcej czci i poszanowania swoją szkodliwością, niżeli drugi swoją opieką i miłosierdziem. Na każdym punkcie tych niezmiernych stepowych obszarów inorodcy, zastępując ślepem przywiązaniem do czarnoksiężkich praktyk duchową stronę wyobraźni człowieka, wielbią złe jako siłę, ciemność jako potęgę, religią jako grozę. Czysta miłość chrystyanizmu, bezwarunkowy spokój buddyjski, a nawet owo staranie wyswobodzenia ducha z więzów ciała przy transfiguracji wyznania Bramy, zastępuje w nich przestach i obawa przed złowrogą mocą złego, które podobne do długotrwałej zimy stref podbiegunowych, osłania czarnym całunem duchową część ich istot, przytłumiając tlejące w tajnikach duszy iskierki miłości, popędu ku dobremu, uznania praw spółecznych. Pojawiające się tu i owdzie objawy wystąpienia z tego, wiekowym obyczajem uświęconego koła ciemnoty, są tak małoznaczące, drobiazgowo i powierzchowne,

iz służyć mogą tylko jako wskazówki, iż stagnacya utrwalona przywyknieniami całego szeregu stuleci, może kiedyś ustąpić miejsca więczej zgodnym z zasadami postępu pojęciom.

Jeżeli jednak na tych kresach organicznego świata, nie mających ani historyi, ani podań ludowych, trudno jest zbadać tajniki przeszłości, cięższém nierównie staje się zadaniem, określenie choć w przybliżonych fazach epoki, w której ciemnota ustąpi miejsca światłu, a dzikie obyczaje prawom na miłości bliźniego i potrzebie rozwoju społecznego opartym. Śmiało jednak powiedzieć możemy, my, od lat tylu zamieszkujący te pustynie, badający obyczaje, nałogi i sposób życia pierwotnych azjatyckich narodów, że błogie te czasy odrodzenia nastąpią wtedy, gdy skutki reorganizacji imperium rossyjskiego osiągną i tych śnieżnych obszarów, gdy świst pary poniesie za sobą napływ idei ciepłym żywotnym technicznych, gdy ostatni szaman, znikając z powierzchni ziemi, pozostanie tylko smutnym wspomnieniem, gdy wreszcie słudzy Chrystusa, poczuwszy swe wielkie i święte obowiązki, pójdą pomiędzy owe barbarzyńskie hordy z krzyżem i ewangelią w rękę, głosić prawdy czerpiące źródło w miłości Boga i bliźniego, w przebaczeniu wzajemnym uraz, i w udoskonalaniu się moralnym człowieka.

Odrębne warunki społecznego bytu, klimat, oddalenie od ogniska oświaty europejskiej, sprawiają, że klasa rolnicza w Syberyi odznacza się zupełnie oddzielnymi, właściwymi sobie cechami.

Wprawdzie nie posiada ona prawie żadnej przeszłości. Ojcowie a najwięcej dziadowie obecnie żyjących, zesłani lub dobrowolnie osiedli, przybyli wszyscy z dalekich stron, przynosząc z sobą różnych ziem i prowincyj obyczaje; ale Syberya ma to do siebie, że osiedlających się pośród jej lodów i śniegów ludzi zmienia nie do poznania, a wszystkie przeniesione z odległych okolic przymioty, wady i narowy, redukuje do jednej ogólnej normy.

Czy przyczyną tego, że się tak wyrażę, prędkiego zsybiryaczenia napływowych plemion jest działanie klimatu, czyli też zupełnie odmienne warunki społecznego bytu, czyli wreszcie trudność bezpośrednich komunikacyj z pierwotną

rodziną kolébką, trudno powiedzieć; to tylko jest rzeczą pewną, że nie tylko narody jedno plemienne, ale nawet Niemcy, Francuzi, Szwedzi, zamieszkujący przez długi czas Syberya, utracają stopniowo pierwotne swoje charaktery i przyjmują wszystkie obyczaje tej ziemi.

Cóż dopiero mówić o włościanach, klasie prostej, bez wykształcenia, którzy zrodzili się i wzrosli pośród tych śniegów, i przywykli od najmłodszych lat uważać tę ziemię za swoją ojczyznę. Wady ich, skryzalizowane w oddzieleniu od reszty świata miejscowości, nie dadzą się skruszyć dobroczynnym wpływem moralnej nauki: w religii widzą tylko jej formę, otoczenie, w którym żyją stawia im w każdej chwili złe przykłady przed oczy, a przymioty, jakimi uposażyła ich natura, nie mogą się rozwinąć w dobrym kierunku, ciśnione ciągle atmosferą tradycyi występku, przechodzącej z ojca na syna, od zesłanych początkowo za różne przewinienia przodków.

Przebiegłość do najwyższego stopnia posunięta, ogromne zdolności, przy zupełnym braku cnotliwych uczuć, rozprzężenie obyczajów, jakoteż wiara w gusła i zabobony, oto są ogólne cechy wyróżniające syberyjskiego włościanina.

Przebiegłość ta i chytróść, którą po części wyssali z krwi zesłanych matek, po części przejęli od blizkich Chińczyków i Mongołów, jest tak wyrafinowaną, że najostrożniejszy i najobrotniejszy Europejczyk w interesie z nimi, zawsze zostanie oszukany i wyprowadzony w pole. W handlu umieją oni przybierać wszelkie pozory dobroduszej perswazyi, korzystać z najmniejszej okoliczności, pochlebiać, potakiwać, i w końcu zawsze dopiąć swojego. Jedynemi szkopułami, o które rozbija się niesłychana ich bystrość, jest naprzód nałóg pijaństwa, a potem bezwarunkowe przywiązanie do wszelkich zabobonów; dlatego też drobni kramarze, jeżdżący z towarami od wsi do wsi, którzy są także po większej części Syberyakami, nigdy nie przystępują do interesu bez uprzedniego postawienia na stole sporęj butelki wódki, a gdy im się nie powiedzie ten środek, udają się do pierwszego lepszego gusła, i tym sposobem zdolają zawładnąć umysłem przesadnego muzyka.

Ze zaciemniony alkoholicznymi wyziewami umysł da się z łatwością pokonać, to jest rzecz nader prosta; dlatego też poczęstunek gra zwykle główną rolę przy wszystkich interesach, w których ten z szermierzy wychodzi zwycięzko, który ma mocniejszą głowę, lub też zręczniejszemu umiał wylęwać na ziemię niewypróżnione kieliszki.

Rzeczywiście ciekawym jest sposób korzystania z wiary prostego ludu w zabobony.

Wędrujący kramarz posiada zawsze mnóstwo cudownych przedmiotów, jak np. amuletów, widełek do przyciągania obojętnych, szkiełek strzegących od uroczego wzroku, krędy do kreślenia kabalistycznych znaków, których sprzedaż przynosi mu znaczne zyski. Szarlatani, zwykle wypędzeni za nałóg pijaństwa gminni pisarze, lub też zesłani na osiedlenie oszusty, włóczą się po wsiach, zamawiając owady w izbach, myszy i kobyłkę (rodzaj szarańczy) na polach, a zarazem lecząc cudownymi środkami wszystkie słabości i choroby. (1)

Ażeby dać wyobrażenie do jakiego stopnia wiara w nadprzyrodzone zjawiska zaślepia ich umysły, przytoczę następujące zdarzenie.

W czasie mieszkania mego na wsi, pragnąc mieć w każdej chwili zdawkową monetę na zakupywanie niezbędnych do życia potrzeb, zmieniłem zawsze kilka rubli na międz, którą wsypywałem do ogromnej skórzaną rękawicy, otrzymaną przy przechodzie przez Tobolsk. Z tej rękawicy czerpałem w miarę potrzeby, a gdy zasób znajdujący się w jej wnętrzu ubywał, przemieniony na drobne papierek bankowy, dopełniał braku.

Przychodzili do mnie włościanie lub ich żony z różnemi wiktuałami domowego gospodarstwa; targowałem, kupowałem, a płacąc, sięgałem nieodmiennie do owęj skórzaną, przez skarb mi podarowaną rękawicy.

(1) Dowcipne sposoby, używane przez szarlatanów w celu wyłudzenia grosza od mieszkańców Syberji, opiszę może w oddzielnym artykule.

(Przyp. aut.).

Jeden z muzyków, który częściej od innych przynosił mi zapasy żywności, zapytał pewnego razu:

— Wytłumaczcie mi, co to znaczy, że wy niczém się nie zajmując, nie pracując w roli, w handlu, ani w rzemiośle, macie zawsze pieniądze. Zkąd je bierzecie?

— Ja mam niewiele pieniędzy, odrzekłem; cały mój skarb ta oto rękawica.

— A jak się wypróżni, to co będzie?

— Ona się nigdy nie wypróżni. Przypomnij tylko sobie, jak dawno do mnie przychodzisz z różnemi do sprzedaży przedmiotami, zawsze z nięj czerpię, a ona zawsze jest pełną.

— Prawda, rzekł muzyk, zawsze z nięj bierzecie, a nigdy nie braknie.

— Bo to jest cudowna rękawica, dodałem. Jeden stary a bardzo mądry człowiek, podarował mi ją w Moskwie. Ma ona tę własność, że gdy znajdujące się w nięj pieniądze są na schyłku, napelnią się znowu sama przez się, i tak zawsze aż do końca świata.

— Hospodi pomiluj! zawołał chłop, żegnając się kilkakrotnie.

Mówiłem naumyślnie tak, ażeby odwrócić uwagę pytającego od prawdziwych moich zasobów, które chowałem w pugilaresie. Wrazie kradzieży, o jaką w tych stronach nie trudno, muzyki wezmą się do rękawicy, a wiara ich w cudowność, ochroni mnie od dotkliwego ubytku. Ale nie sądziłem nigdy, ażeby wybieg mój wywołał tak niespodziewany skutek, jak ten który nastąpił.

Włościanin, zamyśliwszy się głęboko nad tém co mu powiedziałem, wyszedł, lecz tegoż samego dnia jeszcze powrócił zapraszając w gościnę do siebie. Widząc, że zaproszeni nie przyjmują, wyjął z zanadru butelkę nalewki, prosząc usilnie, ażeby z nim wypić.

Znałem ja dobrze ich przywiązanie do miłego grosza, i wiedziałem, że częstować za darmo nie lubią; widocznie więc w tém wszystkiém był jakiś cel ukryty.

Cel ten wyjaśnił się wkrótce.

Kiedy nowo przybyły, po długich namowach, przekonał się, że w żaden sposób nie zdoła mnie skłonić do kieliszka, odpiął swój chałat, wyciągnął powoli głęboko schowaną szmatę i rozwiązawszy takową wyjął z niej kilka biletów bankowych.

— Oto jest piętnaście rubli srebrem, rzeczce, kładąc pieniądze na stole; weźcie je, one wasze.

— Jakto moje?

— Wasze, powiadam. Ja od was kupuję ową skórzaną rękawicę; co się macie trudzić z miedzią, to podły pieniądz, on tylko zabrudzi wam ręce. Bumażki to nie kopiejki, a piętnaście rubli nie każdy razem mieć może.

Oniemiałem z zadziwienia. Jakże to łatwo oszukać tych przebiegłych z natury Syberyaków, gdy tylko ich bezwzględna wiara w nadprzyrodzone zjawiska poruszoną zostanie.

Powiedziałem chłopu, że mojej cudownej rękawicy za żadne w świecie pieniądze nie oddam, i wyprawilem go z domu.

W kilka dni po tém zdarzeniu, rzeczony przedmiot znikł bez śladu z mojego mieszkania.

Na szczęście strata była niewielką: znajdowało się w niej kilkadziesiąt kopiejek.

Napełniłem drugą taką samą rękawicę miedzią, ubolewając głośno nad nieszczęściem tego, który sobie talizman przywłaszczył.

— Ona tylko dla mnie była pożyteczną, mówiłem, dla każdego innego przyniesie straszną chorobę i różne nieszczęścia.

Jeszcze dzień nie upłynął, a już cudowna rękawica znalazła się podrzuconą przy progu mojego mieszkania, wraz ze znajdującymi się w niej kopiejkami.

Wyjąwszy wypadków, w których fantastyczność gra jakąkolwiek rolę, włościanin syberyjski zawsze i wszędzie daje dowody nadzwyczajnej przebiegłości. Umie on poznawać od razu wady i słabości ludzkie, zastosować do nich swoje postępowanie i przybięra na siebie w razie potrzeby różne

charaktery, zmienia wyraz twarzy, ton mowy, roni łzy na zawołanie, a spółników téj komedyi znajduje zawsze gotowych około siebie: własne nawet dzieci jego, przywykłe od niemowlęcych lat żyć w téj atmosferze obłudy, pomagają mu zreżcznie przy danéj sposobności, potakując i kłamiąc bez zająknięcia!

Przy takiem usposobieniu, którego jedynym celem staje się wyciągnięcie jak największych korzyści materialnych z drugich, wszelkie przymioty serca i duszy istnieć nie mogą. Stosunki rodzinne opierają się na zobopólnej potrzebie: rodzice boleją tylko nad stratą podrosłych dzieci, które im były pomocą w gospodarstwie, dzieci zaś nawzajem wyglądają niecierpliwie śmierci zgrzybiałych, niezdolnych do pracy rodziców. Z obojętnością tą nie ukrywają się bynajmniej, i często słyszeć można syna lub córkę rozprowadających o swoich zamiarach po objęciu spadku, albo téż robiących przygotowania do pogrzebu, przy łóżach chorych rodziców.

A i to jeszcze szczęście, jeżeli brak uczucia objawia się tylko apatją.

Kronika sądowa mieści w sobie mnóstwo szczegółów dokonanych zbrodni, wśród rodzinnych stosunków.

Godną jednakże zastanowienia rzeczą jest fakt, że wszelkie bez wyjątku zbrodnie dokonywane tu bywają przy zupełnym braku namiętności: zemsta nieprzyjaciela nad nieprzyjacielem, zazdrość zdradzonego męża, są to uczucia bezwarunkowo nieznanne. Jedynym motorem występku staje się chęć zysku, albotóż bezwiedne pijaństwo.

Namiętność zastąpioną tu bywa zimnem, bezmyślnem prawie okrucieństwem.

Brak zupełny litości nad cierpieniami każdego stworzenia, a témbardziej człowieka, wyrasta z piérwzemi pojęciami dziecka: jest ono wynikiem przyzwyczajenia, a tém samem zupełnego odrętwienia czułych strun serca. Ojciec zwykle bierze ze sobą niedorostków synów do pomocy przy tak zwanym „uczeniu“ stadniny; i tym sposobem chłopiec przywyka od najmłodszych lat do widoku strasznych katu-

szy, jakim przy użyciu tego barbarzyńskiego zwyczaju podlegają biédne zwierzęta (1).

Począwszy od małego dziecka aż do zgrzybiałego starca, nikt nie pojmuje czém jest spólcucie, czém jest litość; i gdyby kiedykolwiek towarzystwo opieki nad zwierzętami zawiązało się w Syberyi, członkowie téj instytucyi musieliby wkrótce wyrzec się swojego szlachetnego celu, dla bezwarunkowój niemożności przeprowadzenia dobroczynnych swoich zamiarów.

Oto przykład:

Pewnego razu, korzystając z pięknego letniego wieczoru, przewiesiwszy fuzyą przez ramię, wyszedłem na przechadzkę. Za wsią, z pomiędzy krzaków, wznosił się lekki obłok dymu. Gdym się zbliżył do tego miejsca, uderzył oczy moje odrażający widok. Dwunastoletni może chłopak, przywiązawszy psa za nogi do wbitego w ziemię pała o parę łokci nad ziemią, podpalił stos gałęzi i piekł nieszczęśliwą ofiarę na wolnym ogniu. Biédne stworzenie w najsroźszych męczarniach wyło i skowyczało przeraźliwie, kilkoro zaś innych dzieci przypatrywało się temu okropnemu widowisku, śmiejąc się i klaszcząc z radości w ręce.

— Chłopcze, co ty robisz? krzyknąłem z oburzeniem.

Malec, zajęty podżeganiem ognia, odpowiedział spokojnie, niby dając najprostsze i najzwyczajniejsze objaśnienie.

— Męcę psa.

— I dlaczego to czynisz? zawołałem drżącym głosem, hamując wybuch gniewu.

— Bo nudno. Ojciec rąbie drzewo w podwórzu, matka pierze bieliznę w rzece, nie ma co robić — tak więc, żeby się zabawić, męcę tego psa.

(1) Uczenie stadniny odbywa się następującym sposobem. Włóścianin potrzebujący do zaprzęgu konia, wybiera takowego z tabunu i od razu zaprzęga to zwierzę do ciężkich sani. Koń, przywykły do wolności stepowój, rwie się, szarpie i iść nie chce. Wtedy muzyk dopóty go męczy, bije kijem po głowie, kłuje sztydłem, dopóki pokonane męczarniami zwierzę nie stanie się potulnym, uległym; czasami jednak uparty rumak woli zginąć pod razami, niż się poddać woli swojego pana.

— Jak ty śmieiesz dręczyć biédne stworzenie?

— To mój pies. Ja mogę go męczyć, ile mi się podoba, a nikomu nie do tego.

Widząc, że przemawiając do serca tego dziecka niebym nie wskórał, a nie mogąc znieść widoku katuszy biédnego zwierzęcia, zmierzylem w milczeniu fuzyą, którą miałem w ręku: padł strzał, a ofiara niewinnych zabaw młodego kata, zwiśla martwa nad podnoszącém się w górę ogniem.

Dziecko jęło płakać i krzyczeć w niebogłoso.

— Zepsuł mi zabawę, zabił psa — ja pójdę na skargę do taty: poczekaj, on ciebie nauczy rozumu!

Na krzyk chłopaka wybiegł z poblizkiéj chałupy barczysty muzyk z siekiérą w ręku; zanim w odwodzie stało kilku innych chłopów.

Dowiedziawszy się od zapłakanego malca o co mu idzie, przybrał groźną postawę:

— Tak być nie może! to ci bratku, nie ujdzie na sucho: poznasz czém pachnie nieusznanowanie cudzój własności.

Położenie moje byłoby nader krytycznym, gdyby jednocześnie prawie nie zbliżył się pisarz gminy, który wraz z żoną obrócił w tę stronę swoją przechadzkę, a dowiedziawszy się o co chodzi, ułagodził włóścian obietnicą szczerzego z méj strony datku.

Pisarz gminy ma we wsi niemałe znaczenie — dlatego téż chłop, pomruczawszy trochę, oddalili się do swoich chałup.

— Cóżście zrobili? rzecze po ich odejściu mój wybawca, nabawiliście się próżnego kłopotu i niepotrzebnych kosztów. Chłopów tutejszych nie należy bez powodu zaczępiać — oni są mściwi i nie dadzą żartować z siebie.

— Jakto bez powodu? zapytałem, alboż ten chłopak nie męczył w najokrutniejszy sposób biédnego zwierzęcia?

— Miał do tego zupełne prawo. To jego pies, a przerywać dziecku igraszkę, która ani wam, ani nikomu nie szkodzi — jest czynem mogącym wywołać tylko nieprzyjemności.

Wszelka dyskusja w tym względzie byłaby zbytęzną— podziękowałem więc pisarzowi za jego wdanie się w tę sprawę, i odszedłem wzruszywszy ramionami.

Słyszałem jednak jak mówił półgłosem do żony:

— Dziwne idee, zupełny brak pojęcia o poszanowaniu cudzej własności. Nie dać biédnemu dziecku pobawić się z jego własnym psem!

I gościnność także, ta cnota wyłącznie słowiańska, nie mogła zaaklimatyzować się w śród podobnych obyczajów, pod tym stopniem szerokości i długości geograficznej. W prawdziwie włościanie lubią, szczególnież w uroczyste święta i niedziele, odwiedzać i częstować się nawzajem, ale ta przyjemność opartą jest na najskrupulatniejszym rachunku.

Gdy kto przyjdzie odwiedzić znajomego lub sąsiada, nie udaje się nigdy wprost do niego, lecz przechodząc niby przypadkiem ulicą, staje przed oknem i zawiązuje rozmowę. Wtedy gospodarz lub gospodyni domu, jeżeli chcą gościa mieć u siebie, wzywają go do izby. I zaraz zaczynają się pozdrowienia, w których należy każdego z obecnych wymienić po imieniu i nazwisku z ojca, poczem nastawiają samowar. Rozmowa toczy się to o gospodarstwie, to o plotkach sąsiedzkich, to wreszcie o spodziewanym przybyciu jakiego urzędnika. Gdy samowar gotowy, piją herbatę ze spodków, przegryzając cukrem. Zwykle każdy z gości wypija po trzy filiżanki herbaty, po wypiciu ostatniej obraca filiżankę dnem do góry i kładzie na niej niedogryziony kawałek cukru. Wtedy gospodarz i gospodyni częstują jeszcze, ale to prosta forma, bo zwyczaj nie pozwala przyjąć więcej.

Po wypiciu herbaty goście natychmiast zabierają się do wyjścia. Wtedy pomiędzy gospodynią domu a przybyłymi w odwiedziny, następuje wymiana wyrazów zawsze jednych i tych samych.

Gospodyni mówi:

— Dlaczego tak śpieszycie się?

Goście odpowiadają:

— Czas do domu.

— Posiedźcie jeszcze.

— Dziękujemy wam. Napoiłście nas herbatą i nakarmiliście dostatecznie.

— Mało było.

— Nie, w sam raz; jesteśmy zupełnie syci.

Odbywszy stereotypowy dyalog, który się zawsze powtarza mechanicznie, niby wyuczona lekcya; przybyli idą z kolei, tak do gospodarza jak i do gospodyni domu, a wzięwszy ich za ręce, mówią:

— Dziękujemy wam za podanie wódki, za napojenie herbatą, za nakarmienie kołaczami, za piérozki, za cukier i t. d.

Zwyczaj bowiem nakazuje, ażeby przy podziękowaniu za przyjęcie, wymieniony był z kolei każdy przedmiot skonsurowany przez gości.

Po wyliczeniu przez każdego całego szeregu spożytych artykułów, przybyli odchodzą, mówiąc:

— Prosimy pokornie do naszego domu.

Po upływie niejakiego czasu, ci, którzy przyjęli odwiedzających, idą w gościnę do tych, którzy u nich byli z wizytą, i rzecz odbywa się tak samo zupełnie, a obie strony uważają pilnie na to, ażeby ilość podanych i zjedzonych artykułów, zrównoważyła się. Gdy jeden u drugiego cokolwiek więcej wypije lub zje, następują wyrzuty, przechwałki przed innymi, lub też szydercze ubolewania.

— Podawałem naléwkę i herbatę z cukrem, a oni częstowali tylko czystą herbatą.

— Nakarmiłam piérogiem, a oni dali tylko kołacze.

Często jeden kiéliszek naléwki, który odwiedzający więcej wypił, jest powodem długich kłótni i swarów. Niedelikatny gość nazwany jest publicznie oszustem, człowiekiem bez czci i wiary: wytykają go palcami, obsypują obelgami, a czasami biorą się aż do kijów.

Przyczyną tego postępowania nie zawsze jest chciwość, czasami bowiem najbogatsi włościanie, wydający na niepotrzebne przedmioty znaczne piéniądze, kłóca się zawzięcie o jeden kiéliszek wódki nie odpity u sąsiada. Wypływa to głównie z wyobrażeń syberyjskich, podług których niema nic bardziej poniżającego jak być wyprowadzonym w pole, a nic rozumniejszego jak korzystanie z drugich. Kiedy

więc każdy oszukany nosi miano niedołęgi, a każdy oszukający uchodzi za pełnego bystrości człowieka, dziwić się nie można, że obawa, ażeby nie grać roli ofiary, posuniętą zostaje aż do drobiazgowości.

Dziwne to przekonanie jest motorem bardzo wielu zwyczajów. Jeżeli kto np. otrzyma jakiś podarunek, powinien natychmiast, bez straty czasu, wywzajemnić się równą wartości przedmiotem. Na to jest nawet oddzielny, zupełnie nieznany u nas wyraz: „oddarit“, (odpodarunkować). Bardzo często przesyłają dar jakina to tylko, ażeby przy pośpiesznym oddarowaniu, skorzystać na większej cokolwiek wartości otrzymanej w zamian rzeczy, i cieszyć się z głupoty znajomego lub sąsiada, nieumiejącego zrównoważyć ceny obydwóch przedmiotów. Oddając zaś cokolwiek bądź mniej kosztującego od przyjętej ofiary, narazić się można na nieprzyjemność, również jak i nie przyjmując przysłanego podarku.

Skąpstwa zaś we właściwym znaczeniu tego wyrazu, włościanie syberyjscy nie znają. We wszystkim, co tylko się tycze ich potrzeb, a nawet częstokroć i zadowolenia miłości własnej, nie oszczędzą wydatków. Urządzenie wewnętrzne i powierzchnowe ich mieszkań jest tego najlepszym dowodem.

Domy budowane na sposób wschodni, oparknione są starannie, a wejście ich nie wychodzi nigdy na ulicę, lecz główny wchód znajduje się od tyłu, wewnątrz podwórza. W budowaniu, pragnąc uczynić mieszkania wesołymi, starają się, ażeby jak najwięcej było okien; dla upiększenia zaś powierzchni swoich siedzib, ozdabiają takowe różnemi z drzewa grubo wyciosanemi sztukateryami, lub wyrzynanemi w deskach arabeskami.

Każdy dom dzieli się na dwie części: na właściwe mieszkanie i na pokoje, służące do przyjęcia gości (gornicę). Pierwsza część jest zarazem i kuchnią, połowa jej przedzielona pionowym pokładem z desek, nazywa się pałatą. W tej części mieszkania swego Syberyak cały dzień spędza: jada, pije, sporządza narzędzia rolnicze, gdy żona jego i córki zajmują się domowem gospodarstwem; na pa-

łacie zaś śpią pokotem ci wszyscy, którzy się na piecu pomieścić nie mogą. Łóżek bowiem zamożniejsi tylko używają. Pałata jest u nich dotykalmym wyobrażeniem przyjemności tego życia; jeżeli w czasie zatrudnień dziennych zbędzie jaka godzinka lub kwadransik, natychmiast czy to chłop, czy dziewczka, czy dziecko, wdrapuje się na pałatę i trudno ich ztamtąd zciągnąć. Dzieci do lat siedmiu, które jeszcze nic nie robią, leżą dzień i noc w tych górnych sferach, wychylając od czasu do czasu swe główki, i spoglądając co się dzieje na dole. Ten zwyczaj jest tak powszechnym, że gdy pewnego razu zapytałem matki dziewięcioletniej dziewczynki, ile ma lat jój dziecko.

— Od dwóch lat zaczęłam je zciągać z pałaty, odpowiedziała.

To więc jest era, rachubą czasu w życiu Syberyjczyka.

W tej części mieszkania, w każdej porze dnia i nocy panuje nieznośne gorąco, a często czad sprawiający bóle głowy nie do wytrzymania, chłop bowiem tutejszy namiętnie lubi prażyć się w ciepłe; palą ciągle w piecu i zamykają go gdy jeszcze z rozżarzonych węgli gaz wychodzi. Przyzwyczajenie sprawia, że czad mniej na nich oddziałuje; ufni w to, tak zazwyczaj pośpieszają z zamknięciem pieca, że wypadki nagłych śmierci z zagorzenia, nader często przytrafiają się w Syberyi.

Druga część mieszkania, górnica, czysto wybielona, wymyta, bywa miejscem przyjęcia gości, pokojem bawialnym włościanina. U bogatszych chłopów, którzy posiadają domy piętrowe, pierwszą część stanowi cały dół, drugą zaś wyższe piętro złożone z trzech lub czterech pokoi. Czystość jest tu zawsze wzorowa, podłogi myte i szorowane są co sobota, również jak ławki, stoły i stołki; w kuchni zaś ścielą zazwyczaj na podłodze grubą warstwę słomy, ażeby ją uchronić od powalania błotem przyniesionym na nogach przychodniów.

W narożnym kącie domu umieszczonem jest wyobrażenie Boga Rodzicy, Zbawiciela lub jakiegoś świętego. Obraz ten, oprawiony w posrebrzaną blachę tak, że tylko twarz i ręce widzieć można, ozdobiony jest najczęściej gałązkami

pnącego się bluszczu, przy nim zaś znajduje się wisząca lampka lub cienkie woskowe świeczki, które w dniach uroczystych bywają zapalane. Zwykle wchodzący do izby włościanin zaczyna od oddania pokłonu świętemu obrazowi, co czyni również po przyjęciu posiłku, i przed udaniem się na spoczynek.

Dobrobyt i zamożność są prawie ogólne, z powodu, że tu poddaństwo i pańszczyzna nigdy nie były znanymi; prawnicza ziemia bez wszelkich trudów i pracy wydaje obfite plony. Łatwość wyżywienia w stronach, gdzie każdy tyle może mieć siana, ile go zebrać zdoła, sprawia, że wielu z rolników posiada ogromne tabuny koni, liczne stada bydła i owiec, i gdyby nie powszechnie zakorzeniony nałóg pijaństwa, zasoby ich materialne byłyby bez porównania większe. Przy braku gościnności w przyjęciu i samolubstwie względem drugich, nie żałują jednak sobie niczego. Włościanin syberyjski ma zawsze dobrze zaopatrzoną spiżarnię: na zimę przygotowuje wielki zapas zamrożonego mięsa, nie licząc już ryb i wszelkiego rodzaju zwierzyny, która go nic nie kosztuje; ale sposób przyrządzania posiłku jest taki, że do podobnego jedzenia nader trudno jest przyzwyczaić się Europejczykowi. Nietylko mięsa, ale nawet ryby nie spożywa nigdy świeżej, lecz dopiero wtenczas, gdy się psuć zaczyna; a taki pokarm, odrażający i szkodliwy dla każdego mieszkańca cywilizowanych krajów, jemu smakuje i żadnego na zdrowiu nie przynosi uszczerbku. W lecie, przy braku owoców, których Syberia nie wydaje, jedzą wszelkiego rodzaju zieleniny, w stanie zupełnie surowym, Oprócz, jagód, które zbierają zawsze niedojrzałymi, i ogórków, stanowiących najwybredniejszy ich przysmak, konsumują niezliczoną ilość grochu, razem ze strączkami, jakoteż łądyg i pączków rozmaitych polnych roślin. W tej porze, każdy nosi pełne kieszenie tych przysmaków, a spotkawszy znajomego lub sąsiada, częstuje go prowizyą, w jaką się zaopatrzył. Częstość widzieć można dwóch stojących naprzeciwko siebie przyjaciół, pakujących w usta wielką ilość tej zieleniny, od użycia której najwytrwalszy Europejczyk zachorowałby niezawodnie. Milczenie, które wtedy pomie-

dzy dwoma spotykającymi się panuje, przerywane jest tylko chrzęstem gryzionych łupin od grochu, lub chrupaniem pękających pod zębami, surowych ogórków.

Obok niedostatku smaku, nie mogącego się wyrobić w tych przestrzeniach stepowych, mających nader rzadkie stosunki z miastami, w których mieszkańcy od przyjeżdżających z Rosyi kupców i urzędników przejmują powoli więcej zbliżony do europejskiego sposób życia, dziwić się już nie można nad zupełnym brakiem u nich estetycznego pojęcia o piękności. Wzorów tu nie brak, kobiety bowiem syberyjskie celują urodą; ale materyalizm, w jakim pogrążona jest ludność tych stron podbiegunowych, sprawia, że tylko kształty ciała najwięcej przemawiające do zmysłów, podobać im się mogą. Kobiety ogromne, tłuste, o grubych herkulesowych postaciach, są dla nich typem niewieściego wdzięku. Widziałem raz na wsi dziewczę szesnastoletnie cudo piękności: płeć jej była biała jak marmur, włosy spadające w naturalnych kędziorach na alabastrowe ramiona miękkie jak jedwab, kibić gibka i wcięta, niewysłowiona rzewność w spojrzeniu sino-niebieskich oczów, uśmiech czarujący, byłyby skarbem dla artysty, szukającego idealnego wzoru.

Tam uchodziła ona za brzydką.

— Biedny robaczek! mówił mi jej ojciec z westchnieniem; to jeszcze szczęście, że jest u mnie trochę bumażków w kuferku, inaczey trudnoby mi było wydać ją za męż. Małe to, drobne, blade i niepozorne. Ah, jakże zazdroścę mojemu sąsiadowi Osipowi Iwanowiczowi; jego córka Nińiła jak stąpnie, to aż trzeszczy podłoga, a moja choć przebiegnie, to tak samo jakby mucha przeleciała. Lekkie to biédactwo!.. a szkoda, bo i rozum jest, i pracowita, dobra, potulna córka.

Mówiąc to, przywiązany ojciec opuścił smutnie głowę na piersi, dumając o niesprawiedliwości losu, który córkę sąsiada obdarzył gatunkową ciężkością pięciu pudów, gdy jego ukochanemu dziecku zaledwie trzech użyzył.

Dziewczęta wiejskie bardzo mało zajmujące się robotami polnemi, i to chyba u mniej zamożnych włościan, któ-

rzy nie są w możności utrzymywać tyłu parobków, ile potrzeba do uprawiania roli, mają ręce czyste, białe. One zazwyczaj pomagają matce przy domowym gospodarstwie, a wolne od zajęć chwile poświęcają szyciu lub haftowaniu na kanwie. W niedziele i święta stroją się niesłychanie. W żadnym kraju na świecie nie zdarzyło mi się widzieć takiego bogactwa ubiorów kobiet wiejskich, jak na Syberyi. W dnie uroczyste noszą one po większej części suknie jedwabne lub czasem nawet ałasowe, botynki lakierowane, burnusy z cienkiego sukna, salopy podbite gronostajami; zamiłowane są szczególnie w kolorach jasnych, krzyżujących, tak że gdy w dzień świąteczny wychodzą z cerkwi lub spacerują po ulicach, zdaje się, iż stada kolibrów, rajskich ptaków i papug chińskich, opanowały wstępnym bojem te ustronia. W każdej prawie wsi większej znajduje się szwaczka, rodzaj wyroczni, stanowiącej nieodwołalne wyroki co do mód miejscowych; które, przychodząc spóźnione do syberyjskich miast, zjawiają się w wioskach wtedy dopiero, gdy o nich w Europie zupełnie zapomniano. Krynolina np., zarzucona oddawna w cywilizowanych krajach, kwitnie w najlepsze pomiędzy temi samorodnymi elegantkami stepów. Każda z dziewcząt posiadać ją koniecznie musi, a gdy środki finansowe nie pozwalają jej na to, stara się wynalazkami własnego pomysłu stworzyć coś odpowiedniego. Niektóre wkręcają w suknie twarde ze słomy powróśla, które gnąc się i krusząc co chwila, dziwne ubiorowi nadają kształty; inne wszywają drewniane obręcze, a te najczęściej, przy lada niezręczności lub złém użyciu, łamią się z trzaskiem lub też opadają na ziemię.

To niesłychane zamiłowanie do stroju jest głównym powodem niesłychanej demoralizacji, jaka pomiędzy plecią żeńską w ogólności panuje. Demoralizacja ta tém straszniejsza, że nie czerpie źródła, ani w gorącości klimatu, ani też w sąsiedztwie wielkich miast. Zimna jest ona i wyrachowana: nie przystraja się żadnym pozorem namiętności, nie zasłania żadną maską udanej cnoty. Istota czysta, wala się dobrowolnie w błocie bez walki, bez oporu, bez wyrzutów sumienia. Przed upadkiem nikt jej nie pochwalił, po

upadku nikt jej nie zgani: wszystko co się dzieje jest prostém, naturalném, codzienném, nikt się temu nie dziwi, nikt się nad tém nie zastanawia, a jeżeli się podniesie jaka pogawędka, to tylko pod wpływem finansowym; motorem bowiem demoralizacji jest pieniądz.

Mężczyźni są w ogóle zdrowi, rośli i dobrze zbudowani, o rysach regularnych i ruchach ciała swobodnych. Ubiierają się w długie chałaty, obszyte po brzegach czarnym manszestrem, zahaftowanym w różne desenie i kwiaty; ci, którzy piastują jakikolwiek urząd w gminie, noszą, udając się na miejsce swojego urzędowania, w każdej porze, czy zimą czy latem, dla odznaczenia się od innych, skórzane rękawice na rękach. Włóścianin, spotkawszy kogokolwiek starszego wiekiem, choć zupełnie mu nieznanego, uważa za obowiązek pokłonić się zdejmując czapkę, a gdy jest podchmielony, prosić o przebaczenie, że sobie cokolwiek więcej wypić pozwolił. Za to, gdy jest zupełnie pijany, lubi burdy, awantury i zaczepki. Szacunek zaś powierzchnowny dla starszych latami, jest tylko formą, bo i własnych rodziców szanować nie umieją; ale forma ta tak wsiąkła w obyczaje ludu, że gdy chcą np. uczcić człowieka w średnim wieku lub nawet trzydziestoletniego, mianują go w rozmowie starcem, albo, dowiedziawszy się o jego rzeczywistym wieku dziwią się, iż tak staro wygląda. Taki sposób mówienia, za wyszukaną grzeczność powszechnie jest uważany.

Zabawy ludu wiejskiego rozlicznego są rodzaju. Zwyczaj jednak nakazuje, że zabawy te i rozrywki w pewnych danych terminach peryodycznie się powtarzają; a gdyznaczony na nie obyczajem miejscowym czas przejdzie, już nikt nawet o nich i myśleć nie śmie. I tak naprzykład, ostatniego dnia starego roku do trzech królów, wszystko co żyje używa przyjemności maskarady; tłumy dziewcząt i parobków, pozakrywawszy twarze chustkami, poprzebierawszy się w dziwaczne stroje, chodzą od chaty do chaty, starając się ażeby ich nikt nie poznał. Po trzech królach, chociaż karnawał trwa jeszcze w najlepsze, nikt się już nie maskuje: W zapusty cała ludność jeździ po ulicach wsi saniami, spuszcza się z gór lodowych, lub zdobywa zbudowa-

ne ze śniegu fortece. Na wielkanoc stawiają na placach i w podwórzach domów huśtawki, które nieodmiennie w tydzień po wielkiej niedzieli bywają rozbiierane. Od tego czasu aż do uroczystości św. Piotra i Pawła, dziewczęta i parobcy bawią się w niedzielę i inne wolne od zajęć dnię po ulicach wsi w różne gry, połączone najczęściej z chóralnym śpiewem. Po tym terminie wszystkie uciechy na wolnym powietrzu znikają, ażeby znowu na rok przyszyły, w uświęconym zwyczajem terminie, pojawić się.

Dzieci mają znowu swoje wyłączne gry i rozrywki. Chłopaki od chwili nastania wiosny aż do późnej jesieni, bawią się po ulicach w „babki,“ jestto gra podobna do kregli, tylko jeszcze więcej samorodna: kreglami są tu ustawione rzędem kości zabitych zwierząt, pociskam zaś płaskie kamienie.

Czasami jednak dzieci syberyjskie zastosowują do swoich rozrywek oryginalne, wybornie naśladowujące miejscowe obyczaje, pomysły. Dziecko w ogólności lubi naśladować w zabawach swoich to, co często widuje, dlatego więc gry tym sposobem improwizowane przez młode pokolenie nie są bez interesu dla postronnego obserwatora.

Włościanin syberyjski, pomimo braku serca i tego ciepłego uczucia, które w stosunkach rodzinnych staje się spójnią, łączącą w jedną całość wszystkich jej członków, jest w życiu domowym nader patryarchalnym. I brak serca, i patryarchalność w obejściu się ze wszystkimi którzy go otaczają, ma swoje źródło w obyczajach miejscowych. Przebiegłość, chęć korzystania z drugich, poświęcenie wszystkiego dla interesu pieniężnego, powszechnie jako cnoty uważane, wyradzają oschłość ucznć — sąsiedztwo zaś koczujących pierwotnych plemion Syberii, które w swych peregrynacjach rządzą się prawami natury, sprawia, że pomimo braku serca, włościanin syberyjski w zewnętrznych oznakach przynajmniej przybiera wszystkie cechy tej starożytniej cnoty.

Gospodarz jest tu głową rodziny w całym znaczeniu tego wyrazu; do niego wszystko się odnosi, jemu wszystko bezwarunkowo ulega, a on natomiast w stosunku z innymi

jest względny, wyrozumiałym i sprawiedliwym. Parobcy przyjęci przez niego w służbę, nie są uważani jako najemni robotnicy, lecz jako członkowie rodziny. Pomiedzy służącymi a własnymi dziećmi nie robi nigdy żadnej różnicy. Kolej cięższej lub lżejszej roboty naprzemian, nikogo nie oninie — a gdy przyjdzie czas przyjmowania posiłku lub picia herbaty, cała rodzina wraz ze wszystkimi służącymi zasiada za jednym stołem.

W każdej gminie znajduje się etatowa szkołka wiejska; włościanie jednak niechętnie i w nadzwyczajnie ograniczonej liczbie posyłają tam swoje dzieci. Nie czynią tego przez uprzedzenie do nauk, ani dla korzystania, jak to miewa miejsce u nas, z pomocy dzieci przy domowym gospodarstwie, ale z poczucia po większej części uzasadnionego że uczniowie nie wyniosą ztamtąd wielkiego pożytku. Stara metoda wykładu, ucząca głosek pod różnemi dziwacznyemi kilkossilabowemi nazwami, a szczególniej zbyt srogie postępowanie nauczycieli wiejskich z oddanemi pod ich władzę dziećmi, utrudnia postęp nauki i oświecenia. Dzieci syberyjskie w ogólności są bystre i posiadają niezwykle naturalne zdolności: uczone w domu przez jakiego improwizowanego nauczyciela, który umie się z niemi łagodnie obchodzić, robią nader szybkie postępy — gdy tymczasem posyłane do szkoły stają się tępe, wystraszone, zafukane — i często po kilku latach nauki zaledwie syllabizować unieją.

Pewnego razu udałem się do wiejskiej szkoły: było budynek obszerny, piętrowy, oparkaniony starannie. Wszedłem przez podwórze, na którym z jednej strony stało kilkadziesiąt siągów drzewa porządnie poukładanych, z drugiej zaś wszystkie porządki do domowego gospodarstwa potrzebne; w zagrodzie pasły się tłuste krowy z pulchnemi, wesoło skaczącymi cielątkami. Przez drzwi otwartej stajni można było widzieć trzy bystre młode rysaki; świeżo wymalowane sanie i taransas na resorach stały pod szopą — słowem wszędzie czuć się dawał dostatek i zamożność.

Nauczyciel wiejski, dobrze płatny, dobrze utrzymywany dostaje wszystko czego mu potrzeba od gminy.

Zaszedłem do wnętrza. Cały dół zajmowany był przez rodzinę nauczyciela, pierwsze zaś piętro było właściwą szkołą. Wszedłem po schodach i znalazłem się w obszernej sali napelnionej ławkami. Na jej krańcu stała duża tablica, a przy niej człowiek wysokiego wzrostu, chudy, bladej, żółty z ponurym wejrzeniem — trzymający w jednej ręce kredę, a w drugiej skórzaną dysceplinę. Na ławkach siedziała mała gromadka dzieci: pięciu chłopców i jedna dziewczynka.

Widząc tak ograniczoną liczbę uczniów, sądziłem z początku, że nie wszyscy zebrali się jeszcze — później dopiero dowiedziałem się, że od bardzo dawna nigdy więcej dzieci nie uczęszczało do szkoły. Bywają nawet lata, w których tylko dwoje lub troje przychodzi.

Forma jest zachowana; szkółka istnieje, dzieci się w niej uczą — ale rezultaty tej nauki, tych kosztów utrzymania szkoły w gminie, która liczyła do sześciu tysięcy mieszkańców, jakże są ograniczone!

Nie będę wchodził w szczegóły sposobu uczenia dzieci, który jest zawsze jeden i ten sam: użycie grozy i postrachu. Zresztą nauczyciel, niezadowolony widocznie z mojego przybycia, hamował się przy mnie z wybuchami swego porywczostwa. Pomimo tego, nawyknięcie było tak silnym, w tonie jego mowy, w głosie ostrym i przenikliwym przenikliwym, przebijało się coś tak despotycznego tak srogiego, iż niewtajemniczonymu nawet w obyczaje miejscowe łatwo można było odgadnąć zwykły sposób postępowania ze swymi uczniami syberyjskiego pedagoga.

Inna jeszcze okoliczność potwierdziła to mniemanie. Każde z wywołanych przed tablicę dzieci wychodziło na środek z największym przestrawem; drżało, bladło i bełkocąc przerywanym od bojaźni głosem zadaną lekcją, nie spuszczało wzroku ze straszego narzędzia kary, które nauczyciel trzymał w swą dłoń, podobnie jak owe wyuczone małpki i pieski, które na rozkaz sztukmistrza wykonywują tańce i skoki, patrząc ciągle z przerażeniem na pręt, jaki tenże trzyma w swą rękę.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł duchowny miejscowy.

— Życzę Wam dobrego zdrowia, Iwan Andrejewicz. Bóg z wami dziećmi. Jak widzę wszystko dobrze idzie; malcy się uczą, wy nie żałujecie trudów i pracy.

— Nie żałuję ja pracy, odpowiedział ponuro nauczyciel spoglądając mimowolnie na dysceplinę, którą trzymał w ręce; ale żeby co z tych osłów zrobić, potrzeba prawdziwie nadludzkiej cierpliwości.

— Wszystko będzie dobrze, tylko czas, jeden czas, przy waszej pracowitości, która jest znaną i powszechnie cenioną.

— O nie żałuję ja moich trudów, ale często mi już i ręce opadają. Naprzykład ten malec, dodał pokazując na stojącego przy tablicy chłopaka, tak jest tępy i leniwy, że nic mu w głowę nie wchodzi. Pięć razy powtarzałem i tłumaczyłem zadaną lekcję, a on jej nie umie powtórzyć. Czyż nie pięć razy powtarzałem? zawołał, groźnie odwracając się do dzieci: powiedzcie bębnym?

— Pięć razy! wyjąkały razem przestraszone dzieci.

— A widzicie!.. No powtórz!.. krzyknął popychając przed tablicę drżącego z przestrawu malca.

— Ja... ja...

— Powtórz! krzyknął piorunującym głosem.

Chłopak zbladł jak ściana, chciał coś mówić; usta odmówiły mu posłuszeństwa.

— On powtórz, wyrzekłem widząc wznoszące się nad plecami nieszczęśliwego straszne narzędzie kary. I nie czekając odpowiedzi, wziąłem malca za rękę, posadziłem przy sobie i pogłaskawszy po głowie, powoli i wyraźnie objaśniłem zadaną lekcję. Dziecko, ochłonawszy z przestrawu słuchało mnie z natężoną uwagą; poczem na moje zapewnienie, że mu nic złego nie będzie, wywiązało się najlepiej w świetle ze swego zadania.

Nauczyciel rzucił na mnie spojrzenie jakie tylko rzucić może przydeptana nogą gadzina; ale nie śmiał w obecności nowo przybyłego swego zwierzchnika, okazać gniew wewnętrzny.

— Raz dobrze, zamruczał; ale chciałbym widzieć kogo na mojem miejscu.

— Zawszeby tak było... przy łagodności, dodałem z cicha.

Powyższy fakt potwierdził jeszcze więcej we mnie to przekonanie, że Syberyacy nie stronili by od nauki, gdyby ta udzieloną im była w więcej sympatycznej formie, a młode pokolenie uczęszczające do szkółek, wyrosłoby z czasem na ludzi przynoszących rzeczywisty pożytek ogółowi. Przy ich wrodzonych zdolnościach, elementarna nawet nauka rozszerzyłaby koło ich pojęć, zmieniła ich wyobrażenia, i wpłynęła na usunięcie najwyższego nieprzyjaciela postępu, tak silnie pomiędzy niemi zakorzenionego—nałogu pijaństwa.

Obchody wesel syberyjskich połączone są z niezwykłą ilością różnych, zwyczajem uswięconych obrzędów. Pominąwszy już przedwstępne formy przy swataniu, oględzinach i t. d., które nie mają w sobie tak wybitnej cechy, przystępuję do skręślenia niektórych szczegółów, stanowiących właściwe wesele.

W wigilią dnia ślubu odbywa się w domu rodziców panny młodej wieczór dziewic (dziewicznik). Jestto wieczór wydany przez pannę wstępującą w związki małżeńskie dla swoich przyjaciółek i towarzyszek — uroczystość pożegnalna z rówiennicami tej, która zmieniając swój stan, opuszcza ich grono.

Na wieczór dziewic zapraszani bywają, oprócz urzędników weselnych to jest „tysiącznego“ „starszego i młodszego bojara“ „swata“, „pierwszej drużki“ wraz z całym otoczeniem innych „drużek“ i przybranych na tę uroczystość rodziców pana i panny młodej, tylko dziewczęta wsi, bliżsi krewni i znakomitsze osobistości gminy. Reszta publiczności, a szczególnie młodzi parobcy, oczekują z niecierpliwością w przyległej gościnnemu pokojowi kuchni, chwili w której po odbytych obrzędzie oczepin, towarzyszących im śpiewów, przyjęcia posiłku, nastanie pora płasów.

W górniczy, pokoju przeznaczonym na przyjęcie gości, stoi duży stół, przykryty białym obrusem i otoczony ławkami: na jego przyglówku od strony obrazu, widzieć można najwyższe miejsce, rodzaj tronu, przykryte dywanami—

przeznaczone dla młodej pary. Gdy już wszyscy zaproszeni są zgromadzeni, uroczystość rozpoczyna się od oczepin. Liczne grono dziewic obstępuje pannę młodą, sadzają ją na krzesła, a oddalwszy narzeczonego w najodleglejszy kąt izby, zaczynają powoli rozplatać kosę, śpiewając chórem pieśni, na które odpowiada panna młoda smętnym i jednotonnym głosem. Treść tych pieśni wyraża ze strony drużek żal za stratą dotychczasowej swojej towarzyszki, a zaś ze strony panny młodej, oprócz żalu za przyjaciółkami, ubolewanie nad zmianą stanu, do którego już nigdy wrócić nie będzie mogła.

Drużki śpiewają:

Już z nami płaszać nie będziesz,

Ani się bawić w goryłki (1)

Ani w rzeczkę rzucać wianki,

Ani za dziewiczym siedzieć stołem!

A ona odpowiada:

Już z wami i t. d.

Drużki znowu śpiewają:

Zedrą ci twój wianek z głowy

I chustką włosy obwiną;

A wianka nikt ci nie wróci,

Jak raz przepadł, to na zawsze.

A ona odpowiada:

Zedrą mi i t. d.

Śpiewy te przeciągają się dosyć długo, albowiem kosa panny młodej w czasie trwania pieśni, bardzo powoli bywa rozplatana. Przy kosie bywają półkoski: jestto zbiór bardzo malutkich i drobnych warkoczyków, poprzednio naplęcionych, których liczba odpowiada ilości przyjaciółek i drużek, wychodzącej za mąż dziewczyny. W półkoski te

(1) Goryłki albo rozłuki, gra najczęściej będąca w użyciu u dziewcząt wiejskich, a zasadzająca się na tém, że gdy dwie z nich w biegu, starają się schwycić za ręce — trzecia, goniąc za niemi, usiłuje pojmać którąkolwiek przedtém, nim tamte zdołały się dotknąć rękami.

(Przyp. aut.).

wplatane są różne sznurki, wstążeczki, koraliki, które panna młoda rozdaje w miarę rozplatania swoim przyjacielom, na pamiątkę dnia tego.

Cała ta ceremonia byłaby nader poetyczną, gdyby fakta rzeczywistego życia, przeciw niej nie powstawały. Czasem w chwili wygłaszania pieśni, w której panna młoda rozwodzi żale nad utratą swojego wianka, w przyległym alkierzyku odzywa się niefortunny głosik, dający poznać, że to wszystko jest tylko blichtrzem, pokrywającym oznakami powierzchnowych form, brak niewieściej cnoty i nędzę moralną.

Po skończeniu oczepin sadzają państwa młodych na wywyższonem miejscu za stołem, i zaczyna się uczta, której gospodarzem jest najgłówniejszy urzędnik wesela „tysiączny,” pomocnikami zaś jego przy podejmowaniu gości dwaj bojarowie. Kiedy już wszyscy dobrze podjedli, dziewczęta wznawiają swe śpiewy pod przewodnictwem starszej družki, ale tym razem pieśń ta poświęconą jest uczczeniu znaczniejszych gości. Zaszczyty tego świata nigdy darmo nie przychodzą, dlatego więc każdy z zaszczyconych, winien złożyć pewną kwotę piędzi, na ręce jednej z dziewcząt zbierających składki. Ma się rozumieć, że im hojniejszy był ofiarodawca, tym większymi pochwałami dla niego brzmi chóralny śpiew syberyjskich dziewic. Od znakomitszych przechodzą kolejno do coraz skromniejszych osobistości; a gdy już wszyscy mniej więcej ucztemi zostali, wyglądający niecierpliwie téj chwili parobcy, wysuwają się jeden za drugim z kuchni wraz z muzyką, i uroczystość zakończoną bywa tańcami.

W drugim dniu ma miejsce ślub, poprzedzony uroczystością błogosławieństwa. Państwo młodzi przed pójściem do cerkwi kładą się na ziemi: na plecach ich umieszczane bywają święte obrazy i zapalone świeczki, a oni zostają w tém położeniu chwil kilka, dopóki osoby do tego upoważnione, nie odmówią nad leżącymi wyrazów zwyczajem uświęconych. Najdziwniejszą jest ta okoliczność, że błogosławią ich nie własni rodzice, ale weselny ojciec i weselna matka, ludzie częstokroć zupełnie obcy, nienależący nawet do ro-

dziny, lecz wybrani z grona znajomych lub sąsiadów dla dopełnienia téj ceremonii. Po odbyciu ślubu cały dzień poświęcony jest hulaniu, picciu, śpiewom i tańcom.

W trzeci i ostatni dzień już nie wielka liczba zaproszonych gości się zbiera. Są tam tylko znakomitsze osobistości, bliżsi krewni i ludzie starsi wiekiem. Panna młoda rozdaje w tym dniu obecnym podarunki, zwykle chustki płócienne, a każdy z obdarowanych winien odwzajemnić się natychmiast podwójnej a nawet potrójnej wartości prezentem, lub téż odpowiednią kwotą pieniędzy. Na zakończenie uroczystości piją do upadłego, i jeżdżą po ulicach wsi z krzykiem, hałasem i dzwonekami, śpiewając ochryplym głosem rozmaite pieśni. Płasów i tańców niema, a syberyjski byczek, który przy dźwięku bałajek, rodzaju trójgraniastój o trzech strunach gitary, przez dwie doby zajmował młodzież płci obojój, nie pojawia się tym razem na placu.

Ale należy objaśnić czém jest syberyjski byczek.

Wiadomo, że tańce malują charakter narodów. Systematyczni a zarazem tkliwi Niemcy mają swojego walca. W jednostajnych i wyrachowanych ruchach tego tańca widzieć można tętno germańskiego narodu, płynącego ciągle jako nurty rzeki, wyłobionem przez wieki korytem. Wśród balowej sali, połączone chwilowo pary przesuwają się jedna za drugą, z obliczeniem każdego stąpnięcia, poważnie, nieumiesione szaleem podskoków, ani porywem gestów: każda para odosobniona od tłumu starczy sobie nawzajem; kobieta opiera się na swoim partnerze, a ten utrzymuje ją w ramionach tkliwie, czule, ale bez namiętności. Jest to miłość Wertera, głęboka lecz nie ognista, rzewna lecz nie wyrażająca się na zewnątrz. Inna rzecz w narodowych tańcach południowych ludów, mieszkających pod żarem blisko zwrotnikowych promieni. Włoska tarantela, hiszpańskie bolero lub kaczucza, w namiętności swych gestów, w żywości swych skoków, przedstawiają uczucia kipiących życiem narodów. Dalej rozmowny i towarzyski Francuz ma swojego kadryla, tyle sposobności dającego do prowadzenia salonowej pogawędki, wymieniania dowcipów i kalemburów. Wy-

biegły ze stepów ukraińskich małowossyanin, wypręga swe żyłaste członki w łamańcach kozaka, jak gdyby w tój gimnastyce tańca uprawiał się do zręcznego wskakiwania na nieosiadłego bieguna. Nareszcie i my, u których równość szlachecka była zasadą rządów rzeczypospolitej, zachowaliśmy ten typ w swoim tańcu, gdzie przy odbijaniu pierwszej pary w polonezie, ostatni, jak tylko zechce, staje się pierwszym.

Gdy więc tańce tak wybitnie malują charaktery, narowy i usposobienia różnych plemion, czémże może być taniec ludu syberyjskiego, gdzie słońce tak słabo przyświeca, a skryształowana mrozem wyobraźnia tak mało ma podnieć do wybicia się z grubiej powłoki wiecznego lodu i śniegu? Byczek nie jest niczém inném, jak tylko odbiciem codziennych zatrudnień Syberyjaka i naśladowaniem tego co go otacza do koła.

Dwie osoby stają naprzeciwko siebie, nie dobiérając się koniec nie mężczyźni z kobietami, ale jak wypadnie, bo w tych strefach północnych niéma czułych Werterów, którzyby znajdowali estetyczną przyjemność w podzielanu rozrywek ze swojemi Szarlotami; stojąc, przytupując w miejscu, niby rozgrzewając nogi od mrozu, który bucha ze stwardniałej skorupy ziemi, a potem posuwają się w różnych kierunkach.

Kiedy już opisałem uroczystości wesela, niechże mi wolno będzie wspomnieć i o obchodach pogrzebu.

Obyczaj rozwodzenia publicznie nad umarłym żalów, które nie płyną z serca, ale wyrażają się głośno i krzykliwe na zewnątrz, jest także jedną z konwencyonalnych form, przyjętych przez ogół, dla pokrycia pozorem uczuć czczość i posuchę moralną. Gdy człowiek cierpi, radby skryć się ze swym bólem i zamknąć w najnieodstępniejszych tajemnicach duszy katuszę swoją; jeżeli czasami nadmiar żalu wybuchnie na chwilę, to zaraz potem przeradza się w ponury smutek i cichą, milczącą boleść.

Tu, ojciec lub matka, mąż lub żona, dzieci lub bracia idą za trumną, rozwodząc głośno swe żale w improwizowanych strofach, malując już to cnoty zmarłego, już wreszcie

wszystkie ubytki, jakie ze śmiercią jego stały się udziałem pozostałej rodziny.

Przypuśćmy naprzykład, że zmarły był młodym parobkiem w kwiecie wieku świat ten opuszczającym: pozostała matka idzie za pogrzebem, śpiwając jednotonnym przeciągłym głosem, zastosowane do jego położenia względem rodziny treny.

— Umarłeś, Igorko! pozostawiłeś mnie matkę bez syna, a gospodarstwo bez robotnika!

— I któż będzie teraz jeździł w pole, kto będzie kosił trawę w jesieni, kto przywiezie drzewa na zimę?

— Nikt cię nie zastąpi, Igorko, bo byłeś chętnym do pracy.

— Umarłeś, Igorko! i żalują cię wszystkie dziewczęta wioski, boś ty umiał najweselsze pieśni śpiwować, a w tańcu nikt tobie nie wyrównał.

— I żalują ciebie wszyscy towarzysze, boś im dodawał ochoty swoją bałajką.

— I pusto będzie bez ciebie, Igorko!

— A któż mnie teraz pomoże w rolniej pracy? Kto mi na starość da kawałek chleba? Kto mnie pochowa, gdy umrę?

— Biéda nam tylko zostanie i nędza!

Czasami, gdy matka jest bogatą, najmuje płatne kobiety, ażeby śpiwały na pogrzebie zwyczajem uświęcone żale, a ona żeby mogła swobodnie, bez wszelkiej przeszkody, oddać się kieliszкови i pogrzebowej stypie.

Tym sposobem dzieci oplakują swoich rodziców, żony mężów i rodziny krewnych.

Gdy badamy obyczaje włóścian syberyjskich, dwa szczególnie odcięcia uderzają nas w ich usposobieniach i ogólnym charakterze. Z jednej strony niezwykła bystrość, wrodzona pojętność i przebiegły rozum; z drugiej zaś zupełny brak moralnych zasad, oschłość serca i rozprzężenie złych namiętności. Piérwsze z nich są nieocenionym darem natury, skarbem, jaki wyda z czasem błogie owoce — drugie, wpływem zbrodniczych idei, któremi się karmią tradycyjnie potomkowie.

Przyszłość jednak Syberyi jest wielką i świetną.

Ziemia ta, leżąca dziś odłogiem, nietylko w łonie swoim ukrywa niezmierne i nieprzeliczone bogactwa przemysłu i handlu, ale w przerwaniu się moralnym i umysłowym ludności, nosi myśl brzemiennej postępowania i pomyślnością ogólną.

Przerwanie to nastąpi wtedy, gdy cywilizacja, wyciągnąwszy do tych stron podbiegunowych żelazne ramiona kolei, złączy zresztą świata krainę, która z powodu swego oddalenia, przymuszona jest dotąd żyć w bezwzględnej odosobnieniu.

II.

STUDIA ZOOLOGICZNE.

FAUNA SYBERYJSKA.

Niedostępne dla człowieka pustynie leśne Syberyi, ukrywają w swém wnętrzu niezliczone gatunki dzikich zwierząt, które tam rozmnażają się, rosną i umierają, niepodlegając nigdy niebezpieczeństwu spotkania najstraszliwszego wroga swego. Jakaś część jednak tych mieszkańców tajg, czy to powodowana żądzą zwiedzenia dalszych okolic, czyli téż prawdopodobniej przymuszona szukać żeru, wychodzi od czasu do czasu ze swych niedostępnych legowisk na brzegi tajgi lub w graniczące z nią stepy, i tam staje się ofiarą spekulantów czyhających na jój futra.

Największymi nieprzyjaciółmi tych zwierząt są Inorodcy, czyli pierwotne plemiona Syberyi; napływowa bowiem ludność, z powodu swych zajęć rolniczych, a więcéj może przez wrodzoną opieszałość, wyjątkowo tylko i to w pewnych porach roku zajmuje się polowaniem. Zresztą, ażeby z myśliwstwa uczynić na Syberyi stałe zajęcie, potrzeba mieć naturę zbliżoną do tych dzikich mieszkańców leśnych pustyni: przebiegłość amerykańskich Mohikanów, znajomość ich obyczajów, podstępów, kryjówek — co wszystko jest udziałem pierwotnych szczepów pochodzenia mongolskiego.

Napływowa ludność, pomimo przeradzania się stopniowego, zachowała w obszarach Syberyj dawne cechy i charakter europejskiego swego pochodzenia. Włóścianin syberyjski, jeżeli mu przerwa w zajęciach gospodarskich pozwoli wybrać się na polowanie, skutecznie tę wycieczkę nie z zamiłowania myśliwstwa, lecz w chęci materialnego zysku. Bez zapału, który każe zapominać o niezdolnych trudach koczującego życia na stepach, zraża się w miarę oddalania od niezamieszkałych okolic rosnącymi przeszkodami: zbyt często myśli o wygodnej pałacie, gorącej łaźni i misie ciepłej strawy, które po za sobą zostawił, a ubiwszy spotkanego przypadkiem niedźwiedzia lub łosia, wraca zadowolony swym łupem do domu. Życia pustyni nie zna, nie umie przychołgać się w trawie niby wąż do samego legowiska potworów leśnych; nie zdoła po całych godzinach, dobach nawet, śledzić z ukrycia wszelkich poruszeń zbliżającego się zwierza; nie posiada tego instynktu dziecka natury, pozwalającego odgadnąć, poznać, nie dostępne dla oka kryjówki, jamy w głębinach ziemi ukryte, jaskinie w rozpadlinach skał ręką natury utworzone.

Prawdziwe myśliwstwo kwitnie powęzdy potomkami pokoleń zamieszkujących od niepamiętnych wieków Syberyą.

Są to łowy, w porównaniu których błędną najśmielsze czyny europejskich Hubertów; maleją najniebezpieczniejsze epizody wojen człowieka z dzikimi zwierzęty; jeżeli bowiem w rasach zniewieściałych wygodami życia znajdują się tacy szermierze jak niedawno zmarły Francuz Gerard, który porzuciwszy spokój domowego ogniska, idzie w pustynie Afryki, walczyć z lwy i tygrysy, to na tych śnieżnych przestrzeniach, widzieć można całe zastępy wojowników idących w zapasy z dzikimi potworami leśnych otchłani. Na południu polowanie jest rozrywką, przyjemnością, jednym z tysięcy sposobów przepędzenia wesoło czasu — na północy staje się namiętnością, szaleństwem, zajęciem całego życia od kolébki aż do śmierci; tam wyjątkowy pogromca powoduje się najczęściej chęcią sławy, która za pomocą peryodycznej prasy głosi epizody walk jego od końca do końca starłej Europy, tu liczne azyatyckie szczepy potykają się ze zwierzęta-

mi jedynie aby walczyć, wiedząc, że tak zwycięstwo jak i śmierć przyjdzie równie niepostrzeżona i nieznaną, jak nieznanem i niepostrzeżonem jest całe życie owych dzieci pustyni.

Zabierając się do opisanie tych walk, do skręślenia obyczajów, kształtów i sposobów życia zwierząt tajgi i stepy syberyjskie zamieszkujących, przedewszystkiem wspomnieć należy o niedźwiedziu, który nie tylko rozmiarami swego ciała, ale zmyślnością i pojętnością, pierwsze miejsce w faunie syberyjskiej zajmuje. Jakkolwiek znanym nam jest bardzo dobrze ów kudłaty mateczników litewskich gospodarz, lecz zwierz ten na Syberii różni się pod wieloma względami od niedźwiedzi zamieszkujących strefy więcej umiarkowane. Na dwie główne jego odmiany, ciemno-brunatnego i białego, wpływa także różnica klimatu; pierwszy bowiem zamieszkuje tajgi więcej na południe położone, gdy drugiego znaleźć tylko można w lodowatych przestrzeniach najwyżej na północ posuniętych. Pierwszy więcej zbliżony do znanych w Europie gatunków, chociaż kudły ma dłuższe, ciemniejsze, łeb szerszy i rozmiary ciała większe — drugi zaś, oprócz cech ogólnych całemu rodzajowi wspólnych, nie tylko wzrostem, barwą, ale i obyczajami swemi odbiega od wszystkich pokrewnych mu odmian. Niedźwiedzia ciemno-brunatnego znaleźć można we wszystkich lasach gubernij Tomskiej, Tobolskiej, Jenisejskiej i Irkuckiej, od stóp Uralu aż do krańców Kamczatki; zwierzęta te chodzą najczęściej parami, ale bywają wypadki, że łączą się w gromady i wtedy stają się najniebezpieczniejszymi dla człowieka. Główne ich pożywienie stanowi miód pszczoł tajnych, rojących się ficie latem wśród lesistych obszarów; na zimę także, której część tylko w sennem odrętwieniu przebywają, znoszą zapasy tego przysmaku w rozpadliny skał, gdzie w głębi jaskiń służących im za legowiska, układają symetrycznie plastry wyszukanego wśród zbutwiałych pni pożywienia. Zapasy te służą im do początku grudnia; porę albowiem największych mrozów przepędzają beczynnie, apatycznie, i wtedy to najłatwiej myśliwym, którzy odkryli ich kryjówki, upolować nieczułego prawie zwierza.

Z pomiędzy pierwotnych plemion Syberii, szczególnień Tunguzy i Jakuty zajmują się polowaniem na brunatnego niedźwiedzia. Mieszkając długi czas pomiędzy Tunguzami, miałem często sposobność być świadkiem tych łowów. Zimową porą nie są one tyle zajmujące; odbywają się bowiem pojedynczo, na upatrzonego, i nie przedstawiają wielkiego niebezpieczeństwa. Powodzenie ich zależy głównie na chytrności i przebiegłości myśliwca, który wytropiwszy kryjówkę, podchodzi ostrożnie i celnym wystrzałem powala na ziemię nieprzygotowanego do niepodziewanej napaści zwierza. Latem, przeciwnie, stają się one rodzajem wojennej wyprawy, połączonej ze wszelkimi wrażeniami i niebezpieczeństwami prawdziwego starcia. Na taką wyprawę wyrusza zazwyczaj cała ludność męzka auli tunguzkiej, z wyjątkiem starców i dzieci, które pozostają dla pilnowania jurt i pasienia inwentarzy. W wigilią dnia przeznaczonego na zbiorowe polowanie, szaman (czarnoksiężnik) tunguzki, zgromadziwszy wszystkich myśliwców, odbywa z nimi różne praktyki i ceremonie, mające na celu wywołanie pomyślniej wróżby dla mającego się wykonać przedsięwzięcia. Pomiedzy temi obrządkami, podobnymi zresztą do zwykłego szamanienia (modłów pogańskich), najwięcej zwraca uwagę zaszeptywanie (poświęcanie) oszczepów przez szamana. Oszczep, broń najwięcej używana przez Tunguzów do polowania na niedźwiedzie, jest to żelazo osadzone na dwułokciowym drzewcu. (1) Wprawa do rzucania oszczepów i siła masywna rąk są tak wielkimi u tych dzieci pustyni, że pocisk rzadko kiedy nie bywa śmiertelnym. Przy ceremonii poświęcania, każdy należący do wyprawy wbija swoją broń w ziemię drzewcem do góry, z czego tworzy się koło, w środku którego znajdujący się szaman obchodzi cały okrąg szepcząc jakieś tajemne i niezrozumiałe wyrazy. Gdy już wszystko gotowe, wyruszają myśliwi ze swojego koczowiska w kierunku tajgi; dostawszy się do jęj krańca,

(1) Oszczep tunguzki przypomina kształtem nader starożytną broń, używaną w IX wieku przez plemiona germańskie, a nazywaną się Framen.

(Przyp. aut.).

zakładają obóz, a wysławszy kilku przebiegłych towarzyszków w głąb pustyni leśnej, oczekują za nimi dzień, dwa, lub i tydzień cały. Przez ten czas obozujący żywią się złowioną rybą lub upolowaną przez siebie zwierzyną; jedynym zaś pożywieniem tropiących są suchary, któremi napełnili poprzednio przewieszane przez plecy worki. Trafia się, że wysłani w lesiste obszary tropiciele, spotkawszy znacznieszą gromadę dzikich zwierząt, lub zapomniawszy na chwilę o potrzebnej ostrożności, nie powracają więcej, zaduszeni będąc przez niedźwiedzie, lub rozszarpani przez stado wilków; w takim razie, po upływie niejakiego czasu, wysłani zostają z obozu na ich miejsce nowi myśliwi, dla wytropienia zwierza. Kiedy już stanowcza wiadomość o wysiedzeniu niedźwiedzi doszła do obozujących, tworzą oni linią półkolistą i ruszają w głąb tajgi, prowadzeni przez swoich wysłańców. Broń palna bardzo małą odgrywa tu rolę: wszyscy są uzbrojeni w oszczepy, i w długie, dobrze wystrzone noże. Przy legowiskach zaczyna się prawdziwa walka; niedźwiedź syberyjski rzadko ucieka, lecz wspiąwszy się na przednie łapy idzie śmiało przeciwko nieprzyjacielowi; samice zaś bronią rozpaczliwie swoich małych. Ciśskane masywną ręką oszczepy warczą w powietrzu, noże dobijają powalonych na ziemię; lecz biada temu czyj pocisk chybił celu, lub zraniwszy lekko rozdrażnił jeszcze więcej już i tak srogiego zwierza. Jeżeli który z towarzyszków nie pośpieszy z czynną pomocą, nic w świecie nie zdoła uchronić myśliwca od niechybnej śmierci: zginie on w objęciach leśnej poczwary, która przycisnąwszy go przednimi łapami do swęj piersi, pogruchoce mu kości. Straszny to jest ów uścisk niedźwiedzia! Przytomność umysłu, siła, pewność ruchu, są tu jedynymi warunkami zwycięstwa — w razie niepowodzenia, ucieczka staje się niepodobną. W walkach z lwem afrykańskim, rozbrojony strzelec chroni się w cierniste krzaki, których kolce zasłaniają go przez jakiś czas przed zemstą króla zwierząt, (1) w spotkaniu ze stadem

(1) Lew któremu wszystko ulega, nadzwyczajnie jest drażliwym na małe przykrości. Ukłucie kolców jest dla niego nieznośnem, i nie było przykładu, ażeby goniąc za swoją ofiarą, przedarł się przez słabą zapórę Framen.

(Przyp. aut.).

złodniałych wilków dostanie się na wysokie drzewo bywa częstokroć środkiem ocalenia życia — od wściekłości puszczy syberyjskich mieszkańca nic zasłonić nie zdoła: przedrze się on przez kolące ciernie, wdrapie na najwyższe drzewo, i dosięgnie wszędzie śmiałka, który czychał na niego, swym okropnym, śmiertelnym uściskiem. Gilliaki, plemię zamieszkałe nad brzegami rzeki Amuru, z powodu niezrównanej potęgi i materyalnej siły tych zwierząt, oddają im cześć religijną.

Biały podbiegunowy niedźwiedź przemieszkuje w największej posuniętych na północ strefach gubernii Tobolskiej, Jenisejskiej i Irkuckiej. Jest on nadzwyczajnego, prawie olbrzymiego wzrostu, chodzi pojedynczo lub parami: nigdy gromadnie widzieć go nie można. Mieszkańcy krańcowej północy uważają ten gatunek za nader rzadki i nieliczny — mniemanie to ich wypływa ztąd, że niedźwiedzie podbiegunowe mają swe legowiska w obszarach wiecznemi lodami pokrytych, niedostępnych dla ostrości swego klimatu nawet plemionom najwyżej na północy osiadłym; i tylko czasami zwabione żerem, zbliżają się do miejsc przez ludzi zamieszkałych.

Na najwyższych krańcach gubernii Jenisejskiej, poza śniegowymi przestrzeniami, gdzie niema ani wsi, ani budowanych z drzewa siedzib ludzkich, w Turuchańskim okręgu, w okolicy osady, czyli tak zwanego miasta Turuchańska, które, jako posunięta naprzód wedeta jest ostatniem miejscem na północy, posiadającym administracyjne władze kraju, pojawiają się pierwsze białe niedźwiedzie. Dalej, jeszcze wyżej ku biegunowi, na linii osady Otwocka, słynnej z handlu rybą i skórą przez Ostyaków dostarczaniem, i Tolstego-nosa, krańcowego punktu, w którym jeszcze można znaleźć siedziby człowieka, zwier ten częściej spotykać się daje.

Nieliczni mieszkańcy Turuchańska (1), powiększłej części Rossyanie, zajęci wyłącznie handlem rybnym, nie polują na

(1) Turuchańsk licząc do 400 mieszkańców, i 48 drewnianych domów położonych pod 65° 55' szerokości i 150" 15' długości geograficznej, był przed kilkunastu laty przeznaczony na miejsce osiedlenia ze-

podbiegunowego niedźwiedzia — pojawienie się tej białej pochwary w bliskości osady, jest tylko hasłem przedsięwzięcia różnych środków ostrożności jak np. rozpalania ognisk. strzelania na wiatr z broni palnej i t. d. Rzeczywiste myśliwstwo na tego zwierza ma miejsce wśród osad Ostyaków i Samojedów, rozsianych ponad brzegami oceanu Lodowatego. Polowania podobne odbywają się najczęściej w nocy, Wiadomo powszechnie, że pod tym stopniem szerokości geograficznej, noc, przerywana krótkotrwałym, kilkadziesiąt za ledwie minut trwającym ukazaniem się słońca, ciągnie się przez długie zimowe miesiące. Wtenczas to Ostyaki, uzbrojeni w łuki o długich strzałach, i w nabite goździami maczugi, robią myśliwskie wyprawy. Dwoch albo trzech podbiegunowców, pokrytych od stóp do głowy skórą futrem do góry odwróconemi, suną powoli wśród śnieżnej przestrzeni. Jasne światło niebieskich, żółtych i różowych słupów, ukazujących się kolejno na ciemnym horyzoncie niebios, niby bezprzerwany olbrzymi fajerwerk, oświetla fantastycznym blaskiem tę scenę. Jestto zorza północna, zjawisko, którego czarującej wspaniałości żadne opisy wyobrażenia dać nie mogą. Wszystko tam co chwila zmienia swe barwy: i biała powierzchnia ziemi, i śpiczaste cyple gór lodowych, i niedźwiedź siedzący nieruchomie na najwyższym szczycie olbrzymiej bryły skryzalizowanej wody, wydają się być to pływającymi w niebieskim eterze, to ozłocconymi metalicznym blaskiem, to wreszcie ziejącymi purpurowym ogniem erebu.

Powierzchność myśliwców, których nie tylko całe ciało ale i twarz kryje się pod kudłatym włosem przywdzianej skóry, jest tak podobną do poszukiwanego przez nich zwierza, że tenże częstokroć omamiony złudzeniem, pozwala polującemu na niego Ostyakom zbliżyć się do siebie. Biały niedźwiedź przesiaduje zwykle na najwyższym szczycie lodowej

stanych sekciarzy Skopców — po przeniesieniu zaś tychże sekciarzy w okręgi południowe u mianowicie w okręg Minusiński, jedna trzecia część domów stoi pustkami. Pomimo jednak tak ograniczonej ludności Turuchańsk znaczne oddaje usługi południowym stronom Jenisejskiej gubernii, zaopatrując je w rozliczne gatunki ryb, poławiających się przy ujściu rzeki Jeniseju, i na brzegach oceanu lodowatego. (Przyp. aut.)

góry, i przestępując z łapy na łapę, mruczając ponuro, śledzi wszelkie poruszenia swych nieprzyjaciół. Jeżeli pomimo sztucznej powłoki, poznał w oddaleniu lub przeczuł węchem człowieka, nim strzała z cięgiwy wypuszczoną została, zsuwa się szybko na tylnych łapach po ślizkiej powierzchni lodu, i w jednym mgnieniu oka z napastowanego przemienia się w napastnika. Wtenczas jedyną obroną myśliwca staje się maczuga; napiąć bowiem łuku niema on czasu, a noża z powodu przymarzania żelaza do włosów skóry, nigdy w walkach swych z dzikimi zwierzętami nie używa. W razie możności przybliżenia się Ostyaków na odległość strzału od niedźwiedzia, wprawną ręką puszczone pociski zabija go najczęściej na miejscu, a biała poczwarą zsuwa się z lodowej góry, ale już bezwładna lub też śmiertelnymi ruchy drgająca. W polowaniach powyższych, przybyli za handlem ryb w te strony kupcy, próbowali używać broni palnej; lecz okazało się, że kula karabinowa, odbita od gęstych i grubych kudłów niedźwiedzia, nie jest tyle skuteczną, ile ostra i zatruta częstokroć strzała ostyackiego łuku.

Wilk syberyjski, przewyższający także rozmiarami ciała europejskiego wilka, ma sierć koloru białego — barwa ta jednakże, w miarę oddalenia od bieguna północnego zmienia się stopniowo pod wpływem coraz łagodniejszego klimatu na siwą, płową i brudną. Zwierzęta rzezone chodzą najczęściej stadami, obyczajem zaś ich i sposób życia zupełnie takie same jak wilków europejskich, a odmiana jaka widzieć się daje w kolorze ich futer, pochodzi nie z różnicy gatunku, ale z przyczyn wyłącznie klimatycznych. Wilki syberyjskie rzadko bardzo, nawet w przemagającej liczbie napastują człowieka. Jadąc przez gubernię Tobolską kilkakrotnie zdarzyło mi się spotkać gromady tych zwierząt, biegnących w niejakiej odległości od sań pocztowych; zaledwie jednak przewodnicy moi zdołali schwycić za broń, już one pędem uciekały w różne strony. Okoliczność powyższa powtarzająca się nader często na publicznych traktach, wyrodziła mniemanie, jakoby syberyjskie wilki były więcej apatyczne i nierównie trwożliwsze od naszych; jednakże tak nie jest, powierchowna bowiem ich obojętność nie wypływa

z braku odwagi, lecz z dostatecznego pokarmu jaki w każdej chwili mają na zawołanie. Wilk nie należy do liczby zwierząt drapieżnych, głód jedynie zmusza go do szukania pożywienia, a krańcowa ostateczność do rzucania się na człowieka. W Syberji, gdzie domowe inwentarze nie bywają zamykane w odpowiednich na ten cel budynkach, ale zimują na wolnym powietrzu, wśród ogrodzeń utworzonych z żerdzi, znajdują one zawsze gotową biesiadę z bydła, koni, owiec, i nie mają potrzeby narażać się na niebezpieczeństwo walki z człowiekiem. W okręgach bardziej na północ posuniętych, nad brzegami morza lodowatego, liczne stada renów, szukających mchu pod śniegiem, są także gotową pastwą dla tych zwierząt; przeciwnie w gubernii Jakuckiej jako mniej zaludnionej a tym samym nie dającej im w każdej chwili możności zaspokojenia swojego głodu, są one bez porównania niebezpieczniejszymi dla rzadkich podróźnych. Bywały przykłady, że całe rodziny kupców udających się do Jakucka, zostały pożarte przez tych zgłodniałych gospodarzy pustyni. Ani dostateczne uzbrojenie, ani niezachwiana odwaga nie mogą tu w niczym pomóc: liczba bowiem rozstrzyga walkę, a ilość napastujących wilków częstokroć do kilkuset dochodzi. Jakuty, jedno z pierwotnych plemion Azji, żyjące po nad brzegami rzeki Leny, mają zwyczaj, szczególnie w zimie, otaczać swe auly różnymi pułapkami, w które te zwierzęta dosyć często wpadają. Celem inorodców jest nietylko zdobycie futer, których mają zawsze pod dostatkiem, jak raczej odstręczenie przybiegłego zwierza od zbliżania się zanadto do swoich siedzib; trafiają się jednakże zdarzenia, że wilki, ominąwszy starannie zastawione na nich sidła, dostają się w sam środek auly, i porywają z jurt dzieci, lub nawet pożerają dorosłych ludzi. Te wypadki stały się zapewne źródłem do utworzenia licznych cudownych legend, przez Jakutów rozprowadzanych, a mających wiele podobieństwa ze znaną u nas baśnią ludową o wilkołakach.

Lis płowy w niczym zupełnie nie różni się od lisa europejskiego; zato pojawia się w Syberji pewna odmiana tego rodzaju, nader rzadka i drogocenna, dająca futro, które

z powodu swój piękności bywa nieledwie na wagę złota płacone. Mówimy tu o lisach czarnych czyli niebieskich. Niejedna z czytelniczek moich podziwia te futra w składach handlowych — niejedna z dziewic w marzeniach swoich o wyprawie ślubnej widziała się panią tego skarbu, którego posiadaczem nie każdy być może; nikt jednak nie zdoła powziąć prawdziwego wyobrażenia o piękności powłoki czarnego lisa, kto nie widział tego zwierzęcia na syberyjskich stepach. Wprawdzie widokiem podobnym nie każdy pochwalić się może: zwierz to jest nader rzadki, nie dający dostąpić do siebie, i chytrzejszy bez porównania od znanych powszechnie pobratymczych mu rodzajów.

Raz jeden w życiu widziałem czarnego lisa: było to u podnóża gór Sajańskich, nad granicą Mongolii. Zwierz ten wyszedł z jaskini w rozpadlinach skał utworzonej, i stanął w śród wyniosłości górzystej, niewidząc mnie leżącego na murawie i nie przeczuwając, z powodu kierunku wiatru, pod którym znajdował się, tak blizkiej obecności człowieka. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały czarną jego postać, której kontury mieniły się barwą fioletowo-niebieską. Zdawało się, iż kolor ten, wyzwany szklistą czarnością jego włosów, lśni niby obwódka fosforycznego światła we wszystkich zarysach ciała. Nie miałem w tej chwili innej broni prócz pistoletów; zaledwie jednak zdołałem sięgnąć do pasa, już zjawisko znikło z przed moich oczów, tak szybko i niespodzianie, jak znikają kłęby czarnego dymu, rozwiane podmuchem wiatru. Gdyby nie ślady stóp lisich wyciśnięte na piasku pagórka, sądziłbym, że to co widziałem było tylko igraszką wyobraźni mojej.

Na lisa czarnego nikt nie poluje wyłącznie, spotkanie bowiem tego zwierzka jest wypadkiem; ubicie, epoką w życiu mieszkańca stron północnych. Znałem myśliwych, wszystkie wolne od zajęć chwile poświęcających polowaniu, którzy nigdy tego rzadkiego w syberyjskiej faunie egzemplarza nie widzieli. Jak artysta o sławie, bankier o giełdowych spekulacjach, a młoda dziewczica o swym przyszłym, tak Syberyjczyk marzy o drogocennej powłoce chytrego zwierzęcia. Zdobyte wspaniałego futra, a następnie zamienienie go

na zwój różnokolorowych banknotów, w każdej chwili staje mu na myśli i łechce przyjemnie jego wyobraźnię. Skóra lisa kojarzy częstokroć małżeństwa, rozrywa węzły najsilniejszej przyjaźni, i staje się powodem zmiany losu całych rodzin; ale jak to wszystko na tym świecie bywa, nie zawsze bogaci tego, który ją zdobyć zdołał, lecz przechodząc kolejno przez wiele rąk, uszczęśliwia cały szereg chwilowych posiadaczy aż do czasu, w którym zamieniona w atlasową szubę, spocznie na plecach jakiej bogatej dygnitarki, lub też tancerki baletu, dam, mogących, jak wiadomo, łatwiej od innych dozwolić sobie podobnego zbytku.

Opowiadano mi razu pewnego ciekawą historią o skórze z czarnego lisa. Opowiadający, Francuz rodem, podróżujący po Syberii w interesach kommissowych, należał do rzędu tych wesołych dzieci Paryża, którzy w potocznej rozmowie umieją każdy szczegół ubarwić zajmującymi anegdotami. Chociaż jednak za autentyczność podanych faktów rzeczy nie można, historia ta tak jaskrawo maluje koleje przechodzenia handlowego przedmiotu z rąk do rąk, zanim wyszedłszy od pierwotnego posiadacza stanie się własnością ostatniego nabywcy, iż nie podobna mi wstrzymać się od przytoczenia jej czytelnikom moim.

Otóż więc jednego pięknego poranku, włościanin gminy bałachcińskiej ubił czarną lisicę. Ucieszony swą zdobyczą dopóty pił z radości w pobliskim szynku, dopóki się na śmierć nie zapił. Włościanin był biędnym, chudoba jego nędzną, gardło szerokie, synowie więc zmarłego, nie mając go za co pochować, musieli ją sprzedać czyhającemu na ten nabytek sąsiadowi za 10 rubli. Sąsiad był chytrym, ale daleko chytrzejszym od niego okazał się kuśnierz bałachciński, urlopowany kozak, który powziawszy wiadomość o rzadkiem futrze, tak zręcznie umiał manewrować, że za 20 rubli stał się jego właścicielem. W owym czasie przejeżdżał przez Bałachtę żyd jakiś. Żydzi handlują wszystkim, do skórek mają nieprzewyciężony pociąg, a w przebiegłości przechodzą nawet urlopowanych kozaków. Wiedząc to wszystko, dziwić się nie można, że owa skóra przeszła w ręce starozakonne za sumę okrągłą 50 rubli. Izra-

elita powiódł swoją zdobycz do Krasnojarska, a mając zasadę zadawałniać się małemi zyskami, aby tylko handel szedł i kapitały nie spoczywały, odprzedał ją zaraz jednemu z tamtejszych kupców za 75 rubli. Kupiec był właśnie na wyjeździe do stolicy wschodniej Syberyi, zabrał więc ze sobą nowy nabytek, ażeby go tamże spięniżyć. Nie wiem już jakim wypadkiem, jakaś bardzo wysokie zajmująca stanowisko osoba, dowiedziała się o drogocennym futrze (działo się to bowiem jeszcze w czasach, w których ludzie nie byli tak skrupulatnymi) i przyzwawszy do siebie brodacza odebrała od niego takową; a choć wprawdzie kupiec nie otrzymał za nią zapłaty, dostał jednak w zamian przywilej na dostawę skarbowej mąki, na której znaczną summę pieniędzy zarobił. Jakim sposobem owa skóra wyszła z rąk dygnitarskich, nikomu nie było wiadomo: wszystkie kroniki miejscowe milczą w tej materii; to tylko jest rzeczą niepodlegającą wątpliwości, że przechodząc kolejno przez różne ręce podwyższyła się stopniowo w cenie, aż nakoniec spekulant jeden w Ochocku kupił ją za ogromną summę 500 rubli sr. wynoszącą. Wszyscy mieszkańcy Ochocka śmieli się z tej niefortunnej spekulacji; futro leżało u spekulanta, jaki taki je oglądał, a każdy ruszał ramionami, usłyszawszy o wygórowanej cenie za jaką je nabyto. Spekulant, który z natury był małomównym, nie odpowiadał na żarty i przekąsy znajomych, każdemu chętnie pokazywał swój nabytek, przewietrzył go, składał, przesypywał tytuniem i czekał. Tak się miały rzeczy, gdy do Ochocka przybył na własnym yachcie jakiś bogaty Anglik. Nowoprzybły był zrodzaju tych John Bull'ów, którzy muszą wszędzie być, wszystko poznać, wszystko zakupić. Szukał on w Egipcie źródła Nilu, których nie znalazł, był w Guyanie, gdzie mało nie zmarł na zgnięłą gorączkę, był w środkowej Afryce, z kąd za ledwie uciekł przed apetytem mieszkańców pragnących przyrzadzić z niego pieczone, był w Chinach, gdzie, wzięty za misjonarza, tylko co nie został ukrzyżowanym przez fanatycznych bonzów; słowem widział wszystko co tylko widzieć można na tym zbiorze błota, brudów i kału, który zwie się kulą ziemską. Nie — myślę się: on który wszystko poznał i zobaczył, od

przyłodka Dobrzej Nadziei aż do oceanu Lodowatego, od Fimisteru aż do obszarów państwa niebieskiego, nie widział jeszcze czarnego lisa!

Spekulant zażądał od niego tysiąc rubli.

Anglik, nie wyrzekłszy jednego słowa, wyjął z pugilaresu banknoty, a skórę zabrał z sobą do rodzinnego swego kraju.

Podobno nawet ów John Bull, który lubił ażeby o nim mówiono, kazał jakiemuś chudemu literatowi, w zamian za sporą ilość funtów sterlingów, opisać wypadki swojej podróży, które później pod własnym wydrukował nazwiskiem. W wypadkach tych, upolowanie przez niego w Syberyi czarnego lisa główną odgrywało rolę.

Podróże te, przetłumaczone na język francuzki, figurowały w „Revue Britanique.“ Jeden z księgarzy paryzkich, mający zwyczaj przez zręcznie zastosowane ilustracje, unieśmiertelniać wszystko i wszystkich, wydał przy pomocy ołówka i ryłca opis tych podróży, ozdobiwszy go wspaniałymi rycinami. Czarna lisica znalazła tam swoje miejsce, w Lipsku wyszło album dla myśliwych, w którym nie pominięto słynnego polowania na Syberyi. Anglik stał się sławnym na całym świecie.

Sic vos non vobis.

Zwierzęciem, zaopatrującem także handel w drogocenne futra, choć nie tyle rzadkiem jak czarny lis, jest sobol. Znajduje się on tylko w południowych stronach Syberyi wschodniej: północne strony zupełnie go nie znają. Jestto zwierzę krótkie, zwinnie, nader szybko biegające na swych krótkich łapkach, do złowienia dosyć trudne; témbardziej że w wyprawach na sobole sztuka jedynie zastępuje broń wszelką, której użycie z obawy uszkodzenia futerka, w żadnym razie miejsca mieć nie może. Sobole poławiają się w Jenisejskiej gubernii nad granicami Mongolii, w Irkuckiej poza jezioro Bajkałem, także i w środkowych tajgach, lecz najwięcej w nie obfitują ziemie nad rzeką Amurem położone. Przed kilkunastu laty mnóstwo biednych handlarzy futer, nagle swoje z bogaceniem winno sobolom — nim bowiem Amur przyłączony został do imperyum rossyjskiego, Gilliaki, plemię pierwotne zamieszkujące tę prowincję, nie zna-

jąc prawdziwej wartości sobolowych futer, zbywali je częstokroć sąsiadującym z nimi Chińczykom, za garść tytoniu, lub jakąbądź drobnostkę niewielkiej wartości. Po przyłączeniu wzmiankowanej ziemi do Cesarstwa, wielu z syberyjskich przemysłowców udało się w tamte strony, zamieniając przywiezione przez siebie w tym celu futerka, na skórki tego zwierzęcia. Znałem jednego kupca, który wycieczce na Amur z przedmiotami nie wielką kwotę pieniędzy reprezentującymi, winien był swój krociowy majątek. Obecnie to położenie rzeczy uległo zmianie — Gilliaki poznali wartość sobola; a chociaż i dzisiaj jeszcze można od nich nabyć przy zamianie skórkę tego zwierzęcia w cenie odpowiadającej mniej więcej 8 lub 10 rubli, i sprzedać takową na jarmarku niżno-nowgorodzkiem lub irbickim za 25 do 30 rubli; przecież zważywszy trudność i koszt przewozu z tak dalekich stron, handel ten, dając przyzwoite zyski, nie bogaci jak przedtem odrazu, trudniących się nim przemysłowców.

Wiewiórka syberyjska (bielka), dająca futerko zwane w handlu popielicami, różni się od wiewiórki europejskiej barwą swojej powłoki, i dla tejże barwy dosyć bywa poszukiwaną. Latem kolor jej włosów jest sino kasztanowaty, brzuch brunatny, i wtedy niema ona żadnej wartości; za nadejściem zimy grzbiet jej staje się zupełnie popielatym, a ogonek czarnym. Żywi się wyłącznie orzeszkami cedrowymi, i dla tego tajgi syberyjskie, obfitujące w te wspaniałe drzewa, dają schronienie niezliczonej liczbie tych zwiniętych zwierzątek. Bielka, schwytna żywa, daje się podobnie jak nasza wiewiórka z łatwością oswoić. Zimowa skórkę jej płaci się na Syberii od 10 do 20 kopiejek.

Gronostaj, zwierzątko kształtu podługowatego, włosa śnieżnej białości, choć małe, drobne i niepozorne, dostarcza futer poszukiwanych metylko przez najpiérwsze elegantki całego świata, ale stających się jednóm z godeł potęgi i najwyższej władzy; płaszcz bowiem podbity gronostajami, od niepamiętnych wieków używany przy ceremoniałach koronacyjnych, wszedł razem z purpurą w dotykalne oznaki wielkości, chwały i znaczenia. Celowanie błamów gronostajowych jest podobno jednóm z najtrudniejszych zadań dla ku-

śnierza, dlatego téż towar ten wychodzi z Syberii po za Ural w stanie natury. Gronostaje chwytane bywają w rodzaj pułapek, zbliżonych formą do samołówek na myszy, roznoszonych u nas po domach przez druciarzy. Zwierzątka te lubią się wciskać we wszystkie szpary, szczeliny, jamy i rozpadliny skal; gdy więc ujrzą otwory pułapek wchodzi w nie nader szybko, a uwiązłszy do połowy ciała, wyléć z nich nie mogą. Zwykle łowiec zastawia pięćdziesiąt do stu takich pułapek, a sam, ukryty za krzakami, śledzi wszystkie poruszenia małych zwierzątek. Gdy sądzi, że już dostateczna ich liczba schwytną została, wychodzi ze swego ukrycia. Zabawny wtedy przedstawia się widok! Gronostaje, uwiązłszy łebkami w przygotowanych na ich pojmanie siłdach, starają się wszelkimi sposobami wydobyć z niewoli, trzepocząc czarnym ogonkiem; on zaś najspokojniej w świecie wyciąga je po jednemu ztamtąd i wpuszcza do obszernego płóciennego worka. Nader trudnym jest zadaniem oswoić je: będąc raz w posiadaniu kilku żywych gronostajów, starałem się wszelkimi sposobami przezwyciężyć ich dzikość — napróżno, wpuszczone do pokoju chroniły się w najciemniejsze zakątki, i wynajdywały zawsze jakieś szpary w które się wciskały. Po długich usiłowaniach, zwątpiwszy zupełnie o ich ułaskawieniu, obdarzyłem je wolnością. Trzeba było widzieć jak zwinnie i szybko chroniły się w pole, przekładając wolność stepową, nad przebywanie w ciasnej i dusznej syberyjskiej izdebce.

Burunduk, zwierzątko najmniejsze z opatrujących w handlu futrami, ma zaledwie trzy do czterech cali wielkości. Jest barwy kasztanowatej ozdobionej prążkami białymi, nadzwyczajnie szybko biega, tak, że gdy się zwija po pnium i konarach drzew, trudno jest rozeznąć jego kształty. Ma ono tę właściwość, że lubi przeraźliwie świstać, lecz jeżeli usłyszą czynią to dla ostrzeżenia swych towarzyszków o zbliżeniu się wspólnego nieprzyjaciela, burunduk świszczy jedynie w celu lubowania się własnym swym głosem. W chwili gdy jest zajęty wydobywaniem przenikliwych tonów ze swego maleńkiego gardziółka, można swobodnie podejść do niego, i uchwycić żywego ręką. Polujący na to zwierzątko miesz-

kańcy Syberyi, nie zadają sobie nawet trudu łowić je w sidła, lecz poprostu zabijają zajęte świstaniem jedném uderzeniem pręta. Skórka z burunduka nie ma wielkiej wartości; jednakże cały błam, z powodu znacznej liczby użytych do niego futerek, jakoteż trudności w celowaniu takowych, płaci się w handlu od 15 do 20 rubli.

Dzikie koty spotkać można na południu Syberyi, nad granicą chińską; pojawiają się one rzadko, gdyż miejscami ich zwykłego przebywania, są strefy cieplejszego państwa niebieskiego. Kształtem podobne do domowych kotów chińskich, rozmiarami ciała dochodzą wielkości lisa. Polują na sobole, gronostaje, burunduki i inne pomniejszych zwierzęta; człowieka nie napastują nigdy; przy spotkaniu z nim chronią się ucieczką — jednakże ranione stawiają mu walecznie czoło. Futra ich, używane przez Chińczyków średniej zamieszkałości, nie dochodzą do Europy. W czasie konikularnych upalów, dzikie koty, podpadłszy chorobie wodowstrętu, stają się bardzo niebezpiecznymi, nie tylko dla błędzących po stepach, ale i dla sąsiadujących ze stepami i tajgami mieszkańców wioski. Skutki wścieklizny tém są okropniejsze w tych stronach, że Chińczycy nie znają środków leczenia jęj, i zabijają bez żadnego skrupułu ludzi pokąsanych przez wściekłe zwierzęta, nie czekając nawet oznak pojawienia się tej strasznej choroby. W Syberyi, nie dają się widzieć dotknięte wodowstrętem dzikie koty, z powodu że one w tej ziemi są tylko przechodniemi, i przybywają zwykle w bardzo ograniczonej liczbie z tajgi państwa niebieskiego.

Chociaż, wyliczając zwierzęta fauny syberyjską składające, wspominam tu tylko o tych, z których ludność miejscowa ciągnie użytki, pomijając liczny szereg tak ptaków jak i zwierząt ssących żadnej nie przynoszących korzyści, a to w chęci skrócenia już i tak grzeszącego jednostajnością artykułu; niepodobna mi jednak zbyć milczeniem jednego nieznanego zupełnie w Europie stworzenia, którego futerko, choć nie nader cenne, używanem jest przeciw przez pierwotne plemiona Azji, a mianowicie Jakutów i Buryatów, do obszywania i zdobienia noszonych przez siebie ubiorów.

Zwierzęciem tém jest letiaga, rodzaj nietopérza. Letiaga podobnie jak pokrewne z nią gatunki, ma skrzydła błonkowe, ostremi kolcami zakończone; różni się zaś od nich nie tylko rozmiarami swego ciała, śnieżnym kolorem swęj sierści miękkiej i puszystej ale, i łatwością z jaką biega po ziemi. Zwierzątko to zamieszkuje wszystkie części Syberyi, wyjąwszy krańców północy — wielkości kurki wodnej lub kuliga, przekłada nocną porę nad dzienną, chociaż i w dnie nie rzadko spotykać się daje. Wypłoszone z urwisk i rozpadlin skał, gdzie częstokroć przed promieniami słonecznymi szuka schronienia, ucieka szybko po stepie, zwinąwszy swe skrzydełka pod siebie. Dognane ulatuje w powietrze; i wtedy nader trudno najwprawniejszemu w celne strzelanie myśliwemu ubić je, z powodu gzygzakowatych poruszeń, jakimi się w swym locie kieruje. Oprócz wyżej wzmiankowanych, Syberya posiada jeszcze borsuki, wydry, łasice, tumaki, kuny i tchórze: te ostatnie jednak mało stosunkowo bywają poławiane, z powodu, że miejscami ich bytu bywają zupełnie niezamieszkałe części północne gubernii Jakuckiej.

Tyle o zwierzętach, których futra chronią nas od srogości zimy, lub stają się ozdobą bogatych wybrańców losu: co zaś do zwierzyny dającej człowiekowi pożywienie, tej liczba i różnorodność przechodzi wszelkie pojęcie. Nieprzeliczone gromady białych zajęcy, białych kuropatw, cietrzewi, głuszców, gęsi, kaczek, jarząbków, słomek, łabędzi dzikich i t. d. zalega pola, tajgi, lasy, pustynie i stepy: można je w każdym czasie dostać w sidła — po jednym zaś wystrzale z broni palnej pada zwykle kilka sztuk na raz, tak gęste są ich stada. Zwierzyna bita w zimie i mrożoną, posyланą bywa do miast i miasteczek, i odstępowaną hurtowym handlarzom.

Zajęcy nikt tu nie jada; lud wiejski uważa tę zwierzynę za rodzaj psa i brzydzi się jego mięsem, skórka zajęcza nie ma także wielkiej wartości; dlatego też aby oszczędzić nabojów, nie polują na takowe, czasami tylko łowią je w zastawione sidła.

Głównym pożywieniem hord koczujących pierwotnych szczepów Azji, są znane u nas jelenie i sarny; jakoteż reny, losie, tury i różne gatunki kóz dzikich.

Reny, nazywane przez Syberyaków ogólnem mianem jeleni, do których rodzaju należą, stanowią przeciw odrebny, wyłączny zupełnie gatunek. Czém jest pracowity wół dla mieszkańców środkowej Europy, wielbłąd dla Arabów pustyni afrykańskich, tém się staje ren dla Ostyaków, Samojedów i innych plemion na krańcowej północy, wpośród wiecznych śniegów i lodów zamieszkałych. On ich karmi swém mięsem, poi swém mlékiem, odziewa swoją skórą; a służąc do zaprzęgu, przenosi z miejsca na miejsce całe rodziny koczujących wśród koła biegunowego pokoleń. Wytrzymały na najsrozsze zmiany klimatu, żyje w miejscowościach, w których świat roślinny nader słabe okazuje oznaki życia, człowiek z trudnością oddycha, a merkuryusz marznie. Żywi się mchem głęboko ukrytym pod śniegiem, wypełnia ohochozo wszystkie posługi, daje wszystko z siebie nic w zamian nie pragnąc. Ren, będący domowém zwierzęciem podbiegunowców, stanowiący część ich materialnego bytu, zespolony ze wszystkimi potrzebami ich codziennego życia, nie mógłby znaleźć pomieszczenia w tym szeregu mieszkańców tajg i stepów składających właściwą syberyjską faunę, gdyby nie ta okoliczność, że niektóre z tych zwierząt żyją w stanie dziczalym. W prawdzie dzikich renów niewielka znajduje się ilość: wszystkie one wywodzą swoje pochodzenie od odłączających się przypadkiem z domowego inwentarza małych; ale zawsze i ta cząstka, daje nam prawo pomieszczenia ich w oddziale objętym zakresem niniejszego artykułu. Reny dzikie albo rzadziej dziczające, są jeszcze szybszemi w biegu, i cokolwiek większego wzrostu od swojskich.

Jeleń z gatunku znanego w Europie, znajduje się w środkowych tajgach gubernii Jakuckiej. W obszarach leśnych, które ten zwierz zamieszkuje, bywają pewne niewielkie przestrzenie przez kataklityczne wstrząśnienia, lub zmiany biegu rzek utworzone, zieloną murawą porośnię, na których drzewa ustępują miejsca pastewnym roślinom. Są to niejako jaśniejsze

punkta w pośrodku zawsze ciemnej, ponurzej, mało promieni słonecznych przepuszczającej tajgi. W obrębie tychoaz lesistej pustyni, jelenie gromadzić się lubią: tam znajdują one wyborny pokarm, tam swobodnie poharcować mogą, niewstrzymywane w swym biegu przez zbitą masę poplątanych gałęzi; tam więc najczęściej w porze jesienniej zrzucają swe rogi. Jakuty, wiedząc o tém, w wycieczkach swoich wśród głębin tajemniczych, po obu stronach rzeki Leny rozciągających się, wyszukują starannie tych miejscowości, i wracają ztamtąd obciążeni ogromną ilością ozdób jelenich, z których następnie wyrabiają różne narzędzia, a częstokroć używają ich nawet do budowania swych jurt. Przestrzenie te, otoczone zewsząd olbrzymiemi drzewami, a nazwane poetycznie przez Jakutów „oazami tajg“ (Wa-hali), stanowią, że się tak wyrażę, rodzaj muzeów pustyni, utworzonych przez jelenie, które znoszą tam najpiękniejsze swoje skarby. W tajnikach puszczy afrykańskich, słonie, wiedzione zadziwiającym instynktem, wyszukują najnieodostępniejszych miejsc, i idą tam umierać na starość, jakoby pragnąc ochronić swe zwłoki przed profanującą chciwością człowieka. W tajgach azyatyckich jelenie obierają pewne punkta, dla składania na nich najwspanialszego swego przystrojenia. Jak więc Afryka ma cmentarze pustyni, tak i Azja posiada muzea lasów: wprawdzie te ostatnie ubogie, skromne, nie przynoszące wielkiej korzyści przywłaszczycielowi, nie mogą iść w porównanie z pierwszemi; wprawdzie tu więcej może przychodzi wyłącznie materialne niż instynkt zwierzęcia, gromadzi kryjące się przed okiem ludzkim zbiory; jednak owa wspólna dwóm krańcowym kuli ziemskiej obszarom okoliczność, daje pole do zastanowienia się nad jednolitością obyczajów różnorodnych zwierząt, i nad nienasyconą niczém chciwością nieprzyjaciela ich wszystkich, człowieka, który jako samowładny pan przyrody, zawsze, ciągle i wszędzie ciągnie korzyści z ich życia, z ich śmierci, nie przebacząc nawet pozostałym po nich zabytkom.

Łoś zwany rossochaty, ma rogi spleśzczone, szerokie, rozłożyste, podobne do rogów daniela — sierść siwo żółtawą, wielkość zwyczajnego jelenia. Mieszka wszędzie, gdzie ty-

ko są lesiste okolice, począwszy od stepów kirgizkich aż do Amuru; w północnych tylko częściach Syberii nie pojawia się wcale. Wśród tajg nad granicą chińską, chodzi stadami z pięćdziesięciu sztuk składającymi się: w tajgach jakich jest mniej liczny.

Łoś, *syn* zwany, bezporównania większy od rossochatego, ma łeb ogromny, rogi podobne kształtem do jelenich; odznaczające się jednak tem, że są całkiem sierścią popielatą porośle, i że na samych ich końcach tworzy się materya, posiadająca własności ekscytujące. Zwierz ten porzuca swoje ozdoby w sierpniu, w początkach zaś marca zaczyna mu rosnać nowe z przybywającymi w miarę lat odroślami, tak jak u wszystkich tego rodzaju gatunków — materya zaś tworząca się pomiędzy kością a zwierchnią powłoką na najwyższych odroślach, koloru czerwonego, z powodu nadzwyczajnych swoich własności, sprawia, że rogi tego zwierzęcia, nader są przez Chińczyków poszukiwane i wysoko płacone. Naród Chiński, zdenerwowany jak wiadomo życiem materyalnym i bezmiernym używaniem opium, potrzebuje w danych razach sztucznych środków, dla podbudzenia uśpionej albo raczej wycieńczonej swój natury. Każdy ojciec w państwie niebieskiem, żeniąc swojego syna, daje mu w podarunku parę lub więcej podobnych rogów; bogaci po kilkanaście par synom swoim ofiarują w dniu zawarcia związków małżeńskich. Okoliczność powyższa jest powodem, że towar ten, w Syberii już drogo płacony, bywa odprzedawany chińskim kupcom po 75 do 100 r. za parę. Mięso syna użyte na pokarm jest twarde i niesmaczne — chrapy zaś jego czyli nozdrza uważane bywają powszechnie za najwybrédniejszy przysmak, i podobnie jak garb wielbłąda lub łapy niedźwiedzia, stanowią ozdobę najwykwintniejszych stołów, i rozkosz gastronomiczną najzawołanych smakoszków. Ze wszystkich bez wyjątku zwierząt, obszary Syberii zamieszkujących, olbrzym powyżej wymieniony, najwięcej dostarcza materyału do cudownych baśni i fantastycznych opowiadań. W chacie włościańskiej, w jurcie inorodca, pod namiotem cygana, przy ognisku stepowym koczowiska, wpośród aul tunguzkich, wszędzie gdzie tylko ży-

je lud prosty, a zatem skłonny do wiary w nadprzyrodzone zjawiska, słyszeć można w pogadankach wieczornych dziwne historye, a w każdej z nich prawie syn odgrywa jakąś czarodziejską rolę. W pośrodku obon (starożytnych cmentarzy tatarskich) chodzi on poważnie jak tengri, odwieczny upiór przodka — w czasie ciemnej nocy przemyka się w zaklętych miejscach, przedstawiając „horus lykas“ czyli ducha ciemności. U Jakutów bywa opiekuńczym bóstwem, u Tatarów wykonywającą ślepo wolę szamanów istotą, nawet i zabajkalskie Buriaty, plemię najmniej skłonne do wiary we wszystko co wychodzi po za obręb materyalizmu, i ograniczonego kółka codziennych ich zajęć, wspomniawszy o nim kiwiają głowami, dodając, że w tem zwierzęciu jest coś niewytłumaczonego i niepojętego. Niektórzy z ruskich pisarzy mniemają, że przyczyną fantastyczności przywiązanej do tego gatunku łosia, jest wzrost niepospolity zwierza, drudzy twierdzą, że główny powód tych legend stanowi jego wzrok, dziwny, przenikliwy, prawie człowieczy; najprawdopodobniej jednak, źródło wszelkich baśni bierze początek w podbudzających własnościach materyi, w końcach jego rogów zawartej, która, będąc w swych skutkach zupełnie syberyjskim mieszkańcom nieznaną, uważaną jest przez nich jako eliksir cudowny, tajemniczy, skrzętnie przez Chińczyków poszukiwany do ukrytych, a tem samem nadprzyrodzonych celów.

Sarna, cokolwiek większa od europejskiej, wychodzi rzadko z głębi tajg na otwarte pola. Niestraszona przez człowieka, i nie znająca grożącego jej z tej strony niebezpieczeństwa, przy spotkaniu z myśliwym nie okazuje obawy, i z wielką łatwością upolować się daje. Mięso jej, jak i w ogóle wszystkich innych syberyjskich dzikich zwierząt na pokarm używanych, nie dorównywa w smaku odpowiednim gatunkom w Europie zamieszkałym. Przyczyną tego są także, jak się zdaje, warunki klimatowe. Długi odpoczynek przyrody w czasie trwania ośmiomiesięcznej zimy, nagły następny wzrost roślin, rzadkość deszczów, niedostatek rosy porannej i wieczornej — wszystko to wpływa razem wzięte na części składowe traw i ziół pastewnych, i sta-

się bezpośrednio powodem różnicy w smaku mięsa, żywiących się niemi zwierząt. Chociaż botanika azyatycka różną jest od europejskiej, lecz ziola państwa niebieskiego są prawie te same co w Syberji; a jednak mięso zwierząt północne nawet Chiny zamieszkujących, wyborniejszém okazuje się od syberyjskiego. Nie dosyć na tém: sarny syberyjskie, emigrując całemi stadami z Jenisejskiej gubernii do Mongolii, i tam po pewnym przeciągu czasu bite przez Urańchajców, nie odróżniają się w smaku od sarn mongolskich, tak wielki na nie wpływ wywiera zmiana klimatu.

Kiedy już z toku niniejszego opowiadania zbliżyliśmy się do południowych krańców Syberji, wspomnijmy z kolei o zwierzętach, które najwięcej te strony zamieszkują. Wzdłuż granicy chińskiej, wpośród przerażających dzikością okolic, tam gdzie góry Sajańskie najeżone skałami rysują fantastyczne kuntury na jasnym widokregu niebios, lub dziewiczy Altaj strzela ponad obłoki cyplami swych wiecznym pokrytych śniegiem szczytów — znaleźć można liczne gatunki kóz dzikich, które podobnie antylopom Pireneów pną się z nadzwyczajną łatwością po urwiskach i skałach, a wystraszone wykonywają po nad przepaściami zadziwiające rzutkością i siłą skoki.

Z pomiędzy wielu odmian tych zwierząt, dwa szczególniej zwracają uwagę badacza przyrody, a temi są: koza piżmowa, i koza pęgowata, zwana przez mongolów żymin. (1). Właściwością pierwszją są dwa pęcherzyki napełnione materyą mięsną, które zasuszone dają rodzaj piżma mocny zapach wydającego, a poszukiwanego w handlu przez farmaceutów. Przed kilku laty, przy zamianach handlowych z nadgranicznemi plemionami, nabyłem znaczną ilość tych narośli piżmowych od Mongolów, lecz nie mając ustalonych stosunków handlowych z rodzinnym krajem, by-

(1) Język mongolski jest tak ubogim, że nazwa żymin dosłownie przetłumaczona znaczy po prostu: „koziel“, jednakże mongolowie innych gatunków kóz nie nazywają tém mianem; rossyjscy zaś mieszkańcy Syberji, wzięwszy żywcem od Mongolów powyższe nazwanie, nazywają inaczej kozy pęgowatej.

(Przyp. aut.).

łem zmuszony zbyć je miejscowym przekupniom, po cenach nieodpowiadających rzeczywistości ich wartości. Gdy koza piżmowa, oprócz wyżej wyszczególnionej własności, nie ma w sobie nic wyróżniającego ją od innych gatunków, żymin zato odznacza się włosiem długim, miękkim, barwy śnieżno-białej. Głównem i wyłącznem znamieniem téj kozy jest pęga czarna wzdłuż całego grzbietu przechodząca; sierść pokrywająca nogi jęj ciemniejszą jest od włosów łba i tułowiu, w miarę zaś przybywających lat, coraz więcej ciemnieje, tak że te części ciała na starość przybierają u nich kolor zupełnie czarny. Żymin jest rzadszym od pokrewnych mu rodzajów, skóra jego ceniona w handlu miejscowym mało bywa wysyłaną za granice Syberji, z powodu trudności jakie przedstawia jęj wyprawienie. W ogóle wszystkie gatunki kóz dzikich, oprócz niezwykłej chyżości w biegu, siły w skokach, i łatwości z jaką chodzą po niedostępnych urwiskach, ślizkich opokach, i wązkich nad przepaściami ścieżkach, odznaczają się do wysokiego stopnia posuniętą przezornością, i przechodzącą zwykłą wszystkim dzikim zwierzętom przebiegłością. Miejsca, które im przyroda przeznaczyła na mieszkanie, są tak niedostępne, że oprócz olbrzymiego orła porywającego częstokroć w swe szpony nowo wylęglę koźlątko, rzadko bardzo zdarzy im się ujrzyć innego nieprzyjaciela; a pomimo tego, jeżeli przypadkiem oko myśliwca spostrzeże na szczycie wyniosłej opoki, rysującą się sylwetkę dzikiej kozy, zanim tenże zdoła upamiętać się, schwycić za broń, już chwilowe zjawisko, niby senne złudzenie, znika niepowrotnie. Polujący na te zwierzęta Syberyjczycy, znając ich obyczaje, używają tysiąca różnorodnych sposobów i podstępów do podejścia ich czujności; obznajmieni ze wszystkimi tajemnicami pustyni, wprawni we wszystkie wybiegi, właściwe charakterowi samorodnych dzieci natury, dopinają najczęściej swych celów, wtedy gdy najzawołańszy w swym fachu europejski myśliwy, błądząc dnie całe po labiryncie gór, skał i wąwozów, stanowiących właściwą rzeczonych stworzeń ojczyznę, powraca z niczém, lub co najwyżej, za całą nagrodę swych trudów, ma prawo pochwalić się widokiem chyżej i wiotkiej istoty.

która, niby cień fantastyczny, zaledwie ujrzana, zda się rozplýwać w eterze.

Gdy południowe strony gubernii Jenisejskiej i Irkuckiej obfitują w dzikie kozy — nowo przyłączona do Imperium rossyjskiego ziemia amurska, jest prawie wyłączną ojczyzną znakomitego rozmiarami ciała, potężnego siłą, strasznego zapalczywością zwierzęcia. Tur, z rogów i kształtem ciała podobny do olbrzymiego wołu, ma na karku rodzaj grzywy z przedłużonej sierści utworzonej; w chodzie ciężki, trudny w ruchach, staje się przecież w walce opcrem swym nader niebezpiecznym. Giliaki, zamieszkujący tę prowincyą, urządzają na niego liczne wyprawy, i bardzo często przy podobnych wycieczkach, kilku z nich przypłaca życiem swoją zuchwałość. W prowincyach chińskich, graniczących z ziemią nadmurską, gdzie znajdują się różne siedziby i legowiska tego zwierzęcia, wyprawiane na niego bywają z rozkazu mandarynów zarządzających krajem, oblawy, połączone z brzękiem dzwonek i uderzeniami tamtamów, stanowiących pewien rodzaj zabawy i uroczystości ludowej. Igrzyska te mają niejaki podobieństwo do walki byków w Hiszpanii, z tą różnicą, że szrankami zapasów jest tu obszar nieograniczony, zagrodą zastępy milicyi chińskiej, a przeciwnikami cała publiczność. Jeden przeciwko wszystkim, tur staje odważnie do walki, nie cofa się nigdy, a rozdrażniony wpada na wojowników państwa niebieskiego, pragnąc przebić włótem w żywym murze jakim jest otoczony. Szczególniej nie lubi on widoku wszelkich barw jaskrawych, mianowicie ponsowych; ujrawszy ten kolor, ogarnięty zostaje niepomahowaną wściekłością, i nie czekając zaczepki, rzuca się na ofiarę przybraną w nienawistną dla niego barwę.

Krańcowa północ ze swojemi podbiegunowemi niedźwiedziami, górzyste południe z rozlicznymi rodzajami kóz dzikich, środkowe tajgi rojące się tysiącem łosi, jeleni, borsuków, soboli i t. d., nieprzeliczone odmiany ptastwa ulatującego w powietrzu, różnorodność zwierząt kryjących się w norach ziemi, stanowią niewyczerpane źródło dla obserwacji badacza przyrody. Mieszkaniec stepów, tajg i obszarów prawie bezludnych, śledziłem zawsze ze szczególnem

zamiłowaniem obyczaje stworzeń dokoła mnie żyjących, i starałem się zbadać bliżej postacie przemykające co chwila przed memi oczami; nieznając jednak dokładnie zoologii, nie mając przytém żadnej książki fachowej pod ręką, nie mogłem oznaczyć dla nich ani odpowiedniego miejsca, ani nawet częstokroć nazwać przyjetém w nauce imieniem. Wprawdzie księga natury, piérwotny początek i jedyna podstawa wszelkich wiadomości, najbogatszym jest materiałem dla oddającego się zoologicznym badaniom spostrzegacza; przy braku jednak form, podziałów i nazw rodzajowych, przedsięwzięte studia mogą mieć tylko pośredni i nader ograniczony stosunek z nauką. Przedstawiony przezemnie szereg istot faunę syberyjską składających, nie jest tém samém niczém inném, jak tylko prostą pogawędką z czytelnikiem, lub w ostatnim razie materiałem, który po objęciu fachowém, dać może skromny przyczynek do prac poważnych, na tém polu uskuteczionych.

III.

STUDIA EKONOMICZNE.

SYBERYJSKA KOLEJ ŻELAZNA.

W ostatnich czasach bardzo wiele pisano w rossyjskich dziennikach o kolei żelaznej Syberyjskiej. Kiedy jeszcze kwestya jój kierunku nie była stale postanowiona, toczyły się zacięte walki w tym przedmiocie: walki te, których arenę stanowiły błamy gazet, broń pióra, a amunicyę atrament, przybierały czasami nader wojowniczy charakter. Niejeden z kupców odzywał się za linią Tiumeńską lub Irbicką tak sobie, ażeby téż coś powiedzieć, aby pokazać, że i jego obchodzą żywotne czynniki przemysłu, a potem już uważał za punkt honoru trzymać się ślepo raz wygłoszonego przypadkiem zdania, i wpadał w niepohamowaną złość, gdy kto ośmielił się przeciwną opinię objawić. Opowiadano nam, że w Permie przyszło z powyższego powodu do niemałych towarzyskich nieprzyjemności w gronie kupieckim — my sami mieszkając wówczas w Jenisiejskiej gubernii, byliśmy kilkakrotnie świadkami nader ożywionych dyskusyj, opartych na przypuszczalnym kierunku zaprojektowanej drogi. Dziś gdy już rzecz stanowczo rozstrzygniętą została, nie pora zastanawiać się, która z dwóch linii więcej odpowiada interesom handlu i przemysłu, tém bardziej, że obadwa projekta mają swoje ujemne i dodatnie

strony, a przyszłość jedynie okazać może, zkad więcej dla ogółu wyniknie pożytku. Celem niniejszego artykułu jest przedstawienie czytelnikowi wszystkich korzyści, jakie wynikną dla Syberyi wtedy, gdy jedna z tych arteryi ruchu i postępu połączy z zimną północą środkowe części kraju. Tém więcej czujemy się w obowiązku podjąć tę kwestyę, że to co dotąd o pożytkach mających wyniknąć w przyszłości dla syberyjskich obszarów przez połączenie ich z Europą pisano, nie rozjaśnia dostatecznie przedmiotu. Trudno, żeby mogło być inaczej. Syberyjczycy, jak wiadomo, w rozprawie drukowane się nie wdają, a rossyjscy ekonomiści i przemysłowcy albo bardzo mało, albo wcale Syberyi nie znają.

Każdy z biorących pióro do ręki w celu zaznajomienia ogółu z korzyściami, jakie oczekują kraj od chwili połączenia Wschodu z Zachodem, zastanawia się głównie nad wzmocnieniem linii handlowej kiachtyńskiej, zrównoważeniem silną konkurencyą monopolu kompanii wschodnio-indyjskiej, a nie znając dokładnie stosunków wewnętrznych Syberyi, bardzo pobieżnie o tych czynnikach mogących utrwalić z czasem handel wspomina; o moralnych zaś i cywilizacyjnych skutkach dla Syberyi zupełnie zamilcza. Tymczasem to, o czém tak wiele piszą i mówią, jest rzeczą elementarnie znaną, niepotrzebującą wywodów, i najmniej nawet obeznany z ruchem przemysłowym człowiek rozumie dobrze, iż gdy ramię kolei żelaznej wyciągnięte zostanie ku granicy Państwa Niebieskiego, to przywóz herbaty tą prostą i skróconą drogą, zniżając ję cenę, podkopie angielską konkurencyę na targach niemieckich, a może nawet francuzkich; dowóz rzeczonoego towaru w wyborowych szczególnie gatunkach, zastąpi średniej wartości produkta kompanii wschodnio-indyjskiej.

Nam idzie głównie o wykazanie pożytków dla rolnictwa, wewnętrznego i zewnętrznego handlu, a dalej przedstawienie skutków tak moralnych jak i materialnych, które z tego powodu na Syberję spłyną. Co do pierwszego, ażeby dokładnie przypuszczalne pożytki wyjaśnić, należy cofnąć się w przeszłość, i przedstawić czytelnikowi czém był sybe-

ryjski handel za dawnych czasów, czém jest obecnie, i jakie z tego stanu rzeczy można na przyszłość wyprowadzić wnioski.

Jeszcze przed zajęciem Syberyi pod zwierzchnictwo Rosyji, handlowy ruch istniał w tych północnych ziemiach. Były to żądanki tatarskiej kolonizacyi, która razem z zamianą towarów usiłowała zasiać pierwsze zarody islamizmu. Karawany z Kasztaru i Jarkiedu ciągnęły ku Irtyszowi i do jeziora Jamysza, gdzie były jarmarki. Wielu Bucharczyków osiedliło się w Syberyi, a robiąc wycieczki z wnętrza kraju do Jamysza i zakupując tam towary, roznosili takowe po aulach i jurtach innoplemienników. Niektórzy z nich dostawiali ze środkowej Azji tanie bawelniane tkaniny, mieniając je na surowe płody i samorodne produkta. W rękach wspomnianych plemion zjednoczył się nietylko wewnętrzny, ale i zewnętrzny ruch handlowy.

Po zawojowaniu przez Rosyję tych krajów, zaczęła się walka pomiędzy dwiema narodowościami: z jednej strony stanął islamizm i handel, z drugiej wiara Chrystusa i siła wojenna. Bucharczycy byli rozproszeni po koczowiskach północnych syberyjskich ludów, mieli pomiędzy nimi swoje stałe punkta oparcia, monopolizowali cały kredyt; ludność każdej auly pokładała ufność tylko w tych kupcach, którzy z nią mieli ciągłe stosunki. Takie położenie rzeczy nie mogło podobać się nowej zwierzchności miejscowej. Biurokracya widząc w nich przeciwników swoich interesów, ludzi którzy wywozili z kraju najlepsze i najcenniejsze futra, zaczęła od pierwszych chwil zmiany zarządu ograniczać ich działania, ale Bucharczycy mający wówczas w Syberyi mnóstwo krewnych i zwolenników, bardzo zręcznie umieli obchodzić ustanowione prawo, i stale uorganizowaną kontrabandą prowadzili dalej zamianę. Taki był stan rzeczy aż do chwili, w której rossyjska kolonizacya wprowadziła nowe do walki żywioły. Przesiedlający się całemi tłumami z głębi imperyum handlarze zapragnęli, ażeby zamiana towaru na surowe produkta przeszła w ich ręce; trudno jednakże im było konkurować z przywożonemi przez Bucharczyków materyałami.

Chińskie jedwabne tkaniny tanięj mogły być sprzedawane a niżeli rossyjskie płócienka (1). Władze miejscowe wzięwszy stronę nowęj handlowęj ludności, przyjęły energiczne środki do zapewnienia im odbytu wyrobów rossyjskich fabryk, zabroniły wywozić futra do Chin, Turkestanu i Bucharyi, nałożyły ogromne cło na materye jedwabne, ustawiły organizacyę straży granicznej, i tym sposobem Bucharczycy, którzy do ostatnięj chwili zachowali monopol handlu bawelnianami wyrobami Wschodu, nie zdołali już konkurować z przywozem płócienek i jedwabów rossyjskich fabryk. Nietylko przywóz tkanin przez Kiachtę i Kasztar zmniejszył się, ale nawet całe transporta łokciowych towarów imperyum poszły do Mongolii i innych północnych prowincyi Państwa Niebieskiego.

W początkach narodowość bucharska była tak silną w Syberii, że zdołała związać się w osobne kupieckie towarzystwo, i marzyła o ustanowieniu odrębnęj bucharskięj targowęj kolonii z kancelaryą, w którejby interesa prowadziły się w ich narodowém narzeczu, a nadzieje te znalazły nawet poparcie u cesarzowęj Katarzyny II-ęj. W pierwszych jednak czasach bieżącego stulecia, rząd widząc w przybywach garstkę bezzasadnie uprzywilejowanych cudzoziemców, którzy nie płacili podatków, dzierżyli skarbowe grunta, nie dawali rekrutów, mieli prawo przechodzić dowolnie w sąsiednich krajów poddaństwo, i zwracając przytęm uwagę na ciągłe skargi rossyjskich kupców, których interesa handlowe na tęm cierpiały, aktem urzędowym wydanym w roku 1834 unieważnił poprzednie przywileje Bucharczyków. Od tęj chwili naród ten party tamującami ich monopol rozporządzeniami, ustępował coraz dalej na północ, a rozdrobniwszy się w pojedyncze rodziny i mieszaawszy z pierwotnemi koczującami plemionami, wsiąkł, że się tak wyrażę, w rozsiane po stepach koczowiska, nie pozostawiwszy po sobie śladu dawnego istnienia.

(1) W owym czasie płócienka rossyjskich fabryk bywały sprzedawane w Syberii po rs. 1 kop. 20 za arszyn zaś jedwabnych, chińskich materyj można było dostać za 39 kop.

(Przyp. aut.)

Od tęj chwili także datować można epokę rzeczywistego początku handlu wewnętrznego części europejskich imperyum z Syberią. Były to początki i nic więcéj: początki słabe, niedołęzne i nierozwinięte, bo je tamowały odległość, i cło, które geograficzną granicę z gór uralskich utworzoną przetwarzało niejako w ekonomiczną przeszkodę do rozwinięcia wzajemnych stosunków Azji z Europą. Wszystko wróżyć kazało, że owe początki staną się z czasem podstawą ery pomyślności i rozwoju bogactwa krajowego; tymczasem lata mijały, a pierwsze objawy zawsze pozostawały na tym samym stopniu, i były tylko zarodem nieureczywistnionych dążności.

Rząd widząc podobny stan rzeczy, przedsiębrał wszystkie możliwe środki do podniesienia dobrobytu, rozwinięcia handlu i przemysłu swoich azyatyckich prowincyi, ale te usiłowania żadnego prawie nie przyniosły rezultatu. Ci, co pisali o Syberii, nie znali jęj, a ekonomiści widząc dwie główne przeszkody tamujące rozwój wewnętrzný: brak ludności i niechęć pierwotnych plemion zbliżenia się ku ognisku cywilizacyi europejskięj, podawali projekta działania bezpośredniego na usunięcie tych zawad, nie pojmując, że one były tylko wynikiem głównego złęgo — braku komunikacyi, że zatem chcąc unieważnić je trzeba było koniecznie dojść do źródła tamującego wszystkie przedsięwzięte ulepszenia. Pragnąc powiększyć ludność, przysyłano każdego roku około 60,000 skazanych, tymczasem po upływie połowy stulecia liczba mieszkańców podniosła się zaledwie o parę kroćstotysięcy dusz; pragnąc przyciągnąć innoplemieńców do cywilizacyi użyto duchowieństwa, lecz to będąc mało wykształcone, odstręczało tylko koczujące narody od postępu, i jeszcze większą pomiędzy niemi a Europejczykami wykopało przepaść. Inaczęj być nie mogło: kto tylko chce zmieniać złę na dobre, powinien dojść do początków wyrodzenia się złęgo, nie zaś walczyć z jego skutkami.

Brak komunikacyi sprawiał, że handel nawet po usunięciu bucharskich przywilejów pozostawał ciągle w kolebcę ze przemysł pomimo sprowadzenia znacznej liczby mechaników, inżynierów i innych ludzi fachowych, nie rozbudził

się z odrętwienia, że rolnictwo pozostało nierozwinięte, że ludność zesłana rozdrabniając się wśród niezmiernych stepów nikła w przestrzeniach, że wreszcie koczowiska pierwotnych ziem tych mieszkańców, ustępując przed parciem nowych żywołów, oddalały się coraz bardziej w niedostępne obszary, nie przyjmując nic, albo bardzo mało z działających na nie wpływów.

Cała powierzchnia Syberii pokryta jest w znacznej części tajgami czyli pustyniami leśnymi, niedostępnymi dla mieszkańców tych stron. Tajgi owe tworząc nieprzebyte mur z rosnących od wieków drzew, poprzerzynane szerokimi, bystreimi rzekami, niezbadane w swém wnętrzu, stanowią olbrzymie zapory do zbliżenia się wzajemnego ludów, i tym sposobem wyłania się w kolonizacji mnóstwo punktów bezwiednych, to jest szlaków jakie wdarłszy się do pustyni leśnej zakończone są jaką wioską, od której nie ma już dalej żadnej drogi. Pustynie leśne rozłączają takim sposobem zamieszkane miejscowości, iż chcąc przebyć linię z jednego punktu do drugiego, należy zakreślać niezmiernie koła — i tak np. ażeby dostać się z Kuźniecka do Minusińska trzeba posunąć się o 3^o geograficzne ku północy, a potem o tyle ku południowi się cofnąć. Tymże sposobem rozłączają się Narym od Tary, Tara od Tomka, Minusińsk od Wierchnioudyńska i t. d. Rozdzielenie podobne całości na części bardzo słaby mające pomiędzy sobą związek, tamuje wymianę produktów, sprzeciwia się organizacji społecznej, zespoleniu myśli, język rozpada się na rozmaite dyalekta, biedniejsze formą i wyrazami, kultura nie postępuje ani na krok naprzód, nie będąc podtrzymywana zewnętrznymi wpływami, maltusowska srogość klimatu względem wzrostu ludności nie zostaje nigdy zmiekkzona sanitarnymi środkami europejskiej nauki, a różnica cen produktów żywności w miejscowościach nader blisko siebie geograficznie położonych, z powodu wyżej wymienionych przeszkód nie pozwala zrównoważyć tych niedostatków wzajemną wymianą (1).

(1) Nizkość np. cen zboża w okręgu Minusińskim nie przyczynia się w niczem do zmniejszenia takowych w sąsiednim Kuźnieckim okręgu.

(Przyp. Dat.)

Powie może ktokolwiek nieznający Syberii, że oprócz przemysłu, który dla braku wewnętrznych i zewnętrznych komunikacji nie jest w stanie rozwinąć się dostatecznie, pozostaje jeszcze rolnictwo zapewniające bogactwo tym prowincjom; lecz i rolnictwo w pośrodku tych obszarów zupełnie odrębnym ulega warunkom. Wprawdzie praca około roli stanowi niejako podstawę wszelkiego stałego społecznego bytu, ale to nie przeszkadza bynajmniej, iż ją dziś uważać należy jako punkt przechodni do dalszego rozwijania się mass narodu służący. W stariej Europie w obecnych czasach rolnictwo nie połączone z przemysłem nie ma żadnego znaczenia. W średnich wiekach było ono zawsze udziałem najwięcej upośledzonych pod względem znaczenia towarzyskiego i rozwinięcia umysłowego klass ludności. W Państwie Niebieskiem dziś jeszcze ludzie zajmujący się uprawą gruntów, jako nie naukowi, pozbawieni są wszelkiego stopnia w hierarchii społecznej. Praca bowiem ta gdy nie jest połączona z przemysłem, staje się tylko ciężkim mechanicznym trudem niepotrzebującym ani udziału myśli, ani nauki, ani też rozwinięcia wrodzonych człowiekowi zdolności. Praca tego rodzaju ogołocona ze wszystkich czynników intelektualnych, jest w bieżącej epoce tylko potrzebną jako pośredni stopień służący do przejścia z koczowniczego życia pierwotnych plemion do cywilizacji. W dziewiczych ziemiach takich, jaką jest obecnie Syberia, ona stanowi niejako łącznik z dalszym postępem, gdyż nierównie łatwiej nomadom przeistoczyć się w rolników a niżeli w przemysłowców: sama natura uczy ich tej przemiany. Zabajkalski Buryata znajduje po stepach zbiory pożywnych korzonków roślin nagromadzone przez pracowite myszy, północno-amerykański Czypajs, udając się na polowanie zbiera po drodze dziko rosnące ziarno i zaspakaja niém wymagania swojego głodu. Indyjanin widząc nieustanne trudy zajętych swą dolą mrówek, stara się je naśladować. Tym sposobem więc przykłady zaczerpnięte w przyrodzie zmieniają rybołowca i myśliwca w rolnika, ale charakter ten powoli i stopniowo przyjmuje w krajach z wyższą kulturą cechy przemysłowości. Człowiek przeszedłszy różne próby i niepowodzenia,

zaczyna pojmować, że sama praca około roli bez współdziałania inteligencji jest niczém więcej tylko ciągłą grą z losem. Tak karta rzucona na zielony stolik, jak i ziarno rzucone na grunta, podlega wpływowi postronnych okoliczności: chłód, deszcz, grady, zmiany nieprzewidziane atmosfery, są tu ową neliłościwą ręką bankiera, niweczącą nadzieje rolnika-gracza. Ażeby złemu zaradzić, szuka on wtedy ratunku w przemyśle: nietylko fabryczne zakłady, nietylko towarzystwa wzajemnego kredytu służą do zrównoważenia ujemnych stron, ale wszystko co tylko zjednoczenie oddzielnych części w jedną całość może uczynić, zostaje przedsięwziętem, ażeby stawiać czoło wypadkom losu. W Syberji z powodu braku komunikacji, ulepszenia podobne, obok najlepszych chęci, najenergiczniejszej woli istnieć nie mogą. Rolnik pozostawiony samemu sobie, nie wie nigdy co go czeka w przyszłości. Od nieszczęścia pożaru nie obronią go słabo urządzone stosunki społeczne przy utworzeniu towarzystw assekuracyjnych, od pomoru inwentarzy, gradobicia, nie go zasłonić nie zdoła. Oprócz tego klimat tych stron północnych jest nierównie trudniejszy do zwalczenia niż naprzykład europejski. Nagłe przechody z gorąca do mrozu są ostre i niespodziewane. Kobyłka (rodzaj szarańczy) jest stałą plagą niszczącą ciągle urodzaje, a gdy przyjdzie na jaką wieś jedna z nieprzewidzianych klęsk, mieszkańcy nie znajdują do koła siebie ani pomocy, ani rady, gdyż niezmierną przestrzeń zatamuje ich głosy wołające o ratunek, a step głuchém odpowie milczeniem. Nieodpowiednia więc ilość rąk do pracy nie jest tu głównym powodem słabego rozwoju rolnictwa: brak ustalonej komunikacji, najuporniejszą staje się do tego przeszkodą. Obecnie istniejący trakt pocztowy, przerzynający w całej długości Syberję aż do Irkucka, daje o tém, co może wynikać z czasem przez przeprowadzenie linii kolei żelaznej, przybliżone pojęcie; wioski i osady położone przy rzeczonym trakcie są bogatsze, więcej zamieszkałe niż dalej znajdujące się, więcej tu także widzieć można obsianych gruntów, koszo-nych łąk stepowych, niż w okolicach po za tém wązkim pasmem będących; gdy zaś zechcemy posunąć się dalej na

prawo lub lewo drożniej arterji, ujrzymy życie rolnicze słabnące coraz bardziej, aż w końcu niknie ono zupełnie w pośrodku niezmiernych i nieograniczonych pustyni wygonów. Jakże jednak słabém tętnem jest owa żyła łącząca Zachód ze Wschodem! Przy największej szybkości jazdy trzeba całych długich miesięcy, ażeby ją przebyć, a wspomniane wyżej zagięcia i łuki przedłużają jeszcze geograficzną jej długość. Tymczasem ramię kolei żelaznej zredukowany miesiąc do dni a tygodnie do godzin, zmieniawszy zygzaki na proste promienie, zbliży najodleglejsze części kraju do siebie, a zespoliwszy w jedną całość rozerwane dotąd części, stanie się osnową pożytecznego działania wspólnymi siłami. Tém, czém była dotychczas linia pocztowa, staną się poboczne dróżki, sięgające teraz nie dalej nad parę set wiorst w głąb stepów. One pobudzone siłą żywotną głównej arterji dostrzelą i do szlaków zamieszkiwanych tylko przez dzikie koczujące plemiona Tunguzów, Jakutów, Buryatów i Ostyaków, a ludy te widząc przed sobą wyciągnięty łącznik, zbliżą się mimowolnie do miejsc przez Europejczyków zamieszkałych, lub też same przez stopniowe posuwanie się ostatnich w niedościgłe dotąd kresy, zleją się z ich gronem. Wtedy w pierwotnych azyatyckich szczepach, przemiana życia rybołowczego i myśliwskiego na zajęcia początkowego rolnictwa przyjdzie łatwo i niepostrzeżenie, a zaś dotychczasowi samorodni syberyjscy rolnicy, przez wpływ posuwającej się z Zachodu cywilizacji, zmieniają się w rolników—przemysłowców.

Powiedziawszy tyle o stopniowém rozwiciu się rolnictwa jako o podstawie przyszłej pomyślności tych stron, należy wspomnieć o przemyśle i handlu jako motorach bezpośrednio z rolnictwem połączonych. Bogate surowe materiały Syberji, jak ruda żelazna, węgiel kopalny, i całe bogactwo królestwa roślinnego jako też mineralnego, pozostają dotąd prawie nietknięte bez żadnego użytku, gdyż odpływ takowych na Wschód przedstawia niezliczone przeszkody; przeróbka zaś niektórych z nich na produkta handlu tamowana jest trudnością sprowadzania machin, uzdolnionych robotników i t. d. Tymczasem przy zbliżeniu komunikacyjnym

Europy z Azją, nie tylko materiały surowe znajdują odbywać na targach wewnętrznych cesarstwa, ale przerobienie ich dokonywane być może na miejscu. Przy kopalniach rudy żelaznej staną fryszernie, obfitość lasów da możliwość potworzenia licznych hut szklanych — słone jeziora przyczynią się do zmniejszenia wysokich cen soli, a wznoszące się fabryki sukna i wełnianych wyrobów dadzą zachętę syberyjskiej ludności do hodowania licznych stad owiec, które obecnie pomimo najkorzystniejszych warunków z powodu wyborowego karmu stepową paszą, w nader ograniczonej liczbie, dla braku odbytu wełny, są hodowane.

Jeżeli o tym mówimy, to nie w celu przedstawienia korzyści, jakie rozwinięcie przemysłu i wewnętrznego handlu w przyszłości wyrodzić może, gdyż rzecz ta sama przez się bije w oczy, jest niemal dotykana i żadnego niepotrzebującej dowodzenia: my wspominamy o tych czynnikach dla okazania moralnych, cywilizujących skutków, które ten stan rzeczy wyrodzi. Ludność Syberji, z wyjątkiem nielicznych urzędników i kupców z wnętrza Rosji przybyłych, składa się prawie wyłącznie z osiadłych włościan i koczujących pierwotnych plemion. Pragnąc cywilizować Syberję, należy bezpośrednio działać na rolników, a oni podniosłszy się, sami już wpłyną z czasem na przetworzenie nomadów w stałych członków społeczeństwa. Widzimy, że zakładanie szkółek wiejskich, zmniejszanie liczby szynków nie przynosi pożądanego skutku tam, gdzie nie ma osnowy, rzeczywistego punktu oparcia się do działania. Założone szkółki pozostaną pustymi, ograniczenie ilości szynkowni nie wpłynie na ukrócenie pijaństwa ludu, jeżeli nie znajdziemy motoru popychającego masę na drodze postępu.

Motorem tym jest w Rosji usamowolnienie włościan; w Syberji zaś gdzie oni nigdy nie znali poddaństwa, może być nim tylko widome i dotykane przekonanie się o korzyściach, jakie wywiera przemysł na samorodne rolnictwo. Rolnik syberyjski nie widząc do koła siebie tak jak to widzi każdy mieszkaniec Europy nic takiego, coby mu dało poznać korzyści wypływające z ulepszeń, trzyma się uporczywie dawniej rutyny, i nie wychodzi nigdy z ograniczone-

go kółka swoich pierwotnych poglądów; on pozostanie zawsze przywiązany do swoich rodzinnych zabobonów i przesądów, gdyż uważa cały byt swój i los związany z przypadkiem, z niepojętymi dla niego zjawiskami meteorologicznymi; pozostanie zawsze nieokrzesanym, grubym, gdyż po za granicami ciężkiej, mechanicznej pracy, dzielonej z domowymi zwierzętami, nie ma dla niego żadnego pola ku rozwinięciu się myśli służącego.

Tymczasem widok wznoszących się zakładów fabrycznych, wyników intelligencji, a nakoniec dotykane polepszenie losu tych, którzy umieją pracę fizyczną zastąpić siłą machin (1), którzy do trudu ciała dodają trud umysłu, wpłynie na jego przestarzałe wyobrażenia i popchnie na drodze postępu. Utrwalenie więc komunikacji będąc początkowo dźwignią przemysłu, oddziała następnie na ucwilizowanie a przez to samo umoralnienie ludności.

Gdybyśmy mogli na chwilę przypuścić nie możliwość przytoczonych wyżej rezultatów, to sięgnąwszy do źródła, i zastanowiwszy się czem jest wewnętrzny handel narodów, dojdziemy do przekonania iż rzeczony wywody, nie są przypuszczeniami, ale wynikiem opartym na matematycznej ścisłości.

Ekonomia polityczna dzieliła zawsze swoich pracowników na dwa obozy: protekcyjistów i libeszanzystów. Tym dwom wprost przeciwnym sobie przekonaniom odpowiadają najzupełniej konserwatyzm i postęp. Protekcyoniści twierdzili, że wolny handel wyradza konkurencję, a konkurencja jest pierwszym powodem do wojen, a zatem do zniszczenia jednorazowego długich lat pracy i usiłowań ku podniesieniu się przemysłu wewnętrznego dokonanych — zwolennicy wolnego handlu dowodzili przeciwnie, iż jedna kon-

(1) Zastąpienie pod niektórymi względami pracy rąk machinami, nie może w żaden sposób wpłynąć na zmniejszenie zarobku pojedynczych robotników, nawet przy potrójnym lub poczwórnym pomnożeniu się ludności w stronach tak mało zaludnionych w stosunku do przestrzeni obszarów.

(Przyp. aut.).

kurencyja tylko może być dźwignią rozwoju handlowego, a walki narodów same przez się ustaną, gdy zobopólny pożytek zwiąże ich różnorodne interesa nierozzerwanym węzłem. Ludwik Blanc, przy swoich więcej poetycznych niżeli podobnych do skutecznienia marzeniach o braterstwie narodów, kreśli obraz wolnego handlu następującymi wyrazami:

„Przedstawmy sobie na chwilę, iż pokój zakwitł na ziemi: pokój wieczny, trwały i nienaruszony; nieprzyjaźń ucihła, zawiść skonala, a wojna stała się niemożliwą. Narody łączą się w jedną ogromną rodzinę, dzieląc pomiędzy sobą plody swoich krajów, wyniki swych prac i trudów — rzeczona wymiana zaś podwyższając wartość ogólnej pracy, przemieniając przyczynę w skutek, zapewnia pomiędzy niemi powszechną zgodę. Jak tylko zasady powyższe wejdą w wykonanie, natychmiast problema pokojowe znajdzie rozstrzygnięcie. Jeżeli podzwrotnikowe słońce dozwala dojrzewać na Antyllach trzcinię cukrową, dla czegoż Europejczykom męczyć się nad wydobywaniem tego produktu za pomocą drogich machin z płodów swój ziemi, kiedy każdy plód ma dla siebie sfery odpowiednie jego rozwojowi? Czyliż kawa, winna latorośl, herbata, wanilia, nie posiadają swój ojczyzny? Na cóż więc z wysiłkiem trudów tworzyć sztuczny klimat dla wydobywania z gruntu płodów, które po za linią graniczną ceł, daje nam sama natura w wyższym gatunku? A zatem swoboda handlu to jedno z dobrodziejstw powszechnego braterstwa narodów.“

Pomijając, że Ludwik Blanc patrząc na wiek dziewiętnasty oczami przyszłości i idealizując kwestye ekonomiczne, doprowadza je zwykle do granic więcej estetycznych niż na chłodnej rzeczywistości opartych, zaprzeczyć nie można, że w samych zasadach jego tkwi prawda. Jakiemż jednak środkami zapory te uniemożliwić należy? Zasady zewnętrznego handlu, nie mogą być usunięte odrazu przez rządy jednym pociągiem pióra, gdyż to sprzeciwiałoby się cząstkowym interesom krajów, ale zasady te ustępują powoli, nieznacznie przez zbliżenie się narodów — motorem zaś do tego zbliżenia się, są koleje żelazne. W ostatnich czasach wi-

dzimy już znaczne odmiany w taryfach celnych, tam szczególnie gdzie sieci dróg żelaznych zjednoczyły interesa głównych handlowych punktów; powiększona konkurencyja przyczynia się także nie mało do zredukowania początkowej normy opłat od wywozu produktów przemysłu — rozwój więc komunikacyjny związany jest nierozzerwanymi węzłami z wolnym handlem. Dla Syberyi najwięcej oddalonej od kulminacyjnego siedliska postępu i oświaty, staje się ona kwestyą żywotną.

Staraliśmy się dowieść, że umoralnienie i ucywilizowanie plemion żyjących wśród dzikich stron północy, zależy nie od przyjęcia bezpośrednio administracyjnych środków ale od rozwoju rolnictwa — że rolnictwo znowu pozostanie na zawsze w swym pierwotnym, walczącym ze srogością klimatu stanie, jeżeli mu nie przyjdzie w pomoc przemysł — że wreszcie ten ostatni silnie z handlem zewnętrznym związany, nie nabierze nigdy odpowiedniej samodzielności, jeżeli mu nie poda ręki ustalona, trwała i jednocząca najodleglejsze punkta stepów, koléj żelazna. Samo przeprowadzenie promienia jej do miasta Tiumentia, podkopuje szkodliwe dla interesów syberyjskich cło uralskie; im zaś dalej to ramię dosięgnie, im więcej włączy się w obszary ziem tyle bogatych a tak mało dotąd procentujących, tém znakomitsze pożytki przyniesie.

IV.

STUDIA OBYCZAJOWE.

WARYAT:

Było to w Tobolsku....

Zostawałem długo bez przytomności.

W czasie tego odrętwienia przyszła chwila, w której mogłem widzieć i słyszeć wszystko co się do koła mnie działo, nie będąc w stanie wydać głosu, ani też uczynić najmniejszego poruszenia.

Nad moim tapczanem stało kilku nieznanym mi ludzi. Jeden z nich średniego wieku mężczyzna, w złotych okularach, trzymał mnie za rękę i spoglądał smutnie w moje oblicze.

— Gorączka silna, poczucia mało, stan niebezpieczny: należy chorego przenieść natychmiast do szpitala.

— Ależ panie konsyliarzu,—odrzekł stojący za nim młody człowiek, — to jest rzeczą zupełnie niepodobną: tam wszystkie miejsca zajęte.

— Przepelniona sala, wiem otém—ale można go pomieścić w osobnym pokoju razem z numerem szóstym.

— Z tamtym? tak samych zostawić! — zawoła młody człowiek, wyraźnie przerażony.

— No, i cóż ztąd?

— Ależ tamten to niebezpieczny waryat.

— Nie zrobią sobie nic złego — a zresztą od czego dozór.

I potem niezważając na nową uwagę młodzieńca, który był widocznie szpitalnym felczerem, rzekł obracając się do posługaczy:

— Zanieść do pokoju, zajętego przez numer szósty!

Struchlałem. Widok człowieka cierpiącego pomieszanie zmysłów, litość w mém sercu obudzał, ale zawsze spoglądał na waryatów z obawą jaką się śledzi niezbadaną dotąd tajemnicę natury. Zostać zaś zamkniętym sam na sam w jednym pokoju z niebezpiecznym szaleńcem w stanie rozstrojenia umysłowego i gorączki wewnętrznej w jakiej się znajdowałem, było coś strasznego, przerażającego.

Chciałem mówić — nie mogłem. Czulem tylko jak posługacze szpitalni uchwycili mnie za nogi i za ramiona, i nieśli we wskazanym kierunku.

Wkrótce nic już nie czulem.

* * *

Jak długo ten stan trwał — nie wiem: gdy otworzyłem oczy, noc była. Ujrzałem się w niewielkiej izdebce oświetlonej słabym światłem lampy; przy moim łóżku siedział starzec poważnej powierzchowności, łagodnych rysów twarzy — długa srebrzysta broda spadała mu na piersi, a w jasnych niebieskich oczach jego malowała się niewysłowiona słodycz i spóleczenie.

Zajęty był okładaniem méj głowy zimną wodą.

— Obawiałem się o was, — rzekł widząc, że zwracam ku niemu pytające spojrzenie, — ale teraz chwała Bogu gorączka minęła: było to przesilenie choroby, które szczęśliwy obrót wzięło.

— Co się zemną stało? gdzie jestem? — zapytałem zbierając rozpierzchłe myśli.



Ujrzałem się w niewielkiej izdebce oświetlonej słabym światłem lampy; przy moim łóżku siedział starzec poważnej powierzchowności i łagodnych rysów twarzy.

— W szpitalu. Zostawiono was jak to się zwykle dzieje, bez opieki. Felczer miał wprawdzie rozkaz czuwać nad wami, ale felczerzy tutejsi nie mają zwyczaju troszczyć się zbyt wiele o chorych.

— A wy kto jesteście?—zapytałem.

— Towarzysz niedoli.

— W szpitalu? towarzysz niedoli? a mnie o ile przypominam sobie, miano przenieść do jakiegoś waryata.

— Ja nim jestem,—rzecze uśmiechając się gorzko.

Spojrzałem na niego z przerażeniem.

— O nie obawiajcie się, ja jestem spokojnym waryatem: ze złymi złośliwy, staję się łagodnym z dobrymi. Nie doznacie odemnie najmniejszej przykrości, owszem, będę się starał osłodzić wam w czém zdołam cierpienia.

Wyrazy powyższe wyrzeczonemi zostały pełnym słodczy tonem. W jasnych, błękitnych oczach starca malowało się tyle dobroci, tyle prawdziwego spółczucia, iż nie wiedziałem co mam o nim sądzić. Waryaci tak nie przemawiają. On widocznie odgadł moje myśli, bo zaraz potem dodał:

— Nie wysilajcie napróżno umysłu nad odgadywaniem tego wszystkiego: z czasem to samo przez się przyjdzie. Dziś wam potrzeba spokoju i wypoczynku—Bóg jest dobry i miłosierny; jeżeli was wrzucono tak jak Daniela w lwią jamę, to nasz Ojciec niebieski ochroni ofiarę złości ludzkiej od szponów dzikiego zwierza.

Wszystko co słyszałem było dla mnie niepojętem. Napróżno starałem się zebrać swe myśli—osłabienie, bezwiedna jakaś ociężałość, nie dały mi ich skupić: wrażenie obecnej chwili i obawy o przyszłość plątały się bezładnie w mej głowie. Patryarchalna postawa starca oświecona migającym płomykiem gasnącej lampy, przez chwilę jeszcze przemyciała się przed znużonym chorobą wzrokiem. Czasami zdawało mi się, iż rosła ona w olbrzymie kształty; nareszcie osłabiony, zmęczony tém co sądziłem być widziadłem chorąj wyobraźni, opuściłem głowę i sen skleił moje powieki.

Nazajutrz przebudził mnie niezwykły hałas.

Kilka osób rozmawiało głośno.

— To już nie pierwszy raz, — mówił podniesionym głosem doktor: na was zupełnie rachować nie można.

— Niebyło mi podobna opuścić sali, — tłumaczył się szpitalny felczer.

— Wszystko jest podobna przy dobrej woli; to jeszcze szczęście, że żaden smutny wypadek nie miał miejsca. Numer szósty pojechał: buja po obłokach.

— Pojechał! — zawoła starzec — tak pojechał, ale nie on, tylko ja. A tyś został o wytartym czole nikczemniku, i tyś została jedzo, ażeby pić moją krew, karmić się moim chlebem. Myślicie może, iż rozpaczam zgnębiony; nie, ja się śmieję — widzicie, ja się śmieję!

I zaśmiał dzikim śmiechem.

— Zostań tu, — rzekł odchodząc lekarz: ja powrócę wieczorem.

— Łatwo powiedzieć zostać. Pewnie będę siedział tu bez śniadania, a może i bez obiadu, — mruknął pół głosem po odejściu lekarza felczer, — pomiędzy waryatem i tym....

Spojrzał na mnie.

Miałem ciągle zamknięte oczy.

— I tym, — zakończył — na wpół już umarłym: piękna perespektywa, niema co mówić!

— A więc się wynoś zkad przyszedłeś! — krzyknął starzec podnosząc się z krzesła i wyciągając ramię z rozkazującym gestem. Przyjąłem cię w swój dom jako gościa, chociaż haniebne piętno występku było wypisane na twojem czole, a tyś mnie sprzedał jako Judasz Iskaryot za trzydzieści srebrników....

— Milcz już nareście, ty stary — rozumiesz?... a jak nie przestaniesz bredzić, poszłę po posługaczy i każę cię związać w powrozy. Ja nie lubię nigdy żartować — wiesz otóm bardzo dobrze.

Groźba powyższa wywarła nagły wpływ na starca. W ryśach jego twarzy, wyrażającej dotąd gniew, przebijał się przestrach i pokora; drżący, wybladły złożył ręce jakby do modlitwy:

— Zmiłujcie się, niezabijajcie!.... i ty kobieto pomnij żem cię chciałem podnieść, uszlachetnić.... będzie śledztwo, sąd,

nie wydam waszych sprawek, wszystko przyjmę na siebie, — ale dajcie powrócić do domu, abym mógł raz jeszcze zobaczyć moje rodzinne strony, moją starą matkę!....

— Bardzo musi już być starą ta kobieta, kalkulując po twoim wieku, pewnie ma ze sto lat, a może i więcej?... zaśmieje cynicznie felczer kręcąc papierosa.

— O tak bardzo stara, bardzo stara.... ale ona już umarła. Ona mnie kochała.... ona, ta matka. Matki nie tak kochają jak żony! Jakież to ciche i spokojne było życie: zawsze wieczorem ptaszki śpiewały, gaj się zielenił — wszędzie tak błogo, lubo, rozkosznie — a teraz....

I biedny staruszek schyliwszy głowę na piersi, zapłakał.

— Otóż masz, zawsze ta sama historia: po burzy deszcz, po deszczu burza, — szeptał do siebie półgłosem felczer, — ani nawet pośmiać się nie można z tym głupim waryatem; a tamten śpi sobie w najlepsze.

Przerażony tém wszystkiém co się dokoła mnie działo i osłabiony chorobą, nie otwierałem oczów.

— I niechaj śpi, — dodał felczer — lepij mu z tém.

Starzec ciągle szlochał w kącie, młody człowiek puszczał z ust coraz gęstsze kłęby dymu, milczenie panowało dokoła: usnąłem na prawdę.

Gdym się obudził, znowu ujrzałem się sam na sam ze swoim towarzyszem; felczer korzystał widać z pierwszej lepszej sposobności, ażeby się wynieść niepostrzeżonym.

— Chwała Bogu, — rzekł starzec zbliżając się do mego łóżka, gorączka zupełnie minęła — teraz jeszcze parę tygodni wypoczynku, rekonwalescencji, a z choroby waszej ciężkiej, niebezpiecznej i śladu nie pozostanie.

Gdy to mówił, wpatrywałem się w niego z uwagą. Przypomniałem sobie gwałtowne sceny i wyrazy bez związku, które wymawiał w obecności doktora, i nie wiedziałem co o nim mam sądzić.

Widocznie odgadł myśl, która w téj chwili zajmowała moją uwagę, bo lekki zaledwie dostrzeżony rumieniec okazał się na jego twarzy.

— Może być, — dodał cokolwiek zakłopotany, — żem co powiedział niestosownego. Nie należy na to zwracać uwagi.

Nieszczęścia wpłynęły na mój charakter, stałem się gwałtownym—czasem wpadam w gniew bez żadnej przyczyny.

I zmieniwszy rozmowę zaczął mówić oczem innym.

Mówił o wszystkim rozsądnie, a co więcej był to człowiek wysoko wykształcony. W długich pogawędkach dotykaliśmy niemal wszystkich przedmiotów, a nie tylko żadna z nauk nie była mu obcą, ale w sądzie swym o rzeczach, ludziach i wypadkach, dawał dowody niezwykłego taktu i znajomości serca ludzkiego.

W czasie jednakże wizyty lekarza, lub też bytności felczera, którzy od czasu do czasu przychodzili, zmieniał się nie do poznania: twarz jego spokojna, łagodna, czerwieniała, czoło fałdowało się, oczy rzucały błyskawice gniewu, a z ust mimowolnie wyrwały się wyrazy bez związku.

Nie wiedziałem co mam sądzić o tym człowieku.

Pewnego razu ośmielony dowodami życzliwości jakie mi zawsze dawał, i pragnąc wyjaśnić to co było dotąd dla mnie zagadką, zapytałem:

— Zdaje mi się iż nie lubicie doktora i jego pomocnika?

— Nie lubię, — a za co? Ja ich nieznam. Ale oni są bezwiednymi narzędziami moich katów. Starcy bywają czasami jak małe dzieci, nie mogąc osiągnąć tych którzy ich biją, mszczą się nad różgą sprawiającą im ból.

I oczy jego na chwilę zabłysnęły gniewem.

Ale zaraz potem upamiętał się, i wzięwszy mnie za rękę, dodał:

— Nie mówcie otém nigdy—ja was proszę!

Dnie upływały jedne za drugimi, a ja zacząłem powoli powracać do zdrowia. Towarzystwo starca było dla mnie wielką pociechą i rozrywką. Rozmawialiśmy o wszystkim, wyjąwszy o samych sobie, bo i ja także idąc za jego przykładem, nie tykałem nigdy swojej przeszłości, ani szczegółów związanych z mým życiem. On postępowaniem swoim dawał mi ciągle dowody spółczucia, pieczołowitości i prawdziwie ojcowskich starań, a w czasie długiej rekonwalescencji, uprzedzał niemal wszystkie moje życzenia, i widocznym było, że się coraz więcej przywiązywał do mnie. Dla tego też, gdy pewnego dnia z powodu opróżnionego miejsca

w głównej sali, szpitalny doktor oznajmił mi, że mogę być tam przeniesionym, odmówiłem stanowczo.

— To zależy od waszej woli, — rzekł eskulap zażywając powoli tabakę, ale zawsze tam lepijby wam było, a szczególnie bezpieczniej. Bądźcie jednak ostrożni: potakiwać we wszystkim, nie dziwić się niczemu, to jest jedyna rada jaką wam dać mogę.

Chęć dzielenia z nim nadal wspólnej izdebki, nadzwyczajnie ucieszyła starca, tak że nawet po raz pierwszy może w obecności lekarza rysy jego twarzy nie okazywały żadnego gniewu i najmniejszego odcienia niechęci.

Co więcej sympatya okazana mu przełamała ostatnie lody dotychczasowej obojętności, czułem iż zdobyłem jego zaufanie, tylko jeszcze resztki dawniej niewiary, a raczej długie przyzwyczajenie do tajenia w głębi duszy swych myśli i wrażeń, wstrzymywało wyrazy na ustach jego. Zgadując, że pragnie powierzyć mi swoje strapienia, odkryć zasłonę swjej przeszłości, dałem pierwszy przykład opowiadając mu koleje smutnego mego życia. Wysłuchawszy mnie z uwagą, opowiedział co następuje:

„Był czas w którym czułem się szczęśliwym, te chwile dawno już przeminęły, a jednak tak żywo tkwią w mojej pamięci, że dziś po upływie tylu lat, najdrobniejsze szczegóły mego młodocianego życia widzę jasno, dobitnie, wyraźnie, jak gdyby one nie należały do odległej przeszłości. Nazywam się K***, rodzina moja należy do najznakomitszych w kraju, przodkowie moi piastując znaczne urzędy, oddając ważne usługi monarchii, nagradzani byli przez panujących godnościami i szczytami. Dzieckiem jeszcze będąc, straciłem ojca: postać tę surową i wyniosłą o generalskich szlifach, ozdobioną w krzyże i ordery zaledwie pamiętam. Wychowała mnie matka.

„Znacież wy nasze matrony? Jeżeli która z nich w młodości swojej nie dostała się w ręce sprowadzonej z zagranicy cudzoziemki, nie przejęła wraz z francuzkim żargonem obyczajów i ducha zachodnich narodów, oddychała od dzieciennych lat zdrowym i nieepsutem powietrzem naszej ziemi, to w jej duszy rozkrzewią się hojnie wszystkie cnoty sło-

wiańskie. Taką była moja matka. Córka obywatela ziemskiego, nie szukała czczych rozrywek wśród obcych krajów, nie pragnęła nawet poznać ruchliwego gwaru stolicy; mając nieograniczone zaufanie do męża którego kochała nad życie, pozostawiła go czynnościom do jego wysokiego stanowiska przywiązaniem, a sama zajęła się zarządem licznych włości, czując że tysiące rodzin, w poddaństwie jeszcze wówczas zostających, winno mieć w niej opiekunkę. Kochano też ją i uwielbiano powszechnie. Po śmierci ojca dotknięta głęboko swoim osieroceniem, nie poddała się słabój i bezsilnej rozpacz, jak czynią wszyscy ci którzy nie posiadają odpowiedniego hartu ducha, ale z podwójną energią wzięła się do pracy. Obowiązki były liczne: ulepszenie bytu włościów, zarząd ogromnego majątku, i wychowanie mnie w dzieciennym jeszcze pozostającego wieku, stanowiły główny cel jój życia. Niezwykła wytrwałość charakteru połączona z przejęciem się ważnością swojego posłannictwa, wszystkiemu podołały.

„Jak ona mnie kochała ta droga, nieoceniona matka! Ja byłem dla niej przeszłością, terażniejszością i przyszłością, we mnie skupiły się wszystkie promienie jój myśli. Nie rada rozłączeniu, a może obawiając się wpływu obyczajów wielkich miast na mój młodociany umysł, postanowiła wychować mnie w domu, pod swoim macierzyńskim okiem. Gdym wyszedł z lat dzieciennych wybrała dla mnie nauczyciela, spadłego z etatu profesora, człowieka z wysokim wykształceniem, głębką nauką: cichego, skromnego. On mnie udzielał swoją naukę, ona zaś dawała kierunek mojemu pojęciom, skłonnościom i charakterowi. Nieograniczona wiara jaką pokładała w ludzkości przeszła i we mnie. Mogłaż nie wierzyć bezwarunkowo w cnotę ta anielska istota w której duszy nigdy zła myśl nie powstała, ja zaś żyjąc ciągle w tej atmosferze szczęścia i spokoju, nie mając żadnych stosunków ze światem i jego namiętnościami, czyliż mogłem odgadnąć, że po za tą świątynią rodzinnych skarbów, krzewi się złość, obłuda i niekzemność? Z ksiązek czerpie się jedynie nauka, nigdy doświadczenie. Dokoła siebie widziałem uśmiechnięte zawsze twarze, słyszałem wyrazy wdzięcz-

ności i uwielbienia, oddychałem czystym powietrzem rodzinnej zagrody, sądziłem więc, że cały świat jest takim.

„Mój nauczyciel był jak już wyżej powiedziałem tylko erudytem; z życia społecznego znał on bardzo mało, albo wcale nic. Oprócz tego wyobrażenia jego były jeszcze z tych czasów w których sądzono, iż ludzie w wysokim urodzeniu stanie, zajmują odrębne stanowisko nie mające żadnego związku z położeniem innych ludzi. Gdy czasami zadawałem mu jakie zapytanie wychodzące ze sfery książkowej, odpowiadał nieodmiennie: „Świat jest dla was, nie zaś wy dla świata. Wyżsi majątkiem i imieniem które nosicie, nie będziecie nigdy wmięszani w życie ogółu; na cóż wam zgłębiać to co tylko powierzchownie dotykać będziecie?“

„W długich rozmowach z moją matką, poruszaliśmy różne przedmioty, ale wszystkie one jak promienie słońca ujęte soczewką tychże samych wyobrażeń skupiały się w jeden punkt, a tym punktem było domowe ognisko. Świat rzeczywisty dla mnie nie istniał wcale, a raczej istniał wyidealizowany i upiękuszony: często w wolnych od zajęć naukowych chwilach, pogrążałem się w błogich dumaniach, nadając fantastyczne kształty budzącem się w mój wyobraźni myślom.

„Podobny nastrój ducha nie mógł nie wyrodzić zamiłowania do poezji. Nie przelewałem ja na papier swych myśli, ale czytając z zamiłowaniem utwory naszych wieszczów, nadawałem wszystkiemu co mnie otaczało poetyczną barwę. Wyrosłszy w młodzieńca najmilszym dla mnie zajęciem stały się długie samotne przechadzki. Cuda natury mają zawsze tyle uroku! Przepelnione miłością serce kazało mi widzieć w każdym nieledwie stworzeniu równą mi istotę, a w organicznem życiu nieczułych na pozór tworów, odgadywałem cały świat tajemniczy. Obłąd wyobraźni podrażnionej tak niebezpiecznemi dla młodocianego wieku dumaniem, wyrobił we mnie pojęcia ekscentryczne, odbiegające we wszystkim od pojęć i wyobrażeń innych ludzi; nie mając zaś żadnych stosunków ze swymi rówieśnikami, nie mogłem wiedzieć że nie jestem takim jak drudzy. Wyeksaltowawszy uczucia, zacząłem dopatrywać braku i niedostatków nawet

w najczystszej miłości chrześcijańskiej. Dla czegoż, mówiłem do siebie, bliźnim naszym ma być tylko istota podobnych naszem kształtów? dla czegoż przywykliśmy uważać za niewolników wszystkie inne stworzenia, które tak samo czują, myślą i porozumiewają się między sobą jak my. Wszakże Bóg wszystkich zarówno stworzył i wszystkim jednakowe dał prawo do życia. Chcemy być wyższymi, a mamyż do tego prawo? Siłą słabsi, panujemy rozumem, lecz rozum naturalny tych istot, który pozwalamy sobie zwać instynktem, czyliż częstokroć nie przewyższa naszego książkowego rozumu?

„Wiadomo powszechnie, że każdy sofizmat ma to do siebie, iż wyradza nieprzerwany szereg następnych sofizmatów. Kto raz w to zaczarowane koło się dostał, musi iść coraz dalej—ja więc puściwszy się na drogę abstrakcyjną, brnąłem jeszcze więcej w niedorzecznych a wytworzonych z samego siebie aforyzmach. Bywały chwile w których przejęty sztucznym życiem rozbijałem moją wyobraźnię, odzywałem się do zwierząt, ptaków, i sądziłem że one pojmują moje wyrazy; a razu pewnego gdy kosiarze skosili piękną łąkę otaczającą nasz ogród, zapłakałem gorzkimi łzami nad śmiercią polnych kwiatów leżących pod moimi stopami. Moja matka, osoba pozytywna, daleka charakterem swoim od wszelkiej eksaltacji, nie tylko nie widziała w tych objawach szkodliwego kierunku, ale uważała podobne wybryki za prostą dziecinną naiwność: „Lepiej jest, — mawiała do majora, starego przyjaciela naszej rodziny, — że mój Paweł tak długo dzieckiem pozostaje; tym bowiem sposobem przejdzie bez niebezpieczeństwa ów wiek burzliwy szałów, zachceń i namiętności, a gdy przyjdzie pora rozważki, stanie się od razu człowiekiem.“ Odwiedzający niekiedy ustronie nasze dawni towarzysze broni mojego ojca, nie mogli także w tej eksaltacji umysłowej widzieć cokolwiek bądź zagrażającego mojej przyszłości; owszem zamiłowanie do kontrastów sprawiało, iż się lubowali w najniedorzeczniejszych nawet moich ideach. „Panienko, jak Boga Kocham panienko!“ — wołał raz w zachwycie stary major pokręcając sumiastego wosa, gdy objawił głośno swoje teorie: „już ten nie porozrzuca po wszystkich kątach

świata swojej młodości, siły i zdrowia—a gdy się ożeni, pozwolę się nazwać rekrutem, jeżeli jego małżonka....“ znaczące i poważne spojrzenie mojej matki, przerywało zwykle dalszy ciąg uwag starego żołnierza.

„Lata upływały jedne za drugimi i nic się nie zmieniło w stosunkach naszego codziennego życia, wyjąwszy to, że stary profesor ukończywszy wychowanie moje otrzymał w dożywocie folwark do którego przeniósł się wraz ze wszystkimi swojemi książkami. Ten człowiek cichy, spokojny, poświęcający wszystkie wolne od nauk chwile układaniu jakiejś olbrzymiej grammatyki, której nigdy nie skończył, tak mało zajmował miejsca w naszym domu, iż usunięcie się jego przeszło prawie niepostrzeżeniem. Skończyłem już dwudziesty pierwszy rok i byłem z łaski summiennego nauczyciela tak wszechstronnie wykształconym, iż nie jeden z naszej młodzieży, nawet z liczby tych którzy wyszli z wyższych naukowych zakładów mógł mi pozazdrościć nabytych wiadomości. Nie porzucałem i dalej studiów; nauki szczególniej przyrodzone pozwalające mi choć w części uchylić tajemną zasłonę bytu istot, nadewszystko mnie zajmowały: dnie całe przepędzałem nad obserwowaniem i śledzeniem obyczajów zwierząt, przypatrując się z zachwyceniem trudom i pracy drobnej mrówki, wnikając w tryb życia różnego gatunku ptastwa; a wyobraźnia moja umiała tak każdy szczegół idealizować, że częstokroć w swiergotaniu tych mieszkańców leśnych, starałem się uchwycić jaki dźwięk, któryby mi dał klucz do rozwiązania i zrozumienia ich mowy. Gdy się to działo, ważny jakiś majątkowy interes, potrzebujący obecności mej matki, powołał ją do Petersburga. Z żalem opuściła ona swój letni pałacyk, swoje zajęcia, swoich ubogich, ale nie było innego sposobu uchylenia się od tego obowiązku. Przez myśl jej nawet nie przeszło, żeby się mogła na kilka miesięcy zemną rozłączyć, i ja też ze swjej strony, choć zespolony z tém wiejskim ustroniem, które się stało moim światem, nieprzypuszczałem możliwości podobnego faktu. Wyznać nawet winienem, że jeżeli pierwszy zamiar tej dalekiej podróży przeraził mnie, to następnie ciekawość poznania nowego życia, o którym tylko z książek niedokła-

dne miałem pojęcie, sprawił żem z gorączkową niecierpliwością oczekiwał nieznanych mi dotąd wrażeń.

„Przybywszy do stolicy byłem zdumiony, olśniony — spoglądałem na wszystko ze strachem. Ten ruch i gwar wielkiego miasta o których dotąd pojęcia nie miałem, zdawał mi się być dziwnym, nienormalnym chaosem: sądziłem w pierwszej chwili, że wszyscy ludzie szaleją, lub że jakiś nadzwyczajny wypadek poruszył całą masę publiczności do działania; stopniowo dopiero zacząłem przyzwyczajać się do stołecznego ruchu, i rozglądać powoli we wszystkim co mnie otaczało. Nie mogłem jednak nigdy pozbyć się wrodzonej lekkości, ale czy to wskutek kontrastu z młodzieżą petersburską, czyli też pewnie jeszcze z powodu mojego stanowiska jako jedynaka i przyszłego pana milionowego majątku, owa nieśmiałość nieraziła nikogo w poważnych towarzystwach, do których niekiedy wraz z moją matką uczęszczałem. Owszém miano mi ją nawet za dobre. Wszystkie te senatorowe, jenerałowe, tajne radczynie, spoglądały na mnie z pewnym rodzajem zadowolenia, nazywając: „biblijnym młodzieńcem“ lub też „nowożytnym Józefem.“ Były to wszystko zabytki przeszłości, żyjące tylko wspomieniami ubiegłych czasów, właściwego więc wielkiego świata stolicy z jego szalami, blaskiem i czczością wewnętrzną, nie miałem sposobności poznać. W towarzystwie jakim się otoczyła moja matka dopatrywałem wprawdzie niektórych śmieszności: konwencyonalność aż do drobiazgowości posunięta była zimną i sztywną, — ale tam krzewiły się zarazem prawość, sławiańskie cnoty, bojaźń boża, i ani cienia tych ujemnych stron zdemoralizowanej społeczności o jakich w niektórych książkach zdarzyło mi się czytać, dopatrzeć nie mogłem. *Traszczoły petersburskie*, wziąłem za wymysł bujnej wyobraźni powieściopisarza, a sądząc z tego co mnie otaczało, przy mojej nieskarzonej duszy i młodem pełnem wiary-sercu, ufałem jak dawniej ludzkości.

„W stolicy naszej znajdują się przeróżne koterye; samoiste te kółka żyjąc wyłącznie we właściwych sobie sferach, oddzielone są jedne od drugich demarkacyjną linią pojęć, wyobrażeń i stanowiska społecznego — jedynem jednak punktem

chwilowego zlania się tych różnorodnych odcieni jest towarzystwo dobroczynności. Damy petersburskie przyjmują bez wyjątku prawie udział czynny w działaniach dobroczynności, i przez to samo sąle zgromadzeń, ochrony i szpitale, bywają miejscami zbizania się różnorodnych społecznych pierwiastków. W zakładach miłosierdziu publicznemu poświęconych jedynie, widzieć można arystokratkę rodową siedzącą obok bogatej, lecz prostej wychowaniem kupcowej, żonę bankiera zbierającą składki razem z freiliną dworu; zbliżenie to jednak chwilowe, wywołane obowiązkami ludzkości, ustaje po za progiem zakładów dobroczynnych lub szpitali, a każda z protektorek ukończywszy przeznaczone zadanie, powraca do właściwej sobie koteryi.

„Sfera w której żyliśmy, nazwana żartobliwie przez inne: „panteonem mumii starożytnych,“ jeszcze więcej wyłączała się od drugich. Dla tych resztek ubiegłej przeszłości, nie tylko kwestya zacności rodu i hierarchii urzędowej była powodem do bezwzględного odsunięcia się: poważne matrony i wyżsi służby rządowej dygnitarze składający owe kółko, odosobnili się i od reszty arystokratycznego towarzystwa dla tego, że ono było podług ich zdania zbyt płochem, zbyt francuzkimi ideami przejętem, zbyt tolerującym lekkość obyczajów.

„Znakomitość rodu, położenie towarzyskie i milionowy majątek mojej matki sprawił, że zaraz w pierwszych chwilach pobytu naszego w stolicy, główny komitet dobroczynności wezwał ją urzędownie do uczestniczenia w sprawach miłosierdzia. Mianowano ją protektorką, opiekunką, — dano dozór nad kilkoma salami i ochronami, a ona przejęta chrześcijańskimi cnotami, wszystkie niemal wolne od interesów i obowiązków towarzyskich chwile poświęcała tém nowym zajęciom.

„Dzienne dyżury w zakładach podzielała często z niejaką Anastazyą Mikołajewną Diergunową.

„Anastazyja Mikołajewna Diergunowa, wdowa po znakomitym obywatelu ziemskim, nienależała jednak do kółka w którym żyła moja matka: jój charakter i upodobania nie pozwalały na to. Tam była tylko przeszłość zastygła

ona zaś choć nie pierwszej już młodości, lubiła nade wszystko obecną chwilę. Wielki świat stolicy ze swoim ruchem, zbytkami, blaskiem, codziennym wirem, miał dla niej niewypowiedziany urok. Była to kobieta lat czterdziestu, a może i więcej, lecz przy nadzwyczajnej staranności w toalecie, talentach pierwszych szwaczek i fryzyerów, wyglądała daleko młodziej. Rysy miała regularne, głos miły i dźwięczny, a nade wszystko posiadała niezwykle dar ujęcia każdego kogo względy zaskarbić sobie pragnęła. Żyła wystawnie i bogato, przyjmowała u siebie najbardziej dystygowane osoby i była pobożną w miarę, jak wielkie damy być umięją. Obowiązki miłosierdzia wypełniała akuratnie, poświęcając zawsze dla dyżuru w ochronach najwięcej uczęszczane koncerty i najmodniejsze literackie poranki.

„Mówiono, że posiadała znaczne dobra po mężu w Gubernii Razańskiej — a dochody z nich musiały być znaczne bo sobie niczego na utrzymanie wystawnego życia nie żałowała. Krążyły o niej różne nieprzychylnie pogłoski, ale wieści podobne nie poparte żadnym faktem, były pozbawione wszelkiego znaczenia. Złośliwi ludzie szeptali pokątnie, że usidliwszy potęgą swych wdzięków podstarzałego magnata i wyszedłszy za niego, umiała następnie zawojować kompletnie ujarzmionego małżonka i stać się samowładną panią milionowej fortuny, którą w krótkim przeciągu czasu roztrwoniła na zbytki, stroje i podróże za granicą; dodawano, że nieszczęśliwy ten mąż relegowany na wieczną klauzurę w ustroni wiejskiej, gdy pani błyszczała jako gwiazda pierwszego rzędu na wielkim świecie, umarł tam upadły moralnie, znikczemiony i rozpity. Wszystkie owe szczegóły, bardziej niechętni ubarwiali jeszcze swojego pomysłu dodatkami, w które był wmieszany jakiś młody sekretarz ambasady rossyjskiej w Paryżu, a nawet (do czego to niedochodzi złość ludzka) i jeden z filarów petersburskiej sceny.

„Do wszystkich tych pogłosek nie można było przywiązywać najmniejszej wiary, Anastazyja bowiem Mikołajewna liczyła tylu nieprzyjaciół ilu zwolowników, tak że każdy fakt jej życia tłumaczony był na dobre lub na złe, stosownie do tego z jakich ust objaśnienie wychodziło. Najlepszym

dowodem tej zmienności sądów ludzkich było zdanie o postępowaniu jej z jedynaczką córką, którą wychowując w domu, nigdzie w towarzystwie nie pokazywała. Niechętni twierdzili, że to jest zawiść przekwitłej piękności, która z obawy aby nie być zaćmioną urokiem wdzięków własnego dziecka, ukrywa starannie przed światem i skazuje na nudy samotności biedne dziewczę, — przyjaciele zaś brali gorąco jej stronę dowodząc, że nie mogła lepiej uczynić jak opóźnić chwilę wprowadzenia w świat młodzietki panienki, nieledwie dziecka, dla której książka stosowniejszem była zajęciem aniżeli bale, rozrywki wielkiego świata i stroje. Byli nawet i tacy, którzy zapewniali, że ta córka upośledzoną jest od natury jakimś defektem fizycznym.

„Ale to wszystko były tylko przypuszczenia, nikt bowiem z osób najczęściej bywających u Anastazyi Mikołajewnej, jej córki nie widział; niewiedziiano nawet dokładnie ile ma lat, czy jest piękną, czyli też brzydką, a gdy czasem jaki mniej dyskretny gość zapytał o Paraskowię Iwanównę (tak bowiem z ojca nazywano to dziewczę), matka odpowiadała nieodmienne: „siedzi nad swoją chrestomatyją, uczy się historyi Ustriełowa; niech się kształci—tego wieku panienek nie należy odrywać od nauk.“

„Czasami zjawiała się na krótko w salonie, stara guwernantka, „mademoisele Julie“, ale wkrótce po swoim przybyciu znikala cichaczem, śpiesząc się zawsze do swojej: „chere eleve“.

„Moja matka nie należała bynajmniej do liczby osób lubiących zawiązywać bliższe stosunki znajomości z obcymi, owszem, posiadała ona dar utrzymania wszystkich w stosownej odległości, nieubliżając nikomu niegrzecznym obejściem się, ani też nie odstręczając od siebie zimną i dumną powierchownością. Umiała ona obudzać uszanowanie nie wiedząc nawet o tem. Stosunki jej z Anastazyją Mikołajewną były częste, codziennie niemal; widywała się z nią w zakładach jej pieczy powierzonych, a ta ostatnia przejeżdżała niekiedy zasięgnąć instrukcyi w sprawach miłosierdzia dotyczących, ale po za tym obrębem, nie miała nigdy nic wspólnego z panią Diergunową.

„Ja w owym czasie tęskniąc cokolwiek do naszego wiejskiego ustronia, do moich samotnych na wsi przechadzek, do moich przyjaciół leśnych, ptaszków — poświęcałem się naukom przyrodzonym, i zakupiwszy odpowiednie książki, przepędzałem wszystkie wolne od obowiązków towarzyskich chwile, studiując w teorii życie i obyczaje moich ulubieńców. Ażeby jak najmniej rozłączać się z matką, która dla mnie stanowiła część mojej własnej istoty, siadywałem najczęściej z książkami w jej pokoju. Tym sposobem miałem niekiedy sposobności widywania Anastazyi Mikołajewnej.

„Dotychczasowy sposób życia, domowe wychowanie, przyzwyczajenia nareszcie moje, nie mogły uczynić ze mnie obserwatora; zresztą gdybym nawet posiadał dar studiowania charakterów, to rozmowy których byłem świadkiem, dotykając wyłącznie interesów towarzystwa dobroczynności, niczegoby mnie nie nauczyły. Zajęty swoim przedmiotem nie uważałem na słowa, które przelatywały mimo moich uszów, jako dźwięk nieokreślony — ale dźwięk ten mimowolnie utkwił w mojej pamięci.

„Pani Diergunowa posiadała głos niewypowiedzianie harmonijny. Gdy mówiła zdało się słyszeć jakieś dalekie, nadziemskie akorda, brzmiące seraficzną pieśnią. Kto raz usłyszał ten głos muzyczny, nie był w stanie nigdy o nim zapomnieć. Spojrzenie także tej kobiety słodkie, a zarazem bystre i przejmujące, miało w sobie coś magnetycznego, a pomimo tego nie była to bynajmniej osoba sympatyczna. Od niej wiał chłód jakiś, jej widok ogarniał uczuciem niczem nie dającej się wytłumaczyć trwogi — przyciągając odpychała zarazem. Takie przynajmniej na mnie uczyniła ona wrażenie: patrzyłem na nią ze strachem, słuchałem z upodobaniem — czułem, że wszystko w niej jest mi przeciwnem, a jednakże gdy jej kareta zatrzymała się przed bramą hotelu, w którym mieszkaliśmy, nie wychodziłem z salonu.

„Moja Matka ani z charakteru, ani też z wieku swojego nie była skłonna do łatwego przejmowania zewnętrznych wrażeń, a przecież wpływ tej zupełnie dla niej obcej osoby mimowolnie i niepostrzeżenie prawie oddziaływał na nią. Co więcej pociąg owę niewytłumaczoną sympatią, nie był jak

u mnie oziębionym instynktowym wstrętem do osoby. Lubiła ją niechcąc się przyznać do tego. Zauważyłem kilka razy, iż gdy nadchodziła godzina, w której Anastazyja Mikołajewna zwykła była przyjeżdżać dla zdania relacji o uskuteczniionych przez nią czynnościach, lub zasięgnięciu nowych instrukcyi, wzrok mojej matki zwracał się ku drzwiom jakoby w niecierpliwości oczekiwania; dostrzegłem także w rysach jej wyraz ukontentowania, gdy w drzwiach salonu ukazała się postać pani Diergunowej.

„Są w naturze zagadki dotąd niewytłumaczone. Do rzędu takich należy ów wpływ tajemniczy, jaki niektóre osoby wywierają na wszystko co je otacza. Wpływ podobny nieokreślony, bezwiedny, nieoparty na żadnym stałym uczuciu, wyradza się sam przez się bez żadnego wiadomego powodu. Bywają nawet przypadki, że głos rozsądku stara się oziębić owe niewytłumaczone porwy serca, ale zawsze napróżno: nieprzeparty pociąg silniejszym jest jak wszelkie rezonowanie. Nie jest to uczucie, nie jest to również sympatya, gdyż częstokroć nieznamy nawet charakteru osoby wywierającej na nas to wrażenie, a jednak mimowolnie poddajemy się jej wpływowi. Prostuduszni ojcowie nasi nazywali to oczarowaniem, urokiem — my zaś pragnący nadawać wszystkiemu bardziej odpowiednie duchowi czasu określenia, mianujemy tę zagadkową i nieokreśloną chęć zbliżenia się magnetyzmem, ale nikt z nas nie jest w stanie objaśnić, ani powodu, ani też czynników tego wrażenia.

„Powoli i nieznacznie pani Diergunowa z obcej i nieznaną prawie osoby, przeszła na stanowisko zwykłej światowej znajomości, a następnie ta prosta znajomość przemieniła się w życzliwą poufałość. Wszystko to przyszło niepostrzeżenie. Moja matka tak przywykła stopniowo do jej towarzystwa, że w końcu już i obejść się bez niego nie mogła, zanedbując dawniejsze swoje otoczenie. Wyznać należy iż tak zwane „zabytki przeszłości,“ nie bardzo lubiły tę przedstawicielkę obecnych czasów, ona zaś wiedząc o tém, tak się zawsze urządziła, żeby ich jaknajrzadziej spotykać. Jeżeli kiedykolwiek która z dam należąca do wyżej wzmiankowanej koteryi, zdawała się dziwić jej częstej u nas obecności,

moja matka brała zawsze gorąco jęj stronę, nazywając objawioną niechęć niczém niedającym usprawiedliwić się uprzedzeniem. I w samęj rzeczy mogło to być rzeczywiście uprzedzenie. Na Anastazyę Mikołajewnę mówiono to i owo, ale jestże na świecie osoba któraby nie dotknęły złe języki? Wszystko co o nięj powtarzauo było tylko nieuzasadnioną pogłoską, nieokreśloną wieścią, częmsiś nie dającym się ująć—faktu jednak żadnego, na poparcie swęj niechęci nikt nie był w stanie przytoczyć. A te same poważne panie, dumne chłodem który wiał z ich przestarzałych salonów, czyliż były wolnemi od zawiści i potwarzy wtedy gdy im się jeszcze ruchliwe i błyskotliwe życie stolicy uśmiechało? Kobięta, któręj nie lubiły bez powodu, należała przecięż i stosunkami swęmi i położeniem do piérwszych warstw społeczeństwa, ale że przekładała gwar balów i zabaw, wir życia, od zastygniętej i nudnej powagi, to nie było jęj winą, ale wpływem charakteru i usposobienia. Nie można jęj tęż było zarzucić żadnego z tych błędów którym świat nie przywykł pobbłażać: tyle pociągająca jęj wesołość, nie wychodziła nigdy z granic najlepszego tonu—niechętnych sobie umiała skarcic jedném spojrzeniem, jedném w porę wyrzeczonym słówkiem, bez użycia sarkazmu. O sobie bardzo mało mówić lubiła, i to tylko wtedy gdy tego konieczna wypadła potrzeba. Nabożna i miłosierna, umiała się tak urządzić, iż wiadomość o jęj dobrych uczynkach, dochodziła zawsze bezpośrednio do wszystkich niby przypadkiem, bez jęj wiedzy i woli. Gdy wyrwała z nędzy jaką biędną rodzinę, lub uratowała od zguby jaką ubogą lecz poczciwą dziewicę, pół Petersburga o tēm wiedziało w skutku niedyskrecyi kamerdynera francuza, lub gadatliwosci panny służącęj. Ona sama nie tylko nigdy o tēm niewspomniała, lecz zdawała się być nader niezadowoloną tyle niepotrzebnym rozgłosem, twierdząc i słusznie, że w wykonywaniu obowiązków chrześcijańskich, lewica nie powinna wiedzic o tēm co czyni prawica.

„Przyszło do tego, że i jeden dzień nie przeszedł w którymby ona u nas, albo tęż my u nięj nie gościli. Żyła z wielkim komfortem w jednym z wspanialszych domów na

Newskim prospekie. Umeblowanie salonów, służba, przyjęcie — wszystko było odpowiedniem do stanowiska jakie zajmowała w stolicy. Samo z siebie wypływa, że stosunki bliższe jak zwykłej światowej znajomości w których zostawaliśmy, dawały nam sposobność widywania częstego jęj córeczki, ukrywanęj przed światem niezawodnie tylko w skutku przyjętego systematu wychowania. Panięta ta nie była ani żadnym defektem cielesnym upośledzoną jak twierdzili jedni, ani cudem piękności zamykanym starannie przez zazdrosną o resztę swych wdzięków matkę, jak głosili drudzy. Była to sobie dziewczynka mnięj więcęj lat szesnastu chuda, blada, mizerna, i przez to samo wyglądająca na daleko młodszą — na dziecko prawie. Była ona jak wszystkie prawie dorastające paniętki, bojaźliwa, nieśmiała, trochę niezgrabna, i odpowiadająca na wszystko: „Oui Monsieur!“ Anastazyę Mikołajewną coraz częścicęj brała ją ze sobą gdy do nas przyjeżdżała, mówiąc że Pasza (tak nazywała zdrobniacie swoję córkę), szczerze moję matkę pokochała. Musiało to być prawdą, bo dziewczę formalnie Ignęło do mojęj matki.

„Gdy dziś po upływie lat tylu pomyślę o tym peryodzie mego życia, który był przedwstępem do całego szeregu odczarowań, goryczy i nieszczęść, widzę że choć wszystko szło wtedy zwyczajnym trybem, instynkt jakiś nieokreślony, kazał mi w atmosferze która nas otaczała przeczuwać utajone niebezpieczeństwa. Wpływ jaki pani Diergunowa na mnie wywierała był tylko chwilowym: po jęj oddaleniu się wrażenie to ustępowało miejsca nieufności. A przecięż do tego nie miałem najmniejszego powodu; widząc zaś jaką przyjemność znajduje moja matka w jęj towarzystwie, wyrzucałem sobie wspomniane uczucie jako niewdzięczność. Córeczka jęj Pasza tak niewiele zawsze zajmowała miejsca, że na nią nigdy najmniejszęj nie zwracałem uwagi: najczęścicęj przysiadowała ona do mojęj matki i zdawała się z natężoną uwagą słuchać każdego słowa, jakie z ust jęj wychodziło. Moja matka przyciągała ją wtedy do siebie, gładziła po jasno-bład włosach, wijących się w naturalne pukle, i serdecznie całowała.

„Interesa które powołały nas do stolicy szczęśliwie ukończonemi zostały. Nie było żadnego powodu zatrzymywania się dłużej, tym bardziej że obowiązki gospodarstwa wiejskiego, a więc i jeszcze chorzy, biędni, i cały ogółem los włóścian, przywykłych do gorliwej opieki swojej ukochanej pani, mógłby na tém ucierpieć. Ale znowu z drugiej strony trudno było mojej matce rozłączyć się z Anastazyą Mikołajewną, której towarzystwo stało się dla niej niemal potrzebą życia, i z Paszą, którą pokochała jak własną córkę. Pani Diergunowa jakgdyby odgadując to życzenie, ofiarowała się towarzyszyć nam. Moja matka przyjęła ofiarę z najwyższą wdzięcznością, umiając ocenić ile było poświęcenia ze strony osoby przywykłej do zabaw i otoczenia wielkiego świata, która dla niej nie wahała się zamienić ruch stolicy na ciszę wiejskiego ustronia. Co się tycze Paszy, ta rozplakała się z radości.

„Opuściliśmy więc wszyscy Petersburg, z wyjątkiem starej guwernantki francuzki, pozostałej na miejscu. Po przybyciu naszym na wieś, powróciłem do kontemplacyjnego życia, do moich samotnych przechadzek, które zawsze posiadały tyle dla mnie uroku, i przez to samo mniej jeszcze jak w stolicy, miałem sposobność znajdowania się w towarzystwie naszych gości. Anastazyą Mikołajewną, od pierwszej chwili swego przyjazdu, urządziła się tak, żeby jej obecność nie była nikomu natrętną. Zajęta rączkami robotami mającemi uposażyć miejscową ochronę ubogich dziełeczek, pozostawiła swojej przyjaciółce zupełną swobodę. Widząc ją oddającą się z takim zadowoleniem owym zatrudnieniom, niktby nie sądził, że kiedykolwiekby lubiła podróże, bale i liczne towarzystwa stolicy, tak naturalnie, swobodnie i bez żadnego przymusu przejęła się wszelkimi zwyczajami naszego otoczenia. Wszyscy domownicy byli nią zachwyceni: nawet stary major, dosyć zwykle oziębły z mało sobie znanymi osobami, nie mógł się dosyć jej nachwalić. Pasza nieopuszczała prawie mej matki, towarzysząc jej we wszystkich wycieczkach, i zdawała się najszczęśliwszą, gdy z nią była razem. Na dziewczętko to nigdy nie zwracałem uwagi—czyż bowiem mogło obchodzić dorosłego młodzieńca, zwłaszcza

z mojemu usposobieniami, dziecko nie zajmujące jeszcze żadnego miejsca w towarzystwie. Kilka razy dla zrobienia przyjemności mojej matce, przywoziłem jej z pobliskiego miasteczka małe podarunki, które ona przyjęła wywdzięczając się pensyonarskim dygnięciem, i wyszeptawszy zaledwie dosłyszonym głosem: „Merci Monsieur!“

„I tak upływały tygodnie i miesiące nieprzynosząc żadnej zmiany w naszym codziennym życiu. Kilka razy pani Diergunowa wspominała o wyjeździe z obawy, jak mówiła, ażeby jej przedłużona bytność nie stała się natrętną. Ale widocznie było to tylko formą: ona bowiem wiedziała ile jest potrzebną; sama zaś zdawała się być nader zadowoloną z tego sposobu życia. Stosunki jej z moją matką doszły do tego stopnia przyjaznej poufałości, iż zauważałem pomiędzy niemi jakieś tajemnice do których mnie moja matka, nie mająca dotąd zwyczaju żadnej swjej myśli przed synem swoim ukrywać, nie przypuszczała. Kilkakrotnie szeptały półgłosem spoglądając na mnie; innym znów razem zaczęta rozmowa ustała nagle po mojem wejściu. Byłem tém dotkniętym, lecz przywyklszy ulegać woli tej która mnie tyle kochała, starałem się ukryć wrażenie doznanej przykrości.

„Bardzo często się zdarza, iż cisza panująca w przyrodzie ukrywa wśród spokoju swojego straszne i gwałtowne przemiany. Niebo jest jasne, pogodne—żadna chmurka nie zaciemnia widnokregu: nagle podnosi się gwałtowny wichur, pędząc przed sobą tysiące złowrogich chmur, w których czarnym łonie utajony grom, uderza w pierś oddychającą przed chwilą jeszcze rozkoszą i nadzieją. To samo dzieje się i w życiu ludzkim. Od najpięwszych dni dzieciennego wieku nieznałem co to jest nieszczęście—niestety! miało ono spaść na mnie równie nagle jak niespodziewanie.

„Nigdy niezapomnę tej chwili. Była wiosna. Jaśniał jeden z tych dni w których wszystkie twory przyrody rozbudzając się z zimnego odrętwienia, upajają duszę człowieka niewysłowionem uczuciem szczęścia; korzystając z pięknej pogody, udałem się do pobliskiego lasku w celu użycia samotnej przechadzki. Pani Diergunowa z córką zostały w salonie—matka moja zajęta codziennymi zatrudnieniami była

w swoim pokoju. Nieprzeczuwając jak się zwykle dzieje w podobnych razach strasznego ciosu, jaki miał we mnie za chwilę ugodzić, oddychałem pełną piersią ożyweź powietrzem wiosny, słuchałem pienia ptasząt, a myśl moja bujała gdzieś daleko w krainie marzeń.

„Stary sługa stający niespodzianie przedemną, przerwał tę błogą złudę rozkoszy.

„Był on blady, strwożony, wylękły.

— Nasza kochana pani—chora.... wyjęknął.

„Dźwięk głosu uderzył uszy moje, słów zrozumieć nie mogłem. Przed chwilą widziałem moją matkę uśmiechniętą, wesołą, szczęśliwą. Jeżeli kiedykolwiek, dawniej jeszcze, jaki cień przebiegł przez złote moje marzenia, to on zawsze przedstawiał się jako coś niepewnego, nieokreślonego: szczęśliwy nie rozumiałem nieszczęścia.

„Nie pojmując tego co mnie za chwilę czekało, zaniepokojony tylko wieścią o chorobie matki, pobiegłem do domu.

„Leżała na łóżku blada, nieruchoma, bez przytomności. Pani Diergunowa podtrzymywała jęj głowę na poduszce—Pasza zanosila się od płaczu.

„Z krzykiem przerażenia poskoczyłem ku nięj.

„Pani Diergunowa dała mi znak milczenia.

— Stałości, meztwa,—rzekła: — może to wszystko przeminie; nie trzeba trwożyć się zawczasu. Co tylko należało uczynić, zrobiono: chora przyjęła domowe orzeźwiające środki. Po doktora posłałam, za chwilę tu będzie....

— Boże mój, Boże!... cóż się tu stało?—wyjąknąłem.

— Chwilowe osłabienie: przechodząc przez pokój zbladła, zachwiała się i zemdlała.... na szczęście byłam blisko nięj wraz z moją córką.

„Spojrzałem z wdzięcznością na przyjaciółkę matki, i na Paszę, która przyciskając do ust zdrtwiałe dłonie choręj, szeptała półgłosem.

— Ah ja ją tak kocham—tak bardzo kocham!

„Te dwie istoty zdawały mi się być aniołami opiekuńczymi, zesłanymi z nieba dla wybawienia mnie z nieszczęścia.

„Moja matka tymczasem otworzyła oczy.

— Synu! Paszo! jesteście tu... to dobrze. Nie wiem co mi się stało — czuję jakiś silny ból serca, którego dawniej nigdy nie doświadczałam.

— Kochana, droga pani, — przerwie nieodstępna jęj towarzyska — bądź spokojną, nietrudź się napróżno — my jesteśmy około ciebie.

— O ja wiem, że wy mnie prawdziwie kochacie: mój syn, Pasza i ty.... Anastazyo!

„Pierwszy raz w życiu nazwała ją po imieniu — niewiedzialem wtedy, że to miało być po raz ostatni!

„Turkot kół zajeżdżającego powozu przerwał tę smutną rozmowę.

„W tęj chwili wszedł do pokoju doktor.

„Będęz wam opisywał te chwile w których każda minuta jest niewypowiedzianym bólem, każda sekunda okropną katuszą, a które nam się zdają jeszcze zbyt prędko uchodzić....

„Doktor zadeklarował aneurizm serca.

„Po użyciu wszelkich odpowiednich środków, gdy straszna prawda stanęła po raz pierwszy przed moimi oczami, chora oddaliwszy skinieniem ręki domowników i doktora, zażądała ze mną chwili rozmowy.

„Dotychczasowa jęj towarzyska chciała wyjść wraz z innemi.

— Zostań! — wyjęknęła słabym głosem moja matka— i ty Paszo nie opuszczaj mnie. To co mam powiedzieć, ciebie głównie dotyczy.

„Gdy już oprócz nas trojga nikogo w pokoju nie było, umierająca ująwszy dłoń moją, rzekła:

— Synu, byłeś dla mnie wszystkim w tęp życiu: pocięchą, szczęściem i przyszłością; opuszczając cię nazawsze żądam od ciebie ostatniego dowodu przywiązania.... bądź mężem tęp, którą kochałam jak własną córkę.... przyrzekasz mi to, wszak prawda?

„Dla mnie nie istniały wtedy myśli, pojęcia, wrażenia— przygnębiony, zospaczony, nie widzialem nic przed sobą oprócz konającęj matki, nie słyszałem nic oprócz jęj głosu....

„Przyrzekłem machinalnie, nie wiedząc nawet czego odemnie żądano.

„Na jej wybladłej cierpieniem twarzy, ukazał się uśmiech zadowolenia i szczęścia: połączyła nasze ręce i wyszeptowała z wysileniem:

— Dzięki ci synu—teraz umieram spokojnie, bo się wypełnia to czegoś sobie tyle życzyła. Dzieci moje, bądźcie szczęśliwymi....

„Uczułem konwulsyjne ściśnięcie dłoni, jakiś szept, jakiś jęk—i nic więcej....

„Straciłem przytomność.

„Cios który we mnie uderzył był tak nagłym, tak niespodziewanym, iż zachwiał całą moją istotą. Sądziłem że nie zdołam przeżyć tej, która była mi wszystkim na tym świecie.... Nie pamiętam niczego: ani licznego zjazdu obywateli, ani pogrzebu, ani następujących potem dni. Leżałem w malignie, a doktor przybyły w czasie ostatnich chwil życia mej matki, nieopuszczał domu.

„Młodość i siły żywotne zwyciężyły chorobę. Ah! czemuż nie zabiło mnie wtedy cierpienie!

„Ale nie uprzedzajmy wypadków. Gdy przyszedł do przytomności, ujrzałem się otoczony pieczołowitością i staraniami Pani Diergunowej. Chodzono na palcach, uprzedzono każde me życzenie, starano się oddalić od myśli mojej wszelkie szkodliwe wpływy; jedném słowem, czyniono wszystko cokolwiek stan niebezpieczny w jakim się znajdowałem, wymagał. Przyjaciółka mej matki z rzadkim taktém umiała sobie postępować. Nie narzucała się nigdy z błahemi słowami pociechy, które w podobnych razach powiększają jeszcze boleść; owszem przeciwnie, rozwodziła się nad cnotami, nad anielskim charakterem zmarłej, a płacząc razem zemną przynosiła ulgę mojemu cierpieniu. Nieustrudzona, niewyczerpana w sposobach zajęcia chorego i osłabionego mojego umysłu, była zawsze przy mnie wtedy gdy zwątpienie, gdy tajona rozpacz zaczynały brać górę nad chrześciańskim poddaniem się wyrokowi opatrności, i zawsze umiała wlać w duszę moją, jeżeli nie spokój bezwzględny, to przynajmniej chwilowe umocnienie. Poddając

się temu kierunkowi, uczułem dla niej prawdziwą wdzięczność za moralną opiekę, a uprzedzenia jakie do jej osoby dawniej żywiłem, nigdy wówczas nie powstały w mej duszy.

„Jej córka ani razu nie ukazała się w moim pokoju. Ta istota tak mało zajmowała miejsca w mém życiu, że nieobecność jej z początku przeszła dla mnie niepostrzeżenie. Czasami słowa konającej matki stawały mi na myśli, ale osłabiony chorobą brałem je za wynik złudy wyobraźni; dopiero z czasem gdy nadwerżone siły stopniowo powracać zaczęły, pojąłem że przyszłość moja na nową ma wejść drogę. Nigdy jednak nie zgłębiałem swojego położenia, ani też zastanawiałem się nad losem jaki mi ta przewidziana zmiana zgotować może. Odrętwiały, przygnieciony nieszczęściem, żyłem z dnia na dzień, nie rachując się z tém co potem nastąpi. Zresztą owa przyszłość wydawała mi się być nader odległą: nieznając dokładnie wieku Paszy, uważałem ją zawsze za niedorośle dziecko.

„Po upływie dwóch lub trzech tygodni, opuściłem pierwszy raz mój pokój. Pani Diergunowa wszystkim w domu zajmująca się, przekształciła prawie niedopoznania wewnętrzny rozkład mieszkania. Począwszy od rozmieszczenia mebli, aż do przeistoczenia oddzielnych części pałacu, każda rzecz uległa bezwarunkowej zmianie; tym sposobem pierwsze moje wrażenie nie było tyle bolesném. Zewnętrzne przedmioty wywierają zwykle bezpośredni wpływ na nasze usposobienie: owi niemi towarzysze chwil szczęścia, stają po zgonie drogiej sercu istoty jako świadkowie tego co już nigdy nie wróci, i drażnią swoim widokiem nie zabliźnione rany. Ona z właściwym taktém umiała tę pierwszą, a często tak dotkliwą przykrość usunąć odemnie.

„Oparty na jej ręku wszedłem do salonu, który dawniej stanowił część domu niezamieszkaną i bardzo mało uczęszczaną.

„Po chwili wbiegła jej córka, i przybliżywszy się do mnie wyszeptwała półgłosem jeden z tych zwykłych frazesów, jakimi się wita chorych powracających do zdrowia.

„Powiedziała to wszystko tonem prostego, codziennego pozdrowienia.

„Spojrzałem po raz pierwszy na nią uważniej.

„Na twarzyczce jój bladłej, o dziecinnych prawie rysach, nie było widać ani owego, tyle naturalnego zakłopotania panienki znajdującej się nagle w obecności tego, z którym los swój ma połączyć, ani tajnego uczucia, ani łatwój w podobnych razach do pojęcia obawy. Wbiegła w poskokach, usiadła przy mnie. a cała jój uwaga zwróconą została na pęk kwiatów trzymany w dłoniach, z którego układała bukiety.

„Jój matka po niejakiem czasie obojętnój rozmowy powstała ze swego miejsca, a tłumacząc się koniecznością niektórych domowych zajęć potrzebujących jój obecności, dodała:

— Zostawiam was moje dzieci ze sobą. Narzeczonym należy bliżej poznać się.

„Jakkolwiek wyrazy te odpowiadały zobopólnemu naszemu położeniu, przecież dotknęły mnie one do żywego. Złożony chorobą, cierpiący, często nieprzytomny, poddawałem się woli przeznaczenia nie wchodząc w szczegóły, nie myśląc o całej doniosłości mającego się spełnić faktu. Święta nazwa dziecka w ustach téj obcej, wydała mi się być bluźnierstwem, słowo „narzeczeni“ obiło się nie mile o uszy moje.

— A pani,—rzekłem,—czy przyzwyczaiłaś się już do téj myśli?

— Do jakiej? — zapytała nieprzerywając układania kwiatów.

— Do myśli połączenia się naszego.

— A...o tém pan mówi? wszakże to rzecz postanowiona. Ot poradź mi pan lepiej co z tą różą robić. Ja sądzę iż na jój miejsce lepiej będzie umieścić te gwoździki, wszak prawda?

„W tym duchu poszła pierwsza rozmowa pomiędzy mną, a moją *narzeczoną*. Przytoczyłem początek jój jako próbkę dającą wyobrazenie o wszystkich innych. Bardzo naturalną powodowany ciekawością, starałem się czasami, jeżeli już nie poznać charakter téj panienki, to przynajmniej zbadać jój gusta, usposobienie, pojęcia; nigdy jednak dokazać tego nie mogłem. Ile razy poruszyłem kwestyę, której rozwinięcie mogło być mi objaśnić, Pasza przemieniała nagle roz-

mwę, zastępując odpowiedź jaką drobnostką, lub dziecinną naiwnością.

„Minęło jeszcze parę tygodni. Smutek po stracie nieocenionój matki, przybrał stopniowo cechy rzewnej tęsknoty; wspomnienie o zmarłej nie wywoływało już we mnie uczuć zwątpienia i rozpączy, ale ową cichą, jednostajną boleść, która następuje zwykle po gwałtownych wstrząśnieniach. Zacząłem powoli przywykać do mojego osierocenia i pojmować, że poddanie się ciosowi, który mnie dotknął jest koniecznym i nieuchronnym. Inna jednakże rzecz była co do postanowionego wołą umierającej matki, zmiany mego losu. Wiedziałem, że to małżeństwo spełnić się musi, ale uważałem je zawsze jako fakt nieokreślony, którego wykonanie kiedyś dopiero nastąpi. Czasami patrząc na drobne dziewczątko biegające po ogrodzie, lub zajmujące się dziecinnymi igraszkami, starałem się wystawić sobie jaką ona będzie w przyszłości, wtedy gdy przybywające lata rozwiją jój charakter, dadzą odpowiednią powagę i wyrobią zdanie. W małej panience o wątłej powierzchowności, pensyonarskich wybrykach, nie podobna mi było nic innego widzieć, jak tylko niodorosłe dziecko, z którego później dopiero wyrobić się miała kobieta.

„Gdy się to działo, pewnego dnia po odejździe kilku osób z sąsiedztwa przybyłych niby z pociechą, a w rzeczy samej dla zaspokojenia zwykłej w podobnych razach ciekawości. — Pani Diergunowa wzięwszy mnie pod rękę i kazawszy córce pozostać w pokoju, obróciła swe kroki w najodleglejszą część ogrodu.

„Była mocno wzruszoną. Usta jój ściśnięte, błyszczące oczy i rumieniec na twarzy, znamionowały ukryty gniew i oburzenie.

„Nie mówiąc ani słowa, wskazała mi obok siebie miejsce na ławeczce.

„Chwilę tak siedzieliśmy w milczeniu; ona trzymanym w rękę parasolikiem kreśliła na piasku różne figury—ja zaś domyślając się, że coś zająć musiało, a nie mogąc odgadnąć co by to być mogło, czekałem objaśnienia.

— Nie, to położenie jest nie do zniesienia, — szepnęła wreszcie półgłosem.

„Sporząłem zdziwiony: twarz jój zalaną była łzami.

— Co pani jest, na Boga... co się stało?

— I pan pytasz się jeszcze? Jakto, czyż nic nie widzisz, czyliż niczego nie słyszałeś? Wszakże byłeś w salonie gdy oni przyjechali.

— Byłem, a odwiedziny te, owe słowa pociechy o które nikt nie prosił, owe ubolewania więcéj etykietalne jak z serca płynące, wydawały mi się jeżeli nie natrętnemi to przynajmniej zbyt zbytecznymi.

— Więcej nic?

— Cóż więcéj dopatrzeć można w zwykłej formie światowej?

— Otóż to właśnie najwięcej mnie boli. Nie mogę spokojnie pomyśleć, że pana tak mało obchodzi honor téj która będzie nosić jego nazwisko.

— Nierozumiem. Córka pani jest jeszcze dzieckiem.

— Skończyła przed wczoraj lat szesnaście. Szesnastoletnia panna nigdy za dziecko uważaną być nie może. Ale nie o to chodzi. W chwili gdy te panie weszły do bawialnych pokoi, widziałem po ich przywitaniu, uśmiechach, pół słówkach, że położenie moje i mojej córki w tym domu, podlega surowej krytyce całego sąsiedztwa. Pan zajęty rozmową ze starym majorem tego wszystkiego nie uważałeś. Nie chcę mu robić wymówek: podobna nieuwaga po tak świeżej stracie jaką poniosłeś jest do przebaczenia — ale czyż panu nigdy na myśl nie przyszło, że ja nie chcąc cię opuścić w tak strasznej chwili, naraziłem swoje ukochane dziecko na potwarz, na obmowę złych ludzi!

„Powiedziałem już wyżej że pani Diergunowa pomimo bezwiednego, nieokreślonego wpływu jaki na mnie wywierała, nie była nigdy dla mnie sympatyczną. W téj chwili, niezasłużona wymówka którą mi tak niesprawiedliwie czyniła, wywołała uśpioną od niejakiego czasu niechęć.

— Wdzięczny niewypowiedzianie pani jestem, odrzekłem, za pozostanie w mym domu, lecz uczyniwszy to z wła-

snój woli, wiedziałas o następstwach. Albo więc należało uniknąć ich przed czasem, albo też przyjąwszy to położenie nie uważać teraz na ludzkie gadania, które w gruncie rzeczy nie zasługują ażeby je brać tak bardzo do serca.

— I pan to mówisz! Ale nie dziwię się bynajmniej: nie żyłeś w świecie, nie możesz więc znać wszystkich skutków chwilowej nieogłędności. Na szczęście ja tu jestem... ja matka—do mnie więc należy zapobiedz jaknajprędzej złemu. Tym łatwiej to przyjdzie, że względy światowe zgadzają się jaknajzupełniej z wyraźnie objawioną wolą mojej nieodzawianej przyjaciółki. Nie mówiłam panu tego w pierwszej chwili—cios jaki nas wszystkich dotknął zbyt był świeżym, ażeby cokolwiek bądź innego postać mogło wówczas w myśli. Teraz sama opinia świata rozwiązuje mi usta. Kilka chwil przedtém nim stanąłeś przy łożu umierającej, ona zakląła mnie na wszystko ażebym cię nigdy nie opuściła, abym starała się zastąpić sierocie bolesną i niepowetowaną stratę. Wiem, dodała, że stosunki takie istnieć nie mogą bez ustalenia ich rodzinnymi węzły, dla tego żądam ażeby małżeństwo o którym dawniej obie marzyliśmy jako o dalekiem wypełnieniu zobopólnych naszych nadziei, nastąpiło niezwłocznie. Takie były jój słowa: zostając tu wypełniłam włożony na mnie obowiązek, reszta do ciebie należy.

„Powiedzcież — cóż mi wówczas czynić wypadło? Miałem prawo znając wolę méj matki co do postanowionego małżeństwa, wątpić że ów krótki obrażający równie synowskie uczucia jak i zwyczaje światowe termin, nie zgadzał się z wyraźnym życzeniem umierającej? Później poznawszy lepiej charakter pani Diergunowej, który wtenczas zaledwie instynktowo przeczuwałem, nabrałem przekonania że to przyspieszenie aktu ślubnego było jój własnem dziełem — w owéj epoce jednak wiedzieć tego nie mogłem.

„Zresztą domowe wychowanie, wiek młody, brak samostności w życiu, uczyniły mnie podległym postronnym okolicznościom. Wola moja przywykła naginać się zawsze do woli téj którą uważałem za część mojej własnej istoty, nie mogła wyrobić samodzielności. To co mnie spotykało uważałem za nieodwołalne przeznaczenie; los postawił na méj

drodze intrygantkę chytrą, przewrotną, działającą tylko w swoich własnych widokach, dziwić się nie można iż taka kobieta zdołała uczynić mnie ślepem narzędziem swoich celów.

„Wszystko co potem nastąpiło przedstawia się w mojej myśli jako sen gorączkowy. Robiono przygotowania, czyniono potrzebne kroki, a ja główny aktor mającego się odegrać dramatu byłem bezczynnym świadkiem, tego co się dokoła mnie działo. Niechcąc w niczem uchybić życzeniom matki, dałem przyzwolenie — więcój téż odemnie nie żądano.

„Jak gdyby odgadując że obrzęd tak wesoly, tyle obiecujący szczęścia w przyszłości, miał być dla mnie prologiem do straszliwej i ohydnej tragedyi, nie zastanawiałem się nad wszystkiem co nastąpić mogło, ale zamknąwszy oczy na to co mnie otaczało, pograżyłem się we wspomnieniach przeszłości, jaka już nigdy wrócić nie miała.

„Czasami starałem się zawiązać rozmowę z moją narzeczoną i zatrzymawszy przebiegającą przez pokój panienkę, chciałem wy badać jęj usposobienia, jęj gusta, poznać jęj myśli, ale działanie podobne nigdy do żadnego nie doprowadziło rezultatu. Pasza słuchała mnie z roztargnieniem, przytakiwała bezwiednie, lub téż przerywała moje uwagi jakim trzpiotowatęm objawem dziecinnego charakteru. Jeżeli matka znajdowała się wtedy przy nas, to zawsze za córkę odpowiadała, kładąc w jęj usta zdania o jakich zapewne proste dziewczę i wyobrażenia nie miało.

„Nadszedł nareszcie dzień ślubu. Zjechało kilka osób z sąsiedztwa, kilku dalszych członków rodziny, i najważniejszy akt życia mego spełnionym został. To czego wówczas doznawałem określić trudno: był to rodzaj gorączkowej niespokojności, tajonego przestachu, nieokreślonego przecucia. Jakiś ciężar gniółł moje piersi, tamował oddech, odejmował zdolności myślenia i zastanawiania się. Podobne uczucie porównać można do wrażenia jakiego doznajemy w przedwstępie gwałtownych zmian atmosfery. Wszystko do koła nas ciche, spokojne milczące; wietrzyk nie porusza liśćmi drzew, nie marszczy powierzchni wód, a jednak

w palacém, duszącém powietrzu, przeczuwamy zbliżającą się burzę...

„W czasie trwania ceremonii kościelnej, stałem nieruchomy obok tęg, któręj za chwilę dozgonną miałem przysiędz wiare; a słowa wyrzeczone przez kapłana, głos organu, poważne religijne pienia, obijały się o moje uszy jako chaos niezrozumiałych dla mnie dźwięków: w chwili gdy wymawiała sakramentalne wyrazy, spojrzalem na nią. W rysach jęj twarzy nie było widać żadnego uczucia, najmniejszego wyrażenia obawy, radości, zakłopotania lub niezadowolenia. Zdawała się być znużoną długością trwania ceremonii, która jęj przeszkadzała oddawać się ulubionęm rozrywkom; mimowolnie rzuciłem wzrok na panią Diergunową — i zadrzałem. W oczach tęg kobiety błyszczał wyraz takięj radości i tryumfu iż pierwszy raz może w życiu zrobiłem sobie zapytanie, czy nie stałem się ofiarą nikizemnej i podstępnej intrygi. Ale myśl ta przelotna przemknęła się tylko przed moim umysłem, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Porwany chaosem nowych dla mnie wrażeń, nie umiałem sobie zdać sprawy z moich wewnętrznych uczuć i obezwładniony moralnie zostawiłem wszystko losowi, niechcąc lub téż nie mogąc zastanawiać się nad tyle nowem i niespodziewanem położeniem.

„Miałem więc żonę którą mi narzucił ślepy traf przeznaczenia. Nie mogłem czuć dla nięj ani miłości, ani przywiązania; równie i zobopólna sympatya, owa życzliwość wypływająca ze zbliżenia myśli nie miała czasu wyrobić się jeszcze, gdyż dozgonna towarzyszka życia mego, była dla mnie obcą i nieznaną.

„Wszystkie wspomnienia, wypadki, począwszy od naglęj śmierci ukochanej matki aż do dnia ślubu przeszły tak szybko, że mi się wydawały być snem gorączkowym; do rzeczywistego życia przebudziłem się wtedy dopiero, gdy los mój był nieodwołalnym.

„Rzeczywistość jednak pojawiła się nader prędko, w naturalnej swojej postaci. Nie potrzeba było długiego czasu ażeby poznać że charakter mojęj żony nie posiadał żadnej podstawy na któręjby można oprzeć przyszłość życia: był

to charakter zupełnie niewyrobiony, złożony z najróżnorodniejszych, nie mających pomiędzy sobą żadnego związku, pierwiastków. Rozpieszczone to i kapryśne dziecko, nie pozbawione było wprawdzie instynktów dobrego, ale te instynkta tłumione ciągle postronkami wpływami, a więc jeszcze brakiem wszelkiego poczucia, co należy a czego nie należy czynić, nie mogły rozwinąć się dostatecznie. Nie było w niej nic stałego: żadnej myśli, żadnego postanowienia, któreby natychmiast w miarę nasuwających się wrażeń nie uległo bezwarunkowej zmianie. Nie miała ona żadnego przekonania: każda myśl, wrażenie, czyn, wyradzały się z chwilowego kaprysu, i nikły bezpowrotnie ażeby być zastąpionymi wprost przeciwnymi objawami. Zapłakana nad śmiercią ulubionego ptaszka, okazywała jednocześnie brak litości nad nieszczęściem bliźniego; pobłażliwa i łagodna w obejściu ze służącymi, stawiała się za chwilę względem nich despotyczną i niesprawiedliwą. Były dni w których modliła się gorąco do Boga, były i takie w których zdawała się nie mieć żadnego religijnego poczucia. W stosunkach ze mną te kontrasta stawały się jeszcze więcej raziącymi: raz potulna i pieściotliwa dawała nadzieję błogiej przyszłości, znów rozszalona z zaiskrzonymi oczami, zaczerwienioną od gniewu twarzą, przerażała swą gwałtownością. Owe wybuchy następowały zazwyczaj, gdy cokolwiek bądź nie stało się podług jej woli; czasem jednak miały miejsce bez żadnej pozorniej przyczyny. Budząc się z rana niewiedziałem nigdy jaki dzień dla mnie zawita: pogodny lub burzliwy, gdyż zmiana jej usposobienia była zawsze równie nagłą, jak niespodziewaną. Czasami starałem się łagodną przyjacielską perswazją, zwrócić ją na drogę zastanowienia, przedstawiając potrzebę jakiegokolwiek zajęcia któreby było odpowiedniem nowym obowiązkiem i położeniu towarzyskiemu, ale uwagi moje nie wywierały na nią żadnego wpływu. Jeżeli trafilem na chwilę dobrego humoru, to jest chwilę pustoty i dziecinnych wybryków, nie przerywała mi, ale widocznym było że niesłuchając słów które mówiłem, goniła myślą za jakim ptaszkiem, zabawą, przedsięwziętym figlem; gorzej nierównie wypadło jeżeli chęć moja

naprowadzenia ją na właściwą drogę przypadła w czasie rozdrażnienia: ta mała, drobna istota przemieniała się wtedy w piekielną furyę.

„Wkrótce poznałem także iż wychowanie jej zupełnie było zaniedbanem. Od dziecinnych lat pozostawiona wyłącznie kierunkowi guwernantek, które niechcąc narazić się matce ulegały wszystkim kaprysom rozpieszczonego dziecka, niczego się prawie nie nauczyła, o niczym wyobrażenia nie miała; tak, że gruba jej nieświadomość w rzeczach powszechnie znanych była prawdziwie raziącą.

„Jakkolwiek przeistoczenie podobnego usposobienia, przy mojem zwłaszcza niedoświadczeniu, było rzeczą prawie niepodobną — mam jednakże pewność że małżeństwo zawarte w tak dziwnych warunkach nie zapewniając szczęścia i spokoju, mogłoby przetrwać lata gdyby ciągły wpływ pani Diergunowej, nie oddziaływał szkodliwie na moją żonę.

„Po upływie niejakiego czasu przekonałem się iż źródłem wszystkiego złego od samego początku, była ta kobieta. Ona to oświadczywszy umysłem mojej matki, doprowadziła do skutku tyle nieodpowiedni związek, ona nareszcie dopiąwszy swego zadania, postanowiła dokończyć rozpoczęte dzieło odjęciem mi woli, i pod imieniem córki rozrządzać ogromnym moim majątkiem, jedynym celu jej zabiegów. Bez niej Pasza pozostałaby tylko zepsutem i rozpieszczonym dzieckiem, a może nawet z czasem drogą dobroci i łagodności, doszłaby powoli do zmiękczenia szorstkich stron swojego charakteru.

„Tymczasem od pierwszej chwili zaczęło się owe ciche, jednostajne systematyczne działanie, którego celem było zagarnięcie wszelkiej domowej władzy. Nie odgadując podstępnie nie myślałem o oporze. Moja żona wyuczona przez swoją matkę, która na pozór trzymała się ściślejszej neutralności, opanowywała stopniowo moją wolę, czynności i zajęcia. Dla pozyskania spokoju, ustępowałem — każde zaś ustępstwo moje wyradzało nowe wymagania. Czasami pani Diergunowa wspominała o wyjeździe, ale sama wzmianka rozstania, wywoływała wybuchy rozpacz u przywiązanej córki: niepodobna było narażać zdrowie a nawet życie uko-

chanego dziecka. Doszło do tego iż stałem się we własnym domu gościem, osobą na którą nikt nie zwracał uwagi. Poznawszy rolę jaką mi dano, nie miałem już siły do prowadzenia walki. Zostawając od najmłodszych lat pod czułą opieką matki, nie zdołałem wyrobić w sobie owęj energii charakteru, tyle zwłaszcza potrzebnej w podobnych okolicznościach. Czuję swoje nieszczęsne położenie, cierpiałem, a nie znalazłem środka, do wydobycia się z niewoli, w jaką mnie tyle przewrotna kobieta i godna jej uczennica wprzągły. Jedyłą moją rozrywką, jedynym sposobem zapomnienia choć na chwilę smutnego losu, było powrócenie do pierwotnych zajęć i upodobań: oddałem się więc im zupełnie.

„Wśród obszernych pól, w cienistym gaju lub w najciemniejszych zakątkach angielskiego parku, przepędzałem godziny, dni całe, otoczony tworami wspaniałej przyrody. Klasyfikowałem ziola, słuchałem pienia ptasząt, i tym sposobem potrafiłem niekiedy zagłuszyć wspomnienia wstrętnej rzeczywistości. Nie przyszło mi nigdy na myśl że wtedy nawet, każdy mój krok śledzony był pilnie przez zaprzędaną rzeczywistość pani domu służbę. Jaki zaś był cel pokątnego wywiadywania się o niewinnych i nieszkodzących nikomu upodobaniach, zobaczymy później.

„Mam przekonanie że Pasza w owęj epoce stała się tylko bezwiednym narzędziem w rękach przebiegłej matki—z czasem dopiero wdrożona w ów system fałszu i chytrności, zaczęła działać na własną rękę. Powoli i nieznacznie dom cichy przedtém i spokojny, przybrał wszystkie cechy gwarnej, szalonej wesołości. Zjeżdżali z różnych stron goście, zupełnie dawniej mi nieznajomi: byli to artyści, oficerowie, studenci uniwersytetu — młodzież hałaśliwa i trzpiotowata, w której gronie pani Diergunowa przebywać lubiła, przyzwyczajając tym sposobem, może nawet bez zléj woli córkę do podobnego towarzystwa. Brak wykształcenia u méj żony sprawiał, iż nigdy smakować nie mogła ani w poważnej rozmowie, ani téż w otoczeniu ludzi z wyższym poglądem; nie więc dziwnego, iż w pośrodku tych lekkich żywiołów znajdowała przyjemność. Z początku bawilo ją to wszystko

jako błyskotliwy chaos, bezmyślny gwar życia; później, gdy zgubny wpływ pochlebstwa, wyrodził w niej nieznaną dotąd chęć podobania się, polubiła owe życie jako nową ponętę dającą jej pole do rozwinięcia swęj kokieteryi.

„Nie była już ona owem niepozorném bladym, dziewczątkiem, z którym połączyłem swe losy. W krótcie po ślubie fizyczne jej kształty szybko rozwijać się zaczęły: chorobliwa przedtém cera rozkwitła krasą rumieńca, oczy błyszcząły promieniem życia, a wiotka postać rozrosła w ponętne formy. Stała się rzeczywiście piękną. Lecz dary natury które dla kobiety przejętej obowiązkami swego powołania są jednem upiększeniem więcéj, bez przymiotów serca i duszy nie tylko nie mają żadnego znaczenia, ale stanowią ujemną stronę, gdyż prowadzą łatwiej jeszcze do zguby.

Oddawną już przyjaciela méj matki przestali być w naszym domu. Ani nowe towarzystwo, ani przyjęty od niejakiemu czasu sposób życia, nie odpowiadał ich przekonaniom i zasadom. Stary tylko Major, który mnie zawsze kochał jak własnego syna, odwiedzał czasami starożytną, a tyle zmienioną siedzibę mych przodków. Zbyt delikatny ażeby chciał się mieszać w małżeńskie sprawy swego pupila, nigdy nie poruszał w rozmowie tyle drażliwej kwestyi; chociaż wiedziałem ile cierpiał, widząc nieszczęśliwe moje położenie. Zajeżdżał zwykle wprost do mnie, a zostawiwszy na stronie salony napełnione wesołymi gośćmi, przepędzał parę godzin poświęconych wspomnieniom o méj matce, i owych czasach kiedy jeszcze czułe rodzinne stosunki, ciepło domowego ogniska, szczerą życzliwość sąsiadów i znajomych, tak błogim powabem otaczały me lata młodzieńcze. Były to jedyne chwile w których budziłem się do życia. Przeszłość, owa luba słodka przeszłość, miała tyle dla mnie uroku! zagłębiwszy się w nią zapomniałem o terażniejszości.

„Niestety! i tego pozorów szczęścia mi pozazdroszczono. Pani Diergunowa w której obecności stary wojak stawał się więcéj niż oziębłym, nienawidziła go, a nienawiść ta podtrzymwaną jeszcze była obawą, ażeby wpływ dawnego przyjaciela méj matki nie osłabił jarzma, w jakie mnie wprze-

żono. Umyśliła zatem przerwać nasze stosunki, a u tej kobiety postanowienie stało zawsze jednocześnie prawie z wykonaniem. Zbyt przebiegła ażeby sama działać chciała, użyła córki do przeprowadzenia swych zamiarów.

„Pewnego dnia, wkrótce po odejździe majora, Pasza weszła do mego pokoju. Przybycie żony, dość z resztą rzadkie, znamionowało zawsze nowe jakie żądanie. Wchodziła z twarzą słodką, miłym uśmiechem, potulną postawą, a dopiąwszy celu, opuszczała mnie natychmiast, nie zadając sobie nawet trudu ukrywać swojej obojętności. Tak się przyzwyczaiłem do podobnego postępowania, że słysząc zdala szelest jej jedwabnej sukni, rachowałem naprzód do jakiej cyfry podniosą się wymagania, a gdy weszła odgadywałem nawet w przybliżeniu ilość summy, która jej była wówczas potrzebną. Im przyjaźniej witała, tém na większy uszczerbek narażone były moje fundusze.

„Tym razem jednak omyliły mnie moje rachuby, gdyż żądanie z jakim ją przysłano, zupełnie innego było rodzaju.

— Jestem mocno niespokojną, rzekła siadając obok mnie na kanapie.

— O co? zapytałem.

— O zdrowie mej matki. Ona nie jest wcale dobrze; od niejakiego czasu ataki nerwowe coraz częściej powtarzają się.

— Wypada ażeby zmieniła tryb życia, przeniosła się do stolicy; ona nigdy wsi nie lubiła—a zresztą w wielkiem mieście łatwiej o dobrych doktorów.

— Wiesz dobrze że to jest rzeczą niepodobną; mybyśmy bez siebie żyć nie mogły—my się tak kochamy, na cóż więc mówić...

— Ja tylko odpowiadam na zrobioną uwagę; daję środek najlepszy, a może nawet jedyny.

„Nie mogąc domyślić się do jakiego celu powyższa rozmowa zmierza, wiedziałem jednak dobrze czego się trzymać względem tak zwanych ataków nerwowych pani Diergunowej: był to jeden z tysiąca sposobów jakich ta kobieta używała, dla przeprowadzenia swoich zamiarów. Moja żona

wówczas jeszcze w nie wierzyła, później wykształciwszy się lepiej w tej szkole obludy, sama podobnej broni używać zaczęła. Smutném jednak doświadczeniem nauczony nie wyjawiałem swęj myśli: jedyna wzmianka o tém wywołałaby niezawodnie burzę.

— Środek który podajesz, rzekła po chwili milczenia jest zły, bo niepodobny do wykonania. Ona cierpi, nie nie mówi, nie uskarża się nigdy, ale ja instynktem przywiązania zgaduję co jej dokucza. O drogi mój mężu, — dodała przysuwając się bliżej, gdybyś choć trochę mnie kochał, tobyś także odgadywał przyczyny zmartwień mej matki.

„Ton mowy, przymilające obejście, słodycz wyrażenia się, przestraszyły mnie: rok małżeńskiego pożycia dał mi ją poznać aż nadto dobrze. Nigdy jeszcze tym sposobem do mnie nie mówiła, żądanie więc ukryte pod jej pieśczołtliwymi słowami musiało być nadzwyczajném.

„Miałem się więc na baczności.

— Nie—pomimo najszczerzej chęci, trudno mi odgadnąć.

— Jakto, nawet w chwili gdy najzaciętszy jej nieprzyjaciel wychodzi od ciebie? Wszakże łatwo domyślić się że obecność tego Majora, który jej jawnie okazuje swoją niechęć, jest przyczyną wszelkiego złego.

— Jest to jedyny mój przyjaciel, więcęj jeszcze— przyjaciel mej matki. Zresztą on bywa tylko u mnie, unikając starannie waszego towarzystwa.

„Jak już wyżęj powiedziałem charakter Paszy był tak samowolnym, iż najmniejsze sprzeciwienie się jej woli, wywoływało wybuch gniewu.

— Ale jest nieprzyjacielem mej, to dosyć... Proszę cię ażeby ten człowiek więcęj się tu nie pojawił.

„Mówiła głosem podniesionym, urywanym... Oczy jej błyszczały, wargi drżały, na twarz wystąpił rumieniec.

„Dotąd wszelkie jej wymagania jakkolwiek częstokroć niesprawiedliwe, niedotykały mej przeszłości. Wszystko co się wiązało z pamięcią o mej matce było dla mnie tak świętém, iż nieuszanowanie tych uczuć uważałem za świętokradztwo. Pomimo więcęj swojej dotychczasowej uległości znalazłem w sobie dość siły do oporu.

— Kochana żono, — rzekłem, robię wszystko co chcesz chociaż częstokroć żądania twoje niezgadają się z moim przekonaniem. Ani to towarzystwo którym się otaczacie ani ten sposób życia lekki, hałaśliwy, nie mogą mi się podobać; a jednak ja zawsze poświęcam swoje własne upodobania twojemu zachceniom. Bądź więc z tego zadowolona, i nie wymagaj odemnie rzeczy niepodobnych do skuteczniejsza. Byłoby to z mojej strony więcej jak słabością, gdybym wypowiadał dom starym przyjacielom mojej rodziny, dla jakiegoś tam kaprysu.

— Kaprysu?

„I spojrzęła na mnie takim wzrokiem, iż zdawało się jakoby wszystkie ognie piekieł zabłysły w tém spojrzeniu.

— Kaprysu! powtórzyła: zapominasz do kogo i o kim mówisz... niechcesz mnie zrozumieć, a więc wiedz że taka jest wola mojej matki.

„Ten jeden wyraz odmalował wyraźniej jak cały szereg faktów, położenie w jakim mnie to nieszczęśliwe małżeństwo postawiło. Więc wola téj obcej kobiety, która się wdarła w moje rodzinne stosunki była tu jedynym prawem! Więc pozbawiony własnego zdania, nie mogłem nawet czcić wspomnienia swojej przeszłości! Uderzony po raz pierwszy może w życiu całym ogromem poniżenia do jakiego mnie stopniowe ustępstwa doprowadziły, wypowiedziałem wszystko co miałem na sercu. Wypowiedziałem to łagodnie ale z siłą przekonania; a czując że ta chwila jest jedną z najważniejszych chwil mego życia, znalazłem w sobie niezwykłą wyprawę. Stawiając wszelkie dowody na których się szczęście rodzinne zasadza, dotykałem najczulszych stron: przemiałem do serca, do duszy, do rozsądku. Jestem pewnym że wyjaśnienie podobne, zmusiłoby każdą inną kobietę do wnikięcia w siebie i zastanowienia się nad swoim postępowaniem, ale dla mojej żony nie istniało nic na świecie prócz jej zachcenia, które znowu bezwiednie wypływało z kierunku w jakim popychała ją matka. Gdy mówiłem milczała—sądziłem więc że słucha przynajmniej słów moich, lecz i ta nadzieja zawiodła mnie: ona milczała bo gniew do wściekłości niemal doprowadzony, niepozwalał jej ust otwo-

żyć. Kiedy omylony temi pozorami które wziąłem za nie-me przyznanie mi słuszności, ująłem jej dłoń — wyrwała swoją rękę, i rzucając na mnie wzrokiem w którym malowała się do najwyższego stopnia posunięta zawziętość, zawołała z furją:

— Dosyć! ani słowa więcej—pożalujesz tego!

„Od téj chwili chociaż nic się powierzchownie w mém życiu nie zmieniło, czułem że przepaść jaka mnie od niej oddzielała, stała się jeszcze głębszą. Te dwie kobiety matka i córka były ciągle razem: jedna że tak powiem depelniała drugą, do mnie nie mówiono wcale, lub odzywano się z lekceważeniem. Robiono wizyty, przyjmowano gości, urządzano spacer, bez mojego współdziałania. Powróciwszy raz z krótkiej wycieczki od majora, zastałem zupełną zmianę w wewnętrznym rozkładzie pokoi: pani Diergunowa pod pozorem słabego zdrowia Paszy, kazała jej przenieść się do siebie.

„Przyszło nareszcie do zupełnego rozłączenia, tak moralnego jak i materialnego. Żonę widywałem tylko w czasie obiadu: mówiła do mnie mało i to zawsze z pewnym odcieniem szyderstwa. Służba przywykła widzieć w jej matce rzeczywistą panią domu, do niej we wszystkiem się zwracała — przyjeżdżający goście nawet nie zapytywali o mnie. Byłem we własnym domu obcym pasożytem, na którego nikt nie zwracał uwagi.

„Ponizające to położenie wyrobiło się nieznacznie, powoli. Stopniowanie było tak zręcznie zachowane, odcienia tak sztucznie ułożone, iż na pozór jeden dzień podobny był zupełnie do drugiego, a przecież każda niemal upływająca godzina posuwała naprzód systematycznie przedsięwziętą pracę do ubezwładnienia mojej woli. Widząc co się dzieje pragnąłem częstokroć otrząść się z owéj apatyi jaka mną owładnęła, zdobyć wysiłkiem woli stracone stanowisko, lecz nigdy żadnego nie mogłem znaleźć pozoru: grunt na którym stałem podkopywano tak nieznacznie, iż każdą ujmę mojej władzy i godności spostrzegłem dopiero wtenczas, gdy ta stała się już faktem dokonany i nieodwołalnym.

„Ale zbytnie powodzenie zaślepia czasami najprzebieglej-

szych. Pani Diergunowa była nader zręczną, unikała starannie ażeby mi nie dać żadnego powodu do wystąpienia z roli biernej jaka mi się dostała w udziale; pomimo tego jednakże nadeszła chwila, w której osłabła jej zwykła czujność, a pozór rzeczywisty do energiczniejszego wystąpienia, sam z siebie się zrodził.

„Pomiędzy gośćmi odwiedzającymi tak licznie nasz dom, był jeden nierównie częściej przyjeżdżający i dłużej bawiący od innych. Pan W***, dawny znajomy mój świekry, należał do rzędu tych ludzi którzy wszystkiego użyli i nadużyli. W młodzieńczych jeszcze latach zmarnował piękny majątek, później nie chcąc porzucić zbytkowego życia, obok wstępu do wszelkiego rodzaju zajęcia, chwycił się różnych niezupełnie czystych środków, ku podtrzymaniu swych zachceń służących. Najpiękniejsze lata życia sterał w usługach przekwitłych piękności; nakoniec przybrał wygodną rolę doradcy, przyjaciela, powiernika i pieczeniara tych dam, którym w szczęśliwych czasach składał hołdy uwielbienia. Dowiedziawszy się o bogatym zameźciu córki dawniej swojej znajomej, przybył z dalekich stron wietrząc dobrą kuchnię, próżniacką egzystencję, a może jakie takie okruchy poprzedniego swego przemysłu. Osobistość ta na pierwszy rzut oka była odstręczającą, ale nie obudzała szczególniejszej uwagi: typ to zanadto znany i powszedni, ażeby mógł zająć nawet obserwatora charakterów ludzkich. Blady, wycieńczony, siwiejący, przywoływał zawsze na pomoc sztukę do walki z naturą. Bywały dnie w których wydawał się młodszym, bywały znowu takie co z niego robiły przedwczesnego starca. W pierwszych chwilach po swoim przyjeździe przybrał charakter cichy, małomówny, okazywał się uprzedzającym dla wszystkich, nawet dla mnie—powoli jednak ufny w opiekę pani Diergunowej, zaczął na coraz wyższe wdzierać się stanowisko. Z razu nieznanym doradca, następnie nieodstępny powiernik, został w końcu jednym z trzech ogniw, które ściskając wolę, swobodę, wpiły się w moje życie potrójnym pierścieniem niewolniczego jarzma.

„Dziś, po tylu latach strasznych cierpień, niewypowiedzianych katuszy, gdy się zastanowię nad ówczesnym poło-

żeniem rzeczy, niepodobna mi przypuścić, ażeby w stosunkach tego o wytartém czole intryganta do mojej żony, mogło być cokolwiek bądź zdrożnego. Zresztą przeszłość mojej świekry stawała ku temu na zawadzie: są występki których najnikczemniejsi nawet nie mają odwagi popełnić. Świat jednakże który nie znał téj przeszłości, tak jak ja ją poznałem, zaczął szemrać na przedłużoną znanego z licznych swych tryumfów, bytność w mym domu starego lowelasa. Ciche z razu szemranie wyrodziło plotki, z plotek podniósł się głos potępienia, i doszło do tego, że major jedyny pozostały mi przyjacielem, ten który dotąd przyjął za zasadę nie mięszać się nigdy w moje domowe sprawy, zjechał pewnego dnia chmurny, posępny, namarzczony, i powtórzywszy wszystko co mówiono, rzekł:

— Tak dalej być nie może... nadeszła pora stanowczego kroku. Winienesz wyjść z tego położenia, jeżeli nie przez wzgląd na siebie samego, to przynajmniej dla nazwiska jakie nosisz.

„Wezwapież podobne uczyniło na mnie wielkie wrażenie. Stała mi na myśli matka moja, dla której cześć rodowa niczem dotąd nie skarżona, większe miała znaczenie jak dostatki, jak szczęście nawet domowe. Pojąłem, że jeżeli mi wolno było przyjmować bez szemrania los jaki to nieszczęśliwe małżeństwo dla mnie zgotowało, nie miałem prawa wystawiać dalej na pastwę ludzkich języków czystą spuściznę imienia. Słaby i uległy w rzeczach mnie osobiście dotyczących, nabrałem niezwykłej energii gdy poczułem że tu idzie o uszanowanie pozorów, mogących służyć do rzucenia plamy, na najdroższą pozostałość rodzinną.

„Pod wpływem tego wrażenia, udałem się do pokojów zajmowanych przez Anastazję Mikołajewną.

„Obie kobiety wraz z nieodstępnym panem W*** tam się znajdowały.

„Nader ożywiona rozmowa z chwilą mego wejścia natychmiast ustała.

„Spojrzano na mnie, jak gdyby dziwić się mojej obecności — ale ja już oddawna przywykłem do podobnego postępowania.

„Ufny w świętość mojego obowiązku, wypowiedziałem krótko i kategorycznie swoją wolę. Objawiłem że odtąd ja którego stopniowo usunięto na drugi plan, będę regulował rządu domu, tak jak tego wymaga położenie i stanowisko głowy rodziny. Wszystkich gości łaskawych na nas przyjmę chętnie, ale niech oni niezapominają, kto jest rzeczywiście gospodarzem. Lekceważyć się dalej nie pozwolę, gdyż to lekceważenie rzuca cień na stosunki rodzinne.

„Nie będę wam opisywał sceny jaka nastąpiła: zacie despotyzm matki, samowolność córki, odgadliście czelność nieodstępnego ich towarzysza, który zaufany w wszechwładną opiekę jaką go osłonięto, miasto ustąpić z placu w pierwszych chwilach dyskusji, podniósł głos broniąc jak się wyraził praw swojej protektorki. Tego było za wiele: wskazałem mu w milczeniu drzwi pokoju.

„Nie należał on bynajmniej do bohaterów: zuchwały ze słabemi, miękki gdy ujrzał choćby cokolwiek okazanęj energii. Pomimo nakazującego gestu pani Diergunowój, znikł niespostrzeżony.

„Inna rzecz była z kobietami. Gdyby sprawiedliwe wystąpienie moje w obronie własnej godności nastąpiło zaraz po ślubie, może widok okazanęj mocy charakteru mógłby wpłynąć na ich postępowanie.

„Teraz było już za późno.

„Zbyt przywykły one widziéć we mnie ślepe narzędzie swoich zachceń i wybryków, ażeby tak nagła zmiana w moim sposobie wzięcia się uczyniła na nich wrażenie. W ich oczach byłem tylko zbuntowanym niewolnikiem, którego nie mogąc doprowadzić do należnego posłuszeństwa, należało ukarać i bezpowrotnie usunąć.

„Po oburzeniu, płaczach, mgłościach, spazmach, nastąpił wybuch gniewu, zerwanie i wyjazd.

„Tak jest—pani Diergunowa zabrała swoją córkę i opuściła mój dom.

„Czy uwierzycie? pierwszy raz może od dnia ślubu odechnąłem swobodnie. W sumieniu swoim byłem spokojny. Wprawdzie podobne zerwanie, dając nową pastwę złym językom, rozwija jeszcze pokątne gawędy, ale już mnie przy-

najmniej nie posądzą o niegodne pobłażanie. Czułem iż i ja nie byłem bez winy: należało zaraz w pierwszych chwilach po ślubie odłączyć matkę od córki, a wszystko co zaśzło niemialoby zapewne miejsca — ale to łatwo mówić po niewczasie. W szczegółówem, drobiazgowem niemal opowiadaniu dziejów mojego małżeństwa, widzieliście jak powoli, nieznacznie, niepostrzeżenie, robak toczący moją przyszłość wpijał się do zdrowego organizmem ciała. Jeden dzień nie różnił się na pozór w niczem od drugiego, a przecież każdy z tych dni zaznaczał postępek do wytkniętego naprzód celu. W położeniu podobnem sądziłem, że tego rodzaju rozwiązanie było dla mnie najpożądańszem; zdawało mi się, że nagły ów wyjazd służył jedynie za dyplomatyczny środek, ku skłonieniu zbuntowanego niewolnika do pokory i bezwarunkowego poddania — otóż, myślałem sobie, omył rachuby na moję słabość oparte: będę milczał i czekał, a pokonana intrygantka widząc, że jęj przypaszczenia nie przyniosły požadanego skutku, odwiezie mi sama swoją córkę. Nie ja, nie moja osoba, stanie się powodem zbliżenia, ale majątek który dla tęg kobiety, nie przestanie być nigdy łakomą przynętą.

„Nieznałem jeszcze pani Diergunowój!

„W parę tygodni po wspomnianych wypadkach, dwóch zupełnie mi nieznanym gości nawiedziło moje ustronie. Wymienione nazwiska niczego mnie nie nauczyły; pierwszy raz w życiu je słyszałem. Jeden z nich uprzejmy, miły, słodko mówiący staruszek, przedstawił się jako zapalony miłośnik nauk przyrodzonych, który jeżdżąc po kraju w celu zebrania szczegółów tęg umiejętności dotyczących, a posłyszawszy o moich studiach w historii naturalnej dokonanych, zboczył ze swęj drogi, pragnąc zabrać ze mną znajomość i poznać moje teorye. Drugi wysoki, sztywny i małomówny brunet był jego przyjacielem, pomocnikiem, i towarzyszem podróży.

„Nieprzypuszczając podstępu, szczególnie że znalazłem obznajmionych z ulubioną nauką słuchaczy, nieukrywałem przed nimi moich badań, ani tęg wyobrażeń o życiu istot organicznych, które ludziom pozytywnym mogły się przed-

stawić jako mrzonki chorobliwego umysłu. Może one były rzeczywiście dziwaczne, ja je jednak uważałem za wynik mych trudów, za pierwsze światelko rozjaśniające daleką przyszłość owego czasu, w którym naturaliści miasto opisywać zewnętrzny skład ciała zwierząt, miasto badać powierzchownie ich narowy i instynkta, zaczęły bacniej przyśluchiwać się ich mowie, rozumieć ją, i budować tym sposobem zupełnie nową fazę w nauce. Wszakże Fulton odkrywając siłę pary, był także dziwakiem w oczach swych współczesnych, przyszłość dopiero korzystać umiała z jego odkrycia.

„Zachęcony więc szczerą a nieudaną uwagą z jaką przybyły w gościnę starszek, słuchał słów moich, rozwijałem szczegółowo wszelkie najbardziej krańcowe przypuszczenia; a gdy czasami w rozmowie zwróciłem się na więcej praktyczną drogę—nieznajomy zręcznie zastosowaniem pytaniami, popychał mnie na nowo w gorączkowy idealizm. Towarzysz jego, ów wysoki o bystrym i przenikliwym spojrzeniu brunet, mało się odzywał, ale widocznym było iż także z natężonym zajęciem słuchał rozmowy naszej.

„Kiedy po kilkogodzinnej bytności odjechali w dalszą drogę, doznałem jakiegoś nieokreślonego wrażenia niespokojności. Sztuczny zapal tak zręcznie przez mniemanego naturalistę podtrzymywany przeminał, a rozważa która po nim nastąpiła, wyrzucała mi zbytek otwartości z nieznajomymi zupełnie osobami. Nie umiałem sobie zdać sprawy z mojego usposobienia, ono przecież nie było niczym innym jak tylko przecuciem.

„W tydzień po tém, słodko mówiący i zawsze uśmiechnięty uczoney, zjawił się znowu w moim domu: wysoki brunet nie towarzyszył mi tym razem.

„Oznajmił mi na wstępie iż towarzystwo miłośników nauk przyrodzonych w Moskwie, w skutku jego sprawozdania o poczynionych przezemnie odkryciach, mianowało mnie swym członkiem; poczem wręczywszy odpowiedni dyplom, zaprosił ażebym jechał z nim razem na zgromadzenie naturalistów, które miało się tam odbyć.

— Nie wolno wam, rzekł, nie podzielić się z uczonym

światem waszemi zasadami, które, jestem przekonany dadzą zupełnie nowy obrót dotychczasowym wyobrażeniom. Ja sobie za chlubę zawsze poczytywać będę, iż pierwszy w zaciszu wiejskim odkryłem znakomitego myśliciela, który zmieni błędny kierunek zastarzałych pojęć, na jakich do obecnej pory opieraliśmy nasze wiadomości. Anglia chlępi się swoim Darwinem, a przecież cała jego teoria oparta jest na przypuszczeniach, gdy tymczasem wasze wywody mają za podstawę żywe słowo mowy zwierząt, na które nikt dotąd należytej nie zwrócił uwagi.

„Podobne odezwanie się znakomitego naturalisty rozbudziło nową, nieznaną dotychczas namiętność w mém sercu. Była to żądza sławy. Dla czegoż, pomyślałem w duchu, mam ukrywać przed światem studia na tym polu dokonane; czyliż mi nie jest dano być apostołem nowej idei, i otoczyć nazwisko moje aureolą publicznego uznania? Samo przeznaczenie wskazuje co mam czynić, dając mi za przewodnika zasłużonego weterana nauki.

„Nie potrzebuję dodawać iż ponętny blask przyszłych tryumfów i znaczenia, załśniwszy przed moimi oczami swym ułudnym światłem, rozproszył ciemną chmurę przecucia jakiego mną poprzednio owładnęło.

„Pojechaliśmy do Moskwy.

„Od chwili przybycia naszego do starożytnej stolicy Rosyi, towarzysz mój ani na krok mnie nie odstępował. Po kilku dniach oznajmił, iż pierwsze posiedzenie miłośników nauk przyrodzonych zostało otwartym, i że znakomici koledzy oczekują nowomianowanego członka.

„Udaliśmy się obadwa na mniemany kongres.

„Wjeżdżając do obszernego gmachu, w którym jak mnie mój towarzysz objaśnił, odbywają się zgromadzenia naturalistów, zdziwiłem się widząc jego ciemne i ponure mury, wielkie z dębowego drzewa bramy—które kolejno za nami zamykano; gdym jednak zwrócił na tę okoliczność uwagę mojego przewodnika, on, uśmiechając się nieznacznie, odpowiedział, iż to wszystko czyni się dla zapewnienia bezwzględnej spokojności naradom.

„Tak byłem przejęty wówczas ważnością chwili w której

mi przyjdzie wypowiedzieć swoje myśli przed uczonym areopagiem, iż nie zastanowiłem się nad nieprawdopodobieństwem podobnego objaśnienia. Wiedziałem dobrze iż publiczne zgromadzenie nie ma powodu otaczać się tajemnicą, a jednak nie zwróciłem na tę okoliczność najmniejszej uwagi.

„Wprowadzono nas do obszernej sali, w której siedziało kilku różnego wieku mężczyzn. Nie było tam ani publiczności, ani stołu założonego papierami, ani sekretarza spisującego czynione wnioski: jednym słowem żadnej z cech znamionujących zazwyczaj zbiorowe posiedzenia. Nie uważałem także ażeby wejście nasze przerwało rozpoczętą poprzednio dyskusję: wszyscy ci dygnitarze nauki zdawali się jedynie oczekiwać naszego przybycia, dla rozpoczęcia prac swoich.

„Tyle wygórowana uprzejmość niezmiernie dla mnie była pochlebna.

— Mam honor, rzekł mój towarzysz, przedstawić szanownym kolegom pana K***, świeżo mianowanego członka naszego towarzystwa, o którego znakomitych poglądach w dziedzinie nauk przyrodzonych, zdałem w swoim czasie dokładne sprawozdanie.

— Racz pan zająć miejsce, odezwie się jeden z uczonych; który tak wiekiem jak i powagą powierzchowności zdawał się być prezydującym w zgromadzeniu. Ustawa nasza wymaga, aby każdy nowo obrany pracownik, mający dzielić w przyszłości nasze trudy i badania, przeżył rodzaj dyskusyi, i dał nam tym sposobem poznać dokładnie swoje poglądy i zasady.

„Po tym wstępie zadawał mi różne zapytania, dotyczące się sposobu mego uważania życia zwierząt i roślin—inni kolejno mu dopomagali, przedstawiając podjętą kwestyę w coraz nowiej formie, i egzaltując mnie udanem uwielbieniem dla wygłoszonych teoryi.

„Sam niewiem jakim sposobem stopniowo, prawie bez wiedzy i woli, wpadłem w niezwykły zapał. Pragnąc dobitniej i wyraźniej uosobić moje teorye, płaczące się w wyobraźni mrzonki myśli, odkryłem przed nimi to co dotąd

nieśniałem oblec w formę. Mowa ptaków i zwierząt przestała być dalekiem przypuszczeniem, ale stała się faktem nie podlegającym żadnemu zaprzeczeniu. Rozumiałem te dźwięki, wiązałem je w litery i słowa; a zachwycony własnymi wywodami, wznosząc się coraz wyżej na skrzydłach fantazyi, zapomniałem gdzie jestem, co czynię, i kto są ci którzy z nateżoną uwagą słuchali słów moich.

„W chwili gdy doprowadziwszy do najwyższego krańca fantastyczne moje wywody; wzruszony, rozgorączkowany, przestał mówić ażeby odetchnąć — najstarszy z uczonych, ten, który pierwszy się do mnie odezwał, rzekł suchym i zimnym głosem:

— „Panowie, sądzę że już wiemy czego się trzymać.“

„Inni kiwnięciem głów potwierdzili jego słowa.

„Przybyły ze mną starszek wyprowadził mnie z sali.

„Zostając jeszcze pod wpływem niezwykłego wrażenia, nie miałem czasu zastanowić się, ile zakończenie podobne było dziwnem i nienaturalnem.

„Przeszedłszy kilka kurytarzy, znaleźliśmy się w niewielkim pokoju.

„Tu towarzysz mój zawsze miły, słodki, uśmiechnięty wziął mnie za rękę, i rzekł:

— Oto tymczasowe pańskie mieszkanie: będziecie w niem mieli spokój, którego koniecznie i bezwarunkowo potrzebujecie. Proszę tylko nie irytować się niczém, nie myśleć wiele, a wszystko pójdzie dobrze. Ja was każdego dnia odwiedzę; w razie zaś gdy czego zażądacie: oto dzwonek.

„Nim zdołałem odpowiedzieć, wyszedł.

„Oprzytomniawszy pobiegłem za nim: drzwi były zamknięte!

„Nie umiejąc sobie jeszcze zdać sprawy z tego co mnie spotkało, rozjątrzony tylko do najwyższego stopnia podobnym postępkim, uchwyciłem za sznurek i zacząłem silnie dzwonić.

„W progu ukazała się nowa postać.

„Był to człowiek wysokiego wzrostu — silny, barczysty, w długim ze zgrzebnego płótna fartuchu.

— „Czego wam potrzeba? zapytał.

— „Chcę wyjść ztąd.

— Tylko tyle! W istocie, życzenie bardzo naturalne, ale wykonać go nie można. Należy wam wiedzieć, i to raz na zawsze, iż z naszego domu nikt samowolnie nie wychodzi: jeżeli nie macie innego żądania, to napróżno było mnie trudzić.

„Powiedziawszy te słowa, wyszedł.

„Pozostałem znowu sam jeden w pokoju.

„Poraz pierwszy zastanowiłem się nad swoim położeniem. Byłem uwięziony, to rzecz widoczna, ale z jakiego powodu, pod jakim pozorem? Czyliż podobna przypuścić ażeby w pośrodku drugiego miasta w kraju, w jasny dzień, w oczach wszystkich, można tym sposobem odjąć wolność człowiekowi, który żadnego występku nie popełnił, bez ściągnięcia na siebie srogiej odpowiedzialności. Któż zresztą są ci ludzie, i co ich powodowało do odegrania przedemną podobnej komedyi?

„Bijąc się z myślami, opuściłem głowę na dłonie i dumałem, gdy nagle jakiś krzyk dziki, przeraźliwy, przerwał ciszę panującą do koła.

„Był to krzyk nie mający w sobie nic ludzkiego.

„Poskoczyłem do zakratowanego okna i wyjrzałem na dziedziniec.

„Na przeciwko mego mieszkania, w oknie pawilonu opatrzonego również żelazną kratą, ujrzałem wykrzywioną ohydnie twarz człowieka, wydającego owe złowieszcze do ryku dzikiego zwierzęcia podobne wrzaski.

„I wtedy straszna rzeczywistość stanęła mi nagle przed oczami.

„Byłem w domu waryatów!

„Czyliż zdołam opisać wam co się ze mną działo, w pierwszych dniach pobytu mojego w pośrodku tych nieszczęśliwych, wykreślonych ze społeczeństwa ludzi istot? Rozdrażniony do najwyższego stopnia gwałtem jakiego się na mej osobie dopuszczono, przyjąłem mniemanego naturalistę a rzeczywście doktora, gdy ten, ze swoją słodką, układną miną przybył nazajutrz zapytać o moje zdrowie, wyrzutem i obelgą. Wyrzut i obelga nie uczyniły na nim najmniejszego

wrażenia; zawsze uśmiechnięty zalecał spokojność i poddanie się swemu losowi. Tego było zanadto: wszystko a tymbardziej cierpliwość człowieka ma swoje granice.

„Chwyciłem go za kołnierz, domagając się natychmiastowego wypuszczenia.

„Kazał mnie związać posługaczom, ogolić głowę, i oblewać ją zimną wodą.

„Widząc że gwałtownością pogorszam tylko nieszczęśliwe moje położenie, cierpiałem i milczałem.

„Dnie upływały jeden za drugim: w postępowaniu ze mną powrócono do pierwotnej łagodności, ale pod pozorem drażliwego usposobienia, nie wypuszczano ani na krok z pokoju, i nie dozwolano korzystać wraz z innymi pacjentami ze wspólnych przechadzek na tarasie.

„Po kilku tygodniach podobnie odosobnionego życia doznałem pierwszej przyjemności, od chwili w której przestałem należeć do świata.

„Pocziwy major zjawił się u mnie.

„Wszedłszy rzucił się w moje objęcia, a lzy rozczulenia pierwsze które może w swém życiu uronił, spłynęły po jego poważnej i pełnej męskiej szlachetności twarzy.

„Opowiedział mi wszystko. Paraskowja Iwanówna, podmówiona przez swoją matkę, w skutku rozlicznych starań i intryg, wyrobiła zamknięcie mnie w domu obłąkanych. Cały przebieg sprawy urządzono nader zręcznie, nie pomijając żadnej legalnej formalności. Doktor działający w ich interesach zjechał do mnie wraz z sądowym urzędnikiem, a odegrawszy rolę uczonego naturalisty, wybałał moje ekscentryczne poglądy, poczem protokół zdjęty na miejscu, przesłał do potwierdzenia radzie lekarskiej. Ta ostatnia działając w dobrej wierze, zażądała osobistego przesłuchania. Tym razem przebiegłości lekarza pomogła moja własna egzaltacja. Widzieliście jak sądząc być na kongresie miłośników nauk przyrodzonych, wyjawilem przed zgromadzonemi doktorami najbardziej krańcowe i najdziwaczniejsze wyobrażenia, jak przedstawiając mrzonki za fakta, a fikcyę za prawdę, sam własną ręką przepaść pod sobą wykopałem. Rezultat nie mógł być wątpliwym: los mój więc w tej chwili

rozstrzygnięty został. Zdanie uczonej korporacji zgadzało się najzupełniej, z podaniem uczynioném przez pragnące mnie zgubić kobiety. Byłem uważany za niebezpiecznego waryata, którego pozostawienie w gronie rodziny groziło spokojowi, a może nawet i życiu otaczających go osób. Stary major, jedyny pozostały przyjaciel, znając moje dawne położenie i przywyknienia, ani na chwilę nie uwierzył w prawdopodobieństwo podobnego przypuszczenia; pomimo jednak wszelkich usiłowań, nie zdołał uzyskać pozwolenia widzenia mnie. Podług opinii ordynującego lekarza, który całkowicie oddany był interesom pani Diergunowej i jej córki, stan mego zdrowia wymagał zupełnego odosobnienia, jakoteż przerwania wszelkich stosunków mających przypominać mi przeszłość. Wtedy major, odgadłszy iż jestem ofiarą nikczemnej intrygi, podał skargę do władz przeciwko samowolnemu zamknięciu mnie w domu cierpiących umysłowo i wpływami swojemi wyrobił iż pomimo zdania rady lekarskiej, naznaczono powtórne śledztwo. Ten krok jednak pogorszył jeszcze więcej moją sprawę. Badani służący i ludzie dworscy, zeznali wszyscy jednoznacznie okoliczności, które nie mogły przyczynić się do mojego uwolnienia: owe samotne przechadzki, owe odzywianie się do roślin i zwierząt podsłuchane przez niewidzialnych świadków, stały jako niezbita dowody zupełnego umysłowego rozstrojenia. Każda najdrobniejsza na pozór okoliczność, rosnąc pod wpływem uprzedzenia w kolosalne rozmiary, obalała objawione przez mego obrońcę przekonania.

„Wyrok usuwający mnie od żyjącego świata, stał się nieodwołalnym.

„Ażeby wyjść stąd należało być zupełnie wyleczonym; a opinia stanu zdrowia zależała bezwarunkowo od głównego narzędzia méj zguby, doktora, który będąc oddany duszą i ciałem Anastazyi Mikołajewnie i godnej jej córce, nigdy z własnej woli nie wyrzeczy słowa otwierającego drzwi mego więzienia.

„Obznajmiwszy mnie tym sposobem ze wszystkimi szczegółami których dotąd nie znałem, stary major okazujący mi zawsze tyle przyjaźni i współczucia, rzekł w końcu:

— „Ale tak być nie może, pozostawić cię tu niepodobna: toby było zbyt okropnie! Nie wszystkie środki wyczerpnięte zostały, mamy jeszcze jeden najpewniejszy.

„Ożywiony obietnicą wyjścia z tego grobu żyjących, zwróciłem na niego wzrok pełen nadziei.

— Jakiż!... mów... mów...

„I schwyciwszy go za obie dłonie, słuchałem z natężeniem

„Obejrzał się do koła chcąc widzieć czy nas kto nie podsłuchuje, i przysunawszy usta do moich uszów, szepnął:

— „Ucieczka!

„Rzuciłem wzrokiem na grube mury, okna zakratowane, dębowe drzwi nabite gwoździami, i westchnąłem.

— „O nie,“ dodał zgadując myśl moją; „siłą tu walczyć nie zdołamy—należy użyć podstępów i przebiegłości.

„Przedstawił mi swój plan: był on nader zręcznie i dowcipnie obmyślanym. Na nieszczęście układając zamiar, wydobycia się z tych murów, niewiedzieliśmy oba że one mają oczy i uszy. Tym, którzy mnie wykreślili ze społecznego grona, zbyt wiele zależało na mojej śmierci cywilnej, zbyt dobrze znaną im była przyjaźń majora dla mnie, ażeby pozostawiwszy nas pozornie samych, nie śledzono pilnie tego co pomiędzy nami powiedzianém zostanie. Wiadomo iż w domu waryatów, zbudowane są przy pokojach chorych tajemne skrytki, które służą ukrytym dozorcóm do widzenia i słyszenia w każdej chwili, tego co się u powierzonych ich opiece nieszczęśliwych dzieje.

„Takim sposobem rozmowa nasza została podsłuchaną.

„Uczynny doktor, doniósł o wszystkiém mém prześladowczyniom.

„Uradzono użyć przygotowanych do mego wyswobodzenia środków, na ostateczną mą zgubę.

„Wszystko więc na pozór poszło tak jak major początkowo ułożył, z tą różnicą, że ludzie przekupieni przez niego, zastąpionemi zostali ludźmi w interesie moich przeciwników działającemi.

„Umówionej nocy, wyprowadzono mnie przebranego z samotnej celki, która dotąd służyła mi za więzienie.

„Na korytarzach i podwórzach obszernego gmachu, niko- go nie spotkaliśmy.

„Za bramą na uboczu, zaprzężona karetka oczekiwała mnie.

„Sądząc iż idę do swobody, rzuciłem się na siedzenie o otwartych drzwiczkach powozu, wraz z moim przewodnikiem, którego uważałem za zaufanego sługę majora.

„Ruszyliśmy szybko z miejsca.

„Wśród cieni nocnych, daleki od przypuszczenia jakiegokolwiek bądź podejścia, nie zwróciłem uwagi na kierunek który obrano.

„Nie wiedziałem iż miasto na zachód, posuwamy się cią- gło ku północy.

„Nieobecność majora, mającego się ze mną przy pierw- szym przepręgu koni złączyć, zaniepokoiła mnie z począt- ku; ale przewodnik podróży zdołał uspokoić moje obawy, objaśniając, iż tenże zmienił początkowy zamiar, i oczekuje mnie na granicy pruskiej.

„Ponieważ było umówionem iż przedewszystkiem udam się za granicę, ażeby ztamtąd bezpieczny od prześladowań moich nieprzyjaciół, przedsięwziąć stosowne kroki u najwyż- szych władz w kraju, dla cofnięcia postanowienia rady lekar- skiej, uznającego mnie za waryata; przemiana podobna w pierwotnych projektach majora, wydała mi się być na- turalną.

„Po kilku jednakże dniach podróży, zacząłem się dziwić, że téj oczekiwanej granicy dotąd nie widać. Towarzysz mój uspakajając mnie, ciągle zajęty był przyspieszaniem prze- przagów, pobudzaniem do szybkiej jazdy jemszczyków, i od- dalaniem od powozów natrętnych i ciekawych.

„Wszystko to, zważywszy na moje położenie i obawę po- goni, mogło być policzonem na karb koniecznej w podo- bnych razach przezorności.

„Gdy jednakże dni mijały jedne za drugimi, a okolice któremi przejeżdżaliśmy stawały się coraz smutniejszymi mniej zaludnionemi, powziąłem niejake podejście; i nie słuchając już przestróg mego przewodnika, twierdzącego iż powodzenie naszej ucieczki wymaga bezwarunkowego mil-

czenia, a szczególnie tego aby zadawanemi zapytaniami nie zwracać uwagi ludności, zapytałem korzystając z chwilowe- go zatrzymania się powozu, przybliżającego się do okna karęty kancelisty pocztowego, w jakiej guberni jesteśmy.

„Młody człowiek spojrział na mnie zdziwiony, lecz po chwili odpowiedział:

— „W Tobolskiej.“

„Wszystkie moje podejrzenia zmieniły się w pewność. Nie wiedziałem co chciano ze mną uczynić, ale odgadłem, że zamiast oswobodzenia, czeka mnie nowa, srozsza od pierw- szej niewola.

„Niepodobna było poddać się dobrowolnie swoim prze- śladowcom.

„Wyskoczyłem z powozu, i zadeklarowałem iż dalej nie pojedę.

„Wtedy mój przewodnik przygotowany widocznie do po- dobniej przeszkody, okazał miejscowem władzom przybyłem w skutku mojej reklamacyi na stacyę, papiery któremi był opatrzoney.

„Dokumenty wyrobione staraniami pani Diergunowej w Pe- tersburgu, opiewały iż jestem uwieziony do Tobolska, z roz- kazu wyższej władzy.

„Jeżeli was zadziwia taka samowolność, to przypomnijcie so- bie że wypadki które wam opowiadam, miały miejsce bar- dzo już dawno, bo przeszło czterdzieści lat temu. Machina administracyjna nie była wówczas tak silną jak obecnie: zły człowiek mający jakiegokolwiek poparcie w jednej z tysięcy górnych gałęzi, mógł czasami bez zbytnich trudności doko- nać zamiarów swoich w środkowych prowincjach kraju; za Uralem zaś żadna już przeszkoda dla niego nie istniała. Trafiło się iż ludzie przebywający ten pas geograficzny od- dzielający Europę od Azji, nigdy ztamtąd nie powrócili. Wiadome mi są zdarzenia, w których podróżni udający się z ciekawości w owe niegościnne stepy, zatrzymani tam zo- stali przez prostą pomyłkę. Zagubienie paszportu, lub jaka inna trudna do przewidzenia nieformalność, stawały się przy- czyną ich zatrzymania.

„Przewodnik mój, który jak się później dowiedziałem, był

jednym z niższych policyjnych urzędników, zaprzędanych duszą i ciałem Anastazyi Mikołajewnie, na mocy posiadanych dokumentów, dowiózł mnie przy użyciu siły do miejsca przeznaczonego na moje zamieszkanie. Rozkaz który posiadał był powodem, że pomimo moich protestacji, prośb i zażaleń, umieszczony zostałem jako cierpiący umysłowo w tutejszym szpitalu. Nie chciano zastanawiać się nad stanem mojego zdrowia, ale dano mi do zrozumienia, że los mój stanowczo rozstrzygniętym został, i że sprzeciwiając się dokonaniem faktowi nic nie wskóram, lecz pogorszę tylko materialne swoje położenie. Czterdzieści kilka lat, to życie człowieka. Wiele przecierpiałem. Z początku starałem się wszelkimi sposobami wyłamać z pod ciężaczej nademną ręki przeznaczenia; próbowałem wszystkiego co tylko doprowadzony do ostateczności człowiek próbować może. Uciekłem: schwytano mnie — chciałem przekupić dozorców szpitalnych: odkryto mój zamiar — postawiłem się hardo: zamknięto mnie do ciemnego lochu o chlebie i wodzie. Jednym słowem każde usiłowanie wybicia się na wolność nową wyradzało katuszę. Na kilkanaście skarg napisanych i podanych przezemnie, żadnej nigdy nie otrzymałem odpowiedzi: widocznie nie doszły one swojego przeznaczenia. Tymczasem od przybyłych z Moskwy zesłanych, dowiedziałem się, iż żona moja wraz ze swoją matką żyją hucznie i wesoło, tracąc wśród oburzających opinię publiczną skandalów zagrabiony mi haniebnie majątek. Opowiadano mi szczególnie trudne niemal do uwierzenia, szczególnie na wspomnienie których krew ścina się w żyłach uczciwego człowieka — a gdy na chwilę wątpił o możliwości podobnych przypuszczeń, to wnet nowo pojawiający się przybysze, potwierdzali słyszane poprzednio wieści.

„Tego było zanadto na siły jednego człowieka! Zgnębiony, ubezwładniony moralnie, upadły na duchu i ciele, nie znalazłem w sobie dość chęci i woli do dalszej walki. Zmiany jakie zaszły w naszym kraju, błogi i dobroczynny rząd do którego opieki udając się, mogłem być pewnym wymiaru sprawiedliwości, zastał mnie złamanego i przygniecionego nieszczęściem. A zresztą do czegożbym po tylu latach wy-

gnania tam wracał? Stary major oddawna już legł w grobie, wszyscy dawni przyjaciele wymarli—ta która nosi moje nazwisko, straciwszy na zbytki milionowy mój majątek, podtrzymuje nędzną swą egzystencję owem życiem ciemnym, plugawem, w którym rozpusta łączy się z występny zarobkiem, a namiętność zastąpioną bywa ohydny rzemiostem. Wszędzie wstyd, hańba i sromota; stokroć lepiej zaparłszy się swojej przeszłości, umierać tu daleko zapomnianym i nieznanym!

„I cóż wam więcéj powiem? Tyloletnie obcowanie z obłąkanemi, wywarło fatalny wpływ na moje usposobienie. Patrząc ciągle na różne zwichnięcia umysłowe przejąłem się niemi, i częstokroć pomimo wiedzy i woli, osłabiona myśl moja wychodzi po za granice zakreślone rozumem. W takich chwilach nie widzę otaczających mnie osób, terażniejszość dla mnie nie istnieje — natomiast obrazy upłynionych czasów, przedstawiając się widomie przed rozdrażnioną wyobraźnią, wyradzają szereg chorobliwych złud, które czynią mnie zupełnie podobnym do innych współtowarzyszy niedoli.

„To co przed czterdziestu kilkoma latami było pozorem, zmieniło się w prawdę. Dziś jestem rzeczywiście waryatem: bardzo rzadko powracają dla mnie chwile przytomności, i waszemu jedynie serdecznemu współczuciu, winien jestem krótkie oswobodzenie się z więzów jakie moj umysł krępują.“

*

*

*

Taką była historia życia towarzysza mego ze szpitala więziennego w Tobolsku; człowieka, który oprócz braku odpowiedniej energii i mękości charakteru, niczym innym w swém życiu na tyle okropny los nie zasłużył.

Nie długo już miałem z nim pozostać.

Wkrótce bowiem potem odzyskawszy zupełnie zdrowie, otrzymałem rozkaz gotowania się do dalszej podróży.

Z prawdziwym smutkiem żegnałem nieszczęśliwą ofiarę

przewrotności ludzkiej: wiedziałem, iż widzenie się nasze było ostatniem.

W rok później, gdym znajdował się w Jenisejskiej gubernii, doszła mnie przez jadących z Tobolska kolegów wiadomość o śmierci pana K***.

Umarł jako prawdziwy chrześcjanin: ostatnie jego wyrazy były przebaczeniem dla téj, która go zgubiła.

OBRAZEK

Z ŻYCIA WIĘZIENNEGO.

Bardzo wiele mówiono i pisano przeciwko więzieniom wspólnym. Przedmiot ten, ważny sam przez siebie, stał się jedną z tych społecznych kwestyi, od których rychłego rozstrzygnięcia zależy dobrobyt ludzkości. Wszyscy czują że rzucenie młodego, niedoświadczonego przestępcy, pomiędzy zatwardziałych zbrodniarzy, nie stanie się poprawą, lecz ostateczną zgubą jego; wszyscy wiedzą, że te otchłanie przyjmujące w swe wnętrza wytrawnych nędzników równie jak i zbłąkane owieczki, są straszną szkołą występku; a jednak stara rutyna, odwieczne przywyknienia, a co najpewniej niemożność szybkiej reorganizacji dawnego systemu sprawia, że to złe istnieje niemal wszędzie.

Nie jest bynajmniej zamiarem moim wykazać rozumowaniem iż więzienie powinno być domem kary i poprawy, nie zaś miejscem kształcenia się w zbrodni początkujących grzeszników; najprostsza bowiem logika, nakazuje w społeczném cieles odłączyć zgniliznę od części nie uległych je-

szcze zupełnej korrupcyi i ratować co się da, dla zapobieżenia ogólnej gangrenie. Pragnę tylko przytoczeniem jednego przykładu poprzec tę prawdę. Drobnym ten zarys z więziennego życia, nie odznacza się ani dramatycznością szczegółów, ani też interesem jaki obudzić może sztuczna kombinacya wypadków: jest on prosty, zwyczajny, codzienny. Tysiące, miliony podobnych zarysów składają dzieje więzienne; i one to właśnie swoją naiwnością, więcej protestują przeciwko systematowi wspólnego zamknięcia, niżeli rzadkie, wychodzące po za obręb zwykłego biegu wypadków zdarzenia, które nie jeden do rzędu wyjątków zaliczać może.

Przeznaczenie postawiło mnie w możności częstego studyowania rozlicznych typów przestępców. Zawsze prawie zakorzeniali zbrodniarze mają w rysach twarzy, w grze fizyonomii, a szczególnie w spojrzeniu, coś takiego co ich wyróżnia od prostych rzeźmieszków lub początkujących oszustów. Nie mówię o owych ohydnych i odrażających twarzach, z których biją zwierzęce instynkta; te bowiem należą do wyjątków, i obudzając wstręt na pierwszy rzut oka, każą się mieć każdemu na baczności; ale wspominam o tych, którym niezbadana w swoich sprawach natura, udzieliła obok szkarady duszy nie zwykłą piękność form zewnętrznych. Nie sądzicie bowiem iż najstraszniejsi zbrodniarze i mordercy, odznaczają się potworną brzydotą ciała; to ma miejsce prawie zawsze w powieściach i na teatralnych deskach, lecz nader rzadko w rzeczywistym życiu. Owszem, tam rzecz się dzieje zupełnie przeciwnie; grube i niekształtne rysy są nie tylko oznaką niskich uczuć, podłości charakteru, lecz także brakiem energii i odwagi osobistej; posiadający je są jak owe potworne gady pełzające tylko nocą;—więcej straszą niż szkodzą i więcej obudzają wstrętu niżeli przerażenia. Wielcy zbrodniarze zaś przy zatraceniu wszelkich cech człowieczeństwa, posiadają zazwyczaj dziką, zwierzęcą śmiałość, trudną do pokonania wolę, i niezwykłą bystrość. Są oni po większej części rośli, dobrze zbudowani i przystojni. Uśmiech ich jest słodki, głos dźwięczny, ruchy ciała swobodne: jeden tylko wzrok zdradza w nich tajemnice na dnie duszy ukryte. Nie spuszczają oczów, jak

to mają zwyczaj czynić początkujący przestępcy, przy spotkaniu się z wrokiem uczciwego człowieka; owszem spojrzenie ich jest pewne, śmiałe, ale w spojrzeniu tém świeci od czasu do czasu taki blask złowrogi, fosforyczny, tygrysi, że kto tylko raz w życiu miał sposobność z niem się obznajmić, zapamięta go na zawsze.

Znając z doświadczenia to wszystko, staraniem mojem było ile razy los dał mi za towarzyszy podobne osobistości, studyować ich spojrzenie; i śmiało powiedzieć mogę, że się nigdy prawie w swoim przeczuciu nie pomylił. Pomieszczony będąc w Syberyi czasowo w więzieniu miasta***, miałem sposobność zużytkować nabyte poprzednio doświadczenie. Dano mi dla bezpieczeństwa osobną celkę i zarazem objaśniono, że mogę wybrać sobie do usług którego z licznych aresztantów. Wprowadzony w tym celu do głównej sali, ujrzałem się otoczony tłumem tych wyrzutków społeczeństwa. Były tam i ohydne brzydotą twarze, i posępne dzikie fizyonomie, i płaskie mongolskie typy, i wreszcie owe wspomniane wyżej indywidua o jasnym, pełnym, szklistym oku, regularnych rysach, dźwięcznym głosie, białych ostro zakończonych zębach, przenikającym do głębi duszy spojrzeniem. Wszyscy oni pobudzeni nadzieją zarobienia kilku rubli, a może też innem jakim, nie nader dla mnie pożądanym zamiarem, prosili o przyjęcie ich do posługi. Nawet i owe straszne o zwierzęcych rysach postacie, wylazły z ciemnych kątów, i spoglądając złowrogo nastęrczali swe odrażające osobistości.

Pomiędzy tym tłumem różnorodnych typów, na których występki, zbrodnia i zatracenie wszelkich zarodów dobrego, wypiętnowały tyle rozlicznych cech zewnętrznych, spostrzegłem młodego dwudziestokilko-letniego, niepodobnego w niczem do otaczających go towarzyszy człowieka. Twarz miał pełną, okrągłą, uśmiech wesoły, spojrzenie swobodne; a w rysach jego pomimo odcienia owęj cynicznej śmiałości, nabytej przez długie obcowanie z zepsutymi członkami społeczeństwa, przebijały jeszcze reszty dawniej, nie zupełnie zatartej pobytem w więzieniu prostoty.

Tego więc chłopaka wybrałem sobie do usługi, i nie

zawiodłem się na swoim instynkcie. W czasie nie długiego mojego pobytu w więziennym gmachu, pełnił przyjęte przez siebie obowiązki z całą gorliwością. Był on usłużny, potulny, roztropny, nie narzucający się; a naturalną wesołością, która go ani na chwilę nie opuszczała, rozpędzał nieraz smutne myśli, nie odłączne towarzyski podobnego jak moje położenia.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, oczekując nim konie będą zaprzężone, a przewodnicy do dalszej podróży gotowi, wdałem się z nim w gawędę, i powoli, nieznacznie, dotknąłem szczegółów dotyczących powodu jego aresztowania. Jakkolwiek jest to kwestya, którą zazwyczaj podobni jemu ludzie lubią zostawiać w cieniu, lecz Andruszka (tak go bowiem zwano) powziąwszy do mnie zaufanie, z zupełną otwartością opowiadał mi krótkie swoje dzieje. Ażeby nie zatracić właściwego kolorytu, tej wrodzonej naiwności charakteru, która pomimo wpływu zepsutych pierwiastków jakimi był otoczony, i zupełnym braku poczucia szlachejnych dążeń jaka na dnie jego duszy, niby ostatni odblask konającej cnoty pozostała, przytoczę mniej więcej jego własne wyrazy.

„Mój ojciec był bardzo zamożnym włościaninem. Miał on najpiękniejsze we wsi krowy i woły: najliczniejsze tabuny koni, najrozleglejsze uprawiał pola; a gdy nastawała pora żniw, sterty różnego rodzaju zboża które zbierał, podnosiły się jeden za drugim niby rządowe magazyny, i powszechną obudzały zawieść. Dom też jego był obszerny, zabudowania gospodarskie nowe, wygodne, narzędzia rolnicze w dobrym stanie: jedném słowem wszystkiego miał podostatkiem. Bóg który mu w niczém nie skąpił, błogosławił i w dzieciach. Sypało się tam tego co nie miara: nas podrostków różnego wieku było coś z dziesięciu, a dziewczynek małych, średnich i dużych drugie tyle. Dobra to rzecz przy gospodarstwie dzieci, gdy ich troje, czworo lub nawet sześcioro, ale gdy tego drobiazgu pełza po podłodze chmara; gdy wszystkich trzeba nakarmić, napoić i odziać, to i najbogatszy człowiek poskrobie się w głowę i głęboko zaduma. Z dziewczkami łatwiejsza jest sprawa: podrośnię to, wybieleje i zaraz znajdzie się jaki taki który weźmie jak swoje. Cóż jednak robić

z chłopakami? W żołdacy pójdzie jeden i drugi, ale zawsze to co zostanie kamieniem cięży u szyi; włościańska rola nie potrzebuje tylu parobków, a chłopcy czy to przy pracy czyli też w próżniactwie, jedzą zazwyczaj straszliwie. Ojciec więc zostawiwszy czterech najstarszych przy sobie do pomocy, mawiał nam pozostałym w miarę jak który z nas dostawał zarostu na brodzie:

— „Słuchaj, chłopcze: myślałem dotąd o tobie, teraz czas ażebyś ty sam o sobie pomyślał. Na roli nic nie wysiedzisz, bo plony jój nie wystarczą na tyle gęb. Ruszaj więc w świat pomiędzy ludzi i staraj się zbożać; a ot tobie dwa ruble na drogę.

Wyrzekłszy te słowa batiuszka, zdejmował zwykle obraz święty wiszący w kącie izby, dał go pocałować, przeżegnał, i nie więcej nie dodając wskazywał ręką na drzwi.

Już kilku braci powędrowało tym sposobem w świat szeroki. Starszy, Wańko, przysłał do rybaków i nie źle mu się podobno powodzi, drugi, Igorko, rozpił się i umarł gdzieś w szpitalu, mnie mającemu z natury pociąg do swobodnego życia, uśmiechały się zajęcia wolnego jamszczyka; gdy więc nadszedł czas wybrać się w drogę, poszedłem wprost do Tomska, i tam furmaniąc przy magazynach solnych, zarobiłem trochę grosza i kupiłem sobie parę lichych szkapiać. Mając swą własną podwozę, furmaniłem jeszcze rok cały wożąc kupcom towary do Krasnojarska, i przyjmując ładunki herbaty idąc z Kiachty do Rossyi.

W pierwszych dniach Stycznia zeszłego roku, znajdując się bez zajęcia, i siedząc na schodkach zajezdnego domu, uważałem że jakiś kupiec najmuje jamszczyków pod podwozy. Ja więc prosto do niego; i chociaż tam już stało z dziesięciu innych, przecież udało mi się wręczyć pierwój przed wszystkimi kupcowi, swój numer. Dał 60 kopiejek zadatku, a ja zobowiązałem się zawieść 70 pudów słoniny do miasta***. Zaledwie odszedłem o kilka kroków, przychodzi do mnie jakiś człowiek i powiada, że i on także ugodził się zawieść 70 pudów słoniny do tego samego miasta.— „Dobrze,“ odpowiedziałem; „to pojedziemy razem.“ Dla lepszej znajomości po-

szliśmy do zajazdu, wypiliśmy po trzy szklanki herbaty—ot i przyjaźń.

Nazajutrz z rana wpałowaliśmy 140 pudów wspomnianego produktu na dwie podwozy, i dalej w drogę. Ujechawszy z 50 wiorst, trzeba było myśleć o noclegu. Mój towarzysz we wsi znajdującej się przed nami, miał jak mówił dawnego znajomego i dobrego przyjaciela; najlepiej więc u niego przenocować. Jak się rzekło tak się i zrobiło, a w półgodziny potem siedzieliśmy wszyscy troje za stołem. Gospodarz taki był życzliwy, taki gościnnie, że aż miło. Postawił przed nami miskę pelmeni (1); ażeby się zaś nie nudziło oczekując za samowarem, poszedł do szafy i wyjąwszy z niej butelkę, podał mi spory kieliszek nalewki.

Zaledwem wypił, tak mnie coś za głowę chwyciło, żem się zwałił z nóg pod ławę. Czartowska nalewka! spałem, spałem i nie obudziłem się jak dobrze po północy. Nie ma co mówić, piękna historia, rzekłem do siebie: ja tu śpię a konie nienapasiono stoją przy żłobie. Nuże do stajni, druga historia: koni i wozu ani śladu! Już myślę co mam czynić: chcę krzyknąć, wołać o pomoc, gdy gospodarz domu z towarzyszem podróży, którzy się tam nie wiem już jakim sposobem znaleźli, schwycili mnie za bary i wpełnęli do izby.

— „Cicho, milcz!“ szepchnął do ucha pierwszy: „a to dla ciebie!“ i wetknął mi w rękę spory pakiet bumażek. Patrzę a tu sto rubli trzymam w ręku!

— „Czyś kontent?“—zapytał mój towarzysz. Ogłupiały, na wpół senny, nie wiedziałem co odpowiedzieć.

— „No, jeżeliś zadowolony to zabieraj się, i idź gdzie cię oczy poniosą.“

Podrapałem się w głowę; szkapiny liche, wóz nietęgi, słonina nie moja, a tu sto rubli... Cóż było robić: poszedłem nie pytając o więcej.

Sto rubli srebrem, pieniądze nie małe; ale gardło szero-

kie i przyjaciół wiele, gdy jest za co traktować. Miesiąc zaledwie upłynął, a ja już wszystko co do grosza przehulałem. Nie było innego sposobu jak udać się znowu do Tom-ska dla wyszukania zajęcia. Cóż powiecie? diabli przynieśli tam owego kupca, który mi lezie w same oczy: zaledwie miałem czas upamiętać się a już mnie rozbójnik za kołnierz trzyma, i pomimo oporu prowadzi jak swego. Przybyła policja: pakują do kozy i nuże pytać, dopytywać, pisać, przepisywać—a ja głupi od razu powiedziałem jak co było. Odesłali tu do tego więzienia; aż mi mrowie przeszło po skórze gdy ujrzałem te mury. Na wpół żywy, wszedłem do ogromnej ciemnej izby napelnionej mnóstwem ludzi. Krzyk, wrzask, hałas: istne piekło. Otoczono mnie ze wszystkich stron.

— „A ot nowy!“ wołał jeden.

— „Kto ty taki? pytał drugi.

— „Za co cię sądzą?“ przerwał trzeci. Ja wystraszony wciąż milczałem.

— „Widzicie“ odezwał się jeden wysoki z długą czarną brodą brunet: to jest niewiniątko — z miny jego widać że głupi. Zostawcie go w spokoju, my go z czasem oswoimy.

Upłynęło parę tygodni, a ja zacząłem się powoli przyzwyczajać do mojego położenia; poznałem się z towarzyszami; i opowiedziałem im całą swoją sprawę.

— „Oj! dudku ty dudku!“ mówił wysoki z czarną brodą: jakież czart ciągnął cię u licha za język? Nie wiem, nie slyszalem, nie widzialem—oto twoja odpowiedź. Ale wy wiejskie niedolegi wszyscy tacy: gdy który raz rozdziawi gębę a zacnie gadać, to w końcu siak czy tak musi zostać winnym.

Jak się z nimi porozumiałem, jak zacząłem myśleć czy nie możnaby jakim sposobem odwrócić od siebie złego, tak nareszcie wziętem się nie na żarty do rzeczy. Podawałem prośbę za prośbą że śledztwo przeprowadzone nieformalnie, że zeznanie napisane dowolnie, nie podług moich słów; że ja żadnego kupca nie znam, i od żadnego słoniny nie brałem. Podałem pięć takich prośb i to mnie cokolwiek uspokoiło.

Życie więzienne, tyle straszne z początku, przedstawiało mi się potem zupełnie inaczej. Mieliśmy fajki, tytoń i za-

(1) Pelmenie, jest to rodzaj pierożków z mięsem.

kąski; wszystkiego tego dostawaliśmy za ogólne składkowe pieniądze od miejscowego stróża: pocziwy to był stary niech mu tam Bóg nagrodzi! Do więzienia przychodziły żony, siostry, ciotki, matki moich towarzyszy, a nie przychodziły one nigdy z próżnymi rękami: ta miała bułki, ta kołaczki, owa trochę pieniędzy. Znosiły baby i różne szmaty, obuwie; a my to wszystko zmieniali na monetę, wspólnie przepuszczali, i było wesoło co się nazywa.

Kasą zawiadywał wysoki brunet z czarną brodą, którego nazywali Emiljaszko. Rozeszła się wiadomość iż jego sprawa zbliża się do końca, i że go mają wysłać do katorżnych robót. Żal nam się zrobiło dzielnego towarzysza, on bowiem był jedynym do wszystkiego; i piosnkę zaśpiewać, i wódki dostać, i zakąski urządzać: bez niego jak bez ręki. Cóż było robić? jak zaczęli pomiędzy sobą sądzić, gadać a rozprawiać, tak stanęło na tém, że zebrawszy sześć rubli, udali się do naszego stróża:

— „Oto dla ciebie pół rubla srebrem, stary grzybie, tylko przyprowadź do nas Pawła Stefanowicza, Świetyłkina; wiesz tego rudego, który tam na górze wszystkie nasze papiery ma pod ręką.“

Na górze bowiem był sąd, i siedział Świetyłkin kancelista.

— „Dobrze“ odpowiedział starowina i polazł na górę. Nad wieczorem przyszedł do nas Świetyłkin, i pyta:

— „Czego chcecie?“

My jemu do nóg.

— „Batuszka, ojcie kochany, ty nasz dobroczyńca: nie daj ginąć marnie Emiljaszce—napisz prośbę, bo inaczej posła do katorgi.“

— „No i cóż, tam téż i jego droga.“

— „O nie, pomóż Emiljaszce ułożyć prośbę, a to dla Was.“ Mówiąc te słowa jeden z nas pokazał pięć rublowy papiererek; ale nie dał w rękę, tylko pokazał.

— „Więc trzeba napisać ci prośbę?“ rzekł łagodniejszym już głosem Świetyłkin, obracając się do Emiljaszki: „a o czemże?“

— „Wasze wysoko błagorodie,“ odrzekł tenże; „przyniesiecie akta, to ztamtąd nabierzemy konceptu jak to ułożyć.“

— „Dawaj papier,“ mówi urzędnik.

— „Nie, przyniesiecie pierwój akta, a papier się znajdzie.“ Nie było sposobu odmówić. Świetyłkin poszedł na górę, i w pół godziny potem wiócił ze sporym pakietem pisanych dokumentów pod pachą. Wtedy gdy Emiljaszka podawał rudemu stemplowy papier, my się wszyscy razem rzucili na akta, i w jednej chwili podarli je w drobne kawałki. Świetyłkin zbladł jak ściana, i krzyknął drżącym ze złości głosem:

— „Ach! podli złodzieje, rozbójniki, nickszemnicy!“ „Wymyślaj i łaj, jak tylko ci się podoba,“ krzyknęli wszyscy, „a dla tego sprawa w łeb wzięła.“ Rudy przyszedłszy trochę do siebie rzekł:

— „Dajcie jeszcze drugie pięć rubli, a nie, to was wszystkich poszłę do katorgi.“ Pieniądzy my nie mieli, ale on zauważał u mnie nowe buty. „Zdejm buty, albo dawaj niebieski papiererek.“ Trudna rada: zdjąłem buty, a on zawiązałszy je w czerwoną chustkę, wsunął pod połę płaszcza i wyniósł się do domu.

Emiljaszko ocalał, a u nas było wesoło jak pierwój. W miesiąc po tém zdarzeniu, Świetyłkin przychodzi znowu i mówi: „Uważajcie łajdaki, będzie śledztwo: ani słowa o tém co zaszło.“ I rzeczywiście wzywano nas wszystkich po kolei do komisji, a my, ani dudu: na wszystkie zapytania odpowiadamy że o niczem nie wiemy, żeśmy niczego nie słyszeli. Koniec końcem rudy wyszedł na sucho, a całą winę zwałił na pisarza, który nibyto odsyłając papiery na pocztę, zgubił je.

Po upływie kilku miesięcy od czasu mojego aresztowania, schwymano mego towarzysza, tego samego który razem ze mną kradł słoninę, i osadzono go w więzieniu. On był mądrzejszy odemnie; od razu wszystkiego się zaparł, twierdząc że żadnej słoniny nie woził, i żadnego podobnego kupca nie znał. Nakoniec w półtora roku, na skutek moich podań naznaczono nowe śledztwo. Dowiedziawszy się o tém, wszyscy moi towarzysze zbili się w kupkę, i zaczęli radzić nad tém jak ja mam się tłumaczyć na śledztwie. Po długich

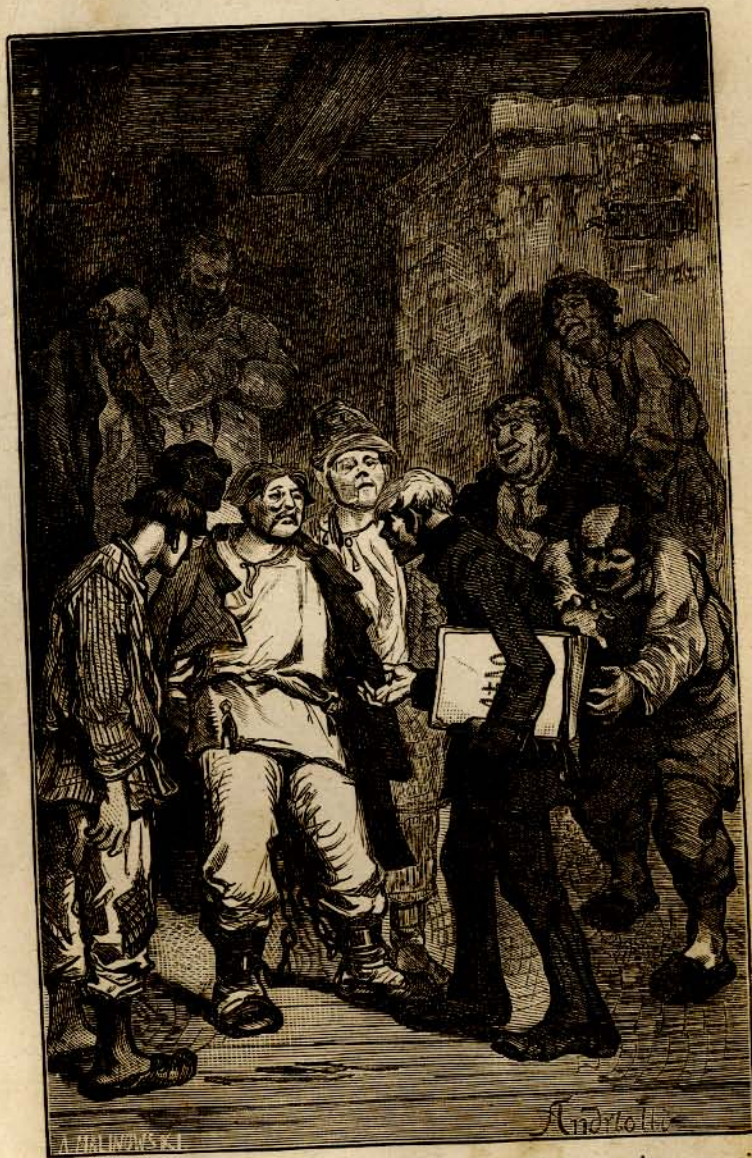
rozprawach, dokładném zastanowieniu się nad wszystkim co może wpłynąć na pogorszenie lub ulepszenie interesu, postanowiono: *po pierwsze* odsądzić od przysięgi świadka, który jako w służbie u skarżącego kupca zostający, nie powinien być przypuszczonym do zeznania; *po drugie*, nie przyznać się do znajomości towarzysza, wyprzeć się stosunków z kupcem — *po trzecie* oznajmić, że poprzedni, zdjęty ze mnie protokół, pisany był nie podług moich słów, gdyż ja nie mogłem w żaden sposób przyznać się do czynu, którego nigdy nie popełniłem. Towarzysz mój miał polecenie przedstawić się jako człowiek niespełna rozumu; nie nie mówić, lecz tylko śmiać się głupowato. Jak się powiedziało tak się i zrobiło — i oto ja z łaski moich pocziwych kolegów, wychodzę za parę tygodni na wolność.

— „A teraz,“ zapytałem: „czy nie masz ochoty, dostać się po raz drugi do więzienia?”

— „Więzienie dobre,“ odpowiedział Andruszka, „bo uczy niedołągów rozumu, ale swoboda bez porównania lepsza. Bardzom rad żem i tego chleba próbował, a jednak zje diabła kto mnie drugi raz złapie na uczynku. Kto raz przesiedział pomiędzy temi murami, to już nie tak łatwo tu się napowrót dostanie.

Ja zaś wsiadając na kibitkę pocztową, pomyślałem w duchu: szkoda człowieka!

I mimowolnie westchnąłem.



Wtedy gdy Emiljaszka podawał rudemu stemplowy papier, my się wszyscy razem rzucili na akta, i w jednej chwili podarli je w drobne kawałki.

(Obr. z Życ. Więzien., str. 255).

FORTECA ZE ŚNIEGU.

Pierwsze wrażenie moje po przybyciu w północne strony nie było zbyt pochlebném dla miejsc, w których losy przeznaczenia żyć mi kazały.

Stanałem u kresu długiej i nużącej podróży.

Była to wioska, a raczej osada z siedmiu lub ośmiu nędznych, na wpół w ziemię zapadłych chat złożona, nazwiskiem „Jamka.“

Wioska ta pośród niezmiernych step zbudowana, nieposiadała żadnego łącznika wiążącego ją z resztą świata. Stała na śnieżnej przestrzeni, niby drobny atom kaprysem losu rzucony w nieskończoność.

Podróżne sanki zatrzymały się, z chałup wyszło kilku włościan, kilka bab, za nimi wybiegła gromadka dzieci: wszyscy oni otoczyli powózkę, przypatrując mi się ciekawie. Była to cała ludność osady.

Jeden z chłopów przystąpiwszy bliżej oświadczył iż jest starszyną (sołtysem) téj wsi, i że mając obowiązek dać mi tymczasowe mieszkanie, zaprasza do siebie.

Wszedłem z nim do najbliższego domku. W jednej izbie

stanowiącej zarazem kuchnię, znajdowało się siedmioro dzieci, jakoteż matka ich, a żona gospodarza, i ogromnego wzrostu o mongolskich rysach twarzy dziewczka; w drugiej był skład rozmaitych sprzętów, porządków gospodarskich, zapasów żywności, w kącie stały kłody z kapustą kwaszoną, a za ogrodzeniem z desek beczało świeżo odsadzone od krowy ciele.

Starszyna objaśnił iż pierwsza izba jest mieszkaniem jego rodziny, druga zaś gornicą, czyli miejscem do przyjmowania gości przeznaczonem, i że tę najlepszą część swojego domu oddaje pod moje rozporządzenie.

— Nie zajdziecie w całej wsi podobnego mieszkania, dodał: tutejsze albowiem chaty, mają tylko po jednej izbie, w której wszyscy razem mieszczą się jak mogą. Ciele będzie tylko z początku Was trochę niepokoić, ale musicie się do tego przyzwyczaić, bo nie mam go gdzie umieścić.

Wniesiono moje manatki w jeden kąć izby, usunięto cokolwiek kłody z kapustą, porzucono pęk słomy na ziemię, jemszyk odjechał z kołmi, a ja znalazłem się nakoniec u kresu tysiąco-milowej podróży — na ziemi, wśród której może mi resztę życia przyjdzie przepędzić.

Tu już nie było illuzyi.

Usiadłem na kupie barłogu otoczony moimi tłumokami, opuściłem głowę na dłonie i pogrążyłem się w dumaniu. Co myślałem wtedy sambym tego powtórzyć nie zdołał. Był to rodzaj apaty, odrętwienia, nieczułości na wszystko co mnie otaczało. Ogrom nieszczęścia przygłuszył nawet zwykłą każdemu człowiekowi wrażliwość. W izbie było powietrze ciężkie, nieznośne, zaduch od przegniłej kapusty — ja tego nie czułem: nie słyszałem krzyku dzieci, nie widziałem otaczających mnie włóścian, którzy przybywszy z całej wsi, oglądali ciekawie nieznanego im gościa, zarzucając różnego rodzaju zapytaniem.

Machinalnie wlepiłem wzrok w kilka tłumoków około mnie leżących: to cała moja przeszłość — wszystko inne było terazniejszością i przyszłością, ale one przedstawiały się tak strasznie i odrażająco, że wylękły tém co mnie czekało, nieśmiałem nawet spojrzeć do koła siebie.

Byłem znużony, rozstrojony, głodny — a nie chciało mi się ani spoczywać, ani jeść, ani myśleć.

Ja nic nie pragnąłem, niczego nie żądałem, nic mnie nie obchodziło. Kilka dni przeszło w tym stanie granicznym z moralną śmiercią. Jadłem strawę którą mi mój gospodarz przynosił nie czując jej smaku, drzemałem nie rozbiegając się, siedziałem w miejscu nie myśląc i nie czując.

Stan podobny doprowadziłby mnie niezawodnie w końcu do zupełnego rozstrojenia władz umysłowych, gdyby warunki życia i bytu nie nakazały mi otrząść się z tego odrętwienia.

Po upływie dni kilku, właściciel chaty objawił, że czas zakreślony prawem trzymania mnie w mieszkaniu minął, i radził poszukać sobie schronienia.

— Możesz, — rzekł, albo wynająć sobie inną izbę, albo też i w tej pozostać — stosownie do twój woli. Ale czuje się w obowiązku uprzedzić, że nigdzie nie znajdziesz tak wygodnego mieszkania jak u mnie.

I rzeczywiście obszedłszy ośm chat składających osadę, nabrałem przekonania, iż ta jama na którą najpierw wysiadłszy z sanek natrafiłem, była jeszcze palacem w porównaniu z innymi.

W każdym z tak zwanych domów było tylko po jednej izbie stanowiącej zarazem kuchnię, spalnię, jakoteż skład wszystkich gospodarskich porządków i zapasów żywności. Wszędzie z powodu szczupłości miejsca i ścieśnionego z tego powodu powietrza, panował trudny do wytrzymania zaduch, połączony ze swędem od zawsze zawczasem zamykanych pieców.

Nie mogąc być nader wybrednym w moich wymaganiach wybrałem najmniejsze zle, i nająłem od starszyny wspomnianą stancjykę, zgodziłem codzienną strawę i wymogłem nawet na moim gospodarzu, ma się rozumieć za szczodre wynagrodzenie, iż cofnięto z izby hałaśliwe ciele — ale wyniesienia kłód z cuchnącą kapustą, równie jak prawa żeby nikt do zajmowanego przezemnie kącika nie wchodził, nie mogłem na żaden sposób wyprosić.

— Kapusty nie mam zupełnie gdzie umieścić — mówi,

oddam sąsiadowi, to połowę ukradnie—a co do wzbronienia wstępu moim gościom do pokoju przeznaczonego na ich przyjęcie, tego na żaden sposób uczynić nie mogę. Gdzież bym ugaszczal odwiedzających mnie, lub sądził sprawy przywiązane do mego urzędu, gdybym się dobrowolnie pozbył jedynego miejsca, które odpowiada tym celom. A z resztą i tobie weselój nierównie będzie, widzieć ludzkie twarze, niżeli siedzieć samemu.

Piękne towarzystwo, nie ma co mówić!

Przeciwko niepodobieństwu walczyć trudno — przystałem na wszystkie warunki, i odtąd dni moje zaczęły płynąć jednostajnie, a każdy dzień był nową katuszą. Nie mówię o stronie fizycznej — o nie bynajmniej: szczęśliwym tylko ludziom może materyalna strona życia dokuczyć, nieszczęśliwi jej nigdy nie znają. Chociaż strawa którą mi podawano była obrzydliwa, cuchnąca, chociaż w nocy oczów zmrużyć nie zdołałem, z powodu ciągłego krzyku dzieci — chociaż różnego rodzaju robactwo dokuczało niemiłosiernie — wszystkie te niedogodności zniósłbym z rozkoszą, gdyby temi powierzchownymi cierpieniami, można było okupić chociaż jedną, krótką chwilę samotności.

Nikt z ludzi żyjących w dostatkach i wygodach pojąć nie zdoła jaką ulgą dla człowieka w mojem położeniu byłaby samotność w której by można podumać, cofnąć się myślą w przeszłość, lub podbudziwszy wyobraźnię stworzyć sobie czasami chwilę uludy.

Ja tego nie miałem. Od świtu do zmroku otoczony byłem ludźmi nieokrzesanymi, na których zapytanie i uwagi należało odpowiadać, pijakami zawodzącymi w niebogłose hulackie pieśni, lub obalającymi się częstokroć na mnie całym ciężarem ciała. Od świtu do zmroku brudne niemiwleża czołgały mi się pod nogami, lub kilkoletnie swawolniki niepokoiły mnie swoją rozpustą. W nocy nawet nie zdołałem uchronić się przed tą szarańczą, która z próżniactwa i z wrodzonego dzieciom ducha sprzeciwieństwa, dokuczała mi niemiłosiernie.

Opędzić się od tych psotników było rzeczą zupełnie niepodobną. Pewnego razu gdy jeden z malców podkradłszy

się cichaczem w nocy do mego posłania, wylał na śpiącego pełen kubek wody z lodem, wyszedłem z granic cierpliwości, i porwawszy za uszy małego prześladowcę, obitem go należycie. Na krzyk chłopaka wybiegła matka z miotłą w rękę i przekleństwem na ustach — i nie wiem już jakiby obrót ta scena wzięła, gdyby nie wdanie się gospodarza, które załagodziło sprawę.

— Nie należy bić dzieci — mówił starszyna w formie morału, bo to dzieci nie twoje. Że dziecko poigra, pożartuje, dziwić się nie można ani też gniewać: ono igra, bo dziecko; a z resztą one są u siebie, ty zaś znajdujesz się w cudzym domu. Wprawdzie płacisz za mieszkanie, ale wszakże wyraźnie wymówiłem sobie, że pokój który zajmujesz nie do ciebie wyłącznie należyć będzie.

Na podobne logiczne zresztą objaśnienia nie było co odpowiedzieć; należało milczyć i uchylić głowę przed nieubłaganą koniecznością.

Wkrótce przekonałem się, iż pijaństwo stanowi jedyną rozkosz, jedyne zajęcie wszystkich tych ludzi (1). Ze względów klimatowych gospodarstwo rolne w Syberji jest tego rodzaju, iż włościanin tylko w czasie letnich miesięcy bez przerwy pracuje, zgromadziwszy zaś całoroczne zapasy, z nastaniem zimy ma bardzo mało do czynienia, a i w tej niewielkiej stosunkowo robocie, wyłącza się najczęściej swoimi parobkami. Od czasu do czasu z każdej chaty wyjeżdżał chłopak lub dziewczka do odległego o 10 wiorst lasu po drzewo. Gospodyni raz na tydzień, w Sobotę, gotowała ogromny garnek zupy z zamrożonego mięsa, kartofli i kapusty, która to strawa odgrzewana każdego dnia, służyła za pokarm na

(1) Winienem jednakże dodać że tylko w tak odosobnionych osadach jaką była Jamka, gdzie nadzór władz i rozszerzenie cywilizacji stało się trudniejszym; pijaństwo ludu doszło do podobnie wielkich rozmiarów. W innych, a szczególnie przy traktach położonych wioskach, jakkolwiek obrzydliwy ów nałóg istnieje pomiędzy włościanami, przecież przez stosowne oddziaływanie i wpływ zwierzości, znacznie szczególnie w ostatnich czasach, został ukróconym.

cały tydzień. Było to jedyne moje pożywienie. Trudno wyobrazić sobie jak obrzydliwem stało się, zwłaszcza w końcu tygodnia, to jedzenie przestale, przegniłe, cuchnące — ale otaczającym mnie ludziom ono smakowało: ich podniebienia przepalone alkoholem, zatraciły poczucie wszelkiego smaku. W całej okolicy nie było ani studni, ani rzeki, ani nawet strumyka: wodę do gotowania brano z błotnistej kałuży: woda ta użyta do picia okazywała się niezdolną, a nic innego oprócz kwasu, do którego jeszcze nie przywykłem, nie mogło służyć na ugaszenie pragnienia — gdyż z powodu przeszłorocznego upadku bydła, o istnieniu nawet mleka zapomniano.

Mój gospodarz starszyna i ze swego urzędu i z położenia towarzyskiego, stanowił najważniejszą osobę w wiosce. Dla wszystkich był on sędzią rozstrzygającym sprawy i zajął w pierwszej instancji, godzącym kłótnie, karzącym winowajców.

Był to włościanin wysokiego wzrostu, dosyć regularnych rysów twarzy, o bystrym chytrej spojrzeniu i gestej rudziej brodzie. Powaga przywiązana do jego urzędu niepozwalała mu tak jak innym mieszkańcom wioski oddawać się wyłącznie pijaństwu; ale posiadał on dar pić zawsze po trochu, być ciągle w stanie na wpół podochoconym, nie przebiegając nigdy miary w używaniu trunków.

Najmądrzejszy ze wszystkich, rządził wszystkiemi.

Ale jego żona była jeszcze mądrzejszą od niego i rządziła nim.

Takie są koleje władz tego świata — nawet i w maleńkiej, rzuconej daleko wśród obszernych stepów syberyjskiej osadzie.

Tatiana Wasilewna, nie na darmo była kobietą, i nie na próżno piastowała godność małżonki starszyny. Baba ta chuda, żółta, o zaciśniętych ustach, śpiczastym nosie i zapadłych głęboko siwych oczkach — posiadała rzadką chytrą i przebiegłość — których to przymiotów używała, do opanowania wszystkiego co jej pod rękę popadło i do ciągnięcia ze wszystkiego pieniężnych zysków. Jeżeli spór jaki nastąpił, jeżeli jaki chłop pobił drugiego, nim sprawa wytoczyła

się przed męża, ona już potrafiła wyłgać z obydwuch stron dla siebie datki. Jeżeli wykryto złodziejstwo, winowajca musiał się jej szczerze okupić; w zwyczajnych nawet stosunkach z sąsiadami, tyle gadała, obiecywała i kłamała, że każdy czuł się w obowiązku przynieść jej jaki gościniec: to kurę, to jaja, to miarę kartofli.

Gadała ona ciągle i zawsze — potok słów od wschodu do zachodu słońca z ust jej płynący, był jak ów hurkot pyła w młynie: przyzwyczailem ja się do niego, jak przyzwyczajają się młynarz do jednostajnego stuku kół i nieustannego szumu wody. Gadała o sobie, o potędze swój władzy, o mądrych swoich rozperządzeniach, o względach jakie wszyscy począwszy od żony pisarza mają w urzędzie gminnym dla niej. Gadanie to jednostajne, nieszkodliwe, koncentrujące się w jednym i tym samym przedmiocie, w powtarzaniu niemal dosłownem jednych i tych samych frazesów, nikomu nie zawadzało — ale bieda jeżeli ktokolwiek bądź na świecie sprzeciwił jej się w czemkolwiek, lub nawet śmiało objawić osobiste swoje zdanie.

Wtedy jej twarz żółta czerwieniała, śpiczasty koniec nosa siniał, wężkie usta zaciskały się jeszcze bardziej, siwe oczy rzuciły błyskawice, a potok najenergiczniejszych przekleństw sypał się gradem na nieszczęśliwego. Gdy była w takim usposobieniu wszystko co żyło w chałupie drżało przed nią — dzieci chowały się pod piec, za stoły i ławki, mongolska dziewczka trzęsła się ze strachu jak w paroksyzmie febry, a mąż zacisnąwszy czapkę na uszy, uchodził co prędzej. Częstokroć nie skończyło się na słowach lecz miotła i kańczug wiszący na ścianie były w robocie. Wtedy miałem przed oczami istny obraz piekła: krzyk, wrzask, przekleństwa, jęki, płacze, wszystko to zmieszawszy się razem, tworzyło chaos trudny do opisania.

Ta kobieta tak swarliwa, złośliwa i despotyczna, która w niczem się nie zgadzała się z mężem, miała tylko z nim jeden wspólny punkt widzenia rzeczy. Tym wyjątkiem był ja. We wszystkim co się mnie tyczyło, i mąż i żona porozumiewali się doskonale.

Ja dla nich byłem nietylko przedmiotem zysku, istotą z której należało wyssać wszystko co się da, ale i ofiarą ich kapryśków zachceń i despotyzmu.

Nie podobna było z niczém odezwać się: najmniejsza reklamacja przyjętą bywała krzykiem i wrzaskiem. Za moje własne i to dość grube pieniądze żywiony byłem cuchnącą zupą i kartoflami z solą. Gdy zażądałem aby mi świeżą strawę gotowano lub pozwalano częściej nastawiać samowar, trzeba było widzieć oburzenie gospodyni.

— Patrzajcie go: jaki delikatny! jaki wybredny!... Mój mąż Starszyna wsi i ja żona urzędnika, jadamy to co on jadać nie może. Herbaty jeszcze mu się zachciewa po trzy razy na dzień; pewnie będę dla ciebie naumyślnie posyłać o dziesięć wiorst po drzewo!

Gdym zrobił uwagę że ja nie żądam żadnej łaski, że chcę mieć to co mi się należy, bo za to płacę — wściekłość i gniew rozłoszczonj baby nie miały granic ni miary.

— Pieniądze! Słyszeliście jaki mi Pan — za swoje nędzne dziesięć rubli miesięcznie, chce żeby go utrzymywano jak jakiego czynownika. Zapominasz bratku kim jesteś, i jakie twoje położenie w tych stronach.

Będąca u niej w służbie dziewczka wzięta dzieckiem jeszcze od koczujących po stepach inorodzców, żyjąc od lat tyłu pod tak srogim despotyzmem, ogłupiała zupełnie. Była to olbrzymia machina, nie mówiąca ani słowa, wypełniająca machinalnie wszelkie posługi, śmiejąca się głupowato, gdy gospodyni raczyła się roześmiać, drżąca z przestachu kiedy ta podniosła swój głos gniewliwy, upijająca się od samego rana kiedy jój pozwolono się upić, i chrapiąca potem przeraźliwie przez całą noc.

Tacy to byli ludzie z którymi żyć musiałem.

Uciekając od wrzasku swarliwej kobiety, płaczu dzieci, zaduchu, robactwa i wiecznie panującego czadu, który mnie silnego bólu głowy nabawiał, wychodziłem czasami pomimo silnego mrozu, na świeże powietrze.

Tam jednakże nie było co robić, gdzie się obrócić. Kilka chat na śnieżnej, białej przestrzeni: ot i wszystko. Parę ścieżek wydeptanych nogami przechodzących od chałupy do

chałupy mieszkańców, parę śladów sani jadących po wodę lub drzewo parobków, stanowiły jedyną oznakę że tu żyją ludzie.

Wrodzona każdemu człowiekowi potrzeba szukania jakiegokolwiek towarzystwa, sprawiła że wstąpiłem do kilku chat. Wszędzie o samo. Obszarpane na wpół nagie dzieci, złowrogie fizyognomie włościan spoglądających na mnie z podełba, niezachęcały do bliższego poznania moich sąsiadów. A zresztą o czemże z nimi mówić? oni żyjąc w tej pustyni w stanie na wpół dzikim, o niczém najmniejszego pojęcia nie mają. Każden zesłany na osiedlenie człowiek jest w ich oczach niczém więcej jak prostym złodziejem: innych przewinień oni nie pojmują. Wprawdzie nie tylko nie czują żadnego wstępu do kryminalnych przestępców, ale nawet na mordercę jako na osobistość energiczną patrzą zawsze z pewnym rodzajem uwielbienia; lecz zwykły zesłany, taki który nieprzebył poprzednio ciężkich robót, uważanym jest za podrzędnego i niezręcznego w swym fachu artystę i powszechnie pogardzanym.

W osadzie oprócz mnie było jeszcze dwóch innych przestępców, którzy skazani za morderstwo do przymusowych robót, wycierpieli już pierwotną swoją karę i przybyli tam na osiedlenie. Ci ludzie używali wielkiego wzięcia, wpływającego po części z przestachu jaki we wszystkich obudzich zdołali. Sam Starszyna odzywał się do nich z pewnym rodzajem szacunku, a żona jego łagodziła zawsze ton mowy w ich obecności. Pewnego razu oba przyszli mnie odwiedzić, co w wyobrażeniu innych mieszkańców było dowodem wielkiej łaski. W czasie bytności swojej, która jak się później dowiedziałem, inny jeszcze cel miała — przechwalali się z dokonanych morderstw i z pewną dumą opowiadali wszystkie szczegóły krwawych swoich dziejów. Rozsądek nakazywał utaić w głębi duszy wstępu jaki ci zbrodniarze we mnie obudzali — obrazić ich bowiem dobrowolnie na siebie, było to samo co szukać nieochybnj zguby.

Położenie moje było trudnym do zniesienia. Sam jeden otoczony takimi ludźmi, bez żadnego widoku wydobycia się z tej jaskini łotrów, wdychałem tylko do samotności jako

do jedynéj ulgi w mojem cierpieniu. Ale gdzież potrafię znaleźć ową upragnioną samotność? Osobnéj stancyjki nigdzie nie było; a gdybym nawet i mógł ją wyszukać, czyliż tym sposobem zdołam uwolnić się od podobnych odwiedzin, bez narażenia na zemstę tyle niebezpiecznych ludzi? Z resztą mieszkanie w ustronnéj chacie groziło utratą życia, do którego każdy choćby najnieszczęśliwszy człowiek zawsze jest przywiązany.

Bilem się ze swojemi myślami i nie doszedłem do żadnego postanowienia. Tymczasem gospodarz mój Starszyna i jego godna połowica, powoli zaczęli mięszać się do wszystkich moich czynności. Pod pozorem osobistego bezpieczeństwa, radzono mi ażebym na krok niewychodził z chałupy, pod pozorem urzędowéj opieki jaką nademną rozciągnięto, dawano mi do zrozumienia, żeby z nikim nie wchodzić w żadne rozmowy—gdym w nieobecności zwierzchnika lub jego żony, zagadał do kogobądź, choćby do dziecka nawet, wypytywano je troskliwie com mówił i co mi odpowiedziano.

Powtarzać zaś pełnych najdziwaczniejszych przypuszczeń gawęd, jakie o mnie prowadzono nie widzę najmniejszej potrzeby; dodam tylko iż gospodyni domu zakończyła zwykle dyskusję następującemi wyrazami.

— Co zrobił to zrobił — nie nasza rzecz w to wchodzić. Ale to dumna sztuka: dla nas nie ma należytego uszanowania, wódki nie chce pić jak drudzy, we wszystkim się odróżnia od ogółu—należy przytrzeć rozków temu paniczowi.

I odtąd zaczęły się przekąsy, skierowane do tych, którzy pamiętają czém byli, a zapominają o tém czém są obecnie, którzy żadnéj rangi w hierarchij społecznej nie mają, których za lada fraszkę można związać i do aresztu zasaodzić. Wszystko to mówiono niby ogólnie, niby pod prześnościami, ale zastosowania podobne zbyt przedstawiały się dotykalnie, żebym nie mógł zrozumieć do kogo zostawały skierowane. Częstoż jęzga odzywając się do mnie używała przydomku baryń (pan), i niepodobna mi oddać szyderstwa, ironij, i złości, z jakimi ten wyraz był wymawianym.

Ja udawałem że tego wszystkiego nie rozumiem, i milczałem. Podobną taktyka osiągnęła wkrótce spodziewane skutki.

Moja gospodyni widząc, że wszystkie jéj pociski i zaczepki nie przebijają potrójnéj tarczy obojętności w jaką się uzbroiłem, zamilkła zgrzytając ze złości zębami, a ja miałem przez parę dni niejaka spokojność.

Ale wkrótce przekonałem się, iż to było tylko chwilowe zawieszenie broni, w czasie którego nieprzyjaciel wyszukiwał nowych sposobów prowadzenia wojny.

Sposób użyty do rozpoczęcia zaczepnych kroków był nader prostym: dotąd Starszyna i jego żona zrobili mnie pod względem moralnym swoim niewolnikiem, teraz postanowili, przeistoczyć moją osobistość w domowego sługę.

Sposobność ku dekonaniu tego zamiaru wkrótce się nastęczyła.

Nadchodziła godzina, w której cała rodzina pijała zwykle herbatę, i w której ja także korzystając z rozżarzonych węgli, nastawiałem swój podróżny samowar. Drzewa urąbanego, oprócz kilku ogromnych kłoców leżących przed sienią zabrakło, parobek który od rana pojechał do lasu po gałęzie dotąd nie powrócił, a dzieci ze wszystkich kątów dopominały się płaczącym głosem, o ten tyle upowszechniony posiłek.

Gospodyni wzięwszy stojącą w kącie izby siekiere, podała mi ją mówiąc rozkazującym tonem:

— Idź urąb drzewa na węgle do herbaty!

Jakkolwiek od trzech przeszło tygodni, to jest od czasu w którym się dostałem w tę pustynię, doznawałem ciągle różnego rodzaju przesładowań, przecież podobne żądanie było piérwszym tego rodzaju.

Była to widocznie próba do jakiego stopnia moja uległość dojść może.

— Ja nie jestem waszym robotnikiem—odpowiedziałem zimno.

— Nie jesteś robotnikiem, ale dzielisz z nami kęs chleba: należy robić to co inni robią, a nie być próżniakiem.

— Za lichą strawę jaką mi dajecie, płacę dziesięć razy

tyle ile ona warta, a roboty wasze wcale mnie nie obchodzą.

— Ręka rękę umywa, noga nogę wspiera; kto jest przyjeżdżający do grona rodziny, nie powinien wyróżniać się od drugich i pomódz w razie chwilowej potrzeby — parobka w domu nie ma...

— A mnie co do tego? Do grona waszej rodziny nie należę bynajmniej, mieszkając w tym domu nie poczuwam się do żadnych względem was obowiązków.

— Tu nie idzie o obowiązek ale o grzeczność.

Widocznie baba, chciała dyplomatycznymi sposobami wciągnąć mnie choć raz jeden do ręcznej roboty, ażeby następnie przełamawszy pierwsze lody, posługiwać się mną do woli, choćby tylko dla samego upokorzenia mnie.

Jestem zdania, iż każdy człowiek powinien zastosować się do położenia jakie mu los zgotował. Ręczne prace nikogo nie krzywdzą, i z innymi ludźmi, z ludźmi serca, chętnie bym podzielił ich trudy, dopomógł w pracy, złał się w ich kółko. Ale tu było zupełnie co innego: tu była chęć dokuczenia, zła wola i nienawiść.

— Jeżeli idzie o grzeczność, odrzekłem, to ja tej grzeczności nie chcę wyświadczyć.

— Niechcesz! a któż drzewą narąbie: może ja żona urzędnika wsi, może sam Starszyna? Nie będzie drzewa — nie będzie herbaty.

— To nie będzie — zakończyłem z flegmą.

Moja zimna krew poruszyła wszystką zółć jędry.

Wstrząsła się, jakoby ta odpowiedź była iskrawą zapalającą w głębi jej złowrogięj natury, nagromadzone materiały nienawiści i gniewu, a powstawszy nagle krzyknęła głosem drżącym, ochrypłym od dzikiej wściekłości.

— Wynoś się paniczku z twoimi tłumokami, manatkami z mojego domu. My nie chcemy trzymać u siebie takiego człowieka, co nie robi, nie mówi, tylko siedzi jak mruk — co nie zdolny ani do pieśni, ani do kieliszka, ani też do towarzyskiej pohulanki.

— Dobrze — odpowiedziałem wstając ze swego barłogu — wyniosę się natychmiast do pierwszego lepszego są-

siada; każdy przyjmie z ochotą dopóki będzie czuł pieniądze w mojej kieszeni.

Wiedziałem ja dobrze, że w jakiegokolwiek innej chałupie będzie mi nierównie gorzej, gdyż tu znajdowała się przynajmniej izba, do której nie w każdej godzinie dnia, wchodzili moi prześladowcy, a gdzieindziej i tego znaleźć nie mogłem; ale wiedziałem także, że wezwanie do opuszczenia mieszkania wypłynęło nieostrożnie, w uniesieniu złości; bo i Starszyna i jego żona zbyt dbali o materialne korzyści, ażeby chcieli pozbyć się dobrowolnie szczerzego w opłacie lokatora.

Domniemanie to zmieniło się w pewność, gdym ujrzał zakłopotaną twarz gospodyni, której gniew przygłuszyła obawa ażeby niebacznie wyrzeczone słowo, nie zamieniło się w czyn.

Byłem jak ów dowódzca widzący przed sobą nieprzyjaciela, który nieostrożnie zanadto posunął się naprzód, ujrzał swój błąd, a nie wie jakim sposobem wycofać się z zagrożonej pozycji.

Nie miałem ja najmniejszej chęci przenieść się do której z tych chat, gdzie mnie czekały te same niewygody, te same nieprzyjemności, a gdzie w dodatku oddalenie od opieki Starszyny, narażało me życie na niebezpieczeństwo; ale korzystając z dobrego strategicznego położenia, nie zmieniłem bynajmniej mojej taktyki wojennej.

Nie mówiąc ani słowa, zacząłem zbierać moje manatki i pakować swoje tłumoczki.

Baba stała w środku izby patrząc na te przygotowania z przestachem podobnym temu, jaki doznaje człowiek który wzniciwszy nieogłędnie pożar, widzi ogarniający stopniowo wszelkie przedmioty płomień, żałuje swego postępuku, a nie wie jak złemu zaradzić.

Nareszcie odezwała się przytłumionym głosem:

— Co robisz?

— Jak widzisz pakuję rzeczy.

— Na co?

— Wyniosę się do innego mieszkania.

— Cóż tak pilnego? tobie nigdzie nie będzie tak dobrze jak tu.

— Sama mi dom wymówiłaś.

— Wyrzekło się w prędkości, ale ty tak gorąco rzeczy bierzesz...

— Trudno. Czy się wyrzekło z prędkości, czy z zastanowieniem, ale się wyrzekło. Oprócz tego mnie się sprzykrzyły te krzyki, wrzaski, spory, prześladowania, docinki: gdzieindziej może będę miał więcej spokoju.

Wchodzący w tej chwili do izby Starszyna, zdziwił się widząc moje przygotowania, a dowiedziawszy się o co rzecz idzie, przyłączył się do żony z przedstawieniem ażebym nadal u nich pozostał.

Uległem niby ich prozbom i pozostałem.

Jakkolwiek od tego czasu więcej się strzeżono ze mną, a sama nawet gospodyni hamowała częstokroć wybuchy swjej złości, przecież ta zmiana była tylko powierzchowna, gdyż w istocie czułem, że się tak wyrażę, w powietrzu, które mnie okrażało ciągłą nienawiścią, podstępny i zły wiarę. Ludzie jacy mnie otaczali byli mi nieznajomi. Sam widok ich obudzał w duszy mojej wstręt i odrazę — nie było w ich piersiach serc, nie było w ich usposobieniu najmniejszego poczucia sprawiedliwości — tylko dzika zwierzęcość połączona z lisią przebiegłością. Nie miałem ni jednego kącika, któryby był moim własnym; nieposiadałem oprócz podróznego mantelzaka żadnego innego schowanka: cukier i herbata nikły prawie z przed oczów moich, a wiedziałem, że jak wyjdą moje szczupłe zapasy, nie będę już miał sposobności z nikąd nowych nabyć.

Czasami wychodziłem z chałupy na obszar śniegowy, wśród którego sterczało ośm chat, noszących nazwę wsi; siedłem tak z trudnością brnąc po kolana w śniegu, lub zmęczony usiadłem na zaspie dopóki mnie silny mróz nie wegnał napowrót w moje legowisko. Wycieczki powyższe nie mogły mieć żadnego celu, a tym więcej przyjemności: wychodziłem, bo szukałem zmiany, czegoś coby oderwało choć na chwilę znużającą myśl od obrazu jaki zawsze miałem przed oczami.

Jednakże i tych wycieczek wkrótce zaniechać musiałem.

Uważałem od niejakiego czasu iż dwaj osiedleńcy, wychodzili prawie zawsze z zajmowanego przez siebie domu, ile razy mnie wychodzącego widzieli. Czasem przybliżali się do mnie namawiając na kieliszek wódki, częściej zdaleka tylko śledzili moje kroki. Parę razy dostrzegłem zamienione pomiędzy nimi znaczące spojrzenia; udając że się nie domyślam ich zamiaru, zacząłem baczenie uważać wszystkie postępy tych ludzi.

Pomiędzy dziećmi moich gospodarzy, był jeden chłopak trzynasto-letni. Trudno sobie wyobrazić bardziej odrażającego stworzenia. Rudy, zyzowaty, z twarzą małą, nosem spłaszczonym przypominał powierzchownością swoją fantastyczną kreację Sue'go z Tajemnic paryża: owego koślawego Tortiliard'a syna Maitredhotel'a i Szuetty. Dusza jego odpowiadała powierzchowności: był on postrachem nietylko wszystkich dzieci osady ale i własnego rodzeństwa — dreczenie słabszych od siebie i dokuczanie każdemu, stanowiło jedyną jego przyjemność. Gdy nie miał nad kim pastwić się, zadawał bolesne katusze domowym zwierzętom. Matki swojej jedynie bał się cokolwiek — mnie, od czasu jak go obiliem za wylanie zimnej wody na pościel, nienawidził.

Otóż dostrzegłem, iż dwaj rozbójnicy mieli od niejakiego czasu z tym chłopakiem dość częste schadzki.

Pewnego wieczora gdy leżałem na moim barłogu w kącie izby niemogąc z powodu smutnych myśli, które mnie trapiły — usnąć, zdawało mi się słyszeć lekkie stuknięcie do okna.

Rudy chłopak, który siedział za piecem, zajęty struganiem kawałków drzewa, wyszedł cicho ze swego ukrycia, i obejrawszy się na mnie leżącego nieruchomie z zamkniętymi oczami, wyszedł na palcach z izby.

Zerwawszy się z posłania poszedłem ostrożnie za nim. Noc była ciemna, ale pomimo mroków panujących do koła miałem czas ujrzeć trzy postacie oddalające się szybko w kierunku jedynej w tej wiosce szynki.

Wziąwszy pistolety do kieszeni, udałem się z największą przezornością za nimi, i jak mogłem najciszej podstępnie pod okno domu, do którego weszli.

Dwaj osiedleńcy i rudy chłopak siedzieli już za stołem; przed nimi stał sztof wódki i napelnione kieliszki. Oprócz szynkarza starego pijaka i znanego złodzieja, nikogo więcej tam nie było.

Nie mogłem dosłyszeć całej rozmowy, lecz z dolatujących uszów moich urywków, dorozumiałem się łatwo o co tym ludziom chodziło.

— Widziałeś z pewnością?—pytał jeden z rozbójników.

— Widziałem—odpowiedział chłopak; same papierki czerwone, niebieskie i zielone: będzie tego z pięćdziesiąt sztuk.

— Sto rubli srebrem, a może i więcej — dodał drugi.

— Czy nie zostawia ich w mieszkaniu?

— Nigdy, zawsze przy sobie nosi.

Świst wiatru i szum zamrożonego pyłu śniegowego, który sypał się na szyby okna, nie dozwolił mi usłyszeć dalszego ciągu rozmowy.

Po jakimś czasie doleciały mnie następujące, oderwane wyrazy.

„Pistolety nabite... samotna przechadzka... wódki nie pije... zakopać w śniegu... dostaniesz od nas pięć rubli.“

To co usłyszałem było dla mnie dostatecznym. Oddałem się więc niepostrzeżony od nikogo i powróciłem do chałupy, postanowiwszy odtąd niewychodzić ani jednym krokiem za próg mieszkania.

Pod tym tylko względem przestrogi Starszyny okazały się sprawiedliwymi. Gdyby pozostała mi jeszcze jakakolwiek wątpliwość, to łaszenie się rudą poczwary i namawianie wszelkimi sposobami do użycia świeżego powietrza jasno okazywały, że słyszane w nocy urywki rozmowy, nie były czezą złudą wyobraźni.

Położenie moje nie było wyjątkowem. Zabójstwa trafiają się nader często, prawie codziennie, na Syberyjskich stepach. Wracający po odcierpieniu kary, z przymusowych robót mordercy, z pomocą ciemnej oddającej się pijaństwu ludności syberyjskich wiosek, zabijają czasami dla przywłaszczenia sobie lada drobnostki: jednego rubla, butów lub czapki. Od popełnienia zbrodni nic ich nie wstrzymuje — ani wyrzuty sumienia których nie znają, ani obawa kary

która ich osiągnąć nie może — jeżeli bowiem zbrodnia wykryta zostanie, jeżeli pomimo znacznych odległości tamujących, a przynajmniej odlekających dopełnienie formalnego śledztwa, takowe wkrótce nastąpi, to zostaną skazani do ciężkich robót, a jest dziesięć przeciw jednemu, że im się uda w czasie stepowej podróży, szukać ocalenia w ucieczce, i zmieniwszy nazwisko przy powtórnym schwytaniu, dostać się znowu za proste włóczęgostwo na osiedlenie w innej gubernię i do innej wioski. (1).

I czas włókł się znowu z przerażającą jednostajnością. Nie wychodziłem z chałupy, nie odzywałem się do nikogo: gdy głód dokuczył jadłem co mi podawano — leżałem na swoim barłogu lub siedziałem po całych godzinach, oparłszy głowę o dłoń, w stanie apaty i odrętwienia graniczących z rozpaczą.

W istocie nie można było nawet w razie zupełnej swobody ducha niczem się zająć; książek nie miałem, pisać nie mogłem bez wzniecenia podejrzeń otaczających mnie ludzi, a dzień w tych stronach podbiegunowych był nader krótkim. O godzinie trzeciej po południu już się zupełnie zciemniało; świec tu nieznano, a dostać ich z nikąd nie było można. Przez godzinę lub dwie przyświecałem sobie drzazgami — potem to chwiejące się światło gasło na kominie; wszyscy około godziny piątej udawali się na spoczynek, a ja pozostawałem sam w ciemnościach nocnych: sam ze swojemi myślami.

Chciałem sobie dłużej przyświecać łuczywem, ale mi i tego nie dozwolono, mówiąc że nie należy odróżniać się od innych, i trzeba iść spać wtedy gdy inni spać się kładą; że palenie po nocy drzazek grozi niebezpieczeństwem pożaru, i że z resztą nie mam prawa marnować drzewa, po które do lasu nie jeżdżę i którego rąbać nie chcę.

Nie mogłem nigdy zasnąć przed dziesiątą lub jedenastą

(1) Ten stan rzeczy od lat kilku uległ radykalnej zmianie. Kryminalni przestępcy obecnie odsyłani zostają na wyspę Sachalin, zkad ucieczka stała się prawie niepodobną. (Przyp. aut.).

wieczorem, przez sześć więc godzin pozostawałem sam jeden, pogrążony w zupełnej ciemności. Cisza jaka panowała wtedy była straszną — była to cisza podobna spokojowi grobowemu, z tą różnicą, że nieprowadziła za sobą jak grób zapomnienia wszelkiego złego.

Wymówką słabego zdrowia, odpowiadałem na zachęcania do kieliszka, milczeniem pogardy na zaczepki i przycinki pijaków; ale mnie te ciągle powtarzające się klótnie wrzaski i śpiewy, męczyły i rozstrajały do najwyższego stopnia.

Nie wiedziałem rzeczywiście, co było gorszego, czy cisza i ciemności wieczorne, czy hulatyki i hałasyienne. We dnie wśród krzyków i swarów pijących, wzdychałem za spokojem wieczornym — wieczorem zaś pogrążony w ciemnościach, sam sobie zostawiony, tęskniłem do światła dziennego, w której to porze przynajmniej głos ludzki będę mógł usłyszeć.

Jedną chwilą wytchnienia, było dla mnie kilka godzin snu przerywanego, gorączkowego: w tym czasie przynajmniej zapominałem o moim nieszczęśliwym losie.

Każdy człowiek chociażby w najgorszym znajdował się położeniu, w braku przyjaciół i życzliwych, znajdzie kogoś przynajmniej, przed kim poskarżyć się może, z kim podzieli myśli, u kogo znajdzie radę i pomoc moralną. Ja tego wszystkiego nie miałem — ja byłem sam: gorzej jak sam, bo otoczony ludźmi, dla których czułem pogardę, wstręt i uzasadnioną nieufność.

Ale mi pozostała jedna wielka pociecha — religija, ale miałem w sobie jedyną przyjaciółkę — myśl moją. W religii czerpałem moc ducha, meztwo i nadzieję — do myśli swojej udawałem się o pomoc i radę, jakim sposobem wyjść z nieznośnego położenia. Myśląc tak i dumając przez długie godziny, utworzyłem pewien zamiar, którego wykonanie i doprowadzenie do skutku wlało w skołataną duszę nieznaną dotąd energię.

Zamierzyłem wydobyć się z pod nieznośnej opieki moich gospodarzy, bez narażenia swego życia na pewną zgubę, O moich planach nie tylko nikomu nie wspominałem,

ale starałem się odwrócić wszelkie podejrzenia w tym względzie. Doświadczenie nakazywało mi być równie chytrem i przebiegłym jak byli chytremi i przebiegłymi moi prześladowcy.

Pewnego dnia, w chwili bytności u Starszyny innych włościan, usłyszałem jak jeden z nich opowiadał, że wydawszy córkę za mąż do innej wsi, a niechając sam mieszkać, ma zamiar przejść do znajdującej się opodal chaty syna, a chałupę swoją zamknawszy szczelnie, pozostawić opuszczoną, aż do czasu, w którym przyjąwszy parobka, będzie mógł na nowo do niej się wprowadzić.

— Nie mógłbyś mi jej nająć? — zapytałem od niechcienia.

— A na cóż? — zawoła Starszyna — mieszkać sam jeden nie możesz, bez narażenia swego życia.

— Alboż ja o tém myślę? — odrzekłem dobrodusznie — chociażby nawet i niebezpieczeństwa nie było, tobym i tak od ciebie niechciał się wyprowadzić. Mnie tu tak dobrze, tak spokojnie! — dodałem odgrywając jak mogłem najlepszą przyjętą przez siebie rolę.

Pomimo chęci i woli, ostatnie wyrazy wymówiłem z takim szyderstwem, iż gdyby Starszyna nie miał już w głowie siedmiu lub ośmiu kieliszków wódki, poznał by niezawodnie nieszczerość słów moich.

Na szczęście wyziewy alkoholiczne, nie dozwoliły mu dopatrzeć w mowie mojej niczego innego, jak tylko to co zostało powiedzianem, a gospodyni nie było natenczas w izbie.

— Na cóż więc najmujesz chałupę? — zapytał.

— Pod wieś podchodzą stada wilków, słyszę częstokroć wieczorem ich wycia: chciałbym sobie upolować kilka skór na kozuch. Zasadzić się na nich wśród nocy i zimno i niebezpiecznie; umyśliłem więc najętą chałupę otoczyć wałem ze śniegu, a w tej zasadzce bezpiecznej i cieplej, oczekiwać na dzikiego zwierza.

— A to co innego! — zawoła Starszyna — ja się nawet zobowiązuję za pięć rubli srebrem, opasać nieprzebytym wałem śniegowym całą chatę.

Nadzieja zysku, przygłuszyła w samym zarodzie myśl jakiegobądź podejrzenia.

Włościanin zadowolony z niespodziewanego zarobku, chętnie się zgodził na wynajęcie chałupy.

Nazajutrz, gospodarz mój przy pomocy kilku innych chłopów, wziął się z całą usilnością do ufortyfikowania tego schronienia, nie domyślając się bynajmniej, iż przeciwko własnemu działał interesom.

Wszyscy byli zadowoleni:

Starszyna i jego żona, cieszyli się, że z małym trudem pięć rubli wpłynęło do ich kieszeni.

Właściciel chaty, cieszył się, że wynajmuje chałupę, która bez tego nic by mu nie przynosiła.

Dwaj osiedleńcy cieszyli się, że moje wycieczki do przeznaczonego na myśliwską zasadzkę domu, dadzą im nakoniec sposobność wykonania powziętych względem mnie zamiarów.

Ich wspólnik, rudy chłopak, cieszył się, że przyobiecana przez rozbójników nagroda go nie minie.

Ja zaś cieszyłem się, że ich wszystkich potrafiłem wprowadzić w pole.

Robota, którą sam dozorowałem, postępowała szybko. Wały ze śniegu wysokie na osiem łokci, okoliły chatę i podwórze. Te wały grube i ostro u szczytu zakończone, kazałem polewać wodą, dopóki ich półłokciowa warstwa lodu nie pokryła; wiadomo że w tym klimacie, woda marznie natychmiast, mur więc śniegowy stał się twardym jak opoka, a ślizgość pokrywająca go, połączona z wysokością sprawiły, że stanowił lepszą zaporę, jak wszelkie palisady i fosy forteczne.

W czasie trwania tej roboty, udało mi się zrobić bardzo potrzebny nabytek. Od jednego z chłopów kupiłem za dwa ruble drzwi żelazne. Drzwi te małe, grube z ogromnym kluczem, przypominały powierchownością swoją wchodowe zamknięcie grobów na cmentarzach. Jakim sposobem znajdowały się one w posiadaniu chłopca, nie uznałem za stosowne dopytywać; sądzić jednak można było, że pierwotny ich właściciel, przywłaszczył je sobie przy okradaniu gro-

bowych pieczar, który to rodzaj przemysłu, nader często bywa w tych stronach praktykowanym.

Ale w położeniu mojem nie wypadło być nader skrupulatnym.

Wyrażano odpowiedniej wielkości otwór w śniegowym murze, opatrzone boki otworu słupami drewnianymi, i drzwi umocowano. Poczem w górze kazałem wyrąbać jeszcze małe ckienko, a w bocznych ścianach strzelnice.

Kiedy Starszyna z przybranymi do pomocy sąsiadami, zajęty był ukończeniem tej mniemanej myśliwskiej zasadzki, ja ze swjej strony nie traciłem napróżno czasu. U jednego chłopca kupiłem całego zamrożonego wołu, u drugiego takimże sposobem zakonserwowanego wieprza, u trzeciego spory zapas kartofli, marchwi, mąki i innych do życia potrzebnych produktów; a korzystając pewnego razu z chwili, w której mój gospodarz wywiązawszy się z zadania, zajęty był sądzeniem jakiejś sprawy, kazałem mięso zanieść do lochu najętąj przezemnie chałupy, a inne wiktuały do komory. Jednocześnie, zapłaciwszy na się rozumieć podwójną cenę, zakupiłem i poleciłem znieść na podwórze improwizowanej fortecy, od jednego z sąsiadów przygotowane na całą zimę do opału drzewo, niezapomniawszy także o innych potrzebnych w gospodarstwie przedmiotach.

Powyższe kupna, dokonywane bez targu, skutecznilem tak prędko, że Starszyna jeszcze sprawy nie rozsądził gdy już wszystko było gotowem.

Wtedy głównemu liwerantowi, chłopu który najwięcej na mnie zarobił, poleciłem zanieść za sobą moje mantelzaki i rzeczy do najętego domu.

— Co robicie? — zawołał na wpeł pijany Starszyna, widząc włościan niosących za mną tłumoki.

— Jak widzisz — rzekłem oddalając się szybko — chcę spróbować mojego nowego mieszkania.

— Jakiego mieszkania? — zapytał rozmarzony wódką, wytaczując się za nami z chałupy — to nie jest żadne mieszkanie, to zasadzka na wilki.

— Gwałt! rozbój, ucieczka! — krzyknął jego żona wypadając z rozczochranemi włosami z kuchni.

Ale już było za późno: włóścianie wrzucili na podwórze tłumoki, wsunąłem im w ręce należną zapłatę, i wszedłszy do środka twierdzy zamknąłem drzwi żelazne na podwójny spust.

Mój dawny gospodarz i jego żona znaleźli przed sobą nieprzebytą zapórę.

Wtedy wlaźszy na drabinę, uchyliłem znajdujące się u szczytu małe okienko, i spojrzawszy z góry na moich nieprzyjaciół, zapytałem z najzimniejszą krwią w świecie:

— Czego odemnie żądacie?...

Położenie moje było nader dramatycznym. W pośrodku dzikiej pustyni, w małej złodziejskiej osadzie, w fortecy ze śniegu zbudowanej, znajdowałem się sam jeden przeciwko wszystkim moim prześladowcom: ale oddychałem swobodnie bo wiedziałem, że już mi nic złego zrobić nie są w stanie.

— Czego żądamy? najprzód ja, pierwszy urzędnik tej wioski, zapytuję ciebie jakim prawem okłamałeś nas opowiadając bajki o mniemanem polowaniu na wilki, jakim prawem nieuprzedziwszy nikogo wyniosłeś się z naszego grona?

— Jakiem prawem — dodała jego żona, zgrzytając ze złości zębami, i podnosząc w górę zaciśnięte pięści — wyprowadziłeś tego głupca mego męża, w pole — i otumaniłeś go do tego stopnia, że ci sam jeszcze własnymi rękami budował twoją kryjówkę?

— To ci nie ujdzie tak na sucho! — mruczał zawstydzony Starszyna.

— Będzie śledztwo, będzie sąd, będzie straszna kara!... krzyczała jędza.

Hałas i krzyk zgromadził wszystkich mieszkańców osady, u podnóża improwizowanej twierdzy. Pijane chłopcy, wrzaskliwe baby, obszarpane dzieci, cisnęli się tłumnie koło żelaznych drzwiczek: nie brakło i dwóch osiedleńców, jakoteż rudego ich pomocnika.

Gdy się wrzawa cokolwiek zmniejszyła podniosłem głos:

— Jakiem prawem, pytasz mnie Starszyno tej wioski, wyniosłem się z twojego mieszkania: tém prawem jaki ma każdy człowiek szukania miejsca dogodniejszego dla siebie na przytułek. Za izbę z góry zapłaciłem, miesiąc jeszcze nie upłynął — mogę więc rozporządzać sobą jak mi się podoba. Dlatego zaś nieobjawiłem ci mego zamiaru poprzednio, boś chciwy i chytry: szukałbyś wszelkich sposobów do przeszkodzenia przeprowadzeniu się mojemu, któreby ci nie dozwalało dalej mnie obdzierać. Robotę postawienia śniegowego muru zgodziłem za pięć rubli, które ci dzisiaj przy świadkach wręczyłem. Nikomu nic winien nie jestem i nic od was nie żądam — pozostawcie mnie więc w spokoju.

Starszyna słysząc powyższe słowa, zakłopotał się nieco, a może też i wyziewy alkoholiczne nie dozwoliły mu zebrać natychmiast myśli, lecz jego żona nie pozostała dłużną w odpowiedzi:

— Żaden osiedleńca nie ma prawa, odłączać się od przeznaczonj mu na mieszkanie gminy — on na to zesłany, ażeby żył z miejscowemi mieszkańcami, dzielił ich trudy i prace, uprawiał syberyjską ziemię, i przyczyniał się do rozwoju ludności. Dla czego więc zamknąłeś się w swj wilczej jamie?

— Dla czego odłączyłeś się od gminy?.. — zapytał ktoś z tłumu.

— Dla czego chcesz być innym jak drudzy?

— Czyś lepszy od nas?

— My na to nie pozwolimy!

— Jest prawo...

Tu już brakło mi cierpliwości.

— Odłączyłem się od was, boście wszyscy bez wyjątku oszusty, złodzieje i pijaki — odłączyłem się od was, bo dla takich ludzi jakimi wy jesteście, czuć tylko można wstręt i pogardę. Zamknąłem się tu uciekając przed twoją złością babo jędzo, przed waszemi pijatykami szanowni sąsiedzi, przed waszemi zbójeckimi nożami, koledzy osiedleńcy. Gniewa was to, że mnie niebędziecie mogli dalej obdzierać, gniewa was to, że z was wszystkich zdrwiłem sobie — ale wasz gniew jest dla mnie zupełnie obojętnym. Do siebie

nikogo nie wpuszczę, przez górę lodową nikt nie jest w stanie przeleźć, a skarżyć mnie możecie: i owszem niech zdadą urzędnicy na śledztwo, może przy tej sposobności wysledzą takie rzeczy, które niejednego z was kłopotu nabawią.

I znowu nastąpiła chwila milczenia.

Najzawziętsza jednak moja nieprzyjaciółka, żona Starszyny, zawołała wkrótce z radością:

— Nie posiedzisz tam długo ptaszku: znajdziemy na to sposób!

I odwracając się do otaczającego ją tłumu, dodała:

— Pamiętajcie, żeby nikt nie ważył się niczego mu dostawiać.

— Chcesz mnie ogłodzić babo — rzekłem — w istocie dobry sposób, tylko na nieszczęście zapóźno o nim pomyślałaś. Mam wszystko czego mi potrzeba.

Włóścianie od których zakupiłem zapasy żywności, objaśnili dygnitarce moje słowa.

Tu już wściekłość i gniew upokorzonej jędzy nie miały granic.

Bezsilna jej złość objawiła się w złorzeczeniach i przekleństwach. Wymyślała chłopom, wymyślała mnie, wymyślała światu całemu, a nieszczęśliwy jej mąż stał się koźlem ofiarnym, i za wszystkich odpokutował. Ja zaś zadowolony otrzymanem zwycięstwem, nie czekałem rozwiązania tragedji, i opuściwszy punkt obserwacyjny stanowiący niejako łożę pierwszego piętra tego stepowego widowiska, cofnąłem się w głąb z takim trudem zdobytych posiadłości.

Napaliwszy w piecu, zająłem się rozpakowaniem moich mantelzaków, urządzeniem mojego małego gospodarstwa, i przygotowaniem strawy.

Jakkolwiek niejednen z pieszczochów losu, który nigdy nie przechodził przez cierniowe drogi żywota ludzkiego, uważałby moje położenie za szczyt nieszczęścia, ja je przyjąłem jako łaskę najwyższego, jako opiekę niebios, i padłszy na kolana podziękowałem z uczuciem najżywszej wdzięczności Bogu za wybawienie mnie od grożącego zewsząd niebezpieczeństwa.

Każdy człowiek potrzebuje towarzystwa, tęskni za ludźmi, ta samotność w zwykłych warunkach życia jest straszna i trudną do przeniesienia — lecz tu było zupełnie co innego: tu odosobnienie stało się potrzebnem, koniecznem, i stanowiło jedyny środek wyjścia z niecznośnego położenia.

W rozmaitych przejściach nieszczęśliwego mego losu, nie doświadczyłem nigdy tego co mnie spotkało w tych dzikich stepach. Dotąd bowiem otoczony zawsze byłem ludźmi z chrześcijańskimi pojęciami, którzy pełniąc przyjęte na siebie obowiązki, umieli sposobem wzięcia się złągodzić przykreść położenia: jedno nic, jedno słówko życzliwe, jedno spojrzenie sympatyczne, bywało niekiedy nieocenionym skarbem dla tego, który straciwszy wszystko, chwycił każdą złudę jako obronę przeciwko rozpaczcy i wątpieniu.

Tu nic podobnego nie istniało, tu w miejscu ludzi była dzicz bez serca, bez uczuć, bez litości nawet — nie mająca z człowiekiem nic wspólnego prócz kształtów jego.

Kto więc wejdzie w okropność poprzedniego położenia mego, ten pojmie radość jakiej doznałem oswobodziwszy się z ich opieki. Oprócz tego instynktowo czułem grożące mi niebezpieczeństwo, znajdując się w pośrodku tej czerni. Byłem pewnym, że prędzej lub później, dwaj rozbójnicy z pomocą rudego powiernika, lub ktokolwiek inny z mieszkańców osady przy lada zapomnieniu, lub nieostrożności z méj strony, wykona zbrodniczy zamach na życie moje. Śmierć mnie nie zastraszała, owszem, bywały chwile, w których z przyjemnością myślałem o możliwości zakończenia cierpień moich — ale widzieć nad sobą, niby miecz Damoklesa, w każdej godzinie dnia i nocy, wzniesiony nóż zabójczy, staje się trudną do wypowiedzenia męczarnią. A jam zdołał uniknąć tego wszystkiego i siłą własnej woli bez niczyjej pomocy, wydostać się z domowej niewoli Starszyny, i niebezpiecznego towarzystwa moich sąsiadów.

Było więc z czego radować się, było za co dziękować Najwyższemu!

Urządziłem się w mojem nowém mieszkaniu jak mogłem najlepiej. Pamiętając o tém, że sam sobie starczyć muszę, że nie mam nikogo do pomocy — postano-

wiem rozkład całodziennych zatrudnień. Napalenie w piecu i przyrządzenie strawy, zajęło cały ranek. Posiliwszy się odpoczywałem cokolwiek, a wieczorem skracałem długie i jednostajne godziny, przygotowując zapasy rąbanego drzewa, rozstapiając śnieg na wodę do picia, samowaru i gotowania. Wszystkie te prace wykonywałem z ochotą, bo one wypływały z własnej woli nie zaś z przymusu. Rozrywkami mojemu było kilka książek i talia kart: ażeby nie pochłonać od razu szczupłego zapasu umysłowej pociechy, postanowiłem sobie przeczytać więcej jak pięć stronnic dziennie. Czytałem wolno, zastanawiając się nad każdym peryodem, rozbierając każdą myśl zawartą w książce, dopełniając ją własnymi uwagami, a tym sposobem kilka stronnic zajmowały mi parę godzin czasu. W końcu doszedłem do przekonania, że tym sposobem czytane, a lepiej powiedzciec studyjowane dzieło, prawdziwy i rzeczywisty dla umysłu może przynieść pożytek.

Posiadana talia kart była niewyczerpanym skarbem. Ciągnęłem wszystkie znane mi passyanse, wymyślałem nowe, tworzyłem przeróżne kombinacje.

Gdy przeszedł czas naznaczony do rozrywek, brałem się do modlitwy.

Nieszczęśliwi tylko i opuszczeni od ludzi, pojąć i zrozumieć mogą jaką pociechę wlewa wiara w serce człowieka. Ona ukrzepia i umacnia ducha, który inaczej zgiął by się pod brzemieniem przygniatającego go ciosu — ona obdarza go najwyższem dobrodziejstwem: nadzieją — ona nakoniec każe znosić wszelkie cierpienia bez szemrania, z poddaniem się wyrokowi opatrności.

Człowiek nie posiadający wiary, jest dwakroć nieszczęśliwym: i przez samo nieszczęście, i przez męczarnie jakie się wyradzają w oschłem ze źródeł miłości sercu.

Modlitwa z głębi ducha płynąca, jest to rodzaj rozmowy ze swoim Stwórcą. Ja wtedy nie byłem sam na świecie, ja czułem obok siebie tajemną i niewidzialną obecność Boga: każdą dobrą myśl, która zajaśniała w mój głowie przyjmowałem z wdzięcznością jako nowy dowód Jego łaski, ku podniesieniu mego jestestwa zesłany, a wszystko co

dotąd przeszedłem, wszystkie udęczenia, które mnie jeszcze w przyszłości czekały, uważałem za potrzebną próbę do udoskonalenia się wewnętrznego i poprawienia z wad i błędów służącą.

Niektórych modlitw i pieśni nabożnych nauczyłem się na pamięć. Prostota ich odpowiadała najzupełniej mojemu usposobieniu — gdyż ja nieunosilem się na skrzydłach wyobraźni, ale żyjąc życiem czynu, rzeczywistością codziennych, materialnych zajęć, naginałem i ducha swego w ten obręb małego światka mych zachceń i potrzeb.

I byłem sam — i żadne oko nienawistne, nie śledziło moich kroków lub czynności, żadne podejrzliwe zapytanie nie przerywało moich dumań, żadne złowrogie zasadzki nie groziły mi niebezpieczeństwem.

Dziękowałem Bogu za tę samotność.

Tymczasem upływały godziny nie przynosząc żadnej zmiany w mojem położeniu. Dwa tygodnie minęło od chwili, w której odłączyłem się dobrowolnie od wszelkich żyjących istot, a ja nie tylko nigdy nie żałowałem tego co uczynił, lecz nawet powoli zacząłem się przyzwyczajać do swojego losu. Zapasy żywności jakie posiadałem na długi czas mogły wystarczyć — ciągły mróz potrafi ochronić mięso od zepsucia; ale na nieszczęście nie we wszystkim byłem tak bogatym: szczupła ilość tytoniu nakazywała nader oszczędnie obchodzić się z tym przedmiotem umilającym samotne chwile — dla tego więc bardzo rzadko pozwalałem sobie rozkoszy palenia fajki. Zajęty domowem gospodarstwem, niekiedy tylko udawałem się do obserwacyjnego okienka, ażeby wyjrzyć co się dzieje na świecie. Bo i jakież widok mnie tam czekał? Step śniegowy, osiem chat i pijackie krzyki ludzi, którzy w tych chatach mieszkali! Bezporównania lepsze to *Omnia mea* ta chałupa na wpół w ziemię zapadła, to małe podwórko ze stajenką, gdzie chowam drzewo i sprzęty gospodarskie — i te ogromne mury ze śniegu, które mnie oddzielają od reszty świata.

Czasami jednak gdy spojrzę na białe, wysokie i ostro zakończone wały, przychodzi mi do głowy myśl straszna:

Ja się boję wiosny!

Wiosna, pod której dobroczynnym wpływem wszystko ożywia się, rośnie i cieszy, — w której przyroda w świeże przybrana szaty łąni szczęściem i rozkoszą, w której każde stworzenie oddychające aromatycznym balsamem eteru, podnosi dziękczynny głos do Stwórcy, dla mnie jednego na całym świecie wyraża wprost przeciwne uczucia.

O bo ja myślę wtedy, że te promienie słońca niosące dla każdego pociechę i szczęście, roztopią mur dobroczynny, i otworzą złowieszczą czerni wchód do mego tymczasowego schronienia.

Ale staram się wszelkimi siłami oderwać myśl od podobnego przypuszczenia, ażeby nie zatracić tej mocy ducha, tej energii zaczerpniętej w ciągłej walce z losem, jakie mnie dotąd utrzymują. Wszakże do wiosny daleko jeszcze — zima w tych stronach podbiegunowych trwa długo, a przez ten czas wiele rzeczy zmienić się może.

Miejmy więc nadzieję. Bóg który pamięta o najdrobniejszym stworzeniu, który rozciąga opiekę swoją na zaledwie dojrzone okiem ludzkim żyjątko, miałżeby o mnie jeddym zapomnieć?

Umocniony na duszy wiarą w wszechwładną opatrność, powracałem do zatrudnień, które z mechaniczną jednostajnością następowały jedno za drugimi. Były one koniecznymi warunkami materialnego bytu, a ta konieczność właśnie sprawiała, że nie chcąc w żadnym razie uchylić się od nich, pracowałem częstokroć w pocie czoła, i pracą tą zagłuszałem smutne, cisnące się gwałtownie do głowy myśli, jakieby może przy innych okolicznościach doprowadzić mnie mogły do rozpacz i zwątpienia.

I znowu przeszedł tydzień. Cisza jaka tu panowała, przerywaną zostawała wieczorem szczególnego rodzaju muzyką:

Była to serenada, którą mi dawali mieszkańcy tych śnieżnych przestrzeni: zgłodniałe syberyjskie wilki.

Jakkolwiek jestem w ogólności zwolennikiem muzyki, a część jej wokalną przekładam nad wszelkie instrumentalne wykonanie, tym razem jednak stepowy koncert nie mógł mnie zadowolnić. Owo przeciągłe, żalosne, i jednostajne

wycie rozlegające się pośród ciszy nocnej, niewypowiedzianie przykre obudzało uczucie. Nastrojona do przejmowania smutnych wrażeń wyobraźnia, przedstawiała moje schronienie jako wielki grób, a przeraźliwe głosy tych mieszkańców pustyni, jak pieśń pogrzebową wykonaną nademną, odłączonym od całego świata żyjącym trupem. Próżno starałem się oddalić myśl swoją od tych obrazów, próżno próbowałem otrząść ducha z przesładujących go widziadeł: piekielna owa muzyka działająca na rozgorączkowane usposobienie, na rozstrojone cierpieniem nerwy, pograżała mnie zawsze w pełne gorczy dumania. Samotność, której poszukują częstokroć szczęśliwi dla swobodnego popieszczenia się ze skarbami miłych wspomnień, może być wtedy tylko znośną dla uciśnionych, jeżeli ci zdołają oddalić od umysłu swego niebezpieczne podszepty wyobraźni; ale zwykle, pomimo wszelkich usiłowań, zewnętrzne wrażenia stają się podniecią do rozbudzenia uspiącej myśli, iskrą wzniecającą ogień imaginacji, tym silniej wybuchający, z im większym staraniem zatajony był w tajnikach duszy.

Po kilkunastu dniach powtarzające się peryodycznie co noc wycia wilków, stały się dla mnie niepodobnymi do znieśnienia.

Zniecierpliwiony do najwyższego stopnia, wziętem pewnego wieczora fuzyę do ręki i poszedłem walczyć z tymi nowymi nieprzyjaciółmi mej spokojności.

Przybliżywszy się do wału, wyjrzałem przed jeden z wąskich podłużnych otworów wyrąbanych w lodzie. W pierwszej chwili, przyzwyczajone do światła ogniska kominkowego oczy, nie mogły niczego w pośród białej przestrzeni rozeznąć. Potem dopiero, stopniowo rozróżniłem na śnieżnym obszarze przesuwające się białe postacie. Wilków znajdowało się tam ze sześćdziesięciu: jedne chodziły wolno wachając po ziemi, inne usiadłszy na tylnych łapach i podniósłszy łby do góry, były przeraźliwie; wszystkie były sporego wzrostu, siwawe, z oczami świecącymi jak rozpalone węgle.

Wysunąłem lufę przez otwór, zmierzyłem do najbliżej

siedzącego, padł strzał, — zwierzę podskoczywszy w górę potoczył się po śniegu, drgając śmiertelnymi ruchy.

Nastąpiła chwila ciszy, umilkły wycia i skowyczenia, a dzikie zwierzęta zdziwione tą zuchwałą zaczepką, starały się odgadnąć niewidzialnego nieprzyjaciela.

Owa spokojność jednakże nader krótko trwała.

Nagle cała gromada rzuciła się na wał, ale próżne były ich usiłowania—warstwa lodu stała się dla mnie obroną: po ślizgiej, gładkiej i twardej jak zwierciadło powierzchni okopu zsuwały się ich pazury.

Doprowadzone do wściekłości zwierzęta tą przeszkodą, podwoiły ataki, i niezrażone niepowodzeniem próbowały szalonymi skoki dostać się na wierzch lodowego muru—przy największym jednak rozpędzie nie zdołały tego dokonać.

Tymczasem nabawiwszy broń wypaliłem raz jeszcze.

Za rozpraszającym się po wystrzale dymem, ujrzałem jednego z wilków, który wlokąc z trudnością swoje cielsko na trzech łapach, napelniał powietrze żalonymi jęki. Jego towarzysze widząc, że dalszy pobyt w tych miejscach jest dla nich niebezpiecznym, a zemsta w tej chwili przy najmniej niepodobną do wykonania, oddalili się szybko.

Ja przemyślałem jakim sposobem dostać ciała poległych wrogów, bo i drugi uszedłszy kilkadziesiąt zaledwie kroków, rozciągnął się na śniegu — ale zamiar mój był trudnym do wykonania. Wyjść na chwilę z obronnej pozycji, i korzystając z cieni nocnych przywlec zabitych, byłoby niczem, gdyby nie ta okoliczność, że opodał w odległości, mniej więcej dwóch strzałów, wzrok mój przyzwyczajony do ciemności nocnej, różnił najwyraźniej snujące się pastacie dzikich zwierząt, które zapewne instynktowo oczekiwały na moją wycieczkę. Gdybym wyszedł, wilki rzuciły by się niezawodnie na mnie i rozszarpały na sztuki. Chęć posiadania miękkich i ciepłych ich futer, nie była do tego stopnia posunięta, żeby pozwalała wystawiać swe życie na oczywistą zgubę.

Wiedząc że one jako przezorne z natury, nie ośmielają się nigdy przy świetle dziennym zbliżyć do mieszkań ludz-

kich, umyśliłem czekać do jutra dla zabrania łupów mego nad nimi zwycięstwa, i porzuciwszy pole walki udałem się na spoczynek.

Nazajutrz równo ze świtem, udałem się w to samo miejsce, i spojrzałem przez otwór — lecz któż zdoła opisać zdziwienie jakiego doznałem, nie ujrawszy na pustym obszarze, zabitych wczorajszej nocy przezemnie zwierząt. Gdyby nie ślady krwi na śniegu, mógłbym sądzić, że całe to zdarzenie było tylko grą rozmarzonej wyobraźni. Z początku sądziłem że oddalające się wilki zawlekły ze sobą poległych, ale wkrótce przekonałem się, iż przyczyną ich zniknięcia był całkiem inny powód. Ślady stóp ludzkich, wyciśnięte na śniegu, pokazywały jasno, że moi sąsiedzi, włościanie osady, usłyszeli wystrzały, zbadali ich przyczynę, i przywłaszczyli sobie trofea wojenne.

Sic Vos non Vobis.

Jest to zwykła i niezachwiana kolej rzeczy na tym świecie.

W kilka dni po tém zdarzeniu, zaszedł w dziejach smutnego mego życia wypadek niezwykły,—wypadek, którego możliwości nigdy dotąd nie przypuszczałem.

Zjawił się u mnie gość niespodziewany! Czy pojmujecie kochani czytelnicy ile w tym jednym wyrazie mieści się domniemań, wniosków, i przypuszczeń? Gość w tej pustyni, w podobnym zamknięciu i odosobnieniu, jest wypadkiem tak dalece wychodzącym ze zwykłego trybu przyjętego przezemnie życia, iż należy wyjaśnić szczegółowo, co dało powód temu nadzwyczajnemu zjawieniu.

Rzecz się tak miała.

Starszyna rozgniewany że go potrafiłem wyprowadzić w pole, podburzony do tego przez żonę, podał na mnie zażalenie do Urzędu gminy. Jaką była osnowa tej skargi zgadnąć łatwo: starano się przedstawić postępowanie moje w niekorzystnym świetle, rzucając podejrzenie iż mam zamiar chronienia się ucieczką. Zarząd gminy otrzymawszy podobne ostrzeżenie, nie mógł inaczej uczynić jak przysłać na wyśledzenie prawdy jednego z kancelistów. Ta to wła-

śnie osobistość przybywająca w urzędowym charakterze, była owym niespodzianym, nieoczekiwanym przezemnie gościem.

Dowiedziawszy się przez otwór służący mi do komunikacji ze światem o co rzecz chodzi, wpuściłem nowo przybyłego do wnętrza śniegowej twierdzy, zamykając Starszynie, który także starał się wtłoczyć w obręb moich posiadłości, żelazne drzwi przed nosem.

Opowiedziałem w krótkich słowach pomocnikowi pisarza cały bieg wypadków, objaśniłem swoje położenie, niepomijając opisu wszystkich męczarń jakie znosić musiałem mieszkając u Starszyny, jakoteż niebezpieczeństw, które mi groziły od czyhających na moje życie rozbójników. Przedstawiłem że prawo pozwala każdemu z zesłanych żyć jak mu jest dogodniej, czy to w towarzystwie czyli też w samotności; dodając że mieszkanie w odosobnieniu a żądza ucieczki, są to rzeczy wprost sobie przeciwne i nie mające pomiędzy sobą najmniejszego związku.

Przysłany kacelista przekonawszy się o gruntowności przytoczonych przezemnie dowodów, a więcej może wzruszony odpowiednim upominkiem, jaki osądziłem za stosowne dla poparcia mojego rozumowania go obdarzyć, przyznał mi zupełną słuszność, piorunując na Starszynę, jego żonę, rozbójników, i przysięgając że przedstawi zwierchnika osady do kary za zrobienie fałszywego raportu o mojem postępowaniu.

Poradził mi również napisać ze swój strony podanie po urzędu gminnego, żądając przeniesienia w inne dogodniejsze miejsce. Jestem przeciwnikiem wszelkich prośb, skarg i zażaleń; ażeby jednak nie pominąć dobrej sposobności wydobycia się z nieznośnego położenia, napisałem podanie ale zupełnie innej treści.

Nie uskarżałem ja się na swój los, nie prosiłem o przesiedlenie do drugiej wsi, lecz żądałem na mocy prawa, które obowiązane jest czuwać nad życiem każdego człowieka, o dodanie odpowiedniej straży mającej zadanie zasłonić mnie od grożącego niebezpieczeństwa.

Przedstawienie to w energicznych wyrazach streszczone

wręczyłem nowo przybyłemu, który zobowiązał się złożyć je gminie.

Człowiek jest istotą stworzoną do wspólnego życia. Zdawać by się mogło że w tych pustyniach, pomiędzy ludźmi na wpół dzikimi, niemającymi najmniejszego pojęcia o wzajemnych stosunkach społecznych, których uczucia skryształizowane podbiegunowym mrozem nie są w stanie rozwinąć się, najlepszą byłaby samotność — a przecież tak nie jest. Natura dopomina się praw swoich, człowiek tęskni do człowieka, pragnie jakiegokolwiek bądź towarzystwa, które chociaż niewystarczające, pokrzepia go przynajmniej tą myślą, iż nie sam jeden istnieje na świecie.

Ja sam pragnąłem samotności, a nawet zdobywszy ją sobie z takim trudem, byłem z niej zadowolonym. Chociaż częstokroć tęsknota opanowywała me serce, nie żądałem nigdy powrócić w grono ludzi przeznaczonych mi losem za towarzyszy; ale niechęć moja nie była niechęcią do świata ani też mizantropią: ona wypływała z uczucia niewypowiedzianego wstrętu, jaki otaczająca mnie czerń na moim umyśle wywarła. Ujrawszy człowieka, który nie należał do rzędu moich prześladowców, jakkolwiek człowiek ten był prostym i nieokrzesanym, doznałem prawdziwej radości.

Poilem się dźwiękiem jego głosu, chwytałem chciwie każdy wyraz wymówiony, starałem się nastroić ducha do pojęć i wyobrażeń mojego gościa — a jednak głos ten był ochryply, wyrażenia nie estetyczne, pojęcia zacofane. Ja tego nie widziałem. Owa twarz gruba, nabrzękła, o czerwonym nosie, szerokich głupowato śmiejących się ustach, była dla mnie miłą i sympatyczną, owe ruchy niezgrabne, ociężałe, miały w oczach moich pewien powab naiwnej prostoty; a nakoniec owe częste przekleństwa, mieszające się mimowolnie ze zwrotami każdej jego rozmowy, sprawiały wrażenie szorstkiej wprawdzie, lecz wesołej humorystyki.

Zastanawiając się później nad uczuciem zadowolenia jakiego po przybyciu tego człowieka w moje ustronie doznałem, pojąłem jakim sposobem ludzie, młodzi szczególnie, żyjąc długo w nieodpowiedniej do ich początkowego wy-

chowania sferze, zatracają stopniowo wszystkie cechy powierzczonej grzeczności i obycia się ze światem. Samotność jest tak straszną, potrzeba towarzystwa tak konieczną dla każdego człowieka, iż niemający wyboru bierze to co jest, a naginając pierwiastkowe swoje usposobienie do pojęć tych którzy go otaczają, niepostrzega się iż po upływie niejakiemu czasu, stanął z niemi na równi.

Przejęty opisanemi powyżej wrażeniami, starałem się wszelkimi sposobami zatrzymać jak najdłużej u siebie pożądanego gościa, ale obowiązki, których się podjął, nie pozwoliły mu dłużej pozostać.

Odjechał więc—a samotność do której począłem już poprzednio powoli przywykać, stała się dla mnie nieznośniejszą; cisza otaczająca mnie przyjęła charakter bezwarunkowego, grobowego milczenia. Uczułem w głębi duszy smutek którego wprzódy nie znałem, zniechęcenie jakie nigdy dawniej nie bywało moim udziałem.

Wziąłem się do zwykłych zatrudnień i zajęć, a nie mi nie szło tak składnie jak wprzódy. Ochrypli i przepity głos kancelisty, rozlegający się przez kilka godzin w mojem ustroju, przypominał mi świat i ludzi od których się odłączyłem, i poruszył na nowo drżące wspomnienia w głębi mojej duszy. Cofnąłem się myślą w przeszłość tak pełną odczarowań i cierpień, ale w której przynajmniej żyłem i działałem. I zamęt wiosny młodocianego życia, i próby literackie, i podróże po odległych krajach, i śmierć drogich sercu memu osób, i okrutne ciosy przeznaczenia, widziałem jasno, wyraźnie. Kilka chwil szczęścia, z długimi latami cierpień, nadzieje ze zwątpieniem, troski ze złudnemi błyskotkami marzeń — a nakoniec owa ciągła walka z zawistnym losem, który mnie zawsze i wszędzie przesładował — wszystko to zmieszawszy się w jeden chaos przesuwano się w mojej wyobraźni; najdrobniejsze szczegóły ubiegłego żywota, stanowiące niejako bolesny przedwstęp do strasznego epilogu, stanęły przedmym umysłem żywo, niemal dotykalnie. Smutne one były: dwie anielskie istoty czułą matkę i cnotliwą towarzyszkę życia Bóg zabrał do siebie... Dziś wypadki te przeszły, zniknęły i stały się tylko ubie-

głem wspomnieniem, a jednakże wtedy jabym z rozkoszą zamienił obecność na najsrozsze cierpienia, aby tylko żyć, poruszać się i czuć jak czują drudzy ludzie.

Może znalazłaby się w obojętnym tłumie choć jedna istota litująca się nad mém nieszczęściem! Doznane współczucie jest jak balsam przyłożony na niepodobną do wyleczenia ranę: nie goi jój ale zmniejsza męczarnie.

Tu można swobodnie cierpieć, jęczyć, rozpaczać, a nikt nie domyśli się cierpienia, jęku nie usłyszy, rozpaczy nie odgadnie—można leż w niemocy, a nikt nie poratuje, umrzeć, a śmierć przyjdzie niepostrzeżona.

Czasami stanie mi na myśli fantastyczna kreacya Dumas'a w powieści „Hrabia Monte Christo.“ Położenia Dantona oderwanego od wszelkich żyjących istot i zamkniętego w podziemiach zamku If, było podobnym pod niektórymi względami do mojego obecnego położenia; przecież i ten nieszczęśliwy, nie widząc do koła siebie nie oprócz czterech wilgotnych ścian swojego więzienia, potrafił przebić grób granitowy i wyszukać sobie przyjaciela.

Przyjaciela!... jakże ten wyraz brzmi słodko, dźwięcznie, rozkosznie!

Ale mógłbym iść kiedykolwiek za jego przykładem? Po za czterema ścianami lodu, jakie mnie otaczały był świat, żyli ludzie; wstępu do tego świata nikt mi nie wzbraniał a jednak wyjść ztamtąd nie mogłem...

Trzeba więc poddać się smutnemu losowi, otrząść umysł z wszelkich zadumek tyle zgubnych w samotności, i wiaść się do mechanicznej pracy, jedynego środka zdolnego zagłuszyć rwącą się naprzód myśl rozbolełą.

Ująwszy siekiere zacząłem rąbać drzewo. Rąbałem zawzięcie: szczapy pękaty pod uderzeniem żelaza, wióry przyskały na wszystkie strony, rozlegający się trzask przerywał ciszę wieczorną. Siły ustawały, pot oblewał moje czoło, a ja rąbałem ciągle, rąbałem z dziką energią, z wściekłością, zapominając o wszystkim co mnie otaczało... nareszcie siekiera wysunęła się z rąk moich, a ja osłabiony, bezsilny, upadłem na podłogę bez przytomności.

Jak długo pozostawałem w tym stanie omdlenia, niewiem. Gdy przyszedł do siebie, już słońce wysoko podniosło się na horyzoncie.

Czułem nieznośny ból głowy i silną gorączkę— chciałem powstać z miejsca, nie mogłem: zaledwie z wielką trudnością zdołałem się zawlec na moje posłanie.

Choroba zaczęła szybko rozwijać się. Przyszło mi na myśl że może nadejdzie chwila, w której wcale nie będę się mógł ruszyć z mojego posłania: przywlokłem więc do siebie kubeł wody i kilka bochenków chleba.

Tym sposobem zabezpieczyłem się od śmierci głodowej.

Pomocy żadnej znikąd mieć nie mogłem. Gdybym nawet był w możności uwiadomić o moim stanie ludność osady, to i tak nieuczyniłbym tego. Widząc co się ze mną dzieje, doprowadzili by oni poprzednie swoje zamiary do skutku.

Skonać pod nożem albo być zamorzonym głodem—dwie ostateczności!

Jednak i wybór był tu niepodobnym. Głosu w piersi nie stało, a gdybym potęgą wysilenia zdołał wydobyć z siebie krzyk wzywający o ratunek—niktby mnie nie ułyszał.

Podburzone gorączką myśli cisnęły się gwałtownie do głowy; w czasie choroby, której długości trwania niepodobna mi było oznaczyć, tysiące obrazów, niby szereg widm, przemknęło się przed zemdłonemi powłoką zbliżającą się śmierci oczami. W tym chaosie poplątanych wrażeń, dwie myśli górujące nad innymi przejmowały mnie strachem:

Jedną z nich było wspomnienie o ukochanych dzieciach które zostaną wkrótce sierotami, drugą obawa skonania bez religijnej pociechy.

Ale nie miałem na to żadnego środka: walczyć przeciwko przeznaczeniu jest rzeczą niepodobną. Ułożyłem się więc na swoim posłaniu, i oczekując skonu westchnąłem gorąco do Boga.

I Bóg miłosierny ulitował się nademną. Po bardzo długim przeciągu czasu, w przebiegu którego nieprzytomny, bezwładny, pozostawałem między życiem i śmiercią, uczulem powracające zdrowie. Reakcyja ta objawiła się gwałtownym

uczuciem głodu. Rzecz prosta: w rzadkich peryodach chwilowej przytomności, posiłałem się tylko chlebem maczanym w wodzie z topionego śniegu.

Trzeba było myśleć o przygotowaniu sobie jadła.

Próbowałem podnieść się, ale tego niepodobna mi było dokonać.

Ludzie otoczeni wygodami życia mogą chorować swobodnie, gdyż są pewni, że zawsze znajdzie się w pobliżu ktoś, pamiętający o ich potrzebach. Opuszczonemu od całego świata niewolno zbyt długo przeciągać swojej słabości. On pomimo chęci i woli musi podnieść się na nogi: potrzeby życia dadzą mu sztucznej siły, jeżeli naturalną utracił.

Nie mogąc wstać zawlokłem się do komina: leżało tam trochę pozostawionych wprzód zapasów żywności—wiązka rąbanego drzewa, kubeł wody. Chociaż z trudnością i wysileniem, zdołałem zgotować sobie ciepłą strawę.

Pokrzepiony, uczulem się silniejszym. Nowa otucha wstąpiła w moje serce; padłszy więc na kolana podziękowałem Najwyższemu za swoje ocalenie.

Od téj chwili, z każdym dniem czulem ukrzepiające się zdrowie. Rekonwalescencya, ten peryod przejścia z choroby do zupełnego wyzdrowienia, była mi zupełnie nieznaną—walka o byt ją zastąpiła.

Może to i lepiej. Gdyby u wszystkich twarda konieczność stanęła po wyjściu z choroby przy łożu, nie byłoby tego liczego szeregu cierpiących, w których osłabienie długim leżeniem i bezczynnością spowodowane, potęguje się wybrykami niezajętéj nieczém wyobraźni.

Po kilku dniach, zupełnie przyszedłem do siebie; ale straciwszy rachubę czasu, nie mogłem rozróżnić dni tygodniowych.

A dni płynęły znowu jeden za drugim ze zwykłą jednostajnością. Wkrótce los litując się nad moją niedolą zesłał mi towarzysza.

Był to mały, czarny piesek, który pewnego razu uciekając zapewne przed prześladowaniem swojego pana, jednego z włościan osady, przybiegł skowycząc przed żelazne drzwi moich okopów, jak gdyby prosząc się o przyjęcie w gościnę.

Otworzyłem z radością wejście biednemu stworzeniu, którego położenie było tak podobnym do mojego: a zwierzę odplaciło daną mu opiekę ową wdzięcznością i przywiązaniem, jakich próżno by szukać pomiędzy ludźmi.

Nazwałem go „Ami,“ był to bowiem jedyny mój przyjaciel, jedyna istota dzieląca moją samotność. Znajdowałem niewypowiedzianą przyjemność patrząc na pląsy i skoki, które wyprawiał, jak gdyby pragnął żywością swoją rozweselić mój smutek. Radowały mnie jego łaszenia się i oznaki przywiązania; czasem w zapomnieniu odzywałem się do niego niby do istoty zdolnej mnie zrozumieć, a piesek na dźwięk głosu odpowiadał wesołem szczeniem.

O! jeżeli ktokolwiek z was mili czytelnicy moi, wzruszył ramionami na widok przywiązania podżytych a osamotnionych niewiast do bezrozumnych istot—żle uczynił: nie szydźcie lecz litujcie się raczej nad podobnymi objawami. Wielką musi być niedola serca, które nie znalazłszy nigdzie skarbow uczucia, zawarte samo w sobie, zmuszonym zostało w przyjaźni zwierząt szukać uludy zawiedzionych nadziei!

Mińło znowu kilka tygodni—wszystko szło zwyczajnym, jednostajnym trybem.

Pewnego dnia, słońce wznoszące się coraz wyżej na horyzont, zaczęło silniej jak zwykle dogrzewać: ptaszki świergotały wesoło witając pierwszy objaw zbliżającej się wiosny, powietrze tchnęło ową orzeźwiającą wonią stanowiącą niejako przedwstęp do odrodzenia natury. Wystraszony temi oznakami pobiegłem do moich okopów: mur lodowy stał twardy i niewzruszony, ale po gładkiej i ślizgiej jego powierzchni spływały krople wody. Ze smutkiem, z boleścią patrzyłem na tyle naturalne działanie ciepła, a owe kropelki staczające się powoli ku ziemi, wydały mi się być błyszczącymi łzami... Stałem tak długo zadumany nad moim losem, gdy nagle rozległ się przytłumiony trzask pękającego lodu—spojrzałem: u samego szczytu ostro zakończonego wału widniała wązka szparka!

Można się było spodziewać podobnego rozwiązania, ale czyliż ono tak prędko nastąpić miało?

Wszystko co dotąd przeszedłem było niczem w porówna-

niu z wrażeniem trwogi, jaką ten widok we mnie obudził. Pomyślawszy o tém co mnie czekać może, gdy promienie słońca roztopią dobroczynną przegrodę, doznałem uczucia graniczącego z rozpaczą.

Wyobrażenia wyrodziła w mojej myśli cały szereg scen krwawych, dzikich, okropnych...

Niezagłębiajmy się lepiej w przyszłość!

I powróciłem smutny do mojej chaty. Mimowolnie pochwyciłem broń w rękę, i jałem starannie ją oglądać.

Nie mogłem na podobnie słabym środku obrony opierać nadzieję ocalenia, a jednak widok zabójczego narzędzia rozbudził we mnie słabnącą moc ducha.

Przynajmniej drogo przyjdzie się sprzedać życie!

Jeszcze niewypuściłem z dłoni nabitych pistoletów, gdy nagle jakiś hałas powstały z zewnątrz okopów, zwrócił moją uwagę.

Był to dźwięk głosów ludzkich połączony z brzękiem dzwonek pocztowych, i silnym stukaniem do drzwi żelaznych.

W jednej chwili znalazłem się przed wejściem do mego ustronia.

O radości! o szczęściu!... osoby które ujrzałem wysiadające z sanek byli to urzędnicy — opodal dwóch kozaków przywiązywało do płota swe konie.

Żadna gwiazdka błyszcząca na ciemnym widnokregu niebios, i wskazująca zbłąkanemu podróżnemu kierunek zagubionej drogi, nie napełniła jego serca takim zadowoleniem, jakie we mnie wyrodził widok gwiazdek świecących na mundurowych czapkach moich wybawicieli.

Rozwiązanie dramatu nastąpiło szybko.

Przysłańi w skutek raportu zwierzchności gminy do wyższej władzy urzędnicy na śledztwo, przeprowadzili takowe sumiennie, sprawiedliwie i energicznie.

Dwaj osiedleńcy, na których silne ciążyły podejrzenia złych względem mnie zamiarów, zostali przeniesieni do innej wioski, pod blizki nadzór czuwającej nad bezpieczeństwem mieszkańców zwierzchności; Starszynę za niedołęztwo, fałszywe przedstawienie moich czynności przed urzędem gmin-

nym, usunięto z zajmowanego przez niego stanowiska, mnie zaś dla zasłonięcia nadal od podobnych przejść, dozwolono mieszkać w ludnej i bogatej wsi Bałachcie.

Z jednym z moich wybawicieli panem R*** zawiązałem stosunki serdecznej życzliwości. W różnych okolicznościach dalszego mojego życia, miałem sposobność spotykać go często, a zawsze prawość jego charakteru i szlachetność uczuć, zasłaniały mnie od różnego rodzaju nadużyć, jakie wyjątkowe położenie częstokroć wywołać może.

Dziś, po upływie lat tylu, przy zmianie towarzyszących ówczesnemu stanowi rzeczy okoliczności, rzeczony stosunki nie doznały żadnej zmiany. Niedawno jeszcze pan R*** pisząc do mnie, cofnął się w przeszłość, i nadmienił ze współczuciem o pierwotnym czynniku naszego poznania się: o owęj pełnej grozy i zarazem tęsknych wspomnień, fortecy ze śniegu.

HISTORIA PISARZA GMINY WIEJSKIĘJ.

Było to w roku 186***: mieszkałem wtedy w Jenisejskiej gubernii, Aczyńskim okręgu, wsi nazywającej się Bałachta.

Bałachta należała do rzędu tych osad, w których się koncentruje jedna czwarta część ludności całego okręgu. Podobne osady zwykle nad brzegami większych rzek zbudowane, przyciągając do siebie w skutku dogodności swego położenia i żyzności gruntów, przesiedlających się dobrowolnie z Rosyi Europejskiej włościan, lub téż zesłanych za karę przestępców, wraść nader szybko — lecz pomimo nadzwyczajnego rozszerzania swoich rozmiarów i mnożenia ludności, pozostają zawsze wsiami. Brak komunikacji na zewnątrz, niezmierna odległość od innych miejsc zamieszkałych, jakotóż odrębne warunki społecznego bytu, sprawiają, że kupcy i przemysłowcy niechętnie się tam sprowadzają; a bez nich, przy niedostatku jakiegobądź obrotu handlowego, przemiana wsi na miasto nie miałaby żadnego celu.

Bałachta więc pomimo swojej kilka tysięcy głów wynoszącej ludności, pomimo nawet słynnego jarmarku, który odbywając się raz na rok zaopatrywał mieszkańców we wszystkie potrzeby codziennego życia, pozostała sobie wsią ze wszystkimi cechami odznaczającymi rolnicze osady Syberyi.

Przy podobnym położeniu rzeczy łatwo pojąć, jak trudnem stało się zadaniem, znaleźć dla siebie odpowiednie towarzystwo. Oprócz włościan zajętych naprzemian pracami około roli i hulanką, były tam trzy domy stanowiące pewien odcień miejscowej arystokracji, a mianowicie dom duchownego zarządzającego parafią, akeyznego urzędnika i pisarza gminy. Ostatniego z nich znalazłem najwięcej odpowiednim do mojego usposobienia, i tam też chętniej ucześniezałem.

Nie myślcie jednak łaskawi czytelnicy, ażebym w towarzystwie Aleksego Ewdokimowicza Czuchomowa, piastującego naówczas godność pisarza gminy Bałachcińskiej, lub jego żony Maryi Andrejewny, znalazł cośkolwiek przypominającego mi starą naszą Europę. Byli to ludzie prości, bez dostatecznego wykształcenia, ale zarazem prawi i serdeczni; a te dwa ostatnie przymioty tak rzadkie częstokroć i w osobach z wyższym towarzyskim polem, sprawiły, że ich szczerze polubiłem.

Otóż więc, pewnego zimowego wieczora znajdowałem się u nich w gościnie. Siedzieliśmy wszyscy troje przed palącym się ogniem. Noc była ciemna: na dworze dał silny wicher miotając śniegiem i tworząc z niego nieprzeliczone zasy, płonące na kominie drzewo oświetlało część obszernej izby, zostawiając w półcieniu dalsze przedmioty; jednym słowem nastąpiła jedna z tych chwil, w których wszystko pobudza do poufnej pogadanki, do zobopólnego udzielania sobie myśli, spostrzeżeń, lub ubiegłych wspomnień.

Gospodarz domu wywnętrzywszy się jak to zwykle w podobnych razach bywa, ze wszystkich codziennych kłopotów do urzędowania jego przywiązanych, nawyrzekawszy na spory włościan, na niedołężność Głowy (Wójta), na chci-

wość Zasiadateła (asesora ziemskiego sądu), zamilkł w końcu. Nastąpiła cisza przerywana tylko trzaskiem szczap palących się na kominku, i szumem wiatru bujającego po śnieżnej przestrzeni stepów Syberyjskich, kiedy ja chcąc podtrzymać upadającą rozmowę, wyprowadziłem go na opowiedzenie mi historii swego życia.

Prosta to była historia, jak prostem jest życie mieszkańca pustych wygonów Syberyi. Nie składała się ona z nadzwyczajnych wypadków, ani z wrażeń obudzających różnorodne uczucia, ani nawet ze szczegółów podrażniających wyobraźnię; lecz prostota właśnie małego dramaciku służącego za tło do mniejszego opowiadania sprawiła, że ta gawęda mnie badającego charakter i obyczaje ludzi, z którymi przeznaczenie żywć mi kazało, nadzwyczajnie zajęła.

Czuchomów był synem miejscowego włościanina. Ojciec jego zamożny gospodarz, umyślił pomimo sarkań sąsiadów, nielubiących gdy który z ich grona porzuci odwieczną rutynę i wychodzi ze swego stanu, oddać syna do szkół publicznych w mieście powiatowem.

Co zaś go skłoniło do tego kroku, zobaczymy.

Każdy człowiek na tym bożym świecie pielęgnuje w głębi swojej duszy jakąś myśl tajemną, utwarza w swojej wyobraźni jakiś ideał przyszłości, który staje się motorem jego czynów, celem do którego dążą jego działania. Obywatel ziemski zamiłowany w rolnictwie, pragnie doprowadzić kulturę swojej ziemi do doskonałości, kupiec pragnie rozszerzyć swój handel, rozrządzać milionami, poeta marzy o stugębnej sławie roznoszącej pochwały jego talentu po wszystkich zakątkach ziemi; jeden kmiotek tylko zajęty przez całe życie fizyczną pracą, żyje z dnia na dzień, chwilą obecną, a jedyną jego nadzieję stanowi dochowanie się syna, któremu mógł zdać zarząd gospodarstwa rolnego i sam, po tyloletnich trudach odpocząć na starość w ciszy i spokoju.

Czasami jednakże i w kmiecym stanie, mianowicie pomiędzy bogatszymi włościanami, którzy nie będąc przeciężeni pracą, mają czas rozpuścić wodze swój wyobraźni, tra-

fiają się wyjątki, unoszące myśl po za ograniczone kółko powszednich zajęć.

Stary Czuchomów należał do tych wyjątków.

Miał on jedną myśl, która go nigdy nie opuszczała, jedno marzenie, które kierowało wszystkimi jego czynnościami — wypieścił w swojej duszy ideał, który zrosł się, że tak powiem z całą jego istotą.

Tą myślą, tem marzeniem, tym ideałem, było widzieć jedynaka swego diaczkiem, dyakonem, i kto wie—może duchownym nawet, zarządzającym parafją.

Ażeby zrozumieć całą ważność jaką do obrania tego zawodu dla syna przywiązywał, trzeba wiedzieć, że jeden z przodków staruszka służył kiedyś przed laty przy cerkiew. W Rosyi, jak wiadomo, służba Boża przechodzi z pokolenia na pokolenie. Syn duchownego przeszedłszy wszystkie niższe stopnie hierarchij Kościelnej, i pojawszy za żonę córkę dyakona lub kapłana, zostaje zazwyczaj duchownym; a jeżeli przypadkiem niezależne od woli jego okoliczności sprawiły, że zmuszony był opuścić stan, w którym się urodził, zawsze prędzej czy później synowie lub wnukowie jego, pamiętni na swe pochodzenie, starają się wrócić w grono kasty do jakiej ich przodkowie należeli.

To więc było powodem, dla którego ojciec Czuchomowa niezważając na przekąsy sąsiadów, przyjaciół i znajomych, oddał swojego syna do szkoły powiatowej w Aczyńsku.

Gdy zaś Aleksy, ukończywszy cztery klasy świeckie i nauki teologiczne w zakładzie naukowym, powrócił do domu ojca, ten oświadczył mu stanowczo, iż wybrał dla niego za żonę córkę miejscowego dyakona, z którą związek doprowadzi go do godności o jakich dla niego marzył.

Zamiary bowiem starego, nie znalazły żadnych przeszkód ze strony panny ani jej rodzica. Dyakon który był biednym a miał córkę starą, brzydką i złego prowadzenia się, na pierwsze wspomnienie o małżeństwie z synem tak bogatego włościanina, z zachwyceniem zgodził się na wszystko.

Córka zaś której nikt nie chciał wziąć za żonę, podskoczyła z radości na samą wzmiankę, że będzie miała męża młodego, bogatego, i uczonego.

Inna rzecz była jednakże z młodzieńcem.

Myśl piastowania godności kościelnej, służenia przy liturgji w wspaniałym wschodnim ubiorze, kierowania poważnemi religijnemi pieniami, uśmiechała się wprawdzie jego osiemnasto-letniej wyobraźni; ale z drugiej strony związek małżeński z kobietą szpetną, dziobatą, zezowatą, złą i niemoralną, nie miał dla niego żadnego uroku.

Nie wahając się więc ani jednej chwili, odmówił pod tym względem posłuszeństwa ojcu.

Ale stary Ewdoki dla poparcia swój rodzicielskiej władzy posiadał argument jedyny wprawdzie, lecz przed którym, zdaniem jego, wszelkie dyskusye i opozycye, natychmiast ustąpić musiały.

Argumentem tym był kij gruby, sękaty i twardy.

Przynaglony tyle dotykalnemi dowodami, młody Aleksy ze łzami w oczach z westchnieniem w piersi przystał na wszystko, i zajęto się zaraz przygotowaniami do wkrótce nastąpić mającego ślubu.

Czémże jednakże jest wola ludzka, nawet takich bogaczy jak stary Czuchomów, nawet tyle pragnących wejścia w związki małżeńskie dziewic, jak niefortunna córka dyakona, w porównaniu z przeznaczeniem?

Pomimo tylu silnych woli razem połączonych, pomimo tak przekonywających dowodów jakimi władca jego losów podtrzymywał rodzicielską swą władzę, przeznaczenie nie wyniosło Aleksego na stopień Diaczka, a starą grzesznicę pozostawiło na wieczne czasy z poszarpanym dziewczym wiankiem na głowie.

W Bałachcie zjawiała się banda koczujących cyganów.

Na pierwszy rzut oka nie było w tem nic nadzwyczajnego. Cyganie są na Syberji tém czém na całym świecie. Wiodą życie próżniackie, a nie lubiąc żadnego stałego zatrudnienia, włóczą się bandami od wsi do wsi, wróżąc, handlując kradzionemi kołmi, przygrywając na bałajkach

i wyludzając rozmaitemi sposobami ciężko zapracowany grosz od ciemnego ludu.

Ale w bandzie przybyłej do Bałachty, była młoda dwudziesto-pięć latnia cyganka cudnej urody. Chociaż sierota, bez ojca, matki, i opieki, posiadała ona nad swojemi współtowarzyszami pewien rodzaj wyższości przez to samo, że więcej od innych przyczyniała się do podtrzymywania szczupłej kasy towarzystwa. Praca jej nie była ciężką: grała na gitarze, tańczyła i śpiewała; lecz trzeba było słyszeć jej grę i śpiewy, trzeba było widzieć jej taniec!

Gdy stanęła na placu wiejskim, gdzie odbywały się zazwyczaj targi tygodniowe, w lekkiej muślinowej sukience obszytej szychem i świecidełkami, z girlandą w rękę, z wieniec sztucznych kwiatów na głowie, szmer zadowolenia przebiegał tłumy zgromadzonych widzów; gdy zaś rozpoczęła swój taniec ognisty, namiętny, pełen gracy i wdzięku, zachwycenie nie miało granic.

Ci ludzie materialni, ciężcy, nieznający rozkosznych złud ani przyjemności widowisk scenicznych, patrzyli na nią jak na zjawisko z drugiego świata, jak na cudo przyrody, którego dotąd myślą swoją nie śmieli wymarzyć; miejsca do hulanki i kabaki opustoszały, każdy biegł nasycić się widokiem czarodziejki, a kopiejki sypały się gradem pod jej nogi.

Co się stało z młodym Aleksym, to trudno nam słowami wyrazić. Nie była to miłość, ale szal, namiętność niczem nie pohamowana. On nie myślał, nie marzył, nie zastanawiał się: on tylko poddał się całą duszą nieznanemu dotąd uczuciu.

Zbliżyć się do niej, oświadczyć czego doznaje, było dziełem jednej chwili.

Ona wysłuchiwała go cierpliwie lecz zimno. Oświadczyła że chętnie zstąpi z piedestału na jakim postawiły ją jej uroda i wdzięki, ażeby zostać żoną włościańskiego syna, ale na to potrzeba mu otrzymać zezwolenie ojca.

Nieprzewyciężona trudność! Jakże tu odezwać się z podobnym żądaniem do tego, który tak silnymi argumentami zakończy wszelką dyskusję?

Aleksy nie miał nawet odwagi próbować. Jak wszyscy zakochani pozostawił wszystko ślepemu trafowi losu, a sam przepędzał godziny, dni całe przypatrując się tańcom, i przysłuchując śpiewom bałachcińskiej gitany.

Zajęty tym miłym, czarującym widokiem, niepomyślał nieszczęsny, że jest ktoś co śledzi wszystkie jego czynności.

W istocie kiedy piękna cyganka tańczyła lub śpiewała, kiedy tłumy zgromadzonych włościan przyklaskiwały jej wdzięk, kiedy młody Czuchomów upojony, oczarowany, patrząc na tę anielską postać przenosił się myślą do siódmego nieba—z za węgla domu ukazywała się twarz szpetna, ospowata, i błyszczały złością zézowate oczy córki Dyakona.

Zazdrość jest przenikliwą, a obrażona miłość własna brzydkiej kobiety tchnie zazwyczaj nieublaganą zemstą. Narzeczona Aleksego z płaczem i krzykiem pobiegła do starego Ewdokiego, opowiadając co się dzieje.

Stary nie lubił żartować, ani też w długie wdawać się dyskusye. Naprzód użył swoich dotykanych dowodów i to w sposób nader energiczny; następnie zamknął młodzieńca w przyległej stodole o chlebie i wodzie, oświadczając że wyjdzie ztamtąd nie inaczej jak prosto do ślubnego kobierca; a w końcu wpływem jaki posiadał w zarządzie gminnym sprawił, że banda cyganów wypędzoną została ze wsi.

Gdybym posiadał talent powieście-pisarza, nastęrczyłyby mi się sposobność skreślenia długiego rozdziału, opisującego myśli i wrażenia młodego kochanka, zamkniętego w ciemnej stodole. Coś w rodzaju Monte Christa, jęczącego w podziemiach zamku If.

Ale że to jest po prostu drobny urywek syberyjskiego życia, zaczerpnięty z prawdziwego zdarzenia, niewolno mi poddać się fantazyi romansopisarzy; powiem więc tylko w krótkich słowach, że po dwóch lub trzech dniach, młody Aleksy podkopawszy się pod przyciesie swego więzienia, uciekł przed argumentami ojcowskimi, i przed zézowatemi oczami swojej narzeczonej.

Rzecz naturalna i do przewidzenia łatwa, że kroki swo-

je swoje skierował w kierunku oddalającej się powoli od Bałachty bandy cyganów.

Został swoją boginię z towarzyszami wśród dzikich stepów koło ogniska przy kotle, zajądającą najprozaiczniej w świecie smażoną słoninę z kapustą.

Nie należał on qnajmniej do rzędu tych estetyków, którychby widok podobnej uczy mógł odczarować. Oświadczył jęj wręcz przy wszystkich, że ją kocha, że ją nie opuści, i że chce zostać jęj mężem.

— A ojciec? — zapytała czarodziejka.

— Nie boję go się! — odrzekł z zapalem zakochany.

Jakkolwiek ta determinacya powzięta zdala od niwelującego wszystkie chęci i wole argumentu, nie pociągała za sobą wielkiego niebezpieczeństwa, podobała się przecież młodej gitanie. Któżż kobietę nie wzruszy widok poświęcającego się dla jęj miłości młodzieńca? Z drugiej strony starszyzna bandy prześladowanej we wszystkich wsiach przez władze ziemskiej administracyi, które jęj się zatrzymywać długo nigdzie nie dawały; miała także swoje widoki. Choć taniec cyganki przynosił bandzie nie mały zarobek, większy uszczerbek jednakże sprawiały jęj, rozporządzenia władz gminnych. Młody Czuchomów był uczony, gdyż skończył cztery klasy, mógł się wykierować na człowieka i dać poparcie dawnym towarzyszom swęj żony; wprawdzie ojciec jego sprzeciwiał się temu związkowi, ale wszakże ojciec z czasem powinien się udobruchać — od czego rozum i przebiegłość?

Po godzinnej naradzie decyzya stanęła: banda ruszyła w dalszy pochód, a osiemnastoletni Aleksy w piérwszej cerkwi którą ujrzeni na drodze, pojął za żonę piękną cygankę.

Nie wszystkie jednakże rachuby przewodnika bandy wypadły korzystnie. Stary Ewdoki rozgniewany na syna nigdy go widzieć nie chciał, a umierając rozporządził swym majątkiem na korzyść dalekich krewnych. Aleksy długo cierpiał biędę, czepiając się mało korzyści przynoszących posad po drobnych wioskach, ale w końcu przebywszy długie lata upokorzeń i niedostatków, usilna jego praca, prawość charakteru i sumiennosc w wykonywaniu powierzono-

nych mu obowiązków sprawiły, że bałachcińska gmina obrała go swym pisarzem.

O ile mógł dopomagał dawnym towarzyszom żony, to pozwalając im dłużej zatrzymywać się w obrębie jego wpływu podległym, to broniąc od niesprawiedliwych częstokroć napaści włościńskich urzędników. Ale władza jego była ograniczoną, a cyganie w innych gminach doznawali jak wprzódy prześladowania, na które prawdę powiedziawszy zasługiwali swoim postępowaniem.

Co się tycze Gitany, ta nad wszelkie spodziewanie, wbrew wszystkich przypuszczeń i przepowiedni starego Ewdokiego była dobrą żoną, rządzą gospodynią, i byłaby niezawodnie i dobrą matką gdyby jęj pan Bóg dał dzieci.

Ale pod tym względem niebo nie pobłogosławiło związkowi, przeciwko woli ojca zawartemu. Pomimo tysiąca świeczek spalonych przed świętymi ikonami, pomimo modłów, które Aleksy parę razy do roku we wszystkich cerkwiach zamawiał, nie mogli doczekać się tęj pociechy, która jest celem każdego małżeństwa.

Pani Czuchomów, czyli raczję Marya Andrejewna jak ją powszechnie zwano w Bałachcie, przekształciła się nie do poznania. Porzuciwszy dawne nałogi, przyjęła wszystkie obyczaje nowego swego położenia. Miasto przelotnych tryumfów i ubiegania się o poklask gawiedzi, zajęła się kuchnią, spiżarnią, jakotóż domowem gospodarstwem; wrazenia koczującego życia zastąpiła przyjemnością wypoczywania po całych godzinach na pałacie (1), a łaźnię tak namiętnie polubiła, że z nadużycia przechodów nagłych, z gorącęj do zimnej temperatury, popadła w chroniczną chorobę artrytyzmu.

Od ślubu pisarza gminy, minęło lat dwadzieścia [ośm. Gdy poznal jego żonę była to babinka chuda, zgarbiona, stęgająca i schorowana. W owym cieniu ubiegłych czasów

(1). Pałata, pokład pionowy z desek pod sufitem izb Syberyjskich wzniesiony, a służący za miejsce do spoczynku. Zobacz studia etnograficzne. Str. 129.

(Przyp. aut.)

nikt na świecie nie zdołałby dopatrzeć téj zgrabnej, wdzięcznej cyganki, której taniec rozbudzał przed laty taki zapal w podziwiających jój piękność i wdzięki widzach — słyszacemu zaś jój głos ochryply, częstym przerywany kaszlem, ani by na myśl nie przyszło, że jest to owa syrena, która niegdyś czarowała swym słowicznym śpiewem, zachwyconą publiczność.

Czarne tylko i żywe jeszcze oczki staruszki, przypominały czasami jój pochodzenie.

PRAWDZIWA HISTORIA Z TYSIĄCA I JEDNÉJ NOCY.

Od najmłodszych lat życia mego byłem zawsze przeciwnikiem wszelkiej nadzwyczajności. Przyroda oznaczyła dla nas pewne granice bytu; przestąpienie tych granic, wdzieranie się gwałtowne w niedostępne sfery, jest występkiem przeciwko niezachwianym prawdom istnienia, niekonskwentnością prowadzącą do zbroczeń umysłowych. Dokoła nas istnieją cuda natury potężne, wielkie, wspaniałe; badając je dajemy zdrowy pokarm wyobraźni, kształcimy naszą wiedzę, i osiągamy rzeczywisty pożytek, jeżeli zaś zapagniemy wystąpić myślą naszą po za krańce rzeczywistego świata, znajdziemy tylko czczą ułudę doprowadzającą częstokroć do chorobliwego stanu umysłu. Rozgorączkowanie wyobraźni jest tém dla dusz, czém rozpusta dla ciała; każdy marzyciel bywa istotą bierną, niepożyteczną dla społeczeństwa. Z marzycieli wyrastają Mesmery, Destony, Maxwelle — z marzycieli także tworzą się zastępy nieszczęśliwych zapelniających domy obłąkanych.

Pomyślnym zbiegiem okoliczności, w owym wieku złud i dumań w którym każda tajemnica niedocieczona, każda fantazyja myśli ma tyle uroku i powabu, w pierwszych chwilach rozwinięcia się młodocianych sił, żaden wypadek niezwykły, mogący zbić mnie z drogi na której straży stał rozsądek, nie miał nigdy miejsca. Jeżeli czasami trafiło się co niewytłumaczonego napozór, to zaraz po tém rzeczywistość niby zimny pedagog objaśniający chłodno, systematycznie cudowne zjawiska przyrody, zdzieraała z przed moich oczów fantastyczną zasłonę, i ukazywała w miejsce czarodziejskiego obrazu, nader prozaiczne zdarzenie.

Tym sposobem doszedłem do wieku dojrzałego, nie poznawszy nigdy owych wrażeń zachwytu, przestachu, zaciekawienia; wrażeń wywołujących tyle moralnych wstrząśnień w tych, którzy w nadprzyrodzonych sferach, zapragnęli szukać pokarmu dla chciwej nowości wyobraźni.

Ale to co mnie omijało od lat tylu, przy okolicznościach odpowiedniejszych, w klimacie gorętszym, młodzieńczej gorączce myśli, stało się moim udziałem pośród pustych prawie wygonów mroźnej północy, w owym peryodzie życia, w którym pierwsze szrony zbliżającej się starości zaczynają srebrzyć włos, myśl przestaje bujać po obłokach, a wewnętrzna wrażliwość żadnej nieznajduje podniety w usposobieniu opartem na realizmie i chłodnej rozwadze.

Była to wprawnie jedna tylko chwila, ale przez tę chwilę doznałem wszystkich uczuć podziwu, przerażenia, zgrozy, jakie wyrodzić może widok strasznego, niepojętego, wychodzącego po za krańce rzeczywistego życia zjawiska.

Zdarzenie to dziwne, fantastyczne prawie, a jednakże najzupełniej prawdziwe, służy za temat do niniejszego opowiadania.

W pierwszym roku pobytu mejego na Syberji, w czasie pięknego choć mroźnego dnia zimowego, zapragnąłem zmienić duszne wyziewy ciasnej izdebki, na orzeźwiający powietrze stepu. Zaprząłem więc dzielnego konia do malutkich sanek i wyruszyłem ze wsi. Miejscowość była mi zupełnie nieznaną, ale utarta częstym przejazdem włościan droga,

ciągnęła się w prostym kierunku, a jaskrawe promienie chylącego się ku zachodowi słońca, oddalały wszelką obawę zblądzenia wśród pustych wygonów. Przejazdzka moja nie miała żadnego celu, więc bez wiedzy, woli, instynktowo prawie, zwróciłem syberyjskiego mego konika na zachód.

Przeleciawszy pędem strzały całą szerokość rzeki Czujum, pokrytej oddawna grubą warstwą lodu, ujrzałem się wkrótce wśród niezmiernej białej płaszczyzny.

Koń przywykły do szybkiej jazdy pędził prosto przed siebie, ja zaś patrząc na zachodzące słońce, popadłem mimowolnie w głęboką zadumkę. Dachy domów ludnej wioseczki, kłęby dymów wznoszących się prostopadle z kominów, a nareszcie zielone kopuły murowanej cerkwi, znikaly stopniowo za mną w oddaleniu.

I gnałem tak ciągle, bezprzestannie, gorączkowo.

Jak długo ta szalona jazda trwała, sambym nie umiał powiedzieć. Pograżony w dumaniu nie zwracałem uwagi na ubiegający czas; zagłębiwszy się myślą w przeszłość, zapomniałem o terażniejszości, i leciałem wciąż naprzód nie pytając gdzie jestem, co czynię, i co mnie dalej spotkać może.

Nareszcie zapadająca noc przerwała to słodkie odrętwienie: koń nagle stanął zaczawszy silnie chrapać i parskać.

Spojrzałem dokoła siebie, jak człowiek budzący się nagle ze snu pełnego miłych i ponętnych wrażeń.

Byłem sam jeden pośród niezmiernej śniegowej przestrzeni. Zaledwie dojrzana oznaka życia którą po za sobą zostawiłem, strzelające wysoko w górę kopuły wspaniałej cerkwi, oddawna już zniknęły w mgłę oddalenia, ślady drożyny którą poprzednio obrałem przepadły wśród skryształizowanego całunu zimy; widocznie koń którego instynktowi zbytecznie zaufałem, obrał dowolny kierunek i zgubiwszy ślad puścił się w niezmierne obszary stepu.

Cóż czynić?

Jedynym przewodnikiem w téj pustyni, był słaby oblask świecący jeszcze po zaszłem oddawna słońcu na zachodzie, i reszta zaufania w zwierzęcą domyślność mojego bieguna:

Opatrzwszy więc na wszelki wypadek rewolwery, z którymi nigdy w podobnych wycieczkach nie miałem zwyczaju

rozstawać się, zwróciłem konia w przeciwną stronę to jest na wschód, gwiznąłem na niego właściwym w Syberyi przyjętym sposobem, i popuściwszy wolno lejce, zostawiłem mu swobodę obrania odpowiedniego kierunku.

Koń puścił się śmiało i rączo przed siebie.

Uspokojony jego pewnością przestałem się troszczyć, pewnym będąc, że ta szybka jazda prowadzi mnie prosto do wsi.

Tymczasem godzina jedna i druga minęły, noc roztoczyła swe cienie, a tyle pożądaną wioski widać nie było. Napróżno wyteżalem swój wzrok ażeby wśród pomnażających się ciągle cieni, dostrzedz jakie światelko oznajmiające mi bliskość mieszkań ludzkich.

Nie!

Stałem, i wysiadłszy z sanek obejrzałem miejscowość.

Nigdzie najmniejszego śladu: wszędzie przestrzeń naga, biała, niezmierna.

Położenie moje nie było godnym zazdrości.

Sam w pustyni, wśród ciemnej nocy, zgubiwszy drogę, mogłem się co chwila spodziewać napadu wilków, albo gorszych jeszcze od dzikiego zwierza nocnych bradiągów.

Nie była to jednakże pora do tracenia czasu na próżne rozmyślanie.

Pozostawanie w jednym miejscu nie zmieni w niczym przykrego położenia, jazda zaś jakkolwiek na los szczęścia przedsięwzięta, może jeszcze przypadkowo naprowadzić na ślad zatracony.

Instynkt konia mnie zawiódł, postanowiłem więc z podwójną usilnością szukać i śledzić, azaliż czego nie dojrzę. Kto wie, może jadąc tak ciągle, napotkam jaki krzaczek, jaki pal wbity w ziemię, które dadzą mi poznać miejscowość w jakiej się znajduje.

A więc jedźmy dalej!

I znowu mija godzina, a powierzchowność nagięj przestrzeni w niczym się nie zmieniła: żadnego wzgórką, żadnego drzewka, żadnego znaku życia, a co najgorsza żadnego ludzkiego śladu.

Tylko cienie nocy stają się coraz posępniejszymi.

Przyszła chwila zwątpienia.

Kto wie pomyślałem sobie, azaliż zamiast przybliżania do wsi, nie oddalam się jeszcze coraz więcej od miejsc zamieszkałych.

Uderzony tą myślą, postanowiłem pomimo niebezpieczeństwa przepędzenia nocy wśród pustyni, stanąć i poczekać tak aż do rana, wyglądając pierwszego brzasku dnia któryby pozwolił mi odszukać śladu zagubionej drożyny, gdy nagle jakieś światło błysnęło przedemną w oddaleniu.

Światło to mogło pochodzić z okien domów bliższej osady, ale mogło być także odblaskiem ogniska koczujących na stepie bradiągów.

Cokolwiek bądź wypadnie, należało wyjść z tej niepewności; nie wahając się zatem ani jednej chwili, pojechałem prosto w kierunku widzianego przezemnie światelka.

Wkrótce rozeznałem kształty jakiegoś obszernego budynku: stał on na stepie samotny, odosobniony—dokoła był pusty zupełnie obszar.

Dziwny jednak, prawie do uwierzenia trudny fenomen uderzył na wstępie moje oczy: znaczny ów rozmiarami budynek nie posiadał ani okien, ani komina—czarne i ponure jego ściany stercały prostopadłe z czterech stron, niby mury forteczne odgraniczające od reszty świata wnętrze tajemniczego gmachu.

Przez otwarte drzwi jakoteż przez szpary pomiędzy belkami, błyszczało jaskrawe światło.

Ominawszy front domu z obawy aby nie być dostrzeżonym, postąpiłem ostrożnie pod beczną ścianą i zajrzałem przez jedną z tych szczelin, pragnąc zobaczyć co się wewnątrz dzieje.

Wzrok mój przyzwyczajony do ciemności nocy, nie mógł w pierwszej chwili rozeznąć przedmiotów.

Po kilku dopięro minutach, zdołałem objąć całość obrazu jaki miałem przed oczami.

Ale o zgrozo! obraz ten był tak straszny, tak przerażający, że na widok jego krew zastygła mi w żyłach, włosy powstały na głowie, a zimny pot spłynął po skroni. Ażeby

pojąć podobne uczucie trzeba było zobaczyć, to co ja tam ujrzałem.

Wnętrze budynku przedstawiało jedną wielką przestrzeń bez podłogi i pułapu, w środku której znajdował się obszerny otwór służący za wejście do podziemia; cokolwiek dalej na boku płonął z symetrycznie ułożonych sztuk drzewa ogień oświecający jaskrawemi blaski ohydne a zarazem fantastyczne widowisko.

Sześciu ludzi było tam zgromadzonych. Jeden z nich wysoki, chudy, blady, owinięty w bogatą szubę niedźwiedzią stał na środku, i spoglądał w otwór podziemia; obok niego znajdował się człowiek otyły, o dzikich, zwierzęcych rysach twarzy, z zakasanemi rękawami i długim nożem w ręku. Czterej inni mieli na sobie włościańskie ubiory.

Plączący się dym ogniska pomiędzy wiązaniami dachu, tworząc po nad ich głowami czarną chmurę niby sklepienie złowrogiego erebu, dopełniał obrazu.

Na dany znak przez pierwszego który zdawał się rozkazywać innym, dwóch ze stojących opodal brodaczy spuściło się we wnętrze podziemia, i po chwili powróciło z tamtąd niosąc na rękę jakiś przedmiot owinięty białem płótnem.

Złożywszy nieforemną masę na ziemi, odwiązali płótno: był to trup mężczyzny nagi, wychudły sztywny.

Począł znowu zagłębić się w podziemia.

Wydobyte tym razem ciało, było trupem kobiety.

Tym sposobem wyciągano kolejno z tajemniczego otworu coraz więcej ciał martwych: byli tam i starcy z siwemi brodami, i młode dziewczęta, i nawet małe kilkoletnie zaledwie dzieci.

Naliczyłem ich do dwudziestu!

Wtedy blady kierownik tego straszliwego obrzędu, spojrzawszy na leżące pokotem zwłoki, rzekł ponuro:

— „Dzieci, czas do roboty!”

Czterej jego pomocnicy podstąpili bliżej, piąty oglądał w milczeniu ostrze swojego noża.

— „Zimno tu!” przemówił jeszcze z szatańskim uśmie-



Ale o zgrozo! obraz ten był tak straszny, tak przerażający, że na widok jego krew zastęła mi w żyłach, włosy powstały na głowie, a zimny pot spłynął po skroni.

chem ten, któremu wszyscy bezwarunkowo ulegali—„trzeba rozebrać tych biedaków.“

Stosując się do powyższego rozkazu, podjęto trupów, i poprzywiązywano je do pali wbitych w ziemię, tak, że każdy z nich zdawał się stać na nogach o własnej sile.

Okropny to był widok!

Wszystkie te ciała sztywne, martwe, z oczami otwartymi szeroko, z cyplami lodu wiszącego u włosów, stały około ognia, którego chwiejący się płomień igrając z półcieniami w jakich pogrążone były dalsze części zagadkowej miejscowości, zdawał się ożywiać je dzikimi i fantastycznymi ruchy.

Milcząca dotąd postać stojącego opodal, uzbrojonego nożem i nie przyjmującego żadnego udziału w wymienionych przygotowaniach człowieka, przystąpiła do ogniska.

Nagle rozległ się odgłos suchy, matowy, niby trzask wywołany zetknięciem dwóch twardych przedmiotów.

To człowiek ów uderzył płazem noża jednego z trupów!

— „Jeszcze zacząć nie można!“ wyjąknął niezadowolony z tej próby.

— „Chwilę cierpliwości,“ odrzekł wysoki błądy: „wkrótce ciepło działać na nich zacznie.“

Jakby na potwierdzenie słów jego, po kilku zaledwie minutach niemego oczekiwania wszystkich znajdujących się około ogniska, zmarznięte trupy zaczęły się poruszać niby galwaniczną ożywioną siłą. U jednego ręce wzniesione dotąd sztywnie nad głową opadły z trzaskiem ku ziemi, inni pozwieszali wyprostowane przedtem głowy na piersi, inni znówu niedość silnie poprzywiązywani do słupów, zwinęli się w kłęb lub poprzeczylali na różne strony.

Cieplik wchodząc w zmarznięte ciała, przyprowadzał materię do normalnego jej stanu: do massy obwisłej, stęchłej, na wpół przegniłej.

Jednocześnie rozeszła się po powietrzu woń przejmująca, niemila, trupia...

A ja, przerażony, struchlały, nie mogący sobie zdać sprawy ze straszego widowiska, które miałem przed oczami, patrzyłem wciąż na to co się około mnie działo.

Patrzyłem bez wiedzy, woli, pamięci... czułem wstręt i zgrozę, a nie miałem dość siły ażeby odwrócić oczy od owego ohydneho obrazu...

Była chwila, w której sądziłem, że to co widzę jest tylko obłędem rozgorączkowanej wyobraźni. Przyszło mi na myśl iż często autorowie przerażających powieści, przedstawiają czytelnikowi nadzwyczajne, trudne do uwierzenia zjawiska, i rozdrażniwszy jego ciekawość do najwyższego stopnia, ucinają nagle najprostszym w świecie zakończeniem:

„Obudziłem się, jasne promienie słońca i t. d...”

Co miało miejsce w powieściach, mogło stać się i w rzeczywistym życiu; przecieram więc oczy, patrzę, staram się zebrać rozpięchłe myśli... Nie, ja nie śpię: ja czuję, widzę, słyszę, oddycham! Przedemną wysoka, poczerniała od burz śniegowych ściana tajemniczego budynku, za mną koń z saniami przywiązany do płota, do koła biały całun zimy oświetlony długą smugą jaskrawego światła, wychodzącego przez otwarte drzwi tego zagadkowego i okropnego zarazem przybytku śmierci.

Cóż mi wypadalo czynić: uciekać? Ale gdzie — zostać? jakież będzie tego koniec...

Ostupały, na wpeł martwy z przestachu, nie wiedziałem co począć... Chciałem się ruszyć z miejsca: nogi odmówiły mi posłuszeństwa, chciałem krzyknąć—nie stało głosu w piersiach.

Jakiś cień mroczny, nieprzejrzany, spłynął na moje pojęcie, ubezwładnił moją wolę. Zważyłem o logice własnego rozsądku: nie dowierzałem swym zmysłom, nie mogłem pojąć gdzie jestem, co się ze mną stało, kto są ci straszni ludzie, jaki jest cel ich ohydneho zajęcia.

I przyszła chwila—jedyna chwila w moim życiu, w której uwierzyłem w świat mar i widziadeł: w świat nadprzyrodzony, czarodziejski, niepojęty...

Chwila ta jednakże krótko trwała.

Kiedy obraz który miałem przed swojemi oczami, zaczął przybierać coraz dziksze i wstrętniejsze zarysy, kiedy ponura osobistość z zakasanemi rękawami zbliżyła się zwolna do leżącego na stole trupa, i utopiwszy nóż w martwych

zwłokach jęła wyciągać z ciała przegniłe wnętrzności, nagle na progu drzwi otwartych, ukazała się nowa zupełnie postać.

Wylanie zimnej wody na rozpaloną głowę nie wpłynęłoby tak szybko na zmianę wewnętrznego mego usposobienia, jak pojawienie się owjej postaci; chociaż bowiem wszystko co mnie otaczało było zawsze dziwnym, strasznym, i niewytłumaczonym, sama obecność nowo przybyłego w tych miejscach, przekształciła w okamgnieniu gorączkowe marzenie w prozę rzeczywistości.

Człowiek który stanął na progu zagadkowego gmachu, zwał się Aleksy Ewdokimowicz Czuchomów, i piastował godność pisarza gminy Bałachtińskiej.

Ujrawszy ową urzędową figurę, wyszedłem z mego ukrycia i zbliżyłem się do tego, który swem przybyciem przerwał tak w porę fantastyczny obłęd zaciemniający moje pojęcie.

— „Ah!” zawołał z najwyższym zadziwieniem urzędnik— „Wy, w tych miejscach. Jakiemuż szczególnemu trafowi przypisać można waszą obecność?”

— „Najprostszemu w świecie,” odpowiedziałem usiłując nie dać poznać wewnętrznego wzruszenia, które mnie jeszcze zupełnie nie opuściło. „Wyjechałem z wioski, zgubiłem drogę, a błyszczące światło zaprowadziło mnie przypadkiem w te strony.

— „I staliście się mimowolnym świadkiem jednej z najmniej przyjemnych administracyjno-sądowych czynności. Ale widok podobny nie może być miłym szczególnie dla tych, którzy nie są do niego przyzwyczajeni. Jeżeli pragniecie wrócić, oto droga na prawo która zaprowadzi was prosto do wsi. Bałachta nie daleko: w pół godziny najdalej będziecie u siebie. Jeżeli zaś chcecie pozostać, za kwadrans towarzyszę wam z powrotem.

— „Nie,” odrzekłem — „ani chwili dłużej tu nie pozostanę.

Wsiadłszy do sanek i zaciąwszy konia, udałem się pędem we wskazanym kierunku. Wkrótce potem byłem w moim mieszkaniu.

Ujrawszy się pomiędzy czterema ścianami ubogiej syberyjskiej izdebki, odetchnąłem swobodniej. Chociaż zgadywałem po części jakiego to rodzaju była czynność, której przed chwilą stałem się mimowolnym świadkiem; wrażenie jednak tym widokiem wywołane, było zbyt silnym, ażebym zdołał od razu, odzyskać pierwotną spokojność.

Oprócz tego wiele szczegółów widzianego przezemnie dramatu, pozostało dotąd ciemnymi i niewytłumaczonymi.

Długa rozmowa z pisarzem gminy, który powróciwszy ze swojej wycieczki, zajechał do mnie w gościnę, rozjaśniła to co jeszcze pozostać mogło zagadkowego i nadzwyczajnego, w wypadkach piekielnej owój nocy.

Rzecz sama przez się była nader prostą i naturalną.

Jak wiadomo przypadki nagłych śmierci są rzeczą trafiającą się dosyć często na Syberyi. Jakikolwiek jest powód niespodziewanego zgonu człowieka, przepisy prawa nie pozwalają chować ciała, dopóki nie zostanie dopełnionem sądowo-policyjne śledztwo i anatomiczna sekcya zwłok. Tak się dzieje na całym świecie: wszędzie bowiem gdzie tylko żyją ludzie, istnieją dzikie namiętności, utajona złość, lub pełzająca w cieniu zbrodnia. Jeżeli jednak w innych krajach prawo postępuje krok w krok za zdrożnym czynem, nie pozwalając odetchnąć i ukryć się przestępcy, to w Syberyi z powodu niezmiernych odległości, ten sposób działania jest rzeczą zupełnie niepodobną. Jakże bowiem lekarz powiatowy, byłby w stanie stawić się na miejscu popełnionego morderstwa zaraz po dokonaniu takowego, kiedy każdy powiat większe nierównie ma rozmiary niżeli pierwszorzędne mocarstwo europejskie, a wypadki nagłych śmierci w różnych oddalonych od siebie punktach, są codziennymi niemal zdarzeniami.

Ażeby temu zaradzić wymyślono następujący sposób:

Każde ciało człowieka, którego skon niespodziewany wyradza podejrzenie dokonanego występku, złożone bywa w lodowniku.

Lodownik jest to budynek obszerny, znajdujący się zwykle po za wsią, służący zarazem na przechowywanie trupów i na odbywanie anatomicznych sekcyi. W podziemnej jego

części, układane ciała marzną pod powłoką lodu, który to stan zachowuje je od rozkładu i zepsucia.

Gdy już znaczna liczba zwłok ludzkich zapełniła te śmiertelne składy, lekarz powiatowy wraz ze swym felczerelem jeżdżą od gminy do gminy, i rozgrzawszy przy ogniu w obec miejscowych urzędników zeszywniałe od zimna ciała, dopełniają prawem przepisanej formy.

Takić to czynności stawszy się mimowolnym świadkiem, wziąłem za fantazyę rozgorączkowanej wyobraźni wynik miejscowych obyczajów, zdarzenie zespolone z codziennem niemal życiem syberyjskich ludów.

OPOWIADANIE ŻEBRAKA.

Pewnego zimowego wieczoru siedziałem smutny w méj samotnej izdebce. Noc była ciemna. Na dworze dał wicher połączony z sypiącym się śniegiem, nieliczni mieszkańcy małej wioseczki poukrywali się w swych chatach: było tylko słycać świst wiatru hulającego po śnieżnych stepach Syberyi.

Nie wiem jak długo siedziałem tak bezmyślnie, wpatrując się w dogorywający ogień na kominku, gdy nagle ktoś silnie do drzwi zastukał.

Gość w takiej porze i w téj miejscowości, wypadek niesłychany.

Poszedłem otworzyć.

— „Batuszki, matuszki, sotworitie światuju miłost!...“

Byłto dziad żebrak, włóczący się za jałmużną wśród tych podbiegunowych przestrzeni.

Ujrawszy dziada, ucieszyłem się. Z miejscowymi mieszkańcami tak mało miałem stosunków, tak dawno nie widziałem ludzkiej twarzy i nie słyszałem tak długo ludzkiego

głosu, iż każda nowa postać w tém osamotnieniu, w czasie tych długich zimowych wieczorów, była dla mnie pożądaną.

Usadowiwszy starego przy piecu, podawszy mu spory kieliszek wódki i przekąskę, wdałem się z nim w gawędę. I tak, gadu, gadu, gdy się nawyrzekał na złe drogi, na skąpstwo Syberyaków, na dokuczliwość zimna,—powoli z nitki do kłębka wyprowadziłem nowoprzybyłego, że mi opowiedział swoją historję.

Pochodził on z tulskiej guberni i był synem bogatego fabrykanta broni. Ojciec jego starał się dać mu odpowiednie wychowanie, oddał go do szkół, ale młody Andruszka nie miał najmniejszej cchoty ślęczyć nad książką, i niewiele myśląc uciekł pewnego pięknego poranku z klasy. Tulał się przez kilka miesięcy po wsiach i wioskach, nareszcie schwytany iako włóczęga, oddany został na reklamacyę ojca, w jego ręce.

— Batuszka nie lubił żartować—mówił dziadowina popijając wódeczkę—oporządził mi skórę porządnie, co się nazywa. Na wspomnienie téj chwili dziś jeszcze zimno mnie przechodzi po sercu! Po dokonaniu téj operacyi, zbitego, splakanego, zaprowadził do warsztatu i oddał pod dozór najstarszego czeladnika imieniem Iwana: „Nie chcesz znać książki, poznaj jak się robią lufy, kurki i zamki; a ty Iwan, nie uważaj w nim syna swego pryncypała, ale prostego terminatora—za każde nieposłuszeństwo, nieochotę do pracy, bij co się zmieści, rozumiesz?“ Iwanowi nie należało tego dwa razy powtarzać. Był to muzyk silny, krepny; bicie terminatorów uważał za rozrywkę przy pracy, a jak zalał czuba, to już i sam czart nie dałby sobie z nim rady. Możecie sobie łatwo wyobrazić, jakie życie stało się moim udziałem! Męczony od rana do wieczora, przy niewdzięcznej pracy, bity, targany za włosy przez srogiego czeladnika, nie mogłem nigdy znaleźć sposobności, ażeby zobaczyć batuszkę i prosić go o zmiłowanie. Iwan nie znał miary w swoich przesławowaniach; gdym go zapytał o wyjaśnienie roboty, odpowiadał: „śruba tak się wkręca!“—i kręcił aż do krwi moje ucho, „sztyflok tak się przybija!“ i walił z całej siły pięścią

po mojej głowie. Słowem, stałem się w warsztacie najnie-
szczęśliwszą ofiarą samowolności tego człowieka.

Chciałem kilkakrotnie uciekać, ale mnie pilnie strzeżono,
i każdy podobny zamiar sprowadzał plagi. Jednego wieczoru,
doświadczywszy więcej jeszcze jak zwykle ciężkości pię-
ści mojego przesładowcy, umyśliłem sobie odebrać życie.
Za fabryką mojego ojca znajdował się obszerny staw; wy-
biegłszy z domu, niewiele myśląc rzuciłem się w wodę, i był-
bym tam niezawodnie utonął, gdyby przepływający w tej
chwili na łódkach rybacy, nie uchwycili mnie za włosy i nie
wyciągnęli z wody. Ocucony, opowiedziałem im moją histo-
ryę, zaklinając na wszystko, aby mnie nie oddawali ojcu,
gdzie przeczynałem tak niezmierną ilość razy, jaką tylko
w myśli zastosować mogłem do wielkości mojego przewi-
nienia.

Zgodzili się oni na to, ale jeden z nich dodał:

— Z nami zostać nie możesz, odkryłoby cię niezawodnie,
i nas pociągnięto do kary za przechowywanie cudzego chłop-
ca. My mamy znajomych, którzy jutro udają się do K***,
im więc ciebie oddamy.

Przystałem na wszystko; do piekła bym wtedy poszedł
z ochotą, aby tylko nie powracać do domu. Wybawcy moi,
za dwa sztofy wódki i trzy ruble assygnacyjne, przedali mnie
kazańskim rybakom.

Handel odbył się w ciemnym kabaku na przedmieściu,
i jeszcze dobrze nie rozświtało, kiedy już siedział pomię-
dzy sięciami na kibitce, i pędził z moimi nowymi towarzy-
szami na miejsce swego przeznaczenia.

Odtąd zaczęło się dla mnie nowe zupełnie życie, ale nie
lepsze od przeszłego: od rana do wieczora po pas w zimnej
wodzie, to zaciągałem sięci, to nastawiałem węćierze, a nigdy
ni jednej chwili nie miałem odpoczynku... Nie bito wprawdzie
jak w warsztacie batiuszki, ale przy każdym ociąganiu się
lub niechęci do pracy straszono oddaniem ojcu, a bojaźń
moja zasłużonych plag i żyłastej ręki straszego Iwana była
tak wielką, że wszystko robił co mi kazano.

Pomimo chęci i woli wyuczyłem się rybolóstwa najdo-

kładnie. Nikt zrzęcznie odemnie nie zaciągał sięci, nikt
lepiej nie znał prądów wody i głębokości ustępów, ale moi
zwierzchnicy, posługując się mną jak machiną, nie przypu-
szczali mi do najmniejszego zysku z pracy, którą po naj-
większej części sam podejmowałem. Przepijali oni po kaba-
kach bumażki wzięte za rybę, dając mi w zamian za moje
trudy lichą strawę, i czasem na otrzeźwienie kieliszek wódki.

Taki stan rzeczy nie mógł mi się podobać. Dlaczegoż
mam ja jak sobaka służyć drugim i pracować na ich pijań-
stwo, kiedy jestem w możności sam sobie wystarczyć? Od
myśli do postanowienia niedaleka droga, a od postanowienia
do wykonania krok tylko... Drapnąłem jednej nocy, unosząc
pod pachą najlepszy węćierz.

Szczęśliwie jakoś uniknąłem baczności moich opiekunów,
i chodziłem od wioski do wioski handlując złowioną rybą.
Handel szedł dobrze: kupiłem dużą sięć, i zająłem się ry-
bolóstwem na wielką skalę.

Po roku takiego życia, ośmielony powodzeniem, odważy-
łem przenieść się do K***, i przemyśl mój jeszcze na większą
rozprzestrzenieć stopę. Łowiłem sterlęty, okonie, nalimy
i ogromne jesiotry, przyjąłem dwóch pomocników; a że nie
byłem wtenczas hulaką, napełniłem w krótkim przeciągu
czasu moje kieszenie.

O moich dawniejszych opiekunach zapomniałem zupełnie,
ale oni nie zapomnieli o mnie. Jednego razu, gdym, rozło-
żywszy towar na targowym placu, przeważał na żądanie ku-
pującego dwudziesto-kilko funtowego jesiotra, uczułem że
mnie ktoś chwyta za ramię.

Obejrzałem się: było jeden z moich dawnych pryncy-
pałów.

— A tuś mi, ptaszku!—zawołał.

— Odezp się odemnie, włóczęgo: nie znam ciebie!—krzy-
knąłem z miną imponującą.

Ale nowoprzybyły nie słucha, tylko ciągnie za kołnierza.

Moi dwaj robotnicy przybyli mi na pomoc; co więcej,
tłum publiczności wziął moją stronę. Dziwić się temu nie
można było. Dawny mój zwierzchnik był obdarty, brudny

i podpily—ja zaś ubrany w nowiuteńki kozuszek, i porządną baranią czapkę. Ubiór i powierzchowność wszędzie płaca.

Byłbym się może i bez żadnej straty wykręcił z tego położenia, gdyby policya miejscowa, zwabiona zgiełkiem, nie wdała się w tę sprawę żądając wyjaśnienia.

Znam dobrze jakiego to rodzaju są wyjaśnienia których potrzebowano. Wyjaśnienia moje były w kieszeni. Wyjaśniłem sprawę i puszczono mię wolno, ale także wyjaśniła się i kieszeń moja.

Co więcej od tej pory, zasmakowawszy w podobnym wyjaśnieniu, czepiali się do mnie każdego niemal dnia za ladajaki pozór, a czasem i bez pozorów. To waga była nieodpowiednia, to ryba nieświeża, to miejsce nieprawnie zajęte—słowem, musiałem się im tak często i tak hojnie opłacać, że interesa moje znacznie na tém ucierpiały.

Jednego razu, będąc w krytycznym położeniu, a mając całego majątku ogromną ilość stęchłej ryby, której nikt kupować nie chciał, przypomniałem sobie, że moi dawni nauczyciele w fachu rybołówczym moczyli nieświeżą rybę w rozczynie sulemy. (*) Ingredyencya ta sprawiała taki skutek, że ryba, choćby najdawniejsza, traciła woń nieprzyjemną, nabierała koloru ponętnego, i w niczem niepodobna było odróżnić jej od świeżej.

Na nieszczęście, jeżeli pamiętałem nazwę ingredyencyi, nie mogłem w żaden sposób przypomnieć sobie ilości użytej sulemy do nadawania świeżości towarowi. „Eh! co tam!”—pomyślałem,—od przybytku głowa nie zaboli: im więcej wsypię, tém lepiej ryba wyglądać będzie.“ Wsypałem więc co się zmieściło. Jaka radość! moje sterlety, nalimy, okonie i jesiotry, przed chwilą żółkłe, wywędłe i cuchnące, zabłysły barwami szklistemi świeżości: skrzela im zaczerwieniały, ciało stężało, a bijąca od nich przed chwilą nieprzyjemna woń, ani trochę czuć się nie dawała.

— Kupujcie, matuszki!—wołałem do przechodzących baryń; ryba doskonała, wyborna, tylko co złowiona!

I kupowały barynie, kupcy, muzyki, napelniając koszyki towarem, na który w wigilią dnia tego nikt i spojrzeć nie chciał.

Jeszcze dzień nie doszedł do końca, gdy nad wieczorem umarł nagłą śmiercią jeden z bogatszych kupców miasta K***. W godzinę potem, przeniosła się na tamten świat cała rodzina pewnego urzędnika. Zaczęto przebąkiwać o dżumie, o cholery, a tymczasem coraz nowe ofiary stawały się pastwą śmierci. Kilkunastu do różnych klass narodu należących ludzi, skonało w strasznych cierpieniach. Nad ranem przyszła wiadomość o podobnych wypadkach, zasłych w okolicznych wioskach.

Wszyscy ci którzy tak nagle pomarli, jedli moją rybę zaprawioną sulemą.

Podobna okoliczność nie mogła nie zwrócić uwagi policyi: schwytano mnie, wtrącono do więzienia, a rozbiór znalezionej u mnie towaru, okazał oznaki trucizny.

Sprawa moja bardzo nie dobry obrót wzięła: mogłem się spodziewać stryczka lub co najmniej, wiecznej katorgi.

Na moje szczęście w więzieniu byli młodszy mądrzejsi odemnie: znali oni dokładnie wszystkie wybiegi, jakimi człowiek w najgorszym położeniu ratuje swoją szyję od powrozu, a swój grzbiet od knuta.

— Ty się nie wylżesz batuszka,—mówili. Choćbyś kłamał jak kaznaczej, schwytany na zatraceniu kaziennych pieniędzy, dowody jeszcze głośniej przeciwko tobie mówić będą: powiesz lub poszła do kopalni, to jest rzecz niezawodna.

— Hospodi pomiluj!—wołałem z przerażeniem, zegnając się nabożnie.

— Masz tylko dwa sposoby do ocalenia skóry: wykupić się...

— Nie mam ani kopiejki przy duszy...

— To się nie wykupisz, bratku — zostaje więc tylko jeden sposób...

— Gadajciez...

— Ale do tego potrzeba wielkiego rozumu...

(*) Sulema czyli sublimat (Hydrargyrum muriaticum corrosivum).

(Przyp. aut.).

— Gadajcież na miłość boską!

— Musisz udawać waryata. Ogołą łeb, przystawiają bańki, zwiążą jak barana i odeszłą do szpitala. Nie szczególnie tam życie pomiędzy sumaszedszymi, ale zawsze lepsze jak w kopalniach.

Zacząłem prosić i błagać moich towarzyszy, żeby mnie wyuczyli jak się wziąć do rzeczy—a poczciwi towarzysze nie byli obojętnymi na moje prośby.

W przeciągu kilku dni obznajmili mnie ze wszystkimi narowami człowieka, cierpiącego pomieszanie zmysłów. Pokazywali mi, jak oczy przewracać, jak krzyczeć, jak wymawiać jedne i te same wyrazy bez sensu i związku — a ja powtarzałem za nimi zadaną lekcję: naśladowałem mimikę, gwałtowne ruchy, nauczyłem się na pamięć kilku dziwnie brzmiących a bez żadnego znaczenia wyrazów, słowem starałem się jak można najlepiej skorzystać z nauki.

Gdy osądziłem, że już dostatecznie jestem przygotowany do odegrania nauczonyj roli, dali mi zażyć jakiegoś białego proszku, od którego twarz zaczerwieniła mi się chorobliwie, a przyspieszone tętna pulsacyi przedstawiały stan gorączkowy. Jednocześnie zacząłem krzyczeć przeraźliwie, wijąc się na podłodze, i roztrącając wszystkich zbliżających się do mnie. Przyszedł dozorca, plunąłem mu w twarz, przyszedł dyrektor więzienia, zaśmiałem się dziko, wymawiając bez związku wyrazy.

Posłano po doktora.

Doktor długo mnie opatrywał, poczem kazał przenieść do osobnego pokoju, ogolić głowę i obłożyć ją lodem.

Robiono ze mną różne próby: obiecywano natychmiastową wolność, podchwytywano ze snu w odpowiedziach; ale ja, nauczony od towarzyszy, nie wychodziłem nigdy z przyjętej roli. Na wszystkie zapytania odpowiadałem:

— Ryba! ryba! ryba!

I ustami naśladowałem plusk wody, a ramionami ruszałem niby skrzelami płynącego wodą płazu.

W końcu odesłano mnie do szpitala waryatów.

Nie wiem jak tam w waszym kraju urządzone są te

przytulki dla cierpiących pomieszanie zmysłów, ale u nas gorsze są one od najdroższego więzienia. (*).

Ciasnota, niechlujstwo, obrzydliwe jedzenie, niedbalstwo i nieumiejętność lekarzy, a co najgorsza samowolność służby i posługaczy, czynią z tych domów istne piekło. W więzieniu pozostaje jeszcze dla aresztantów prawo skargi; dozorca i smotrytiele wiedzą dobrze, że jak przebiorą miarę w swoich nadużyciach, mogą wywołać śledztwo i być wypędzonymi, w szpitalach zaś waryatów, tej obawy nie mają. Tu nikt skarżyć się nie będzie; a choćby zresztą i podniósł się jaki głos wołając o sprawiedliwość, któż go usłucha? Wszakże to głos waryata, który w rozstrojeniu umysłowem, sam nie wie co gada.

Dlatego też zarząd miejscowy robi z nieszczęśliwymi co chce, i zawsze pewnym jest bezkarności.

Cały szpital podzielony jest na dwie części: żeńską i męską. W pierwszej panuje despotycznie dozorczyńni, stara, pijana zawsze baba, ze swemi pomocnicami, po większej części z najohydniejszej klasy kobiet pochodzącymi—w drugiej dozorca z posługaczami. Każda część mieści w sobie dwa przedziały: jeden dla szalonych, drugi dla spokojniejszych. Umieszczenie w jednym lub drugim z tych przedziałów zależy zupełnie od kaprysu lekarza, który stosownie do swego usposobienia, humoru lub instynktu, pisze w kontrolnej księdze „furia“ lub „melancholia;“ innych nazw ani odcieni on nie zna: dla niego tylko te dwie ostateczności istnieją.

Szalonych lub uznanych za takich, wiążą w powrozy a nawet kują w łańcuchy; spokojniejsi mogą się przechadzać po sali, ale przy najmniejszym wybryku podlegają srogiemu biciu pierwszego lepszego posługacza. Łagodność w postępowaniu z chorymi zupełnie tam nieznana; postrachem tylko i groźbą utrzymuje się porządek i karność. Do-

(*) Należy pamiętać że opowiadający żebrak był bardzo starym, że zatem bytność jego w szpitalu obłąkanych dawnych sięgała czasów. Obecnie bowiem wszystkie szpitale obłąkanych w Rosyi wzorowo są urządzone. Troskliwe staranie pełnych poświęcenia lekarzy, i łagodny systemat obchodzenia się z chorymi sprawiają, że wielu obłąkanych odzyskuje zdrowie, i wraca zupełnie wyleczonymi na łono rodziny.

dawszy do tego chciwość dozorców, którzy za kilka kopiejek, gotowi są w każdej chwili dostarczyć rozpalających napojów, pojmiecie łatwo, że jeżeli kto ze szpitala wychodzi, to tylko pomiędzy czterema deskami na cmentarz. O wyleczeniu z choroby i mowy być nie może.

Nie będę opisywał, com tam wycierpiał; powiem tylko, że zgnębiony, przygnieciony nieszczęściem, które było nad moje siły zapominałem częstokroć o przyjętej roli — mówiłem rozsądnie, myśląc że poznają się na moim wybiegu i odeślą pod sąd, a ztamtąd do katorgi lub na szubienicę.

Ale niestety! dostać się tam bardzo łatwo — wydobyć prawie niepopobieżstwo.

Dwa lata biędowałem w tej otchłani: gdy nowe rozporządzenie władzy dozwoliło mnichom nawiedzać obłąkanych, i próbować na ich umysłach wpływu religijnego. Do naszego szpitala przychodził dwa razy w tydzień jeden zakonnik, i prawił nam nauki pobożne. Nikt wywodów jego nie rozumiał. Waryaci przyjmowali go dzikim śmiechem, poskramianym tylko od czasu do czasu pletnią dozorcę, lecz ja w tym mnichu widziałem deskę ocalenia.

Śluchałem go z uwagą, zadawałem rozsądne zapytania, a co najważniejsza udawałem rodzaj pobożnego natchnienia, i pociąg nieprzezwyjężony do życia klasztornego.

W to graj mnichowi! Uszczęśliwiony, że nauki jego chociaż raz jeden w las nie poszły, wystarał się o przeniesienie mnie jako na wpół uzdrowionego zbawiennym jego wpływem, do klasztoru, gdzie nowicyat miał przygotować nowego prozelitę do stanu mającego dla mnie taki powab.

Ujrzałem się więc w monastyrze: zarzucono mi kaptur na głowę, kazano zamiatać korytarze, nosić wodę i uczyć się żywotów świętych Mitrofanów.

Stan taki byłby dla mnie znośnym, zwłaszcza po życiu w szpitalu obłąkanych, gdyby nie strawa, która była jeszcze gorszą od szpitalnej, plagi jakie odbierałem przy nauce nie mającej dla mnie żadnego powabu, a najwięcej brak zupełny wódki, do której się w domu waryatów przyzwyczaiłem; nadto siedzenie po nocach i pilnowanie ciał umarłych, było dla mnie nieznośnym.

Właśnie miałem zadanie wyuczyć się życia jednego ze świętych, który, prześladowany przez Tatarów, schronił się ucieczką w Orenburskie obszary.

— Czegóż bym ja nie mógł uciec, kiedy święci uciekali! pomyślałem w duchu. Niedługo nad tém przemyślałem. Jednego wieczoru, widząc że nikt na mnie nie zważa, cisnąłem habit i kaptur, a wzięwszy nogi zapas, puściłem się w świat gdzie oczy poniosą.

Znalazłem się w lesie sam, głodny, bez pieniędzy — prawie bez odzienia, obawiając się co chwila pogoni, schwytnia, śledztwa i kary.

Ale i z tego trudnego położenia wyszedłem. Jak wyszedłem, długoby wam było opowiadać; dodam tylko, że w pół roku po mojej ucieczce z klasztoru, znajdowałem się w Moskwie z kilkuset rublami w kieszeni.

Co to była za hulanka, ten tylko pojąć zdoła, kto wie czém jest nasza poczciwa matuszka Moskwa dla człowieka mającego czém zapłacić swoje zachcenia. Żyłem jak baryn: jeździłem rysiego, odziewałem się w wilczą szubę z kolnierzem na pół łokcia długim, jadałem bliny z kawiozem, piłem nalówkę, i miałem służącego którego biłem dwa razy na dzień, odwdzięczając się na jego skórze za wszystkie plagi, odbierane przez dozorcę szpitala i przez zakonników.

Ale ruble prędko wychodzą z kieszeni przy takim życiu. Po kilku tygodniach zacząłem się macać, i namacałem zaledwie kilka papiérków. Żle — trzeba pomyśleć o sobie. Co tam! pomyślimy potem, a tymczasem warto jeszcze pohulać. Zjadłszy porządnie, wypiwszy jeszcze porządniej, los czy też opiekujące się mną przeznaczenie, zaprowadziły mnie przed drzwi głównego teatru. Za ostatniego rubla kupiłem bilet i wtoczyłem się wraz z innymi do sali. Grano jakąś sztukę, w której główny aktor przedstawiał waryata. Z trudnym do opisanego zajęciem, pomimo wyziewów alkoholicznych, które zaciemniały mój umysł, śledziłem grę jego — i cóż powiecie? Wśród szumu oklasków, jakie grzmiały w sali, znalazłem ją lichą, nędzną, w porównaniu z odgrywaną przeze mnie komedią przed laty w aresztanckim więzieniu.

Zasłona zapadła wśród krzyków i wywoływań zachwyconej

publiczności, a ja, owładnięty nową myślą, pytałem wychodząc o mieszkanie dyrektora teatru. Wskazano mi je.

Dyrektor przyjął mnie grzecznie, bom był porządnie ubrany, a ubiór i mina wszędzie ma swoje znaczenie, tém bardziej w naszej matuszce Moskwie, gdzie poczciwego oberwańca wytuzują i wpakują na odwach — a eleganta oszusta nazwą: „wasze błahorodie!“

Przedstawiłem dyrektorowi moje żądanie przyjęcia mnie w poczet artystów teatru.

Mówiłem tonem stanowczym, pewnym siebie, wyśmiewałem ironicznie grę aktora, który takie zadowolenie przed chwilą wywołał; widocznie sprawiłem na nim wrażenie.

Ale jeszcze się wahał. On każdego dnia tyle podobnych mojemu żądań odbiera, że nie można bynajmniej dziwić się tego niedowiarstwu.

Trzeba było chwycić się stanowczego środka.

Cofnąłem się w głąb pokoju, i za chwilę z rozczochranymi włosami, stojącymi w słup oczami, przystąpiłem do niego i uchwyciwszy za rękę, zacząłem wymawiać wyrazy przerażające swoją dzikością.

— Co to znaczy?—zawołał wystraszony.

Na to zapytanie odpowiedziałem śmiechem — ale śmiechem tak strasznym, tak okropnym, iż zdawało się, że to nie człowiek lecz sam szatan śmieje się.

Przerażony dyrektor sięgnął do dzwonka.

— To nic — rzekłem łagodnie, zmieniając nagle wyraz twarzy — nie obawiajcie się: chciałem dać wam próbkę, jak należy szalonych przedstawiać na teatralnych deskach.

— Wybornie, doskonale! — krzyknął uradowany rzucając mi się na szyję — jesteś artystą w całym znaczeniu tego wyrazu.

I bez żadnej trudności, przyjął mnie w skład swojej trupy.

Za kilka dni nastąpiło przedstawienie téjże saméj sztuki, ale tym razem ja miałem odgrywać główną rolę.

Opisywać wam zapal publiczności w czasie tylé pamiętnego dla mnie wieczoru byłoby rzeczą niepodobną; powiem tylko, że zachwycenie widzów nie miało miary ni granic.

Sala drżała od oklasków, a krzyku i wywoływania końca nie było.

Dano mi przyzwoitą pensję, porządne mieszkanie, ale zarazem obareczono ogromną liczbą ról, których od rana do wieczora uczyć się należało. Obdarzony byłem od natury bystrą pamięcią, ale ochoty do nauki nie miałem. Z początku bawiło mnie to wszystko jako nowość, lecz po pewnym przeciągu czasu zacząłem się opuszczać. Zbyt wiele rachowałem na sufera, i z tego powodu popełniałem omyłki, które z razu łaskawa na mnie publiczność przyjmowała z poślazaniem, ale w końcu zniciertpliwiona zaczęła szemrać. Co więcj, oprócz niepospolitego talentu do udawania waryatów i odgrywania jako tako złoczyńców i zdrajców, nie miałem najmniejszej zdolności do przedstawiania innych charakterów. W repertuarze różne są sztuki, nie podobna dobiierać zawsze takich, w którychby ludzie szaleli, mordowali się lub truli; dawano mi więc rozmaitego rodzaju role, a ja je odgrywałem zawsze na jeden i tenże sam temat. Kochankowie, których przedstawiałem, podobnymi byli do złodziei, znajdujących się na indagacyi komissy śledczej, poczciwi ojcowie, do katorżników zbiegłych z kopalni, a wielcy panowie do waryatów udających dygnitarzy.

Oprócz tego nie miałem żadnej oglady towarzyskiej: co chwila obrażałem kolegów swoich grubiańskim tonem i wyrażeniami, do których od młodości przywykłem. Nie lubiono mnie. Dyrektor spostrzegł, że ławki teatralnej sali zaczęły się opróżniać, ile razy wystąpić miałem; bez wielkich więc ceremonii oznajmił mi pewnego poranku, że umowa moja z nim kończy się za dwa tygodnie, i że po upływie tego czasu przestaje należeć do jego trupy.

Trzeba było pomyśleć o dalszym swym losie. Widząc, że karyera dramatyczna dla mnie jest zamkniętą, chwyciłem się innéj drogi dla zapewnienia sobie przyszłości.

Od piérwszych chwil mego artystycznego zawodu, w czasie każdego przedstawienia, na którym występowałem, jedna z łóż najbliższych sceny zajęta była przez starą, chudą, wyżółkłą wdowę po jakimś sowietniku. Ta żyjąca mumia nie puszczała ze mnie swego wzroku: obrzucała olbrzymiami

bukietami, w których znajdował się zawsze jakiś bilecik wyrażający nader czule dla mnie uczucia. W chwilach powożenia, nie zwracałem uwagi na te afekta przedpotopowego straszdyła, i śmiałem się ze stariej zalotnicy; gdy jednakże los zaczynał mi niedopisywać, gdy ujrzałem zbliżającą się chwilę, w której na nowo zostanę bez przytułku i sposobu do życia, przestałem śmiać się z baby: na czule spojrzenia odpowiedziałem jeszcze czulszym wzrokiem, na bileciki gorącemi listami, i w krótkim przeciągu czasu znalazłem wstęp do bogatych salonów stariej grzeczniczki—a gdy termin ugody mojej z dyrektorem teatru upłynął, przeniosłem się na dobre w charakterze sekretarza do mojej czulej opiekunki.

Odtąd życie moje upływało w dostatkach i wygodach. Jadłem dobrze, piłem jeszcze lepiej, nic nie robiłem, towarzyszyłem babie po teatrach i spacerach, i byłbym zupełnie szczęśliwym, gdyby nie dwie wady stariej czarownicy, które mnie w każdej chwili przesładowały.

Była skąpą i zazdrosną.

Dawała mi wprawdzie jeść i pić, ubierała jak barynia, ale pieniędzy udzielić mi nigdy nie chciała; oprócz tego nie mogłem spojrzeć na jakąkolwiek młodą kobietę, ażeby jęzda w tej chwili nie wybuchnęła płaczem i wyrzekaniami, wyrzucając moją niewdzięczność, przypominając swoje dobrodziejstwa, grożąc wypędzeniem. Z początku znosiłem to wszystko z cierpliwością, wiedząc jak trudno jest żyć na świecie człowiekowi, który nie ma ochoty pracować; ale w końcu przebrała się miara: nastąpiły kłótnie, swary, i przyszło nareszcie do tego, iż pewnego wieczoru ujrzałem się na ulicach Moskwy, bez opieki, bez kopiejki przy duszy, a co więcej bez najmniejszej ochoty zajęcia się czemkolwiek dla zabezpieczenia sobie losu.

Ale Moskwa ludna i bogata, w niej nikomu nie ciasno, i aby tylko znalazło się trochę rozumu w głowie, to człowiek da sobie zawsze radę. Próbowałem tego i owego, byłem tu i tam, przechodziłem różne koleje. Służyłem u kupca, zajmowałem się drobnymi spekulacjami, fabrykowałem lekarstwa na wszystkie słabości, trzymałem oberżę, byłem przy statku parowym, i lata tak miały jedne za drugie-

mi, aż w końcu przyłączono mnie do partyi i posłano w Sybir.

Na Syberyi, batuszka, ten tylko może żyć kto ma pieniądze; kto zaś ich nie ma, musi albo walać się w czarnej robocie, albo też chodźć za jałmużną. Do zajęcia się robotą nigdy najmniejszej nie miałem ochoty—już taka moja natura: wolałem więc pójść z kijem i z torbą. Ciężkie to życie; lepiej było u stariej wiedźmy, lepiej nawet w monasterze, ale cóż robić? już to takie zrządzenie boże.

Kiedy dziadowina skończył swoją historję, którą tu tylko w treści podałem, rzekłem do niego:

— Widzę dziadku, żeście wszystkiego na tym świecie próbowali, i chociaż koleje życia waszego tak bogatego w wypadki mogłyby lepiej się obrócić, przecież cieszy mnie to, żeście ani razu nie dopuścili się kradzieży.

— Ah! batuszka, to się robi, ale się nigdy o tém nie gada. U nas wszyscy kradną, tylko w tém różnica, że bogaty złapany na uczynku opłaca się pieniędzmi, a biedaka wysyłają na północ w te śniegi.

— A na Syberyi?

— Na Syberyi to samo, ale tu niema wielkiej pociechy dla obrotnego człowieka, bo tu wszystko, kończy się tylko na nożu lub palce: pożytek bardzo mały, a ryzyko wielkie.

— Prawdę mówicie, że ryzyko wielkie—rzekłem z przyciskiem, bawiąc się od niechcenia mojami skałkowemi pistoletami.

— Ot—dodał dziadowina, uśmiechając się chytrze—te cacka, które trzymacie w ręku, lepiej jak wszelkie słowa dowodzą, że prawdę powiedziałem.

A zabierając się do wyjścia rzekł jeszcze:

— Nakarmiliście dziada, daliście mu jałmużnę, a dziad wywdzięczając się za to, da wam małą przestroję: Nie wypuszczajcie nigdy z rąk tych cacek, i oglądajcie zawsze wieczorem czy zapalę świeżym podsypane prochem...

Nie zatrzymywałem dłużej *pożciwego* staruszka.

MODY I ZWYCZAJE TOWARZYSKIE NA SYBERYI.

Moda jak wiadomo jest naśladownictwem. Powstaje niewiadomo z kąd, tworzy się niewiadomo gdzie, żyje niewiadomo jak długo, i w końcu umiera ustępując miejsca zrodzonej w chwili jej skonu nowej fantazyi. Źródła jej nikt nie jest w możności wynaleść: bywa ono na ulicy, w buduarze znaniej powszechnie piękności, lub w pracowni poszukiwanego krawca. Czasem źródłem tém staje się jaki skandaliczny wypadek, czasem fakt historyczny, czasami znów głośna pod jakimkolwiek bądź względem osobistość. Gdy moda poczęła swoje efemeryczne istnienie w uprzywilejowanej stolicy, rozbiega się w mgnieniu oka po wszystkich krajach i zakątkach Europy, dyktując wszędzie despotyczne swe prawa. Głównymi punktami jej oparcia się, są wielkie miasta, filjami małe miasteczka; wieś tylko jedna, ze swojemi mieszkańcami zajętemi pracą około roli pozostaje na stronie, zachowując dawne zwyczaje, przywyknienia, ubiór, i nie zwracając uwagi na przelotne wymagania tej fantastycznej i kapryśnej władczyni świata.

To się dzieje na wszystkich punktach kuli ziemskiej.

Gdzie tylko cywilizacya wnika za pomocą wzajemnych stosunków, sąsiadujących ze sobą narodów, lub ramion kolei żelaznych, tam łączy ona ze sobą wyobrażenia różnych ludów, i sprowadza do jednej powierzchownej normy ich obyczaje. Moda panująca samowładnie w Europie, dociera wszędzie, gdzie tylko żyją ludzie europejskiego pochodzenia. Afryka północna, środkowa Ameryka z powodu zbliżenia swojego ze starym światem, posiadają pod tym względem wszystkie zewnętrznie jego cechy. Na ulicach Algeru, Konstantyny, w salonach Nowego Yorku i Filadelfii, widzieć można to samo co w Paryżu, Wiedniu, Berlinie; bo jeżeli wśród pierwszych przemknie czasami biały burnus araba pustyni, a w drugich zaczerni hebanowa twarz murzyna, to są wyjątki miejscowe, niezmiennające bynajmniej ogólnego typu ludności.

Inaczej mają się rzeczy na Syberyi: tam niezmiernie oddalenie od stolic dyktujących prawa zwyczajowi, nie jest skróconém przez szyny drogi żelaznej, warunki klimatyczne powstają nieraz przeciw najgorętszemu chęciom naśladownictwa zachodu, a przecież i w tych podbiegunowych krajach mieszkają damy, nie chcące odstąpić od ogólnej zasady, jakiej podlega płeć piękna wszystkich niemal stron i zakątków kuli ziemskiej.

Moda na Syberyi przyplływając z zachodu, zawsze spózniona a częstokroć zmieniona prawie nie do poznania, ma także swoje główne przedstawicielki, kierujące zaaklimatyzowaną na obszarach północy potęgą, i liczne prozelitki, które zapatrując się na wzmiankowane powyżej wyroczenie, przejmują z drugiej już ręki wszelkie nowo pojawiające się zwyczaje. Pierwsze z nich żony lub córki bogatych poszukiwaczy złota, zamożniejszych urzędników, biorących rozbrat ze staroświeckimi obyczajami kupeów, zamieszkują zwykle większe miasta, jak Tomsk, Tobolsk, Krasnojarsk, Irkuck, prenumerują żurnale petersburskie lub czasem paryzkie, i przy ich pomocy starają się utrzymać w swych rękach berło smaku, dobrego tonu, jakoteż zewnętrznych oznak przyjętego w Europie ubioru. Drugie należące do rodzin niższej hierarchii czynowników, mieszkają po małych miasteczkach a czasem nawet i wsiach, i jako planety błyszczą-

ce światłem zapożyczonem od słońca, jaśnieją renomą przejętą od koryfeuszek.

Zdawać by się mogło, że moda europejska przychodząc na Syberję w opasce pocztowej, pod postacią któregoś z żurnaliów, dającego mniej lub więcej dokładne wyobrażenie o niej, spóźniwszy się o jeden miesiąc, to jest o tyle ile potrzeba czasu poświęcić na przebycie tysiąco-milowej przestrzeni, przybędzie w krańcowe obszary północy taką, jaką ją utworzył krawiec paryzki lub elegantka bulwarów; tymczasem rzecz ma się zupełnie przeciwnie.

Klimat, zwyczaje miejscowe, pewne odrębne gusta i wyobrażenia, a najwięcej może wpływ krawców i szwaczek Syberyjskich, przekształcających wszelkie szczegóły stosownie do swych pojęć, sprawiają, że owa brzegów nadsekwanskich królowa, zjawia się nad Irtyszem lub Jenisejem w postaci tyle podobnej do początkowego pierwtworu, jak podobnym jest człowiek do protoplasty swego podług systematu Darwina, tylko w odwrotnym stosunku.

Wszystko tam jest przesadzone: jeżeli Camargo to już ogromne jak wiatrak, jeżeli kapelusik to już maleńki jak łupina od włoskiego orzecha. W czasie panowania koków, owe ozdoby głowy niewieścięj, utworzone samorodnie bez pomocy fryzjerów, z różnego rodzaju odpadków stajennych, piętrzyły się niby hełmy recerzy średniowiecznych lub godła baszów o trzech buńczukach; a kapelusiki spuściwszy się na nos, obrały tam stałe siedlisko. Oprócz tego, zamiłowanie do kolorów jaskrawych przejęte od Tatarów i Mongołów, wyradza razem z przesadą mód przejętych z zachodu, odrębną zupełnie cechę; a klimat dorzucając do wspomnianych zawikłań despotyczne swoje wymagania, w postaci rozlicznego rodzaju futer i nieestetycznego kroju szub, dopełnia reszty.

Gdy się to dzieje w pierwszorzędnym miastach, gdzie koryfeuszki mody otrzymując z kantorów pocztowych wzory, z których wytwarzają następnie podług swego gustu i usposobienia miejscową normę, cóż się dzieć musi po małych miasteczkach, wsiach, osadach i stanicach, gdzie rozliczne prozelitki wierząc ślepo gubernialnym wyroczniom, przejmują

od nich przekształcone nie do poznania formy strojów i ubiorów.

Tam fantazja zmienia się w szal, niestetyczne wybryki w dziwactwo, a przesada w karykaturę.

Pomimo tego nigdzie może na świecie moda nie ma tyle zwolenniczek. Wyjawszy inorodców trzymających się stale dawnych obyczajów, wszystkie klasy społeczeństwa biją korne pokłony przed owym bożyszczem, któremu podróż po stepach odjęła pierwotne cechy, zrobiwszy zeń jakiś odrębny typ tchnący bliskością koła biegunowego. Nawet włóścianki zachowujące we wszystkich krajach swe narodowe stroje, podlegają na Syberji ogólnemu prądowi naśladownictwa, a ujrawszy jaką miejską elegantkę, starają się o ile mogą, o ile umieją przyswoić sobie krój i kształty jej stroju, fasonu i sposobu noszenia ubioru.

Jeżeli jednak powierzchowne kształty damskiej toalety przechodząc różne przeobrażenia i koleje, odbiegają w końcu zupełnie od swych pierwotnych źródeł, cóż dopiero powiedzieć można o towarzyskiej formie, która także stanowi bezpośrednią część mody, gdyż wypływa z powszechnie przyjętej i przez ogół uznaniej normy. Wśród tak zwanych arystokratycznych salonów Syberji tańczą np. wszystkie europejskie tańce, zaczawszy od polki tremblante aż do lansiera, i wykonywają je nawet z pewnym odcieniem przypominającym Mabilie paryzki; a jednakże jeżeli europejski przybysz wejdzie do tu-tejszego zebrania, uderzony zostanie zaraz na wstępie mnóstwem miejscowych obyczajów, nie mających najmniejszego związku z tém, co przywykł widzieć z tamtej strony Uralu. Panny zaproszone do tańca odmawiają bez ceremonii jednym, wybierając stosownie do swego widzimisię drugich tancerzy, a odprawiony zwolennik terpsychory, widząc jak szczęśliwszy współzawodnik zabiera zaangażowaną przez niego poprzednio tancerkę, nie czuje się bynajmniej obrażonym, i idzie dalej próbować szczęścia. Pokłon damski zastąpiony bywa kilkakrotnym kiwnięciem głowy; co przy sztywnym wyprostowaniu i nieruchomości reszty ciała, nadaje salonowém pięknościom pozór porcelanowych chińskich figurek, zdobiących europejskie buduary. Przywitanie angielskie przez podanie

ręki stało się prawdziwem nadużyciem: przybyły w towarzystwo mężczyzna podaje rękę nie tylko znajomym, ale wszystkim bez żadnej różnicy, pierwszy raz widzianym osobistościom, obchodząc z kolei całe grono i nie pomijając nikogo. W każdym zgromadzeniu znajdują się oddzielne salony dla kobiet i mężczyzn: linia demarkacyjna wschodnim utworzona obyczajem, a oddzielająca dwie płcie rodzaju ludzkiego na dwa obozy, jest wprawdzie na pierwszy rzut oka nieznaczna i zaledwie dostrzeżona, drzwi nawet obydwóch pokoi nie bywają nigdy zamknięte; ale w gruncie rzeczy, granica jaka dzieli płć męską od żeńskiej, jeżeli nie staje się niepodobną to przynajmniej trudną jest do przebycia. Odwieczny obyczaj, niby niepokonany Cerber stoi tam ciągle na straży, przeszkadzając stanowczemu złaniu się w przyjacielskie grono wszystkich uczestników towarzystwa. Konwencyonalne frazesa w danych razach używane, są zawsze jedne i te same, tak, że naprzód wiedzieć można co się usłyszy, jakie zapytanie się odbierze, i jaką odpowiedź otrzyma. Dziękowanie z kolei gospodarzowi i gospodni domu każdego z gości po śniadaniu, obiedzie, lub kolacyi za poczęstunek, lub też użycie przy powtórniem zachęcaniu do przyjęcia posiłku w miejsce prostego wymówienia się takich np: wyrażen: „nie chcę!..“ „najadłem się!“ i t. p. razi na wstępie każdego nieprzywykłego do podobnych form towarzyskich europejczyka.

Francuzki język który mało kto posiada, uważanym jest tu za *non plus ultra* dobrego tonu, wykształcenia i smaku. W niektórych zakładach naukowych żeńskich jak np. w Krasnojarsku, Irkucku znajdują się córki Gallów, które znudzone piastowaniem godności *bon w Rossyi Europejskiej*, przybyły na Syberję, ażeby odrazu zdobyć stanowisko nauczycielek. Takie przeffancowane w stepy północne egzemplarze, wypełniają włożone na siebie obowiązki, ucząc oddane im dla salonowego wykształcenia wychowanki, mnóstwa frazesów i oderwanych wyrazów, wymawianych z mocnym langwedockim lub burgundzkim akcentem. Im większą posiada pamięć uczennica, tym więcej włożono jęj w głowę rozmaitego kalibru urywków rozmowy; tak, że po skończeniu kursu nauk, wychodzi na świat boży opatrzona mniejszym lub większym

zapasem wokabuł, których znaczenia najczęściej nierozumiejąc, używa na chybił trafił w rozmowie, i przywłaszcza sobie tym sposobem palmę salonowego pierwszeństwa.

Matki, a szczególnie ojcowie nadzwyczajnie się pyszną francuzczyzną swoich córek, i w danych wypadkach uszawszy ów dźwięk tym dla nich przyjemniejszy im niezrozumialszy, nie są w stanie niczego odmówić tak wysoko wykształconem dzieciom.

Opowiadano mi, że pewnego razu jedna panienka, córka wyższego urzędnika, skonczywszy pensję, pokochała bardzo niskie zajmującego stanowisko w hierarchii administracyjnej młodzieńca. Ojciec jęj przejęty ważnością zajmowanej przez siebie posady, ani słyszeć nie chciał o małżeństwie nieodpowiadającym jego ambicyi i powziętym na przyszłość widokom; córka zaś jak to zwykle w podobnych wypadkach bywa, oblewała gorzkimi łzami stracone nadzieje.

I byłąby tak długo oddawała się czarnej rozpacz, gdyby jedna z jęj szkolnych przyjaciółek a zarazem i powiernica, wruszona tyle strasznem nieszczęściem, nieporadziła przynębionęj niepowodzeniem koleżance poprosić jeszcze ojca o zezwolenie, ale tym razem w języku francuzkim. Uznawszy trafność tęj rady, młoda dziewica stanęła przed dawcą swego życia w błagalnej postawie, i zawołała z tragicznym gestem:

— „Du temps!“

Ojciec usłyszawszy miły dźwięk nadsekwańskiej mowy, odsunął na stronę urzędowe dokumenta, i wlepił wzrok w tyle mu zaszczytu przynoszące swojém wychowaniem dziecko, gdy tymczasem ona ciągnęła dalej rozdzierającym głosem:

— „Il fait beau, il y a du vent, il nège, il gèle, il pleut: prenez votre parapluie et allez vous promener!“

— „Dobrze, dobrze kochana córko!“ zawołał rozczulony ojciec, ociérając łzę spływającą mu po licu—stanie się wszystko według twego życzenia. Idź za niego... daję wam moje rodzicielskie błogosławieństwo!

Później zaś rozpowiadał znajomym:

— „Nigdybym nie był zezwolił na to małżeństwo, ale jak mnie zaczęła prosić tak pięknie i to jeszcze po francuzku, nie miałem siły odmówić.

Do efemerycznych plodów dziewiętnastego wieku należy także tak zwana lwica. Ten typ urodził się w Paryżu przed dwudziestu kilkoma laty. Królował czas jakiś, i ustąpił wreszcie miejsca postaci więcej tendencyonalnej, czerpiącej swój charakter w nowo pojawiających się ideach usamowlnienia płci żeńskiej.

Emancypacja kobiet, w powierzchownych nawet oznakach, nie mogła nigdy znaleźć zastosowania wśród obszarów północy, gdzie ludzie mało czytają, mniej jeszcze rezonują, i wcale nie zajmują się społecznymi kwestyami. Miejsce emancypatek zastępują w Syberyjskim towarzystwie przebrzmiałej sławy lwice. Oryginalna ta postać skarykaturowana miejscowymi wpływami, zajmuje ważne stanowisko w kronice mody, dobrego tonu i wykwiutnego smaku podbiegunowych przestrzeni. Jest to zjawisko które na równi z zorzą północną, widzieć tylko można pod pewnym stopniem szerokości geograficznej.

Lwica (franticha) Syberyjska, w niczym nie jest podobną do swego paryzkiego pierwowzoru. Odrębne stosunki, wychowanie, wyobrażenia a nawet i klimat są powodem tej różnicy. Przedewszystkiem kobiety tych stron przywykłe od najmłodszych lat życia do krzątania się w pewnym ograniczonym kółku, zachowują nawet po przyjęciu zewnętrznych cech wyżej przytoczonego typu, dawne swoje przywyknienia. Nie ganię tego bynajmniej, zamiłowanie bowiem do pracy przynosi zaszczyt każdemu członkowi społeczeństwa, w jakiegokolwiek by on się sferze znajdował; ale połączenie niektórych prozaicznych zajęć domowego gospodarstwa z fantazyjami ubioru, przesada w gestach i mowie, tworzy obraz dziwny, nienaturalny, godny pędzla Hogarta lub ołówka Chama.

Ta sprzeczność na każdym kroku widzieć się daje.

Promienie kuchennego ogniska, mają dla Syberyaczki niewysłowny pociąg. W daną chwilę, gdy otoczona gościem, w paradnej atlasowej lub jedwabnej sukni o długim

ogonie, uczaje potrzebę usmarzyć jakiego blina, porzuca towarzystwo i niezmiennie stroju oddaje się ulubionemu zatrudnieniu. Tym sposobem zajęcia któreby biegła w swym fachu kucharka i zwawiej i lepiej uskuteczniła, przyprawia ją o stratę lub przynajmniej uszkodzenie kosztownego ubioru. Lubiąc nadewszystko kupowanie w pysznej i wspaniałej toalecie, wywołującej podziw i zachwycenie wszystkich bab wiejskich, wszystkich muzyków bazarowego placu. Sprzeczność jaka wynika z zespolenia tej żurnalowej postaci, z przedmiotami zapewniającymi brudne targowisko Syberyjskiego miasteczka, tchnie nieporównanym komizmem. Niepodobna bez uśmiechu spojrzeć na owo podbiegunowe zjawisko, trzymające w ręce pokrytej paljowami rękawiczkami baranią lub wołową pieczeń, lub studujące przez lornetkę wszystkie niedostatki chudego prosięcia.

Lwica syberyjska konno nie jeździ, z pistoletu nie strzela, romansów nie czyta: pali tylko namiętnie papierosy, śpi większą część dnia, i gra w karty większą część nocy. Na nerwy nie choruje nigdy, lubi czasem popijać nalewkę, męża swego obawia się tylko wtenczas, gdy tenże powraca do domu w nietrzeźwym stanie, a rozgniewana używa wyrażen grzeszących brakiem wszelkiej estetyki. Czasami, lecz to nader rzadko, pragnie wyjść z właściwej sobie sfery, i podnieść w rozmowie innego rodzaju kwestye, jak miejscowe ploteczki lub sąsiedzkie nieporozumienia. Wtedy tworzy się istny chaos. Mianowicie w czasie trwania wojny francuzko-niemieckiej, kiedy cała pleć mężka zajęła się szczegółami tej morderczej walki, i ona także pragnąc iść za ogólnym popędem, i pokazać że ją zajmuje polityka, jęła powtarzać słyszane przypadkowo nazwiska, ubarwiając je szczegółami dopasowanemi do nich na chybi trafi. Sam słyszałem opowiadane tym sposobem nader zajmujące fakta o spaleniu domu Mac-Machona, o walnej bitwie jaką stoczył waleczny generał Thiers pod Strasburgiem, i o rozstrzelaniu przez prusaków zakorzeniałego rewolucjonisty Moldt'kego.

Wspomniawszy o niektórych zarysach charakteru i obyczajów północnej elegantki, wypada nam jeszcze powrócić

do zewnętrznych cech królującej na Syberii mody. Klimat, jak już wyżej powiedziałem, wpływa także nie mało na przetworzenie zaczerpniętych z Europy wzorów. I to jest jedyną logiczną przyczyną, odstąpienia od przyjętej w innych krajach normy. Pod tym stopniem szerokości geograficznej, gdzie po krótkotrwałym lecie następuje długa, straszna zima, w czasie której wszystko co żyje na świecie zmuszone jest walczyć z czterdziesto-stopniowym mrozem, i moda także musi pomimowolnie naginać się do praw przez naturę ustanowionych. Jak owad ulegający licznym przemianom, tak i dobrego tonu dama przy każdej wycieczce swojej po za obręb domowych progów, zmienia swą postać, ale w odwrotnym zupełnie stosunku. Nagle z jaskrawego motyla, fruującego po ogrzanych dobrze pokojach i cieplejszej jeszcze kuchni, przekształca się w okutaną futrami poczwarzkę. Ujrzawszy w czasie mroźnego dnia na saniach syberyjską elegantkę, trudno czasami nawet rozemnać do jakiej płci należy. Do koła szuby i futra, na głowie sobolowy męzki kołpak, czoło owiązane, policzki zakryte, usta schowane, czynią ją podobną do jakiejś niefortunnej massy. Z pośrodku tego zbioru ochronnych środków, jeden nos tylko niby żyjący termometr, okazuje odmianę barw swoich stan temperatury.

Trudno zaiste pojąć przyjemności szlichtady przy podobnych warunkach klimatu, a jednakże jest to rozkosz za którą przepadają wszystkie bez wyjątku Syberyjczki. Począwszy od młodego dziecka, aż do zgrzybiałej staruszki, każda kobieta do jakiegokolwiekby warstwy społeczeństwa należała, niezna nic miłszego jak suwanie się po skrzystalizowanej powierzchni śniegu. Nic nie widzi, nic nie słyszy: zmartwiała, skostniała, bezwładna nieledwie od zimna, nie opuszcza przecież żadnej sposobności, dającej możność ponowienia swoich wycieczek.

Źródłem podobnej przyjemności która się staje prawdziwą katuszą, jest moda. Płeć piękna Syberii naśladowując petersburskie i moskiewskie damy, a nie pomnąc, że tam klimat jest nierównie łagodniejszym, pragnie koniecznie postępować w ich ślady. Pokazać swoje rysaki (najlichszy bowiem koń na Syberii mianuje się rysakiem) swoją uprząż,

swoje sobole, stanowi pierwszy powód do tej walki z nieprzyjaznym stanem powietrza: naśladownictwo i przywykniecie dopełniają reszty.

W użyciu futer, nieodznaczają się tutejsze elegantki bynajmniej wykształconym smakiem. Wprawdzie futra same przez się nie są ozdobą ale raczej ochroną, przecież przez zręczne ich zastosowanie do innych części ubioru, można utworzyć pewną wdzięczną całość. Powłoki lisów tak zwanych czarnych czyli niebieskich, należą do najpiękniejszych okazów kuśnierskich na świecie: lekkie, puszyste, odznaczające się lśniącym połyskiem, łączą w sobie wszystkie zalety, i szczególniejszym sposobem podwyższają białość płci blondynek. Otóż tutejsze damy jasno-włose i modrookie w ogóle, nie umieją korzystać z tych wspaniałych darów północnej fauny. Żyjąc w ojczyźnie czarnego lisa, rzadko bardzo i to tylko wyjątkowo, pozwalają sobie na podbicie salopy tym cudownej piękności produktem puszczy syberyjskich. Nie czynią tego z oszczędności, ale powodowane powszechną rutyną, która im nakazuje iść za ogólnym prądem. Wprawdzie sobole zdobiące zimowe ich ubranie, należą także do nader pięknych futer, i po czarnych lisach drugie miejsce zajmują, ale szafowanie tą ozdobą stało się prawdziwem nadużyciem. Nie rzadko np. widzieć można suknie obszyte skrawkami sobolowej skórki, chociaż podobny sposób upiększenia nie dodając ciepła, grzeszy zupełnym brakiem estetyczności w formie. Średniej znowu zamożności kobiety, używają bez wyjątku popielic, w które Syberia nadewszystko obfituje, tak grzbietowych jak i podbrzuszných. Te ostatnie koloru białego upstrzone przyszytymi końcami czarnych ogonków, naśladują cokolwiek gronostaje. Kołnierze szub i salop popielicowe z jednym lub dwoma rzędami ogonków wiszących, jest niefortunniejszym jeszcze wymysłem miejscowej mody.

W ogóle brak estetycznego poczucia sprawia, że pomimo bogactwa świeżych materiałów w jakie obfituje Syberia, zastosowanie ich do ubioru nieodpowiada wyobrażeniom przyjętym powszechnie w Europie. I nie może być inaczej, dobry smak wyrobić się tylko zdoła przez wzory; to co za-

wsze prawie mamy przed oczami, wrasta mimowolnie w myśl naszą i przetwarza nareszcie w osobiste poczucie. Jakkolwiek Syberyjskie damy, wiedzą bardzo dobrze, że kolébka mody znajduje się po nad brzegami Sekwany, Szprei, Dunaju, a nawet prędjéj w okolicach Newy i Wisły, niż Irtyżu lub Jeniseja, widok narodowych kostiumów żyjących Tatarów, Tunguzów lub Mongołów; wywiera na nich większy nierównie wpływ, niżeli widok martwéj ryciny żurnalów.

Pragnąc ślepo naśladować drugie, przybierają same o tém niewiedząc cechy pierwszych; a jaskrawe barwy strojów ino-rodców, ich olbrzymie czapki, monstrialne futra, dziwaczne, obszycie sukien, stają się głównym źródłem do wytworzenia odrębnego zupełnie od reszty świata gustu. Oprócz tego kupcy miejscowi, udając się dwa razy do roku na jarmarki Irbickie i Niżno-nowogrodzkie, powodują się w wyborze towaru swoim własnym smakiem, który jak to łatwo pojąć nie może być wyrobionym. Jedwabne i atlasowe materye przez nich przywożone, są zwykle rażących kolorów, szale o dziwnych deseniach, a kapelusiki oryginalnej graniczącej ze śmiesznością formy. Gdyby nawet wyżej wymienione wpływy, nie oddziaływały mimowolnie na zatracenie wrodzonego każdej kobiecie instynktu piękna, i tak zupełny brak stosownego wyboru, doprowadziły do tego samego rezultatu. Kupująca wszedłszy do sklepu i nieznalazłszy tam nie odpowiadającego europejskim wymaganiom, zmuszoną jest zadawałniać się tém, co jéj podpadnie pod rękę, i nabywać przedmioty, jakieby w innych stronach nie znalazły nigdy zwolenników. Zarody estetyczne jeżeli istnieją, przygluszone zostają zaraz na wstępie, brakiem wszystkiego co może je podtrzymać, rozwinąć i utrwalić.

Przy podobnych warunkach, moda, owo bożyszczce salonów europejskich, przybywszy w te odległe kraje, wystraszona mrozem, zziębnięta, na wpół obumarła, utraciwszy kolejno w czasie długiej podróży wszystkie swe pierwotne cechy, niepoznaje sama siebie; i jako ów kwiatek w rozkosznych uszczknięty ogrodach, a gnany na stepy złowrogimi wichry, pozostawia w końcu z całej swéj świetnej przeszłości jedną

tylko łodygę—tak i ona ogołocona z pierwotnych swych wdzięków, zdaje się mówić znającym ją w szczęśliwszych czasach wielbicielom:

„Widzieliście mnie jaką tam byłam, patrzajcie teraz czém się tu stałam!“

WŁÓCZĘGA NA STEPACH.

Stepowy włóczęga (*Bradiaga*) jestto jeden z wyłącznych typów Syberyi.

W każdym kraju znajdują się próżniacy niemający stałego zamieszkania.

Włóczęgow stepowych jedna tylko posiada Syberya.

Dziwić się temu nie można.

Podróżowanie choćby bez grosza w kieszeni, z jednym kijem w rękę, wśród okolic zamieszkałych, stanowi może pewien rodzaj uroku dla próżniaczęj gawiedzi. Włóczęstwo po śnieżystych obszarach o chłodzie i głodzie, przy ciągłym niebezpieczeństwie, wywołane tylko być może potrzebą.

Potrzebą wybierania pomiędzy złém i gorszym.

Zbrodniarz skazany do ciężkich robót ucieka. Uciekający prędzej lub później, bliżej lub dalej, zawsze zostanie schwytany i odesłany na miejsce kary. On więc o tém, a jednakże przy pierwszej lepszej sposobności znowu ucieka.

On nie szuka wybawienia od przeznaczonego mu losu, ale tylko chwilowej wolności.

Straszna to wolność!

Ciągła walka z nieprzyjaznym klimatem, ciągle męczar-nie głodu, szukanie kawałka chleba, lub zapewnianie sobie bezpieczeństwa nożem albo pałą, ukrywanie się bezprze-stanne przed pogonią, ażeby być w końcu pojmanym, oku-tym w łańcuchy i zwróconym napowrót do miejsca, z któ-rego się wydał—oto jest los bradiagi.

Czasami całe życie tych ludzi upływa w kolejnym włó-czeniu się po stepach, chwytaniu, odstawianiu do kopalni, i przemyśliwaniu o nowej ucieczce.

I tak zawsze, ciągle, bezprzestannie, aż póki śmierć nie uwolni nieszczęśliwego od ciężaru życia, a społeczeństwo od szkodliwego paryi, będącego jego zakalą.

Ucieczka skazanych, prowadzonych na miejsce przezna-czenia z partyi nie jest rzeczą trudną, ale rzadko się pra-ktykuje, bo jęj nie pozwalają ogólne przepisy przyjęte przez aresztantów: ucieknie jeden, to na drugich cięższy los wy-padnie—komenda żołnierzy pociągnięta do tłumaczenia sta-nie się sroższą, i w ogólności gorzej będzie pozostałym. Dlatego z etapowej drogi uciekają tylko zwykle albo nieto-warzyszysecy hultaje, śledzeni przez całą partyę, albo téż razem znaczna liczba aresztantów. Uciec z katongi rzecz inna: za podobny czyn nie odpowiada ani zwierzchność, ani towarzysze; tam już nietylko koledzy przeszkadzeć nie będą, ale jeszcze, objaśniwszy dokładnie jaką drogą ma się udać uciekający, opatrzą stosownym zapasem żywności, bez której żaden z bradiagów nie byłby w stanie z kopalni zabajkal-skich, dostać się w jenijską gubernię.

Głód zawsze prawie przymusza przechodząc przez za-bajkalskie buriackie gminy, dopuszczać się kradzieży i ra-bunków. Buryaci tam zamieszkali polują na bradiagów jak na bielki (syberyjskie wiewiórki), albowiem podług ich wy-rachowania, odzienie włóczęgi, choćby było najlichsze, zawsze ma większą wartość od 5 kopiejek, która to kwotka jest jak wiadomo stałą ceną, po jakiej sprzedają się w zabajkal-skich stronach skórki tego zwierzątka.

Kiedy bradiaga nie jest głodnym, to nikogo nie zaczepia, ale i jego téż nie zaczepiają. Przy ucieczce z Kary, Szech-tamy, Akałuja, Kazakańskich kopalni, i z drugih miejsc

górnego nerczyńskiego okręgu, włóczęgi mają przed sobą długą i głodną drogę. Po zabajkalskich ziemiach, od Bajkału, przedstawiają im się do wyboru dwie drogi, to jest przez jezioro, albo też około Katłuka. Pierwszą drogę obierają zwykle ludzie energiczni, odważni, przedsiębiorczy: doszedłszy do Bajkału, muszą oni przeprować się przez burzliwe zawsze bezdenne jezioro, które jak dykcyja ludowa powiada, gniewa się i pogrąża w swych falach tych, którzy go nie uważają za morze. (*) Po strasznej przeprawie przez Bajkał, przedstawiają się uciekającemu znowu dwie drogi: sucha i mokra. Pierwsza doprowadzi go prawą lub lewą stroną Irkucka przez bezładne górzyste przestrzenie, druga przez rzekę Angar ku ujściu do Jeniseja. Ale do przebycia tej drogi konieczną jest łódka, a z kąd jej dostać? Z tego powodu uciekający zmuszeni są ryzykować się na płynienie tratwami. Z drugiej strony udającym się w kierunku Kałtuka grozi innego rodzaju niebezpieczeństwo: oprócz głodu, który jest nieuchronnym następstwem podróży przez bezładne stępy, zmuszeni są oni przebywać ogromną liczbę głębokich i nadzwyczajnie bystrych potoków spływających z gór. Udający się tą drogą, minawszy Irkuck, wychodzą na główny trakt pocztowy, jedyną bowiem linią łączącą wschodnią Syberję z Rosyją jest w Irkuckiej gubernii ta droga publiczna. Oddalić się na bok od tej linii jest rzeczą niepodobną, albowiem tam po obydwóch stronach traktu, niema nic, prócz nieograniczonych, pustych przestrzeni. Bradiagi więc z konieczności idą traktem, chroniąc się tylko w krzaki, ilekroć razy posłyszają zdaleka dzwonek pocztowy. W wielu miejscach, przy przeprawach przez rzeki, oddalają się oni na stronę i przepływają na tratwach. Jeżeli mają siekiere, tratwa buduje się szybko i mocno, jeżeli zaś nie posiadają tego narzędzia, ściągają na wodę kilka złamanych wiatrem i leżących wśród lasu drzew, związują takowe łykiem, i na

(*) W Syberji nikt Bajkału nie nazywa jeziorem. W mieście Irkucku jedna z główniejszych ulic nazywająca się obecnie amurską, nosiła dawniej nazwę zamorskiej.

Przyp. aut.

tym sposobem zbudowanej tratwie puszczają się przez rzekę. Przy podobnej przeprawie bardzo wielu z nich tonie.

Z bradiagami częstokroć znajdują się kobiety uciekające z katorżnych robót: los tych kobiet najczęściej tragiczny bierze obrót. Zawiazawszy stosunki z dwoma lub trzema towarzyszami, stają się one powodem różnych kłótni—ci zaś, chcąc takowe zakończyć, za wspólnym porozumieniem się, postanawiają usunąć przyczynę rozterków i topią lub wieszają na pierwszym lepszym drzewie swoją towarzyszkę. W ogóle kobiety bardzo tu smutną odgrywają rolę: uważane przez włóczęgów jako sprzęty domowe, bywają przez nich kupowane, przedawane, lub przegrywane w karty, ale to wszystko nie przeszkadza, że znajdują się zawsze zwoleńniczki do odbywania wspólnej podróży.

Dostawszy się do Jenisejskiej gubernii bradiagi, mogą już omijać główny trakt i podróżować bocznymi drogami. Krasnojarsk zawsze przez nich zostaje na stronie, ale w Tomskiej gubernii niepodobna już im ominąć gubernialnego miasta, dlatego też najwięcej bywają tam chwytni. Ci którzy uciekają z Altajskiego górniczego okręgu, starają się dostać do wsi położonych pomiędzy Czuńskimi jeziorami i tam przzimować—z nastaniem zaś wiosny udają się w kirgizkie stępy. Ci którzy uciekają na północ, mają niebezpieczną przeprawę przez góry Uralskie, bo tam gminy urządzają na nich formalne obławy. Ze wszystkich północnych przepraw najmniej niebezpieczną dla nich jest droga do Tiumentia przez Turyńsk na Wercho-turje, i dalej po północnej części gubernii Wologodzkiej; ale tą drogą włóczęgi chodzić nie lubią, mówiąc, że tam i głodno i chłodno.

Pomiędzy bradiagami są tacy, którzy już ze trzydzieści razy uciekali, a w ucieczkach swoich próbowali kolejno wszystkich powyżej wymienionych dróg. Podług urzędowych spisów z przeszłego roku, liczba zbiegłych z katorgi dochodzi do pięciu tysięcy, ale w rzeczywistości liczba ta jest daleko mniejszą. Dlaczego zaś istnieje ta różnica pomiędzy urzędowymi dokumentami a rzeczywistością, najłatwiej wyjaśnić. Dajmy na to że z irkuckich kopalni ucieka Iwan Niepomnia-

wszy, (*) chwytają go, i on pod imieniem Sidora Sołowiewa dostaje się do zakładu Ust-Kutskiego, zkad wkrótce chroni się ucieczką. Chwytają go znowu, ale Sidor Sołowiew przedstawia się tym razem jako Teodor Orłow i odesłany zostaje do Petrowskiej fabryki. Znika Teodor Orłow, przeminiwszy swe nazwisko na Piotra Nikołajewa. Przy każdym schwyтaniu bierze inne nazwanie, a jeżeli w końcu dawni towarzysze poznają w nim pierwotnego Iwana Niepomniawszego, zachowują to odkrycie między sobą, mówiąc:

— A co nam do tego czyli on Iwan, czy Piotr, czyli też Teodor, zawsze to człowiek taki sam jak i my; na tém nam dosyć.

Przy ucieczce bradiagi bardzo rzadko zaopatrują się w fałszywe paszporty, chociaż nabycie podobnych dokumentów w katordze jest rzeczą nader łatwą. Natomiast niektórzy z nich biorą ze sobą lekkie kajdany, ażeby przy schwyтaniu nie zakuto ich w niewygodne ciężkie żelaza, ale użyto gotowych które ze sobą noszą! Prawie wszyscy uciekając zaopatrują się też w tak nazwane podkandalszczyki, czyli cienkie żelazne obręcze obszyte w skórę, które się kładą na nogi, dla zabezpieczenia ciała od ciągłego tarcia kajdan w czasie pochodu.

Na całej przestrzeni gubernii Jenisejskiej, Tomskiej i Tobolskiej, istnieje pomiędzy gromadami przechodzących włóczęgów, a mieszkańcami większych i mniejszych wiosek, niby niemy układ.

Włóścianie, nie tylko nigdy nie śledzą i nie chwytają bradiagów, ale im podają wszędzie potrzebne zapasy żywności.

Bradiagi natomiast, choć nawet w przemagającej liczbie, nie napadają nigdy mieszkań; zabijają zaś i mordują tylko

(*) Niepomniawszy jestto zbrodniarz, który przy śledztwie, nie chcąc wyjawić swego nazwiska, tłumaczy się, że takowego zapomniał. Przed laty niepomniawszych znaczna była liczba w partyach i więzieniach, dziś nowe urządzenia sądowe nie pozwalają używać podobnych wykrętów.

wtenczas, gdy sądzą, iż własne ich bezpieczeństwo czyni koniecznym użycie tej ostateczności.

Takie wzajemne ustępstwa wpływają nie tylko ze zwyczajaj, ale i z zobopólnego interesu.

Kiedy w czasie ciemnej nocy (oni tylko nocną porą przechodzą przez miejsca zamieszkałe), włóścianin zbudzony zostanie silnym kołataniem do wrót, i na zadane zapytanie kto stuka, otrzyma odpowiedź: „Nieszczęśliwi!“ udaje się natychmiast do komory, i wzięwszy co prędzej znajdujące się tamże przedmioty żywności, przerzuca takowe przez parkan, nie otwierając bramy, i nie wdając się w żadne objaśnienia, a obdarowani podziękowawszy oddalają się śpiesznie.

On bowiem wie bardzo dobrze, iż głód doprowadziłby nieproszonych gości do rabunku, opór do morderstwa; a co więcej naraziłby mieszkańców niegościnnę wioski na zemstę nader częstokroć licznej party bradiagów.

Oni zaś ze swojej strony wiedzą także, iż znacząc swoją drogę rabunkiem, morderstwami i podpalaniem, zostawiliby ślad dla pogoni; nadto, doprowadzeni do ostateczności włóścianie, powstawszy całemi massami, utrudniliby znacznie ich pochód.

Porozumienie więc pomiędzy mieszkańcami wiosek a włóczęgami stepowymi, istnieje jak najdokładniejsze.

Inna rzecz co do miast.

W miastach znajdują się władze, które cierpieć nie mogą bezprawia, których obowiązkiem jest utrzymanie porządku i bezpieczeństwa publicznego. Dlatego też bradiagi starannie omijają wszelkie grody i małe miasteczka.

Jacy to są ludzie, łatwo zgadnąć, kiedy się pomyśli, że do ciężkich robót skazywani bywają najwięksi zbrodniarze, a z zesłanych na osiedlenie drobnych przestępców żaden nie chroni się ucieczką. Wybitną jednak cechą wyróżniającą bradiagów od innych morderców jest apatyczna ich spokojność, zupełny brak rozdrażnienia, i pewien odcień filozoficznej pokory przy spełnianiu każdego krwawego czynu.

Początkujący zbrodniarz, który jeszcze nie przeszedł szkoły katorgi, popełniając morderstwo, jest zawsze wzruszonym; okrutnych widok krwi pobudza do dzikiego szału;

mniej śmieli mają zwyczaj szukać sztucznej namiętności na dnie butelki—włóczęgi zaś stepów tego wszystkiego nie znają, Doświadczeni w fachu zbrodni, stali się przy rozlewaniu krwi obojętnymi — długi pobyt w katordze, pod srogą dyscypliną, nadał ich powierzchowności i sposobowi obchodzenia się niejaki odcień pokory; ale co w nich nadewszystko nderza, to połączenie z zatwardziałością w występku pewnych religijnych pojęć, które wyradzają jakiś niepojęty objaw litości, nawet w czasie spełniania najhaniebniejszych czynów.

Nieszczęście — bradiaga bowiem jest najnieszczęśliwszą w świecie istotą — zwraca mimowolnie ich myśli do religii; brak zaś zupełny zasad moralnych sprawia, że modląc się mechanicznie, bezmyślnie, wszystkie swoje winy i zbrodnie kładą na karb fatalnego losu i nieuniknionej konieczności.

Kilkakrotnie zdarzało mi się w więzieniach etapowych i szpitalach aresztanckich znajdować razem ze schwytanymi bradiagami—zawsze oni mówili:

— My grzészni ludzie, lecz przytém nieszczęśliwi—i dlatego Bóg nam wszystkie grzechy nasze przebaczy.

Ile razy w pochodzie swoim ujrzą krzyż Zbawiciela, zdejmują pobożnie czapki i żegnają się. W szpitalach i więzieniach, pomimo dotkliwego nieraz głodu, rzadko bardzo pozwalają sobie zjeść kawałek mięsa w dzień postny. W rozmowach bardzo lubią cytować niby to wyjątki z pisma świętego, a rzeczywiście utworzone przez samych siebie frazesy, jak np. „Bóg nienawidzi bogaczy tego świata.“ „Grzech popełniony ze skrucą nie jest grzechem,“ lub „Jeżeli z konieczności zabić musisz człowieka, nie zabijaj jego duszy.“

Wprawdzie obok tych dzikich, obleczonych w pewną niby to religijną formę cytacyi, mają oni mnóstwo przysłów, maulujących dobitnie ich złodziejską naturę, jak np.

„Więzienie nie śmierć, knut nie stryczek, a pletnia nie kula.“

„Nie ten złodziej co kradnie, ale ten co się daje złapać.“

„Umarły nic nie mówi.“

„Głupi daje, mądry bierze.“

„To twoje, co trzymasz — to ludzkie, czego nie możesz osiągnąć.“

Ażeby dokładniej określić ten typ zbrodniarzy, nieznanych zupełnie w Europie, przytoczę następujące zdarzenie:

W jednej ze znaczniejszych wsi Syberyi Wschodniej, Bałachcie, mieszkało dwóch skazanych na osiedlenie przestępców, jeden Rossyanin, nazwiskiem Zulczyn, drugi Polak, Onufry S***; obaj oni byli szwecami, na wygnaniu więc złączyli się, ażeby wspólnie swój kunszt prowadzić i połączonemi usiłowaniami zarabiać sobie na kawałek chleba.

Pewnego dnia wybrali się oba o kilkanaście wiorst za Bałachtę, w celu narznięcia przecików drewnianych, potrzebnych im na sztyfciki, jakimi zwykle szewcy zbijają skóry w podszwę.

Doszedłszy do zarośli, rozłączyli się na chwilę, a każdy ze swój strony zajął się zrzynaniem gałązek.

Nieszczęście chciało, że właśnie w tym czasie partya zbiegłych z katorgi zbrodniarzy w liczbie dwunastu, przechodziła tamtędy.

Bradiagi, ujrawszy S***, otoczyli go do koła. Zulczyn, który się o kilkanaście kroków w gęstwinie znajdował, ukrywając się w krzakach, był świadkiem wszystkiego. Nie mógł on w niczem pomódz swemu towarzyszowi, a wiedział bardzo dobrze, że ukazanie się byłoby hasłem jego śmierci. Drżąc więc ze strachu, wstrzymując przyspieszony oddech, przyczaił się w gęstwinie, patrząc z przerażeniem na dramat, którego miał być mimowolnym świadkiem.

— Zdrawstwujcie batiuszka!—wyrzekły bradiagi uchylając swe czapki. Nie w porę ci przyszło spotkać się z nami, ale cóż robić? takie już widać przeznaczenie boże. A naprzód, wiele masz przy sobie pieniędzy?

— Pięć rubli, które wam wszystkie oddam, nie rachując odzienia, tylko mi darujcie życie.

— Nam z życia twojego nic nie przyjdzie, a nawet z serca pragnęlibyśmy puścić cię na wolność; ale widzisz, miły bracie, my mamy swoje prawa, od których nam odstępować nie wolno. Gdybyś wyszedł ztąd żywym, podałbyś na nas

skargę, a może nastąpiłoby śledztwo i pogoń. Dlatego, przebacz nam, grzesznym ludziom, ale umrzeć musisz.

— Przysięgam wam, że skargi nie podam.

— To się zawsze tak mówi pod wpływem obawy, a potem zapomina się o przyrzeczeniu. Znane rzeczy. Dla tego nie trać czasu na próżne gawędy, lecz lepiej pomódl się jako prawdziwy chrześcjanin. My zresztą ciebie męczyć nie chcemy: umrzesz śmiercią, jaką sam sobie obierzesz.

Wszystko to było powiedzianem przez włóczęgę, cichym i łagodnym tonem dobrodusznój perswazyi. Postacie zabójców nie miały w sobie żadnych cech gniewu, złości, szyderstwa—przystępowali oni do tego aktu jako do rzeczy zwyczajnej, codziennie przytrafiającej się, która nie warta była zastanowienia.

S*** próbował jeszcze zmiękczyć ich swojemi prośbami, ale jeden z bradiagów, który zdawał się być hersztem bandy, wziął go za ręce, i pocałowawszy po obu policzkach rzekł tonem braterskiej poufałości:

— Dobry człowieku, nie bądźże dzieckiem, napierając się życia, którego ci dać nie możemy. I ty, i my wszyscy jesteśmy synami jednego Boga: skończmy lepiej ten interes po przyjacielsku. Opierając się, powiększyłbyś tylko niepotrzebnie męczarnie przy gwałtownem przejściu z życia do śmierci. Wybieraj więc co wolisz, czy nóż, czy pałkę, czy zatopienie w téj rzeczce, która jest bardzo głęboką. A może sam zechcesz zadać sobie śmierć?—my i na to przystaniemy.

Nieszczęśliwy wiedział, iż nie go ocalić nie zdoła, a jako człowiek z charakterem i odwagą, poddał się smutnej konieczności.

— Sam sobie życia odbierać nie będę—rzekł. Bóg mi je dał, więc nie mam prawa targać się na nie. Do noża mam wstręt nieprzewyciężony, topienie jest połączone z wielkimi męczarniami; zabijcie więc pałkami, ale proszę was, zabijcie odrazu.

— Bądź spokojny; my w to wprawni, ani poczujesz śmierci.

— A teraz dajcie zmówić pacierz.



Było to ostatnie słowo jakie wymówił. Kilka uderzeń pałą w skroń powaliło go bez czucia na ziemię.

(Włóczęga na Stepach str. 253).

— Słusznie. Lecz pozwól nam wprzód pożegnać się z tobą.

I bradiagi przychodzili kolejno do niego, całując w twarz i mówiąc:

— Daruj nam ojcze kochany!

Poczem ukląkł i w gorącej ostatniej modlitwie, polecił swą duszę Najwyższemu.

Gdy skończył, obejrzał się na stojących w milczeniu około niego zbójców.

— Czyś gotowy?—zapytał herszt.

— Gotowy!—odpowiedział cichym głosem.

Był to ostatnie słowo jakie wymówił. Kilka uderzeń pałą w skroń powaliło go bez czucia na ziemię. Potem zdjęto z trupa odzienie, a przywiązawszy kamień do szyi, wrzucono ciało w rzekę.

Bradiagi oddaliły się powolnym krokiem w swoją stronę.

— Szkoda,—rzekł herszt, skrzesawszy ognia i zapaliwszy krótką fajkę,—że nie inny jaki człowiek popadł w nasze ręce. Tego mi szczerze żal.

— Prawda—odpowiódł drugi—to widać był zacyj człowiek.

— I zgodny,—dodał trzeci.

— W tém pokazał rozum—zakończył herszt.

I zbójcy, uczciwszy powyższemi wyrazami pamięć zamordowanego, znikli w gęstwinie.

Ostatnie ich słowa, były jedyną mową pogrzebową biednego S***!

JEDEN ROK

Z DZIEWIĘCIU LAT ŻYCIA NA PUSTYNI.

Miejscowość w której się znajduje, jest położoną pod 57° szerokości geograficznej. Są to niezmiernie przestrzenie wśród których nie ma ani miast, ani wsi, ani wiosek, lecz tylko małe osady zamieszkałe przez różnych sekciarzy jak np. starowierców, sobotników, skopców i t. p. Każdą taką osadę stanowiącą zarodek osobnego życia, nie łączą żadne stosunki z innymi zamieszkałymi punktami; nie tylko znaczna odległość, ale i przepaść moralna, jaka istnieje pomiędzy różnymi wyobrażeniami mieszkańców, sprawia podobne odosobnienie. Żaden trakt publiczny, żadna droga komunikacyjna tamtędy nie przechodzi. W zimie jest to skryzalizowany lodem, pokryty całunem śniegu obszar zdający się nie mieć końca, na którym niby żdbła wypadkami losu rzucone, czernią tu i owdzie grupy nędznych chatek lub jurt inorodców; w lecie to step zielony, bujną porosły trawą, bogaty organicznym życiem, lecz straszny swoją jednostajnością i spokojem.

Kolonja w jakiej przeznaczenie żyć mi kazało, składa się

z siedmiu chat, a raczej niskich bud na wpół ziemię zapadłych. Tworzą one wszystkie siedem kąt ostry, zakończony wybiegającą znacznie naprzód chałupą. Ta ostatnia udziela mi przytułku.

Nastala zima podbiegunowa: owa zima straszna, długa, krystalizująca życie we wszystkich jego objawach, oziębiająca myśl człowieczą, tamująca oddech w piersi, krusząca energię, wolę, wytrwałość. Słabe światło cztero godzinne dnia, z trudnością przedziera się przez pęcherze zastępujące miejsce szyb w małych okienkach mojej izdebki. Dwadzieścia godzin trwająca noc jest czarna, pępna, grobowa. Ludność osady złożona z samych starowierców, około dwóch dziesiątków dusz wynosząca, jest ponurą, milczącą, nietowarzystką; latem pracuje około roli, zimą zamknięta w swoich izdebkach odpoczywa. W dniu uroczyste nie oddaje się hulankom lub pijaństwu, lecz modlitwie i rozmyślaniu. Każdego człowieka nie podziwiającego jej przekonań religijnych, uważa za istotę niegodną, znikczemioną moralnie, którą można tolerować niedopuszczając w żadnym razie do bliższych ze sobą stosunków. Życie obcego przybysza, którego los rzucił pomiędzy tych sekciarzy, nie jest nigdy wystawionem na żadne z ich strony niebezpieczeństwo; starowiercy albowiem brzydzą się wszelkiego rodzaju podłością i nie było dotąd przykładu, ażeby haniebna zbrodnia zabójstwa, skalała kiedykolwiek ich ręce. Ale za to ten komu przyszło żyć pomiędzy nimi, staje się warunkowo jednostką w pośród otaczającego go świata.

Wiedziałem ja dobrze o tém. Mogłem wybrać na mieszkanie jaką wesołą, towarzyską, wrącą życiem, huczącą hulacką pieśnią, wioskę — wybrałem utajone wśród stepów gniazdo ponurych sekciarzy; wolałem być otoczonym wszystkim zewnętrznymi pozorami grobu, niżli znaleźć pod uludą życia grób rzeczywisty.

Cisza jaka mnie otacza do koła jest przerażającą. Świat cały niby jedna ogromna bryła lodu zdaje się być martwym, bezpłodnym, nieczułym: wzrok zmęczony ową ciągłą szklistą białością, nie ma gdzie spocząć, wyteżony słuch napróżno stara się uchwycić jaki odźwięk, znaczący tętno życia wśród

tego bezwarunkowego milczenia — nie: choćby szczeknięcie psa, choćby ryk bydła, choćby wreszcie krakanie złowrogięj wrony, któreby swym głosem oznajmiało organiczne istnienie. Ludzi nie słyhać, odrętwiałe mrozem zwierzęta milczą; czasami tylko pośród ciemnej nocy, przeraźliwe wycie zgłodniałych wilków przerywa tę ciszę.

Przez obite szczelnie wojłokami ściany izdebki, żadne zewnętrzne szmery mnie nie dochodzą. Obok zamieszkuje rodzina starowierców, a przecież zdaje mi się, że tam nie ma nikogo: oni nie mówią, nie chodzą, nie objawiają niczem swęj obecności—oni modlą się tylko w milczeniu. Trzy razy dziennie gospodyni domu przynosi mi skromny posiłek: jest to kobięta wysoka, sztywna, o rysach twarzy wyrazistych, o wejrzeniu ponurem i ascetycznem. Niby martwy automat sztuczną poruszany siłą, stawia w milezeniu samowar lub miskę strawy na stole, i znika; na zadane zapytania odpowiada jednęm słowem, kiwnięciem głowy, lub najczęściej nie odpowiada wcale. Innych członków rodziny nie widuję wcale, wejść do ich przedziału nie pczwala mi dobrowolnie przyjęte przy najęciu mieszkania zobowiązanie. Raz tylko jeden, w czasie długo trwałęj zimy, przestąpił próg zajmowanęj przezemnie izdebki sam gospodarz, patriarchy rodziny. Powód który mu kazał odstąpić od przyjętych zwyczajów, musiał być nader ważnym, dla tego tęż ciekawością zdjęty spojrziałem na pojawiającą się przedemną osobistość. Był to starzec o wspaniałęj postawie, długięj białęj aż do pasa spływającęj brodzie, oczach głębokę w policzki zapadniętych, których blask oznaczał jednę wylączną idęę, jakięj całę swe życie poświęcił. Podobnym blaskiem lśnią tylko spojrzenia obłąkanych lub fanatyków.

— „Człowieku,“—rzekł zwolna przytłumionym głosem — przyszedłem do ciebie, nie jako brat, bo braćmi nie mogą być mi ci, którzy nie dzielą moich przekonań, ale jako apostoł prawdy. Głosić zawsze prawdę i naprowadzać na dobrą drogę zbłąkanych, jest naszym obowiązkiem. Przyjmując cię dobrowolnie pod swój dach, objaśniłem czego żądam po tobie: cichości, skromnego życia, i wyparcia się wszelkich złych nałogów. Zgodziłeś się na to mówiąc, że cichość lubisz,

skromność jest twoją zasadą, a nałogów szkodliwych nie posiadasz żadnych. Dwa pierwsze warunki wypełniasz; nie słyhać ciebie, nie widać, wódka była zawsze ci obcą, ale na nieszczęście nie jesteś wolnym od strasznego nałogu palenia fajki. Otóż więc przyszedłem powiedzieć, że jeżeli nie porzucisz tęj brzydkięj namiętności, będziemy zmuszeni wypowiedzić ci mieszkanie. (*).

W każdęj innęj okoliczności życia, rozśmiałym się tylko nad tyle dziwnem, a tak pompatycznie objawionęm żądaniem; tu zaś obawa utracenia bezpiecznego schronienia sprawiła, że nie dając przystępu żartom odpowiedziałem równię poważnym tonem:

— Szanuję wasze przekonania, szanuję więc i moje. Nie czynię nic złęgo ani drugim ani sobie, nie przeszkadzam wam w waszych obrządkach i modlitwach, zostawcięz mi wolność użycia jedynęj możliwęj rozrywki w tęj samotności; jeżeli zaś nie zgodzisz się na to, jestem gotów opuścić was.

Staruszek próbował jeszcze różnych perswazyi, przytaczał wyjątki ze starych ksiąg, lecz widząc, że nie odstąpię od swęgo zdania, a nie mając jak się zdaje ochoty utracić spokojnego i cichego lokatora, westchnął głębokę dodając na pożegnanie:

— Rób zresztą jak chcesz. Ja wypełniłem swoją powinność przestrzegając cię. Od tęj chwili grzech twój przestaje być moim.

Odszedł, a ja go już więcęj nie widziałem.

To było jedyne ważniejsze zdarzenie, przerywające jednostajność życia mojegę w czasie trwania długięj, podbiegunowęj zimy. Odtąd dnie płynęły znowu jednę za drugimi: ciężkie, ciche, ciemne. Pęcherzowe powłoki jakięmi opatrzone były okna, zaledwie słaby blask światła przepuszczały; noc zdająca się nie mieć końca, jeszcze smutniejszę wrażenie budziła.

(*) Palenie tytoniu uważanęm jest przez starowierców za najcięższy występęk, za grzech niepodobny do przebaczenia. Według ich wyobrażeń, każdy występęk może być prędzęj przez skruczę okupionym, aniżeli poddawanie się rzeczonęmu nałogowi.

Zostawszy jednostką na świecie, zacząłem żyć życiem wewnętrznym. Życie to pełne tajemnic, iluzji, i fantastycznych widziadeł, może być tylko pojętem przez ludzi mieszkających na pustyni. Jeżeli człowiek dotknięty strasznym nieszczęściem, lub nieznaną granic boleścią, lecz rzucony zarazem w wir ruchliwej społeczności, zapagnie usunąć się od niej, to pomimo najszczerszej chęci nigdy bezwarunkowo dokonać tego nie zdoła. Kipiące do koła życie, przeciska się gwałtownie przez szczeliny moralnego przedziału, jakim się pragnął obwarować, i dochodzi zewsząd, wiążąc bezprześcannie nic jego istnienia z ogólną siecią organizacji społecznej. Najcichsze ustronie, najsurowszej reguły klasztor, nie zdołają wyrwać zniechęconego światem z pod prawa natury, nie pozwalającej częście ludzkości stawać się jednostką.

Tu wśród pustyni, gdzie na obszarach bez końca zaledwie garstka ludzi jest rozrzuciona—garstka którą nic nie wiąże pomiędzy sobą, która nie wie czem są warunki społecznego bytu, która nie pojmuje ani obowiązków człowieka, ani rozkoszy duchowych, odłączenie podobne następuje równie łatwo, jak niepostrzeżenie.

W pierwszych chwilach człowiek odłączony od towarzystwa ludzi, nie może pogodzić się ze swoją samotnością. Puka do piersi automatów, szukając tam serca, wycęża wzrok w ciemnie pragnąc dopatrzeć tam światła, zagłębia się w lód i śnieg, chcąc znaleźć na dnie martwej powłoki choć odrobinę żywotnego ciepła. Gdy jednakże automat odpowie milczeniem, noc zarzuci czarny całun na wyobraźnię, lód zamrozi sympatycznie wyciągniętą rękę, zasklepia się niby ślimak ostrym rażony przedmiotem w ciasnej skorupie swojego bytu, i żyje sam w sobie.

Wtedy myśl jego pracuje bez ustanku. Myśl ta pozostawiona własnemu kierunkowi, prowadzi do zniechęcenia, rozpacz i upadku: wsparta łaską wyrabia i podnosi ducha. Rzecz to nader prosta. Całą tajemnicą życia jest poznanie samego siebie: gdyby człowiek mógł zgłębić całą swoją istotę, we wszystkich jej odcieniach, zbliżyłby się do źródła wiekuistej prawdy, ale jestże kto z nas któryby zdołał zbadać siebie wszechstronnie? Gonimy za naukami, przywią-

zujemy się do znikomych nczuć, szukamy przelotnych wrażeń; chcemy znać wszystko a samych siebie nie znamy. Jeżeli obrócimy czasami myśl naszą w głąb duszy, to albo postronne wrażenia i szereg przemijających wypadków odpychają ją gwałtownie na zewnątrz, albo też nieodłączny wpływ miłości własnej—zarozumiałość, fałszywy jej daje kierunek.

W samotności inaczej się dzieje: człowiek obraca wzrok do koła i nie widzi podobnej do siebie istoty, szuka punktu oparcia dla swojej myśli, a znaleźć go nie jest w stanie; nie mogąc więc żyć teraźniejszością, obraca się w przeszłość. Ubiegłe wypadki przesuwają się w jego wyobraźni jedne za drugimi nie ubrane już w szaty iluzji, ale proste, nagie, rzeczywiste; rozważa je i kombinuje, pragnie dojść przyczyny każdego wypadku, a każda rzecz z zupełnie innej przedstawia mu się strony. Nie zaślepiony już zarozumiałością, która w samotnym życiu żadnej nie może mieć podniety, widzi, że wszystko złe, które go spotkało, z jego własnej wypłynęło winy. Narzekał na ludzi, że mu byli obojętnymi, a nie umiał ich kochać; ubolewał nad upadkiem przyjaznych uczuć, a niczego nie uczynił żeby je utrwalić: powstawał przeciwko przeznaczeniom losu, a sam pod sobą przepaść wykopał—zaślepiony miłością własną cenił samego siebie, a innych cenił nie umiał.

Przebiegłszy tym sposobem myślą przeszłość swoją, i widząc, że wszystkich jej niedostatków pierwszym był powodem, człowiek zastanawia się mimowolnie nad czynnikami, które go mimowolnie po tej drodze popychały: nad wadami i błędami swojemi. Te wady i te błędy widzi on jasno, wyraźnie—już go nie zaślepia najemny podszept pochlebstwa, już nie odwraca jego uwagi nawał krzyżujących się myśli, wrażeń i wypadków. Sam wśród wiecznej, przerażającej jednostajności, kładzie z zimną krwią na szali przeznaczenia wszystko złe i dobre, i przekonywa się jak dalece pierwsze przeważa. Poznanie to, jest przebudowaniem gmachu własnej istoty. Następuje praca na pozór olbrzymia, ale która bez trudów i z szybkością postępuje, bo siłę jej, daje ze-

ślana łaska boża, a trwałość —zdobyta nieszczęściem chrześcijańska pokora.

Żyjąc owém życiem, zdołałem przygłuszyć stopniowo swoje cierpienia; wśród ciasnego widokregu jaki zwiśł nad moją głową, utworzyłem sobie nowy świat duchowy. Bez książek, zajęć, pozbawiony widoku ludzi, osamotniony wśród śnieżnej pustyni, nie czułem swojego opuszczenia. Kiedy mróz podbiegunowy ubezwładniał wszelkie objawy organicznego bytu, kiedy szalony wichur rozhuławszy się po stepie, bił śniegiem o pęcherzową powłokę moich okienek, kiedy stada zgłodniałych wilków, wtórując żalonym swym głosem powszechnemu smutkowi natury, wyły przeraźliwie—ja obojętny na wszystko co mnie otaczało, byłem daleko swą myślą po za obrębem strasznej przerażającej rzeczywistości. Krótkie dni równie jak i długie noce przechodziły nieopstrzeżone: tygodnie, miesiące mijały, a jam nie czuł ich ciężaru—teraźniejszość dla mnie nie istniała.

Trafiły się jednakże chwile, w których tajemny łącznik wiążący mnie z resztą świata, rozbudzał mimowolnie krystalizującą się w tém zasklepieniu działalność. Przyszła mi na myśl tyle pamiętna z młodzieńczej literatury postać Robinsona Kruzoa. Wziąłem go sobie za wzór, i umyśliłem naśladować. Obserwując codziennie bieg słońca, utworzyłem po ścianie linijki oznaczające godziny a nawet i kwadransy; samorodny ów zegar miał różne niedokładności, lecz posiadał tę zaletę, że w czasie kilku godzin dziennych, wtedy gdy słońce w pełnym blasku świeciło, oznaczał upływający czas. Potem, wziąłem się do zbudowania barometru następującym sposobem. Posiadałem niektóre ingrediencye apteczne w przypuszczeniu, iż na pustyni w razie nastąpienia choroby, może wypadnie ratować się własnymi środkami. Wziąłem więc po pół grana kamfory, amoniaku i saletry, i każdą z tych ingrediencyj zmieszałem osobno z wódką; kamforę zaś jako mniej rozpuszczalną, grzałem przy silnym ogniu. Gdy się sole dokładnie rozłożyły, zlałem wszystkie trzy cieczy w jedną butelkę, zapieczetowałem lakiem, i przewiesiłem tak, żeby obróconą była na północ. Krystalizacye,

które się tworzyły wewnątrz butelki, oznajmiły mi z największą dokładnością stan powietrza. (*).

Urządziwszy tym sposobem zegar i barometr, pomyślałem nad utworzeniem sobie towarzystwa w méj samotności. Ludzie odstąpili mnie, szukałem więc otoczenia zwierząt. Od dawna już wierny i przywiązany pies podzielał moją dolę, teraz zastawiwszy samotrzaski, zwiłem w nie zziębnięte i szukające pożywienia ptaszki. Biedne te stworzenia nie zdawały się żałować utraconej wolności; czuły one że tam na stepie czekała ich śmierć głodowa, i bojaźliwie z początku, potem coraz śmieliej przychodziły do ręki, obdzielając je tyle pożądaném ziarnem.

Przy podobnych zajęciach i rozrywkach, przeszedł znaczny peryod czasu. Żadne przedwstępne zjawiska nie oznajmiały rychłego końca pory, zdającą się być normalnym stanem tych wysuniętych na północ kresów, gdy nagle, niespodziewanie nastąpiła wiosna.

Wy mieszkańcy staréj Europy, przywykli do widoku stopniowych przemian w przyrodzie, które zwolna, konsekwentnie, niby zegarkowy mechanizm, odbywają swoje funkcye, zdołacież pojąć i zrozumieć owe nagłe przekształcenia, owe jednorazowe przeskoki z ostateczności w ostateczność, zmieniające w danéj chwili całą postać podbiegunowego świata?

Była zima. Gruba powłoka śniegu pokrywała jeszcze ziemię, jednostajną, łączącą się z krańcami chmurnego widokregu niebios szatą: olbrzymie warstwy lodu, niby kryształowe pancerze, więziły potężne rzeki w swém twardém, niewzruszonym pokryciu. Żaden objaw życia nie istniał tam: nigdzie ni woni roślin, ni śpiewu ptaków, ni brzęku owadów—wszędzie tylko cisza, martwość i nieruchoma bezwładność.

(*) Kiedy na dnie tym sposobem urządzanego barometru, tworzył się osad, można było być pewnym mrozu: kiedy w cieczy okazywały się niewielkie gwiazdeczki, niezawodną bywała burza: jeżeli zaś te gwiazdeczki w większych krystalizowały się rozmiarach, oczekiwać należało śniegu. Powstanie małych punkcików znamięnowało wichur; im zaś niżej one powstawały wśród cieczy, tém silniejszego zimna trzeba było się spodziewać.

I nagle smutne dotąd, pokryte mgłą słońce, zaczyna silnie dogrzewać; góry śniegowe chwiejąc się w swych podstawach kłęsną, maleją, wylaniając z siebie mnóstwo strumyków — szkliste pancerze rzek niewidzialną partę siłą, wzdymają ogromne swe grzbiety, i pękają z hukiem do grzmotu dział podobnym. Parę dni przeszło: ze śnieżnych gór strzelających wysoko pod obłoki, pozostały zbite, niekształtne massy; z tysiąca drobnych strumyków nurtujących ich podstawy rosła szumiące potoki, przejrzyste stawy, spokojne jeziora. Cała powierzchnia ziemi, przybiera postać Oceanu, zdającego się nie mieć granic ni końca. Jeszcze dni kilka nie upłynęło, a te olbrzymie zdrojowiska nikną w wnętrzu rozpulchnionej powierzchni gruntów, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Na czarnej, ogołoconej ze wszystkiego przestrzeni, gdzie tak długo piętrzyły się olbrzymie góry śniegowe, gdzie przed chwilą jeszcze szumiąły bałwany wód, wystrzelają tu i owdzie zwiastuny nowego życia — kępki traw zielonych. Zanim wzrok przywykły do skryształizowanej powłoki ziemi, zdołał upamiętać się w tym niespodzianym dla niego objawie, już owe kielkujące źdźbła roślinnego królestwa, tworzą niezmierne, tchnące powabem wiosny łąki: tyśiące, miliony różnobarwnych kwiatów wychylają swe główki z tego rozkosznego kobierca stepów, nago sterczące przed chwilą szkielety drzew, pokrywają się pękami liści, niezliczone gromady wesołego ptastwa szczebiocą gwarliwie, chmary owadów brzęczą w powietrzu; wszędzie płynie balsamiczna woń wiosny, wszędzie nieczuła martwość przemienia się w brzemienne organicznem życiem istnienie.

I ja także oddycham pełną piersią, ożywczą atmosferą preradzającej się przyrody: pęcherze w oknach znikły, półcienie panujące w izdebce ustąpiły miejsca jasnym blaskom słońca, duszna woń świeżemu przewiewowi orzeźwiającego wietrzyka. Rodzina mojego gospodarza, jak również i wszyscy mieszkańcy osady, udali się na robotę w pole, (*) po

(*) Zwykle rolnicy syberyjscy, szczególnie w małych, odłączonych od zamieszkałych okolic wsiach, udają się z nastaniem wiosny na cały

chatach zostało tylko kilka na wpół niedołączonych starców, którzy siedząc nieruchomie na progach i patrząc oglupiałym wzrokiem przed siebie, wymawiają mechanicznie i bezmyślnie wyrazy modlitwy. Jestem sam, prawie jak sam w pośród tego drobnego, rzuconego w niezmierną przestrzeni stepu światka. Po całych dniach błędę w bujnej, sięgającej do pasa trawie, lub zmęczony przechadzką wypoczywam w cieniu brzoźowego gaiku. Jakież tam życie! Wszystko wre, roi się, kipi, porusza — wszędzie gwar, szum, świergot: każda istota zacząwszy od drobnej zaledwie dojrzaną gołęb okiem muszki, aż do potężnego borów mieszkańca, pragnie wynagrodzić sobie czas stracony, i korzystać z krótko trwałego uśmiechu wiosny. Co chwila przeróżne i nieznanne kształtem istoty, przesuwają się przed moim wzrokiem; świetne, przejrzyste o złotych lub szmaragdowych skrzydełkach owady, sypią się na kobierce łąk, niby rzucone pełnemi garściami skarby drogocennych kamieni: gromady rozmaitych kształtem i barwą ptaków ulatują w powietrzu, lub napełniają gaje wesołemi śpiewy. Tu i owdzie z pomiędzy zwójów drzew i gęstych zarośli, wychyla się głowa jakiejś leśnej poczwary, ośmielonej nieobecnością człowieka, i śledzącej ciekawie swym pełnym okrągłym wzrokiem, wszystkie objawy życia huczącego na stepach.

Wieczorem zmęczony codziennymi wycieczkami po łąkach, gajach, rozkosznych dolinach, wyniosłych górach, siadam w oknie mojej izdebki. Słońce chyli się z wolna ku zachodowi, całodzienny gwar pustyni zaczyna stopniowo ucichać, ostatnie promienie znikającego z widokregu dziennego światła, otaczają wspaniałą aureolą wierzchołki gór, załamki skał, i odbijają się w nurtach płynącego zdaleń Jeniseju, nadając jego wodom purpurową barwę. Często patrząc machinalnie przed siebie, przenosiłem się myślą w inne kraje, pod

czas trwania robót w odległe pola, wraz z dobytkiem i rodzinami i tam przez kilka tygodni pobudowawszy szałas pozostają. Domy ich strzeżone bywają przez niezdolnych do pracy starców.

nieba innych sfer, i tworzyłem złudą wyobraźni z podpadających przed oczy przedmiotów, cały obraz wrącego społecznym życiem świata. W zarysach piętrzących się skał widziałem ogromne miasta, warowne zamki, wspaniałe baszty wież; często bielejące u podnóża gór kamienie; przedstawiały się rozgorączkowanej fantazji jako mury ludnego grodu, a siniejące obłoki niby kłęby dymu wychodzącego z kominów fabryk i przemysłowych zakładów. W pośród odosobnienia szukałem życia... życia, do którego tęskniłem całym sercem, całą duszą moją; przez długie godziny zaludniałem pustynię utworami własnej wyobraźni, wywoływałem z czczości fantastyczne obrazy ubiegłych wspomnień... Próżne usiłowania! przyszła chwila, w której rzeczywistość rozwiała mary mojej iluzji, tak jak silny syberyjski wicher rozwiewa płaczące się po powietrzu mgły ziemnych wyżewów. A gdy zagłębiłem się w dumaniu, gdy sięgnąłem myślą po za te przestrzenie, które wzrok mój obejmował, wzdrynąłem się cały. To kipiące dokoła mnie życie, te zieleniejące się smugi łąk, te pasma gór niknących w oddaleniu, ten obszar step z garstką zamieszkujących go ludzi, to tylko atom życia rzucony wśród pustyni. Kilkadziesiąt wiorst dalej nie ma nic.

Nic!.. okropny wyraz.

Tam jest przestrzeń niezmierna: sta, tysiące wiorst rozległości, której myśl nie jest w stanie objąć, bez wsi, wiosek, domów, ludzi; one tak istnieją w ciszy i spokoju od niepamiętnych czasów, one tak pozostaną przez długie lata, wieki, a może nazawsze. Garstka ludzi, która mnie otacza, jest atomem w pośród tych przestrzeni bez końca, a ja jednostką w pośród tej garstki.

Czytałem przed laty jakąś fantastyczną powieść o człowieku, który żył sam jeden na niezaludnionym planecie. Cierpienia jego były straszne, a autor znający tajniki serca ludzkiego, malował w przerażających kolorach początkowe jego myśli, wrażenia, a potem czarną rozpacz i obłęd zwątpienia. Porównywałem się do tego człowieka, studiowałem jego boleść, anatomizowałem uczucia, rozbierałem każdą łzę, którą nadmiar katuszy wyciskał z jego oczów, i czułem ja-

kieś dzikie, niepojęte zadowolenie drażniąc rany rozbolełego serca.

I tak mijały dnie, tygodnie; nmiarkowane ciepło wiosny przemieniło się w straszne upały, ożywcze przed chwilą promienie słońca, padając ognistymi snopy na przywykłą do tych nagłych zmian klimatu ziemię, paliło wszystko swym piekielnym żarem. Powietrze zdało się być wulkaniczną miazmą, woda rozpalona lawą, a światło płomieniem. Ani jednej chmurki na widokregu, ani przelotnego powiewu wietrzyka, ani orzeźwiającej kropli rosy; ptastwo odbiegło w najnieдоступniejsze gęstwiny lasów, zwierzęta harcujące nie dawno jeszcze po stepach, poukrywały się w norach ziemi lub jaskiniach skał, drobne nawet muszki opadły bezsilne, i szukały w zwojach bujnej trawy przytulku przed ogniem podbiegunowego lata.

Było wszędzie cicho, duszno i jasno...

Wieczorem gdy słońce zniżające się ku zachodowi, rzucało nie tyle już palące promienie, ze wszystkich stron, niby prądami wiatru podniesione chmury, roily się tysiące, miliony, nieznanych w Europie owadów. Natura, którą nazywamy matką naszą, stała się pod tym stopniem szerokości geograficznej prawdziwą macochą; w zimie tamuje ona wszelki objaw życia i uczucia swym chłodnym, lodowatym uściskiem, w lecie skąpi nawet powietrza do oddychania, zarażając je nieprzeliczonemi myriadami złowrogich istot: jedynym jej uśmiechem są te kilka tygodni wiosny, ale owa krótkotrwała pieszczota, zważywszy na następujące po niej cierpienia, nie może przedstawiać się inaczej jak tylko jako okropne i srogie szyderstwo.

Wyjątkową chwilą dającą wśród lata ulgę tem bezprześcannem dolegliwościom, jest noc. Zapada ona zarówno szybko jak niespodziewanie. Nie znane tu są owe półcienie zmroku, stopniujące przechód ze światła do bezwarunkowej ciemności. Zaledwie słońce znikło z widokregu, już jej opona niby śmiertelny całun rzucony nagle na zwłoki zmarłego okrywa nieprzejrzany kirem świat cały; ubezwładnia zwałłone całodziennym upałem siły potrzebujące spoczynku, a jednak-

że żądza odetchnięcia odświeżoną atmosferą nocy, przerywa znużenie i wstrzymuje sen klejący powieki.

Siedząc przy otwartém okienku, wciągam w siebie balsamiczne wyziewy, i poję się tą jedyną chwilą lata, w której miasto ognia zachwycić można pełną piersią czyste i zdrowe powietrze. W pośród mroków nocnych, błyskają tu i owdzie małe światelka: rosną, rozszerzają się, wznoszą, a fale ognia zalewają góry, wzgórza i dalekie step przestrzenie. To rolnicy syberyjscy zapalili łąki (*). Wspaniały i przerażający zarazem widok! Ze wszystkich stron gdzie tylko wzrok dosięgnąć może, buchają jaskrawe płomienie, oświetlając ponurym swym blaskiem cały widokrąg. Ta iluminacja stepu ma w sobie coś wielkiego i tajemniczego zarazem. Wśród pustych, prawie niezamieszkałych obszarów, niszczący żywioł skrytą podbudzany ręką, tworzy cudowne efekta światła i cieni: u dołu płynie zwolna gorejąca rzeka, tryskając na wszystkie strony strumieniami ognia, po nad tém morzem płomienych fal wznoszą się snopy iskier i kolumny blasków. Każdy krzak, każde drzewo spotkane po drodze przez ogniste potoki, zmienia się w olbrzymią pochodnię i pożar szumi, błyszczy, wzrasta, aż nakoniec nieznalazszy materiałów do niszczenia gaśnie nagle, a czarna pomroka nocy ogarnia świat cały. Świadcami tego fantastycznego widowiska są tylko poczwary leśne, lub chmary ptastwa chroniącego się przed

(*) W ciągu lata włościanie syberyjscy zapalają niewykoszone łąki dla zapewnienia sobie na przyszłość obfitych zbiorów siana. Zgubny ten obyczaj, na który każdy narzeka, którego nie mogą zatamować żadne rozporządzenia władz, jest powodem licznych wypadków. Morze płonące ogarnawszy wyschnięte posuchą łąki traw, płynie jakby ognista rzeka obejmując wszystko co spotka po drodze. Tak goreją płoty ogradzające pastwiska bydła od łąk (poskotiny), tak goreją nietnięte jeszcze siekierą przechodnia krzaki, lub znajdujące się po polach sterły zboż i siana, tak częstokroć stają się łupem niszczącego żywiołu całe wsie, i osady. Nader trudnym i prawie niepodobnym zadaniem jest pojmać na uczynku winowajcę; zapalenie wreszcie łąk następuje zwykle ze zgodą i wiadomością całej gminy, a wykonawną woli gromady staje się zwykle mały błędzący za stadem po stepach pastuszek, lub nawet kilkoletnie dziecko.

niezrozumiałym dla nich objawem; człowiek stepowy za nadto wiele ma wtedy do czynienia, ażeby pragnął śledzić postępy ognia pustyni.

Pora letnia trwa nie długo. Przyroda tych stron jak gdyby zgadując krótkość bytu organicznego życia, działa nagle, z pośpiechem, gorączkowo. Zaledwie ostatnie śniegi znikły z powierzchni ziemi, już rzucone ziarno zieleni trawą: rośnie, żółknie, dojrzewa i plon wydaje. Rolnik pragnąc zebrać zapasy na zimę, winien pracować bez przerwy, nieustannie; odpoczywać jemu nie wolno. Trzy miesiące ciężkich znojów, wycieńczających siły trudów, i dziewięć miesięcy bezmyślnego zasklepienia się wpośród ciasnych ścian ciemnej izdebki—oto jest życie stepowca!

W osadzie pusto. Dwóch czy trzech starców pozostałych dla pilnowania dobytku, wygrzewa się leniwie przed progami chat, szepcząc z cicha staroświeckim stylem ułożone pacierze. Czasem z głębi stepowych obszarów przybywa któryś z koczujących tam mieszkańców, i zabrawszy na prędce zapasy żywności, oddala się nie wymieniając z nikim słowa. Czasami mały pastuszek gnając stada owiec po przyległych górach, zagra smętną piosenkę na wierzbowej fujarce. To chwilowe pojawienie się rolnika w domowej zagrodzie, ten oddalony dźwięk sielskiej muzyki przypominający inne szczęśliwsze czasy, przywodzący na myśl drogie sercu wspomnienia, są jedynymi wypadkami przerywającymi jednostajność samotnionego życia.

Bywają dnie w których jasny widokrąg niebios pokrywa się czarnymi chmurami, grom huczy, wichur wyje; w których zdaje się, że wszystkie żywioły wystąpiły do walki pomiędzy sobą. W takich dniach lżej mi na sercu. Niemy świadek tych zapasów, porównywan spokój mego życia do burzy dzikich namiętności wstrząsających byt społeczny, i czuję, że ta cisza mojej pustelni lepszą jest od wiru szalejącego świata. Spokój nie jest szczęściem, nie jest nawet zapomnieniem, ale wyradza pewien rodzaj moralnego odrętwienia przytępiającego boleść niezagajonych jeszcze ran... Kto wiele przecierpiał, kto został zdradzonym w najświętszych uczuciach, kogo zaufana ręka

odarła ze wszystkich illuzji i popchnęła na brzeg przepaści, kto ginąc, w miejsce współczucia usłyszał po za sobą śmiech szyderski, ten nigdy już nie zdoła odzyskać dawnej swobody ducha, ale może złagodzić wewnętrzne katusze bezwzględny spokojem samotności: są męczarnie na usunięcie których medycyna nie posiada żadnych środków, a jednak samém uśmierzeniem boleści przedłuża konanie.

Tymczasem samowładna pani stref podbiegunowych, zima, w swojej skryzalizowanej mrozem koronie, śnieżystym płaszczu, z aureolą zórz północnych po nad skronią, przybliżyła się szybkimi kroki dla owdładnięcia królestwa, które na krótko opuściła. Jój skrzypiący przymrozkami chód słycać z daleka, jój zimny oddech czuć się daje w zamrożonych miazmach powietrza, jój posępne oblicze odbija się w zbitych na widokregu chmurach. Dnie zaczynają być coraz krótsze, nocy coraz wcześniej zapadają, wiatr jesienny złowieszczy goniec władczyni północy, świszczy przeraźliwie; ptastwo odbiegło, zwierzęta się pochowały, garstka ludzi pomiędzy którymi przeznaczenie żyć mi kazalo, oddawna powróciła ze step, i przycichła w swych legowiskach. Wszędzie głucho, ciemno, straszno...

W owym czasie dziwném zrządzeniem losu, jak gdyby dla wypróbowania sił moich moralnych, zabłysnął przed odętym stepowem osamotnieniem umysłem, objaw rzeczywistego życia. Przedemną zjawił się człowiek w pełnym rozwoju towarzyskich przymiotów, gorących uczuć—z myślą rwącą się naprzód, z sercem szukającym sympatyj i spólcucia. Nie był to automat—starowieca, zastygły w bezwładności i mechanicznej modlitwie, nie był to włościanin syberyjski ze zwierzęconemi nadużyciem wódki pojęciami, ale dawny znajomy, towarzysz lat młodości, który udając się na południe, zabłądził przypadkiem w tę odłączoną od reszty świata pustynię.

Pana *** znałem jeszcze w kraju. Od najpierwszych lat młodości odznaczał się on niezwykłą ruchliwością. Życie uważał za olbrzymi warsztat, przerabiający bez ustanku surowe materyały myśli na bogate wartości produktu czynu. Spokoju nie pojmował, odpoczynku nie pochwalał, stagna-

cyą się brzydził. Był on jak ów przywykły do nieustannego hałasu właściciel foluszu, który puszcza w ruch maszyny nawet i wtedy, gdy zabrakło zasobów do przeróbki, aby tylko hurkotem kół oszukać przymusową beczynność. Poznawszy szczegóły mego życia nie mógł wyjść z zadziwienia: nie rozumiał, ażeby człowiek chciał kiedykolwiek dobrowolnie skazać się na podobną samotność.

— „Ależ to jest śmierć moralna!“—zawołał przerażony.

— „Nie kochany przyjacielu,“ rzekłem łagodnie biorąc go za rękę—śmierć moralna jest tam tylko gdzie ustaje praca myśli; kto żyje w sobie ten nie umiera. Świat wewnętrzny, świat dumań, wspomnień i nadziei, świetnym jest i wspaiałym, a horyzont jego nie ma krańców. W tym świecie idealnym żaden fałszywy akord złości ludzkiej, podłości, przeniewierzenia się, niezamąci ogólnej harmonii piękna. Patrz!—dodałem wskazując na oswojonych ptaszków świegocących wśród izby, na wiernego psa czołgającego się u nóg moich: to są prawdziwi przyjaciele; oni nie odpłacą złem za dobre, nie zdradzą, nie wysmieją, nie ukąszą ręki, która im codzienną podaje strawę... Dni moje upływają cicho, jednostajnie, ale bez goryczy i wstrząśnień moralnych. To co było wczoraj jest dzisiaj; co jest dzisiaj będzie jutro. Nie znam upokorzeń i odczarowań, nie walczę z uprzedzeniami i nienawiścią; przeszłość jest mi nauką, terażniejszość pokutą, a przyszość nadzieją.

— „A gdy przyjdzie chwila, w której to wszystko co cię teraz zajmuje, stanie się ohydny i wstrętny; gdy przyjdzie chwila w której czarna rozpacz wpije się jako wąż zjadliwy do twego serca, uczepi kamieniem u szyi, złamie moc sztuczną, i powali bezwładnego na ziemię—któż cię wtedy podtrzyma, pocieszy, uleczy? Czyliż uczynią to automaty, w których oprócz kształtu nie ma nic człowieczego? Czyliż uczynią to zwierzęta umiejące tylko łasić się i szczebiotać? Bez przyjaciela, bez towarzysza, bez żadnej życliwej istoty, zginiesz w tej pustyni. Obejrzyj się na próżnię, która cię otacza, zastanów nad twojém opuszczeniem i powiedz, jestże taki, któryby cię w podobnej ostateczności uratować zdołał?

— „Jest!” odpowiedziałem.

Pan *** spojrział na mnie z zadziwieniem.

— „Któż?” zapytał.

— „Kto? ten który był zawsze ojcem sierot, przewodnikiem zbłąkanych, pocieszycielem nędzarzy — ten który w najsroźszych cierpieniach życia osusza łzy boleści, zamienia męczarnie rozpaczy w spokój ufności i nadziei.

Towarzysz moich lat dziecińczych nie wyrzekł ani jednego słowa, tylko westchnął i opuścił smutnie głowę na piersi.

On pomimo sztucznej wesołości i powierzchownego zaufania w siłę swego charakteru, stokroć razy godniejszym był politowania odemnie.

Nieszczęśliwy... nie wierzył!

WOJNA DOMOWA W CHINACH

Kilkakrotnie już w listach pisanych do Was, (*) wspominałem o obyczajach i zwyczajach sąsiadów moich, Chińczyków, lecz nigdy nie dotknąłem kwestyi najżywotniejszej, jaka niezmierną ludność państwa niebieskiego dzieli na dwa nieprzyjazne sobie obozy. Wojna domowa w Chinach jest to rak wewnętrzny, toczący dobrobyt tego państwa, nurtujący jęj administracyjne urządzenia, zagrażający jęj przyszłości. Jest ona zatem bardzo ważną, a wyobrażenia powzięte z gazet angielskich, przedstawiających dla widoków handlowych jednostronnie fakta, bywają czasami bardzo niedokładnemi. Jeżeli dotąd tęg kwestyi nie dotykałem, to dla tego, że wszystkie szczegóły, jakie mogłem o państwie niebieskiem zasięgnąć, pochodziły zwykle od kupców tego kraju, a opinia polityczna kupców chińskich jest jak herbata, którą na to sadzą, ażeby rosła i przynosiła zyski plantatorom. Plantator zaś nie pyta czy ją będą pić Tajpingi, czyli tęg cesarscy, byle płacili za nią stosowną ilość taelsów. I mądrze czynią. Losy wojny są zmienne, a zajmujący się handlem Chińczyk, nigdy wiedzieć nie może, czy miasto, w którym

(*) Zobacz „listy z nad granicy Chińskiej” w Tygodniku Ilustrowanym z r. 1869 i 1870.
Przyp. aut.

mieszka, utrzyma się pod władzą cesarskich, czy też wpadnie w ręce Tajpingom: przezorność więc nakazuje ani jednym ani też drugim nie obrażać na siebie. Obecnie zaś miałem sposobność otrzymać z wiarogodnego źródła szczegóły, dające niejaki wyobrażenie o początkach tej strasznej wojny, położeniu wzajemnym dwóch przeciwnych sobie obozów, a głównie o wpływach, jakie Anglicy mają na wojenne sprawy.

Wiadomo powszechnie, że na całej niezmierniej przestrzeni, odgraniczającej mocarstwo rossyjskie od Chin, jeden tylko znajduje się punkt dowozowy herbaty, a tym punktem jest Kiachta. Herbata wieziona głównym traktem z Pekinu na Małmaczyn, zamienianą jest tamże na złoto, i przysyłaną przez Irkuck do Europy.

Dowóz ten ma duże niedogodności: najprzód jeden tylko punkt wymiany, koncentruje w tej miejscowości największe kapitały, z uszczerbkiem innych części Syberyi; a powtóre linia irkucka nie jest bynajmniej prostą linią w stosunku do Europy, co pomnaża koszta transportu. Ażeby temu zapobiedz, postanowiono porozumiewszy się z władzami chińskimi, otworzyć kilka innych miejscowości dla wymiany towarów na granicy chińskiej.

Jeden z tych punktów znajduje się w okolicy, którą zamieszkuje—jest nim wieś blisko granicy państwa niebieskiego położona, nazwiskiem Taszyb. Dowóz z Pekinu będzie się odbywał wprost przez prowincję chińską Mongolią. Mongolia, chociaż jeszcze bardzo dzika, i po większej części koczującymi plemionami zaludniona, nie jest wszakże tém, czém była przed laty; drogi przez Sajańskie góry są potworzone, a pobudowane osady w niektórych punktach, które mieszkańcy tamtejsi zwa pompatycznie miastami, mogą służyć za wypoczynek dla transportów. Oddawna już jeden z kupców tułtejszych, zamieszkały w mieście okręgowym Minusińsku, Wasilkow, prowadzi obszerny handel solą z Sajancami i Mongołami, i bardzo dobrze na tém interesie wychodzi.

Otóż więc dla zbadania miejscowości, oznaczenia traktu wywozowego, i porozumienia się z władzami chińskimi, przybył na granicę książę A***, znakomity oryentalista.

Z powodu przybycia tego dygnitarza w nasze strony, miałem sposobność widzieć już nie kupców, ale urzędników państwa niebieskiego, i z powziętymi od nich szczegółami postaram się Was poznać.

Tak powszechnie wiadome są przyczyny wojny domowej w Chinach, że powtarzać tego wszystkiego nie widzę najmniejszej potrzeby. Jest to wojna wyłącznie dynastyczna. Lecz wszystkie wojny dynastyczne w Europie, choć były krwawe i namiętne, nie miały nigdy tego znaczenia i doniosłości, jak walka tocząca się obecnie w państwie niebieskiem. Pierwiastki, z jakich składają się ludy Chin, nigdy nie zlały się z sobą dokładnie w jedną całość: pomimo upływu wieków Tatar pozostał Tatarem, Mongoł Mongołem, zachowując starannie swoje obyczaje i wiare; a czystej krwi Chińczyk, czując swą wyższość pod względem nauki i wykształcenia, zawsze z pewnym rodzajem pogardy spogląda na pobratymcze mu plemiona. To wzajemne zapatrywanie się na siebie rozlicznych szczepów w zwyczajnych stosunkach życia, nie odznacza się nienawiścią, Chińczyk bowiem zanadto jest ociężałym, ażeby kiedykolwiek powodowały nim namiętności; ale stanowi pewną na pierwszy rzut oka prawie nieujętą linią demarkacyjną, oddzielającą owe rozliczne żywioły pomiędzy sobą. W języku chińskim np. wyraz cudzoziemiec, ma podobnie jak Giaur u Mahometanów i Goj u Izraelitów, nader pogardliwe znaczenie. Otóż Chińczyk ze środkowych prowincyi, nigdy nie nazywa mieszkańca Mandżuryi lub Tantara inaczej, jak cudzoziemcem. Z drugiej strony znowu budaiści pałają skrytą niechęcią przeciw wyznawcom zasad Konfucjusza, nazywając ich wielbicielami ksiąg.

Oprócz wzajemnej niechęci tych rozlicznych plemion z zupełnie odrębnymi pojęciami, obyczajami i pochodzeniem, mordercza walka, trwająca już od tak dawna, oswoiła mieszkańców państwa niebieskiego z tym nienormalnym stanem rzeczy, tak że pomimo strat jakie ponoszą w handlu i przemyśle, przywykli oni uważać ją jako konieczność. Dwie silne partie, dzielące ludność państwa na dwa przeciwne sobie obozy, znajdują ciągle niejaką podnieętą swych sympatyj, w kolejnych zwycięstwach lub porażkach stron wojujących.

To ciągle naprężone położenie, stało się że tak powiem sąłą atycką dla owych mass ociążałych, gnuśnych, przesyconych nadmierném używaniem opium. Dziwne to jest usposobienie, prawie na pierwszy rzut oka niepojęte dla Europejczyka, przywykłego do wszystkich spraw swoich przymieścić choć szczyptę zapału. Biją się oni mechanicznie, zwyciężają bez tryumfu, idą w rozsypkę przy porażce bez upokorzenia, mordują nawet swych jeńców bez nienawiści. Przy rabunku tylko zdobytych miast, oczy chińskiego żołnierza, błyszczą chwilowo, podbudzone chęcią zysku; chciwość bowiem jest jedyną namiętnością, zdolną poruszyć żywiej krew w żyłach tych automatów.

A jednakże przyznać należy, iż stan ten rzeczy, jakkolwiek obecnie jeszcze nie groźny, może stać się z czasem przyczyną upadku jednego z najbogatszych w świecie ludów. Ale na to potrzeba długiego przebiegu lat: cesarz chiński jest jeszcze prawie dzieckiem, a namiestnik państwa stał się narzędziem w rękach dyplomacy europejskiej; przytém przez wojsko zdemoralizowane, źle prowadzoną administrację, wewnętrzne sprawy państwa niebieskiego z każdym rokiem gorzej stoją.

Kiedy przy końcu 1851 r. sześćioletni syn Gienfunga Tschai-sei, miał pod swoim nowo przybraném imieniem Kistsiana, skutecznie uroczysty wjazd do Pekinu, książę Kong ogłosił się samowolnie namiestnikiem. Oddaliwszy za pomocą dworskiej rewolucyi, otaczającą młodego cesarza przyboczną radę, która była źle usposobioną względem cudzoziemców—od pierwszej chwili nie mógł inaczej uczynić, jak oprzeć się na pomocy i przyjaźni europejskich mocarstw. Idąc za radą angielskiego konsulatu, sformował on nowy regularny korpus wojska, dla obrony nie zbuntowanych dotąd prowincyi, pod dowództwem oficerów europejskich. Zwierzchnictwo tej armii dostał pułkownik amerykański, Bard. Pierwsze działania tego oficera były tak szczęśliwemi, tak wielką porażkę zadał zbuntowanym Tajpingom, że w Londynie i Nowym-Yorku, zaczęto już dopatrywać ery nowej, szczęśliwszej dla stosunków handlowych.

W 1862 roku pułkownik Bard padł rażony sztyletem

zabójcy, wśród murów jednego z miast prowincjonalnych Kiang-Si, a podkomendny jego, podpułkownik Burdswain, objął po nim dowództwo. Wkrótce jednak poróżnił się z Toatajem, wicekrólem w Kiang-Si, który nie chciał wyplacać wojsku należnego żołdu. Niewiele myśląc, Burdswain podstąpił z wojskiem pod miasto Schangaj, stolicę Kiang-Si a rezydencję wice-króla, i z rewolwerem w ręku zażądał od chytrego wice króla wypełnienia zobowiązań. Taotaj nie tylko nie wyplacił należnych pieniędzy, ale dał podpułkownikowi formalną dymisyę. Pomimo wszelkich zabiegów dymisy ta przyjęta została przez namiestnika cesarskiego w Pekinie. Rozgniewany taką niesprawiedliwością, Burdswain, zebrał wszystkich swoich podkomendnych europejskich oficerów w liczbie 300, i przeszedł do powstania.

W mieście Sutchen-fu, gdzie stał niewielki oddział Tajpingów, którzy go przyjęli z otwartymi rękami, uorganizował rodzaj gwardyi miejskiej, powołując w szeregi wszystkich zdolnych nosić broń mieszkańców. Te wypadki miały miejsce w miesiącu lipcu 1863 roku. Niedługo wieść o przyśługach, jakie Burdswain oddał powstańcom, doszła do Nankinu, która to stolica znajdowała się, jak wiadomo, w rękach Tajpingów. Wezwano go do tego miasta, a cesarz powstańczy Tien-bang, obdarowawszy szczerze nowego swojego poplecznika, raczył mu powiedzieć, że zamyślił „cudzoziemców,“ tak bowiem nazywa panującą dynastyą Mandzurów, wypędzić z kraju za pomocą cudzoziemców, i że dla tego postanowił utworzyć legion europejski, nad którym dowództwo odda Burdswainowi. Tenże zaś zobowiązał się w przeciągu roku dostawić 4000 Amerykanów, i w tym celu posłał werbowników do San-Francisco.

Gdy się to działo, książę Kong, jednocześnie, powziął zamiar wystąpić energicznie przeciwko wojskom powstańczym. Na czele armii postawił półkownika chińskiego Tchenko-fán, i działania wojenne rozpoczęły się na całej linii od strony Nankinu. W szeregach obudwóch armii było mnóstwo europejskich oficerów, ale cesarskim wojskom i tym razem nie posłużyło szczęście. Tajpingi obsadzili miasta King-Si, Gu-nan i Ghu-pe; uzbroili 28 małych forteczek, i zostawiwszy

w Nankinie dobrze uzbrojonego wojska 30,000, rozciągnęli się obozem wzdłuż linii Moling. Burdswein zdołał sformować swój cudzoziemski legion, na czele którego oddał ważne usługi powstańcy rządowi Tajpingów.

W obecnym czasie wojna toczy się ciągle z różnym powodzeniem, ale zwycięstwo częściej jest na stronie powstańców. W 1870 roku, Tajpingi, zdobywszy kilka silnych pozycji, i zniósłszy zupełnie lewe skrzydło cesarskich, posunęli się całą armią na północ, a pozostawiając na prawo miasto Hong, ufortyfikowali nader starannie swoją pozycję.

W miesiącu lipcu t. r. przednie ich strażnice znajdowały się w Mo-fi-lo, miasteczku niebardzo odległym od granicy Syberyi. Czytając gazety europejskie, a mianowicie depesze telegraficzne przez Londyn nas dochodzące, nie możemy mieć wyobrażenia o prawdziwym położeniu rzeczy. Rząd bowiem angielski nie sprzyjając Tajpingom, wszelkimi sposobami stara się podnosić w oczach Europy siłę mandżurskiej dynastji.

W tak zawikłanej kwestji jaką jest pretensja do tronu chińskiego, niepodobna rozsądzić czy linia mandżurska, czyli téż linia Tajpingów ma prawo pierwszeństwa; to jednak nie podlega najmniejszej wątpliwości, że szczegóły o toczącej się wojnie, rozszerzane przez prasę angielską, nie są prawdziwymi. Siły Tajpingów nie są tak małe jak je *Times*, *Morning Chronicle*, i inne półurzędowe dzienniki chcą widzieć. Powstańcy zajmują ogromną przestrzeń państwa niebieskiego, armia ich liczy do 600,000 ludzi, i jest nierównie lepiej uorganizowaną od cesarskiej. Oprócz tego, jak mi opowiadał naoczny świadek, w miastach zajętych przez nich panuje wielki porządek: żołd wojsku regularnie jest wypłacany, administracja lepsza jak u Mandżurów, a co najważniejsza, że i pieniędzy nie brakuje. Pufny cesarza powstańców Tien-banga, Si-tchun-bang, wchodzi sam osobiście w najdrobniejsze sprawy: i stara się zachować karność, sprawiedliwość jakotéż poszanowanie prawa.

Przeszłego roku, za staraniem Si-tchun-banga, ostatnie oddziały łuczniczków zniesionemi zostały przy wojsku tajpingów; ich miejsce zastąpiły oddziały rycerzy opatrzone w broń

palną. W istocie łucznicy do dzisiejszego dnia, w znacznej liczbie używani przy armii mandżurskiej, nie mogą wielkich usług oddać nawet przy tak niedokładnym systemacie wojennym jaki jest w Chinach. Strzały wprawdzie idą tak daleko jak kule karabinowe, ale każdy pocisk przeleciawszy 70 kroków słabnie stopniowo, i własnym ciężarem dążąc ku ziemi, zakreśla półkole i pada przy nogach nieprzyjaciela. Oprócz tego, ażeby napiąć zwyczajny łuk chiński trzeba być obdarzonym niezwykłą siłą — nie każdy jest w stanie tego dokazać; na łuczników więc dobiérano zwykle najsilniejszych żołnierzy, co znowu było z uszczerbkiem innych oddziałów armii, gdzie także, mianowicie przy obsłudze ciężkich armat chińskich, potrzeba nader silnych ludzi.

Miałem sposobność widzieć tę broń, znaną w Europie za ledwie z podań średniowiecznej historii. Struna łuku naciąga się za pomocą korby, czasem jednakże wypręża się ręcznie; w tym ostatnim razie jednak pocisk nie bywa tak celnym. Wszystkie strzały bywają zazwyczaj zatrute, co także dawało powód do licznych wypadków; żołnierz bowiem chiński, nie mogąc częstokroć pomieścić wszystkich swoich strzał w kołczanie, przywiązywał je do warkocza, i bywały zdarzenia, że one w pochodzie raniły go i pozbawiały życia; najmniejsze bowiem zadrażnienie zatrutą strzałą, staje się śmiertelnym.

Wszędzie, gdzie tylko znajdują się europejscy oficerowie, czy to przy oddziałach tajpingów czyli téż mandżurów, zniesiono w skutek ich energicznych protestacji, posadę katów-batalionowych, ale przy oddziałach komenderowanych, wyłączenie przez Chińczyków, zwyczaj ten barbarzyński dotąd istnieje. Nietylko że za najmniejsze przewinienie, oficerowie karzą bez litości podkomendnych sobie żołnierzy, ale starsi mandarynowie, znajdujący się zawsze przy armii w charakterze urzędników policyi, skazują bardzo często na chłostę samychże oficerów. Narzędziami wymierzania kary są owi etatowi kaci. Chłosta nie jest uważaną za poniżającą godność człowieka; jeżeli jój się obawiają, to jedynie tylko z powodu cierpienia fizycznego jakie sprawia. Po otrzymaniu plag, oficer chiński cieszy się równym poważa

niem kolegów jak przedtém, a jeżeli posiadał jaki znak honorowy lub order, nie utracą ich bynajmniej w skutek kary cielesnej jaką otrzymał.

Etatowi kaci znajdujący się przy armii chińskiej, podobnie jak boabowie otaczający beja tunetańskiego, nie noszą innej broni prócz narzędzia kary, wyróżniają się ubiorem, i cieszą niezwykle poważaniem. Chociaż są oni tylko ślepyimi wykonawcami rozporządzeń mandarynów, wszyscy przywykli uważać ich, jako przedstawicieli sprawiedliwości. Boabowie jednak tunetańscy stanowią właściwą straż beja, wtedy gdy w swoim pałacu Bardo wydaje wyroki; chińscy zaś kaci wojskowi zaliczani są do oddziałów armii stale, z pewną dosyć nawet wysoką rangą, i w hierarchii wojennej mają pierwszeństwo przed wielu oficerami. Niektórzy z podróżujących w ostatnich czasach po Chinach twierdzili, że do tój posady przywiązana jest także pewna godność duchowna, zdanie swoje opierali zapewne na surowej, poważnej powierzchowności, i ciemnym ubiorze tych strasznych urzędników; ale zdanie to jest zupełnie mylném, wykonawcy bowiem chińskiej sprawiedliwości, pomimo wysokiego poważania jakim się cieszą, nie mają nic wspólnego ze stanem duchownym.

Kary za przestępstwa w armii chińskiej bywają różne: np. areszt krótszy lub dłuższy, degradacya mniejsza lub większa, ale prawie wszystkie połączone są z chłostą. Kary cielesne bywają niekiedy bardzo srogie: nie rzadko trafia się iż skazany kończy swe życie pod razami. Z resztą one wymierzają się tylko wtenczas gdy nastąpiła skarga: jeżeli strona pokrzywdzona nie doprasza się ukarania winowajcy, władza nie ma prawa go poszukiwać. Najpowszechniejszy występki w Chinach, złodziejstwo, rzadko bywa karaném; najczęściej bowiem uszkodzony godzi się polubownie z przywłaszczycielem swojego mienia, otrzymując oprócz wartości uronionego przedmiotu, pewną ilość taelsów. Złodziejstwo samo przez się nie jest uważaném jako czyn niegodny; przeciwnie zręcznego oszusta, któremu niczego dowieść nie można, cenią wszyscy jako człowieka sprytnego i rozumnego, takiego zaś, który popadł pod karę lub też musiał się opłacić

szczodrze poszkodowanemu, wyśmiewają jako niezręcznego i pozbawionego talentu, nie zrywając z nim bynajmniej stosunków towarzyskiej życzliwości lub przyjaźni.

Oto są jaknajdokładniejsze szczegóły o obecném położeniu armii chińskiej. Pomimo tyloletniego pobytu mojego w tych stronach, a zatém i stopniowego przyzwyczajenia się do swoich sąsiadów — patrząc na te postacie, słysząc te wszystkie objaśnienia, niechce się czasami własnym oczom i uszom wierzyć, tak dalece wyobrażenia i zwyczaje ludu chińskiego, odrębne są od wyobrażeń, przekonań i pojęć, naszej staréj Europy.

POSZUKIWACZE ZŁOTA W SYBERYI.

Kiedy przed dwudziestu kilku laty odkryto złotodajne piaski nad brzegami rzeki Sacramento, całe massy ludności z różnych stron świata, owładnięte żądzą szybkiego z bogacenia się, opuszczały rodzinne strony i dążyły tłumami do Kalifornii. Było rodzaj epidemii, choroba nazwana „gorączką złota.“ I w krótkim przeciągu czasu, wśród pustych obszarów, stawały bogate i ludne miasta, przy niedostępnych brzegach, tworzyły się wygodne i bezpieczne porty; na tyśiące jednak emigrujących, powracało zaledwie kilku bogaczy, reszła nikczemniała, umierając z głodu, lub kończąc samobójstwem nędzne dni żywota swojego. Wyjątek stanowili ci, którzy, przeczawszy gdzie znaleźć można istotny pożytek, porzucili placery, a wzięwszy się do handlu, przemysłu i rękodziel, doszli wolniej wprawdzie, lecz pewniej do zapewnienia sobie niezależności i dobrego bytu. Poszukiwanie bowiem złota, jak wszelkie środki służące do łatwego i prędkiego z bogacenia się, jest więcej grą z losem niż spekulacją: na setki, tyśiące idących w zapasy, zaledwie znaleźć można kilku wybranych.

Bogata w minerały syberyjska ziemia, ukrywa w swém łonie także ów drogocenny kruszec, a od chwili odkrycia złotodajnego piasku w tych stronach, miejscowa i napływowa ludność, jakoteż przybyli naumyślnie z Europy spekulanci, zajmują się poszukiwaniem złota. Warunki jednak są tu zupełnie odmienne. Klimat, niedostępność pustyń leśnych, ustawy rządowe, mała wydajność, a najwięcej może stosunki odrębne Syberii, sprawiają, że to co w Kalifornii było początkowo gorączkowym szaleństwem, tu zawsze przedstawiało się jako proste przedsiębiorstwo. A najprzód klimat nie mało wpływa na uśmierzenie niewczesnego zapału: pod tym stopniem szerokości i długości geograficznej, krew leniwiej krąży w żyłach, serce wolniej bije w piersi, wyobraźnia nie tak łatwo rozbudza się, jak w podzwrotnikowych strefach; a jeżeli wyjątkowo który z poszukiwaczy, znalazłszy bogatsze pokłady złotego piasku, owładnięty został chwilową namiętnością, to nadchodząca zima, przecina w samym zarodzie powstałą gorączkę, kładąc jój jako tamę twardą skorupę ziemi, której żaden oskard nie przebije, grubą warstwę śniegu i mróz czterdziesto-stopniowy. Powtóre w Kalifornii każdy człowiek, mający zdrowe ręce, chęć z bogacenia się i energię, może poszukiwać złota; na Syberii zaś, gdzie trzeba uzyskać konsens od rządu, kupić lub wydzierżawić grunt odpowiedni, sprowadzić maszyny, nająć stosowną ilość robotników, pobudować dla nich mieszkania, poszukiwaczem może być tylko mniejszy lub większy kapitalista. Nareszcie mała stosunkowo ilość wydobywanego kruszcu sprawia, że i zapał i ryzyko są mniejsze: (*) niewiele się w tym przemyśle bogaci, niewiele także bankrutuje, ogół poszukiwaczy żyje tak sobie z roku na rok, jak i inni przedsiębiorcy;

(*) Ilość wydobywanego złota w całej wschodniej Syberii dochodzi w przecięciu do 600 pudów rocznie. Ażeby zaś powziąć wyobrażenie jak drobnym jest stosunek złota do piasku, odłączającego się przy oczyszczaniu, dosyć powiedzieć, że kiedy w dwóch okręgach Aczyńskim i Minusińskim (Jenissejskiej gubernii), dostają około 70 pudów złota rocznie, to waga odłączonego piasku wynosi przeszło 60,000,000 pudów.

szczęśliwi jeżeli odmyty proszek, lub znalezione okruchy, pozwoliły im opłaciwszy koszta, przebyć w oczekiwaniu następnej wiosny beczynną porę zimową. Wszystkie te powody razem wzięte jasno pokazują, że jeżeli w Ameryce większa część dobywających złoto może być awanturnikami, na Syberii ta klasa ludzi składa się bez wyjątku z samych przemysłowców.

Wydajność złota na Syberii z roku na rok zmniejsza się: (*) dziś już ona jest zupełnie inną, jak była przed laty, a niezadługo zapewne przyjdzie czas, w którym koszta poszukiwania przewyższą zyski. W początkach kopalnie nie przynosiły takich dochodów, jakieby mogły przynosić, z powodu urządzeń tamujących działalność przedsiębiorstwa. I tak, przywileje wydawane były tylko niektórym klasom, place, bezwzględnie na mniejsze lub większe ich bogactwo, musiały po zameldowaniu skarbowi, być wyrabiane przynajmniej w przestrzeni 50 sążni kwadratowych w ciągu roku; mali kapitaliści nie mogli tworzyć oddzielnych kompanii, a kradzież złotego piasku, pomimo najsurowszych kar na-

(*) Dodać winienem, że zmniejszenie to wydajności złota, ma tylko miejsce w wyczerpniętych kopalniach gubernii Tomskiej, Jenisejskiej i Irkuckiej, prowincya bowiem Amurska i ogromna przestrzeń Jakucka, ukrywają w łonie swjej ziemi niezbrane, niezbadane jeszcze skarby. Od niedawnego czasu wzięto się do eksploatacyi tych obszarów pustych i niezaludnionych, a rezultaty odpowiedziały powziętym nadziejom. W krajach amurskich nowo powstałe kopalnie pp. Jacobsona, Buinida, Bazarowa, Sibiryakowa, wymywają od 100 do 150 pudów rocznie złotego proszku; a świeżo zaprowadzona kompania Benardaki i sp. rozprzestrzeniła swą działalność i na leżące od wieków odłogiem, niezmiernie pustynie Jakuckie. Kto zna czém jest prowincya Jakucka, ten tylko pojąć zdoła z jakimi olbrzymimi trudnościami walczyć muszą przedsiębiorcy, ażeby doprowadzić swe zamiary do skutku. Nad korytem rzeki Leny są osady inorodców, częstokroć o 500 lub 1000 wiorst odległe jedne od drugich; oddaliwszy się od brzegów rzeki niema zupełnie nic, i do zakładów kopalnianych, położonych w głębi tajg, dowozić trzeba częstokroć wszystkie przedmioty do życia potrzebne, na odległości bajeczne, tysiące wiorst wynoszące, po miejscowościach pustych, dzikich, w których niema żadnego śladu człowieka.

(Przyp. aut.)

znaczonych prawem za to przestępstwo, w daleko większych praktykowała się rozmiarach, jak to ma miejsce obecnie. Od kilku lat nowa ustawa rządowa, pozwalająca każdemu bez wyjątku poszukiwać złoto, podtrzymała zaczynające się już chwiać przedsiębiorstwo; wielu uprzywilejowanych, którzy dotąd najczęściej za pomocą swoich rządców lub nawet dzierżawców, zajmowali się tym przemysłem, ustąpiło z placu, a na ich miejsce powstało mnóstwo drobnych przemysłowców, zawiązały się spółki, pojawiły się zbiorowe kapitały, i ruch znacznie powiększonym został.

Arteryami tego ruchu są punkta zbiorowe: kantory najmu robotników. Działalność zaczyna się jeszcze w zimie, przy zakupach znacznych partyi surowych artykułów żywności, zaciąganiu pożyczek, puszczaniu w obieg wexsli i gromadzeniu zasobów pieniężnych. Nietylko miasteczka, ale nawet znaczniejsze wsie i gminy, zyskują na tym obrocie: włościanie zbywają korzystnie swoje plony, handlarze swój towar, a dostawcy bydła nader świetnie robią interesa. Jeżeli stopa procentu ulega na jakiś czas podwyższeniu, za to produkta przemysłu i rolnictwa znajdują znaczniejszy odbyt, a czynność jaka się wszędzie objawia, rozbudza z apatycznego uspienia nawet i tych, którzy bez tój podniety załezeliby pole z uszczerbkiem ogólnego dobra. Niema obawy, ażeby absorbacya kapitałów przez jedno wyłącznie przedsiębiorstwo, wpływała na zmniejszenie rozwoju innych gałęzi przemysłu; jeżeli bowiem fabryki i rękodzieła na niskim stoją stopniu w Syberii, nie pochodzi to bynajmniej z niedostatku kapitałów obrotowych, ale z braku rzutności samychże przedsiębiorców. Huta żelazna Permiakina i szklanne Issakowa i Gusiewa, posiadają odpowiednie zasoby (*), i jeżeli nie procentują się należycie, to jedynie z powodu zaniedbania części technicznej i produkowania wyrobu w niskich gatunkach i w cenach, stosunkowo do jego wartości

(*) Kapitał obrotowy huty żelaznej Permiakina wynosi 60,000 rubli sr., huty szklanej Issakowa 40,000 rs., a zaś nowiej w 1870 roku powstałej huty Gusiewa 25,000 rs.

Przyp. aut.

nazbyt wygórowanych. Fabrykanci pragnęliby od razu wrócić cały nakład, pomijając wygodę nabywców, i to jest przyczyną niewielkiego powodzenia zakładów. Związanie się spółek kopalnianych nie może tamować ich działań, ani pod względem ekonomicznym, ani też pod względem finansowym, owszem przeciwnie: owo rozbudzenie się ruchu przemysłowego, a zatem popchnięcie mass gnuśnych i ociężałych do życia czynnego, byłoby jeszcze jednym bodźcem więcej, dla rozwinięcia się w większych rozmiarach wszelkiego rodzaju przemysłu, gdyby wyżej przytoczone powody nie stały ku temu na przeszkodzie.

Ale wróćmy się do naszego zadania.

W początkach miesiąca marca, z miasteczek, wsi, i wiosek suną długie szeregi sań, napełnionych mięsem, mąką, sucharami: na krańcach stepów, w punktach w których kończy się jazda, wszystkie te transporta, przeładowane na grzbiety koni, dostawiane bywają z niezmiernym trudem aż do miejsc, zawierających drogocenny kruszec. Miejsca te położone są najczęściej w głębi niedostępnych tajg czyli pustyń leśnych, daleko od stron zamieszkałych, nad brzegami rzek lub potoków; trudno się tam dostać inaczéj jak konno, trudniéj jeszcze zaopatrzyć we wszystkich niezbędne do życia potrzeby.

Ażebym był w możności przedstawić czytelnikowi kolejny szereg prac, podjętych przy wydobywaniu z ziemi złotego proszku, należy mi przedewszystkiem objaśnić, jakim sposobem przedsiębiorca wchodzi w posiadanie odpowiedniego gruntu. Dwóch on do tego używa środków: albo sam wynajduje sobie plac, który sądzi być złotodajnym, albo też odkupuje gotowy już od poprzedniego właściciela. W pierwszym przypadku udaje się do pustyni leśnej wraz z kilkunastu najętymi robotnikami; kopie w różnych kierunkach, obmywa stosownie wziętą na próbę ziemię, a znalazłszy to czego szukał, melduje skarbowi o zajętym przez siebie placu, za który od chwili zameldowania, płaci po 15 kopiejek od pogonnego sążnia rocznie, bezwzględnie na to jaką ilość złota wydobył, i bezwzględnie nawet czy zajął się pracą czyli téż zostawił miejscowość odlo-

giem. (*) Zajęcie placu i zaczęcie robót bez zameldowania, pociąga za sobą kary kontrawencyjne prawem przewidziane. Zdawaćby się mogło, że odkupienie gotowej już z wszelkimi zabudowaniami i maszynami przestrzeni, od poprzedniego poszukiwacza, jest nader prostym interesem, tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczéj: tu bowiem syberyjska przebiegłość wysila się na wszelkie możliwe sposoby, ażeby przystępującego do kupna nabywcę wyprowadzić w pole. Wartość placu zależy nie od jego obszerności ani położenia, ale od bogactwa które w sobie zawiera; sprzedający pragnie wszelkimi środkami wykazać jaknajwiększą złotodajność piasku, nabywający zaś, wiedząc o różnych sztukach jakie bywają w użyciu, wyteżoną znowu zwraca uwagę, ażeby nie być oszukanym. Pomimo jednak najbaczniejszego śledzenia, staje się on bardzo często ofiarą biegłego w swym fachu poprzednika. Przed podpisaniem umowy robioną bywa stanowcza próba wydajności gruntu; nabywca, wiedząc że przy téj operacji, podkupieni robotnicy, mogą zręcznie przy kopaniu ziemi, podrzucić naprzód już przygotowane okrucy złota, bierze swoich zaufanych ludzi, wiernych dozorców, blizkich znajomych i przyjaciół — i wszyscy bacznie patrzą na ręce poprzedniego właściciela lub jego pełnomocnika, obecnych przy próbie, aby ci nie rzucali żadnego przedmiotu na wydobywaną ziemię. Bywały jednak przykłady, że pomimo najściślejszego pilnowania i śledzenia, place na których w czasie odbywania powyższej roboty, znajdowano w znacznej ilości złoty proszek a nawet mnóstwo większych okruców tego kruszcu, okazały się po kupnie i zapłaceniu zupełnie jałowemi. Jakimże sposobem tyle niepojęte zdarzenie

(*) Pogonny sążeń w długości ma miarę oznaczoną nazwiskiem, szerokość zaś jego jest względną, wynosi bowiem dwie, trzy a czasem pięć wiorst. Miejsca w których się wydobywa złoto, są to zwykle doliny zagrodzone z dwóch stron górami, w pośrodku których płynie czasem rzeka lub strumyk. Otóż więc długość pogonnego sążnia mierzy się w kierunku długości doliny, szerokość zaś jego zajmuje całą przestrzeń pomiędzy przeciwległemi pasmami gór, i nie mierzy się już wcale.

Przyp. aut.

mogło mieć miejsce? Oto prosto dlatego, że sprzedający i jego podwładni, stojąc na wydobytej dla próby ziemi, palili namiętnie papierosy, a otrząsając z nich popiół, obsypywali brany do płukania piasek sporą ilością złotego proszku, z którym misternie poprzednio tytuń papierosów był zmieszany. Ta sztuka obecnie tak już jest znaną, iż sam byłem świadkiem jak przy układach, kupujący położył za warunek, ażeby w czasie trwania próby nikt tytoniu nie palił. Zapewne jednak do tego czasu przebiegli Syberyacy wymyślili nowy jaki środek, dający możliwość sztucznego przemieniania jałowej ziemi w drogocenny kruszec.

W dzisiejszych czasach, przedsiębiorcy w tej gałęzi przemysłu, tworzą trzy kategorie: bogatych kapitalistów, posiadających po kilka lub nawet kilkanaście własnych kopalń; średnio zamożnych, prowadzących proceder na ograniczoną stopę; i mniej zamożnych, składających spółki, kompanie, i dzielących się później dywidendą zysków jeżeli się takowe okażą. Druga i trzecia kategoria najczęściej przynoszą zysku dla rozwoju przedsiębiorstwa. Niewielkie środki pieniężne, jakimi rozporządzać mogą, są powodem, że pracując na mniejszych przestrzeniach, wyciągają z nich wszelkie bogactwa; osobisty zaś dozór wpływa nietylko na wewnętrzny porządek zakładu, ale tamuje do pewnego stopnia rozprężenie i nadużycia robotników, klasy w wysokim stopniu zdemoralizowanej. U bogatych posiadaczy kopalń, choćby najsumienniejszych, tego być nie może. Oni nie są w stanie wglądać we wszelkie szczegóły i potrzeby miejscowe; mieszkając po wielkich miastach, rządzą zakładami za pośrednictwem plenipotentów, a ci, pamiętając najczęściej o swoich własnych kieszeniach, ciągną dla siebie wszelkie możliwe korzyści, a co najważniejsza ubezwładniają swoim postępowaniem rozwój ogólny całego przemysłu.

Jak czynnikiem rozwoju rolnictwa są nie sztuczne maszyny, mądre traktaty, ani zamorskie wymysły, ale ulepszenie bytu włościan; tak działaczem do podniesienia zachwianego przedsiębiorstwa kopalnianego w Syberji powinno być umoralnienie pogrążonego w grubiej ciemności i zupełnym upadku robotnika. On już skutkiem poprzednich nadużyć,

niesumienności i niedokładnych przepisów, na tak nizki zeszedł szczebel, że praca ta będzie ciężką, mozolną, wymagającą czasu i poświęcenia, ale każdy z nowych poszukiwaczy chętnie ją podejmie, gdy tylko nabierze przekonania, że własny jego interes z podobnym postępowaniem ściśle jest związany.

Chcąc dokładniej zrozumieć to położenie, jakoteż przyczyny zdemoralizowania robotników w kopalniach zatrudnianych, wypada nam przejść cały proces działania, przy poszukiwaniu złota.

Na kilka tygodni przed 15-tym marca, ofycjaliści przedsiębiorców wysyłani bywają po gminach dla najmowania ludzi. Czynność ta jest nader prostą. Robotnik ugodzony po 3 i pół, najwięcej po 5 lub 6 rs. miesięcznie, bierze zwykle naprzód zadatek od 10 do 15 rub. wynoszący, zostawia w rękę najmującego swoje legitymacyjne papiery, wzięty zadatek przepija, a gdy termin naznaczony kontraktem nadejdzie, udaje się dobrowolnie, lub w razie oporu, odstawiony zostaje pod strażą na miejsce swojego przeznaczenia. Dlaczego na Syberji gdzie tak wielką jest łatwość zarobkowania, znajdują się zawsze ochotnicy dla zaprzędania swego bytu w dobrowolną niewolę? dlaczego wiedząc co ich tam czeka przemieniają cichą, znośną teraźniejszość, na przyszłość pełną trosk, kłopotów i niedostatków?... Bo spekulanci znają co czynią: umieją trafić w ich słabą stronę, podburzyć namiętności, olśnić widokiem pieniędzy, ogłuszyć krzykiem hulanki i odgłosem pieśni... Dzień kontraktów jest dniem wesela. Wódka leje się pełnemi wiadrami, zewsząd brzęczą bałajki, śpiewy rozlegają się do koła; a tłumy najemników w szale płasów, tanów i krzyków, przed których oczami migają różnokolorowe bankowe papiérki podpisują umowy. Co będzie to będzie — na cóż myśleć o tém! teraz hulajmy, kiedy hulać można! Podpisano cyrografy, zniknęli ajenci, w pełnych przed chwilą wiadrach wódki, dno przegląda, pomęczeni muzykanci grać przestali: smutno jakoś i ekliwo na sercu... Co tam! jeszcze są pieniądze wzięte na zadatek: przedłużajmy ochotę! I bachanalie rozpoczy-

nają się z większym jeszcze zapalem, i trwają dopóty, dopóki ostatnia kopiejka nie wyszła z kieszeni, dopóki ostatnie brodnie (rodzaj obuwia), i ostatni kozuch nie zostały przepite.

Rozmarzonemu, oglupiałemu od wódki, ochryplemu od szału i śpiewów powiadają: „Czas do roboty!“ Dbali o dobro jego ajenci, znaleźli się zawsze w stosownej chwili, opatrują w nowy kozuch i brodnie, na rachunek przyszłej należności, pilnując tym razem, ażeby to odzienie, nie zamieniło się w płyn alkoholyczny—i upornych pod strażą a uległych pod przyjacielską opieką, odstawiają do kopalni.

Zajrzyjmy teraz do kopalni.

Wśród niezmiernych lasów, pustych obszarów, w dolinie otoczonej dwoma pasmami gór, pobudowano już uprzednio odpowiednie dla robotników, służby, officyalistów i zarządu mieszkania. Na pierwszym planie stoi dom odszerny, drewniany, z wysokim dachem, małutkimi okienkami: tam mieszka pierwszy zaufaniec, alter'ego zarządzającego—sam bowiem pan rządca zbyt znakomitą jest figurą, ażeby chciał zagrzebać się w tej pustyni i wglądać w potrzeby miejscowe. On żyje zwykle w gubernialnym mieście, przyjmuje gości, pije szampana, ciągnie sztosy, i zdaje co miesiąc raporta właścicielowi, w których pisze nieodmiennie, że wszystko idzie jak najlepiej w powierzonym jego opiece zakładzie. Obok domu podrządcy czyli zaufanego (dowierennego) są stajnie dla koni, kazarmy dla kozaków, domki dla officyalistów; i nakoniec długi, wązki budynek w którym rozmieszczeni po kilku i kilkunastu, w małych klitkach, nocują robotnicy. Przy tym ostatnim budynku przystawioną jest najczęściej duża szopa, nazwana pompatycznie szpitalem.

Od dnia 15 marca do dnia 1 maja mają miejsce roboty przygotowawcze jako: to spulchnienie gruntu, urządzenie ścieków, ustawienie maszyn — i to jest jeszcze niczem. To tylko próby do rzeczywistych trudów i ciężkiego znoju. Właściwa praca zaczyna się od 1 maja. Ustawione maszyny nad brzegiem rzeki lub strumyka, wprowadzone zostają

w ruch za pomocą wody lub też konnego maneżu. (*). Część robotników bywa używaną do płukania piasku, i pozostaje przy maszynach; druga zaś część przeznaczona do kopania i wożenia ziemi, w ciągłym jest ruchu. Pierwszych zajęcie mniej na pozór zdaje się być uciążliwem, lecz oni stojąc ciągle po kolana w zimnej wodzie, łatwiej podlegają różnym chorobom. Drudzy za to ciężkie mają zadanie: dwóch ludzi i jeden koń, powinni wykopać i przenieść do miejsca oddalonego częstokroć o 500 lub 600 sążni, półtora kubicznego sążnia piasku. Ażeby ten wymiar skutecznie zmuszeni są, wyjąwszy dwóch godzin przeznaczonych na posiłek i odpoczynek, pracować od świtu do zmroku — to jest od 2-jej po północy do 10-jej wieczorem, kiedy czas robót prawem oznaczony, jest tylko od godziny 5-tjej zrana do 8-mej wieczorem. Ilość pokarmu dawanego robotnikom jest zbyt szczupłą: funt mięsa w którym połowa kości, dziennie na osobę, nie zdoła dać dostatecznego posiłku, przy tak ciężkiej pracy. Wprawdzie każdy z pracujących może gdy zechce dostać nietylko pokarmu, ale wszystkiego czego zażąda na kredyt u miejscowego zarządu, ale ta łatwość nabycia, ten kredyt zwłaszcza, wpływają bardzo niekorzystnie na dalszy los robotnika.

Jak wyżej powiedziałem, sobowtór pana rządcy dowierenny, króluje w tém małym, oddzielnym od reszty świata państwie. O samym właścicielu i mowy być nie może: jest to istota mistyczna, ukryta gdzieś daleko za górami i lasami, której oblicza nikt nigdy nie widział. Rządca nawet pokazuje się nader rzadko, raz na rok zaledwie przyjedzie do

(*) Maszyny używane do płukania piasku systemu amerykańskiego, są nader prostej konstrukcyi. Cylinder dziurkowany, w który się wysypuje piasek, i żłobek ze szczelinami, w których osiada po przemyciu proszek złoty, ot i wszystko. U drobnych poszukiwaczy i tego niema, a jeden mały żłobek wystarcza zadaniu. Użycie pary do wprawiania w ruch maszyn, zaledwie w dwóch czy w trzech kopalniach, i to od niedawnego czasu jest wprowadzonym.

kopalni i to na krótko: punktem więc kulminacyjnym i pośrednikiem pomiędzy podwładnymi a zarządem, staje się jego zaufanie. Osobistość ta przeszedłszy zazwyczaj różne koleje w swoim życiu, z różnych pieców chleb jadając, a wszędzie doświadczony niepowodzenia, trzyma się rękami i nogami korzystnego miejsca, i za nic w świecie nie chciałaby narazić właściciela na straty, a siebie na postradanie posady. Księgi rachunkowe dowierennego w należytych są porządku; po całych dniach nad nimi siedzi, rzadko nawet zaglądając do robót, gdyż od tego są dozorczy i podwładni mu oficjalności. Księgi te, to alfa i omega jego czynności: trzeba tak wszystko urządzić, ażeby i pryncypał był zadowolony, i jemu jaka okrągła sumka oprócz pensji się okroiła. Oszukiwać tych, którzy mu chleb dają nie chce i nie może: toby było rzeczą zupełnie niemoralną, a co więcej niebezpieczną — pozostają więc tylko podwładni, dla których nie mając żadnych obowiązków grzeczności, nie potrzebuje okazywać się tyle skrupulatnym. Z nimi łatwiejsza daleko sprawa. Miejsco-wość w której się wydobywa i przepłukuje złoto, jest położoną wśród pustych obszarów, wśród tajg niedostępnych: do koła niema ani wioski, ani żadnej osady, a tém samém i sposobów dostania potrzebnych do życia przedmiotów — podwładnym nie wolno oddalać się na krok z zakładu, a przecież nietylko oni, ale ich rodziny, mają co chwila rozliczne potrzeby. Zysk jaki wyciąga dowierenny z etatowego żywienia ich jest niedostatecznym, gdyż porcy regulaminem określone, są już tak szczupłe, że nie wiele z nich korzystać można, nawet dając stęchlą mąkę i przegniłe mięso; ale przedsiębiorczy umysł jego umie wynaléźć inne jeszcze źródła dochodów.

Wprawdzie nie wie on o niczym, i zapewne zdziwiłby się nie mało, gdyby mu kto wykrył te tajemnice. Rzecz nader prosta: ani godność, ani stanowisko jego, nie pozwalają wchodzić w takie drobiazgowo szczegóły — to już zajęcia babskie; od tego są kobiety. Jeżeli uprawiajuszcy jest żonatym, to jego małżonka obejmuje nieograniczoną władzę nad zgłodniałymi niedostatecznym pokarmem żołądkami, i wnika we wszelkie potrzeby, odłączonej od reszty świata kolonii;

jeżeli zaś jest kawalerem, to dobiéra sobie pierwszą lepszą babę, częstokroć z party wziętą włóczęgę, której daje tytuł ekonomki czyli gospodyni, i ta staje się szafarką przeznaczonych na polepszenie bytu robotnika skarbów.

Zaczyna się praca. Z pierwszym brzaskiem dnia słyhać głośny dzwon wzywający robotników do roboty. Brzeg rzeki napełnia się 10jami ludzi, którzy z rydlami w ręku, brodząc po kolana w błocie, na wpół schyleni, oddają się ciężkim mozolnym trudom. Jedni zwożą piasek, drudzy go myją na maszynie, trzeci nakoniec odgarniają odchodzący zwir: przy nich na wywyższonych miejscach stoją dozorczy, których obowiązkiem przyspieszać postęp pracy, pobudzać leniwych, i pilnować, ażeby okruchy złota nie przenosiły się do kieszeni robotników. Upał niecznośny, muszka i komary dokuczają niemiłosiernie, pot znoju oblewa czoła, a odetchnąć nie można, bo maszyna nie ustaje, potrzebując nieustannie piasku, wody i roboty. Odpoczynek dzienny nie może ani umniejszyć znużenia, ani pokrzepić sił niedostatecznym pokarmem. O drugiej znowu wszyscy na nogach — i tak ciągle, zawsze, bezprzestannie, aż do zmroku. Wtedy te blade, wycieńczone pracą postacie, zawlókłszy się z trudnością do szopy przeznaczonej im na spoczynek, upadają na słomę pokotem; ale pomimo znużenia, sen nie klei im powiek, gdyż różne i przeróżne potrzeby występują na widownię, domagając się natychmiastowego zaspokojenia. Jeden, który na obiad dostał więcej kości niż mięsa, uczuł głód gwałtowny, nieprzewyciężony — drugiemu rozpadło się do reszty obuwie, u trzeciego chałat zaledwie wisi na plecach, inny nakoniec, przywykły zakrapiać smutną dolę kieliszkiem wódki, drży do orzeźwiającego napitku: za odrobinę tego ognistego nektaru, oddałby chętnie swą duszę, gdyby się ona na cokolwiek szatanowi przydać mogła.

Wtedy, jako deus ex machina, zjawia się ekonomka.

U niej jest wszystko: i mięso zdrowe, posilne, i chleb dobrze wypieczony, i nici, igły, i gotowe chałaty, nowe brodnie, a nawet pod sekretem miarka tego truneczku, który tak dziwnie wzmacnia naturę człowieka, i tak cudownie smutne myśli na wesołe zamienia. Wprawdzie na te przed-

mioty nałożono ceny niesłychane, ale za nie płacić nie trzeba; wszystko zapisuje się w księgi aż do ostatecznego porachunku. Nie płacić i dostać wszystkiego, któżby się oparł podobnej pokusie?... Tymczasem długi robotnika rosną a rosną, i gdy on, który z samej natury swojej nie jest rachunkowym, sądzi, że z kończącym się rokiem przyszedł kres jego cierpieniom; nie może wyjść z podziwienia, dowiedziawszy się, że te małe kwotki po dwa i trzy ruble jakie zapisywano na nici, igły, chałaty i obuwie, przenoszą znacznie całoroczną płacę, która mu się należała. Trzeba więc jeszcze rok służyć, a że potrzeby są zawsze te same, a pieniędzy w kieszeni nigdy nie ma, lata więc jego pracy przedłużają się stosownie do woli uprawiającego.

Kwestya długów, jakie zarządy złotych kopalni mają na robotnikach, jest kwestyą wielkiej wagi, i stała się teraz nieledwie zadaniem ekonomicznym: w ostatnich czasach bardzo wiele o tém pisano, starając się wynaleźć środki dla zapobieżenia złemu.

Stosownie do przepisów rządowych, przy każdym większym zakładzie kopalnianym, powinien być doktor, apteka i szpital. W niektórych znajdują się lekarze z ustaloną reputacją, nauką, niezałujący trudów i poświęceń, przejęci ważnością swego powołania; w wielu innych miejscowościach, posadę doktora zajmuje jaki przybłęda felczer, umiejący tylko bańki stawiać, krew puszczać i przykładać synapizma.

Pomimo jednak niezbyt wysokiej płacy, kredytu pożerającego zarobek, i obłożenia monopolem wszelkich potrzeb, wychodzących po za szczupły zakres etatem naznaczonego utrzymania, bardzo często przy skończeniu robót w zakładzie, robotnicy, popłaciwszy długi, widzą się panami znacznej bo 100, 200 albo 500 rubli wynoszącej summy. Jakim się to sposobem dzieje, opowiem. Podług powszechnie przyjętej zasady, tylko proszek złoty, wydzielający się z piasku za pomocą przemywania, jest wyłączną własnością właściciela kopalni, wszystkie zaś samородki (kawałki złota, mogące być podjętemi z ziemi bez udziału maszyny) należą w $\frac{2}{3}$ częściach do właściciela, a w $\frac{1}{3}$ do tego który je znalazł. Znalezienie samородka, szczególnież większej nieco

wagi, wychodzi po za program zwyczajnej roboty, i uważaném bywa jako wygranie losu na loteryi. Trafiają się miejscowości, na krórchy te okruchy drogiego kruszcu są liczniejsze, bywają robotnicy, którzy częściej od drugich je znajdują. Otóż więc taki szczęśliwiec, pomimo wszystkich swych nadetatowych zachcianek, po tak wysokiej cenie nabywanych od ekonomki, pomimo rosnącego z każdym dniem długu, z ukończeniem robót i dług skwituje, i ujrzy się właścicielem sporego kapitaliku.

Zdawaćby się mogło, że nauczony doświadczeniem, wiedząc czém jest praca w kopalniach, mając w swych rękach środki do dalszego utrzymania życia, a przed sobą niezależność, porzuci raz na zawsze zabijające trudy, na które przez całe lato tyle narzekał, i weźmie się do mniej męczącego zajęcia: do handlu, przemysłu, rolnictwa. Gdzie tam! on myśli o tém co jest, nigdy o tém co będzie. Natychmiast po obrachunku, biegnie do ekonomki, lub téż do kramu, w którym subjekt zarządu sprzedaje po równie wygórowanych cenach różne przedmioty, rzuca na stół zwój papierów bankowych, i bez targu bierze wszystko co mu podpadnie pod rękę. Zrzuciwszy z siebie zaraz na miejscu zszarżane pracą odzienie, nadziewa nowy chałat, nowe buty, nową czapkę — przepasuje biodra pasowym pasem, a wzięwszy w dodatku harmonikę i nie spytawszy o resztę, wychodzi śpiwając z całego gardła jedną z tych wesołych pieśni, mających taki urok dla hulającego Syberyjaka.

W owym czasie zakończenia robót, różni spekulanci zwożą do kopalni pierniki, cukierki, arbuzy, smażone konfitury, ciastka; wszystko to jest płacone bez targu, rozchwywane na miejscu i pożarte... Przeszłego roku jakiś szarlatan przedstawiający niby to magiczne sztuki, widząc że niefortunne jego kuglarstwa nie zyskały uznania nawet w syberyjskich samородnych miasteczkach, kupił chudą szkapę, zabrał swoje pudełko o podwójnych dnach i puścił się w tajgi. Zachwycenie birgalów (robotników kopalnianych) nie miało granic i miary; stepowy Bosko przyjechał tam bcz kopiejki przy duszy, powrócił z tysiącem rubli w kieszeni.

Mała tylko liczba robotników pozostaje w zakładzie dla

uskutecznienia zimowych robót, jak np. narabiania i przygotowania drzewa, poprawiania wałących się budynków, zwózki materyałów; inni, a tych są setki lub tysiące, jako niepotrzebni, muszą powracać do swoich wsi i domów. Powracać niema za co — podróż choć najskromniejsza zawsze coś kosztuje, dbały więc o dobro swych najemników zarząd, daje na rachunek przyszłej roboty odpowiednie kwoty pieniężne.

Tak więc i ci, którzy całe swe zarobki zostawili w rękach ekonomki, i chwilowi bogacze którym los dopisał, wracają do rodzin z długami wiążącymi ich przyszłość w nowe okowy.

Powie może niejedyn, że ci ostatni przynajmniej sami są winni złemu jakie ich spotyka. Cóż może zarząd uczynić, przeciwko własnej ich nieroztropności? Zarząd nie szkoła, administrator nie pedagog, a robotnicy nie dzieci, żeby podobna było czuwać skutecznie nad interesami tych, którzy, wypełniwszy swoje zadania, czują się w obliczu prawa niezależnymi. Tak jest, niezawodnie, ale ten szła, któremu się oddają po skończeniu robót, nie o władnął by niemi, gdyby praca kopalniana była mniej ciężką, czas trwania jej skrócony, i trudy nie tak mozolne.

Jak już wyżej powiedziałem, wielu ludzi dobrej wiary, przejętych filantropijnymi zasadami, podnosiło swój głos w tej tyle ważnej kwestyi. Pochodzący z W. K. Finlandzkiego, od lat kilkunastu zamieszkały w mieście Minusińsku, gubernii Jenisejskiej, a od roku cząstkowy właściciel kopalni złotych p. Paweł Piszczykow, kilkakrotnie odzywał się w piśmiech peryodycznych w tym duchu. Uwagi jego miały na celu nie tylko polepszenie bytu robotników, ale i wykazanie zgubnego wpływu jaki wywierały przywileje na rozwój tego przedsiębiorstwa. Obecnie te przywileje stały się już tylko wspomnieniem przeszłości. Nowe prawo, pozwalające każdemu zająć się poszukiwaniem złota, zadało stanowczy cios monopolistom, a ruch jaki od roku panuje na całej przestrzeni złotodajnych piasków, każe mniemać, iż rzeczona ustawa podtrzyma zachwiany w ostatnich czasach przemysł. Zmiana ta była konieczną. Dawniej np. każdy człowiek,

mając dozwołonem poszukiwanie marmuru, węgla, żelaza, cynku a nawet miedzi, nie miał prawa podjąć z ziemi znalezionego przez siebie złota. Cóż więc wypadało mu uczynić, gdy łamiąc płyty marmurowe, lub wydobywając rudę żelazną, ujrzał błyszczący ponętnym blaskiem samorodek drogiego kruszcu? Zostawić go na miejscu, ażeby fale strumyka lub rzeki zamuliły go na nowo, ukryły bezpowrotnie przed okiem ludzkim, i pozbawiły znalazcę godziwego zysku, a skarb państwa należnego dochodu? Podobnych temu przykładów, wykazujących dobitnie, że prawo obecne, chociaż nie trafiające do smaku bogatym poszukiwaczom złota, powinno przynieść rzeczywiste korzyści, zdołalibyśmy tysiące przytoczyć. Wprawdzie można z łatwością przewidzieć, że nagromadzenie w niewielkich przestrzeniach drobnych przemysłowców, którzy dla własnych widoków, lub też poprostu przez zawiść zechcą zatrzymywać lub przerywać gwałtownie bieg wody z uszczerbkiem tych, którzy przemysłują złotą ziemię w niższych miejscowościach, wyrodzi częste spory i zatargi — a potworzenie się licznych spółek, zaleje powodzią skarg i procesów okręgowe sądy górniczej władzy; lecz czyż jest na świecie jakakolwiek zasada, w którejby upatrzeć nie można ujemnej strony? Kiedy pożytki przewyższają straty, to już jest dostatecznym powodem, ażeby szła przechyloną została tam, gdzie ją ciągnie waga zbiorowych korzyści — pomimo protestacyi niektórych indywiduów, kładących własny interes wyżej dobra ogółu, dochodów państwa i rozwoju przedsiębiorstwa.

Tak się też ze zmianą ustawy stało, a teraz idzie o to, ażeby i ci, na których barkach spoczywa cały ciężar pracy, ta massa ciemna, zaślepiona, upadła moralnie, podniosła się z błota, w jakim zostaje od lat tylu pogrążoną. Nie wątpię, że z usunięciem przywilejów kopalnianych, przerodzenie to, aczkolwiek zwolna i stopniowo, będzie miało miejsce; drobnymi poszukiwaczami, używającymi w swych zakładach po kilkunastu a najwyżej kilkudziesięciu robotników, nie rządzą za pomocą administratorów, lecz wglądając osobiście w najdrobniejsze szczegóły, są w możności więcej, jak wszelkie przepisy prawa przyczynić się do polepszenia bytu tej nie-

szczęśliwej klasy; ze zmianą zaś losu robotnika nastąpi i radykalna zmiana jego wyobrażeń. Należy darować robotnikom dług na nich ciążyący, i zmienić w kantorach kopalni złota ów system nieskończonego kredytu, tyle zły i zgubny we wszystkich swych następstwach. Wprawdzie summa wynosząca około dwóch milionów rubli to nie bagatela; ale gdy zważymy, że na tę summę składało się kilkanaście tysięcy wierzycieli, że pomiędzy tymi wierzycielami jest wielu bogaczy czerpiących źródła swych ogromnych dochodów z pracy rąk tych, za którymi obecnie przemawiamy: zadanie na pozór trudne i ciężkie, stanie się łatwem do wykonania.

PRZEJAZDZKA PO STEPACH.

W początkach lipca r. 186... wypadło mi w interesach kupca, u którego wówczas służyłem, udać się na granicę chińską. Wziąwszy z sobą tłumacza, znającego dokładnie języki tatarski, mongolski i chiński, i zaopatrzywszy się w zapasy żywności, puściłem się w stepy.

Na południe miasta okręgowego Minusińska (gubernii jenisejskiej), na lewym brzegu rzeki Jeniseja, ciągną się długim rzędem osady tatarskie, oddalone jedna od drugiej o 15 do 20 i 30 wioś; po za tą linią zaczynają się tajgi czyli pustynie leśne, po za tajgami zaś i stepami zamieszkują Sajańcy, Mongoły, Chińczycy i inne pobratymcze im plemiona, do których dla wymiany europejskiego towaru na skóry wybrałem się.

Po za olbrzymim Jenisejem, droga wiodąca od jednej osady do drugiej nie przedstawia nic szczególnego. Po stepach, wśród bujnej roślinności, harczą nieprzeliczone stada koni, za którymi widzieć można od czasu do czasu uganiających się Tatarów. W jurtech tatarskich znaleźć zawsze można ową szczerą, niewymuszoną gościnność, którą

się w ogóle wszystkie wschodnie narody odznaczają. Wprawdzie gościnność owa nie jest zbyt wykwintną: szklanka kobylego mleka, kawał baraniny lub koniny, ot i wszystko czém uraczyć się może podróżny — ale ten skromny posiłek podany jest tak uprzejmie, tak bezinteresownie, że dobra chęć gospodarza wynagradza zawsze wszelki brak i niedostatek kuchni. Jurta tatarska zbudowaną jest w kształcie ostrosłupa, wejście do niej bywa tak niskie, że tylko zgiąwszy się w pół, można dostać się do wnętrza; przez otwór zaś u góry wychodzą dymy ogniska. Całe to mieszkanie stepowca pokryte jest korą drzew lub skórami dzikich zwierząt. Wewnątrz jurty, oprócz mat plecionych ze słomy i niezbędnych naczyń do gotowania posiłku, żadnych innych sprzętów niema. Kilkanaście lub kilkadziesiąt jurt takich stanowi osadę tatarską. Tatarzy w ogóle żyją biędnie, chociaż biędnymi nie są: niejeden z nich, posiadający sto i więcej sztuk koni i bydła, liczne stada owiec i kilka garnków napełnionych rublami srebrnymi i półimperyałami, mieści się w ciasnej i niewygodnej jurcie wraz z liczną rodziną, wśród swędu i zaduchu, żywi się kawałkiem końskiego mięsa na wpół surowym, nie dla tego, żeby go na wygodne życie nie stało, ale że o tych wygodach pojęcia nie ma.

Czasem jednak trafiają się wyjątki.

W jednej z osad o kilkadziesiąt wiorst odległej od Minusińska mieszka Krezus tatarski, którego majątek w stadach koni, bydła, owiec, w sprzętach i gotówce na miliony liczą. Nazwisko tego Rotschilda step jest Kar-ki, mieszkający jednak tutejsi zowią go z rosyjska Karkinem.

Zajechałem do niego.

Gdyby nie ta okoliczność, że wielu z moich towarzyszków doświadczyło gościnności Karkina i widziało jego bogactwa, pokryłbym może pobyt mój tamże milczeniem, z obawy aby mnie nie posądzono o przesadę. W istocie jest to niby obrazek z tysiąca i jednej nocy. Obszerne i stosunkowo wygodne jego mieszkanie, złożone z kilku jurt razem połączonych, zasłane jest bogatemi kobiercami — prawdziwe kaszmirowe; szale wiszą tam jako portyery, wszystkie naczynia stołowe, w których podawano mi posiłek, były masiw srebrne, a nie-

które nawet szczero-złote. Sam gospodarz otarł się trochę o cywilizację miejscową: mówi czysto po rosyjsku, zajmuje się handlem na olbrzymią skalę, wie cośkolwiek o Europie i o jej zwyczajach, chociaż przywyknienia jego i sposób życia są wyłącznie tatarskie; i tak, częstując gości prawdziwymi hawańskimi cygarami i dobrém francuzkiém winem, pali sam machorkę i popija wódkę tatarską araka, lub téż ariasz, napój z kobylego mleka przyrządzony. Potrawy jego kuchni, choć na srebrnych półmiskach podane, nie różnią się w smaku od jedzenia najbiędnieszego Tatara; a żona i córki tego potentata pustyni, choć ubrane w aksamity i atłasy, pozostały dotąd pomimo swych bogactw, córami stepu w całym znaczeniu tego wyrazu.

Po przyjęciu posiłku i wypiciu kilku szklanek herbaty z ogromnego srebrnego samowara, zajęliśmy się oglądaniem bogactw naszego amfitryona; Karkin bowiem jak wszyscy ulubieńcy fortuny, lubi pochwalić się przed gośćmi swoją zamożnością. Kilka oddzielnych jurt, stanowi jego magazyny. Najbardziej zajęły mnie składy futer. Jakaż tam nieprzeliczona ilość pysznych soboli w błamach i pojedynczo, jakież wytworne lisy niebieskie po kilkaset rubli za sztukę!

Po obejrzeniu tych skarbów, uprzejmy gospodarz rozkazał przepędzać przed jurtą liczne stada koni; a w końcu zgromadzeni na jego żądanie Tatarzy i Tatarki, odśpięwali rodzaj pieśni chóralnej, przy towarzyszeniu bębenka i samorodnej roboty piszczałek.

W ogóle Tatarzy zachowują starannie swój język, zwyczaj, jakoteż koczujący sposób życia, i bardzo mało przyjmują cywilizacji napływającej z zachodu. Sam Karkin, pomimo ogromnych bogactw, powierszchownie tylko poddał się niektórym rosyjskim obyczajom, w gruncie zaś rzeczy nie różni się on niczém od swoich współbraci. Jedyne wyjątek od téj ogólnej reguły, jaki mi się zdarzyło widzieć w Syberyi, stanowi pan K***, Tatar z pochodzenia, z początku prosty robotnik w kopalniach, później ofycalista, a w końcu właściciel, który natrafiwszy na grube warstwy złota i zostawszy w krótkim przeciągu czasu milionerem, przyjął wraz z rosnącymi bogactwami i cywilizację europejską. Latem

mieszka najczęściej w Krasnojarsku, zimę przepędza w Paryżu; — córka jego ukończywszy edukację we Francji, posiada, oprócz salonowego obejścia się, gruntowne wykształcenie i znakomity muzykalny talent. Podróżuje on zawsze wystawnie, otoczony licznym dworem, z kamerdynerem Niemcem, kucharzem Francuzem, dwoma sekretarzami, i uzbrojoną strażą przyboczną; jest uczynny, prosty w obejściu i bardzo wiele świadczący dobrego dla biednych. A jednakże, pomimo tyloletniej praktyki życia europejskiego, nie odwykł zupełnie od pierwotnych swoich obyczajów. Ile razy przyjedzie do Minusińska, porzuca na jakiś czas bogate apartamenta, zostawiwszy w nich córkę z guwernantką, sekretarzy, kucharzy i całą służbę — a sam, tylko z jednym wiernym Tatarem, udaje się w stepy, gdzie przepędza czas w jurtach swoich rodaków, racząc się pieczenią żrębicia (szaszłykiem), patrząc na harce tych dzieci pustyni, i słuchając ich dzikich i nieharmonijnych śpiewów. Widocznie natura silniejszą jest od przywyknień całego życia.

Pozegnawszy uprzejmego Karkina, udaliśmy się dalej na południe, drogą wiodącą od osady do osady. Im bardziej oddalaliśmy się od Minusińska, tém więcej nikły ślady sąsiedztwa okręgowego miasta; coraz mniej spotykać było można Tatarów rozumiejących rossyjską mowę, a oznaki szamanizmu, w bliskości miast i wiosek syberyjskich, bardzo słabe, a raczej starannie ukrywające się, coraz jawniej w miarę oddalania się naszego od miejsc zamieszkałych przez potomków Europy, widzieć się dawały.

Wszystkie plemiona pierwotne północnej Azji, wyznawały od wieków czarną wiarę, szamanizm (*). Rossya, objąwszy w swe posiadanie Syberję, starała się wszelkiemi spo-

(*) Szama (czarna), Ni (wiara). Szamanizm wyznawany był nie tylko przez plemiona zamieszkujące północną Azją, jak Tatarów, Jakutów, Jakogirów, Buryatów, Cetynów, Tunguzów i t. d. ale w ogóle przez inne na krańcowej północy żyjące narody jak np. Finnów i Lapończyków w Europie. Pomiedzy szamanizmem a późniejszym braminizmem i buddaizmem daje się widzieć wielkie powinowactwo. Budda ogłosił odrodzenie braminizmu, braminizm zaś musiał być zbudowany

sobami zastąpić te pogańskie tradycje czystém światłem religii chrześcijańskiej. Szamanizm więc kiedyś był tolerowanym jako wyznanie; Tatarzy i inne pierwotne plemiona Syberyi, stosując się do przyjętego porządku, przyjęły chrzest święty, ale, jak się to zwykle dzieje w podobnych wypadkach, przejście odbyło się powierzchownie, w gruncie zaś trzymają się oni czci odwiecznych zabobonów swoich przodków.

Początek szamanizmu ginie w pomroce wieków. Był on wyznawany przez zaginione dziś plemiona alofickie, lecz straszne obrzędy tego wyznania, krawawe ofiary z ludzi, na ołtarzach bóstw dokonywane, zaczęły zmieniać się powoli pod wpływem łagodnym plemion jafetyckich; a dziś po upływie wieków, jedynemi krwawemi oznakami pochodzenia tej religii od Chamitów, jest zabijanie zwierząt w ofierze bogom. Tatarzy, których osady znajdują się w pobliżu Minusińska, nadzwyczajnie starannie ukrywają, z obawy kary, swoją rzeczywistą wiarę — w wielu jurtach zdarzyło mi się widzieć obrazy świętych chrześcijańskich, z zapaloną przed takowemi świeczką, w wielu innych leżała na okazałym miejscu biblia w języku tatarskim drukowana — ale w miarę oddalania się od siedliska władzy, powierzchowne te oznaki wspólności z kościołem prawosławnym, coraz mniej spostrzegać się dawały, a w krańcowych osadach graniczących z pustynią, już się z obrządkami czarnej wiary bynajmniej nie ukrywano. Szamani (czarnoksiężnicy tatarscy), odprawiali publicznie

na osnovach starszej jeszcze wiary szamanizmu. Odwieczna chińska religia Taotse, istniejąca jeszcze przed Konfucyuszem, nie zdaje się być niczém inném, jak tylko tą samą czarną wiarą, którą, wyznają plemiona północnej Azji; gdyż zabytki jęj, to jest sypane z ziemi i pobudowane z kamieni mogiły i okopy, duchom opiekuńczym poświęcone widzieć można nietylko w Chinach, ale i na całej przestrzeni Syberyi. Środkowym punktem tego wyznania była Samarkanda, z kąd ono rozchodziło się na zachód, północ i wschód do Chin, a nawet do ostatecznych krańców Azji wschodniej, to jest do wysp aleuckich.

(Przyp. aut.)

swe kuglarstwa, kręcąc się aż do zupełnego ustania sił na jednej nodze, i wydając przeraźliwe krzyki; rozdawali przytém żądającym talizmany (swastika), mające własność bronienia od wpływu złych duchów, (*) chowali umarłych, szamanili (poświęcali) ogień, ziemię i tabuny koni — jedném słowem wszystkie swoje obrządku odbywali jawnie.

W miarę także oddalania się naszego w kierunku południowym od Minusińska, ubiór Tatarów zamieszkujących jurty ulegał stopniowo widocznej zmianie. W pierwszych osadach znajdujących się w pobliżu okręgowego miasta, Tatarzy wywożą z targów jakiś przedmiot przypominający Europę, jak np. sztukę materyi o jaskrawych kolorach, lub płócienko kraciaste, i to stanowi dodatek do ich wschodniego stroju. Dalej tego wszystkiego nie widać, a zbliżenie do granicy chińskiej sprawia, że ubiór ich coraz więcej przybiera cechę mongolską. Tu i owdzie widzieć się dają śpiczaste z podniesionymi skrzydłami kapelusze, podgolone głowy, niskie, na sposób chiński opasywanie się, a nawet zakrzywione u góry końce obuwi. W strojach dziewic tatarskich, nie zauważyłem tak wielkiej różnicy; tak samo one w krańcowych osadach, jak i w pobliżu miasta spletają swoje krucze, twarde włosy w niezliczoną ilość warkoczków; noszą na sposób wschodni szerokie szarawary, i dźwigają w uszach w miejscach koleczyków złote, do ośmiu cali dochodzące kółka; tylko w bardziej oddalonych na południe osadach w ozdobach

(*) Swastika pochodzi od wyrazu sanskryckiego Swasti, oznaczającego błogosławieństwo. Talizmany te czyli swastiki są to kamienie płaskie, na których wryto jakiś hieroglif. Jeden z szamanów ośmieszony mi podobny talizman, zapewniając, że takowy bronić mnie będzie od wszelkich złych przygód w czasie podróży. Znak hieroglificzny swastiki, napotkać można w Norwegii (Trace du buddaizme en Norvege avant l'importation du christianisme. Holmboe, Paris 1257), a nawet i w Polsce na niektórych urnach grobowych, wykopywanych wśród cmentarzy słowiańskich (Vorhalle Europischer Völkergeschichten - Karl Ritter - Berlin 1820. Tygodnik ilustrowany z r. 1872 artykuł o Urnie. - A. Nowosielski, Lud ukraiński - tom I).

Przyp. aut.

żeńskich, spostrzegać częstokroć można pomiędzy różnemi świecidełkami i taelsy (monetę złotą chińską), przedziurawioną i zawieszoną na szyi pomiędzy koralami. Zamiłowanie Tatarów do wszelkich kosztowności a szczególnie do prawdziwych koralu jest tak wielkie, że nawet najbiedniejsza dziewczyna z tego pokolenia, nie mająca za co sprawić sobie porządnego ubrania, posiada prawie zawsze choć jeden mażan (wielki koral), twierdząc, że ze wszystkich ozdób ta jest najwłaściwszą, gdyż nigdy nie ulega zniszczeniu.

Droga wiodąca od osady do osady jak już wyżej powiedziałem, nie jest bogatą w widoki i krajobrazy. Jak tylko wzrok dosięgnąć zdoła, wszędzie widzieć można step zarosły bujną trawą. Tę jednostajność przerywają na stepie mogiły (obony), od wieków tam istniejące, zbudowane rękami pierwotnych plemion. Obony te które zresztą we wszystkich prawie częściach wschodniej Syberii widzieć można, są w kształcie czworoboków, otoczone ze wszystkich stron jakby fortece, wysokiemi, sterczącemi w górę kamieniami. Wewnątrz ich znajduje się podziemie, w którym przechowane są poczerwiałe od starości piszczele i czaszki ludzkie, starannie w piramidy ułożone, a także mnóstwo drobnych z żelaza ukutych przedmiotów w kształcie obrączek, łańcuszków, małych toporków, oznaczających zapewne godła i znamiona pochowanych tamże wojowników. Mogiły podobne uważane były zawsze przez wyznawców szamanizmu, jako mieszkanie duchów opiekuńczych rodziny, a wyniesienie z nich jakiegokolwiek przedmiotu, sprowadzało w ich przekonaniu na cały kraj najokropniejsze klęski; dlatego też rząd, szanując te starożytne zabytki przeszłości i przywiązanie pierwotnych plemion do swoich pamiątek, najsrożej zakazał nie tylko nie rozkopywać podobnych obon, ale i nie wynosić z nich jakichkolwiek przedmiotów. Zdarzyło mi się kilkakrotnie zwiędzać wnętrza tych przybytków śmierci, lecz szanując prawo i nie chcąc się narazić Tatarom, czyniłem to zawsze w towarzystwie naczelnika (kniazia), lub czarnoksiężnika tatarskiego, szamana. Kto widział którąkolwiek z tych mogił, widział je wszystkie, tak przedmioty znajdujące się tamże są do siebie podobne. W jednej

tylko, oprócz zwykłych żelaznych godeł, swastików na kamieniach wyłobionych, widziałem posążek niezgrabnie z kamienia wykuty, będący wyobrażeniem boga-upiора tengri. (*).

Pierwszego dnia mojej podróży, nad wieczorem, dziwny widok przedstawił się moim oczom: ujrzałem przed sobą białe, śnieżnej barwy przestrzenie. Przecieram oczy — własnemu wzrokowi nie wierzę. Jakto? śnieg w porze, w której gorące (promienie słońca płoną żarem i ogniem, kiedy pot obléwa czoło, a w wyschniętej piersi nie staje oddechu?

Nie, to nie był śnieg, ale zjawisko zoologiczne, które tylko w tych stepach podbiegunowych ujrzyć można.

Wśród bagien, na wiorstowej może przestrzeni, miliony milionów białych motylek, obsiadłszy powierzchnię traw i łądy roślin, pokryły cały obszar śnieżnym całunem swoich skrzydełek: maryady tych istot, krążąc w gęstych kolumnach po powietrzu, spadały całymi kłębami na naszą kibitkę. Trzeba było bezprzestannie obiema rękami zrzucić z siebie grubą i ruchomą powłokę, sypiącą się na nas ze wszystkich stron.

Wyjechawszy z tego wrącego życiem organicznym śniegu, posuwaliśmy się w milczeniu po wązkiej drożynie, wijącej się wśród stepów, gdy nagle, po godzinie takiej jazdy, ujrzelśmy przed sobą sinawą chmurę, roztaczającą się na całej przestrzeni zielonej płaszczyzny. Jemszczyk zatrzymał konie i wskazując palcem na to nowe zjawisko, wyrzekł wyraz, którego w pierwszej chwili zrozumieć nie mogłem.

— Muszka! — zawołał.

— Tak, muszka — powtórzył mój towarzysz, i dobywszy kluczy, zaczął szybko rozpakowywać swój tłumoczek.

Nim jednak zdołał skutecznie powzięty zamiar, chmura

(*) Tengri, jest to upiór przodka, który żyje wiecznie. W każdej rodzinie tatarskiej, znajduje się taki upiór, zawsze obecny choć często niewidzialny, którego zadaniem opiekować się potomkami swojego szczepu. U Persów zowie się on „piri“, u Mongołów zaś „bogda.“

owa, płynąca ku nam niby gęsta mgła, otoczyła nas zewsząd. Naraz uczulem dotkliwy ból na całej twarzy i rękach, oczy napełniły się łzami, w uszach powstał szum, oddech stał się uciążliwym. Były to nieprzeliczone gromady, nadzwyczajnie drobnych, o przejrzystych skrzydełkach owadów, które w porze letniej stanowią jedną z największych plag wschodniej Syberyi. Chmary tego, zaledwie dojrzanego gołem okiem owadu rzucając się na człowieka, kłusząc go niemiłosiernie, wiskają się do oczów, uszów, nosa, ust — tak, że w miejscowościach opanowanych przez muszkę, niepodobna jest najsilniejszemu i najwytrwalszemu człowiekowi pokazać się na świeżym powietrzu bez maski na twarzy, i rękawiczek na rękach.

— Prędzej, prędzej! — zawołał mój towarzysz: wdziejcie to na głowę.

I podał mi rodzaj płóciennego białego kaptura, opatrzonego włosieną siatką, która zakrywając twarz nie tamuje oddechu.

Zgarnawszy z siebie tysiące dokuczliwych istot, poszedłem za jego radą. Tłumacz i Jemszczyk byli już okryci temi dominami pustyni.

Wszyscy trzej wyglądaliśmy jak maski, wychodzące w czasie karnawału z sal ređutowych. Brakowało tylko światła lamp, dźwięków muzyki, tłumu, intrygi: jednem słowem wszystkiego tego, co stanowi ów różnorodny chaos, zwany u nas maskaradą.

Wkrótce potem dojeżdżaliśmy do jednej z większych osad tatarskich. Zabawny widok przedstawił się naszym oczom! Wszyscy ci mieszkańcy pustyni, mężczyźni i kobiety, ubrani byli w podobne naszym kaptury, z włosiennymi maskami na twarzach. Był to niby olbrzymi bal maskowy: sala, to obszary niezmiernej przestrzeni — ścianami jój, widnokrąg niebieski — żyrandolem słońce — a muzyką szum zaledwie dosłyszany miliona milionów skrzydełek drobnego owadu, który tak despotycznie opanował człowieka.

Chmura muszki rozciągała się na wiorst kilkanaście; minawszy ją, mogliśmy zdjąć nasze kaptury i odetchnąć swobodnie.

Drugiego dnia powierzchnia stepu uległa zmianie: już to nie była owa zawsze zielona, nieprzerwana płaszczyna, ale tu i owdzie zaczęły się pokazywać małe pagórki, które w miarę naszego posuwania się na południe, w coraz większych przedstawiały się rozmiarach. To pierwsze zarodki pasma gór sajańskich, biegnące nieprzerwanym łańcuchem ku Mongolii. Gdzieniedzie wystawały z ziemi kamienie i skały, częściej widzieć się dawały przerywające w różnych kierunkach powierzchnię stepu strumyki—a roślinność otaczająca nas stała się jeszcze bujniejszą. Widziałem wśród łąk nieznanę mi dotąd o jaskrawych barwach kwiaty, których nie powstydzilyby się najwspanialsze europejskie ogrody.

Wśród czarownej doliny, u podnóża wysokich gór, rozsianych jest przeszło sto jurt tatarskich, stanowiących krańcową osadę na pustyni. Wiedząc, że za tą pustynią znajduje się step niezamieszkały, który mi przebyć trzeba, chcąc dostać się do granicy chińskiej, postanowiłem tę ostatnią jeszcze noc przebyć w jurcie tatarskiej. Kazałem zatrzymać konie przed jedną, która się wydawała być pokazniejszą od innych, i wysiadłszy z kibiuki, przywitałem wychodzącego naprzeciw nas Tatarą, zwykłym pozdrowieniem:

— Anym—dżoh!

Staruszek zaprosił nas gościnnie do siebie.

Wkrótce potem, „szyszła“, to jest kawał żrebięcia piekł się na wetkniętych w ziemię patkach, a liczna rodzina naszego amfitryona krzątała się dla przygotowania gościom wieczornego posiłku. Wieść o przyjeździe cudzoziemców rozbiegła się lotem błyskawicy po jurtach; kilku przybyłych w odwiedzinę sąsiadów, usiadło wraz z gospodarzem i nami na szeroko rozłożonych matach słomianych, założywszy na sposób wschodni nogi pod siebie—tłum zaś kobiet, dziewczyn i dzieci, stał opodal, tworząc półkole i przypatrując nam się ciekawie. Po jakimś czasie, osądziwszy zapewne z naszej powierzchowności, że choć „baszka-ulus“ (cudzoziemcy), nie jesteśmy tak strasznymi, przybliżyły się do nas dzieci a nawet starsze dziewczyny, zarzucając mnóstwem zapytań i dotykając naiwnie każdej części ubioru. Mój tłumacz odpytywał na wszystko, ja zaś, nie znając języka tatarskiego,

dawałem im poznać na migi, żeby się ze swojemi zapytaniami do towarzysza mojej podróży udawano.

Obyczaje tych Tatarów, zamieszkujących krańce pustyni, są jeszcze więcej patryarchalnemi. Oprócz kniazów (naczelników jurty), wybierani bywają z pomiędzy najstarszych wiekiem, ojcowie rodzin do rady w zarządzie administracji tej małej kolonii. Polowanie, rybołówstwo, jakoteż chodowla koni, bydła, kóz i owiec stanowią jedyne ich zajęcie. Ubiór ich zbliża się więcej do chińskiego: mężczyźni podgają głowy i zapuszczają długie, wiszące ku ziemi wąsy—kobiety przy zwykłych tatarskich szarawarach, noszą krótkie kaftaniczki, a chustki na głowie zawiązują szeroko, w kształcie zawojów. Dzieci obojg płci w porze letniej, do dwunastego roku życia, chodzą bez żadnego ubrania.

Przy pomocy tłumacza dowiedziałem się, że ta osada słynie z najlepszego wyrobu kumysu, i że z dalekich nawet stron zjeżdżają się tu w czasie wiosennej pory, chorzy dla odbywania swęj kuracyi. Leczenie chorych stało się dla mieszkańców nie tylko przynoszącym znaczne zyski rzemiosłem, ale prawdziwą namiętnością. Nie zapomnę nigdy z jakim zapalem zapominając o nieodłącznej wszystkim wschodnim narodom powadze, opowiadali mi otaczający Tatarzy o cudach dokonanych za pomocą kumysu.

— Jaka to szkoda—rzekł jeden z nich, zwracając swą mowę do mnie—że jesteście zdrowi, bo w przeciwnym razie wyleczylibyśmy was niezawodnie.

— Dziękuję za życzenie,—odpowiedziałem przy pomocy tłumacza;—ale ja już wolę być zdrowym, nawet w razie gdyby moje wyleczenie było najcudowniejszém.

— Śmiećcie się,—rzecze inny Tatar,—ale żart na stronę, można powiedzieć że choroba sama staje się rozkoszą, przy tak zadziwiających środkach do jej usunięcia służących.

I opowiadano mi o licznych chorych, którzy w różnych czasach ze wszystkich stron świata, przybywają do jurt na kurację. Między innemi mówiono mi o jednym, bardzo bogatym cudzoziemcu, który był zupełnie różnym od wszystkich widzianych przez nich ludzi.

— Wystawcie sobie,—mówił mi nasz gospodarz,—był on

cery zupełnie białej, włosy miał czerwone jak ogień, nie nosił ani brody jak wy, ani wąsów jak my nosimy, ale zapuszczał z obu stron twarzy jakoby dwie gęste czupryny, opasywał szyję chustką białą, w prawe oko kładł kawałek szkiełka, które mu wisiało na sznurku, okalającym szyję — mówił mało, jakimś dziwnym, nieznanym językiem, a po rossyjsku nie rozumiał ani jednego słowa.

— Z jakiego on był narodu?

— On był z narodu milordów.

— Milordów?

— Tak jest. On sam zamieszkuje miasto Krasnojarsk, ale pochodzi z tego nieznanego nam zupełnie ludu. Milordowie jest to naród znajdujący się daleko za morzami. Jego służący nie nazywał go nigdy inaczej, tylko po narodowości.

Więc ten gość na bezludnej pustyni wschodniej Syberii, wśród odłączonej od reszty świata auli tatarskiej, nad granicą Chin, był synem mglistego i ekscentrycznego Albionu (*). Dotąd w podróżach moich po Europie, czy to wśród zajętych interesami handlowymi Niemców, czy pośród żywych i wesołych Francuzów, czy wreszcie u stóp bazylik i koliseów rzymskich, wszędzie napotykałem tych niezmordowanych turystów, pragnących wszystko poznać, wszędzie zajrzeć, każdy przedmiot zbadać — nie spodziewałem się jednak nigdy natrafić w pośrodku stepów azjatyckich, na ślad Anglika.

Ów John Bull, ani sposobem wzięcia, ani oryginalnością w postępowaniu, nie odróżniał się od swoich współziomków. Dla Tatarów, pomiędzy którymi całe dwa miesiące przebył, był niewyczerpanym źródłem anegdot, spostrzeżeń i komentarzy. Rok już minął od czasu jak opuścił te strony, a przecież oni dotąd o nim zapomnieć nie mogli.

Z pomiędzy tysiąca anegdot jakie mi o tym wyspiarzu opowiadano, przytoczę jedną:

(*) Wielu Anglików znajduje się w Syberii. Zajmują się oni po większej części mechaniką przy różnych fabrykach. *Przyp. aut.*

Tatarki niektóre są bardzo piękne. Posiadają one płeć alabastrowej białości, której ani zmiany klimatu, ani gorący żar promieni słonecznych nie są w stanie przyciemnić — mają włos gęsty, kruczony, wijący się w pierścienie, — ręce i nogi drobne, a spojrzenie ich słońnych oczów jest dziwne, elektryczne... mianowicie jedna z nich Anissya, odznaczała się doskonałą jeszcze od swoich towarzyszek pięknnością.

Widziałem tę dziewczynę. Rzeczywiście trudno w azjatyckich typach znaleźć podobnie czarujące stworzenie. Ta Anissya więc, której nawiasem powiedziałem moralność nie była tak doskonałą, jak kształty jej ciała — obudziła w zimnym sercu syna Albionu, gorący płomień miłości. Miał on sposobność widywać ją często, bo dziewczyna należąca do rodziny Tatara, u którego obrał mieszkanie, zajmowała się przyrządzaniem i podawaniem mu kumysu. Ale Anglik był członkiem narodu, u którego przyzwoitość wzięcia się, wrosła w warunki życia społecznego: jakże tu więc objawić swoje uczucie, nie umiając ani jednego słowa po tatarsku, a podróżując bez tłumacza? Pozostaje wprawdzie mowa gestów — ale pantomina jest rzeczą nader drażliwą, a przesiąkły dżentelmanizmem John Bull, pomimo najsilniejszej pracy wyobraźni, nie mógł wynaleźć takiej mimiki, któraby nie podpadała pod surową krytykę zasad przyzwoitości.

Biędny więc Anglik znajdował się pomiędzy Scyllą a Charybdą: z jednej strony zupełna nieznanomość języka, którym mówiła jego niebianka, z drugiej ciąga obawa naruszenia prawideł dobrego wychowania, które przywykł być uważać za święte i nietykalne.

Bijąc się z myślami, a nie mogąc nic wynaleźć, patrzył tylko po całych godzinach na piękną Anissyę: patrzył prawdziwie po angielsku — okiem okrągłym, spokojnym — i ani jeden muskuł jego arystokratycznej twarzy, nie zdradził swym poruszeniem wewnętrznej walki, odbywającej się w głębi serca.

Tatarka nie przywykła do podobnych objawów miłości, nie mogła pojąć co znaczyło to długie, bezprzerwane wlepianie w nią wzroku.

— Ten milord, — mówiła do swoich, wyszedłszy od An-

glika — musi mieć nie dobrze w głowie: jego wzrok bezmyślny, barani, skierowany na mnie, okazuje jakąś fiksację. Czyby nieprzymieszając do kumysu jakiego ziela?

— Zobaczmy później,—odpowiedział gospodarz jurty. Ale mi się nie zdaje, żeby mózg jego był roztrojonym. On wyjąwszy tego bezmyślnego patrzenia, postępuje sobie rozsądnie, systematycznie. Nie znamy narodu milordów; może u nich wszyscy ludzie takim sposobem patrzą.

Dnie mijały jeden za drugim, a Anglik patrzył ciągle, po całych godzinach, na swoją bogdanę tym samym wzrokiem; i byłby tak może patrzył do końca swojej bytności w jurcie, gdyby myśl nowa, zbawienna, nie wyrodziła się w jego wyobraźni.

Sposób, którego użył dla objaśnienia swój miłości był szczytnym.

Wykroił on z kawałka papieru najforemniejsze serce, i ofiarował je zdziwionej, tyle niespodziewanym podarunkiem Anissy. Nie potrzebuję dodawać, że w czasie wykonania tego heroicznego przedsięwzięcia, twarz Anglika przejętego zasadami dobrego tonu, który nie dozwala okazywać na zewnątrz miotających sercem namiętności, wyrażała najzupełniejszą obojętność.

— To ma być dla mnie?—zapytała gestem zdziwiona Tatarka.

— Dla ciebie, — odpowiedział poważnie Anglik.

— A co ja mam z tem zrobić?—mówiła dalej pantomina Anissya.

Tu już język mimiki okazał się niedostatecznym. Próżno ekscentryczny turysta starał się wytłumaczyć swojej ulubionej, że to serce papierowe jest obrazem tego serca, które jęj chce w całości poświęcić,—dziewczyna, dla której język allegoryczny był zupełnie niezrozumiałym, i która przywykła brać rzeczy tak jak są, prosto, bez żadnych przenośni i metafor, nie mogła go pojąć.

W końcu, jednak po długim zastanowieniu się, osądziła że odgadła żądanie Anglika. W oczach materyalnej Tatar-ki, żądanie to nie mogło być jak tylko czysto materyalnym, z codziennych potrzeb życia wypływającym.

Oddaliła się szybko z jurty, wołając na swoje towarzyszy.

— Milord głodny, milord chce pieczeni. Wykroił mi pieczeń z papieru, dając tym sposobem poznać swoje życzenie.

Można łatwo sobie wyobrazić oburzenie Anglika, gdy jego ubóstwiona czarnobrewa, w miejsce serca którego od niej żądał, przyniosła mu na talerzu spory kawał pieczonej baraniny.

— No!—zawołał potrząsając głową, i odwracając się ze wstrętem od podanego posiłku.

— Nie chce, to dziwnie,—rzecze Tatarka; widać żąda czego innego... A, wiem już—on często chodząc po górach, zbiera duże czerwone kwiaty, które tam rosną — kwiat ten podobny kształtem do figury, którą wykroił z papieru: trzeba dogodzić jego życzeniom.

I dziewczę pobiegło na górę, a zerwawszy spory bukiet kwiatów, powróciło ofiarować go siedzącemu zawsze nieruchomie wyspiarzowi.

Anglik odebrał bukiet, powąchał go, i spojrzawszy swemi okrągłemi oczami na czarodziejkę, wyrzekł z flegmą potrząsając głową:

— No!

Anissya przynosiła mu jeszcze z kolei różne przedmioty, które jęj zdawały się być podobnemi kształtem do wykrojonej z papieru figury—to poduszkę, to czajnik, to wreszcie rozmaite inne naczynia; a za każdym razem niezrozumiany w uczuciach swoich cudzoziemiec, wołał z wzrastającą rozpaczą:

— No! no! no!

I wreszcie wyjechał niepojęty, niepoznany, a Tatarka do dzisiejszego dnia nie wiedziała by zapewne co znaczyło owo wykrojone z papieru serce, gdybym ja sam nie wyjaśnił jęj przy pomocy tłumacza tęg zagadki. Szczegóły zaś owego zdarzenia były mi znane jeszcze dawniej. Opowiadał mi je pan Kixton Anglik, zamieszkały od lat 10-ciu w Minusińsku, a żyjący w stosunkach życzliwości ze swoim rodakiem z Krasnojarska.

— Jaki głupi ten milord, mówiła naiwnie Anissya — czyliż on nie mógł wyraźniej objawić swojego życzenia.

Przytoczyłem powyższe zdarzenie jako dosyć oryginalne w swoim rodzaju. Z dalszej zaś rozmowy z Tatarami, w której przydany mi do pomocy tłumacz, ciągle bezpośrednio grał rolę, przekonałem się, że tradycje tego narodu, tak pod względem legend ludowych, jakoteż wspomnień historycznych, są nader zajmującymi. Gdyby kto z badaczy, lub etnografów chciał je zebrać na miejscu, uporządkować i objaśnić, oddałby niemałą usługę nauce. Tém łatwiejby to można było uczynić, że co u ludów cywilizowanych pokryte jest mgłą wieków, u nich bardzo niedalekiej sięga przeszłości. Ojcowie a najwięcej dziadowie dzisiaj żyjących, byli świadkami cudownych wojen plemion, w których walczyły nadprzyrodzone istoty; pokonywali Burteozino i Goa-morrel, dwie straszne potwory przy pomocy bohatera Orogo-lukazi, wchodzili na górę śpiewającą Hlari-rolba, i dokonywali takich czynów, które w naszych legendach do czasów przedhistorycznych należą. Legendowa era tych plemion istnieje jeszcze obecnie: tengri wychodzą bardzo często ze swych mogił i obcuja z żyjącymi, duch ciemności Horus-lykas przechadza się po stepach; zaćmienie słońca lub księżycy, mgła, opadanie i wylewy wód, głos puchacza w pustyni, grzmoty i pioruny — wszystko to wypływa z nadprzyrodzonych przyczyn, i jest ściśle połączone z obrządkami ich wiary. Jednym słowem są oni tém dziś, czém były wszystkie ludy w północnej Europie przed narodzeniem Chrystusa; przeszłość historyczna cywilizowanych narodów jest u nich terażniejszością — czy zaś oświata płynąca z zachodu nie zatrze w nich z czasem cech pierwotnych, o tém wiedzieć nie można. To tylko jest rzeczą pewną, że głównymi przeszkodami do zlania się tych szczepów azyatyckich z postępową ideą Europy, jest naprzód sąsiedztwo Chin, mocarstwa wyłącznie stagnacyjnego, a powtóre szamanizm oparty na czarnoksiężkich praktykach, każący wierzyć we wszystko, co tylko jest nadprzyrodzonym i nienaturalnym.

Nazajutrz, gdy już słońce wzniosło się wysoko na widokregu, pożegnaliśmy gościnnych Tatarów, i pozostawiwszy

za sobą ostatnią osadę, zapuściliśmy się w pustynię. W miarę jak znikaly w oddaleniu śpiczaste więszchołki jurty, jakaś dziwna tęsknota opanowywała me serce. Czytałem kiedyś, że pierwszy widok niezmiernych, niezaludnionych przestrzeni, zawsze podobno takie wrażenie wywołuje — chociaż od lat wielu przywykłem do życia wśród stepu, pustyni jednak nie znałem zupełnie... Gdy już ostatni objaw życia społecznego pozostał daleko za nami, gdy spojrzawszy przed siebie pomyślałem, że tam znajduje się obszar nieskończony: sta, tysiące mil rozległości — których myśl nie jest w stanie objąć — bez wsi, wiosek, domów, jurty, ludzi, jakiś niewysłowiony smutek ogarnął moją duszę. Przeznaczeniem człowieka jest życie towarzyskie: najwspanialsze cuda przyrody nie zastąpią nigdy tój potrzeby. Patrząc na rozliczne kształty gór rysujących się na widokregu w coraz odmiennych zarysach, tworzyłem z nich obłędem wyobraźni miasta, warowne zamki, lub sterczące baszty wież. Często bielejące u ich podnóża kamienie, przedstawiały mi się jako mury wrącego życia i ruchem miasteczka, a siniejące obłoki, jako kłęby dymu, wychodzącego z kominów fabryk i przemysłowych zakładów. W pośród dzikiej pustyni szukałem życia — życia, do którego tęskniłem całą duszą moją; przez całe godziny zaludniałem przestrzeń widziadłami mojej wyobraźni, wywoływałem z nicości fantastyczne obrazy moich wspomnień: próżne usiłowania! — rzeczywistość rozwiała mary moich illuzji, tak jak silny syberyjski wiatr rozwiewa płaczące się po powietrzu mgliste wyziewy.

Jechaliśmy tak większą część dnia, to wijącą się drożyną, której ślad ginął częstokroć pomiędzy gęstymi ziołami, to zagłębiając się w wąwozie, to spuszczać wreszcie je stromych gór — nigdzie nie widać było śladu człowieka.

Po pięciu godzinach jazdy, jemszczyk zatrzymał zmęczone podróżą konie, a wyprężone zwierzęta pobiegły swobodnie na trawę. Pod cieniem góry znaleźliśmy chwilowy wypoczynek, i ochronę od piekących promieni słońca. Wydobyłem z torby podróżnej skromny posiłek, lecz pragnienie niezmiernie mi dokuczało, a wody nigdzie nie było. Ujrza-

łem ja wprawdzie opodal płynący strumyk, i pokazałem go jemszczykowi—ale ten kiwnął tylko głową:

— To nie dla nas,—wyrzekł.

Spostrzeżona przezemnie woda, była jak ów stół zastawiony jadem, który zgłodniały nędzarz widzi we śnie swoim. Prózna podnieta która go jeszcze więcej drażni.

— Czy widzicie pomiędzy strumykiem a nami, te grube zielone pałki, wystające wśród trawy,—rzekł towarzysz podróży mojej? To jest trzcina,—ona tylko rośnie na nieprzebytych bagnach. Gdyby kto z nas chciał się dostać do strumyka, zatonąłby niezawodnie. Uważajcie na wyprężone konie jak one dopatrują gdzie trzcina rośnie: gdy ujrzą w górę wystające pałki, nie pójda w tę stronę, albowiem instynktem swoim zgadują, że tam są bezdenne bagna, wśród których znalazłyby śmierć nieochybną.

Po godzinie wypoczynku, jemszczyk zagwizdnął właściwym sposobem, a posłuszne zwierzęta zbiegły się dobrowolnie na to wezwanie, stanęły przy dyszlu i dały się zaprzędz.

Pojechaliśmy dalej.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy ujrzałem sino-niebieskawy pas na widnokręgu.

Byłato tajga.

Czarne lasy niemieckie, litewskie mateczniki, niczém są w porównaniu z tajgami azyatyckimi; nieledwie bory Ameryki i to w czasach pierwotnych, wtedy gdy jeszcze siekiera yankees'ów nie zbadała ich głębi, mogłyby tylko dać o nich niejaki wyobrażenie. Początek pustyni leśnej mieliśmy przed oczami, końca jej nikt oznaczyć nie mógł. Wiedziałem że zalegała ona Mongolia, ale gdzież był jej koniec? Może nad brzegami rzeki Pei-ho, a może w pustyniach Persyi, lub téż na krańcach Indyi wschodnich. Karty geograficzne państwa niebieskiego zbyt są niedokładnymi, ażeby w przybliżeniu nawet oznaczyć granice i rozmiary tych strasznych otchłani.

Byliśmy zmuszeni, dla okrążenia znajdującego się na południe ogromnego jeziora, którego brzegi łączą się z krańcami leśnej pustyni, przebyć niewielką jej odnogę. Przy

brzegach swoich syberyjskie tajgi nie różnią się w niczém od naszych borów, wyjąwszy może różnorodnością gatunków i wyniosłością drzew. Koczujące plemiona zamieszkujące tu czasowo przed laty, użytkowały z nadbrzeżnych drzew na swoje potrzeby. Niezliczone mnóstwo pni pozostałych po ściętych drzewach, z których gęsto podnoszą się młode latorośle, świadczą, że w okolicach tych były dawniej koczowiska Tatarów lub Tunguzów;—posuwając się dopiero w głąb tej otchłani, ślad siekiery coraz rzadziej widzieć się daje gęstwa coraz jest większą, ogrom drzew coraz wspanialszy.

Bystra, skacząca po kamieniach rzeka, nie pozwalała nam trzymać się brzegów tajgi—musieliśmy zapuścić się w głąb jej o jakie wiorst kilkanaście. Miliony ścieżek, wydeptanych stopami dzikiego zwierza, wiło się w rozmaitych kierunkach; ażeby nie zginąć w tym labiryncie, staraliśmy się o ile możności nie opuszczać brzegu rzeki, W miarę posuwania się naszego w głąb leśnej pustyni, walczyliśmy z coraz większymi trudnościami. Gęstwa stawała się tak wielką, że drzewa stykały się swojemi ogromnemi cielskami, tworząc masę gęstą, zbitą—śród której wyrąbane siekiérkami ścieżki, widniały jakby wązkie galerye granitowych kopalń: byliśmy zmuszeni stawać co chwila, i odrąbywać toporami tamujące nasz przejazd gałęzie.

Tysiące tysięcy cedrów wyrosłych prawie jeden na drugim, gnije i próchnieje tam dla braku miejsca do rozwinięcia swojej żywotności; gdy zaś które z drzew zdoła rozwinąć się swobodnie, to objętość jego zadziwia oko, nieprzywykłe do podobnych rozmiarów. Widziałem tam brzozy, których średnica dochodzi w przecięciu trzy łokcie—niektóre zaś z cedrów, mające po kilkadziesiąt stóp obwodu, podobne są raczej do gór, wież, gmachów olbrzymich, wystawionych przez naturę dla okazania człowiekowi swojej potęgi, w porównaniu z jego nikczemnością.

Postępowaliśmy ciągle w jednym kierunku.

Zbita masa drzew, poplątanych korzeni, próchniejących szkieletów cedrowych, stała się tak gęstą, trudności w przeciskaniu się tak wielkie, że niepodobna prawie było posuwać się dalej obraną drogą.

Ślady siekiery zaczęły też ginąć zupełnie.

Jemszczyk zatrzymał konie, i przedarłszy się z toporem w rękę przez gęstwę, powrócił wkrótce, przyniosłszy dobrą wiadomość, że rzeka zmienia w tym punkcie swój kierunek i że będzie można postępując za jej korytem, wydostać się napowrót z tajgi.

Tymczasem noc zaczęła roztaczać swoje cienie. Podróż nocna w tych otchłaniach jest rzeczą nader niebezpieczną. Można z łatwością zgubić kierunek, oddalić się mimowolnie od jedyne go przewodnika rzeki, i zabłądzić: a zbłąkanie w pustyni leśnej syberyjskiej—to śmierć.

Śmierć straszna, okropna, połączona z męczarniami głodu, lub alternatywną być rozszarpanym przez dzikie zwierzęta.

Postanowiliśmy przepędzić noc w tym miejscu.

Upatrzyszy nad brzegiem rzeki niewielką łączkę, otoczoną zewsząd wałem drzew, rozpaliliśmy ognisko.

Mała ta łączka, kaprysem natury rzucona w tę gęstwę, była wybornym miejscem do spoczynku. W środku niej sterczały szczątki olbrzymiego cedru, w którego spróchniałym wnętrzu obraliśmy schronienie; woda rzeki dostarczała nam napoju i ochłody, a olbrzymi wał drzew zasłaniał od północnego wiatru.

Opatrzyszy broń i urządziwszy się tak, że jeden z nas miał obowiązek czuwania, gdy drudzy odpoczywali — umyśliliśmy oczekiwać pierwszego brzasku dnia.

Kolój czuwania przyszła na mnie: przyrzuciwszy suchych gałęzi do ognia i otuliwszy się w kozuch, bo noc była chłodną—zacząłem dumać.

Nie było zupełnie ciemno, lecz chociaż księżyc jaśniał na niebie w całym swym blasku, to przecież światło jego, przedzierając się z trudnością przez gęstą opońę drzew, nie zdołało rozegnać pół-cieni panujących do koła. Cisza przerywana była rozlicznymi głosami dzikich zwierząt, królujących w tej pustyni, tak mało dostępną dla człowieka. Od czasu do czasu przemknęło się cielsko jednego z mieszkańców tajgi, ale zwierzę spłoszone blaskiem ognia, uchodził co prędzej, nie dawszy się bliżej poznać. Echo w tych leśnych pustyniach jest tak doniosłym, że najodleglejsze szmery

najwyraźniej słyszeć się dają; a przytém i wyobraźnia niemałą odgrywa tu rolę. Częstośkroć szmer liści zdaje się być mrukiem niedźwiedzia, szum bałwaniącej się po kamieniach rzeki, tętętem zbliżającego się stada wilków, a oddalony głos puchacza jakimś dzikim, szatańskim śmiechem.

Siedząc przed ogniskiem, słuchołem tych głosów pustyni i dumałem.

Nigdy jeszcze wśród różnorodnych kolei mego życia, nie uczulem tak mocno potęgi Wszechmocności, ogromu przyrody, i nikczemności człowieka.

Dotarłszy do ostatnich krańców zamieszkałego przez ludzi świata, zapuściłem się myślą w te otchłanie, których nigdy stopa człowieka nie dotknęła. Cóż to za straszne za niezmiernie przestrzenie! Sta, tysiące mil, których nikt nie poznał, nie zbadał, nie określił—w których ukrywają się od stworzenia świata tajemnice roślinności i organizacyi zwierzęcej...

Tajemniczy ten ogrom pustyni azyatyckich, daje pewne pojęcie o nieskończoności. W obec tych nieodgadnionych przestrzeni, tej wiekowej tajgi, myśl ludzka drobnieje, wyobraźnia stygnie, a człowiek czuje więcej niż kiedykolwiek swoją niedołężność.

Przy kolejnym czuwaniu, noc przeszła szybko: pierwsze promienie wschodzącego słońca, zastały nas na nogach.

Wypoczęte konie poniosły kibitkę brzegiem rzeki, zwracającą się w przeciwnym kierunku.

Przez kilka godzin jeszcze przedzieraliśmy się przez gęstwy, które w miarę przybliżania się naszego ku stepom, rzedniały stopniowo, — nareszcie ostatnie drzewa pozostały za nami, i ujrzałem przed sobą jasny widnokrąg niebios.

Odetchnąłem swobodniej.

Okolica była dzika choć pełna uroku. Ogromne góry, olbrzymie skały, piętrzyły się zewsząd w najrozmaitszych kształtach: w pośrodku gór i skał siniały wody obszernego jeziora.

Jakie tam życie, co za gwar na tém jeziorze wśród pustyni!

Miliony milionów dzikiego ptactwa; kaczek, gęsi, żórawi, cietrzewi, kulików, łabędzi, kraży, lata, wiruje w rozmaitych

kierunkach, wydając rozliczne głosy. Jest to chaos trudny do opisania. To życie samoistne, odrębne, koncentrujące się samo w sobie, daje niejaki wyobrażenie czém był świat w pierwszych czasach po stworzeniu... W niezliczonych stadach ptactwa otaczającego mnie zewsząd, krążącego we wszystkich kierunkach, obsiadającego brzegi jeziora, ileż przeróżnych kształtów, ileż nieznanych gatunków!

Nieprzywykłe widzieć człowieka, nie doświadczywszy od niego nic złego, nie uważają w nim swojego wroga, i zbliżają się całemi gromadami bez żadnej bojaźni do stóp tego króla przyrody, jak w owych pierwotnych chwilach organicznego życia, kiedy pierwsza krew niewinna nie była jeszcze przelaną.

Stara myśliwska natura odezwała się we mnie: kilkakrotnie chwyciłem za broń, lecz zawsze opuszczałem ją ku ziemi. Nie znalazłem w sobie dosyć odwagi, żeby przerwać ten spokój i zniszczyć to zaufanie.

Życie sobie swobodnie ptaki i ptaszki — śpiewajcie wesoło, świér'gcie bez obawy: całe wasze szczęście zależy na tém, że nie znacie jeszcze człowieka!

Pozostawiwszy za sobą kryształową przestrzeń wód jeziora, niemającego dotąd żadnego nazwania na szczegółowych kartach geograficznych, jechaliśmy ciągle wśród stromych gór, których wierzchołki zaledwie dojrzałe okiem, pokryte są wiecznymi śniegami. Przestrzeń stuwiorstowa blisko, od tego punktu aż do pierwszych osad nad granicą chińską położonych, jako niezamieszkała pustynia, różni się tylko od północnych jej części coraz większą wyniosłością gór sajańskich, i coraz bardziej przerażającą dzikością przyrody.

W tych przeróżnych kształtach skał, w tych niezmiernych opokach, zawieszonych po nad bezdennymi przepaściami, w tych spadających z przeraźliwym hukiem potokach w rozwarłe pod stopami otchłanie — jest coś strasznego, przerażającego, przypominającego bliskość Mongolii.

W ciągu dnia kilkakrotnie zatrzymywaliśmy się dla dania wypoczynku koniom — noc przepędziliśmy w zagłębieniu skały.

Nazajutrz około południa, spuszczać się z wysokości góry, ujrzelśmy nagle śpiczaste dachy domów, składających jedną z osad, po za przestrzeniami stepów i pustyń, nad granicą chińską pobudowanych.

Osady te w liczbie pięciu lub sześciu, zamieszkałe są przez rozkolników jak np. starowierców, sobotników, skopców i t. d. Wyznawcy tych różnych sekt, niebardzo tolerowanych przez miejscowe władze, wynieśli się na ostatnie krańce Syberyi, nad granicę państwa niebieskiego, ażeby mogli swobodniej i bez przeszkody wykonywać swoje starożytne, a niekiedy rażące dzikością obrządku.

Opisywanie szczegółów dotyczących rozkolników, zbyt wieleby miejsca zajęło, zanałoby odbiegło od potocznej formy niniejszego opowiadania, ażebym był w możności dłuższy im zakres poświęcić — powiem więc tylko, że ogólną cechą wszystkich tych sekt, jest ślepe i bezwarunkowe prawie przywiązanie do pierwotnych, prawie przedchrześcijańskich pojęć, odrzucanie bezwarunkowe wszystkiego co nowe, wstręt do każdego postępu, reorganizacji, odrodzenia. Każda przytém sekta ma swoje oddzielne wyobrażenia i zasady: starowiercy trzymają się literalnie odmiennych ksiąg cerkiewnych, odrzucają władzę zwiér'szchnią duchowną, i rządzą się zasadami, jakie istniały przed wyswobodzeniem kościoła wschodniego od zabobonów; skopcy, uważając rozrastanie się plemienia ludzkiego za powiększanie grzechu w przyrodzie, przyprowadzają organizm żywotny do nicstwa, kalecząc w najohydniejszy sposób własne swoje ciała, a sobotnicy, w których osadzie zatrzymaliśmy się, wyznają rodzaj judaizmu, pomięszanego z niektórymi wyobrażeniami mahometañskimi. Jak Żydzi, święcą soboty, oczekują Messyasa, w używaniu pokarmów trzymają się księgi liczb Mojżesza; — jak mahometanie, odbywają ablucye, sypią w czasie modłów ziarno dla ptaków, i wierzą w siedm stref mahometañskiego raju, wraz z jego huryskami i innymi czysto materyalnemi rozkoszami.

Ludzie ci są małomówni, ponurego wejrzenia, dzikiej i odrażającej powierzchowności. Różne o nich krążą pogłoski. Opowiadano mi, jakoby w tajemniczych obrzędach so-

botnicy używali krwi chrześcijańskiej do swoich biesiad. Wszystko to zapewne tchnie przesadą — nie ulega jednakże wątpliwości, że ci dzicy sekciarze uważają zamordowanie każdego niewyznającego ich wiary człowieka, jako obowiązek religijny, gdy to można skrycie, bez ściągnięcia na siebie odpowiedzialności, uczynić. Wielu z przejeżdżających kupców — i udających się z dowozem zboża do Mongolii włościan, przepadło tu bez wieści i śladu.

Sobotnicy, modląc się w rosyjskim języku, nadziejają na siebie białe płachty, kiwają się i całują świętości, które noszą na szyjach — posiłek przyjmują z nakrytymi głowami jak Żydzi; hebrajskiego jednak języka i głównego prawa starego testamentu, dziesięciorga bożego przykazania, nie znają wcale. Są oni zapewne potomkami zesłanych dawnymi czasami Żydów, którzy zatracili stopniowo swą mowę i pamięć główniejszych obrządków wiary, zachowując dokładnie w tradycyi księgę liczb (numeri) i skażoną do niepoznania księgę rodzajową (genesis) (*).

Olbrzymiego wzrostu i herkulesowej postawy sobotnik, do którego chaty weszliśmy dla przygotowania sobie ciepłego posiłku, usilnie nas namawiał, ażebyśmy tę noc przepędzili u niego, chcąc uniknąć niewygód jakie nas czekały na granicy chińskiej, w jurtach Mongołów i Sajańców. Mówiąc to, spoglądał z podejścia na zatknięte za naszemi pasami rewolwery, jak gdyby starając się obliczyć możliwość obrony i doniosłość oporu. Ale wszystkie jego nalegania nie przyniosły żadnego skutku. Szaleństwem byłoby, mając w kieszeni znacz-

(*) Księga rodzaju, która już u Żydów przez późniejsze talmudyczne dodatki została zmienioną prawie nie do poznania, u sobotników nie posiadających nic pisanego a opierających się tylko na tradycyi, jeszcze więcej odbiega od mojszeszowego podania. Oprócz wziętych żywcem z talmudu: opisu zatrudnień Stwórcy, karmienia się wybranych w raju rybą Lewiatanem — wierzą oni, że w środku ziemi znajduje się Taran przepaść, w którą olbrzymy-mściciele, wrzucają peryodycznie wszystkich ludzi gwałcących świętość sabbatu.

ną i to jeszcze nie swoich pieniędzy sumę, powierzać swe życie znanym z reputacyi mordercom i rabusiom.

Po dwóch lub trzech godzinach odpoczynku, ruszyliśmy ku granicy, o dwadzieścia wiorst tylko ztąd odległej. Zauważyłem, że jemszczyk nasz przez cały czas przebywania naszego u tych sekciarzy był niespokojnym, pobladł znacznie, a co najważniejsza, znakomity jego w każdej porze apetyt, znikł zupełnie.

— Hospodi prosti! — zawołał, żegnając się pobożnie, gdy ostatnie domy osady zostały za nami; — zapalę świeczkę przed świętym ikonem, za to żeśmy wyszli żywo z tej zbojcekiej jamy!

Widocznie, że w czasie niebezpieczeństwa nie wielkąby on był dla nas pomocą.

We dwie godziny potem, zabielały ze wszystkich stron szeroko rozsiane wśród doliny jurty Mongołów i Sajańców. Byłato granica Chin.

Linia graniczna pomiędzy Syberją wschodnią i Mongolją, jak zresztą we wszystkich miejscowościach przez hordy koczujących tylko plemion zamieszkałe, nie jest stale oznaczoną. Tam gdzie lud nie trudni się uprawą roli, przestrzeń mniejsza lub większa ziemi nie ma najmniejszej wartości — same jurty mogą być dowolnie z miejsca na miejsce przenoszone — punkta więc na których się kończy jedno państwo a zaczyna drugie, istnieją tylko na kartach geograficznych; w rzeczywistości zaś nikt ich określić nie jest w stanie. Ciągła peregrynacja Mongołów, którzy się posuwają na północ, lub cofają ku południowi, jeszcze bardziej utrudnia to zadanie. Każda prawie osada, co kilka lat zmienia swe położenie, a żaden z ludzi tam znajdujących się, nie może z pewnością zaręczyć, czy ziemia po której stąpa należy do Syberji, czyli też stanowi północny kraniec państwa Niebieskiego.

Ludy tu zamieszkałe różnią się we wszystkiem od widzianych dotąd przezemnie koczujących plemion azjatyckich. Język mongolski jest całkiem inny od języka tatarskiego — odmiennymi także są ich powiérzchowność, ubior, charakter,

obyczaje. Jedynym węzłem łączącym te plemiona jednego pochodzenia pomiędzy sobą jest szamanizm, ze wszystkimi do tej wiary przywiązanymi obrządkami.

Mongołowie, zostający przez tyle wieków pod władzą Mandżurów, mają obyczaje i charakter wyłącznie chińskie; niepodobna znaleźć w nich tej gościnności i naiwnej prostoty, które mi się tyle u Tatarów podobały — przeciwnie, są oni chytry, przebiegli, niedowierzający i w wysokim stopniu niesumienni. Oszustwo i kradzież, tak jak u wszystkich zresztą plemion, składających całość państwa Niebieskiego, uważaną przez nich bywa za przymiot i cnotę. A chociaż znajdującemu się pomiędzy nimi Europejczykowi, żadne niebezpieczeństwo utraty życia nie zagraża, są bowiem nader bojaźliwi i czują wstręt do rozlewu krwi, przecież w każdej chwili należy być przygotowanym na utratę swojej własności. Zręczność ich pod tym względem jest prawdziwie artystyczną, tak że i najslawniejsi kuglarze mogliby się coś jeszcze od nich nauczyć.

Mając w Minusińsku jeszcze przepisaniem jak sobie z nimi przy wymianie towarów postępować, dokonywałem tej czynności, po długich zatargach, z nadzwyczajną ostrożnością. Zgodzony na wymianę towar, trzymałem w ręku aż do chwili, w której mój tłumacz nie odebrał należnej za niego skóry; za danym znakiem puszczałem sztukę materyi, a tłumacz chwycił w oburącz futro sobolowe. Pomimo tego jednak, pewnego razu, kilka łokci czerwonego sukna tak nagle zniknęły z rąk moich, przedtém nim handlowy pomocnik zdołał uchwycić należącą się za nie skórę, że wszelkie poszukiwania i rewizye, żadnego nie przyniosły skutku, a Mongoł, sprawca tej zręcznej kradzieży, z najniewinniejszą w świecie miną dowodził, że ja nic zupełnie w ręku nie miałem.

Rysy twarzy Mongołów i Sajańców są monstualnie brzydkie: kości policzkowe wystające naprzód, nosy spłaszczone, oczy wąskie, skośne, bez brwi i powiek, zapadłe głęboko wśród czaszki, czynią z nich prawdziwe potwory. Kobiety mongolskie są jeszcze bardziej odrażającej powieszcho-

wności od mężczyzn. Wprawdzie można z łatwością zauważyć pomiędzy nimi i Tatarami ogólne cechy jednej rasy — ale to co u Tatarów jest zaledwie, że się tak wyrażę, naszkicowanem, u Mongołów przedstawia karykaturalną, do ostateczności doprowadzoną całość. Żaden np. malarz nie byłby w możności narysować portretu Mongoła z profilu, bo gdy tenże stanie bokiem, nie widać ani nosa, ani konturów oka, lecz tylko nieforemną linię łamaną, utworzoną ze sterczącego policzka i wypukłego czoła. Mongołowie ubierają się po chińsku, golą głowy, palą tytuń z długich, nadzwyczajnie cienkich cybuchów, i poczytują za najdelikatniejszy przysmak wszelkiego rodzaju owady, jak np. mrówki, chrząszcze, szerszenie, które jedzą pełnemi garściami, bez żadnego przygotowania i przyprawy. Szamani ich noszą wysokie śpiczaste czapki, opatrzone malutkimi dzwoneczkami, i oprócz wypełniania swoich czarnoksiężkich obowiązków, to jest zaszeptywania niedojnych krów, odganiania uroków, rozdawania swastików — używani bywają jako polubowni sędziowie do roztrząsania domowych spraw i zasłych sporów. Oni także, podobnie jak u Tatarów błogosławią, a raczej opatrują talizmanami, dokonane już małżeństwa.

Główną cechą małżeństw mongolskich jak i tatarskich — cechą wspólną zresztą wszystkim rasom, wyznającym szamanizm, jest porywanie.

Młody człowiek, upodobawszy sobie dziewczynę, umawia się z nią, nie uprzedziwszy bynajmniej rodziców i opiekunów, o czasie w którym napaść ma być wykonaną; i zebrawszy liczną drużynę przyjaciół, podkrađa się wraz z nimi nocną porą do jurty, zamieszkałej przez swoją ulubioną, i zdobywa sobie przyszlą żonę. Czasem przebudzona ze snu rodzina stawia opór, częściej jednak spostrzegłszy później cokolwiek zniknięcie kwiatu swojej jurty, (bue-mi), zbiera na prędcę przyjaciół i domowników, a dosiadłszy koni, dopędma zbiegłą pannę, i stara się odebrać napowrót ukradzioną dziewczynę. Następuje bójka, z której mnóstwo szermierzy obydwóch stron wychodzi z podbitymi oczami, potłuczonymi żebrami i podrapanymi twarzami; cała ta sprawa

jednakże kończy się wykupieniem żony, przez pewną ofiarę ze strony pana młodego—ogólną zgodą i piciem wódki, araki. Po nastąpnój dopiero zgodzie, gdyż samo małżeństwo najczęściej w pierwszych chwilach poznania dokonaniem zostało, przyzywają szamana, który ma obowiązek dopełnić swoich inwokacji i czarodziejskich praktyk nad młodą parą. W tym także czasie ma miejsce właściwe wesele czyli uciecha, odznaczająca się śpiewami i pługami, przy towarzyszeniu preraźliwego brzęku płaskiego miedzianego kotła, zwanego „tam-tam.“

Ten zwyczaj porywania kobiet którego byłem świadkiem w czasie przebywania mojego pomiędzy Mongołami, sięga odległej przeszłości i jest wspólny wszystkim ludom aryjskiego pochodzenia. Taka forma małżeństw długo się przechowywała u Słowian: Nestor wspomina o podobnym zwyczaju u Drewlanów i Krywiczaków, i nazywa go porywaniem koła wody (umykanie u wody); u jednych tylko Polan mających stosunki handlowe z Grecją, panował zwyczaj przyprowadzania (wiedzenia) kobiet. W gubernii witebskiej do dzisiejszego dnia podczas obrzędów weselnych narzeczony wykrada pannę młodą, a obwiozłszy ją kilka razy po lesie, odwozi napowrót do domu rodzicielskiego. Według Uscholda, porywanie było u starożytnych ludów jedyną formą małżeństwa; Vico uważa je jako wynik pojęć barbarzyńskich ludów pierwotnych, które, jak każde inne zwierzęta, unosiły zdobycz do swoich jaskiń. U narodów podnoszących się stopniowo w kulturze i cywilizacji, barbarzyńskie te obrządki zacierają się i nikły stopniowo, ustępując miejsca innym więcęć odpowiednim duchowi czasu formom; u ludów zaś zamieszkujących obszary północnej Azji, do których przez tyle wieków światło nauki i postępu idei społecznej nie doszło, pozostały one w całej swój pierwotnej dzikości.

Pomiędzy Mongołami i Sajańcami, oprócz szamana, dziś jeszcze widzieć można rozliczne, wybitne, oryginalną formą postaci. Pierwszą jest baba lekarka (gonia), drugim urzędowy trefniś jurty (zin). Baba, oprócz zwykłych swoich obowiązków przy położnicach, przyzywaną jest wszędzie, gdzie tylko

zawita choroba: poi ziółkami, przykładą kataplazmy z gorczycy, zszywa rany w czasie bójk przedweselnych otrzymane, i jest zarazem prawą ręką szamana, gdy tenże odbywa swoje inwokacje. Baby lekarki są zazwyczaj bardzo stare, i tak straszne, że chyba tylko w snach gorączkowych podobna postać może się człowiekowi przyśnić. Etatowi trefnisie służą do rozweselania mieszkańców jurty w czasie obchodów weselnych, świąt poświęconych duchom rodzinnym, i innych uroczystości, ubierają się oni dziwacznie, mażą twarz węglem, prawią różne koncepta, i są zazwyczaj dosyć zręcznymi w sztukach gimnastycznych i ekwilibrystycznych. Ci samorodni komici, niczem się zupełnie nie trudnią; żywieni, zaopatrywani we wszelkie potrzeby przez całą osadę, przepędzają wszystkie wolne chwile od swoich obowiązków beczynnice, paląc fajkę lub popijając arian. Należy jednak dodać, że stan trefnisia etatowego, jest uważany w oczach ogółu jako poniżający: żaden z Mongołów nie tylko z nim nie zawiąże rozmowy ale nawet nigdy go przy spotkaniu nie przywita.

W pierwszych chwilach pobytu mojego na tych środkowych punktach pomiędzy dwoma państwami, nie znając jeszcze zwyczajów miejscowych, zdarzyło mi się spotkać tę oryginalną figurę. Zaciekawiony, poleciłem znajdującemu się ze mną tłumaczowi zadać mu jakieś zapytanie — gdy nagle stojący opodal starzec, wyciągnął swój długi cybuch pomiędzy nas, i zawołał z żywością:

— Nie mówcie do niego—on tego niegodny: to jest Zin!.

Na tych kilku niedokładnych zarysach obyczajów mongolskich poprzestać muszę; — dwa tygodnie pobytu mojego wśród ich koczowisk, poświęcone były prawie wyłącznie interesom handlowym; nie mając zatem prawie nigdy swobodnej chwili, nie mogłem zwracać bacniejszej uwagi na wszystkie szczegóły życia, tak mało znanych jeszcze plebion.

A szczegóły te są nader zajmującemi.

Gdy za lat parę, w skutek utworzenia nowego punktu wywozowego do handlu z państwem Niebieskiem — dzięki, trudne do przebycia stepy i niezaludnione obszary, prze-

rznięte zostaną wygodną do przejazdu drogą, Mongolia tak mało dziś znana, nawet tutejszym nadgranicznym mieszkańcom, stanie się dostępną dla wszystkich.

Dziś udaje się tam tylko ten, którego okoliczności do tego zmuszają.

KRAMARZE SYBERYJSCY.

Kupiec w Syberyi, zamieszkujący większe lub mniejsze miasta, prowadzący handel na większą lub mniejszą stopę, nie wyróżniając się w niczem od innych kupców Rossyi europejskiej — stanowi typ tak powszechnie znany, tak szczegółowo i wszechstronnie opisany przez rosyjskich powieściopisarzy i autorów dramatycznych, że przedstawiać go byłoby powtórzeniem rzeczy wiadomych, a skręślonych nierównie lepiej i dokładniej, jak gdybym to był w stanie uczynić. Kramarz zaś, taki przynajmniej jak go chcemy naszkicować, jest to postać wyłącznie syberyjska.

Nie może tu być mowy również o owych odroślach miejskiego handlu, sklepikach pozakładanych w różnych gminach, staraniem zamożnych kupców; te bowiem, choć kramy, zarządzane i prowadzone bywają przez subjektów (prywatnych), postaci także znanéj ogólnie i kilkakrotnie opisywanéj.

Właściwy kramarz syberyjski jest najczęściej z bogactwem włościaninem, urlopowanym kozakiem, lub też zesłanym na osiedlenie przestępcą, który dorobiwszy się trochę gro-

sza, wkłada swój niewielki kapitał w handel, kupując w najbliższym miasteczku różne drobne przedmioty, i odprzedając takowe we wsi po cenach w dwójnasób zwiększonych. Przemysł ten, pomimo wielkiego procentowania się włożonych funduszy, nie przynosi dostatecznych dochodów; włościanie bowiem, wiedząc, że w miasteczku nabyć można lepszego i tańszego towaru, zwykle tam się zaopatrują we wszelkie niezbędne do życia potrzeby, a u kramarza kupują tylko wtedy, gdy im zabraknie zapasu, lub gdy zła droga, zatrudnienia gospodarskie, i inne jakiegokolwiek bądź powody nie pozwalają im udać się do miasta.

Kramarz zatem, oprócz handlu, ma zwykle inne jeszcze zajęcia. Jeżeli jest włościaninem, nie opuszcza swój roli, wyręczając się w sklepie żoną lub córką; a w czasie ważniejszych prac gospodarskich jak np. żniw i sianokosu, odkłada do swobodniejszej chwili wszelkie interesy targowe. Inni handlują zbożem, trudnią się rzezią bydła i owiec — inni nakoniec używają kramarstwa jako zasłony do pokrycia jakiego tajemnego przedsięwzięcia, niezgodnego z przepisami prawa karnego.

Wszystkie powyższe powody sprawiają, że ważna ta w życiu włościanina osobistość, przedstawia się zawsze jako starożytny Janus w dwulicowej postaci. Z rana, w długiej sukienniej kapocie, z miłym kupieckim uśmiechem na ustach, mierzy arsyznem płócienna, perkaliki, lub przeważa na szalach cukier, cedrowe orzeszki, machorkę, starając się przy lada sposobności oszukać na mierze lub wadze; wieczorem we włościańskim chałacie, z miną surową i poważną, przemieniony w urzędnika gminy, sądzi różne drobne przestępstwa. Jednego dnia jako rzeźnik skupuje w okolicy niezdrowe lecz tanie krowy; nazajutrz jako starszyna wsi wydaje energiczne rozporządzenia, zabraniające dla względów sanitarnych rzezi chorego bydła. Jeżeli jest urlopowanym kozakiem, lub zesłanym na osiedlenie przestępcą, dwulicowość ta w innej objawia się formie — w każdym jednak razie, dni świąteczne lub niedzielne przynoszą radykalną odmianę w domowym jego pożyciu: ktokolwiek widział kramarza syberyjskiego i jego rodzinę w dni powszednie, nie po-

znałby ich w święta — wszystko tam bowiem: żona, dzieci, otoczenie, sposób obejścia, zmienia się nie do poznania. Te same osoby, inaczej wtedy mówią, inaczej chodzą, inaczej wyglądają: jest to niby nagła przemiana dekoracji w teatrze.

Grigoryi Tarasicz Troszen, kramarz we wsi Bałachcie, piastuje zarazem wysoką godność gminnego pisarza. Wyjawszy kilku godzin przeznaczonych na zajęcia kancelaryjne, resztę czasu przepędza w swoim sklepie. Siedząc za stołem biurowym, podpisując rzemieślnikom lub też robotnikom ze złotych kopaliń, bilety do swobodnego wydalenia się w inne gminy, ma minę poważną, powieszchowność surową: widocznie czuje całą ważność zajmowanego przez siebie stanowiska, i umie wzniecić w otaczających go poszanowanie dla swojej osoby. Przy śledztwach wlepią w oskarżonego wzrok bystry, przenikliwy, wyradzający przestרח w najmniej nawet winnych — interesantów traktuje z góry — mało mówi, a gdy się odezwie, to zawsze w pićrwszej osobie liczby mnogiej. Przydomek „my,“ jakiego mówiąc o sobie używa, ma oznaczać połączenie w jego ręku wszelkich sprężyn władzy, której jest częstką, bierną wprawdzie, lecz z powodu ciemnoty rzeczywistych chłopskich urzędników — najważniejszą. Skończywszy swoje urzędowe zajęcia, zrzuca czarny surdut, przywdziewa kapotę — zmienia kaszkiet na okrągłą futrzaną czapkę — i z dygnitarza, staje się kupcem. Jakież on wtedy miły i słodki! jak wdzięcznie się uśmiecha, zachwalając swój towar! z jakim usłużnym pośpiechem podaje żądane przedmioty! Ten sam muzyk, który chwilę temu drżał przed olimpijskim spojrzeniem urzędnika, klepie go poufale w kramie po ramieniu, głaszcze po brodzie, pozwalając sobie w przyjacielskiej pogawędce różnych tłustych dowcipków i familiarnych przekleństw, tyle wdzięku mających wśród domowego pożycia syberyjaka. Grigoryi Tarasicz bynajmniej się o to nie gniewa; owszem, przyjmuje wszystko jako dowody życzliwości i przyjaźni — a on, który przed godziną jeszcze wyrzekł te pamiętne słowa: „w obec urzędu każdy winien być z uszanowaniem i pokorą“ mówi z umiżoną miną: „jam wasz sługa, rozkazujcie!“ — w jego bowiem ziemskiej

powłóce są dwa charaktery, dwie osobistości, rzekłbym nawet—dwie dusze, gdybym się nie obawiał naruszyć prawdy teologicznej.

Jeżeli ta postać zmienia się peryodycznie dwa razy dziennie, za to rodzina jego i otoczenie dokonywa przemian kameleona, tylko przy każdym święcie i niedzieli. W dniu powszednim cały dom Grigorego Tarasicza jest prosto domem kramarza; w uroczystości kalendarzowe staje się mieszkaniem dostojnej w gminie osoby. Począwszy od poniedziałku, pokoje bawialne (górnice) są szczelnie zamknięte, nikt do tego przybytku nie wchodzi, a całe życie domowe odbywa się w kuchni. Króluje tam despotycznie pani domu Mełania Ignatiwna, baba niezmiernie tłusta, czynna i swarliwa; wszystko co żyje podlega jój panowaniu: dzieci, parobcy, kucharka, drżą na dźwięk jój przeraźliwego głosu, który od świtu do zmroku rozlega się na podwórzu, w stajniach, oborach, i piwnicach. Mąż nawet, powróciwszy wieczorem z kramu, natula na uszy czapkę i cichaczem wnosi się pod strych na siano, a żeby w niefortunnej chwili nie oberwać jakiego szturchańca. Głównym siedliskiem despotycznej władzy wzorowej gospodyni jest wyżej wzmiankowana kuchnia; w téj pracowni skupiają się wszystkie działania domowego gospodarstwa—ztamtąd różnemi arteryami, jak po drutach telegraficznych, rozbiegają się w rozmaite zakątki i tajniki podwórza nieprzeliczone rozkazy i polecenia: są to prace niewielkie na pozór, ale ciągle, bezprzerwane. Od świtu do zmroku wszystko tam jest w ruchu. Zawodzą się kwasnie (ciasto na chléb), pieką kołacze, gotuje twaróg, zbija masło, przegotowuje kwas do picia. Dwie córki: Taissia i Tatiana biegają na wszystkie strony, bose, brudne, rozczochrane, nie mogąc nastarczyć zajęciom—starszy syn wozi wodę lub rąbie drzewo; młodszego, który co chwila dopuszcza się jakiego małego przestępstwa, to wykradając kurom świeżo zniesione jaja, to wybiegając na ulicę grać z innymi malcami w babki (rodzaj kregli), spotykają peryodyczne plagi. Wszystko tam wre, kipi, porusza się, żyje—a wszechwładna pani tych miejsc, poświęconych gospodarskim trudom, wyda-

jąc sama rozkazy, nie opuszcza na chwilę rąk swych bezczynnie; każdy szczegół skontrolowany przez nią, poprawiony, zmieniony, ulepszony, staje się jój własnym dziełem.

I trwa to wszystko od poniedziałku rano do soboty po południu. W sobotę gwar ustaje, błoga cisza zalega huczącą wewnątrzniem życiem miejscowość—z komina łaźni, zwykłe w głębi podwórza zbudowanej, buchają gęste kłęby dymu; i zaledwie ostatni odgłos dzwonu, zwiastujący zakończenie nieszpórów, przesłał mieszkańcom wsi pożegnanie kończącego się tygodnia, już wszyscy w domu kramarza prażą się w podniesionej nieledwie do stanu topienia się kruszców temperaturze. Po skończeniu téj próby ognia, którąby najwytrwalszy Europejczyk przypłacił co najmniej apopleksją—wychodzą z łaźni postacie czerwone, z ponsowemi twarzami, oblane potem, buchające parą, i wszyscy, przyjąwszy skromny posiłek, udają się na spoczynek.

Dzień, który potem następuje, jest dniem radykalnej przemiany. Dom ten sam, osoby te same, a jednak nieuprzedzony o zwyczajach syberyjskich przybysz, zawitawszy w te miejsca, nie poznałby ani domu, ani osób, ani obyczaju rządzącego przez cały tydzień tym małym światem. Po skończeniu nabożeństwa w cerkwi—szczelnie dotąd zamknięte salony kramarza stają otworem: są to pokoje obszerne, widne, z posadzkami froterowanemi, firankami u okien, portierami u drzwi—na stolikach i stoliczkach politurowanych stoją różne figurki porcelanowe chińskie, przed ikonem (obrazem świętego) w ryzie (połączanej oprawie) pali się lampa. Najparadniejsze miejsce na kanapie zajmuje Mełania Ignatiwna, w faldzistej atlasowej lub jedwabnej sukni, w czarnej kosynce (ubranii niewiast zamężnych) na głowie—córki jój wykrynolinowane, wytrefione, z ogromnemi pękami konopi przymieszanych misternie w sploty naturalnych włosów, przeglądają dla kontenansu obrazki pożyczonej od akeyznego urzędnika ilustracyi, których jako nieumiejące czytać nie wiele rozumieją. Grigoryi Tarasicz chodzi wzdłuż i wszerz gornicy, przystając co chwila, to przed zwierciadłem, które odbija jego święteczną fizyognomię, to przed

oknem. z kąd spodzięwa się ujrzeć nieuniknionych w tym dniu gości.

Wkrótce goście zaczynają się schodzić. Najprzód zjawia się pop z diakonem, dalej solny przystaw z żoną, dwaj pomocnicy gminnej władzy, propinator z rodziną, akcyzny urzędnik właściciel owęj ilustracyi, i jeszcze kilka mniej znakomitych osobistości. Wszyscy, oprócz akcyznego urzędnika, który tu uchodzi za uczonego i znającego świat człowieka—pomimo tego że się w każde święto widują, nadzwyczajnie są w obec siebie nieśmieli i zażenowani. Po zwykłych kolejnych przywitaniach rozmowa idzie tępo: o deszczu, pogodzie, sianożęciu, handlu, chorobach na bydło. Właściciel ilustracyi zbliża się tymczasem do panien, i zawiązuje rozmowę:

— Jakże wam się podobają ryciny?

— Nieszczęśliwe, bo wszystko tu zrobili czarno. Na obrazkach drzewa powinny być zielone, woda niebieska, a twarze różowe.

— Słyszycie batiuszka,—mówi pół-głosem Grigoryi Tarasicz do popa,—jak moja córka rozprawia o książkach? Nie głupia to dziewczyna!

Tymczasem zézowata kucharka Dunia roznosi herbatę, a akcyzny, niezrażony zwolennik sztuk pięknych, wzięwszy do ręki wiszącą na ścianie gitarę, brzdąka na nię kilka akordów, przypominających jakąś małosuską dumkę.

— Wy lubicie muzykę?... zapytuje znowu panien.

— Któżby ję nie lubił, szczególnięj gdy kto gra uczenie na armonicę, bo balałajek, za któremi chłopci przepadają, cierpieć nie mogę.

— Kiedy mieszkaliśmy w tomskiej gubernii,—rzecze żona propinatora, mieszając się do rozmowy,—słyszałam jak cyganie grali; ślicznięz to było! Wystawcie sobie, że jeden rzępolił na skrzypcach, drugi dał w trąbę, a trzeci znowu przebieirał palcami po jakięjs pizszcałce, i co powiecie? Wszystko to razem się składało, a jeden drugiemu w niczém nie przeszkadzał.

Mełania Ignatiewna tymczasem siedzi nieruchomie, niby posąg Buddy w pagodzie indyjskieję. Wysokie stanowisko, jakie w społeczeństwie zajmuje, wymaga tēj powagi—a przytém obcisły ubiór i botynki na nogach, tamują wszystkie jęj ruchy. Spoglądając co chwila na fałdującą się materę bogatęj sukni, rachuje upływające godziny, i tęskni za dniami mniej uroczystymi, w których będzie mogła powrócić do właściwęj sobie sfery.

Niestety! wielkości i zaszczyty tego święta ciężko nieraz opłacić należy. Tak niejedyn król na tronie, w purpurze i z berłem w ręku, wzdychał do chwili, w której, rzuciwszy dworski ceremoniał, będzie mógł rozerwać się z wesolymi ulubieńcami; tak i Mełania Ignatiewna, siedząc w niedzielę na kanapie, wystrojona, opięta, uwięziona w szerokieję krynolinie, wzdychała do owych dni swobody, oświetlonych jasnym blaskiem kuchennego ogniska!

Po uraczeniu się herbatą, podano zakąskę i wódkę. Mężczyzni na wezwanie gospodarza przybliżają się, od czasu do czasu, do stolika, wychylając maleńkimi haucściami pokrzepiającę napitek. Rozmowa, idąca zrazu tępo, urywkowo, zaczyna być coraz więcj ożywioną; twarze gości nabierają stopniowo rumieńca—akcyzny, który jako uczonej lubi podnosić kwestye najbliżęj z życiem ogółu związane, wszczął dyskusję o złodziejach i złodziejstwach. Z tego tematu, obrabianego na różne sposoby, wywiązało się wkrótce pytanie, czy zbrodniarze mają w swych rysach, fizyognomii, spojrzeniu, oddzielne cechy, wyróżniające ich od cnotliwych, czy tēz są we wszystkiem podobni do innych ludzi. Zdania były podzielone: jedni twierdzili, że natura napiętnowała już przestępcę jakąś wybitną cechą; drudzy przeciwnie dowodzili, że podobne wyróżnienia nigdy miejsca mieć nie mogą.

— Kiedy mieszkaliśmy w tomskiej gubernii—odezwie się żona propinatora, przywieziono tam na osiedlenie młodego człowieka, pięknego jak anioł. Istny gołubczyk: lat dwadzieścia trzy, włosy blond, oko duże, jasne, niebieskie — a uśmiech tak słodki, tak miły, tak ujmujący, że każdemu trařiał do serca. Cichy on był, skromny, łagodny, nikomu w drogę nie wchodził—każdy myślał, że on zesłany za jaką

drobnostkę, za jakie utajenie skarbowych pieniędzy, co przecież każdemu przytrafić się może... aż tu, wystawcie sobie nasze przerażenie, gdyśmy się dowiedzieli, że on poprostu był zabójcą!...

— Zabójcą?

— Tak jest, i to jednym z najgorszych. On był oficerem gwardyi... ze swoim łagodnym uśmiechem, ze swojemi błęd włosami, ze swojemi niebieskimi oczami, był to złoczyńca jakiego świat nie widział. Wystawcie sobie, wziął on dwa pałasze, dał jeden z nich koledze porucznikowi, wyszli za bramę miasta i tam... ale zgroza bierze pomyśleć o tém!.. nuże na siebie wzajemnie nacierać; i zarabiał biédnego porucznika na miejscu—a to wszystko, wystawcie sobie, aż przy dwóch świadkach!..

— Przy dwóch świadkach?

— Tak było, jak wam mówię. Złoczyńca, jakby na posmiewisko, praw ludzkich i boskich, wziął ze sobą dwóch świadków ażeby ci przypatrywali się jego krwiożerczym czynom! Powiedzcież sami, co to za wyrafinowana złość—i takiego rozbójnika, posłano tylko na osiedlenie: knut jemu, katorga, szubienica.

Nastała chwila milczenia. Każdy w duchu myślał, jakież to straszne potwory rodzą się czasami na tym bożym świecie!

Ale co tam! my już świata na lepszy nie przemienimy, chociażbyśmy nie wiem jak długo myśleli. Ot co?... daleko lepiej wypić.

Mężczyźni więc coraz częściej zachodzą do małego stoliczka, gdzie stoi wódka i zakąska. Kobięty przeszły znowu do drugiego pokoju: tam pod przewodnictwem gospodyni domu, która uznawała za stosowne poruszyć się nakoniec z kanapy, próbują różnych nalewek—rozmowa z ożywionego gwaru przechodzi w zmieszany chaos: słyhać tylko perodyczne frazesa, krzyżujące się wzajemnie pomiędzy sobą:

— Grigoryi Tarasicz!

— Aleksiěj Ewdokimowicz!

— Doléwajcie pełno!

— Kto żyje, ten pije.

Z drugiego pokoju dolatują także rozmaite urywki rozmowy:

— Agafia Warłamówna, nie róbcie ceremonii.

— Dalibóg, Melania Ignatiówna, więcej pić nie mogę.

— Kieliszek wasz dotąd pełny stoi..

— Kiedy mieszkaliśmy w tomskiej gubernii..

Akcyzny tymczasem brzdąka coraz zawzięciej na gitarze, nucąc półgłosem jakąś piosenkę: tu owdzie z różnych kątów zaczynają mu wtórować; stopniowo i kobięce dyszkanty łączą się z męzkimi basami — nareszcie wszystko zléwa się w jeden ogólny chór, i brzmi pieśń:

Wieczorem piękna dziewica

Nad ruczaj za stadem szła;

Czarnobrewa krasawica

Tak gęsi swoje gnała:

Tiega! tiega! tiega! tiega! tiega! (*)

Po tej piosence sielsko-sentymentalnej występują z kolei inne, więcej energiczne, np. o Wańce wesołym, o młodym oficerze i t. d. Wszystko to, przy coraz częstszych zaglądaniach do stolika z zakąską, zaczyna stopniowo się mieszać w różnorodne pot-pourri, niemające ani początku ani końca. Akcyzny, nie mogąc zapanować brzękiem swojej gitary nad ogólnym wrzaskiem, rzucił na kanapę niewdzięczny instrument, i wziął się do akompaniowania śpiewów, uderzając nożem po pustej szklance. Solny przystaw podryguje w kącie kozaka, przysiadając aż do ziemi—zawiazanie na nowo jakiegokolwiek rozmowy, jest rzeczą zupełnie niemożliwą. Jedna tylko żona propinatora, niezrażona żadnemi przeszkodami, zaczyna kilkakrotnie:

— Kiedy mieszkaliśmy w tomskiej gubernii..

Ale słowa jój nikną przygłuszone wrzawą.

W końcu tworzy się trudny do opisanego chaos: jeden zaczyna basem, drugi tenorem—ten gwizdże przeraźliwie, wło-

(*) Przyjęty w Syberyi sposób wołania na gęsi.

żywszy palec w usta, inny klaszcze w dłoń, ów podnosi poważne religijne pienia, drugi nuci skoczno go trepaka, a gospodarz, kompletnie pijany, biega za gośćmi, wołając na nich jak na gęsi:

— Tiega! tiega! tiega! tiega!

Co się dalej dzieje, nikt nie pamięta — a ci co pamiętają, nie chcą sobie przypomnieć; to tylko jest rzeczą pewną, że Grygoryi Tarasicz obudził się na zajutrz rano z ogromnym guzem na czole — solny przystaw z podsiniałym okiem, a obaj pomocnicy pisarza czują jakieś nieznośne, zapewne od reumatycznych bólów pochodzące, łamanie po kościach.

Zresztą wszystko powróciło do normalnego, zwyczajnego stanu. W poniedziałek trudnoby było poznać wczorajszego amfitryona, jego dom, rodzinę, otoczenie. Kramarz siedzi w sklepiku, uśmiechając się słodko do oberwanego muzyka, którego oszukał na kapijke — paradne pokoje szczelnie zamknięte, w zadymionej kuchni krzyczy i przewodzi Melania Ignatiwna — dwie wczorajsze elegantki, jej córki, biegają bosy do strumyka prać bieliznę, lub przygotowują w korycie strawę dla trzody chlewniej.

Uroczyste *wczoraj*, w niczem nie jest podobne do powszedniego *dzisiaj*.

Sic transit gloria mundi!

Powyższy typ handlującego i zarazem zajmującego się urzędową w gminie czynnością włościanina, jest jednym z najświetniejszych — inne otoczone bywają zazwyczaj tajemniczemi, a niedostępnymi dla każdego oka cieniami.

W urlopowanym kozaku-kramarzu, wszystko pokryte jest nieprzejrzanym mrokiem; przy każdej jego czynności możnaby położyć znak zapytania. A najprzód źródeł jego materialnych zasobów nikt nie zna. Wyszedł ze służby z trzema rublami w kieszeni, puścił się w daleką podróż, i powrócił po roku niebytności ze sporym zapasem biletów bankowych; zakupił różnych towarów, przeniósł się do ludnej wioski i założył kram.

Rozwoju jego handlu nikt obrachować nie może: nikt nie wie czy setki czyli też tysiące rubli są u niego w obrocie. Przymknięte zawsze okienice w sklepie, nie dają dokładnie

rozpoznać ani liczby ani jakości znajdujących się tamże przedmiotów; niektóre z nich ukryte w lochu nigdy nie widzą dziennego światła — inne stoją na widowni przez całe lata, a nikt ich z powodu wysokich cen nie kupuje. On sam jeździ do miasta i sprowadza z tamąd drobiazgi, których sprzedaż nie może mu powrócić nawet kosztów podróży — natomiast, czasami, w ciemną noc, zjawiają się u niego zupełnie nieznani ludzie, którzy wyładowują z kibitek mnóstwo ogromnych pak i ciężkich kufrów. Nie ufa najbliższym swoim sąsiadom, handlując z niemi nie chce i kapijki ustąpić, a pomimo tego pierwszemu lepszemu, szczególnież z odległych stron przybyłemu człowiekowi, przeda za pół darmo sztukę jedwabnej lub atlasowej materii, nie wiedząc jakim sposobem pojawiającej się pomiędzy drobiazgami kramarskiego handlu.

Jest on zazwyczaj ponury, mało mówny, z nawiedzającymi go opryskliwy. W dnie powszednie siedzi w kramie, paląc z krótkiej fajki cuchnący tytuń, w niedzielę i święta nie zaprasza gości ani też do nikogo nie chodzi w odwiedzinę, ale zamknąwszy szczelnie sklep, udaje się do najbliższego szynku, i tam, sam jeden, milcząc zawsze, upija się; nigdy jednak pijaństwo jego nie dochodzi do tego stopnia, aby nie był w stanie powrócić o własnych siłach do domu. Nocą strzeła czasami na wiatr ze starej rusznicy, aby, jak mówi, odstraszyć tym sposobem złodziei — sąsiedzi jednak twierdzą że po tych wystrzałach zjawiają się zawsze z pobliskich krzaków nieznanie nikomu indywidua, z którymi tajemne odbywa konferencye.

Urlopowany kozak-kramarz nie jest zwolennikiem stanu małżeńskiego, i w ogóle nikogo przy sobie nie trzyma, lecz sam całym swoim małym gospodarstwem zarządza; jeżeli jednak odstąpi od przyjętej zasady i ożeni się, to towarzyska jego życia zostaje najnieszczęśliwszą w świecie istotą. Bita od rana do wieczora w dnie powszednie, ma tylko niedzielę i święta do odemszczenia plag jakie codziennie odbiera — w tych bowiem dniach pijany kozak nie posiada odpowiedniej siły do odparcia sypiących się na jego

plecy razów nahajki. Etatowy tyran dni zwyczajnych, staje się ofiarą w każdą uroczystość.

Cieszy się on niezwykle przytém względami u władz gminnych: starszyna mówi do niego z uszanowaniem, dziesiętnicy są na jego usługi, a sam gołowa (wójt), uchyla zawsze czapkę przy spotkaniu się z nim. Rewizye jakie dosyć często w skutku różnych tajemnych doniesień, odbywają się w jego domu, są zazwyczaj czczą formą, nigdy bowiem niczego podejrzanego tam nie znaleziono. Czyli te względy wypływają z szacunku dla jego osoby, czyli téż z poważania dla jego rubli, dokładnie objaśnić nie umiem. Nikt we wsi go nie lubi, a wszyscy się obawiają: najbliżsi nawet mieszkańcy, którym zbyt często dokuczają, nie śmieją otwarcie podawać skarg na niewygodnego sąsiada, i ukradkiem tylko podburzają zwierzchność przeciw niemu. On sobie z tego wszystkiego nic nie robi: ufny w swoje materialne położenie, sięga zawsze w czasie chwilowych zatargów do kieszeni, i wydobywa ztamtąd gruby zatłuszczony pugilares, pełny bankowych papierów, będąc pewnym, że talizman ten zasłoni go od wszelkich nieprzyjemności.

Takim jest w ogóle urlopowany kozak-kramarz; jeżeli trafiają się wyjątki, to nader rzadko, kozacy bowiem syberyjcy są prawie wszyscy sztrafowani, to jest przesiedleni za różne występki z głębi Rossyi europejskiej w te stepy — a pomimo szumnych rozpraw niektórych filantropów, twierdzących, że ukarany przestępca może z czasem powrócić na drogę cnoty i prawości, przykłady wzięte ze społecznego życia, zupełnie czego innego dowodzą. Nic na świecie nie zawiera w sobie tyle prawdy, jak przysłowia ludowe; jedno zaś z najpopularniejszych powiada: „Czego się skorupka za młodu napije, tém na starość trąci.“

Prawda ta w większym jeszcze stopniu okazuje się przy bliższym poznaniu zesłanych na osiedlenie kryminalnych przestępców. Niektórzy z nich wprawdzie umieją tak zręcznie ukryć prawdziwy swój charakter, iż potrafią zdobyć sobie ogólny szacunek i poważanie, ale natura ich pozostaje zawsze ta sama. Kozak sztrafowany jest to człowiek prosty,

nieokrzesany, nieumiejący najczęściej nawet czytać i pisać; pomiędzy zaś skazanymi na osiedlenie, znajdują się często-kroć ludzie z średniem a nawet i wyższém wykształceniem: im zatem mniej jeszcze wybaczyć można.

Przybywszy na Syberję chwytają się oni różnych zajęć — zepsuci i zdemoralizowani do gruntu, lecz przywykli zarazem do fałszu i obłudy, umieją prawie zawsze utaić swoje zdrożności; a ogół, który niema zwyczaju zgłębiać charakterów, lecz sądzić z powierzchownych oznak, wierzy w ich enotę i uczciwość. Bardzo wielu z nich, wypruwszy z aresztanckiego chałatu nieprawym sposobem nabyte bankocetle, lub téż ożeniwszy się z zamożną Syberyjczką, obiera sobie jako punkt oparcia handel kramarski, mając przy tém na widoku jakie inne, bardziej korzystne, lecz mniej legalne zatrudnienie.

Jednego z takich ludzi jako typ kramarza-posiłekca, postaram się wam przedstawić. Arkadi Saicz Gubanow, już od lat dwudziestu kilku zesłany został na Syberję. Jakie było tego człowieka stanowisko w rodzinnym kraju, nikt nie wie; ale sądząc z jego obejścia się i mowy, widocznie otrzymać musiał średnie przynajmniej wychowanie. Ci co go w pierwszych chwilach przybycia na Syberję pamiętają twierdzą, że w swoim aresztanckim ubraniu wyglądał wówczas na przebranego eleganta stolicy. Ale od téj chwili upłynęło dwadzieścia kilka lat. Ówierć wieku życia w głuchej stepowej wiosce, pomiędzy nieokrzesanym ludem, musiało wpłynąć na zatarcie choć w części téj powierzchownej oglady, jaką się z początku odznaczał: z dawnych zabytków, pozostał tylko pewien odcień powagi, retoryczne zwroty wysłowienia się, i staranne unikanie wszelkich nieprzyzwolonych wyrażen i klątw w rozmowie. Rzadko się gniwał — doprowadzony do ostateczności wołał użyć pięści, niżeli grubego i nieestetycznego słowa.

— Bóg Najwyższy,—mawiał, nie szanując zwyczajem wszystkich kryminalnych przestępców drugiego przykazania—Bóg najwyższy dał tę broń naturalną człowiekowi, dla odparcia niesłusznej napaści; ale przekleństwo nie powinno

nigdy kalać ust, które w chwili modlitwy wymawiają święte imię Jego.

Gubanow w pierwszym roku po zesłaniu, ożenił się z córką miejscowego włościanina. Żona jego, jak wszystkie w ogóle syberyjskie dziewczki, była prostą, nieokrzesaną, i słynącą w młodości swojej z najgorszego prowadzenia się — w dodatku posiadała rysy twarzy mongolskie, i ogromny garb na plecach. Niedostatki te fizyczne i moralne nagradzał posąg pięćset rubli wynoszący, dany zięciowi przez bogatego ojca, za uwolnienie domu od próżnego ciężaru. Gubanow, jako człowiek doświadczony i wierzący jedynie w potęgę kruszcu, nie miał żadnych uprzedzeń: jedynym celem jego życia było zawsze wynalezienie punktu oparcia, a punktem tym stał się garb żony, opłacony sporą jak na jego położenie kwotą pieniężną. Zaraz też wziął się do handlu kramarskiego, a z upływającymi latami zasłynął w całej okolicy ze swój zamożności. Bogactwa jego i ten odcień powagi, jaki z dawnych lat umiał jeszcze zachować, zjednały mu powszechny szacunek i poważanie. Nic nie wywiera większego wrażenia na ludziach prostych nad jakikolwiekbyż pozór wyższości. W całej okolicy nie było człowieka, któryby nie odzywał się o nim z uwielbieniem; a jeżeli niekiedy podniósł się tu i owdzie szmer źle utajonej zawiści, to chwilowy ten objaw natychmiast przygłuszony został ogólnym głosem oburzenia przeciwko potwarzy.

Zasoby jego materyalne nadzwyczajnie szybko mnożyły się. Przy handlu drobiazgowym, który niewielkie daje zwykle procenta—gromadził on znaczne kapitały, a nikomu i na myśl nie przyszło, ażeby kramarstwo mogło być w jego rękach pokrywką innego, korzystniejszego, lecz nierównie mniej legalnego zajęcia. Był on uważany za nadzwyczajnie mądrego, a ta mniemana mądrość wszystko tłumaczyła.

Takim stał się Arkadi Saicz Gubanow w publicznym życiu: jakim zaś był rzeczywiście, zobaczymy.

Ażeby poznać dokładnie te tajemnice, zajrzymy w najdrobniejsze szczegóły domowych jego stosunków.

Wyborna się ku temu trafia sposobność.

Gubanow przez długi czas obywatel się bez przykaszczyka (subjekta handlowego), lecz przy coraz więcej rozszerzonej działalności i podwojonych zajęciach, uznał za potrzebne wyszukać sobie pomocnika. Z pomiędzy wielu kandydatów wybrał pewnego młodego człowieka, z dalekich stron pochodzącego, którego smutne wypadki zagnały w ten świat podbiegunowy.

Pan Karol M*** pochodził z zacnej rodziny, otrzymał staranne wychowanie, był cichy, skromny, łagodny w obęściu—a co najważniejsza, posiadał niczém niezachwiane zasady prawości i honoru. Sfera w jaką wchodził nie odpowiadała ani jego zdolnościom, ani też poprzednio zajmowanemu stanowisku, ale dawała kawałek chleba, którego gwałtownie potrzebował.

Przyjął więc z radością propozycję kramarza.

—Przestępując progi domu mojego,—rzekł ze zwykłą sobie powagą Gubanow,—stajecie się członkiem mojej własnej rodziny. Pomocnika w handlu zwykłym traktować jako syna, nigdy jako służącego. Mówiono mi żeście bogobojni: to bardzo dobrze,—cierpieć nie mogę ludzi, którzy nie oddają pokłonu świętym ikonom. Oddawszy Bogu, co jest boskiego, starajcie się wywiązać ludziom z obowiązków wdzięczności, jakie względem nich zaciągnęliście: być pilnym, wiernym, trzeźwym—a los wasz polepszy się. O wynagrodzeniu teraz nie jeszcze nie mówię; zastosowane ono zostanie do waszej pracy. W każdym razie nikomu dotąd w świecie nie dałem prawa do narzekania na mnie.

Uznawszy za stosowne wystąpić na wstępie z powyższą perorą, kramarz wprowadził go do swojego mieszkania.

Rodzina Gubanowa składała się z garbatą żoną, teraz już staruszką—trochę głuchą, trochę ślepą, cierpką w obęściu i niesłuchanie skąpą; jako też z trzech córek, z których najstarsza liczyła lat ośmnaście, a dwie inne w dzieciennym jeszcze pozostawały wieku. Do tego familijnego grona przypuszczoną była i Paraskowija służąca, trzydziestoletnia dziewczka: mała, gruba, krępa, z twarzą obrzydliwie zeszpeconą ospą, która ciąglem pochlebstwem, nadskakiwaniem i plotkami, umiała wkraść się w zaufanie tych ludzi.

Kramarz w stosunkach z rodziną swoją okazywał zawsze charakter nieugięty; wiedział on że najmniejsze ustępstwo z jego strony spowodowałoby anarchię, ale ponieważ zajęcia handlowe nakazywały mu często oddalać się z domu, władza jego była tylko czasową —zaledwie bowiem wyjechał, natychmiast rządy domu przechodziły do kądzieli.

Rejentką, stawała się wtedy najstarsza jego córka: ośm-nastoletnia Masza.

Była to dziewczyna rzadkiej piękności: jasna blondynka z dużemi niebieskimi oczami, wysmukłą postacią, o klasycznie regularnych rysach, stanowiła ona typ jakiego poszukują malarze do wyobrażenia Magdaleny pokutującej. Jeżeli jednak Maszę można było przyrównać do Magdaleny — to nigdy ostatni przydomek zastosować się do niej nie dał.

Była ona zepsutą do gruntu.

Tak zepsutą — jak zepsutemi stają się te dzieci pustyni, gdy zstąpią na pochyłość prowadzącą do upadku.

Ojciec wiedział dobrze czém była jego córka, ale milczał. Na cóż próżne wyrazy? one nie przemienią szkła w dyament; a zresztą w przekonaniu handlarza taki stan rzeczy nie był bez pewnych materyalnych korzyści.

Poznawszy tę zacną rodzinę, przestąpimy wraz z panem Karolem M*** progi jój domowego przybytku.

— Oto jest mój nowy przykaczyk, — rzecze Gubanow, wszedłszy ze swoim pomocnikiem do izby: — żądam żebyście miały dla niego względy, poważanie, dobrze go karmiły, i uważały za członka rodziny.

Staruszka zlązła z pałaty, podeszła do nowoprzybyłego, obejrzała go ze wszech stron przygastém okiem, i oddaliła się do swego legowiska mruczając:

— Przykaczyk, na co?... Alboż nie dosyć swoich gęb mamy do żywienia, żeby jeszcze cudzych ludzi z końca świata sprowadzać... Objé nas ze szczętym.

— Cicho babo, nie warcz! — krzyknął kupiec — a nie rachuj kawałków mięsa, które będzie kładł do gęby, jak to macie zwyczaj czynić. Ja nie lubię żeby moi ludzie cierpieli głód.

Masza zajęta przedzeniem, spojrzała na nowo przybyłego swojemi jasnemi oczami, i zaczęła coś szeptać z kręcącą się po izbie ospowatą dziewczką; kupiec oddalił się do kramu — pan M*** usiadł smutnie na ławce.

Wstęp nie był zachęcającym.

— A umiesz ty co przynajmniej? — mruknęła z pałaty staruszka, — wiesz jak się z końmi obchodzić, jak drzewa narażać, jak siana w lesie nakosić: bo wy z cudzych stron przybysze, to zwykle do niczego tylko do jedzenia.

— Ja przyjęty zostałem na przykaczyka, nie za parobka.

— Przykaczyk! patrzajcie co jemu się zachciewa: może tylko w sklepie siedzieć, oszukiwać nas na sprzedaży, napychać się jadem, i spać w pałacie?

— Zamknijcie raz przecie gębę mamó — przerwie Masza — nie należy od początku odstręczać młodego człowieka: może wszystko będzie dobrze. A teraz czas wziąć się do jedzenia.

Zastawiono miski z jadem. Masza która w domowém gospodarstwie używała wszelkich prerogatyw samowładnego zwierzchnictwa, posadziła pana M*** przy sobie, nakładała mu na talérsz najlepsze kawałki — słowem rozciągała nad nim opiekę, jakaby mogła dać otuchę znośnej przyszłości nowoprzybytemu, gdyby te względy nie miały innego źródła, niżeli społeczenie i litość.

Ro skończonym obiedzie, pan M*** zastąpił kupca w kramie. Nauka sprzedaży nie była zbyt trudną: po kilku słowach objaśnienia danych przez Gubanowa, nowy przykaczyk pełnił swoje obowiązki z równą wprawą, jak gdyby przez całe swe życie nigdy nie innego nie czynił. Ceny nie ledwie podwójnie nałożone na towar przez handlarza, należało jeszcze przy zacenieniu podnieść, a potem spuszczać po kilka kopiejek, sprzedać jak się da najwyżej. Kredyt dla miejscowych mieszkańców był zawsze otwartym; rzadko kto płacił gotówką, zapisywano tylko nazwisko dłużnika, a odebranie należności zostawiał sobie sam pryncypał.

W téj gałęzi przemysłu, nikim się on nie miał zwyczaju wyręczać.

Gdy nastał wieczór, zamknięto sklep, a kramarz wypro-

wadziwszy swego pomocnika na dwór przed drzwi domu, rozłożył na deskach wystawki siennik, i rzekł:

— Teraz czas udać się wam na spoczynek: wyczasować, a jutro rano wstać.

Pan M*** spojrział na niego z zadziwieniem:

— Jakto? tu mam spać na dworze?

— A gdzie myśleliście? przykazcyk zawsze powinien pilnować sklepu: taki jest zwyczaj powszechny... Ale, zapomniałem dodać, nie należy spać bardzo twardo; złodzieje są przebiegli. A ot pistolet nabity: dobrej nocy.

Biédny młodzieniec przez całą noc oczów zmrużyć nie mógł: mróz silnie dokuczał, a chociaż go przykryto trzema kożuchami, nieprzyzwyczajenie do podobnego rodzaju noclegu, spędzało sen z klejących się od znużenia powiek.

Ale on dał sobie słowo cierpieć, znosić wszystkie przykrości, i nigdy się nie użalać. Wszakże należało okupić małemi ofiarami tak świetny los jaki go spotkał, a którego mu powszechnie zazdroszczono.

Nie będę opisywał szczegółów pierwszych dni pobytu pana M*** u kramarza — podobne one były jeden do drugiego: przez cały dzień w sklepie, przez całą noc na mrozie; żył on aby żyć, mało mówił, wypełniał ściśle wszelkie polecenia swojego pryncypała, modlił się gorąco do Boga, a w cichości ducha porywał myśl swą w odległe strony, gdzie żyła jego biédna, osierocona po stracie syna matka.

Do mrozu nocnego i niewygód powoli przywykł, gdyż konieczność może człowieka przyzwyczać do wszystkiego — i byłby jeżeli nie zupełnie zadowolonym ze swego losu, to przynajmniej spokojnym, gdyby nie jedna okoliczność wpływająca przeważnie na położenie jego w tym domu.

Wspomniałem o charakterze i obyczajach najstarszej córki kramarza Maszy. Otóż przy takim usposobieniu z jednej strony, a wstępie do wszystkiego co niskie i plugawe z drugiej, nie mogło nie przyjść do objaśnień, których skutkiem było obrażenie miłości własnej, zbyt dotąd łaskawej dla niego piękności.

Czém się zaś staje obrażona miłość własna kobiety, wiedzą

wszysey. Syberyaczki nie stanowią pod tym względem wyjątku od ogólnej reguły.

Odtąd zaczęto go systematycznie prześladować na każdym kroku, w każdej chwili, przy każdej sposobności. Naprzód próbowano oczernić jego charakter w oczach pryncypała, lecz przebiegły Gubanów wiedział czego się trzymać: znał on dobrze córkę, zrozumiał prawosć swojego pomocnika, i nie dał wiary potwarzom. Widząc że to nie skutkuje, podrzucano tajemnie kilka łokci sukna pomiędzy manatki ofiary; a Masza zaprowadziwszy ojca w kąć izby gdzie była złożona cudoba biédaka, przedstawiła z tryumfującą miną ów przygotowany przez siebie „corpus delicti“ jako dowód niesumienności nowego przykazyka.

Gubanow wrzucił tylko ramionami, a potem zgromił surowo podstępna dziewczynę.

Wtedy nieublagana nieprzyjaciółka widząc że wszystkie użyte sposoby w celu zaszkodzenia panu M*** w opinii kupca pozostają bez skutku, rozpoczęła cwał wojnę podjazdową, ciągle, bezprzesanną, niedającą chwili wytchnienia.

Zaledwie młody człowiek ukończywszy ranne zajęcia, przybył do izby na śniadanie, sypnęły się przekąsy, wydrwiania, grubiańskie szyderstwa, skierowane już to do jego podartego odzienia, już wreszcie do zbytniego niby apetytu.

— Ten żarłok nas ogłodzi — patrz no Paraskowija, już czwarty kawałek mięsa pakuje do gęby; lepiej by go umieścić w chlewie, i dawać pomyje jak trzodzie.

Stara matka leżąca wiecznie na pałacie, i przytakująca we wszystkiem swój córce, wtorowała niby odzywające się z góry echo tém prześladowaniem.

— Słusznie mówisz Masza — obję nas ze szczeniem.

Małe dziewczynki podmówione przez siostrę, przynosiły wywleczone z kątów stare kości, i podawały mu różne ochłapy, mówiąc:

— Na, masz!... może i to zjiesz także?

Paraskowija śmiała się do rozpuku z tyle dowcipnych żarcików.

Innym znów razem zniszczony długą podróżą chałat pana M***, stawał się celem przekąsów.

— Co to za wstyd,—mówiła Masza—takiego oberwańca trzymać w domu: i to chce być przykazykiem! Lepiej by jemu wziąć kij, torbę, chodzić od chaty do chaty i wołać płaczącym głosem: „matuszki, batuszki, sotworitie światuju miłost’.“

— Jeszcze nas zapługawi robactwem,—odzywał się głos staruszki z pałaty.

A małe dziewczęta wtykały prześladowanemu kawałki papieru lub drzazgi drzewa w rękę, mówiąc:

— Masz grosz dziadku — pokłoń się za nas świętym ikonom!

Paraskowija kładła się na ławce od śmiechu.

Biędny młodzieniec, ofiara tych prześladowań, cierpiał i milczał. Czasami tylko gdy szyderstwa i grubiaństwa dochodziły do najwyższego stopnia, spojrział mimowolnie na wiszący w końcu izby obrazek niekształtnie malowany, a przedstawiający Józefa i Putyfarę. I on podobnie jak ulubieniec Faraona, prześladowany był za niewinność i cnotę.

Zawzięta w swą nienawiści Masza, widząc, że wszystkie jej pociski obijają się o skałę obojętności, wziętej przez nią na tortury ofiary, zajęła się wyszukaniem innego punktu wyjścia, jakiej słabiej strony w którą by mogła ugodzić ze skutkiem.

Po wielu bezskutecznych usiłowaniach, trafiła wreszcie na miejsce drażliwe, domacała się niezagojonej jeszcze rany.

Cała jego przeszłość, nawet uczucie czystej synowskiej miłości, jakie zachował w sercu swém dla nieszczęśliwej osamotnionej matki, nie znalazło politowania w rozbestwionej wściekłości tej jędzy.

Młody człowiek dotknięty do żywego, podniósł głos oburzenia: powstał krzyk, wrzask, zamieszanie: Masza i Paraskowija chwyciły za szczapy, pan M*** za kij — staruszka jęła wołać o pomoc, przybył sam kupiec, a zbadawszy o co rzecz idzie, wyłajał córkę, wybił służącą, pogroził żonie, i zaprowadził chwilowy porządek. Ale pan M*** czuł bardzo dobrze, że tak dalej być nie może; wiedział z doświadczenia, że z oddaleniem się pryncypała, powstrzymane na czas niejaki prześladowania wybuchną znowu z podwójną wściekłością.

Gubanow mając sobie przedstawioną rzecz całą, zastanowił się głęboko, i rzekł:

— Niema na to innego sposobu, tylko muszę zmienić wasze zajęcia. Odtąd będziecie jeździli ze mną dla zakupu towarów, i dopomagać mi w handlu po wioskach.

Młody człowiek przyjął z radością powyższą propozycję: onby przystał na wszystko, aby tylko mógł oddalić się od domowego piekła, w które popadł tak niefortunnie.

Odtąd zaczęło się dla niego nowe życie: życie ciągłej pracy, niewygód i trudów. Cały dzień na mrozie, często bez posiłku—spać musiał na saniach, odpowiadać za wszystko: za uszkodzenie towaru, za zdrowie koni, za bezpieczeństwo przed złodziejami, za życie pijanego częstokroć pryncypała.

Ale nigdy nie narzekał.

Kramarz, widząc jego wytrwałość i cierpliwość, coraz więcej od niego wymagał. Gdy podróż po wioskach nie miała miejsca, pod pozorem oddalenia od ogniska swarów domowych, używał go do najcięższych robót. Musiał w miejsce odprawionego parobka jeździć po drzewo, po siano, po wodę—drwa rąbać, zboże młócić.

Mijały miesiące, kwartały, pan M*** upadał w pracy; a przecież o należnej za podjęte trudy zapłacie, nigdy mu nie było.

Jeżeli napomknął kiedy o swoich potrzebach—przebiegły spekulant odpowiadał nieodmiennie:

— Czegóż chcecie: butów? kozucha?... ja wam tego wszystkiego mogę na jakiś czas pożyczyć. Gotówki nie dają bo i na cóż wam pieniądze, kiedy macie wszystko? rozeszłyby się one tylko pomiędzy ludzi, i niczego byście wychodząc odemnie nie posiadali. Bądźcie jednak pewni, że ja umiem ocenić takich ludzi jak wy, i że przy rozstaniu się naszym, szczerze was wynagrodzę.

Nie było co mówić—pan M*** pracował dalej, a kupiec śmiał się w duchu z jego łatwowierności.

U Gubanowa znajdowało się jeszcze jedno indywiduum, o którym zapomnieliśmy nadmienić. Był to staruszek cichy, ksromny, mało mówiący i zawsze ponury. Przed laty wy-

cierał się podobno po różnych gminnych urządach i asesorskich kancelaryach, lecz wszędzie go wypędzano z powodu zakorzeniałego nałogu pijaństwa. Tak upłynęło całe jego życie, a gdy przyszła starość, ujrzał się bez kawałka chleba, w dziurawym i polatanym surducie, który stanowił całe wspomnienie administracyjnej jego przeszłości. Długa praktyka czynności pisarskich sprawiła, że się wprawił znakomicie w kaligrafię. Umiał on wypisywać tytuły aktów z różnemi esami i floresami, cieniować początkowe litery, i naśladować wszelkie rodzaje pisma z niezwykłą dokładnością. Tak wysoko posunięta kaligrafia sprawiła, że w Syberyi uchodził za uczonogo. Od dwóch lat przeszło, kramarz przyjął go do swego domu, żywił, przyodziwał; i nie tylko nie dawał mu żadnej roboty, ale okazywał się nader względny na jego nałóg. Dwa razy w tydzień przynosił mu sam kilka sztołów wódki, zamykał na klucz w stancyjce pod strychem, a starowina spijał się tam do upadłego. Gdy wytrzeźwiał, wypuszczano go na wolność, a wtedy już pod żadnym pozorem nie wziął do ust kieliszka wódki. Gubanow mówił, że ten starzec jest jego dalekim krewnym, że go przyjął z miłosierdzia, ale zawsze niechętnie dotykał w rozmowie tego przedmiotu.

Jak już wyżej powiedziałem, upływały tygodnie i miesiące, a przykazczyk do najcięższych używany posług, wolał znosić największe trudy, niżeli powrócić do pierwotnego położenia.

Pomimo nawału zatrudnień, ktoremi był ciągle od świtu do ciemnej nocy zarzuconym, mieszkając tak długo w domu kramarza, niepodobna mu było nie zwrócić mimowolnie uwagi, na pewne okoliczności, jakich sobie w żaden sposób wytłumaczyć nie umiał.

I tak naprzykład uważał, że milczący staruszek zamykał się częstokroć po całych godzinach z Gubanowem, który w takich chwilach nikogo nie przyjmował, nawet dłużników z pieniędzmi przychodzących.

Okoliczność powyższa zastanowiła go nadzwyczajnie.

Czasami w nocy, gdy silniejszy jak zwykle spędził sen z jego powiek, ujrzał błyszczące światelko, przedziéra-



Oto jest rubli srebrem 300, — dodał wyjmując spory pakiet nowych zupełnie papierów bankowych; pojedziecie o osiemdziesiąt wiorst ztąd do jurt inorodców, i wypłacie Tatarom, których nazwiska tu wypisałem, należność za wzięte przezemnie skóry i wołjoki.

jące się przez szpały Jokiennicy małej izdebki, którą tajemniczy człowiek miał przeznaczoną na mieszkanie.

Widocznie staruszek, który napozór nie zajmował się niczem, miał sobie powierzone jakieś ważne zatrudnienia.

Pan M*** nie lubiący w ogóle mieszać się do cudzych interesów, nie starał się nigdy zgłębić owęj zagadki, i zapewne do końca bytności swojej u kramarza, nie byłby poznał tajemniczój strony jego życia, gdyby tenże swoim postępowaniem nie nadał sam nowego obrotu wypadkom.

Gubanow od niejakiego czasu, starał się widocznie ująć swojego przykazczyka. Wprawdzie położenie biédaka nie polepszyło się bynajmniej, bo Syberyjczyk gdy pragnie kogo zobowiązać, szczodrym jest tylko w słowach i zapewnieniach; żadne jednak względy nie są w stanie zniewolić go do udzielenia pomocy, do osłodzenia przykrego położenia, do wypuszczenia z ręki miłego grosza. Młodzieniec męczył się jak przedtém w ciężkiej pracy: wozził siano, rąbał drzewo, oprzątał konie i bydło, sypiał na dworze— a różnica jaka zaszła we wzajemnych ich stosunkach, zależała jedynie na tém, że kupiec coraz więcej wychwalał jego uczciwość, trzeźwość i dobre prowadzenie się.

On zaś uszczęśliwiony z podobnego usposobienia pryncypała, brał się z podwójną usilnością do roboty, nie przezuwając, że taktyka ta miała swój cel tajemny.]

I rzeczy były na tym stopniu, kiedy pewnego poranku Gubanow wezwał swojego pomocnika do siebie.

— Karol Leopoldowicz,— rzekł do wchodzącego: od kilku miesięcy uważam wasze postępowanie. Jesteście człowiekiem prawym i uczciwym— a takich ludzi bardzo mało jest u nas.

Pan M*** skłonił się tylko w milczeniu.

— Roboty, któremi dotąd u mnie zajmowaliście się, nie są dla was stosownemi; przyszedł czas dać wam dowód nieograniczonego zaufania, jakie w rzetelności waszój pokładam. Jako człowiek prosty i szczery, nie lubiący fałszu i wykrętów, przystępuję bez ogródki do rzeczy. Dotąd nie mogąc rachować na nikogo, skutecznie sam liczne wyplaty w moim handlu; dziś na was tę czynność zdaje; bę-

dziecie więcej jak prostym przykaczykiem, będziecie moim kasyerem. Oto jest rubli srebrem 300,—dodał wyjmując spory pakiet nowych zupełnie papierów bankowych,—pojedziecie o osmdziesiąt wiorst ztąd do jurt inorodców, i wypłacicie Tatarom, których nazwiska tu wypisałem, należność za wzięte przezemnie skóry i wołjoki. Weźcie nadto i tę formę pokwitowania, jakie odebrać się wam od nich należy.

Pan M*** oniemiał z zadziwienia.

Czyliż to podobna? Kupiec, który nikomu na świecie nie wierzył gdy szło o pieniądze, który niespokojnym był gdy chodziło o jedną kopiejkę, wysuwającą się z pod jego podejrzliwej kontroli, mógłże względem niego jednego zmienić tak nagle sposób postępowania?

To było nienaturalnym.

— Dziękuję wam za położone we mnie zaufanie,—odrzekł po chwili,—ale podjąć się tej wypłaty nie mogę.

— A to dla czego?—zapytał kupiec z widocznym niezadowolaniem.

— Bo zbyt wielką na mnie kładziecie odpowiedzialność. Gdybym tę summę przypadkiem zgubił, lub gdyby mi ją ukradziono, nie byłbym nigdy w stanie wypłacić się wam.

— Niech taka drobnostka was nie odstręcza. Mam przekonanie, że będziecie się starali wszelkimi siłami ochronić mnie od szkody; gdyby jednak pomimo całej waszej ostrożności, nastąpiło to czego się obawiacie, to i w takim razie ani odpowiadać będziecie za mimowolną stratę, ani też stosunki życzliwości jakie pomiędzy nami istnieją, nie doznają żadnej zmiany.

Tu już zadziwienie jakiego doznał pan M*** przeszło wszelkie granice.

Znając od tyłu miesięcy kramarza, zbadawszy jego podejrzliwość we wszystkim, jego przesadzoną ostrożność na każdym kroku, nie mógł pojąć ani zrozumieć tego nagłego przeskoku z śmiesznej częstokroć nieufności do nieograniczonego zaufania.

Przypomniał sobie, że przed kilkoma jeszcze dniami, gdy przy porachunku należności za sprzedane towary, zaszła

pomyłka o pięć kopiejek — podejrzliwy kramarz nie dał mu chwili spokojności: badał, rachował na szcztach — znowu badał, znowu rachował; i nie pozwolił udać się na spoczynek, aż wtedy, gdy zakwestyonowane miedziaki, znalazły się w skórzanym trzosiu Gubanowa, gdzie je sam poprzednio przez roztargnienie włożył.

Zkądże tak nagle przemiana?

Nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego co zaszło, pan M*** jeszcze raz i to stanowczo odmówił, niezważając na wzrastające niezadowolenie pryncypała.

Pozostawszy sam ze swojemi myślami, zaczął zastanawiać się nad tém wszystkim. Jakaś nieokręslona obawa ogarnęła jego umysł. Czuł on instynktowo, że to co go spotkało jest nienaturalnym, a ta nienaturalność właśnie, której w żaden sposób ani określić, ani zrozumieć nie umiał—niepokoiła go. Przyszła mu na myśl tajemnicza postać i zagadkowe położenie staruszka, owa niewytłumaczona uległość jakiej Gubanow, względem tego niczém na pozór nie zajmującego się człowieka, dawał dowody — i zapytał sam siebie, czyli te rozmaite okoliczności nie mają pomiędzy sobą jakiego związku.

Powodowany nie tyle prostą ciekawością, jak raczej chęcią wyjścia z dwuznacznego położenia, postanowił zgłębić tę tajemnicę.

Gdy raz wstąpił na drogę obserwacji, wszystkie szczegóły na pozór nic nie znaczące, niepojęte prawie, uderzyły jego umysł, przekonywając o istnieniu jakiejś tajemnicy, którą przed nim starano się ukrywać. Były to wprawdzie drobnostki: jedno znaczące spojrzenie wymienione pomiędzy staruszkiem a kupcem, jeden cichy szept lub znak niezrozumiały; ale wszystko to razem wzięte, grupowało się w rozbudzonej podejrzliwości wyobraźni, tworząc najróżnorodniejsze domysły.

Kilka tygodni tak minęło, a postać rzeczy nieulegała żadnej zmianie. Pan M*** oddając się z podwójną usilnością nałożonej na niego ciężkiej pracy, chciał odzyskać dawną spokojność, lecz to było niepodobieństwem. Wzbudzone podejrzenie wprowadziło go w jakiś stan gorączkowy: ludzie

z którymi przymuszony był mieć ciągle stosunki, stali się dla niego nieznośnymi, trudy i praca niewdzięczną, a atmosfera w jakiej żyć mu przyszło ciężką i duszącą.

Nie wiem już do czego by go taki stan doprowadził, gdyby nie zaszedł wypadek, nadający inny obrót całej postaci rzeczy.

Pewnego wieczora, pan M*** pomimo utrudzenia nie mógł długo usnąć. W położeniu w jakim się znajdował, podobna bezsenność była stanem bardzo naturalnym. Wszyscy nieszczęśliwi znają dobrze wartość owego orzeźwiającego duszę spoczynku, pozwalającego zapomnieć na chwilę o troskach i cierpieniach codziennego życia; ale jakże trudno częstokroć znaleźć w sennym zapomnieniu pociechę temu, kto ma ciągle na myśli i swoje i drugich nieszczęścia!... Nadto pan M*** oprócz moralnych powodów, cierpiał jeszcze i fizyczne dolegliwości: ostry, mroźny wiatr dokuczał niemiłosiernie, a płaty śniegu niesione zawieją, obsypywały co chwila twarz jego zimnym całunem.

Gdy tak leżał na schodach wystawki domu kramarza, którego majątku i bezpieczeństwa zmuszony był niby pies domowy pilnować — zdawało mu się, że słyszy jakiś szmer w wozowni. Szmer ten zrazu niewyraźny, pomieszany z świstem nocnego wichru, coraz lepiej, w miarę natężenia słuchu, dał się rozeznawać.

W wozowni stały upakowane sanie, któremi Gubanow miał nazajutrz udać się w podróż za kupnem towarów.

Myśl że do tych sani zakradli się złodzieje, uderzyła go na wstępie — opatrzywszy więc pistolety, które miał zawsze w nocy pod ręką, podkraść się cicho pod ściany budynku.

Przez szczeliny wrót przezierало małe światełko.

Pan M*** przyłożył oko do szpary, i starał się zobaczyć co się tam dzieje.

Z początku bladeś światła wychodzącego z zakopconej latarki, nie pozwoliła mu rozróżnić przedmiotów; wkrótce jednak, przyzwyczajwszy stopniowo wzrok do panujących tamże półcieni, ujrzał dwie postacie ludzkie nachylone nad powózką.

Już miał nagle otworzyć wrota, od których klucz posiadał, i rzucić się z bronią w rękę na mniemanych złoczyńców, gdy jeden z nich wyrzekł cichym głosem kilka słów do swojego towarzysza.

Na dźwięk tego głosu, ręka młodego człowieka opadła bezwładnie ku ziemi.

Był to głos jego pryncypała... Gubanowa!

— Dobrze, — rzekł kramarz: — wszystko jest w porządku. Myśl to wcale niezła umieścić papiery w takim miejscu, że na przypadek rewizji można się wyprzeć ich posiadania, i powiedzieć że one zostały podrzucone.

— Zawsze lepszą była pierwsza myśl wasza, — odezwał się z cicha znajdujący się z kupcem człowiek.

! Pan M*** poznał w nim zagadkowego starca.

— Tak jest, ale ten głupiec nie chciał na żaden sposób podjąć się wypłaty.

— Może się czego domyśla?

— Bynajmniej, uczynił to z przesadzonej uczciwości. Każdy inny byłby przyjął propozycję; bardzoby mnie ucieszyło, gdyby się przytem trochę i obłowił bumażkami.

— Rozumiem, wtedy byłby naszym.

— I tak, prędzej czy później musi być w ten interes wieszonym. Mam swój plan. Na przypadek rewizji włożę maszynkę i farby pomiędzy jego manatki, i tym sposobem albo będzie musiał odpowiadać za wszystko, albo też, i to rzecz pewniejsza, bogaci jego współtowarzysze złożą się na wykupienie kolegi.

— Wybornie pomyślane.

— Od czego głowa. Ale byłbym zapomniiał spytać, gdzie ukryłeś maszynkę i farby?

— Od ogrodu, pod podwaliną ściany, w rogu przytykającym do stajni.

— Miejsce niebezpieczne.

— Niema innego, w izbie tego trzymać niepodobna.

— Niech i tak będzie, zresztą za powrotem moim obmyślę inną kryjówkę.

Wyrzekłszy te słowa, Gubanow wraz ze swoim towa-

rzyszem wyszli z wozowni małemi drzwiczkami, łączącemi ten budynek z domem mieszkalnym.

Biédny przykaczyk, powróciwszy na schody wystawki, położył się na swém twardém posłaniu, lecz nie mógł już przez resztę nocy oczów zmrużyć.

W istocie miał wiele do myślenia!

Z rozmowy powyższej widział, że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo, ale jakiego rodzaju ono być mogło, w żaden sposób odgadnąć nie zdołał. Czuł się w położeniu owadu, otoczonego dokoła wiotką napozór siecią pajęczą, tamującą jego ruchy, oddzielającą go od reszty świata, zagrażającą utratą życia, a przecież zaledwie dojrzaną okiem.

Jak się wyplatać z owój sieci, jakimi środkami uniknąć ukrytego ciosu? Myśląc tak i dumając, przypomniał sobie wyrazy wyrzeczone przez tajemniczego starca:

„Od ogrodu, pod podwaliną domu, w rogu przytykającym do stajni.“

Nie należało wahać się; w ostatecznościach trzeba działać szybko, chcąc uprzędzić wypadki.

Od postanowienia do czynu niedaleko. Nasz młody znajomy zerwał się ze swego miejsca; a podszedłszy najprzód cichym krokiem pod okno mieszkania kupca, a następnie pod drzwi izdebki, zajmowanej przez jego starego wspólnika, przekonał się że oba, znużeni nocną wycieczką do wozowni, spali tak twardym snem, jakim śpią zwykle ludzie cnotliwi i syberyjscy zbrodniarze, nieznający czem są wyrzuty sumienia.

Gdyby miał w tym względzie najmniejszą wątpliwość, to głośne chrapanie, które w obudwóch izbach usłyszał, byłoby dostatecznym dla przekonania go o niemożliwości przeszkody z tej strony.

Nabrawszy pewności, że ani kramarz, ani jego przyjaciel nie obudzą się tak prędko, wyszukał żelaza do rozlamywania lodu służącego, i poszedł na miejsce wspomniane w rozmowie.

W ogrodzie przy węgle domu przytykającego do stajni

usiadł na ziemi, i zaczął powoli rozgrzebywać śnieg. Śnieg w tém miejscu był miękki i niezupełnie zmarznięty, widocznie niedawno go poruszono.

Po półgodzinnych usiłowaniach natrafił na przedmiot twardy: była to niewielka drewniana skrzyneczka.

Wyjawszy ją ostrożnie z pod warstwy śniegu, uniósł ze sobą, i obwinawszy starannie w kożuch, ukrył pod schodami wystawki.

Nazajutrz gdy kupiec wyjechał, a wszyscy w domu jeszcze spali, pobiegł do gaju sosnowego, znajdującego się opodal wioski, z tajemnym przedmiotem pod pachą.

Zaczęło świtać.

Z bijącym od wewnętrznego wzruszenia sercem, podjął drżącemi rękami wieko skrzyneczki.

Wewnątrz niej znajdowały się farby, pędzelki, pieczęcie, czcionki drukarskie, i żelaza podobne formom kucharskim do rebienia wafli służącym; niektóre z czcionek złożone były w parę słów i ściśnięte w śrubach.

Pan M*** zabrał się do przeczytania tych wyrazów.

Były one następujące:

„Jeden rubel srebrem.“

„Pieć rubli srebrem.“

„Dziesięć rubli srebrem.“

W jednej chwili tajemnicza zasłona spadła z oczu młodego człowieka; niepojęta dotąd zagadka rozwiązała się, a ohydna, odrażająca rzeczywistość, stanęła przed nim w całej swojej nagości.

! On żył pomiędzy fałszerzami biletów bankowych!

Przypomniał sobie wszystkie okoliczności, których dotąd pojąć nie zdołał.

Dając mu polecenie wypłacenia Tatarom znacznej sumy pieniędzy fałszywemi biletami, chciano go bezwiednie zaciągnąć do zbrodni, zrobić wspólnikiem podłości; a w razie wykrycia występku, zwalić na nieszczęśliwego cały ciężar hańby, potępienia i zasłużonej kary.

Na tę straszną myśl zadrżał jak człowiek, który idąc na oślep przez nieznanne manowce, widzi nagle odkrywającą się pod jego stopami bezdenną przepaść.

Jeden krok dalej, a wszystko stracone.

Następne wypadki łatwo przewidzieć.

Korzystając z pory, w której wszyscy mieszkańcy wioski pogrążeni byli jeszcze w spoczynku, pan M*** powrócił, a zakopawszy znowu w tém samém miejscu szkatułkę, czekał z niecierpliwością przyjazdu kupca.

W kilka dni potem przybył Gubanow w wybornym humorze; widocznie operacya rozpuszczenia w obieg fałszywych banknotów pomyślny wzięła obrót.

Widząc pryncypała tak dobrze usposobionego, przedstawił mu że ciężka praca, równie jak spanie na dworze, wywierając coraz szkodliwszy wpływ na jego zdrowie, stają się powodem iż on, jakkolwiek z żalem w sercu, zmuszony jest prosić go o uwolnienie od obowiązków.

W pierwszej chwili kramarz próbował odwieść swego pomocnika od tego przedsięwzięcia; gdy jednak poznał, że zamiar ten jest stanowczym, gdy nadto lekkie mrugnięcie oczów starego współnika dało mu uczuć całą niewłaściwość dalszych nalegań, przystał na wszystko.

— Karol Leopoldowicz, — rzekł poważnym głosem, — służyłście mi wiernie i uczciwie przez pół roku blisko; ażeby więc dać wam dowód, że i w Syberyi umieją ocenić pracę i prawość charakteru, żegnam was nietylko dobrém słowem, ale i stosownem wynagrodzeniem. Oto są pieniądze, które was postawią w możności zaspokojenia waszych potrzeb, aż do czasu znalezienia nowego zajęcia.

Powiedziawszy te słowa, wspaniałomyślny kupiec wręczył młodemu człowiekowi z miną tryumfującą... trzy ruble srebrem!

Niejeden z czytelników moich, doczytawszy do tego miejsca, pomyśli sobie w duchu — resztę nie trudno odgadnąć: bilet trzechrublowy był naturalnie fałszywym, pan M*** przedstawił go najbliższej władzy, kramarza przyaresztowano, okuto w kajdany — jedném słowem enota tryumfuje, występki odnosi zasłużoną karę, i wszystko odbywa się podług przyjętej powszechnie normy. Takieby niezawodnie powinno być zakończenie romansu lub powieści, ale na nieszczęście

to co piszę nie jest powieścią, lecz szczegółem wyjętym z rzeczywistego życia. W rzeczywistém zaś życiu, zbrodniarz czyniący złe bez celu, jest nader rzadkim wyjątkiem. Gubanow pragnął zgubić swojego przykaczczyka, gdy sądził, iż tym sposobem sam siebie od odpowiedzialności zasłoni — kiedy jednak wplątanie młodego człowieka w tę sprawę, nie mogło już mu przynieść żadnego pożytku, nie tylko nie uczynił tego, ale jeszcze obdarzył wiernego sługę niefałszowanym biletem bankowym.

Wprawdzie skąpe to było wynagrodzenie za sześć miesięcy pracy, trudów, znojów i niewyweczasu, ale czyliż człowiek cudem ocalony od oczywistej zguby, rachuje kiedykolwiek stracone korzyści?

Pan M*** więc szczęśliwy z uniknięcia grożącego mu niebezpieczeństwa, poszedł gdzieindziej szukać kawałka chleba, a Arkadi Saicz Gubanow żył dalej, rozszerzając stopniowo swoje operacye i gromadząc coraz większe kapitały.

TAJEMNICA WŁOŚCIANKI.

Około step graniczących z Mongoliją Chińską, u podnóża gór Sajańskich, znajduje się obszerna wieś zaludniona przez włościan którzy się dobrowolnie przesiedlili z gubernij Wiatskiej i Permskiej. O nazwie wsi tej, z powodu iż osoby działające w małym dramacie jaki mam zamiar skreślić żyją jeszcze, zamilczę; powiem tylko że nawet pośród niebotycznych Alp Szwajcaryi i w rozkosznych dolinach Pireneów trudno znaleźć podobnie zachwycające widoki. W prawdzie i w tym najbardziej na południe Syberji posuniętym punkcie, którego szerokość geograficzna odpowiada położeniu Warszawy, skąpa w udzielaniu swych skarbów natura daje tylko trzy miesiące lata, ażeby przez resztę roku zagrzebać wszystko w grubej powłoce śniegu i lodów; ale ów krótki period życia tchnie takim blaskiem, wdziękiem i organicznym ruchem, iż człowiek patrząc na jasny błękit nieba, wdychając w pierś rozkoszną woń roślin, zapomina częstokroć jak ograniczonym jest czas trwania kilku chwil jego swobody.

Mieszkając we wspomnionj wiosce, pragnąłem z nastaniem lata, wynagrodzić sobie długie przymusowe zamknięcie w ciasnej i dusznej izdebce; każdego więc dnia zaledwie słońce wzniosło się na widokrąg niebios, przewiesiwszy fuzę i blaszaną puszkę przez plecy, udawałem się w góry dla polowania i herboryzacyi. Położenie tej miejscowości pozabawionj wszelkiej komunikacyi było takie, iż jedna nader wązka drożyna prowadząca na włościańskie pola, przerzynała ją od krańca do krańca; z konieczności więc wracając wieczorem z moich myśliwskich i botanicznych wycieczek kierowałem tamtędy swe kroki. Na skraju wsi stał nie wielki domek otoczony malutkim ogródkiem: domek ten choć biędny i niepozorny miał powiérzschowność wesołą, a ogródek snadź pracowitą pielęgnowany ręką, przyjemny dla oka przedstawiał widok. Obok starannie utrzymywanych grządek kapusty, marchwi i innych jarzyn, kwitły zwoje maków, maku i lewkonii; a w samym środku darniowa ławeczka ocieniona kłębami bżów i czeremchy, dopełniała ogólnj harmonii pełnego prostoty obrazu.

Wpośród tej wsi, w której niemal cała ludność jako de świeżych należąca przybyszów (*) niedbała wcale o upiększenie swych siedzib, gdzie domy najzamożniejszych nawet włościan, brudne, odrapane, z pokrzywionemi dachami, dawały miarę jak mało w ogóle troszczono się o powiérzschowną formę, widok tej biędnej tak wdzięcznie przedstawiającej się chatki, uprzedzał korzystnie na wstępie o jej mieszkańcach.

Ile razy powracałem z moich codziennych wycieczek, nie mogłem wstrzymać się ażeby nie rzucić okiem, na to rozkoszne i ciche ustronie. Przed progiem domku z kądziela

(*) O ile rodowici Syberyjczycy lubują się w powiérzschownem ozdabianiu swych mieszkań, o tyle znowu przesiedlający się koloniści, szczególnie z Permskiej i Wiatskiej gubernii, najmniej do tego nie okazują chęci. Niedbałość ta jednakże jest cechą samychże emigrantów; następne bowiem pokolenia przyjmując wszystkie obyczaje miejscowe, naśladują w troskliwości o utrzymanie domowych zagrod, ogólne zamiowanie.
(Przyp. aut.)

w ręku, siadywała kobieta już nie młoda, lat czterdziestu kilku, a obok niej znajdował się jedynastoletni chłopak, zajęty najczęściej jaką ciężką mechaniczną pracą: to rąbaniem drzewa, to nośzeniem wody, to wreszcie zganianiem bydła do poblizkiej obory.

Kobieta ta pozdrawiała mnie zawsze przyjął w Syberyi formułką: „putiem dorozku“ (po drodze); a ja jęj odpowiadałem nieodmiennie stereotypową, używaną przy spotkaniach z nieznanymi odpowiedzą: „i wam po tojże“, (i wam po niej). Na wymienianiu tego konwencyonalnego, a żadnego rzeczywiście nie mającego znaczenia frazesu, kończyły się nasze stosunki.!

Tak minął piérwszy miesiąc lata. Nastaly do tego stopnia silne upaly, że chcąc korzystać z przechadzek, zmuszony byłem tylko świtem i wieczorami wychodzić z domu, a środkowe godziny dnia przepędzać pomiędzy czterema ścianami mojej izdebki. Tym więc sposobem podwoiwszy wycieczki w góry, częściej jeszcze przechodziłem około wspomnionego domku.

Zamieszkująca go kobieta równie jak znajdujący się przy niej chłopczek, ciągle zajęci byli jakąś pracą domową: raz ich widziałem pełających ogródek i polewających kwiaty, drugi raz krzątających się koło bydła, czasem naprawiających siecie i wędzierze; nigdy jednak za przykładem innych włościan nie udawali się w pole, ani też żadnych w gościnę sąsiadów nieprzyjmowali.

Ktokolwiek pomyśli jakim jest życie w rzuconej wśród niezmiernych step wiosce, niemającej z resztą żyjącego świata żadnej komunikacji, ten zrozumie że najdrobniejsze na pozór zdarzenie, na któreby w innych warunkach bytu nikt z pewnością nie zwrócił uwagi, może zająć odrętwiałą ciąglą stagnacją umysł. Schludność tego domku, spokojne zatrudnienia tej kobiety i tego dziecka, tak różne od hałaśliwego i hulaszczego usposobienia innych włościan, a wreszcie coś nieokreślonego, ów że się tak wyrażę wrodzony instynkt badacza charakterów ludzkich, mówiły mi że pod tą skromną zagrodą tkwi jakaś straszna tajemnica, jedna z owych zagadek których poznanie pomaga częstokroć do

rozjaśnienia ciemnych stron i błędów organizacji społecznej. Nie myślcie albowiem ażeby tylko wśród wiru cywilizowanego świata, w ruchliwym gwarze wielkich miast, wysledzić można ujemne strony żywota człowieka. Czasami w najcichszym i najniepozorniejszym na pozór zakątku, znajdzie się klucz do rozstrzygnięcia kwestyi związanych z dobrobytem i pomyślnością tysięcy nieszczęśliwych. Co mnie nade wszystko utwierdzało w mniemaniu, iż los kobiety zamieszkującej chatkę nacechowanym jest jakimś złowieszczym faktem, jakimś okropnem wspomnieniem zatruwającym jęj życie, to ciągły smutek rozlany w jęj rysach. Daleka od zwykłej gadatliwości innych syberyjskich włościanek, tyle chętnych do zawiązywania znajomości, nigdy oprócz wymiany konwencyonalnego pozdrowienia, nie rozpoczynała ze mną rozmowy. Pracowita, poważna w swych ruchach, zajęta ciągle około małego swojego gospodarstwa, zdawała się stronić od ludzi i szukać samotności; jedynem uczuciem wyrwującym ją z apatyi, w której zostawała pogrążona, było nieograniczone przywiązanie do swojego syna.

Kilkakrotnie powracając z codziennych wycieczek, widziałem ją trzymającą dziecko w objęciach i gorszko płaczącą. Wyniosłe pagórki, stanowiące odnogę pasma gór Sajańskich podbiegały pod samą wieś, tak że ja częstokroć mimowolnie zakryty nierównością gruntu, byłem świadkiem rzewnych i rozczulających objawów macierzyńskiej miłości; a choć nie mogłem dosłyszeć wymienionych wyrazów, zgadywałem iż one napiętnowane były tém gorącym uczuciem, jakie wyraża najczystsze rodzicielskie przywiązanie.

Jedną tylko okoliczności zrozumieć nigdy nie mogłem. We wsi znajdowała się obszerna wiejska szkoła, do której prawie wszyscy włościanie posyłali swoje dzieci; dla czegoż więc ta matka zdająca się tak namiętnie kochać swego syna, niepomyślała nigdy o daniu mu choć elementarnego wychowania? Nie zdawała się być biedną: tłuste krówki pasące się na przyległej łące, i stadko owiec które chłopiec każdego wieczora zaganiał do zagrody, okazywały względną zamożność; a zresztą opłacanie wiejskiego nauczyciela nie wiele kosztuje, mniej uposażeni od niej włościanie nie uchy-

lali się od tego obowiązku, dla czegoż ona nie chciała iść za ich przykładem?

Parę razy przechodząc około domku starałem się rozpocząć z nią dłuższą rozmowę, ale wszelkie moje usiłowania w tej mierze nie doprowadziły do pożądanego skutku. Na wszystkie moje zapytania odpowiadała z uszanowaniem, jakie w ogóle tamtejszy lud okazuje dla osób starszych wiekiem, ale nader krótko: wyraźnie starała się okazać, iż nie pragnie bliższej ze mną zawrzeć znajomości. Dowiedziałem się tylko, że jako wdowa niezajmuje się uprawą roli, lecz środki utrzymania swojego czerpie w zawiadywaniu postojannym dworem (*). Jak już wyżej powiedziałem żaden trakt przez wieś nieprzechodził; dwa lub trzy razy do roku przejeżdżał jaki administracyjny lub akeyzny urzędnik, i ten na bardzo krótko zajmował izdebkę w domu wdowy na powyższy cel przeznaczoną. Dochody więc właścicielki ograniczały się na kwocie, którą jej gmina płaciła, ale dochody te aczkolwiek szczupłe, były dla skromnych jej potrzeb aż nadto wystarczającymi. Wyjąwszy przytoczenia powyższych szczegółów, o jakich z resztą mógłbym się od pierwszego lepszego mieszkańca dowiedzieć, unikała starannie podniesienia wszelkiej kwestyi osobiście ją dotyczącej; a gdy pewnego razu widząc powracające dzieci ze szkoły, zapytałem ją dla czego będąc tak przywiązaną do jedynego swojego syna, pozwoli aby to dziecko w miejsce nauczyć się czytania i pisania, używanem było do posług domowych i grzebania ziemi w ogródku, wybuchnęła głośnym płaczem i schwywszy mnie za rękę zawołała łkając:

— Na miłość boską, nie wspominajcie nigdy o tém! Na

(*) Postojanny dwór, jest to jedna lub dwie izby najmowane przez zarząd gminy u którego z włościan, a służące do przyjęcia przejezdnych urzędników. Jakkolwiek utrzymujący postojanny dwór, obowiązany jest dostarczyć wszystkich potrzeb życia swoim gościom bezpłatnie, gdyż za to pobiera roczną pensję od gminy, zwykle urzędnicy hojnie wynagradzają doznana gościnność; dla tego też im więcej ich przyjeżdża, tym większych dochodów spodziewać się może gospodyni domu.

(Przyp. aut.).

samą wzmiankę o szkole, czuję jak gdyby mi kto serce nożem krajał.

Przeszedł jeszcze miesiąc, syberyjskie lato zbliżało się do końca. Bujna wegetacja która w tych stronach tak szybko postępuje, doszła do ostatecznego swego rozwoju. Opadające kwiaty, żółknięte liście drzew, i więdnące łodygi roślin, znamionowały tę porę tyle smutną przy przejściu z letniego życia, do zimowego odrętwienia śmierci. Cała prawie ludność osady wysypawszy się na obszerne pola, i zajęta zbieraniem całorocznych plonów, zapomniała na chwilę o zwykłych swoich śpiewach hulackich, i hałaśliwych zebraniach. Wioska przybrała pozór poważny, milczący, spokojny; w domku tylko wdowy codzienne zatrudnienia jej mieszkańców żadnej nie uległy zmianie. Ile razy przechodziłem tamtędy, zawsze widziałem matkę z synkiem zajętych jednemi i temi samemi czynnościami, które niby zegarkowym wywołane mechanizmem, powtarzały się w danych porach dnia z drobiazgową dokładnością.

Pewnego wieczora, powracając ze zwykłych swoich wyścięzek do domu, zatrzymałem się na wzgórku panującym nad całą okolicą. Widok z tej wyniosłości aczkolwiek nie rozległy, był przecież nader pięknym. Z prawej strony domy obszernej wsi rozrzucone wśród doliny, przedstawiały się w nader malowniczych grupach; z lewej rzeka Czującym szerokim płynąc korytem, dopełniała ogólnej harmonii krajobrazu. Ostatnie promienie zachodzącego słońca ozlaczając kopty wyniosłej cerkwi, i odbijając się w powierzchni wód, dodawały uroku wszystkim przedmiotom. Patrzyłem przed siebie, a myśl moja uniesiona na skrzydłach wyobraźni przeniosła mnie w inne światy, inne kraje..., gdy nagle jakiś gwar pomieszanych głosów, zwrócił moją uwagę. U podnóża pagórka na którym się znajdowałem, stanęła gromadka wiejskich dzieci powracających z pola i żywą zajętych rozmową. Byli to chłopcy różnego wieku: najstarszy z nich mógł mieć lat czternaście. Powód do ich zastanowienia się dał syn wdowy pędzący krowkę z przyległej łąki.

— Patrzenie! — zawołał rudy chłopak, który o ile mogłem

sądzić wodził réj w téj małej gromadce:—patrzcie, to głupi Igorcko!

Dziecko nie odpowiedziałwszy ani słowa na tę zaczepkę, szło dalej.

— Głupi bo głupi, nawet mówić nie umie,—dodał drugi.

— Z kądżeby wziął rozum, kiedy go niczego nie uczą, zakończył trzeci.

— Słuchaj ty mądralu,—odezwie się jeszcze rudy: stań i odpowiadaj kiedy do ciebie mówią.

— Ja was nie zaczepiam,—rzecze chłopczyna: dajcie mi pokój.

— Mało tego że niezaczepiasz!... Słyszycie go jaki hardy. To my ciebie zaczepiamy, rozumiesz?

— My chcemy poznać co umiesz.

— Czy znasz chociaż litery.

— Z kądżeby je znał, kiedy nie chodzi do szkoły?

— Musi je znać, a jeżeli niezna to my ich go wyuczymy.

I chłopaczki otoczyli zewsząd Igorkę, który wystraszony oglądał się na wszystkie strony, jak gdyby szukając drogi do odwrotu.

— Wiecie co?... Krzyknie ze złośliwym śmiechem czerwono-włosa przewodnik téj małej bandy:—weźmiemy go na egzamen tak jak to robi nasz nauczyciel w szkółce; jeżeli nie będzie umiał odpowiadać, skóra w robocie.

— Ach dobrze! dobrze!—zawtórowali klaszcząc w ręce z radością malcy.

— Puście mnie do domu!..., wołało ze łzami w oczach przestraszone dziecko: mama moja będzie niespokojną...

— Powinna być raczej wdzięczną nam, że się zajmujemy uczeniem takiego niedołągi. No dalej, gadaj: As, Buka Wiedi...

Biedny chłopak zanosił się od płaczu.

— Nie odpowiadasz, płaczesz — gdzie linija?... krzyknie jeszcze rudy prześladowca.

— Oto jest, panie profesorze!—odpowie jeden z jego towarzyszy wchodząc w przyjętą rolę, i podając improwizowanemu nauczycielowi spory pręt.

— Wyciągnij łapę gamoniui!

Głośne szlochanie Igorcka służyło za jedyną odpowiedź.

— Nie chce się poddać zasłużonej karze: dalej chłopcy rozciągnąć go na ławiel!

Zaledwie powyższe wyrazy wymówionemi zostały, już dzieci całą gromadą rzuciły się na nieszczęśliwego Igorkę, i powaliwszy go na murawę jęły okładać silnemi razami.

Nie ma pomiędzy dorosłymi ludźmi tak okrutéj istoty jaką jest dziecko, szczególniej z klas mniej wykształconych pochodzące, kiedy zachęczone szkodliwym przykładem rozszaleje się w rozpustnej zabawie. Nie pojmując złego które wyrządza, idzie na oślep za chwilowym popędem, a ten częstokroć doprowadzić może do najsmutniejszych ostateczności.

To samo i tu miało miejsce. Pomimo rozdzierającego krzyku ofiary wzywającej na pomoc, uderzenia kijów i pięści gradem sypały się na plecy i głowę jęczącego z bólu chłopaka; i nim zdołałem zbiedz z góry, już nieszczęśliwy syn wdowy leżał prawie bez czucia na ziemi.

Na mój widok, mali prześladowcy uciekli pędem do wsi.

Przybliżyłem się do leżącego bezprzytomnie na ziemi Igorcki: kilka siniaków pokrywał twarz jego. Dziecko to z natury było brzydkiem; ślady katastrofy jaka je przed chwilą spotkała powiększyły jeszcze ową wrodzoną szpetność. Okoliczność powyższa tém więcej pobudziła moje współczucie, każde bowiem upośledzenie fizyczne niesłusznie prześladowanej ofiary, podwoić tylko może litość nad dotykającym ją nieszczęściem. Przekonawszy się, że więcej ból i przestrasz niżeli wycieńczenie sił były przyczyną jego omdlenia, zacerpnąłem wody w pobliskim strumyku, i namoczywszy skronie dziecka, ujrzałem je wracające do przytomności.

Chłopiec jął rzewnie płakać.

— To już nie pierwszy raz oni mnie tak biją,—mówił ze łzami:—a zawsze dla tego że nic nie umiem, że niechodzę z niemi do szkoły. Jabym chciał się uczyć: często proszę matki, ażeby mnie oddała nauczycielowi, ale ona ani słyszeć o tém niechce.

Uspokoiwszy dziecko jak mogłem, wziąłem je za rękę i odprowadziłem do domu.

Włościanka na widok zbitego syna, straciła zwykłą so-

bie zimną krew, i tuląc namiętnie go do piersi, zanosiła się od płaczu; następnie gdy jęj opowiedziałem wszystkie szczegóły tego zdarzenia, wybuchła gniewem grożąc zemstą, karą, sądami, w końcu zaś opuściła bezwładnie ręce ku ziemi, i siedziała tak nieruchomie szepejąc zaledwie dosłyszalnym głosem:

— O ja nieszczęśliwa!

— Ani gniew, ani zemsta, ani rozpacz,—rzekłem,—do niczego was niedoprowadzą. Sąd nie uwzględni skargi na małoletnich; mścić się zaś na rodzicach za swawolę ich dzieci, jest rzeczą nie tylko niesprawiedliwą ale nawet niebezpieczną. Występując sama jedna przeciw całej gromadzie, narazicie się tylko na tysiące nieprzyjemności. Jabym radził usunąć przyczynę zachepek jakie spotykają Igorka od swoich rówieśników, i posyłać go do szkoły, tak jak inni rodzice posyłają swoje dzieci.

Włościanka spojrzała na mnie z przerażeniem:

— Nigdy!... wy nie wiecie co mówicie.

— Owszem, ja mówię to co mi się zdaje być najlepszem; nawet dziecko wasze pragnie nauki.

— O tak!—zawołał malec:—oddaj mnie matko do szkoły.

— Szalony, on chce swojej zguby!... a wiesz ty co to jest szkoła?

— O wiem: to jest duży dom w którym nauczyciel pokazuje jak czytać, pisać, i rachować. Nie bój się mateczko ja będę pilnym, prędko się wszystkiego nauczę, a wtedy drudzy nie będą mnie nazywać niedołągą, nie będą bić tak jak teraz.

— Czy słyszycie? sama prawda przez jego usta mówi.

Zamyśliła się głęboko, a potem wstrząsnawszy nagle głową, jakby chcąc odegnać jakąś myśl natrętną, zawołała z rozpaczą:

— Nie nigdy—dosyć jednego!

Po chwili jednakże rozdrażnienie wywołane tą smutną katastrofą ustąpiło miejsca rozwadze. Widocznie pragnęła coś powiedzieć, ale wahała się jeszcze; nakoniec przewyciężając wstręt jaki podobne wyznanie w niej obudziło; rzekła do mnie:

— Byliście zawsze dla mnie dobrym i łaskawym; dziś przybywając na pomoc temu biédactwu, ochroniliście je od dalszych katuszy, a może i od czegoś gorszego: od kalectwa lub choroby. Całem sercem wam za to wdzięczną jestem, i ażeby dowieść swojej wdzięczności, powiem dla czego nie chcę syna oddać do szkoły. Jest to tajemnica mego życia: tajemnica straszna pomiędzy Bogiem a mną, której nikt dotąd nie znał, której oprócz was nikt nigdy znać nie będzie.

Słuchajcie!

Oprócz Igorka którego tu widzicie, miałem jeszcze jednego syna o kilka lat starszego, imieniem Mikołaj. Owodwawszy wcześniej, szukałam pociechy w przywiązaniu tych dzieci. Ci chłopcy w niczem nie byli do siebie podobni. Starszy Mikołaj miał charakter żywy, wesoly, otwarty, lecz przytem umysł jego tępo się rozwijał: paplał dużo, szalał jeszcze więcej, lecz najprostszych rzeczy nie mógł nigdy zrozumieć, ani pamiętać. Młody Igorko z natury milczący, małomówny, posiadał szczególne zdolności; rzadko się odezwał, lecz gdy wyrzekł słowo, możnaby sądzić że je gdzie w książkach wyczytał. I powieszchność dwóch braci różniła się zupełnie: pierwszy był piękny jak anioł, tak piękny że gdy go prowadziłam w niedzielę do cerkwi, ludzie zatrzymywali się mimowolnie na drodze, ażeby nań spojrzeć — drugi krępy, niezgrabny, ze swoim krótkim nosem i szeroką gębą, wyglądał jak istny niedźwiadek. Piękność jednego a brzydota drugiego, były powodem iż ich nie równo kochałam. Mikołaj miał wszystkie pieszczoty, pobłażania i wygody; Igorko nie słyszał odemnie nic więcej prócz łajania, i to najczęściej nieuzasadnionego. Byłam niesprawiedliwą, i Bóg mnie za ten błąd srogo ukarał. Ale słuchajcie dalej. Dla starszego marzyłam o świetnej przyszłości, zdawało mi się nie podobna ażeby chłopiec tak przystojny, mógł chodzić za pługiem lub wyganiać bydło na łąki, chciałam go widzieć czemsić więcej niżeli prostym włościaninem uprawiającym w pocie czoła twarzą syberyjską ziemię; takie trudy i znoje dobrmi były dla niezgrabnego o ciężkich ruchach i szpetnej twarzy Igorka.

Jak tylko Mikołajek doszedł do lat odpowiednich, umieściłam go w szkole wiejskiej, tworząc w myśli dalsze pro-

jektu o jego wychowaniu; drugi niezajmował mnie wcale — naprzód był jeszcze zbyt małym: a zresztą dla takiego jak on dosyć będzie, sądziłam, skończyć wychowanie na elementarzu.

Zawsze tak się dzieje na tym świecie, że nie ludzie lecz Bóg kieruje przeznaczeniem. Pragnęłam ukochanego syna, ujrzeć na stare moje lata w mundurze urzędnika rozkazującego drugim, a zobaczyłam go pomiędzy czterema deskami w zimnej i wilgotnej mogile; młodszy zaś któremu wrodzone zolności otworzyłyby może tę drogę, pozostał nieukiem, próżniakiem, i ofiarą swawolnych chłopaków wsi całej.

Mówiąc te słowa, biedna kobieta nie mogła powstrzymać łez cisnących się do jej oczów. Szanując tę boleść smutnem wywołaną wspomnieniem, milczałam — ona zaś uspokojwszy się, ciągnęła dalej swoje opowiadanie:

— Ulubieniec mój chodził każdodziennie do szkoły, ale był tępy do nauk. Nie przez lenistwo źle się uczył, ale przez to że pojęcia jego słabo się rozwijały. Czasem po całych nocach gdy wszyscy spali, on siedział nad książką i płacząc powtarzał zadaną lekcję: nie jego wina że się jęć nauczyć nie zdołał. Przytem zauważałam że charakter jego widocznej uległ zmianie: z żywego stał się cichym, z wesołego ponurym, z otwartego skrytym. Dawniej dzieł z matką każdą myśl swoją choćby najniedorzeczniejszą, od czasu zaś rozpoczęcia nauk nie tylko zaniechał tego czynić, ale zapytany o przyczynę swojego smutku milczał upornie, lub też zbywał nie znaczącą odpowiedzią.

Zaniepokojona tym jego stanem, udałam się do nauczyciela. Znacie tego człowieka, a zatem wiecie jak on jest dumny, opryskliwym i nieprzystępnym. Przyjął mnie z chmurnym obliczem, i na moje uwagi o zmianie usposobienia Mikołaja, odrzekł niecierpliwie:

— No, i cóż z tego? Zwyczajnie chłopcu lepiej się podobna siedzieć za piecem, aniżeli ślepczyć nad książką. Wszyscy nowo przybywający uczniowie są tacy sami, ale z czasem przywykają do rygoru szkolnego. Wasz syn osieł jakich miało, ale ja i z takich osłów potrafię zrobić ludzi.

Choć wyższe wyrazy nie mogły mnie zadowolnić, musiałam się nimi kontentować. Zresztą ja nie znałam naówczas tajemnic szkoły wiejskiej; niewiedziałam co się dzieje w tych obszernych izbach przeznaczonych na kształcenie naszych dzieci, nie sądziłam nigdy, iż przestach jak umie obudzić srogi nauczyciel w swoich wychowancach jest tak wielkim, iż potrafi złamać najtwardsze charaktery, przemienić otwartość w obłudę, i skazać na wieczne milczenie usta przywykłe do głośnego objawiania matce wszystkich myśli.

Mineło jeszcze kilka tygodni. Chłopak powoli, nieznacznie stał się zupełnie innym: nie tylko charakter ale i powieszchność jego uległa bezwarunkowej zmianie. Dawniej czerstwy i rumiany, schudł i zmizerniał, a chorobliwa bladeść pokryła mu policzki, oczy przedtem żywe zapadły głęboko: jednem słowem przedstawiał się jako cień tego jakim go widziałam wprzódy. Radziłam się najlepszych bab lekarzek na wsi, powiedziały że to pochodzi z szybkiego reśnięcia, rozwijania się sił fizycznych, i nakłaniały do podawania mu obfitych a posilnych przytęm pokarmów. Ale on i do jedzenia nie miał najmniejszej ochoty: smutny, posępny z wiecznie spuszczonej ku ziemi wrokiem, nie skarżył się nigdy, lecz gdy nadchodził czas rozpoczęcia nauk szkolnych, drżał jak gdyby w paroksyzmie zimnej febry. Parę razy uważałam, że uszy jego były zupełnie sine, jak gdyby od napływu krwi... a ja matka, nieodgadłam udręczeń przez które przechodził, nie starałam się zapobiedz im póki był jeszcze!

Pewnego wieczora w jesieni, dwa lata temu, mój syn powrócił ze szkoły później jak zwykle. Skarżył się na mocny ból głowy, położyłam go więc do łóżka. Po kilku godzinach wywiązała się silna gorączka. Biędne dziecko w mialignie, z rozpaloną twarzą, rzucało się na swój pościeli, składało drobne rączki niby do modlitwy, i wołało przerywanym głosem: „Iwan... Iwan Andrejewicz: zmiłuj się... zmiłuj nademną!“

Nie pojmując co te wyrazy znaczą, i sądząc że one są wpływem chwilowego rozstrojenia spowodowanego chorobą,

staralam się go uspokoić, utulić, pocieszyć — on mnie nie widział, nie słyszał mego głosu, i powtarzał tylko ciągle z uczuciem niewypowiedzianego przerażenia: „Iwan... Iwan Andrejewicz... zmiłuj się... nie bij tak mocno... zabijesz!”

Straszna prawda ukazała się wtedy dopiero przedemną w całej swój ohydności: rozumiałam wszystko!.. Prędzój aniżeli to słowami wyrazić zdołam, zrzuciłam mu z głowy kompresy moczone w occie, któremi przed chwilą okładałam rozpalone jego czoło: czaszka była pęknięta!

Po godzinie strasznych męczarni, wśród których nieszczęśliwe dziecko wiło się w boleści krzycząc rozdzierającym głosem, nastąpił koniec. Mój ukochany Mikołaj wyzionął ducha nieodzyskawszy ani na chwilę przytomności.

Długo stałam pochylona nad jego łóżeczkiem w niemój rozpacz: niewiedziałam gdzie jestem, co się ze mną stało, nie pojmowałam okropności ciosu jaki we mnie uderzył... nareszcie spojrzałam na trupią twarz martwego dziecka. O nigdy nie zapomnę tej chwili! Wszystko co dotąd było ciemnym i niepojętym, rozjaśniło się nagle przed moimi oczami. Widziałam razy jakie każdego dnia odbierał mój syn, słyszałam jego jęki, czułam jego ból — rozumiałam tę grozę jaką umiał rozbudzić w wystraszonem dziecku srogi nauczyciel, grozę pod wpływem której biedne stworzenie nie śmiało się nikomu poskarżyć, ukrywając przed własną matką tajemnicę ohydnych swoich męczarni!

I nagle, dzika, szalona wściekłość, zastąpiła miejsce niemój rozpacz. Na wpół ubrana, z rozczóchranemi włosami, pobięłam do urzędu gminy, i drżąc z oburzenia, opowiedziałam przerywanym głosem przed stróżami prawa niecny postępek nauczyciela, domagając się kary na zabójcę mego syna.

Spojrzano na mnie jak na matkę, która strasznym a niespodziewanym dotknięta nieszczęściem, straciła zmysły. Starano się mnie uspokoić, litowano się nademną; w końcu jednak na usilne moje żądania, przyzwano obwinionego do tłumaczenia się.

Nikczemnik wybornie odegrał swoją rolę. Ubolewał jeszcze więcej niż inni nademną, mówiąc, iż częstokroć silnie mó-

ralne wstrząśnienie, staje się powodem rozstrojenia władz umysłowych; a w dodatku sam z własnego popędu prosił urzędników włościańskich, ażeby zwołano uczniów powierzonych jego opiece, i zapytano ich jak sobie z niemi postępuje.

Dzieci, wiedząc co ich czekać może gdyby ośmieliły się wyjawić prawdę, jednogłośnie pod naciskiem przestachu jaki ten okropny człowiek na nich wywierał, zeznały, że obchodzenie się nauczyciela z wszystkimi wychowancami a tém samem i z moim synem, było zawsze łagodne, wyrozumiałe, pobłażliwe; a jeżeli czasami zmuszony był w ostateczności ukarać, to kara podobna nigdy nie przechodziła zwykłego ojcowskiego napomnienia.

Śledztwo, jakie zwykle w razie nagłych śmierci ma miejsce, jeszcze niekorzystniej dla mnie wypadło. Pęknięta czaszka u dziecka, nie stanowiła żadnego dowodu; mogło ono upaść przypadkowo, mogłam ja sama przez brak należytego dozoru, stać się winną jego śmierci. Wszyscy uczniowie zaś twierdzili dobre obchodzenie się z nimi nauczyciela; innych świadków nie było, a martwe usta ofiary tej zbrodni, zawarte na wieki — milczały. Co więc zabójca pragnąc odebrać podaną przeciwko niemu skargę, starał się o zamknięcie mnie w domu waryatów. Manja tej nieszczęśliwej, wyobrażającej sobie widzieć we mnie przyczynę śmierci jej dziecka — mówił w swém podaniu — może być prędzój lub późniejszój powodem jakiego nieszczęścia; gdy tymczasem kuracya szpitalna, przyprowadzi ją zapewne do normalnego stanu zdrowia. Człowiek ten miał protekcyę, stosunki, i była chwila w której sądziłam, że i ja także stanę się jego ofiarą — ale na szczęście kilku starych przyjaciół mego nieboszczyka męża, mających wpływy w zarządzie gminnym, sprzeciwiło się konieczności umieszczenia mnie w domu obłąkanych.

Nie przeczyli oni bynajmniej ażeby umysł mój nie był dotknięty — fakt ten niestety został dowiedzionym i zatwierdzonym prawnie; ale zwrócili uwagę władzy, że oprócz jednego, chwilowego wybuchu, spowodowanego nagłą śmiercią dziecka, melancholia jaka potem nastąpiła, stała się cichą,

spokojną, zamkniętą w sobie, a zatem nieszkodliwą i żadnej nieobudzającą obawy.

Gmina rozciągając w dalszym ciągu nademną swą opiekę, oddała mi zarząd postojannego dworu, przy którym jednostajne zatrudnienia, uprawa ogródka, brak zwykłych rolnego gospodarstwa kłopotów, zdoła jak twierdzi doktor, korzystnie wpłynąć na chorobliwe moje usposobienie. Ale ludzie ci litościwi i dobrzy, szanując nieszczęście obawiają się mnie zarazem; w nieprzewidzianej potrzebie każdy z nich chętnie mi dopomoże, żaden jednak nie śmie przejść progę téj chatki, w której podług ich zdania, mieszka istota godna pod każdym względem współczucia, mogąca jednak w danéj chwili stać się niebezpieczną. Żyję tu sama jedna z ostatniem pozostałem mi dzieckiem, a on, ten biedny Igorko, jest jedyną moją pociechą, jedynym węzłem łączącym mnie jeszcze ze światem. Chociaż pozostawiono mi swobodę, czuję tajemny nadzór opasujący zaledwie dojrzaną nicią wszystkie moje czynności; dla tego też przejęta trwogą ażeby przypadkiem wymówione słowo, gest jaki, ruch zbyt żywy, nie były źle wytłumaczone, i nie wywołały straszniejszego jak więzienie zamknięcia w domu waryatów — stałam się milczącą, ponurą, podejrzliwą. Po upływie dwóch lat, wy jesteście pierwszym z żyjących przed którym odkryłam moją tajemnicę. Poznawszy ją niebędziecie się już dziwić, dla czego pomimo nieograniczonego przywiązania jakie mam dla syna, pomimo ochoty z jaką to dziecko rwie się do nauk, niechęć oddać go do szkółki wiejskiej, pod straszną opiekę Iwana Andrejewicza.

*

*

*

W kilka dni po tém zdarzeniu, znajdowałem się w goście u pisarza gminy wiejskiej. Wszystkie miejscowe znakomitości, jako to duchowny i jego pomocnik, akcyzny urzędnik wraz ze swoim sekretarzem, jakoteż bawiący czasowo we wsi lekarz powiatowego sądu, byli tam zgromadzeni. Nie brakło i znanego czytelnikowi z powyższego opowiada-

nia nauczyciela szkółki, który ze swoją bladą twarzą, poważną, o systematycznych ruchach podstawą, wyglądał w téj chwili raczej na przejętego ważnością przyjętych na siebie obowiązków pedagoga, niż na srogiego kata dręczącego powierzono opiece jego dzieci; ten człowiek bowiem posiadał szczególny dar przyjęcia w danym razie stosownej do okoliczności postawy.

Rozmowa z razu urywana, przybrała wkrótce zajmujący nastrój. Powodem do tego zwrotu było opowiadanie medyka o oddanym mu w kurację obłąkanym, który straciwszy nagłą śmiercią ukochane dziecko, popadł w dziwną monomanię: zdawało mu się, że zmarła na grypę córeczka jego została przez własną matkę uduszoną. Nic na świecie nie zdołało mu wybić téj myśli z głowy; i pomimo przekonywających dowodów stwierdzonych nauką, jakoteż dowodzenia najbłęjszych lekarzy, obstawał uporczywie w swoim mniemaniu.

— I u nas przed parą laty, podobny wypadek miał miejsce — rzekł pisarz gminy. Biedna włościanka, wdowa, najlepszego prowadzenia się, znana powszechnie z dobroci i łagodności charakteru, straciła jak się zdaje, z powodu nagłego upadku i zranienia o ostry przedmiot głowy, synka. Od téj chwili nieszczęśliwa matka, uderzona tak okropnym ciosem, wyobraziła sobie, że ulubione jój dziecko zostało niekzemie zamordowaném.

— I to jeszcze przezemnie!... dodał nauczyciel szkółki. Możecie sobie szanowni panowie wystawić, jakim się stało moje położenie. Zagrożony nie tylko we własnym życiu, ale i w tém co jest najdroższém dla każdego prawego człowieka: w utracie dobrego imienia, czystej i nieskalanej trzydziestoletnią uczciwą pracą sławy, nie miałem ani chwili spokojności. Podejrzenie rzucone nawet przez waryatkę, tak łatwo przyjąć się może!

— To też każdy, — przerwie pisarz, — przez samo podjęcie téj smutnej sprawy, jeszcze więcej was kocha, jeszcze bardziej umie ocenić waszą wytrwałość i szlachetność w sumienném pełnieniu tyle goryczy przynoszących obowiązków.

— Próba ognia jaką przebyliście, — mówił lubiący meta-

fory akcyzny urzędnik,—pokazała wszystkim waszą wartość. Kamień kruszy się w płomieniu: brylant choćby w piekle, silniejszym jeszcze jaśnieje blaskiem.

Po tych wyrazach wszyscy obecni powstawszy podeszli ku nauczycielowi szkółki, i chcąc mu okazać swą życzliwość, ściskali serdecznie za ręce.

Błada twarz Iwana Andrejewicza rozpromieniała radością, a łza rozczulenia spłynęła powoli po chudych jego policzkach.

— Nie tylko słyszałem o tém wypadku—rzecze doktor,—ale sam przejeżdżając tędy przed rokiem, widziałem nieśczęśliwą kobietę. Stan jej tém więcej godnym jest politowania, że wyleczenie można tu prawie za niepodobne uważać. Ogólne i bezwarunkowe rozstrojenie władz umysłowych, przy łagodném obchodzeniu się z choremi, jakie jest teraz w użyciu, bywa czasami błogim uwieńczone skutkiem; monomania zaś niepozabawiająca pacyenta zdolności myślenia, dająca mu nawet możność układania swych myśli w systematyczne rozumowania, tém trudniejszą staje się do zwalczania, iż jedyna idea która nim powoduje, wrosła że tak powiem, w całe jego moralne jestestwo. Dotknięty monomanią człowiek, rozsądny zazwyczaj w mowie, czynach, postępowaniu, przestaje nim być w chwili, gdy ta jedyna ujemna strona władz jego umysłowych poruszoną zostanie; przy najmniejszej nieostrożności struna zadźwięczy fałszywym akordem, a chory przestaje władać swą wolą. Esquirol twierdzi, że właśnie owa niepowściągliwość woli jest główném źródłem słabości; Pignel zaś Locke i inni psychiatrycy znajdują...

I szanowny doktor dobrawszy się do ulubionego przez siebie przedmiotu, perorował dalej, przytaczając uczone cytacje — a zgromadzeni u pisarza goście z tém większym namaszczeniem słuchali jego wywodów, że ani słowa z tego co mówił nie rozumieli. Ja zaś tymczasem, korzystając z powszechnego zajęcia się poruszoną kwestyą, wyszedłem niepostrzeżony, ażeby swobodnie rozmyślać nad dramatem, który się tak niespodziewanie rozwinął przedemną.

Opowiadanie biednej wdowy było tak prostem, tak natu-

ralnem, tyle w niém mieściło się uczucia, żałości, a nawet prawdziwej chrześcijańskiej rezygnacyi, że uważałem za niepodobne, aby to wszystko mogło wypłynąć z fikcyi rozstrojonego nieszczęściem umysłu. Z drugiej zaś strony liczne fakta, w których bezporównania mniej wrażliwi odemnie ludzie, zostali wprowadzeni w błąd przez waryatów, stanęły mi na pamięci. Zebrawszy starannie wszystkie szczegóły rozmowy mojej z włościanką, nie mogłem na żaden sposób przypomnieć sobie żadnego ruchu, namiętniejszego błysku oczów, któreby znamionowały choćby cień obłądu, choćby pozór nienormalnego jej stanu — ale znowu tak stanowcza opinia ludzi fachowych, musiała mieć przeciw swoją podstawę.

Nie mogąc dojść do żadnego rezultatu, wahając się co chwila z wyrobieniem w sobie stałego przekonania, pomyślałem o głównie działającej osobie w tej smutnej historii. Iwan Andrejewicz ze swoim bładem, pargaminowém obliczem, ze swoim wzrokiem ponurym, spojrzeniem niepewnym, szatańskim uśmiechem, obudzał we mnie niewypowiedziany wstręt i odrazę; niepodobna ażeby taka fizyognomia mogła należeć do uczciwego, a przynajmniej łagodnych dążeń człowieka — ale znowu ileż to razy rysy twarzy zawodzą, jakże często powierszchowność nie miła, wstrętna, ukrywa duszę szlachetną i wzniosłą! A owe ogólne uznanie jakim się cieszył nauczyciel szkółki? A owa łza rozczulenia spływająca po jego policzkach?... No, i cóż z tego? jakie może mieć znaczenie zdanie tak krótko widzących ludzi — a łza? Wszakże Judasz Iskaryot sprzedając zbawiciela także łzę uronił.

Przez całe dwie godziny biłem się z myślami: dwa wprost przeciwne przekonania ważyły się kolejno przed wewnętrznym sądem mojego sumienia — a promyk prawdy nie przebił ciemnych mroków tego straszego dramatu.

Tajemnica włościanki, pozostała dla mnie na zawsze nie-docieczoną zagadką sfinkska.

FILOZOF

NAD BRZEGAMI OCEANU LODOWATEGO.

Znałem człowieka, który z własnej woli, zamieszkał północ pod 73° szerokości geograficznej. Z początku popłynął na Ocean Lodowaty, ażeby być świadkiem olbrzymich połowów ryb, jakie się tam peryodycznie w miesiącach letnich odbywają; przed zimą wrócił w południowe strony Syberji, ale wycieczka ta tak mu się podobała, że ją niemal corocznie powtarzał. Jednego razu, czy to z powodu nagle spadłych śniegów, czy skutkiem poróżnienia się z rybakami jenijskimi, czyli téż wreszcie dla dogodzenia chwilowej fantazyi, pozostał przez zimę w Turuchańsku, a następnie już stale tam zamieszkał.

Pan*** należał do rzędu ludzi zwanych w starożytności filozofami, a którzy dziś noszą miano oryginałów: utworzył sobie wyłączny systemat społeczny, i podług niego się rządził. Czcząc bezwzględnie naturę, uważał za występki naganianie jej działania dla dogodzenia drobnym celom ludzkości; wszelkie prace na drodze postępu były w jego oczach

czczą igraszką, wszelkie arcydzieła sztuki niedoleżnym naśladownictwem. W człowieku więcej cenił siłę fizyczną niż rozum; zamiłowanie prawdy, potęga samoistnej woli i wytrwałość, były w jego przekonaniu podstawą wszelkich cnót. Nienawidził obłudy, a za obłudę uważał wszelkie towarzyskie formy. Rządząc się prawami natury, nie chciał nigdy znać żadnych przepisów kodeksu, i dla tego pokrzywdzony sam sobie sprawiedliwość wymierzał. Podobne usposobienie wywołało łatwe do przewidzenia następstwa. Jak tylko jeden z członków społeczeństwa, nie chce zastosować się do prawideł i zwyczajów przez ogół ustanowionych, musi albo uleść, albo téż ustąpić. Pan*** téż ustąpił, ale aż na północ.

Jadąc na ziemię wygnania, rad był swojemu losowi. Podobnie jak wielu innych, wystawiał sobie Syberję jako krajinę w stanie pierwotnym będącą, gdzie ludzie okrywają się skórami dzikich zwierząt, żywią korzonkami, rządzą instynktami natury, gdzie szczególnież znieawidzone przez niego prawo społecznego porządku, nie ma żadnego znaczenia. Przybywszy do Minusińska, doznał niemiłego rozczarowania. Wszystko co tu ujrzał, było odblaskiem tego co po za sobą zostawił. Napróżno szukał tu samoistności: napływowa ludność przyniosła z sobą tyle wstrętne dla niego formułki i zwyczaje, a zasklepiwszy się w nich, wegetowała w konwencyonalnym kółku swoich wyobrażeń. Tam przynajmniej na Zachodzie panował ruch, gdy tu istniała tylko ociężała, apatyczna stagnacya. Przeflancowane z Europy zasady społecznego bytu i towarzyskich obyczajów, dziczały wprawdzie na stepie, ale zawsze istotą swoją i zewnętrznym kształtem przypominały konwencyonalny ustrój starego świata.

Zniechęcony, udał się pomiędzy Tatarów, ale Tatarzy w okolicach miast i miejsc zkolonizowanych, utracili powierszchownie przynajmniej pierwotne swe cechy. Oprócz języka, ubioru i budowy jurt, stali się oni mniej więcej porządnyimi obywatelami. Synowie pustyń bujający na niezmiernych obszarach, wśród tabunów dzikich koni, patryarchowie rządzący losami rodzin, wojownicy rozstrzygający nieporozumienia maczugą lub toporem, zmienił się w spo-

kojnych rolników, pokornych parobków, lub chytrych handlarzy. Typ pierwotnego człowieka, o którym nasz filozof marzył ciągle, nie istniał tam wcale.

Sądząc, że wszędzie znajdzie równe rozczarowanie, nie przyszło mu nigdy na myśl zapuścić się w południowe tajgi nad granicę Mongolii, i studyować liczne plemiona „inorodców,” do których promień cywilizacji nie dostrzegł jeszcze; i byłby może do końca żywota nie osiągnął celu swoich życzeń, gdyby pewnego razu przypadek a raczej los nie zawiódł go po nad brzegi Oceanu Lodowatego. Sama podróż, przyszła równie szybko jak niespodziewanie. Znudzony jednostajnością która go otaczała, przyłączył się do wyprawy rybackiej i popłynął na północ, w zamiarze odświeżenia widokiem nowego życia i nieznanymi obyczajów, myśli łaknącej świeżych wrażeń i odrębnych zupełnie stosunków. Nie było jego życzeniem osiedlić się w kole biegunowym; przesadzone baśni, jakie w stronach mniej dotkniętych surowością klimatu opowiadają o tych lodowych pustyniach, są w stanie odstraszyć najzuchwalszego awanturnika od podobnego przedsięwzięcia. Gdy jednak w miarę posuwania się w górę, napotykał coraz dziksze obszary, gdy zimno z powodu letniej pory w której wycieczka przedsięwzięta została, bynajmniej nie dokuczało, nasz mizantrop uczył się w swoim żywiole. Tratwy rybackie minawszy ostatnie krańce Jenisejskiej gubernii, płynęły zwolna na północ, rzeka stawała się coraz szersza, osady ludzkie coraz rzadsze, przyroda coraz pęsniejsza. Kilka wycieczek w głąb kraju celem upolowania zwierzyny przedsięwziętych, dało mu sposobność zbliżenia się do rzeczywistych obywateli tej ziemi: Ostyaków, Tunguzów i Samojedów. Znana powszechnie prostota i otwartość podbiegunowców, ich charakter mężny, wytrzymały, a zarazem dobroduszny, ujęły go od razu. Wrażenia wywołane połowem potworów morskich, nietyle sprawiły mu zadowolenia, ile widok plemion w stanie natury żyjących; ponieważ zaś zima tak straszna w opowiadaniach mieszkających na południu ludów, zbliżała się szybkimi krokami, powrócił z rybakami do Minusińska, ale z nastaniem wiosny powtórzył swoją wycieczkę. Owe wędrówki

odbywały się każdego roku: nie ndawał się on już tam dla rybołówstwa, ale w celu odwiedzenia swoich nowych przyjaciół inorodców, których charakter pierwotny, naturalny, nieprzekształcony zewnętrznymi formami zwyczajów i uprzedzeń światowych, odpowiadał w zupełności typowi, jaki sobie o istocie ludzkiej utworzył.

Jednego razu, jakaś nieprzewidziana przeszkoda zatrzymała wyprawę. Przymuszony przepędzić zimę w tych sferach, przekonał się, że ta pora przy użyciu stosownych środków zabezpieczenia od mrozu, nie jest znowu tak straszną jak ją mieszkańcy południa opisują. Pierwszy krok zazwyczaj z trudnością przychodzi, dalej wszystko łatwiej się już składa. Pan *** pozostał w Turuchańsku.

Z początku wszystko szło po jego myśli. Latem siadłszy na łódkę puszczał się w górę Jeniseju; napotkawszy koczujące po nad brzegami wspaniałej rzeki plemiona pierwotnych ludów, przyłączył się do nich, podzielał ich trudy, polowania, wyprawy, a żyjąc samoistnym życiem natury, zapominał o chaosie walk i namietności, podstępów i fałszu, jaki jest udziałem uorganizowanego w społeczeństwo towarzysztwa. Gdy nadeszła zima, zamykał się w swojej izdebce, ale i ta przymusowa bezczynność nie była pozbawioną uroku. Przyjaciele jego stepowi, przywiązawszy się szczerze do towarzysza swoich wycieczek, odwiedzali tłumnie ukrytą w olbrzymich zaspach śniegu osadę. Już to prawdę powiedziawszy, nikt tak kochać nie umie, jak narody wydziedziczone z dobrodziejstw cywilizacji. Pan *** stał się dla nich bratem, przyjacielem, ojcem, zwierzchnikiem; na jedno skinienie jego ręki, gotowi byli życie swoje nieść w ofierze. Porównyując to przywiązanie bez granic z chłodnymi uczuciami europejskich ludów, opartymi po większej części na interesie, nasz filozof czuł się szczęśliwym i zadowolonym ze swego losu.

Parę lat upłynęło. Bohater niniejszego opowiadania, znany mi dobrze, nie należał bynajmniej do owej klasy prostych, nieukształconych awanturników, którzy szukają nadzwyczajnych przygód dla rozgłosu lub też podrażnienia serca. Doświadczywszy jak się zdaje w swém życiu wielu

rozczarowań, stał się pomimowoli i wiedzy odludkiem. Nie potępiał ludzkości, ale jej unikał; obawiając się rozrzucić skarby swoich uczuć pomiędzy niewdzięcznych, umieścił je na pewniejszej podstawie: na charakterze nieskażonych podmuchem egoizmu ludów. Miał naukę, posiadał wiadomości, a polor wyższego wychowania pomimo sztucznej niecywilizowanej powłoki, jaką mu się podobało przywdziać na siebie, zdradzał niejednokrotnie bywalca salonów. Nadto pan*** był poetą i artystą zarazem. Tęskne i rzewne jego piosenki, których słowa i melodye układał w otoczonej śniegowym wałem turuchańskiej izdebce, lub przy różnokolorowym blasku wspaniałej zorzy północnej, nucone są powszechnie przez mieszkańców lodowych obszarów. Jeden z tych śpiewów malujący stan duszy autora i jego usposobienie, jest następujący:

Niech się śmieją niegodziwi,
Niech się tai w cieniu złość,
Niech świat hańba jadem żywi,
I rzuca niezgody kość,

Ja wciąż pływę: nikną gaje
Nikną ślady wszelkich dróg;
Lecz gdzie życie już ustaje
Jedną tarczą moją Bóg!

Od Angary, do mórz fali
Wszędzie smętny dziki świat:
Ni tam szczęścia, ni lez żali,
Tylko cisza wiecznych lat.

W płowych bagnach zieleń ginie
Nie ma brzasków, lśni wciąż dzień;
Czasem tylko po gęstwinie
Mknie stepowca błędny cień.

Syny pustyń, zstąpcie tłumnie
Z gór i lasów—gdzie blask wód;

Serce bratnie dla was u mnie:
Jam się wyparł świata złud! (*)

Turuchańsk, jedyny stały punkt jego oparcia w czasie zimowych mrozów, lub tamujących komunikacye zawiei, zowie się w geografii miastem, rzeczywiście zaś jest to tylko osada najwyżej na północ posunięta, w której można jeszcze znaleźć władze administracyjne kraju. Jak wszystkie miejscowości zamieszkane przez napływową ludność starego świata, i ta wysunięta naprzód wedeta, posiada w drobnych wprawdzie rozmiarach zwykle cechy i wady odznaczające towarzyskie życie Europy. W tém małym gronku ludzi, rzucenych w pośród niezmiernych śnieżnych przestrzeni Północy,

(*) Powyższa piosenka którą dosłownie przetłumaczywszy podałem, brzmi w oryginale jak następuje:

Злые люди пусть смеются,
Клевета готовится ядъ,
Пусть заслуги остаются
Безъ вниманія, безъ награды.

Я лечу! лечу! подь парусами,
Между горъ, и средь лѣсовъ;
А за бурями и льдами,
Богъ мой щитъ и мой покровъ!

Отъ Ангары до устья моря,
Вижу дикія страны:
Нѣтъ тамъ радости, нѣтъ горя,
Образъ вѣчной тишины.

Въ тундрахъ нѣтъ зеленой сѣни,
Нѣтъ тамъ ночи, нѣтъ зари;
Лишь являются какъ тѣни,
Но утесамъ дикари.

Дикари, скорѣе толпою
Съ бурныхъ странъ на Енисей,
Подружитесь со мною:
Я вашъ братъ — боюсь людей!

krzewią się niechęci koteryjne, niezadowolenia sąsiedzkie, zawiść, obmowa i plotki. Ani mróz straszny, niesłychany, tamujący oddech w piersiach, ani góry śniegowe, wznoszące się po nad szczyty domów, nie wpływają na uśmierzenie ludzkich namiętności, na powstrzymanie wrodzonego każdemu otartemu o cywilizację człowiekowi, popędu do roztrząsania spraw cudzych. Przeciwnie, ta noc bez końca, ta ci-sza wiecznie panująca sprowadzająca cikliwość i nudę, więcej jeszcze dają materiału dla rozwinięcia się ułomności i niedostatków towarzyskich. Każdy najdrobniejszy szczegół, prze-rywający ciągłą i bezwarunkową jednostajność podbieguno-wój zimy, staje się faktem doniosłym, ważnym; każde przy-bycie obcej, choćby najmniej zasługującej na zwrócenie uwagi osobistości w te strony, tematem do nieskończonych gawęd, przypuszczeń i wniosków. Przy podobnych warunkach bar-dzo łatwo pojąć można, iż zjawienie się pana *** w tej osa-dzie, dało z początku powód do niezliczonych komentarzy, a następnie wyrodziło ogólną chęć zabrania bliższej znajo-mości z zagadkowym człowiekiem, który niezmuszony oko-licznościami, bez celu, z własnej woli, wybrał tak oddalony punkt kuli ziemskiej na zamieszkanie. Ale pan *** nauczony tyloletniem doświadczeniem, wiedział dobrze co go tu czeka, i dla tego też zaraz na wstępie zamknął się szczelnie w swo-jej izdebce, nie przypuszczając do siebie nikogo oprócz ste-powców. Wszystkie zachcianki turuchańskich mieszkańców rozbiły się o niewzruszoną jego wolę, twardą i zimną jak lód pokrywający szerokie koryto Jeniseju; dalszego zaś utrzymania w stosownej odległości ciekawych sąsiadów, do-pełnił surowy klimat zimy tych stref, niedozwalający czę-stokroć bez narażenia zdrowia i życia, najprostszych nawet wycieczek z jednego do drugiego domu.

Gdy nastąpiła wiosna, pora bez porównania przyjaźniejsza do zawiązania podobnych stosunków, pan *** już był daleko; siadłszy w łódkę, popłynął w dół ku ujściu olbrzymiej rze-ki do morza, a spotkawszy koczujących po nad brzegami Ostyaków lub Samojedów, przyłączał się do nich. Stosunki z inorodcami przy coraz dokładniejszym pojmowaniu ich na-rzecz, stawały się dla niego z każdym dniem więcej zaj-

mującymi; szczególnież zaś otwartość i prostota tych ludzi, myślących głośno, wyrażających bez żadnej ogródkii swe zda-nia, wielki miała powab dla człowieka, który nadewszystko miłował prawdę, a każdy fałsz nawet konwencyonalny, po-czytywał za chorobę moralną. Wycieczki swoje z hordami tych pierwotnych plemion, posuwał częstokroć wysoko na północ. Oprócz przyjemności polowania i rybołówstwa, gro-madził w czasie wspomnianych wędrówek bogate zoologiczne zbiory; szczątki przedpotowych zwierząt, kosci mamutów, tak liczne w tych wydziedziczonych od natury stronach, sta-nowiły obfitą zdobycz wynagradzającą sownicie doznane trudy i niewywechasy podróży. Pomimo jednak zamięłowania w owem koczującym życiu pustyni, zawsze zbliżająca się zima, za-stawała go z powrotem w Turuchańsku.

Pewnego dnia pora wiosenna, chwila tyle pożądana, nie przyniosła z pojawieniem się swoim oczekiwanych rozko-szy. Pan *** ciężką złożony chorobą, nie mógł opuścić smut-nój i ciemnej izdebki. Każda słabość niezmiernie przykrą jest dla człowieka lubiącego ruchliwe życie; w obecnem zaś położeniu była jeszcze nieznośniejszą, gdyż nie dozwalała mu korzystać, z krótkich w tym klimacie objawów rozbudzonej do życia przyrody. Co większa, owa niemoc pocią-gnęła za sobą nieprzewidziane skutki. Wszystkie karłowate żywyli towarzyskiego bytu, których tak starannie unikał, opanowały wstępnym bojem spokojną pustelnię. Dotąd cha-ta jego była niby zamknięta zewsząd forteca, niedająca z żadnej strony przystępu dla cychającej w około cieka-wości ludzkiej; należało zrobić wylom, ażeby się dostać do wnętrza warowni, a czujna podejrzliwość samotnika tam-owała wszelkie w tym względzie usiłowania. Otóż więc cze-go nie dokazały niesłychane przebiegi i podstępny chciwój bliższego poznania mizantropa ludności, uskuteczniła po pro-stu jego choroba. Najtrudniejszym bywa początek: gdy raz jakikolwiek systemat naruszony zostanie, dokonanie reszty samo z siebie przychodzi. Pierwsza kropla wody, przeciska-jąca się przez sklepienia podziemnego gmachu, jest przed-wstępem jego zalania, pierwszy żołnierz stający na murach obronnego miejsca, pociąga za sobą jego zdobycie: tą kroplą

nurtującą opokę, tym wojownikiem zatykającym zwycięzki sztandar w niedostępnym ustroniu, był miejscowy lekarz. Wezwany przez złożonego niemocą odludka, który pomimo swoich odrębnych wyobrażeń o świecie i ludziach, nie miał bynajmniej ochoty rozstać się z życiem, wziął się szczerze i energicznie do zwalczania choroby. Lekarz ten znał swoją sztukę, nie żałował trudów i poświęcenia; ale obok rzeczywistej nauki, posiadał wszystkie wady i słabostki mieszkańca małej, odosobnionej od ruchu towarzyskiego osady. Ciekawość, wdzieranie się gwałtowne w cudze sprawy, podtrzymane chęcią zainteresowania ogółu zagadkowym pacjentem sprawiły, że nie tylko sam zdobył niedostępną do tej chwili samotnię, ale jeszcze zniewolony prośbami krewnych i przyjaciół, wprowadzał do niej nieznacznie i powoli coraz nowe społeczne pierwiastki. Jakże tu odmówić prośbie człowieka, który życie ocalił, który z rzadką troskliwością czuwał po całych nocach przy łożu boleści? Pierwszą wprowadzoną przez doktora osobą był młody brat jego dyakon: starszek krotochwilny, wesoły, zawsze uśmiechnięty, lubiący przytęm małe ploteczki, drobne intryzki, nieszkodliwe na pozór obmowy. Za dyakonem z samego porządku rzeczy zjawiał się jego zwierzchnik, duchowny miejscowy. I temu niepodobna było zabronić przystępu. On przejęty ważnością obowiązków swoich, przyszedł ze słowem pociechy na ustach, podtrzymywać siły moralne powstającego z ciężkiej choroby rekonwalescenta. Jak tylko pierwsze lody przełamane zostały, wnet i reszta mieszkańców Turuchańska pod różnymi pozorami przestąpiła progi niegościnną dotąd izdebki. Brat przyprowadzał brata, krewny krewnego, przyjaciel przyjaciela, a pan *** bez wiedzy, woli, chęci, ujrzał się otoczonym obojętnymi dla niego żywiołami, wciągniętym w wir drobiazgowego życia małego miasteczka. Próżno się zamykał w tamującym wszelką poufałość milczeniu, próżno się bronił przed napastującą go zgrają chłodem obejścia: nic to wszystko nie pomogło. Znudzone beczynnym życiem pustyni gronko, porwawszy raz w swoje szpony ofiarę, nie zraziło się drobnymi przeszkodami, i pod pokrywką przyjaźni lub sąsiedzkiej życzliwości, otaczało coraz gęstsza siecią

codziennych stosunków biednego filozofa. Kapłan, wychodząc ze stanowiska religijnego, przedstawiał mu niewłaściwość obcowania z inorodcami, ludźmi, którzy nie wierzą w Boga i oddają cześć wyciosanym z drzewa bałwanom; dyakon, znosząc miejscowe ploteczki, coraz częściej i gęściej wychwalał rozum, dobroć i gospodarskie przymioty swojej jedyniej córki; asessor, kładł mu w uszy potrzebę zajęcia się czémśkolwiek pożytecznym dla ogółu, np. pracą w wydziale administracyjnym, a że od roku szukał napróżno pisarza do pomocy, owo poświęcenie się krajowemu dobru podwójny przynieść mogło pożytek. Uciec przed tą powodzią życzliwości, przyjaźni, ciekawości, nagabań różnego rodzaju było niepodobna. Pora wypłynięcia większych statków na północ dawno minęła; hordy Ostyaków, Samojedów i Tunguzów, rozsiane po stepach w okolicy Turuchańska, zwinęły swe koczowiska i udały się w celu rybołówstwa ku brzegom Oceanu Lodowatego, pozostawiwszy na pastwę zawziętych przyjaciół, nieodstępnych opiekunów, nieszczęśliwego naszego mizantropa. Pan *** w głowę zachodził, jak się uwolnić od tej plagi, i niczego wymyślić nie zdołał. Na każdym kroku spotykały go zachęcające uśmiechy, ciekawe zapytania, przyjazne zaczepki; nikogo nie odwiedzał, a wszyscy u niego bywali, odwracał się od ludzi, a ci mu zabiegali drogę, zamykał oczy i zatykał uszy, a musiał patrzeć i słuchać. Kiedy z czerpaczką w ręku udawał się do zastawy (*)

(*) Turuchańskie rzeki tak są rybne, iż żaden z mieszkańców tamtejszych nie łowi ryb letnią porą przyjętymi w innych stronach świata sposobami. Z rzeką Taz wpadającą do Oceanu Lodowatego, łączy się mnóstwo drobnych rzeczułek, przecinających w różnych kierunkach okolice tej północnej osady; wszystkie one roją się niesłychaną ilością różnego rodzaju ryb, i to do tego stopnia, że mieszkańcy miejscowi przerwawszy na chwilę bieg wody za pomocą tamy, wybierają z utworzonego tym sposobem rezerwoaru tyle ryby ile im potrzeba. Do skutecznienia tej operacji dosyć jest zaczerpnąć dziurkowane naczynie w rzecce; dla tego też wzmiankowaną czynność nazywają tam nie łowieniem, lecz *czerpaniem* ryb. (Przyr. aut.)

dla nabrania odpowiedniej ilości ryb mających mu służyć za całodzienny posiłek, już tam na niego oczekiwały gadaliwe i ciekawe kumoszki. Na czele tego zastępu północnych amazonek, widział zawsze dobrze podstarzałą i niemiłosierdzie zezowatą córkę dyakona. Nieustraszoną żadnymi przeszkodami, niezrażoną żadnymi przeciwnościami zwolenniczka hymenu, czyhała na niego każdego rana, darząc słodkiem pozdrowieniem i zabójczém spojrzeniem swoich oczów.

Jednocześnie dyakon nie wychodził prawie z jego mieszkania, przypuszczając coraz natarczywsze ataki do czułych stron serca skazanę na karę małżeńską ofiary. Życie podobne stało się istnóm piekłem, ciągłą a nieznośną katuszą; i co najgorsza, z każdym upływającym dniem powiększało władzę nieproszonych opiekunów. Naprózno niefortunny zwolennik samotności szukał chwilowej swobody: już ona dla niego bezpowrotnie przepadła. I trwało to złe do czasu, w którym kilku Ostyaków niespokojnych o los swojego przyjaciela, przybyło naumyślnie do Turuchańska dowiedzieć się o jego powodzeniu. Ucieszony ich widokiem, opowiedział swoje smutne dzieje, nie pomijając milczeniem żadnego szczegółu. Prości ci ludzie, przywykli do nieograniczonej wolności stepowego życia, nietamowanego żadnym osobistym przymusem, zrozumieli jego cierpienia, lecz zarazem pojęli, że natura Europejczyka nie zdoła wytrzymać koczowniczych wędrówek w czasie mrozów zimy podbiegunowej. Ażeby temu zaradzić, nie było innego sposobu, jak przenieść się do osady więcéj na północ położonej, w której objawy społeczne mniej jeszcze czuć się dają. Wskazaną przez inorodców osadą była Dudinka o 550 wiorst od Turuchańska odległa, a pod 61° szerokości geograficznej położona.

Jednego więc razu pan*** korzystając z chwili, w której stary dyakon odprawiał nieszpory, nieodrodna jego córka prała bieliznę na rzeczce, a poszukujący wiecznie pisarza asessor spał snem sprawiedliwych, puścił się pieszo w kierunku Jeniseja—nieodstępni towarzysze nieśli na plecach jego chudobę i zoologiczne zbiory; wsiadłszy razem ze swoimi przewodnikami w łódkę, która na nich tam czekała,

uczul się pierwszy raz od czasu zawiązania uciążliwych stosunków, wesolym i swobodnym, pierwszy raz odetchnął pełną piersią wolném stepu powietrzem, nie widząc do koła siebie drobiazgów małego świata, zawiści koteryjnych i intryzek sąsiedzkich. Wydalenie się jego z Turuchańska miało wszystkie pozory ucieczki; ale prawdę powiedziawszy, cóż innego pozostało uczynić człowiekowi, który pragnął żyć stosownie do swego upodobania, a nie mógł tego dokazać? Wyjeżdżając otwarcie, musiałby rad nie rad wyjawić cel swojej podróży, a kto wie, czyliby zawzięci wielbiciele nie pognali za jego śladem. Tego dowodu wysokiego współczucia, prawie pewnym był ze strony niepokonanej żadnymi trudnościami amatorki małżeństwa; a niczego na świecie tyle się nie obawiał, ile gorących westchnień i zezowatego spojrzenia czulej córki dyakona.

Czwartego dnia stanęli w Dudince. Niech nikt nie sądzi, ażeby miejscowość nosząca powyższą nazwę, miała jakiegokolwiek podobieństwo do najmniejszej nawet syberyjskiej wioseczki. Wśród tych przestrzeni krańcowej północy, nie ma wcale wsi lub wiosek. Na linii komunikacyjnej, wiążącej środek Turuchańskiej prowincyi z brzegami morza Białego, rozrzucone są co kilkaset wiorst osady, z dwóch lub trzech chat złożone, zamieszkałe przez zawołanych rybaków, zagorzałych myśliwych, lub też dozorców magazynów skarbowych. Ludzie którzy tam żyją, letnią porą mają jeszcze jakiegokolwiek stosunki z resztą świata; w czasie zimy zakryci kilkunasto-sażniową warstwą śniegu, w której ciepły dym wychodzący z komina, tworzy zarazem kanał dopuszczający powietrze do oddychania, vegetują w niedostępnych głębinach, jako krety w ziemnych norach. W chwili przybycia naszych podróżnych do wspomnionéj osady, krótka pora letnia zbliżała się do końca. Wśród niezmiernéj płaszczyzny pokrytej żółkniejącą trawą, sterczały trzy chaty zamieszkałe przez urlopowanych kozaków: z prawej strony rosły z rzadka karłowate sosnowe krzaki, z lewej płynęła jedna z tych niezliczonych rzeczulek, jakie w rozmaitych kierunkach przerzynają strony podbiegunowych krajów. Cała przestrzeń stepu pokrytą była stadami wron i kruków kraczą-

cych żałośnie, i zbierających się do odlotu w cieplejsze strony (*). Przenikliwy i zimny wiatr bieguna, niósł w swoim podmuchu przepowiadnię zbliżającej się szybkimi kroki strasznej, długiej, otoczonej cieniami sześć-miesięcznej nocy zimy. Ostyaki doprowadziwszy naszego wędrowca do tego punktu, zmuszeni byli śpieszyć się do swoich koczowisk, ażeby nie uledez zasypaniu śniegiem, który w początkach mianowicie nastania zimowej pory i ciemności nieoświeconej jeszcze światłem północnej zorzy, sypiąc się bezprzestannie, naraża na utratę życia najśmielszych nawet krajowców. Pan*** więc pożegnawszy wiernych przyjaciół, obejrzał miejsce nowego swego zamieszkania. Na pierwszy rzut oka, początkowa jego obawa napotkania i w tém oddaloném od ludzkiego społeczeństwa ustroniu towarzyskich żywiołów, ustąpiła zupełnie. Trzój kozacy zajmujący chaty osady, byli to ludzie prości, dla których obcemi zupełnie stały się wszelkie przebiegi światowe; żyli oni w sobie i dla siebie, dążąc stanowczo do jedyne go wytkniętego celu, a celem tym było szybkie gromadzenie pieniężnych zasobów. Handel wśród ruchliwego społeczeństwa, jest tylko jednym z tysiąca środków do utrzymania życia służących; na pustyni zaś, gdzie wszelkie wrażenia, spotęgowane samotnością i brakiem postronnych wypadków, obierają oznaczony kierunek, przemienia się w ideę stałą, splata ze wszystkimi myślami, przechodzi w soki żywotne istnienia. Handlarz stepów, zajęty wyłącznie swoim procederem, zapomina o wszystkiém co tylko nie ma związku z jego zajęciami; jest on kupcem i bankierem, lichwiarzem i finansistą—w danych razach przybiera na siebie różne maski, umie nagiąć się do wszelkich wyobrażeń: z koczującymi plemionami bywa dobrodusznym, z braćmi po krwi i myśli chytrym i przebiegłym, z nowo-przybyłymi ostróżnym.

(*) Kruki i wrony, równie jak niektóre inne gatunki przelotnego ptactwa, letnią tylko porą nawiedzają te wydzielone od przyrody okolice. Pierwsze objawy zbliżającej się zimy, której srogości wytrzymałyby nie zdołały, stają się dla nich hasłem odwrotu na południe.

(Przyp. aut.)

W każdej chwili, stosownie do okoliczności, odmienną odgrywa rolę; w każdej potrzebie znajduje ratunek, w każdym zdarzeniu wie jak sobie poradzić. Takim był Teodor Osipowicz Ostroumów, potentat i władca Dudinki; dwaj bowiem jego sąsiedzi i współtowarzysze, handlujący niby odrębnie, stający nawet częstokroć pozornie na przekór jego operacyom, nie mieli nic swego, lecz spełniali tylko rozkazy i polecenia wszechwładnego Krezusa Północy (*). Z nastaniem lata, udawał się on zwykle dla zakupienia towaru do Tomska, a nawet czasami i do Irbitu; gdy tymczasem jeden z jego pomocników pozostawał w osadzie dla pilnowania dobytku, a drugi przybrawszy na siebie wszelkie cechy zapalonego rybolowcy, wiódł życie koczujące z Ostyakami, Samojedami i Tunguzami, starając się wybadać zręcznie, jakie były rezultaty ich polowań, wnikając w potrzeby, niedostatki lub straty plemion rozsianych w okolicach morza Białego. Tym sposobem powracający przed zimą do swój siedziby handlarz, znajdował dostatecznie przygotowany grunt pod swoje roboty: wiedział w którym koczowisku najwięcej wypadło renów, gdzie wilki najwięcej wyrządziły szkody, przy kim została palma zwycięstwa w walce z dzikimi zwierzętami, i do tych wiadomości stosował swój kredyt, czynności, jako też rozmiary osiągniętych korzyści. Zaledwie pierwszy nawał śniegowy początków zimy skrzepł pod naciskiem podbiegunowego mrozu, już ze wszystkich stron sunęły na długich

(*) Urlopowany kozak Ostroumów zamieszkały w Dudince, trzymając w obecnym czasie cały handel północnych stron gubernii Jenisejskiej w swych rękach. Wszelkie większe operacje, wszelkie ważniejsze zamiany surowego produktu na towar europejski, nie mogą przyjść do skutku bez jego współdziałania. Opinia mieszkańców turuchańskiej prowincyi, darzy go niesłychanemi bogactwami; chociaż jednak opowiadania o jego skarbach, o zasobach drogocennych futer, towarów wszelkiego rodzaju i gotowiznie, mogą być przesadzone, nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że nie tylko zamożnością, ale i wpływem, jaki na wszystkie dzikie plemiona wywiera, przemysłowiec ten najpierwsze miejsce w krańcowych punktach północnej Azji zajmuje.

(Przyp. aut.)

łyżwach gromady inorodców, i spuściwszy się otworem w kryształowanej powłoce wykopanym do wnętrza chaty, szły jako ofiary na zgubę przeznaczone, poddać się dobrowolnie wymaganiom chciwości i łupieżstwa samoistnego potentata stepów. Komórkę zajmowaną przez pana*** cienkie tylko przepierzenie z desek oddzielało od obszernej izby, w której prowadzono operacje handlowe, mimowolnie więc był on świadkiem wszystkiego co się tam działo. Co tylko przebiegłość ludzka, szatański dowcip, piekielne wyrachowanie wymyślić zdoła, wprowadzanem było w użycie dla oplątania i obalamucenia naiwnych mieszkańców Północy. Prostota właśnie i dobroduszość biedaków, wierzących ślepo w szlachetne uczucia i cnotę Europejczyków, stanowiła najohydniejszą stronę tych scen. Pojono ich wódką, schlebiano ich namiętnościami, narzucano się z przyjaźnią, straszono prawem, którego ci ludzie nie znając instynktowo się obawiają. Gdy to wszystko nie pomagało, odgrywano scenę, która zawsze pomyślnym uwieńczona bywała skutkiem. Jeden z kozaków działających pozornie na swoją rękę, a w gruncie rzeczy zaprzędanych ciałem i duszą Ostroumowowi, starał się niby to niezręcznie oszukać inorodców; ten ostatni wykrywał podstęp, ujmował się za swoimi przyjaciółmi, i surowo gromił nierzetelnego sąsiada. Podobnie bezinteresowny czyn podbijał do reszty stepowców: jakże tu nie wierzyć ślepo i bezwarunkowo człowiekowi, dającemu tak dotykalne dowody życzliwości i współczucia? Dążono więc zewsząd do jamy podbiegunowego nababa, znoszono niezmiernie skarby w bogatych i rzadkich futrach, a powracano ztamtąd z kilku fatalaszkami lub świecidelkami, niemającymi żadnej prawie wartości.

Pan*** widząc i słysząc to wszystko, nie mógł ani przez chwilę używać tyle pożądanej dla niego swobody umysłu. Rozjątrzony do najwyższego stopnia, tając wewnętrzny gniew i oburzenie, którego okazać niepodobna było bez narażenia się na prześladowania i niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju, przebył długą porę zimową, tę porę ciągłych ciemności i dokuczliwego mrozu w pośrodku owiej odchłani, a z nastaniem wiosny, gdy w miejsce gór śniegowych, prze-

strzenie stepów zazieleniły pękami podnoszących się z ziemi roślin, opuścił na zawsze osadę.

Kilka miesięcy koczowniczego życia pomiędzy ludami pierwotnymi, wynagrodziło mu stokrotnie doznane zawody; ale gdy znowu nieodmienną koleją rzeczy, pierwsze oznaki nadchodzącej zimy dały się czuć w powietrzu, należało myśleć o nowym schronieniu. Uciekając przed cywilizacją, która niby widmo starego świata, w ślad za każdym jego krokiem postępowała, podążył z nieodstępnymi swymi towarzyszami aż do ostatniego punktu niezmierniej linii etapowej, łączącej środek prowincji północnych z brzegami Oceanu Lodowatego.

Tołstojnoś, krańcowa miejscowość zamieszkała przez ludzi pochodzenia europejskiego (*), nie jest właściwie nawet osadą. Jest to coś nieokreślonego, coś czemu trudno dać jakiegokolwiek nazwanie. Na samym krańcu długiego i wąskiego cypla lądu wysuniętego głęboko w fale Oceanu, znajduje się mały o jednej izbie domeczek, przy tym domku stoi obszerny magazyn—ot i wszystko. Dwóch strażników pilnujących zapasów zbożowych, stanowi całą ludność tego ostatniego atomu, okazującego jeszcze słabe tętno życia. Na tysiące wiorst w około nie ma zupełnie nic. W locie, z trzech stron huczą potężne bałwany; z czwartej niepozorna drożyna, oznacza związek mieszkańców przyłądka z ziemią stałą—w zimie wydmy piaszczyste morskich brzegów, dalekie przestrzenie stepów, skaliste rafy wybiegającego naprzód cypla, pieniające się łożysko wód ujęte niezbląganą siłą podbiegunowego mrozu, krystalizują się w jedną olbrzymią masę śniegów i lodów, tworząc chaos najrozlicniejszych załamek, gór, i przepaści. Wśród tego odrębnego świata wiecznej śmierci, nie ma ani drzew, ani krzaków, ani roślin; napróżnoby tam szukać gromad wesołego ptastwa

(*) Powyżej Tołstojnosa, wśród przyłądka bardziej jeszcze na północ wyskakującego w morze, znajduje się klasztor zamieszkały przez 12-tu mnichów; ale do tego przybytku po za linią komunikacyjną położonego, żaden Europejczyk zimą dostać się nie zdoła.

(Przyp. aut.)

szybującego po przestrzeniach, roju skrzydlatych owadów brzęczących w powietrzu, lub jakiegokolwiek bądź gadziny pełzającej po ziemi: biały niedźwiedź siedzący nieruchomie na szczycie lodowej góry, ciężka foka wlokąca z trudnością potworne swoje cielsko, i postępnny kormoran — oto jedyni obywatele tych wydziedziczonych od natury krańców kuli ziemskiej. Oprócz owych smutnych przedstawicieli organicznego życia, nic tam zupełnie nie istnieje; nawet kontury przedstawiających się wzrokowi przedmiotów, są tylko chwilową złudą przez fantazję mrozu utworzoną.

Niebotyczne góry, różnorodne załamki skał, wspaniałe gmachy o tysiącach wznoszących się wysoko kolumn, kapteli i portyków—wszystko to jest niczém inném, jak tylko masę skryzalizowanej wody, która z pierwszym cieplejszym promieniem słońca rozplynie się w falach Oceanu, i śladu po sobie nie zostawi. W miejsce rysujących się na tle niebios krajobrazów, będzie próżnia; z próżni następna zima wywoła nowe kształty, nowe zarysy nieistniejących w rzeczywistości okolic, ażeby je znowu zmieniać, niszczyć, wznosić: zawsze, ciągle i bez końca. W téj hezładnej amalgamie zastygłych żywiołów, gdzie siły organiczne świata krzepną, marnieją—jedynym wszechwładcą jest mróz: przed jego potęgą milknie i zamiera twórczość, a na jej miejsce powstają widziadła noszące na sobie pozory bytu, a będące w istocie tylko przemijającą uludą. Człowiek dotarłszy do tych kresów, nie jest pewnym niczego i przestaje wierzyć własnym swym zmysłom. Patrzy na otaczające go przedmioty, a one nikną przed jego oczami, słucha głosów, które nie istnieją, śledzi objawy zmieniające w każdej chwili zewnętrzną swą formę. Nawet owo wspaniałe oświecenie nocy podbiegunowych, zorza północna, nosi wszystkie cechy fantastycznego zjawiska. Wy tłumaczona przez naukę, lecz dla wielu niepojęta, używa swych blasków tylko obszarom na krańcach zamieszkanego świata położonym; kapryśna w rzutach swoich ognistych słupów, zmieniająca co chwila barwy, nieokreślona w długości trwania, nieoznaczona w czasie pojawienia, pozostanie zawsze dla jednych bezużytecznym widowiskiem, a dla drugich nieodgadnioną tajemnicą.

Przybywszy w te straszne miejsca, pan*** sądził, że znajdzie tam poszukiwany od lat tylu spokój; mniemał, że najsłabszy nawet oddźwięk kipiącego towarzyskiem życiem społeczeństwa ludzkiego, nie dobiegnie w zakłete, martwe, pozbawione wszelkich oznak istnienia koło biegun. W jego przekonaniu, owa ostatnia stacya organicznego bytu była jedynym punktem, na którym zniechęcony wirem namiętności światowych człowiek, może znaleźć wytchnienie i bezwzruszającą swobodę.

Rozgościwszy się w izdebce, zabezpieczywszy przeciwko spodziewanej srogości zimy, oczekiwał spokojnie nastania téj złowrogiej pory, na której wspomnienie bledną najśmielsi południowcy, drżą najodważniejsi europejscy podróżnicy. Niedługo czekał: zaledwie zdołał obejrzeć się w nowej siedzibie, słońce, które od niejakiego czasu pokazywało tylko na chwilę swoje blade oblicze na krańcowym poziomie niebios, zagasło, nieprzejrzane ciemności pokryły świat cały; a mróz, ów mróz, przed którego potęgą milkną wszelkie odgłosy, zastyga krew w żyłach, martwieje wszystko noszące na sobie żywotne cechy, opanował przestrzenie podbiegunowego pasa.

Koniecznym skutkiem wspólnego mieszkania w szczupłej izdebce, z dwoma strażnikami magazynu, było zespolenie grubego ich życia z kontemplacyjnym żywotem filozofa. O tém nie pomyślał on ani na chwilę. Przepędzając tyle razy całe miesiące w jurtach inorodców, nie uczuł nigdy ciężaru ciągłego towarzystwa ludzi ciemnych i niewykształconych; dzicy albowiem synowie stepów, wrodzonym instynktem powodowani, pojmowali potrzeby jego duszy, i umieli w razie potrzeby kazać zapominać swojej obecności. Tu jednakże rzecz była zupełnie inna. Dwaj współtowarzysze izdebki, przynieśli z dalekich stron pierwotnej swojej ojczyzny wszystkie zarody wad europejskich. Wyższość umysłowa, naturalna powaga, i zamknięcie się w sobie pana*** sprawiły, iż nie śmieli podobnie jak turuchańscy mieszkańcy przechodzić moralnej granicy, którą ich od siebie oddzielił; ale z drugiej strony nie widzieli najmniejszej potrzeby, zmieniać dla dogodzenia fantazyi przybysza wrodzonych przyzwyczajęń,

nałogów i gustów. Mniej cokolwiek uprzedzony człowiek niż nasz mizantrop pojąłby, że to co go tyle raziło, było naturalnym następstwem różnicy wychowania pomiędzy nim a jego otoczeniem. W żadnej strefie na ziemi, ludzie nie posiadający sami w sobie środków do zajęcia swój myśli, nie czują tak dotkliwie ciężaru czasu, jak pod biegunem północnym. Sam przechód cieni nocy w światło dzienne i odwrotnie, staje się faktem przerywającym jednostajną pośpność pory zimowej. Tu zaś, gdzie noc raz zapadłszy, trwa całe miesiące, nie przynosząc najmniejszej zmiany w widoku otaczających przedmiotów grubym pokrytych cieniem, każdy z obcych krain przybyły mieszkaniec, jeżeli tylko nie zerwał bezwarunkowo z przeszłością, lub nie umie żyć wewnętrznym życiem, podlega łatwiej niż gdzieindziej zezwierzęczeniu i poziomym namiętnościom. Ponura ciemność, przymusowa stagnacja, brak wszelkiej podniety do poczucia piękna natury, wyradza wśród pory zimowej w pierwotnych plemionach przywykłych do tego stanu rzeczy, rodzaj apatycznego odrętwienia; w napływowej zaś ludności staje się jedną z najgłośniejszych przyczyn demoralizacji, pijaństwa i moralnego upadku.

Przy podobnych warunkach, zgadnąć łatwo można co się działo w tej rzuconej na kresy zamieszkanego świata izdebce, której jedyną ludność stanowił szukający spokoju samotnik i dwóch nieokrzęsanych gburów, bez stałego zajęcia, nie wiedzących co robić ze swoim czasem. Z początku surowa i wyniosła postać, wzrok dumny i nieprzystępna powieszehowność pana ***, imponowały nieprzywykłym do widoku ludzi innej warstwy społeczeństwa prostakom; lecz wkrótce, gdy się do jego obecności przyzwyczaili, wyszły na scenę jeden za drugim wszystkie sposoby, dla skrócenia w podobnych razach długiego czasu używane. Najprzód pojawiła się talia starych, zatłuszczonych kart, jako broń do stałej szermierki, której areną był brudny o trzech nogach stół, podniętą chęć zysku, a trofeami parę garści miedzaków. Dwaj zapaśnicy walcząc zawzięcie o kopiejki, nie oszczędzali sobie wzajemnie różnych epitetów, i nieodznaczających się bynajmniej estetyką wyrażen— a gdy dla roz-

weselenia umysłu wystąpiła na plac i spora flaszką z wódką, wymiana dotkliwych przydomków przeszła nieznacznie w swary, kłótnie i wymyślenia. Podbudzone grą i trunkiem namiętności, wybuchaly niejednokrotnie z całą siłą; kłótnia przemieniała się w bójkę, chwilowe nieporozumienia w jawną i otwartą potyczkę—a szukający spokoju odludek, świadek tego wszystkiego, o mało częstokroć nie został osiągnięty lecącą w powietrzu butelką, szczapą drzewa, lub innym jakim niepewną wyrzuconym ręką pociskiem. Jako po każdej krwawej wojnie rozkwitają zazwyczaj błogie owoce pokoju, tak i tu po zawziętych zapasach, gdy obaj rycerze doszli do tego rozkosznego peryodu pijaństwa, w którym ziorzeczenia zmieniają się w lzy czułości, podniesione pięści wyciągają do uścisku, a na gruzach niechęci powstaje zachwyty kilku-godzinną przyjaźni, następowała żadnym przykrém wspomnieniem niezaćmiona zgoda, zakończona upadkiem szermierzy pod ławę i głośnym chrapaniem.

W czasie trwania przyjacielskiego zbliżenia, w epoce odgraniczającej zapasy wojenne od snu na pobojuwisku, muzyka posiadała wyłączny przywilej łagodzenia ubiegłych niechęci i niezapomnianych zupełnie nieporozumień. Wszystkie znane na Syberyi pieśni, wygłoszone dwoma potężnymi, choć po części ochryplemi basami, grzmiały przy akompaniamencie strun bałajki, a pląsy, skoki, i tupanie byczka, łączyły wdzięk Terpsychory z urokiem Melpomeny.

W tym chaosie krzyków, kłótni, sporów, w tych kolejnych przemianach zaciętych bójek na hulackie pieśni—pan*** przykuty do jarzma, jakie z własnej woli na siebie nałożył, zmuszony był przepędzić smutną porę zimową. Po za ciasnym obrębem czterech ścian izdebki służącej mu za więzienie, stał zawsze na straży nieubłagany mróz, wstrzymujący wszelkie zachcianki wydobycia się choć na chwilę z zaklętej miejscowości. Jak nowożytny Prometeusz, związany nierozzerwanemi łańcuchy z nienawistnemi mu pierwiastkami istnienia, przeklinał w duchu nieszczęśliwy dzień, w którym powziął myśl zasklepienia się wtym krańcu północnych obszarów. Wszystkie próby jakie dotąd przeszedł, pragnąc zdobyć sobie niezależność, i oswobodzić z więzów świato-

wych krępujących jego wyobrażenia, zdały mu się niczém w porównaniu z tą ostatnią kaźnią. Doprowadzony do ostateczności, żałował natrętnych sąsiadów Turuchańska, żałował niesumiennych handlarzy Dudinki, a nawet miewał chwile tak strasznego zwątpienia, w których bez goryczy i wstrętu, wspominał o zézowatych oczach niefortunnej córki dyakona.

Tak przeszła zima.

Z ustaleniem się komunikacji wiosennych, odebrał wiadomość o przybyciu rodzzonego swojego brata do Minusińska. Brat pana*** w niczem nie był do niego podobnym. Systematyczny, wyrachowany, stosujący się w najdrobniejszych szczegółach do wszystkich form i zwyczajów przyjętego na świecie porządku społecznego, od najmłodszych lat życia pracował w gałęzi administracyjnej; a walcząc ciągle z trudnościami rządowej służby, i dosługując się powoli coraz wyższego stopnia, przyjechał w końcu na Syberyę, w celu objęcia korzystniejszych w tych stronach obowiązków. Pomimo jednak odrębnych wyobrażeń mizantropa, miłość związków krwi i przywiązanie do jedynego członka rodziny nie zagaśły w nim zupełnie; dla tego też otrzymawszy zawiadomienie o przybyciu brata, pośpieszył w jego objęcia.

W tym właśnie czasie, widziałem po raz ostatni filozofa z nad brzegów Oceanu Lodowatego. Wszystkie wyżej przytoczone szczegóły ciągłych walk z klimatem, przyrodą i namiętnościami ludzkimi, opisywał on nam jaskrawemi barwy, lecz pomimo doznanych niepowodzeń, nieugięty był w zamiarze udania się napowrót w podbiegunowe strony. Namowy brata, szczerze przezemnie popierane do pozostania w Minusińsku, żadnego nie wywarły nań skutku. Fanatyk wyłącznej idei, która go opanowała, odrzucał wszelkie rezonowanie, nie przyjmował żadnych wniosków, stronił od każdego argumentu. Gdy już wszystkie w podobnych razach używane środki wyczerpanemi zostały; gdy z kolei poruszone czułe struny serca, obowiązki względem ogółu, a wreszcie zasady zdrowej logiki, nie znalazły oddźwięku w jego duszy—brat pragnąc jakimkolwiek sposobem zatrzymać przy

sobie nieszczęśliwego wędrowca Północy, odezwał się na końcu w te słowa:

— „Dobrze, przypuśćmy na chwilę, że wszelkie dobrodziejstwa wykształcenia i nauki są tylko czczém marzeniem, że człowiek w stanie natury żyjący jest typem możliwej doskonałości na ziemi, że wreszcie dzika prostota barbarzyństwa stała się jedyną skarbnicą starożytnych cnót—ale gdzie istnieje tak oddalony punkt na świecie, do któregoby namiętności i drobne niedzoty społeczeństwa ludzkiego dobieść nie zdołały? Wszak miałeś przykład na sobie uciekając przed niemi. W ślad za tobą goniło samolubstwo, cynizm i wszystkie nędzne uczucia obecnego wieku, tém ohydniejsze, że nagie, nie pokryte żadnemi zewnętrznemi formami, jakimi cywilizacya ma zwyczaj ubarwiać swoje ułomności.“

— „Będę jeszcze próbował,—odrzekł niezwalczony w swym uporze odludek:—zbuduję sobie chatę zdalą od linii komunikacyjnej łączącej północ z południem, lub przeniosę się nad cieśninę Behringa, pomiędzy plemiona Czukczów, i kto wie, może znajdę tam spokój, którego dotąd napróżno poszukiwałem.“

— „A jeżeli to wszystko nic nie pomoże?“

— „Wtedy powędruję jeszcze dalej, coraz dalej... choćby nawet do samego bieguna północnego!“

Spojrzeliliśmy na siebie z przerażeniem: monomania pana*** była nieuleczoną!

K O N I E C.

SPIS RZECZY.

I.

Studia Etnograficzne.

Piérwotne plemiona Syberyi Str. 3

II.

Studia Zoologiczne.

Fauna Syberyjska 148

III.

Studia Ekonomiczne.

Syberyjska kolèj żelazna 175

IV.

Studia Obyczajowe.

Waryat. 191
Obrazek z życia więziennego 247
Forteca ze śniegu 257
Historia pisarza gminy wiejskiej 297
Prawdziwa historia z tysiąca i jednej nocy 307
Opowiadanie żebraka 318
Mody i zwyczaje towarzyskie na Syberyi 332
Włóczęga na stepach 344
Jeden rok z dziewięciu lat życia na pustyni 354
Wojna domowa w Chinach 371
Poszukiwacze złota w Syberyi 380
Przejażdżka po stepach 397
Kramarze Syberyjscy 427
Tajemnica włóścianki 458
Filozof nad brzegami oceanu lodowatego 476



~~62747~~

65044

OMYŁKI DRUKU.

Stronica	wiersz	zamiast	czytaj
81	20	<i>niemoralny</i>	<i>nienormalny</i>
151	38	<i>Framen</i>	<i>kolców.</i>